

Posłuszeństwo

Timothy Zahn



calibre 0.9.27

Timothy Zahn

Posłuszeństwo

Przekład Andrzej Syrzycki

*Pamięci Katie
oraz jej sióstr Allie i Emily
za ich miłość, odwagę i siłę*

Bohaterowie powieści

Barshnis Choard - gubernator sektora Shelsy (mężczyzna)

Caalra - najemnik (mężczyzna)

Carlist Rieekan - generał Sojuszu Rebeliantów (mężczyzna)

Cav'Saran - szef fałszywych policjantów z Janusara na planecie Rankinge (mężczyzna)

Chewbacca - drugi pilot „Sokoła Millenium” (Wookie)

Daric LaRone - szurmowiec

Darth Vader - Czarny Lord Sithów

Han Solo - kapitan „Sokoła Millenium” (mężczyzna)

JoakQuiller - pilot, szurmowiec

Kendal Ozzel - komandor imperialnego niszczyciela „Odwet” (mężczyzna)

Korlo Brightwater - zwiadowca, szurmowiec

Leia Organa - księżniczka i Rebeliantka (kobieta)

Luke Skywalker - Jedi i Rebeliant (mężczyzna)

Mara Jade - Ręka Imperatora (kobieta)

Mon Mothma - przywódczyni Sojuszu Rebeliantów (kobieta)

Palpatine - Imperator Galaktycznego Imperium (mężczyzna)

Sabran Marcross - szurmowiec kapitan pirackiego statku „Kawalkada” (mężczyzna)

Shalio Tannis - pilot pirackiego statku „Kawalkada” (mężczyzna)

Taxtro Grave - strzelec wyborowy, szurmowiec

Thillis Slanni - dyrektor planowania Świetlistej Nadziei (Ishi Tib)

Vac Somoril - starszy oficer Imperialnego Biura Bezpieczeństwa (mężczyzna)

Vilim Disra - główny administrator sektora Shelsy (mężczyzna)

Ydor Volkoli - przywódca Freedomny Kaisu (Mungra)

Yeeru Chivlyrie - przywódca Powrotu Republiki (Adarianin)

Rozdział 1

Z mroków przestworzy wychynął bezszelstnie imperialny niszczyciel gwiazdny „Odwet”. Załoga okrętu była gotowa do akcji przeciwko Rebeliantom, których siły zbrojne zagrażały porządkowi w galaktyce.

Na pomoście dowodzenia stał komandor Kendal Ozzel. Pogrążony w zadumie, złączył dłonie za plecami i wpatrywał się w widoczną przed dziobem tarczę planety Teardrop. Był w ponurym nastroju, chociaż cieszyła go spodziewana akcja. Uważał, że cała planeta jest siedliskiem szumowin – rozmaitych przemytników i trzeciorzędnych piratów. Gdyby to on dowodził Gwiazdą Śmierci, a nie ten idiota Tarkin, za miejsce pierwszej poważnej próby polowej nowej broni obrabiałby planetę podobną do Teardrop, nie zaś Alderaana.

Jednak to nie on był dowódcą, wskutek czego Tarkin zginął, a Gwiazda Śmierci przestała istnieć, rozerwana na miliony kawałków w przestworzach nad Yavinem Cztery. W mgnieniu oka Sojusz Rebeliantów przerodził się z dokuczliwej zadry w nieprzejednanego przeciwnika.

Imperialne Centrum nie kazało długo czekać na reakcję. Trzy dni wcześniej nadeszła wiadomość, żeby nie okazywać łaski Rebeliantom, ani ich zwolennikom.

Nie, żeby dowódca „Odvetu” zamierzał okazywać komukolwiek łaskę. Eliminowanie Rebeliantów i ich sympatyków stało się najlepszą i najszybszą drogą do sukcesu w Imperialnej Flocie. Może nawet prowadzącą do naszywek admirała.

– Stan? – zagadnął Ozzel jednego z podwładnych, nie odwracając głowy.

– Do osiągnięcia orbity pozostało czterdzieści siedem standardowych minut, panie komandorze – zameldował oficer nawigacyjny z dołu, ze stanowiska dla załogi.

Imperialny oficer pokiwiał głową.

– Miejcie oczy szeroko otwarte – rozkazał. – Nikt nie może odlecieć z tej planety. – Obrzucił gniewnym spojrzeniem mającą niewyraźnie tarczę przed dziobem okrętu. – Nikt – powtórzył cicho.

– Hej, Luke! – zawołał Han Solo ze sterowni „Sokoła Millennium”. – Pospiesz się, chłopcze. Przestań się guzdrać. Nie mamy ani chwili do stracenia!

– Są na pokładzie! – odkrzyknął Skywalker. – Rampa podniesiona i uszczelniona!

Han wiedział to dobrze z odczytów na kontrolnym pulpicie. Pomyślał, że jeżeli dzieciak chce mu towarzyszyć, będzie musiał się odzwyczaić od niepotrzebnej paplaniny.

– W porządku, Chewie – powiedział. – Możesz odpalać!

Siedzący obok niego Chewbacca entuzjastycznie zaryczał i „Sokół” wzbil się łagodnie w powietrze z twardego gruntu planety Teardrop.

Widocznie jednak nie dość łagodnie. Zza pleców Hana dobiegły pełne oburzenia, chociaż stłumione okrzyki.

– Ojej! – zawołał ktoś.

Han przewrócił oczami i przesłał energię do jednostek napędu podświetlnego.

– Absolutnie ostatni raz bierzemy na pokład pasażerów – oznajmił stanowczo swojemu partnerowi.

W rzeczowej odpowiedzi Chewiego usłyszał odrobinę lekceważenia.

– Nie, mówilem poważnie – odparł Han. – Od tej pory obowiązuje zasada, że jeżeli nie zapłacą nie polecą.

Z tyłu doleciał odgłos kroków. Han obejrzał się i zobaczył, że na fotelu za plecami Wookiego siada Luke.

– Wszyscy się już usadowili – zameldował.

– Wspaniale – mruknął sarkastycznie Solo. – Kiedy wskoczmy do nadprzestrzeni, zacznę przyjmować zamówienia na trunki.

– Och, daj spokój – skarcił go Luke. – Jeżeli uważasz, że to banda sztywniaków, powinienesz być zobaczyć tych, którzy odlecieli wcześniejszymi transportami. Nasi pasażerowie to tylko technicy, którym powierzono zadanie zapakowania kilku ostatnich skrzyń ze sprzętem.

Han się skrzywił. Wypełniające ładownie „Sokoła” skrzynie nie pozostawiały miejsca na ładunek przewożony za opłatą, nawet gdyby Han znalazł taki po drodze na miejsce spotkania. Tym razem miała to być wyprawa w stu procentach charytatywna, jak zresztą wszystko, co on i Chewbacca robili dla Luke’a i jego nowych przyjaciół z Sojuszu Rebeliantów.

– Tak no cóż... Widywałem w przeszłości bezytecznych techników – mruknął Solo.

Kiedy czekał, aż Luke powie coś na obronę specjalistów, na rufowych deflektorach frachtowca rozprysnęła się wiązka laserowego ognia.

– Co, u... – warknął, błyskawicznie wprowadzając „Sokoła” w lot nurkowy.

Instynktownie wykonany manewr prawdopodobnie ocaili wszystkim życie, bo kolejna smuga laserowego światła przecięła przestworza w miejscu, które dopiero co opuścili, chociaż nadleciała z innej strony. Mając nadzieję, że pasażerowie są wciąż przy pięci pasami, Han skręcił raptownie i zadarł dziób statku. Potem poświęcił sekundę, żeby zerknąć na ekran rufowego monitora.

Jeden rzut oka wystarczył, żeby zauważyć za rufą sześć jednostek różnych kształtów i rozmiarów.

– To piraci – poinformował pozostałych, przekazując dodatkową porcję energii do silników i jeszcze bardziej zadzierając dziób frachtowca. Spotkanie z piratami w głębi grawitacyjnej studni planety, gdzie nie można było się ukryć ani szybko wskoczyć do nadprzestrzeni, było chyba najgorszą sytuacją dla każdego pilota gwiazdznego statku.

Nawet „Sokół” nie dalby rady wymykać się zbyt długo tyłu jednostkom.

– Chewie, wzbij się jak najwyżej i znikaj – rozkazał, rozpinając pasy ochronnej uprząży. – Chodźmy, Luke.

Chłopak usłuchał bez słowa. Zerwał się z fotela, wybiegł ze sterowni i ruszył podobnym do tunelu korytarzem. Han puścił się za nim. Skręcił za róg w samą porę, żeby zobaczyć, jak Luke przemyla obok stłoczonych pasażerów i kieruje się ku drabinie wiodącej do wieży czki górnego czterolufowego działka.

– Co się dzieje, panie kapitanie? – zapytał jeden z techników.

– Później – rzucił Han, chwycił drabinkę i ześlizgnął się do wieżyczki dolnego działka. Przy trzy mał się, kiedy siła ciężenia zmieniła kierunek o dziewięćdziesiąt stopni, po czym opadł na fotel artylerzysty.

Oglądana z dołu sytuacja wyglądała jeszcze gorzej niż ze sterowni. Do pierwszej grupy piratów przyłączyła się druga, a jej artylerzyści posyłał smugi laserowych strzałów, omijając jednostki pierwszej grupy w taki sposób, że wokół wektora lotu „Sokoła” utworzył się śmiercionośny cylinder. Piraci z drugiej grupy chcieli w ten sposób zmusić ofiarę do dalszego lotu tym samym kursem, żeby koledzy z pierwszej grupy mogli ją łatwiej schwytać.

No cóż, jednych i drugich czekała niespodzianka. Wpisując jedną ręką polecenia do pamięci celowniczego komputera, Han wyciągnął drugą, chwycił zestaw mikrofonowo-słuchawkowy i nasunął go na głowę.

– Luke? – zapytał.

– Jestem na górze – usłyszał w odpowiedzi. – Mamy jakąś konkretną strategię, czy na przykład strzelamy do największych, żeby się przekonać, jak szybko rozpylimy je na atomy?

Han chwycił ręką do dzwigni kontrolnej i zmarszczył brwi. Właśnie przyszedł mu do głowy szalony pomysł. Jednostki drugiej grupy były rozmieszczone w taki sposób...

– Mierz do największego na czele pierwszej grupy – zdecydował. – Ja spróbuję czegoś innego.

W odpowiedzi młody Skywalker posłał smugi laserowych strzałów prosto w dziób największego statku piratów.

Jego pilot raptownie zmienił kurs. Było oczywiste, że nie spodziewał się tak dużej siły ognia po zwykłym lekkim frachtowcu. Szybko jednak się opanował i wrócił na poprzednią pozycję. Jednostki pierwszej grupy zwały szyk i zbliżyły się do siebie, tak żeby ich ochronne pola się nakładały. Czekając na następne oczywiste posunięcie, Han obserwował je uważnie, aż usłyszał świergot dobiegający z kontrolnego pulpitu. Zrozumiał, że piloci wszystkich statków pierwszej grupy przesłali dodatkową porcję energii do generatorów dziobowych pól siłowych. Tym samym jednak osłabili natężenie osłon rufowych. Doskonale, pomyślał i zbliżył usta do mikrofonu interkomu.

– Chewie, zanurkuj i zwolnij – rozkazał.

„Sokół” raptownie obniżył pułap lotu. Na jakąś sekundę druga grupa statków wyłoniła się spoza krawędzi ochronnych pól pierwszej grupy. Gotów do akcji Han posłał dwa strzały w burtę jednej z największych jednostek drugiej grupy. Rozwalił doszczętnie główny ster i trafiony statek szybko zoczył z kursu.

A kiedy skręcał, laserowe strzały – tworzące dotąd część ognistego pierścienia, który uniemożliwiał „Sokolowi” zmianę kursu – trafiły z pełną siłą w rufy jednostek pierwszej grupy.

Han właśnie tego się spodziewał. Lecące z przodu dwa mniejsze statki zoczyły z kursu, kiedy eksplodowały ich przedziały silnikowe. Kierując się ku nieuchronnej zagładzie, pierwszy zderzył się z pobliską jednostką a drugi staranował z wielką siłą sąsiada. Wszystkie cztery wypadły z szyku, a Luke natychmiast to wykorzystał i przemienił w kulę ognia jeszcze jeden piracki statek pierwszej grupy.

W następnej chwili Han przeżył wstrząs, kiedy „Sokół” znów zanurkował i zawrócił w kierunku powierzchni planety.

– Chewie! – warknął gniewnie. – Co ty wyprawiasz?

Wookie ostrzegawczo zaryczał. Han zmarszczył brwi i zerknął we wskazaną stronę. Zobaczył znajomy kształt imperialnego niszczyciela gwiazdowego, który wyłonił się spoza pograżonego w ciemności brzegu tarczy planety.

– Hanie! – krzyknął Luke.

– Widzę go, widzę – odparł Solo, błyskawicznie oceniając nową sytuację. Od razu zrozumiał, że komórka Rebeliantów na Teardrop zdążyła się ewakuować w ostatniej możliwej chwili.

Tyle że ostatnich sześciu członków tej komórki siedziało w obecnej chwili kilka metrów pod nim, w świetlicy „Sokoła”. Gdyby Imperialcy ich tam znaleźli...

Zaraz jednak Han odzyskał jasność umysłu i zrozumiał, co Chewbacca chciał osiągnąć przez ostatni manewr.

– Luke, wyłącz działko! – polecił, pstrykając dzwignikami przełączników swoich laserów. Imperialcy mogli omieść „Sokoła” promieniem skanera, a gdyby poznali jego zasoby energii, chybaby się zdziwili, że zwykły frachtowiec dysponuje tak silnym uzbrojeniem. – Chewie, przełącz mnie na komunikator!

Rozległ się cichy trzask

– Ratunku! – krzyknął Han, starając się nadać głosowi rozpaczy ton. – Nadlatujący frachtowiec „Argos” prosi o pomoc operatorów systemów obronnych planety Teardrop!

Naturalnie nie usłyszał odpowiedzi. Zważywszy na podejrzany charakter działalności mieszkańców i gości planety, nie był nawet pewien, czy jej władcy dysponują jakimiś systemami obronnymi. Nie przejmował się jednak, czy usłyszy go ktoś na powierzchni Teardrop. Zależało mu tylko na tym, żeby...

– Frachtowiec „Argos”, podajcie swoje zamiary i rodzaj zagrożenia – usłyszał nagle głos wojskowego, nawykłego do wydawania rozkazów.

– Jesteśmy lekarzami z Bristona i lecimy na ratunek ofiarom niedawnego trzęsienia ziemi na wyspie Por’ste – odkrzyknął Han. Stwierdził, że piloci ocalałych z pogromu pirackich statków za rufą „Sokoła” tworzą nowy szyk, żeby nadał go ściągać. Widocznie nie zauważyli najnowszego przybysza w przestworzach planety Teardrop. – Jesteśmy atakowani... prawdopodobnie przez piratów.

– „Argos”, zrozumiałem – odezwał się ten sam mężczyzna. – Utrzymujcie dotychczasowy kurs.

– Jeżeli będziemy nadal lecieli tym samym... – zaczął Solo.

Nie zdążył dokończyć. W przestworzach za rufą „Sokoła” pojawiły się dwie pary oslepiających zielonych błyskawic turbolaserowych strzałów. Ogniste smugi pomknęły w stronę pirackich statków i zamieniły cztery jednostki w dymiące wraki.

Tym razem piraci zrozumieli. Piloci pozostałych statków złamali szyki i rozproszyli się we wszystkie strony. Niektórzy zawrócili w stronę planety, inni zaś postanowili osiągnąć punkt, skąd dałoby się wskoczyć do nadprzestrzeni.

Nikomiu się to nie udało. Artylerzyści gwiazdowego niszczyciela unicestwiali spokojnie, precyzyjnie i metodycznie jeden piracki statek po drugim, aż w końcu w przestworzach został tylko „Sokół”.

– I co teraz? – Han usłyszał w słuchawkach cichy głos Luke’a. Postanowił go jednak zignorować.

– Bardzo dziękujemy, panie kapitanie! – zawołał pod adresem wybacwy. – Cieszymy się, że Imperium podchodzi poważnie do problemu piratów.

– Proszę bardzo, „Argos” – odezwał się inny głos z pokładu niszczyciela. – A teraz zawróćcie i lećcie do domu.

– Słucham? – zachnął się Han, starając się, żeby w jego głosie dała się słyszeć mieszanina niedowierzania i zdumienia. – Ależ, panie kapitanie...

– To rozkaz, „Argos” – uciął cierpko oficer. – Od tej chwili planeta Teardrop zostaje objęta imperialną blokadą. Wracajcie na Bristona i czekajcie na zdjęcie blokady.

Han ciężko westchnął.

– Zrozumiałem – mruknął z rezygnacją starając się nie uśmiechać. Ktoś bystry i obdarzony dużą intuicją mógłby wyczuć pelen satysfakcji uśmiech w głosie rozmówcy. Nie przy puszczał jednak żeby rozmawiający z nim imperialny oficer odznaczał się takimi cechami. – Słyszałeś, co powiedział, pilocie – podjął po chwili.

– Mamy natychmiast zawrócić. Jeszcze raz dziękujemy za ratunek, panie kapitanie.

Zsunął się z fotela i wspiął po drabince.

– Kapitanie Solo, chcę wiedzieć, co się właściwie dzieje – odezwał się ostro jeden z pasażerów, kiedy Han po drodze do sterowni przechodził przez zatłoczoną świetlicę „Sokoła”.

– Zabieramy was do ustalonego punktu zbornego – odparł Solo, starając się nadać niewinny wygląd rysom twarzy. – Dlaczego pan pyta?

Ciekawski pasażer nie miał szansy zadać drugiego pytania, bo Han zaraz zniknął.

Zanim zajął fotel pilota, Chewbacca zdążył pokonać większą część odległości dzielącej grawitacyjną studnię planety Teardrop od pustki przestworzy.

– Nieźle posunięcie, Chewie – pochwalił, wpisując polecenie wyświetlenia obecnego stanu. Po ataku pozostało w płytach rufowego pancerza kilka nowych wgnieceń, ale zważywszy na to, ile ich już tam było wcześniej, nikt nie powinien zwrócić na nie uwagi.

Wkrótce potem do sterowni wszedł Luke.

– Kupili to? – zapytał, pochylając się nad ramieniem Hana, żeby spojrzeć na malejący klin gwiazdowego niszczy ciela.

– A dlaczego mieliby nie kupić? – zdziwił się Korelianin. – Widzieli, jak lecimy ku planecie, a my to potwierdziliśmy. Czasami wystarczy trochę pomóc ludziom, a pomyślą to, co chcemy.

– Pewnie tak – mruknął Luke bez szczególnego przekonania.

– Mimo to mogli spróbować wejść na pokład, żeby przeprowadzić rewizję.

– Wykluczone – obruszył się Han. – Latają wielkimi, frymuśnymi okrętami, ale to jeszcze nie oznacza, że są sprytni. Przylecieli tu, żeby polować na Rebeliantów, a nie badać zawartość ładowni frachtowców. Kiedy Chewie zawrócił, pozostawał już tylko problem, czy kapitan nie wyda artylerzy stom rozkazu otwarcia do nas ognia, żeby mogli nabrać większej wprawy.

– Szkoda, że nigdy się nie dowiedzą, co stracili – stwierdził Luke. Ostatni raz rzucił okiem na niszczy ciela i usiadł na fotelu za plecami Chewiego. – Dobrze chociaż, że wy dwaj jesteście po naszej stronie.

Han zmarszczył brwi i obejrzał się przez ramię, ale Luke patrzył na ekran nawigacyjnego komputera. Wszystko wskazywało, że zupełnie nie uświadamia sobie tego, co właśnie powiedział. Han przeniósł spojrzenie na Chewiego, ale Wookie tylko tyknął okiem.

– O co chodzi? – zapytał ostro Solo.

Jego partner wzruszył masywnymi ramionami i spojrzał na swój pulpit kontrolny. Han zerknął jeszcze raz na Luke’a, ale chłopak chyba nie zauważył tej wymiany spojrzeń.

W końcu i Han skupił uwagę na pulpicie kontrolnym. Czuł w ustach niemily posmak „Po naszej stronie”, pomyślał. Inaczej mówiąc, po stronie Luke’a, księżniczki Leii Organy i generała Rieekana, a prawdopodobnie także po stronie pozostałych Rebeliantów.

Kłopot w tym, że Han za nic w świecie nie mógł sobie przypomnieć, od kiedy to Rebelia stała się, jego stroną”.

To prawda, zestrzelił myśliwce TIE, których piloci ścigali Luke’a podczas tamtej szaleńczej bitwy w przestworzach Yavina. Wielka mi rzecz, pomyślał ponuro. Wyświadczył chłopakowi przysługę, a może także odwdzińczył się za to, jak Imperialcy ciągnęli go na pokładzie Gwiazdy Śmierci, a później zadeptali brudnymi buciorami cały pokład „Sokoła”. Nie miał nic przeciwko temu, żeby Rebelianci byli mu wdzięczni za tamtą przysługę.

Ale to jeszcze nie oznaczało, że wstąpił na służbę Wielkiej Sprawie.

Naturalnie Chewbacca nie miałby nic przeciwko temu, zważywszy na wszystko, co wycierpiał z rąk siepaczy Imperium, którzy wyjątkowo podle traktowali jego ziomków. Pałał do nich głęboką nienawiścią i gdyby Han wyraził zgodę, Chewie przyłączyłby się do Rebeliantów w mgnieniu oka.

Han jednak nie miał zamiaru pozwalać, żeby jego poczynaniami kierowały czyjekolwiek emocje... obojętne, czy Chewiego, czy też młodego Sky walkera. Zamierzał sam decydować o swoim życiu.

Kiedy „Sokół” przyspieszył i wskoczył do nadprzestrzeni, gwiazdny niszczy ciela Imperium zajmował pozycję na orbicie.

W końcu artylerzyści turbolaserów „Odwetu” oddali ostatni strzał i wielkie działa umilkły. Dało się to jednak bardziej wyczuć niż usłyszeć.

Siedząc na balburtowej ławce przewożącego szturmowców transportowca numer trzy, Darc LaRone zwiększył wzmocnienie dźwięków w swoim hełmie, bo był ciekaw, czy artylerzyści bardziej oddalonych stanowisk turbolaserów gwiazdowego niszczy ciela nadal prowadzą ostrzał. Nie usłyszał jednak nic i po chwili zmniejszył czułość systemu wykrywania dźwięków.

– Ciekawe, o co w tym wszystkim chodziło – mruknął.

Kiedy siedzący obok niego Saberan Marcross lekko wzruszył ramionami, płytki jego pancerza cicho zaskrzyptały.

– Może Rebelianci podjęli próbę ucieczki – zasugerował cicho.

– Jeżeli nawet, to nie odlecieli daleko – zauważył Taxto Grave ze swojego miejsca na sterburtowej ławce, zmieniając ułożenie palców zaciśniętych na długim samopowtarzalnym snajperskim karabinie typu BlasTech T-28.

– Spójrzcie na to z jaśniejszej strony – zaproponował siedzący obok niego Joak Quiller. – Jeżeli wszyscy Rebelianci zginęli, będziemy mogli odwołać tę akcję i polecieć w bardziej obiecujące miejsce.

– Hej, tam z tyłu... zamknąć gęby – zabrzmiał ostro nawykły do rozkazywania głos kogoś siedzącego w przedniej części transportowca.

– Rozkaz, panie majorze – odpowiedział w imieniu wszystkich Marcross.

LaRone wychylił się, żeby spojrzeć na siedzącego obok porucznika Colfa oficera, który piorunował ich spojrzeniem. Mężczyzna miał na bluzie munduru naszywkę majora, ale LaRone nie mógł sobie przypomnieć, żeby kiedykolwiek go widział.

– Kim jest ten gość? – zapytał ścisłym głosem pozostających szturmowców.

– To major Dreflin – odparł równie cicho Marcross. – Z IBB.

LaRone wyprostował się i poczuł zimny dreszcz wzdłuż kręgosłupa. Imperialne Biuro Bezpieczeństwa cieszyło się najbardziej ponurą sławą ze wszystkich narządzi Imperatora Palpatine’a.

– Co on robi na pokładzie „Odwetu”? – zapytał.

– Ktoś z dowództwa musiał zdecydować, że będziemy potrzebowali dodatkowej pomocy – odparł Marcross. Starał się mówić obojętnym tonem, ale LaRone znalazł kolegę na tyle dobrze, żeby wyczuć pogardę kryjącą się za jego słowami. – Ściągnęli kilku gości z IBB, żeby kierowali szturmem.

LaRone się skrzywił.

– Rozumiem – powiedział z ledwie wyczuwalnym sarkazmem.

Z kabiny transportowca napłynęło ostrzegawcze brzęczenie.

– Przygotować się do akcji! – zawołał pilot. – Startujecie na pięć.

LaRone spojrzął na siedzącego po drugiej stronie przejścia Quillera i zauważył, że kolega wierci się niespokojnie. Quiller był doskonałym pilotem, ale – może właśnie dlatego – fatalnym pasażerem.

– Łatwizna – mruknął cicho.

Quiller przekrzywił głowę, a LaRone uśmiechnął się, bo wiedział, że za anonimową płytą czołową białego hełmu twarz kolegi ma wyraz z trudem zachowywanego spokoju.

Nagle lawka jakby zapadła się pod nim i LaRone zrozumiał, że transportowiec wyleciał z hangaru gwiazdowego niszczy ciela. Szturmowiec przestał się uśmiechać i wrócił myślami do pamiętnego dnia sprzed dziesięciu laty, kiedy imperialni werbownicy wylądowali na Copperline i zaczęli urzędowanie. Oczami wyobraźni ujrzał siebie, jak w towarzystwie innych nastolatków tłoczy się wokół ich pawilonu. Podziwiając prezencję nienagannie za-prasowanych mundurów, dał się skusić niewyraźnej wprost, ale oczywistej sugestii, że oto zyskał najlepszy i najszybszy sposób wydostania się z zapadłej prowincji, jaką była Copperline.

Tyle że tym razem, w swoim śnie na jawie, LaRone powiedział „nie”.

Z początku wierzył w Imperium. Naprawdę wierzył. Miał dziesięć lat, kiedy Marynarka i wojska lądowe przyleciały na planetę w wielkiej sile i pięć następnych miesięcy polowały na piratów, którzy od dziesięcioleci nękali Copperline. Osiem lat później, kiedy pojawili się werbownicy, bez zastanowienia skorzystał z okazji przyłączenia się do grupy tych wspaniałych ludzi. Po następnych trzech latach, kiedy zaproponowano mu miejsce w elitarnym korpusie imperialnych szturmowców, skorzystał z okazji i jeszcze bardziej ochoczo niż poprzednio. Szkolił się w pocie czoła i modlił, żeby okazać się godnym ostatecznego wyzwania.

Pierwsze sześć lat wszystko układało się jak najlepiej. LaRone służył wiernie, z całego serca i ze wszystkich sił. Walczył przeciwko siłom zła i chaosu, które usiłowały zniweczyć Nowy Ład Imperatora Palpatine’a. Wyróżniał się podczas służby, a przy najmniej tak uważali jego przełożeni.

Dla samego LaRone’a nagrody i pochwały w ogóle się nie liczyły. Jako szturmowiec był zakuty w biały pancerz, a jego służba przynosiła zamierzone rezultaty. Tylko to miało jakiegokolwiek znaczenie.

Potem jednak skierowano go do akcji na planecie Elriss. Tam wszyscy mieszkańcy jednego z miast musieli stać sześć godzin w ulewnym deszczu, żeby szturmowcy mogli dwukrotnie czy trzykrotnie sprawdzić ich tożsamość. A później do akcji na planecie Bopreil, gdzie tyłu cywilów poniosło straszliwą śmierć, kiedy szturmowcy próbowali zlikwidować miejscową komórkę Rebeliantów.

A jeszcze później zniszczeniu uległa planeta Alderaan.

LaRone poruszył się niespokojnie na ławce. Wciąż jeszcze nie znalazł do końca szczegółów tamtej akcji, ale wszyscy autorzy oficjalnych raportów zgadzali się co do tego, że Alderaan był ośrodkiem Rebeliantów, a został zniszczony tylko dlatego, że jego władcy nie usłuchali rozkazu wydania buntowników.

Naturalnie LaRone nie mógł niczego zarzucić motywowi tamtej akcji. Z każdą chwilą Rebelianci stawali się silniejsi, bardziej bezczelni i niebezpieczni. Trzeba było ich powstrzymać, zanim zniweczą wszystko, co Imperator zdoła osiągnąć, i zanim ponownie wciągną galaktykę w chaos przypominający erę Wojen Klonów.

Z pewnością jednak nie wszyscy mieszkańcy Alderaanu opowiadali się po stronie Rebeliantów, prawda?

Później zaczęły krążyć dziwne plotki. Niektórzy twierdzili, że Alderaan wcale nie był bazą Rebeliantów, a jego unicestwienie wynikało z konieczności przetestowania nowej superbroni – Gwiazdy Śmierci Imperatora Palpatine’a. Inni szepotali, że wielki moff Tarkin, niezbyt zrównoważony umysłowo dowódca Gwiazdy Śmierci, zgładził miliardy mieszkańców planety z powodu osobistej urazy, jaką żywił do jej władcy, Baila Organy.

Nieważne jednak, jaki był rzeczywisty powód. Liczyło się tylko to, że rezultat był zupełnie niewspółmierny do jakiegokolwiek prowokacji, jakiej mogli się dopuścić Rebelianci.

Z Imperium działo się coś złego... z Imperium, któremu LaRone tak długo i tak wiernie służył. To było naprawdę okropne.

A LaRone tkwił w tym po same uszy.

– Łądowanie za trzy minuty! – uprzedził major Dreflin z przedniej części transportowca. – Szturmowcy, przygotować się do akcji!

LaRone nabrał głęboko powietrza i usunął wątpliwości z głowy. Był imperialnym szturmowcem i zamierzał spełnić swój obowiązek, bo w ostatecznym rozrachunku tylko to miało jakiegokolwiek znaczenie.

Pilot pierwszego transportowca z raketowymi skuterami na pokładzie ostrożnie unieruchomił statek kilka metrów nad powierzchnią gruntu. Kiedy rampa opadła, Korlo Brightwater włączył silnik swojego skatera raketowego typu Aratech 74-Z i wyleciał na oświetloną promieniami południowego słońca przestrzeń.

– TBR Cztery-siedem-dziewięć, wróć – usłyszał w słuchawce hełmu cierpki głos swojego dowódcy, porucznika Natroma. – Wróć i zajmij miejsce w szyku patrolowym Jenth.

– Cztery-siedem-dziewięć, zrozumiałem – odparł Brightwater. Rozejrzał się i zatoczył wielki krąg, żeby zająć miejsce w szyku pozostałych zwiadowców, którzy wylatywali jeden po drugim z ładowni transportowca. Mieli lecieć tuż nad powierzchnią gruntu na północ od pasma niewysokich wzgórz, porośniętych tu i ówdzie drzewami, a potem zająć pozycje kilkaset metrów od przeciwnego skraju atakowanego miasta. Zawracając do transportowca, szturmowiec włączył sensory hełmu i obrzucił wzgórzą pospieszonym, ale uważnym spojrzeniem. Nie dostrzegł wokół żadnego ruchu, co uznał za wysoce podejrzane. Zauważył miejsce piknikowe, kilka ścieżek dla pieszych i pięć czy sześć drzew, które najwyraźniej w ciągu dziesięcioleci przycinano w taki sposób, aby płatanina gałęzi utworzyła doskonale miejsce wspinaczki dla młodszych dzieci. W takie uroczyska, słoneczne popołudnie powinno się tu kłębić całkiem sporo mieszkańców miasta.

Tymczasem Brightwater nie zobaczył nikogo. Czyżby tego dnia coś zatrzymało mieszkańców w domach?

Na przykład wiadomość o spodziewanym ataku wojsk Imperium.

Zirytowany zwiadowca pokręcił głową. Oznaczałoby to, że cała akcja spaliła na panewce. Gdyby informacja o akcji wyciekła, ukrywający się na planecie Rebelianci – jeżeli tacy byli – do tej pory zdążyli pokonać połowę odległości do Odległych Rubieży.

– Dowódco, tu TBR Cztery-siedem-dziewięć – odezwał się do mikrofonu komunikatora. – Żadnej aktywności w miejscu lądowania. Nasza akcja może się zakończyć zupełnym fiaskiem. Powtarzam, nasza akcja...

– Zwiadowcy, macie zgodę na zabezpieczenie perymetru – przerwał mu nagle obcy głos.

Brightwater zmarszczył brwi.

– Panie poruczniku, jak pan mnie zrozumiał? – zapytał. – Powiedziałem, że brak aktywności...

– TBR Cztery-siedem-dziewięć, masz ograniczyć swoje meldunki do raportów taktycznych – przerwała mu ta sama osoba co poprzednio. – Wszyscy szurmowcy, przystąpić do akcji.

Brightwater uniósł głowę. Transportowce szurmowców unosiły się wysoko nad nim, a ich piloci nurkowali w kierunku powierzchni gruntu jak polujące drapieżne ptaki.

Tyle że nie było na kogo polować.

Nagle po prawej stronie poruszyło się coś, co przyciągnęło jego uwagę. Zwiadowca odwrócił głowę w tamtą stronę i zobaczył swojego partnera, Tibrena. Uniósł rękę w pytającym geście, ale drugi zwiadowca tylko pokręcił głową, jakby chciał mu udzielić równie nieмого ostrzeżenia.

Brightwater zmarszczył brwi, ale zrozumiał, że Tibren ma rację. Ktokolwiek wydawał rozkazy, był albo nadgorliwy, albo zbyt głupi, żeby dało mu się przemówić do rozsądku. Szurmowcy mogli tylko ruszyć w drogę i potraktować zadanie jak jeszcze jedno ćwiczenie. Brightwater kiwnął głową koledze na znak, że się z nim zgadza i skierował rakietowy skuter do wyznaczonego sektora.

Zanim zwiadowcy zatoczyli pełny krąg, transportowce zdążyły wystartować. Operatorzy ich ciężkich działek kierowali lufy w stronę parterowych budynków, a z ładowni wysypywały się oddziały zakutych w pancerze żołnierzy i umundurowanych dowódców. Lecąc dalej, Brightwater widział, jak szurmowcy tworzą podwójny kordon i ruszają otoczyć miasto. Na razie wszystko przebiegało dokładnie według planu, bez najmniejszych wpadek, jakie zazwyczaj towarzyszą równie skomplikowanym akcjom. Jaka szkoda, że w mieście nie pozostali Rebelianci, żeby to docenić.

Kiedy Brightwater stracił z oczu szurmowców i oficerów, którzy zniknęli w budynkach i w przejściach między nimi, przeniósł spojrzenie na obszar poza perymetrem zwiadowców. Niemal na pewno Rebelianci zdążyli odlecieć z planety, ale czasami się zdarzało, że bezczelność buntowników odbierała im rozum. Mogli pozostać na Teardrop, żeby urządzić zasadzkę.

Brightwater miał zresztą nadzieję, że właśnie tak się zachowają. Dzięki temu popołudnie nie byłoby zupełnie stracone, a szurmowcy mieliby okazję wystrzelania Rebeliantów na otwartym terenie, zamiast wyluskiwać ich spomiędzy cywilów.

Nastawił sensory helmu na pełną czułość, zatoczył łuk i przeleciał nad grzbietem najbliższego wzgórza. W następnej chwili usłyszał napływające z tyłu odgłosy blasterowych strzałów. Ostro zawrócił i omiół spojrzeniem przeciwną stronę miasta, ale stwierdził, że wszyscy zwiadowcy nadal siedzą na siodełkach swoich skuterów, a więc chyba nikt nie otworzył do nich ognia. Chwilę później usłyszał stłumiony huk salwy blasterowych strzałów i tym razem uświadomił sobie, że odgłosy napływają z miasta.

Unieruchomił skuter nisko nad powierzchnią gruntu i zmarszczył brwi. Po salwie dały się słyszeć odgłosy pojedynczych strzałów, charakterystyczne dla karabinów typu BlasTech E-11, w jakie byli uzbrojeni szurmowcy. Gdzie podziały się odgłosy kanonady z broni wojskowej, sportowej i cywilnej, która nieomylnie dowodziłaby obecności buntowników z Sojuszu Rebeliantów?

Wreszcie zwiadowca zrozumiał... i poczuł lodowaty dreszcz.

Przyspieszył do maksymalnej prędkości i skierował dziób skutera w dół, w stronę miasta. Co oni, u licha, wyprawiają? – pomyślał.

– TBR Cztery-siedem-dziewięć, wróć na poprzednie miejsce w szyku! – usłyszał w słuchawce głos porucznika Natroma.

Brightwater wysunął język i przestawił dźwigenkę przełącznika komunikatora na wyłączną częstotliwość drużyny.

– Panie poruczniku, w mieście dzieje się coś złego – zameldował zaniepokojonym tonem. – Proszę o zgodę na przeprowadzenie śledztwa.

– Nie wyrażam zgody – odpowiedział Natrom. Starał się panować nad głosem, ale brzmiał w nim gniew. – Wracaj na swoje miejsce.

– Panie...

– To rozkaz, TBR Cztery-siedem-dziewięć – uciął ostro Natrom. – Nie zamierzam go powtarzać.

Brightwater głęboko odetchnął. Znał swojego dowódcę i już nieraz słyszał ten ton głosu. Bez względu na to, co się działo, żaden z nich nie mógł na to nic poradzić.

– Rozkaz, panie poruczniku – powiedział, usiłując odzyskać spokój. Jeszcze raz głęboko odetchnął, zatoczył łuk i zawrócił.

Zanim odgłosy blasterowych strzałów w końcu ucichły, słońce zdążyło się skryć za zachodnim horyzontem.

Rozdział 2

Kiedy LaRone pojawił się w strzelnicy, zastał tam tylko Grave'a. Strzelec wyborowy stał w drugim końcu, na linii ognia, z karabinem T-28 przyłożonym do naramiennika pancerna.

– Cześć, Grave – powitał go ponuro LaRone. – Jak ci leci?

Snajper się nie odezwał. Strzelając spokojnie, metodycznie, skończył wzór, który zamierzał wykonać. LaRone obserwował na ekranie monitora, jak kolega trafia we wszystkie punkty, jeden po drugim. Cóż, takiej celności można się było spodziewać po imperialnych szturmowcach snajperach.

Zastanawiał się, czy wcześniej tego dnia Grave dostał rozkaz wykorzystania tej umiejętności.

W końcu blaster umilkł. Grave stał jeszcze kilka sekund w postawie strzeleckiej, jakby czekał, aż w oddali ucichną ostatnie echa jego strzałów, a później położył broń na półce przed sobą i zdjął hełm.

– To było zupełnie jak podczas Wojen Klonów – powiedział, i nie odwracając głowy w kierunku przyjaciela. – Całe miasto... wszyscy. Zamordowani tam, gdzie stali.

– Wiem – stwierdził rzeczowo LaRone. – Rozmawiałem z Korłem Brightwaterem. Wiesz, z tym zwiadowcą który zabezpieczał perymetr na skuterze raketowym. Powiedział mi, że zapoznał się z oficjalnym raportem, w którym stwierdzono, że podczas przeszukiwania domów Rebelianci urządzili zasadzkę.

– To bezcelne kłamstwo – oburzył się Grave. – Zajmowałem stanowisko na dachu, żeby eliminować ewentualnych rebelianckich snajperów, ale nie zauważyłem, żeby ktokolwiek wytknął nos z jakiegoś domu. Nawet Rebelianci są na tyle rozsądni, żeby wyszukiwać wysoko położone miejsca podczas walki.

– Pewnie tak – zgodził się z nim LaRone, chociaż nie pozbył się wszystkich wątpliwości. – Ale czy nie uważasz, że Rebelianci mogli przejawiać aktywność w innych dzielnicach miasta?

– Naturalnie, że mogli – odparł Grave. – A ponieważ nikt z nas nie widział wszystkiego, każdy może sobie wmawiać, że właśnie tak było. To typowe dla IBB myślenie oczu. – Przyłożył swój T-28 do naramiennika i oddał sześć strzałów. – Tyle że nie mogli nam zatkać uszu – warknął, kiedy ponownie opuścił broń. – A ja slyszalem wyłącznie odgłosy strzałów z E-Jedenastek

– Ja też – przyznał LaRone. – Jak myślisz, czy w ogóle byli jacyś Rebelianci w tamtym mieście? A może to miało być coś w rodzaju nauczki dla nas?

Grave pokręcił głową.

– Ty mi to powiedz, LaRone – mruknął ponuro. – Wiem tylko tyle, że... – Urwał. – No cóż, z moich obserwacji wynika, że pierwsze zostały wzięte na cel istoty inne niż ludzie.

– W mojej drużynie też się tak stało – wyjął z ciężkim sercem szturmowiec. – Nie żeby ktoś wydał właśnie taki rozkaz – zastrzegł spiesznie. – Ci z IBB po prostu wskazali cele i kazali nam do nich strzelać.

– A później obserwowali, czy wszyscy trafiają – domyślił się Grave. LaRone poczuł skurcz żołądka. Uświadomił sobie, że nigdy wcześniej o tym nie pomyślał.

– Chcesz powiedzieć, że to mógł być test... dla nas? – zapytał.

Strzelec wyborowy wzruszył ramionami.

– Słyszałem, że chłopcom z IBB nigdy się nie podobał pomysł przyjmowania ochotników do służby w tej formacji – powiedział. – Woleli, żeby wszyscy bez wyjątku szturmowcy byli klonami.

LaRone prychnął pogardliwie.

– To było dziewięć lat temu – przypomniał. – Do tej pory powinni byli się z tym pogodzić.

– Normalni ludzie by tak postąpili – zgodził się z nim cierpko Grave. – Ale pamiętaj, że mamy do czynienia z IBB. – Przeniósł spojrzenie na LaRone'a. – Mam nadzieję, że dzisiaj strzelałeś wyjątkowo celnie.

– Spełniłem swój obowiązek – stwierdził wymijająco szturmowiec. – Grave, chyba nie podejrzewasz, że ci z IBB wiedzą coś, o czym my nie mamy pojęcia? Na przykład, że naprawdę wszyscy w tym mieście byli sympatami Rebeliantów.

– Podobnie jak wszyscy na Alderaanie?

LaRone poczuł, że coś ścisną mu gardło. No właśnie, Alderaan, pomyślał ponuro.

– Grave, co się z nami dzieje? – zapytał cicho. – Co się dzieje z Imperium?

– Nie mam pojęcia – przyznał snajper. – Może to wina Rebeliantów? Może przez ich działalność Imperium zaczyna pękać w szwach? – Zaciśnął wargi. – A może Imperium zawsze takie było, tylko my tego nie dostrzegliśmy, dopóki nie unicestwiono Alderaanu?

– Więc co mamy teraz zrobić?

– Po prostu nic, LaRone – odparł Grave ostrzegawczym tonem. – Widzisz jakieś możliwości?

Przyłączył się do Rebeliantów? – przemknęło przez myśl jego rozmówcy. LaRone wiedział jednak, że to absurdalny pomysł. On i jego koledzy składali przysięgę, że będą bronili Imperium i jego obywateli, więc w żadnym razie nikt z nich nie mógłby współpracować z ludźmi, którzy próbowali znów wprowadzić chaos w galaktyce.

– Nie wiem – odezwał się w końcu. – Ale nie po to zaciągałem się do służby.

– Zaciągnąłeś się, żeby słuchać rozkazów – przypomniał Grave i odwrócił się znów w stronę linii ognia. Usunął wytzerpane ogniwo energetyczne, wyjął nowe z saszetki u pasa i umieścił je w magazynku. – A już na pewno nie po to, żeby ci z IBB aresztowali cię za wyrotowe myśli.

– Masz rację – zgodził się z nim LaRone, ale poczuł zimny dreszcz. Zrozumiał, że nigdy więcej nie powinien o tym mówić.

– Za dzień lub dwa mają nam tu przysłać kompletną jednostkę taktyczną IBB – podjął snajper. – Z własnymi transportowcami i z własnym dowództwem, a prawdopodobnie także z własnymi szturmowcami.

– Od kogo się tego dowiedziałeś? – zainteresował się zdumiony LaRone.

– Naturalnie od Marcrossa – odparł Grave z ponurym uśmiechem. – Nie mam pojęcia, skąd on dostaje te wszystkie informacje.

– Sądziś, że może służyć w IBB?

– Nie ma mowy – zaprzeczył stanowczo strzelec wyborowy. – Jest na to zbyt porządnym gościem. Chyba po prostu lubi nadstawiać uszu.

– Chyba tak – przyznał LaRone. – Wygląda na to, że ktoś bardzo poważnie traktuje to polowanie na Rebeliantów.

– Nie mam nic przeciwko temu – stwierdził Grave. – Zamierzam być gotów następnym razem, kiedy natkniemy się na prawdziwych buntowników. – Odwrócił się, włożył hełm i wymierzył karabin w następny cel.

Zanim zdążył wykonać połowę kolejnego wzoru, LaRone wyślizgnął się cicho ze strzelnicy.

Przyjęcie trwało w najlepsze. W wielkiej sali balowej pałacu moffa Glovstoaka płonęły jasno ozdobne lampy. Wszędzie powiewały proporce, a z balkonu dobiegały dyskretne dźwięki melodii granej przez orkiestrę. Równie okazałe prezentowali się wypełniający salę bogaci i wpływowi goście, a szmer ich rozmów mieszał się z dźwiękami muzyki. Mijając powoli grupę rozmawiających osób, Mara Jade doszła do wniosku, że zgromadziło się tu co najmniej pięćset kobiet i mężczyzn, elita elity całego sektora. Wyglądało na to, że tego wieczoru Glovstoak przeszedł sam siebie.

Można było się tylko zastanawiać, skąd ma tyle kredytów, żeby zapłacić za tak wystawne przyjęcie.

– Ach... hrabina Claria!

Mara się odwróciła. W jej stronę przeciskał się przez tłum starszy mężczyzna, a za nim jego młodszy towarzysz w prostym, ale eleganckim stroju.

– Miło pana znów widzieć, generale Deerian – powitała go Mara z uśmiechem i popatrzyła na młodszego mężczyznę. Od razu go rozpoznała. Mink Bollis był jednym z doradców Glovstoaka. To dobrze, pomyślała. Jeżeli zczynią się pojawiać jego najbardziej zaufani współpracownicy, wkrótce powinien przybyć sam moff. – Pewnie pan szedł do bufetu, żeby sprawdzić, czy jest dobrze zaopatrzony.

– Owszem, ale po drodze spotkałem pana Bollisa – wyjaśnił generał Deerian, wskazując młodszego mężczyznę. – Pamiętając o naszej wcześniejszej rozmowie na temat problemów z piratami, doszedłem do wniosku, że chyba mógłby on zaproponować jakąś pomoc.

– Witam panią hrabino – pozdrowił Marę Bollis, ujął jej prawą dłoń i złożył na niej szarmancki pocałunek w stylu Starego Jądra. Obrzucił drapieżnym spojrzeniem jej zielone oczy, zloczistorude włosy i obnażone ramię, ozdobione girlandą splecionych kwiatów. W końcu ocenił jej szczupłe ciało w głęboko wyciętej sukni balowej. Było oczywiste, że to nie piraci i związane z nimi problemy zaprzętąją jego myśli. – Moff Glovstoak i władze całego sektora na pewno są gotowe do udzielenia pani wszelkiej możliwej pomocy. Poszukajmy cichego zakątka, żeby mogła pani w spokoju przedstawić mi szczegóły sytuacji.

– To by byłyby ... – zaczęła Mara, ale urwała i zrobiła niezdecydowaną minę. – To by były wspaniałe – dokończyła po chwili.

– Czy na pewno dobrze się pani czuje? – zaniepokoił się Deerian.

– Przed chwilą zrobiło mi się trochę dziwnie – przyznała Mara. Zmarszczyła brwi jakby w rozterce, a nawet lekko się zachwiała.

– Może powinna pani na chwilę usiąść – zaproponował Deerian, nie odrywając od niej spojrzenia. – Ambrostina czasami właśnie tak działa, jeżeli ktoś nie jest przyzwyczajony.

– Byłam pewna, że przywykam – odparła Mara, starając się, żeby jej głos zabrzmiał odrobinę chrapliwie. Prawdę mówiąc znała doskonale ambrostinę i skutki jej nadużycia.

Prawdopodobnie i Bollis wiedział, że jednym z objawów jest utrata zahamowań.

– Chętnie zaprowadzę panią gdzieś, gdzie mogłaby się pani położyć i odpocząć – zasugerował z błyskiem w oku. Podszedł i wyciągnął rękę, żeby jej pomóc.

Ku zdumieniu Mary generał Deerian uprzedził Bollisa i pierwszy znalazł się u jej boku. Spojrzał surowo na młodszego mężczyznę.

– Moff Glovstoak na pewno się spodziewa, że pomoże mu pan witać gości – przypomniał, zręcznie odciągając Marę poza zasięg rąk Bollisa. – Znam pałac, więc bez trudu znaję miejsce, w którym pani hrabina będzie bezpieczna.

Zanim doradca moffa zdążył wyrazić uprzejmy protest, generał poprowadził Marę obok jakiejś pary ubranej od stóp do głów w błyszczącej jedwab i skierował się do bocznych drzwi.

Wiodące do sali balowej korytarze były opustoszałe, jeżeli nie liczyć stojących na każdym skrzyżowaniu strażników, ubranych w liberie. Żaden z nich jednak nie zatrzymał ani nawet nie zagadnął Deeriana. Generał zaprowadził Marę dwa zakręty dalej, do pogrążonego w ciemności apartamentu.

– Moi oficerowie sztabowi kupują meble u tego samego dostawcy co moff Glovstoak dla swoich podwładnych – oznajmił. Włączył źródło słabego światła i wpuścił Marę do luksusowo urządzonego gabinetu, w którym zazwyczaj prowadzono narady i odprawy. – Z własnego doświadczenia wiem, że ta kanapa jest wystarczająco wygodna, żeby sobie uciąć krótką drzemkę.

– W tej chwili mogłabym usnąć nawet na kamieniu – mruknęła Mara, lekko przeciągając słowa i udając, że powieki same się jej zamykają. – Dziękuję, panie generale.

– Drobiaz, hrabino – odezwał się Deerian, pomagając jej się ułożyć. – Jak wspominałem, ambrostina to podstępny nieprzyjaciel.

– Chciałam powiedzieć... wie pan, o co mi chodzi, prawda?

Generał uśmiechnął się do niej.

– Tym także proszę nie zaprzętać sobie już głowy – zapewnił ją ciepło. – Ile ma pani lat? Osiemnaście? Dziewiętnaście?

– Osiemnaście – wyznała Mara.

Deerian spoważniał.

– Mam wnuczkę w tym samym wieku – powiedział. – Jej też nie zostawiłbym sam na sam z Bollisem. Może pani tu spać tak długo jak zechce, hrabino. Dopilnuję, żeby nikt nie zakłócał pani spokoju.

Wyszedł i zamknął za sobą drzwi. Mara ześlizgnęła się z kanapy, przeszła przez gabinet i przyłożyła ucho do drzwi. Posłużyła się technikami wzmocnienia słuchu, jakich nauczyła ją Imperator.

Mimo to słyszała mniej więcej co drugie słowo z rozmowy Deeriana z najbliższymi strażnikami. Zorientowała się tylko, że nakazuje im surowo, aby nie pozwolili nikomu przeszkadzać młodej damie. Kiedy rozmowa dobiegła końca, a odgłos kroków Deeriana ucichł w głębi korytarza wiodącego do sali balowej, Mara zmniejszyła czułość słuchu do normalnej. Wyłączyła źródło światła i przebiegła przez gabinet do okna.

Pora przystąpić do działania.

Służyła jako Ręka Imperatora niezbyt długo, ale zdążyła zauważyć, że niektórych czołowych polityków Imperium cechuje dziwna mieszanka ostrożności i beztroski. Pod tym względem Glovstoak nie był wyjątkiem. Nawet tu, na

dziwiącym piętze jego pałacu, okna były chronione przez system alarmowy, ostrzegający przed włamywaczami. Równocześnie jednak całe fragmenty tego systemu można było dezaktywować dzięki wyłącznikom pod parapetami. Chodziło o to, żeby użytkownicy poszczególnych pomieszczeń mogli otwierać okna dla zaczerpnięcia świeżego powietrza bez konieczności pytania o zgodę funkcjonariuszy głównego systemu bezpieczeństwa. Mara zbadała klawiaturę i szybko odgadła właściwy kod. Wyłączyła system w gabinecie, ostrożnie uniosła dolną część szyby i wychyliła się na zewnątrz.

Nie zobaczyła nikogo oprócz strażników krążących wokół pałacowych murów. W oddali unosiły się pojazdy powietrzne patrolujące zewnętrzny perymetr otaczający pałac ogrodów. Uwolniła myśli i posługując się Mocą, wysłała je w stronę pakunku, który ukryła wcześniej pod jednym z rosnących wokół muru ozdobnych krzaków. Skupiła się, żeby przyciągnąć pakunek do siebie.

Nic się nie wydarzyło. Mara skupiła się jeszcze bardziej i tym razem cylindryczny uchwyt odcepił się od pakunku i poszybował szybko ku niej, ciągnąc cienką linkę. Kiedy już znalazł się w jej dłoniach, Mara przycisnęła guzik na obudowie i ukryte w środku silniczki zaczęły zwijać linkę z przyczepionym do niej, znacznie cięższym zawiniątkiem w czarnej folii.

Po jakiejś minucie paczka dotarła do gabinetu i Mara rozłożyła jej zawartość na podłodze. Był skwinciem zdjęła fałdzystą suknię balową i ubrała się w szary kombinezon bojowy. Zamiast kwietnej girlandy przewiesiła przez ramię pasek z pałką Stokhli. Opasała biodra szarfą kryjącą pas i rękojeść miecza świetlnego.

Przyciągnięty pakunek zawierał także cylindryczny pojemnik ze sprężonym powietrzem i zwinięty manekin, który po napompowaniu wyglądał tak samo jak jeszcze przed chwilą Mara, nie wyłączając identycznej sukni balowej. Mara ułożyła manekin na kanapie – na wszelki wypadek, gdyby mimo zakazu Deeriana ktoś wścibski chciał jednak zajrzeć do gabinetu. Prawdziwą suknię złożyła i ukryła za biurkiem. Podeszła do okna i przełożyła nogę przez parapet.

Poznała działanie pałki Stokhli kilka miesięcy wcześniej i od tej pory cały czas doskonaliła umiejętność posługiwania się nią. W ten sposób zyskała jeszcze jedną broń do swojego zdumiewająco bogatego arsenału. Prawdę mówiąc, całą akcję przećwiczyła wielokrotnie w ośrodku szkoleniowym Imperialnego Centrum. Siedząc okrakiem na parapecie okna, skierowała pałkę pionowo w górę i przycisnęła kciukiem guzik na obudowie.

Rozległ się głośny syk. Z czubka pałki poszybowała w górę ledwo widoczna mgiełka, a drugi koniec broni uderzył Marę w ramię. W zetknięciu z powietrzem mgiełka przemieniła się w szybko krzepnącą ciecz, która przylgnęła do ściany i stwardniała. Utworzyła dzięki temu coś w rodzaju drabinki, po której można było się wspiąć. Mara wyłączyła pałkę, przesunęła ją na plecy, żeby nie przeszkadzała, i zaczęła się szybko wdrapywać na wyższe piętra.

Musiła przerywać wspinaczkę dwukrotnie, żeby natrysnąć następny odcinek niżej powię drabinki. W końcu dotarła na jedenaste piętro, gdzie znajdowały się osobiste apartamenty moffa Glovstoaka. Okna były chronione przez ten sam system bezpieczeństwa co na dziewiątym piętrze, co oznaczało, że mają tę samą wadę... lub zaletę. Mara uwolniła myśli i pomagając sobie Mocą, wyłączyła najpierw system bezpieczeństwa, po czym zwinęła zatrzaśnięte okna. Minutę później wskoczyła do środka.

Pomieszczenie było puste, bo Glovstoak i wszyscy jego podwładni spędzali czas w sali balowej. Mimo to Mara zachowywała ostrożność, przebiegając bezszelestnie z pokoju do pokoju. Nie wiedziała, czy moff nie zostawił androida, aby czuwał nad jego rzeczami osobistymi.

Androida można było jednak wyłączyć albo przeprogramować i wszystko wskazywało na to, że Glovstoak nie chciał niepotrzebnie ryzykować. Wolał zawierzyć dwóm bardzo skomplikowanym systemom alarmowym, chroniącym jego osobisty sejf rozmiarów niewielkiego pokoju.

Naturalnie skomplikowanym z jego punktu widzenia. Zawodowi włamywacze, których Imperator sprowadził, żeby wyszkolili Marę w swoim fachu, uznaliby oba te systemy za śmiechu warte. Sama Mara, chociaż nie tak doświadczona jak oni, tylko się uśmiechnęła i unieszkodliwiła alarmy w ciągu następnych dziesięciu minut.

Kiedy pokonała zamki, dostanie się do sejfu było już dziecinnie proste. Dwie minuty później Mara otworzyła ciężkie drzwi i weszła do środka. Jedną ścianę pomieszczenia zajmowały od podłogi do sufitu szafki z kartami danych. Niewątpliwie zawierały kopie administracyjnych dokumentów całego sektora. Ich treść musiała być niezmiernie interesująca, ale nawet gdyby Glovstoak okazał się na tyle nieostrożny, żeby pozostawić ślad pozwalający wyśledzić jego przepuszczalne machinacje finansowe, wykrycie ich wymagałoby zatrudnienia niewielkiej armii księgowych. Mara skierowała się więc na tył sejfu i zaczęła się rozglądać w poszukiwaniu innych rzeczy.

W końcu znalazła dowody, których szukała.

Długo patrzyła na sześć dzieł sztuki, jakie pojawiły się w promieniu jej jarzeniowego pręta. Na pierwszy rzut oka zbiór wyglądał niepozornie, zwłaszcza przy niezliczonych płaskoobrazach, rzeźbach, tresslach i volmanach zdobiących pomieszczenia pałacu Glovstoaka.

Mara nie dała się jednak wywieść w pole. Dzieła sztuki na dole wyglądały okazale, lecz były stosunkowo tanie – ich zdobycie nie przekraczało możliwości finansowych uczciwego administratora, za jakiego pragnął uchodzić moff Glovstoak.

Co innego te sześć okazów w sejfie. Najbogatsi kolekcjonerzy zapłaciliby za każdy bez mrugnięcia okiem co najmniej sto milionów kredytów. Razem były warte prawdopodobnie trzykrotnie więcej niż cały pałac Glovstoaka z kompletnym wyposażeniem.

Co oznaczało, że podejrzenia Imperatora były uzasadnione. Glovstoak przy właszczył sobie część dochodów z podatków, które wysyłał do Imperialnego Centrum.

Mara sięgnęła po jeden z płaskoobrazów i odwróciła na drugą stronę. Nie zauważyła żadnego napisu, wiedziała jednak, że handlarze dziełami sztuki oznaczają obrazy w sposób, o którym Glovstoak mógł nie wiedzieć. Nastawiła promień światła jarzeniowego pręta na specyficzną częstotliwość ultrafioletu i spróbowała jeszcze raz.

Tym razem znalazła to, czego szukała. Zobaczyła kompletną listę wszystkich handlarzy dziełami sztuki i domów aukcyjnych, przez które obraz przechodził w swojej długiej historii.

Uśmiechnęła się do siebie. Handlarze starali się umieszczać takie listy dyskretnie, żeby uniknąć wprowadzania prozaicznego komercjonalizmu do subtelnej elegancji ich świata. Zawodowi złodzieje dzieł sztuki na ogół usuwali takie zapiski, żeby utrudnić wytropienie prawowitych właścicieli skradzionych obrazów. Glovstoak tego nie zrobił, więc Mara zrozumiała, że moff najprawdopodobniej nabył te dzieła sztuki całkiem oficjalnie. Pomyślała, że to ciekawe.

Notując w pamięci, że na końcu listy figurował Dom Aukcyjny Pevensa z Crovny, odstawiła płaskoobraz na miejsce, z którego go wzięła. Sprawdziła jeszcze dwa inne dzieła sztuki, po czym wyszła z sejfu, zamknęła masywne drzwi i włączyła oba systemy alarmowe.

Wędrowka w dół po murze zajęła jej o wiele mniej czasu niż w górę. Mara wiedziała, że po upływie kilku następnych godzin zakrzepła ciecz z pałki Stokhli zupełnie wyparuje. Nikt nie od-, najdzie żadnych śladów, nawet gdyby podwładnym Glovstoaka przyszło do głowy ich szukać.

Przebrała się znów w suknię balową, zapakowała sprzęt i ukryła go pod krzakiem za murem. Kilka minut później drzwi gabinetu cicho skrzyknęły.

– Hrabino? – zapytał szeptem Deerian.

– Jestem, panie generale – odparła Mara, siadając na kanapie i demonstracyjnie się przeciągając. – Proszę wejść.

– Mam nadzieję, że czuje się pani lepiej – zagadnął oficer, wchodząc do gabinetu.

– O wiele lepiej – zapewniła go Mara. Uśmiechnęła się, wstała i podeszła do niego. – Dziękuję panu za troskiwość.

– Nie ma o czym mówić – odparł skromnie Deerian. Uśmiechnął się i podał jej ramię. – Czy wróci pani teraz ze mną na bal?

– Bardzo chętnie – powiedziała Mara i ujęła go pod rękę.

Miejmy nadzieję, że wszyscy się świetnie bawią bo to ostatni bal, jaki Glovstoak wyduje, pomyślała, przechodząc obok czuwających strażników.

Rozdział 3

Okazało się, że Marcross jak zwykle miał dokładne informacje. Sześć dni po masakrze na planecie Teardrop na pokładzie „Odwetu” wyładowała taktyczna jednostka IBB.

Przybyła w dużej sile: dziesięć kompletnych drużyn z oficerami, żołnierzami i robotami, a nawet z własną grupą analityków zdobywanych informacji. LaRone zaniepokoił się jednak dopiero, kiedy stwierdził, że wraz z nimi przybyły także dwie drużyny szturmowców.

– To oznacza, że jeżeli wymordują mieszkańców następnego miasta albo jeszcze gorzej, a noszą takie same pancerze jak my, wina za ich działalność spadnie na cały korpus szturmowców – ostrzegł Quillera i Grave’a, kiedy we trzech obserwowali z pomostu, co się dzieje w dole na lądowisku hangaru piątego. Funkcjonariusze IBB przyłecieli dziwnymi statkami. Były wśród nich lekkie frachtowce, stare wojskowe transportowce, a nawet zdezelowany luksusowy jacht.

– I tak jesteśmy o wszystko obwiniani – odparł Quiller z odrobiną goryczy. – To nasi zawsze muszą łapać najbardziej niebezpiecznych osobników.

– Co oznacza, że nasi są najlepsi w Imperium – podkreślił Grave z dumą. – Na pewno mamy lepsze transportowce niż te pajace.

– Co, masz na myśli te jednostki? – zapytał Quiller, pokazując zbiorowisko statków pod nimi. – Nie wierz w to ani sekundę, kolego. Spójrz na przykład na tego Suwanteka TL-1800. Widzisz te karby na dyszach wylotowych jednostki napędowej?

– Zaraz, zaraz... który to? – zainteresował się LaRone, marszcząc brwi i spoglądając na niezbrane statki.

– Ten płaski i kanciasty, z przesadnie dużymi jednostkami napędu podświetlnego – wyjaśnił Quiller, pokazując frachtowiec. – Zazwyczaj tysiacyosiemsetki nadają się tylko na złom. Prowadzą się wprawdzie nieźle, ale są powolne, kiepsko uzbrojone i jeszcze gorzej chronione. Nawigacyjne komputery także mają mnóstwo usterek

– Ci z IBB nie zasługują na nic innego – mruknął Grave. – Pozwólmy im odlecieć i zabłądzić w przestworzach.

– Jak powiedziałem, nie należy wierzyć w to, co się widzi – przypomniał Quiller. – Tamte jednostki napędowe unowocześniono o sześć stopni w Imperialnym Centrum, więc prawdopodobnie wszystkie inne urządzenia pod płytami pancerna też zostały udoskonalone. To samo zrobiono z pozostałymi statkami.

– My ślisz, że latają z fałszywym i transponderami? – zapytał LaRone.

Quiller parsknął.

– Idę o zakład, że mają ich pełno, do wyboru, do koloru – powiedział. – Może i jesteśmy najlepszymi oddziałami Imperium, ale za to ci z IBB dostają więcej za pieniądze z imperialnego budżetu.

– Coś się wam nie podoba w IBB, żołnierzu? – spytał zaczepnym tonem ktoś stojący za ich plecami.

LaRone poczuł, że jego żołądek zawiązuje się na supeł. Pytanie zadał major Drelfin, ten sam oficer IBB, który wydał rozkaz zastrzelenia mieszkańców na planecie Teardrop.

– Nie, panie majorze, absolutnie nie – zapewnił go pospiesznie Quiller.

– Cieszę się, że to słyszę – odparł wyniośle Drelfin i podszedł bliżej. Dłoń trzymał na kolbie blastera w kaburze. – A teraz macie dokładnie pięć sekund na wyjaśnienie, co robicie w miejscu, do którego wstęp jest zabroniony.

– Jesteśmy imperialnymi szturmowcami, panie majorze – stwierdził LaRone, starając się nadać głosowi właściwy ton wojskowego szacunku. – Mamy pozwolenie na wstęp do wszystkich pomieszczeń na pokładzie tego okrętu.

– Naprawdę? – zdziwił oficer, omiatając podejrzliwym spojrzeniem połowy mundur LaRone’a. – Dlaczego nie jesteście w panczeru?

– Pozwolono nam pod tym względem na odrobinę swobody, panie majorze – oznajmił LaRone, starając się uważnie dobrać słowa. Regulaminy jednoznacznie twierdziły, że szturmowce powinni zawsze nosić pancerze, nawet kiedy przebywają poza swoimi koszarami. Komandor Ozeel nie był jednak zadowolony z obecności szturmowców na pokładzie swojego okrętu i nie lubił widoku zakuty ch w pancerze mężczyzn kręcących się po pokładzie „Odwetu” w czasie wolnym od służby. Dowódca szturmowców z kolei nie zgodził się, żeby jego podwładni przebywali – w koszarach nawet wówczas, kiedy nie mają wyznaczonych żadnych zadań, więc razem z dowódcą gwiazdowego niszczyciela znaleźli rozwiązanie kompromisowe.

– Kto wyraził na to zgodę? – zapytał zaczepnym tonem Drelfin. – Wasz porucznik? A może major?

– Czy coś się stało, panie majorze? – zawołał ktoś z przeciwległego końca pomostu obserwacyjnego.

LaRone odwrócił się i zobaczył, że w ich stronę idą Marcross i Brightwater. Z kieszeni polowego munduru zwiadowcy wystawała ścierka, a on sam miał dłonie poplamione smarem.

– Co to ma być, kółko dyskusyjne smarkaczy? – warknął Drelfin. – Wasza tożsamość?

– Szturmowiec KR 175 – przedstawił się Marcross tonem urażonej dumy. – A to TBR 479, panie majorze.

– Widzę, że i wy jesteście bez panczerzy – burknął oficer. – Najwyraźniej także ignorujecie zakaz przebywania w pomieszczeniach, do których wstęp jest zabroniony. – Spiorunował spojrzeniem LaRone’a. – A może wy, rekruci z peryferii Imperium, w ogóle nie macie pojęcia o przestrzeganiu regulaminów?

– Jak powiedziałem, panie majorze... – zaczął LaRone.

– ...nie przyszło wam do głowy, że powinniście się do nich stosować – dokończył sarkastycznym tonem Drelfin. – Mam nadzieję, że teraz już wiecie.

– Tak jest, panie majorze – odparł Brightwater. Odwrócił się do kolegi i klepnął go w ramię. – Chodź, LaRone – rzucił. – Miałeś mi pomóc zmienić łopatkę sterującą w moim skuterze.

– LaRone? – podchwycił Drelfin dziwnym tonem. – Darc LaRone? TKR 330?

Komandos spojrzął na Marcrossa i zauważył zmarszczenie na jego czole.

– Tak jest, panie majorze – powiedział.

– No, no, coś takiego – stwierdził łagodnie Drelfin i bez ostrzeżenia wyjął blaster. – Przeglądałem raporty z operacji na planecie Teardrop – podjął po chwili. Zmrużył oczy i wymierzył lufę broni w brzuch szturmowca. – Twoja drużyna otrzymała rozkaz zlikwidowania grupy sympatyków Rebeliantów. Świadomie pudlowałeś, raz za razem. To karygodne.

LaRone poczuł nagły ucisk w gardle. A zatem ktoś jednak zwrócił uwagę na niecelność jego strzałów. Nie wróżyło to najlepiej.

– Moim obowiązkiem jest chronić Imperium i szerzyć Nowy Ład – wyrecytował, z trudem zachowując spokój.

– Waszym obowiązkiem jest wykonywać rozkazy – sprostował Drelfin.

– To by li bezbronni cy wile, którzy nie stwarzali żadnego zagrożenia – wyjaśnił LaRone. – Jeżeli by li wobec nich jakieś zarzuty, jeżeli ktoś ich o coś podejrzewał, powinno się ich aresztować i postawić przed trybunałem.

– To by li sympatycy Rebeliantów!

Quiller postąpił krok w stronę oficera IBB.

– Panie majorze, jeżeli ma pan jakieś zastrzeżenia względem tego żołnierza... – zaczął.

– Trzymaj się od tego z daleka – ostrzegł Drelfin. – Wszyscy jesteście w poważnych tarapatach.

– Jakich mianowicie? – zainteresował się Marcross.

– Nie nosicie pancerzy i przebywacie bez zezwolenia w miejscu, do którego wstęp jest zabroniony. – Drelfin kłwnął głową w stronę LaRone'a. – I wygląda na to, że jesteście przyjaciółmi zdrajcy Imperium.

– Co takiego? – zachnął się Grave. – To jakieś...

– Z całym należnym szacunkiem, panie majorze, ale TKR 2014 ma rację – przerwał mu Marcross. – Regulaminy wymagają, żeby tak poważny zarzut został natychmiast zgłoszony starszemu oficerowi korpusu szturmowców.

– Pozwól, że coś ci wyjaśnię, TKR 175 – warknął Drelfin. – Jesteśmy z Imperialnego Biura Bezpieczeństwa. Nasze słowo jest najważniejsze, a nasze decyzje zastępują regulamin. A zatem to, co robimy, jest zgodne z prawem.

– A jeżeli łażecie kogoś zabić, już jest trupem? – odciął się LaRone.

– A więc jednak rozumiesz – oznajmił Drelfin, krzywiąc usta w sarkastycznym uśmiechu. – Sam dowodziłem tamtą operacją, a to oznacza, że to ja postanowię, co z wami zrobię. Ja, nie wasz porucznik ani wasz major, a już na pewno nie wasz głupi komandor Ozzel.

Podszedł do LaRone'a i przyłożył wyłot lufy blastera do jego czoła. Szturmowiec zauważył mimochodem, że blaster jest wielki i wyjątkowo paskudny, z dziwacznie wyglądającą nasadką na końcu lufy. – A jeżeli postanowię rozstrzelać cię za zdradę, to żaden sąd... – Jego palec wskazujący na spuście wyraźnie zbiałał.

LaRone przypuszczał, że major blefuje. Wyraźnie bawił się z ofiarą w jedną z makabrycznych gier, które zawsze sprawiała tak wielką radość podobnym do niego, sadyściecznie usposobionym miernotom.

LaRone był jednak imperialnym szturmowcem, doskonale wyszkołonym w sztukach walki i przetrwania. Jego głęboko zakorzenione odruchy nie uwzględniały wiedzy o gierkach funkcjonariuszy IBB. Reagując tak, jak go nauczono, szturmowiec uniósł lewą rękę, trafił Drelfina w nadgarstek i skierował lufę jego blastera w inną stronę.

To była prawdopodobnie ostatnia rzecz, jakiej Drelfin się spodziewał. Oficer IBB zachwiał się, zmelił w ustach przekleństwo i spróbował obrócić broń ku poprzedniemu celowi. Zanim jednak zdążył to zrobić, LaRone prawą ręką chwycił oficera za nadgarstek i odepchnął. Na krótki, szarpący nerwy ułamek sekundy lufa blastera była skierowana znów w jego twarz, ale minęła ją i powędrowała szerokim łukiem w lewo. LaRone obrócił się na prawej pięcie i szedł z linii strzału, ale nie wypuścił nadgarstka oficera. Sekundę później Drelfin się skulił, bo LaRone wykręcił jego rękę za plecy i skierował blaster nieszkodliwie ku sufitowi.

– Co miała znaczyć pańska uwaga, jakoby zachcianki funkcjonariuszy IBB stanowiły prawo? – wycedził przez zaciśnięte zęby.

– LaRone, oszalałeś, czy co? – wykrzusił Brightwater, wytrzeszczając oczy.

– Możliwe – zgodził się szturmowiec. Gniew, jaki chwilę wcześniej go ogarnął, powoli ustępował, i LaRone uświadomił sobie z przerażeniem, że kolega ma rację. Jeżeli przedtem nie był w tarapatach, obecnie tkwił w nich po same uszy. – A teraz porozmawiamy o właściwej procedurze – podjął spokojnym tonem. Drugą ręką wyłuskał blaster z dłoni Drelfina i w końcu puścił jego nadgarstek.

Oficer wyprostował się i wbił zimne jak wibrostrze spojrzenie w szturmowca. Twarz Drelfina zniekształcała wściekłość, a usta poruszały się, mieląc bezgłośnie przekleństwa.

Mężczyzna trzymał w lewej dłoni inny, mniejszy blaster.

W ułamku sekundy LaRone zrozumiał, że tym razem nie będzie żadnego udawania. Zobaczył słaby błysk i usłyszał stłumiony odgłos strzału...

... ale to Drelfin osunął się bez słowa na płyty obserwacyjnego pomostu.

Długą, bardzo długą chwilę nikt się nie odezwał ani nie poruszył. LaRone popatrzył na leżące u jego stóp skalone ciało. Zauważył, że Drelfin nie wypuścił małego blastera z dłoni. Umysł szturmowca nie chciał uwierzyć w to, co rejestrowały jego oczy. To się nie mogło wydarzyć. Major z pewnością doznał udaru albo zmarł na zawał serca. Możliwe, że zastrzelił go z ukrycia nieznamy sprawca. Na wszystkie ognie galaktyki, to nawet nie zabrzmiało jak prawdziwy strzał z blastera...

– O, nie – mruknął wstrząśnięty Brightwater.

LaRone z wysiłkiem przełknął ślinę. W końcu przestał się łudzić i uświadomił sobie ponurą rzeczywistość. Oto on, Darcie LaRone, który tak lubił rozprawiać o obowiązku i honorze, właśnie zastrzelił z zimną krwią człowieka.

Nie zwykłego człowieka. Oficera IBB.

W mgnieniu oka zrozumiał, że on też już nie żyje.

Inni także od razu to zrozumieli.

– To była samoobrona – odezwał się Quiller drżącym tonem, jakiego LaRone u niego nigdy nie słyszał, nawet w najbardziej rozpaczliwych sytuacjach podczas walki. – Wszyscy to widzieliście, prawda? Drelfin pierwszy wyciągnął blaster.

– Uważasz, że ci z IBB się tym przejmą? – odciął się Grave.

– Chciałem tylko powiedzieć...

– Nie będą chcieli o tym słyszeć – podjął Marcross z goryczą, omiatając szybko spojrzeniem obserwacyjny pomost. – Pozostaje tylko pytanie, jak bardzo będzie im zależało, żeby nas dopaść.

– Chwileczkę – zachnął się Brightwater. – Co miałeś na myśli mówiąc „nas”?

– On ma rację, Marcross – zgodził się z nim LaRone. Uświadomił sobie, że serce w jego piersi zaczyna łomotać. – Nie ma żadnych „nas”... Jestem tylko ja. Nikt z was nic nie zrobił.

– Wątpię, żeby tych z IBB to obeszło – mruknął Quiller.

– Oczywiście, że ich obejdzie – odparł ponuro Marcross. – Zainteresują się, dlaczego nikt z nas nie kiwnął nawet palcem, aby cię powstrzymać.

– Nie było na to dość czasu...

– Zamknij się, LaRone – wtrącił Grave. – Marcross ma rację. Wszyscy tkwimy w tym po same uszy.

– Chyba że nie dadzą rady nas zidentyfikować – zasugerował Brightwater, rozglądając się ukradkiem w prawo i w lewo. – Nie ma tu nikogo innego, a ten gość zginął od strzału z własnej broni. Może pomyślał, że to samobójstwo.

– Och, daj spokój – parsknął Grave. – Major IBB u szczytu swojej pokręconej kariery? Goście z IBB zabijają innych, nie siebie.

– W takim razie mogę zrobić tylko jedno – zdecydował LaRone. Dał długi krok w lewo, wyciągnął blaster i skierował lufę w ich stronę. – Kłась się na pokład, wszyscy! – rozkazał.

Nikt z kolegów się nie poruszył.

– Szlachetny gest – stwierdził Grave. – Szlachetny, ale to się nie uda.

– Mam blaster – przypomniał LaRone, unosząc wymownym gestem lufę broni. – W ten sposób mnie nie powstrzymacie, a regulaminy nie wymagają od was, żebyście oddawali swoje życie na próżno.

– Nic z tego, LaRone. Grave ma rację – odezwał się Marcross, kręcąc głową. – Poddadzą nas torturom i kiedy się zorientują, że wiedzieliśmy, iż nas nie zastrzelisz, znów zaczną nas torturować, żebyśmy przyznali się do współudziału.

– A poza tym nie dasz rady pilotować żadnego z tych statków sam – przypomniał cicho Quiller, wskazując flotę IBB w dół. – Chyba musisz lecieć z tobą.

– Skoro o tym mowa, musimy wszyscy lecieć z tobą – dodał ponuro Grave. – Dalsza rozmowa to tylko strata czasu.

– Nie mogę wam na to pozwolić – sprzeciwił się LaRone.

– Nie mam prawa od was wymagać, żebyście zrezygnowali ze wszystkiego, i to w taki sposób. Będziecie musieli wyrzec się Imperium... zostać dezertarami...

– Nie mamy innego wyjścia – przerwał mu Grave. – A po tym, co się wydarzyło na Teardrop, nie jestem nawet pewny, czy jeszcze kiedykolwiek będę się czuł swobodnie nosząc pancierz szturmowca.

– A zresztą – uzupełnił trzeźwo Quiller – moim zdaniem to właśnie Imperium pierwsze się nas wyrzekło. A przynajmniej takie Imperium, jakiego przyśleliśmy wierną służbę. – Przeniósł spojrzenie na Brightwatera. – A zatem co postanowisz? – zapytał.

Zwiadowca się skrzywił.

– Jeszcze nie jestem gotów całkiem wyrzec się Imperium – powiedział. – Nie zamierzam jednak siedzieć z założonymi rękami i czekać, aż ci z IBB posadzą mnie przed lampą i zaczną przy piekać. Jaki macie plan?

LaRone spojrział pod nogi, na skulone ciało Drelfina. Starał się zmusić do trzeźwego myślenia.

– Po pierwsze, musimy gdzieś ukryć te zwłoki – zaczął. – Wystarczy chyba wcisnąć je do jednego z tych zamkniętych schowków. Quiller, którym statkiem twoim zdaniem powinniśmy odlecieć?

– Suwantkiem – stwierdził bez namysłu szturmowiec pilot, pokazując jednostkę, o której rozmawiali nieco wcześniej. – Jesteśmy kiepskimi mechanikami, więc będziemy potrzebowali najbardziej niezawodnego statku, jaki możemy porwać. Jeżeli ci z IBB zostawili systemy w gotowości do odlotu, powinno mi wystarczyć dziesięć minut na przeprowadzenie wszystkich procedur przedstartowych.

– Nie możemy odlecieć, dopóki „Odwet” przebywa w nadprzestrzeni – zauważył Brightwater.

– Chyba wiem, jak rozwiązać ten problem – odezwał się LaRone, w którego głowie zaczął kiełkować śmiały pomysł. – Przygotuj tego Suwanteka do startu. Grave, Brightwater... idźcie z nim. Marcross i ja ukryjemy zwłoki.

Zamknięte schowki były zajęte, ale rozsuwając na boki złożony tam sprzęt, wygospodarowali miejsce dla ciała Drelfina. Kiedy skończyli je upychać, zamknęli schowek i zeszli na poziom lądowiska. Quiller i pozostali towarzysze byli już na pokładzie Suwanteka. Udując zupełną swobodę, LaRone klepnął Marcrossa w ramię i skierował się do opuszczonej rampy ładowniczej.

Kiedy po niej wchodzili, nikt ich o nic nie zapytał, co LaRone uznał za wysoce podejrzane. Dopiero mniej więcej w połowie wysokości szturmowiec uświadomił sobie, że to z powodu wydanych przez IBB zakazów w dyżurce hangaru prawdopodobnie nie urzędował nikt, kto mógłby obserwować ich paradę. Weszli bez przeszkód na pokład statku, a potem do niewielkiego, ale ładnie urządzonego przedziału dla załogi. Unieśli i uszczelnili rampę, po czym skierowali się na mostek.

Na fotelu pilota siedział już Quiller. Wystukiwał na klawiaturach polecenia mające pobudzić do życia urządzenia i podzespoly frachtowca.

– Gdzie Grave i Brightwater? – zapytał Marcross, siadając obok Quillera na miejscu drugiego pilota.

– Sprawdzają, czy ktoś gdzieś tu nie śpi – wyjaśnił pilot. – Koniec... jesteście gotowi do odlotu. – Odwrócił się i spojrział na LaRone'a. – Mówiłeś, że masz jakiś pomysł?

Szurmowiec kiwnął głową usiadł za plecami Marcrossa przy stanowisku astronawigacyjno-komunikacyjnym i szybko obejrzał urządzenia kontrolne. Od razu znalazł włącznik interkomu hangaru. Spróbował przejąć sposób myślenia zbira z IBB, po czym wcisnął guzik.

– Mówi major Drelfin – powiedział, najlepiej jak umiał naśladować głos zabitego oficera. – Jesteśmy gotowi.

– Słucham, panie majorze? – usłyszał w odpowiedzi lekko zdziwiony głos operatora.

– Powiedziałem, że jesteśmy gotowi – powtórzył LaRone, starając się nadać głosowi ton lekkiego zniecierpliwienia. – Wyprowadźcie „Odwet” z nadprzestrzeni, żebyśmy mogli wystartować.

– Ach... chwileczkę, panie majorze.

Głośnik komunikatora umilkł.

– To jest ten twój pomysł? – mruknął Quiller.

– Dajmy mu minutę – zażądał LaRone, choć wcale nie czuł się pewnie. – Jeżeli będziemy musieli wylatywać w pośpiechu...

– Panie majorze, tu kapitan Brillstow – rozległ się inny głos. – W harmonogramie nie mam odlotu żadnego statku.

– To oczywiście, że pan go nie ma – burknął LaRone. – I niczego takiego nie zgłosi pan w swoim raporcie. A teraz proszę uprzejmie o wyskoczenie z nadprzestrzeni, żeby śmy mogli przystąpić do akcji.

Wszyscy wstrzymali oddech. Naturalnie LaRone miał rację. Regulamin wymagał, żeby oficer dyżurny meldował dowódcy okrętu o każdym niespodziewanym odlocie, a co najmniej żeby potwierdził to u kogoś z przełożonych Drelfina.

Funkcjonariusze Imperialnego Biura Bezpieczeństwa kierowali się jednak własnymi prawami i wszyscy w Imperialnej Marynarce dobrze o tym wiedzieli. Jeżeli kapitan Brillstow nasłuchiwał się opowieści o konsekwencjach niezadowolonych IBB...

Z wielkim zdumieniem i równie wielką ulgą szturmowcy zobaczyli, że poprzecinane liniami gwiazdowego światła przestworza za iluminatorem okrętu zamieniają się w usianą punkcikami gwiazd czarną próżnię.

– Potwierdzam, panie majorze – odezwał się Brillstow oschłym, formalnym tonem. – Macie zgodę na start.

LaRone wyłączył interkom i spojrzał na Quillera.

– Startujemy, zanim zmienią zdanie – powiedział.

– To może być pułapka – ostrzegł Quiller, ale przesłał energię do repulsorów i obrócił dziób Suwanteka w kierunku przesłony magnetycznego pola, uniemożliwiającego ucieczkę atmosfery. – Mogą nam pozwolić wylecieć tylko po to, żeby później postrzelać do nas z ciężkich dział.

– Nie sądzę – stwierdził Marcross. – Nie zestrzela nas od razu, raczej próbują schwytać żywcem, żeby się dowiedzieć, co u licha wyprawiamy.

– Mam nadzieję, że się nie mylisz – westchnął Quiller. – No to w drogę...

Kilka sekund później wylecieli z hangaru. Pilot zatoczył łuk obok burty gwiazdowego niszczyciela, ominął nadbudówkę i skierował frachtowiec w głąb przestworzy. LaRone obserwował ekran taktycznego monitora w obawie, czy w ostatniej chwili dowódca okrętu nie zmieni zdania, ale zauważył, że „Odwet” zamigotał i zniknął w nadprzestrzeni.

Quiller wypuścił powietrze z płuc z cichym świstem.

– Jak to miło, kiedy idiotyczne zwyczaje typów z IBB obracają się przeciwko nim samym – powiedział.

– To jeszcze nie oznacza, że mamy siedzieć z założonymi rękami i czekać, aż się obudzą – ostrzegł Marcross. – Zdecydowaliście, dołądź lecieć?

– Myślałem, że dobrym pierwszym punktem docelowym mogłaby być Drunost – odezwał się Quiller, wpisując polecenia na klawiaturze nad głową. – To mniej więcej trzy godziny drogi stąd. Miła, niewielka, zacofana planeta, która przypadkiem jest ośrodkiem i rynkiem zbytu Consolidated Shipping. A to oznacza, że znajdziemy tam dość paliwa i zaopatrzenia na resztę naszej wyprawy. Może nie wiecie, ale do granic Imperium czeka nas jeszcze długa droga.

– Jeżeli naprawdę dojdziemy do wniosku, że musimy tak daleko lecieć – zauważył Marcross. – Istnieje wiele bliżej usytuowanych systemów, gdzie moglibyśmy się ukrywać.

– Rozstrzygnijmy to później – zdecydował LaRone. – Na razie wpisz współrzędne lotu na Drunost.

Quiller kiwnął głową i wpisał polecenie na klawiaturze. Kilka sekund później gwiazdy za iluminatorami zmieniły się w długie linie.

– Zanim tam dolecimy, musimy odpowiedzieć sobie na pytanie, w jaki sposób będziemy zarabiać na życie – powiedział.

Z głośnika interkomu wydobył się cichy pisk

– Quiller? – rozległ się głos Brightwatera. – Wszystko w porządku?

– Jasne – zapewnił pilot. – Możemy lecieć, dołądź chcemy. „Odwet” zniknął.

– Wspaniale – mruknął Brightwater. – Możesz włączyć automatyczny system pilotowania i wpaść do kabiny załogi numer dwa... to druga po prawej, zaraz za świetlicą, idąc w stronę rufy. Mam ci coś ciekawego do pokazania.

Brightwater i Grave już czekali, kiedy do pomieszczenia weszli pozostali szturmowcy. Podobnie jak świetlicę, kabinę zaprojektowano i urządzono ze starannością i smakiem, jakich LaRone mógł się spodziewać po osobach dysponujących tak dużym budżetem, jak funkcjonariusze IBB. Zobaczył wąskie, ale wygodne łóżko, schowek w ścianie, małą konsolę komputerową i wtórny monitor, na którego ekranie można było oglądać informacje na temat bieżącego kursu i wszystkich innych parametrów statku. Nie zapomniano także o niewielkiej toalecie.

– Miłe wnętrze – stwierdził Quiller, obrzucając kabinę aprobującym spojrzeniem. – Musiała należeć do pilota.

– Ale w tej chwili należy do mnie – zaznaczył Grave. – Nie musicie się jednak martwić. Pozostałe wyglądają tak samo.

– A jeżeli uważacie, że kabina jest przytulna, trzymajcie się za kubły – dodał Brightwater. Podszedł do wtórnego monitora i przesunął palcami po dolnej listwie szkieletu konstrukcji. Rozległ się cichy trzask i fragment grodzi obok łóżka uchylił się. Brightwater otworzył drzwi wiodące do ukrytego pomieszczenia.

A ściślej ukrytego arsenału wielkości dużego pokoju.

Szturmowcy zobaczyli na stojaku pod jedną ze ścian tuzin różnych blasterów, począwszy od wydawanych marynarzom pistoletów typu BlasTech DH-17, przez standardowe karabiny typu E-11, a skończywszy na parze niewielkich blasterów, których typu ani producenta LaRone nie rozpoznał. Pod stojakiem z bronią widniały rzędy zasobników energetycznych i pojemników z gazem. Obok nich stało kilka pojemników z rozmaitymi częściami i zapasowymi. O przeciwległą ścianę była oparta ulubiona broń Grave'a, snajperski karabin typu T-28, a obok niego leżały rozmaite wibroostrza, granaty, kajdanki ogłuszające i kilka zdalników firmy Arald do odnajdywania i wskazywania celów.

A środek pomieszczenia zajmowały dwa kompletne zestawy polyskających panczerzy szturmowców.

– W kabynie numer jeden znajduje się trochę inny sprzęt – oznajmił Grave, pierwszy przerywając pełną zdumienia ciszę. – Nie sprawdziliśmy jeszcze innych kabin, ale można się spodziewać, że wszystkie wyposażono w podobny sposób.

– W jednej z ładowni stoją dwa skutery raketowe typu Aratech 74-Z, więc moim zdaniem gdzieś tu powinien się znajdować zestaw albo nawet dwa panczerzy szturmowców-zwiadowców – dodał Brightwater. – Jeżeli jakiś znajdziemy, będzie mój.

– Ci goście przyłecieli tu naprawdę dobrze przygotowani – stwierdził Marcross. – Nie wiecie przypadkiem, czy gdzieś na wierzchu nie zostawili trochę gotówek?

– Jeżeli nawet nie, zawsze możemy obrabować jakiś bank – odezwał się rzeczowo Quiller, wskazując blastery.

Brightwater spojrzał na Marcrossa.

– Nie znaleźliśmy żadnych kredytów – powiedział. – A na to wszystko natknęliśmy się przez zwykły przypadek. Szukaliśmy pasażerów na gapę, ukrytych skarbów.

– Moim zdaniem powinniśmy się jeszcze rozjeździć – zaproponował Marcross.

– Na pewno – zgodził się z nim LaRone. – Panowie szturmowcy, do wyskoczenia w sąsiedztwie planety mamy trzy godziny. Rozproszyc się i poszukać, co jeszcze chłopcy z IBB byli łaskawi zostawić na pokładzie naszego nowego statku.

Ostateczny bilans wywierał duże wrażenie. Dezerterzy mieli do dyspozycji piętnaście zestawów pancerzy szturmowców, w tym osiem standardowych, sześć specjalistycznych i komplet do prowadzenia walki w próżni. Znalaziono także pięćdziesiąt różnych blasterów, sto ogłuszających i eksplodujących granatów, parę termicznych detonatorów oraz trzydzieści pięć zmian cywilnych ubrań. W ładowniach stały dwa łądowe śmigacze, dwa skutery raketowe i sześciomiejscowy śmigacz ciężarowy. W różnych schowkach zgromadzono mnóstwo sprzętu do śledzenia, prowadzenia walki i ograniczania swobody ruchów, a także niewielkie urządzenie do produkcji osobistych dowodów tożsamości. Jak spodziewał się Quiller, znalazł także półki z fałszywymi kodami transponderów statków.

Na pokładzie Suwanteka nie brakowało również gotówki. Szurmowcy znaleźli ponad pół miliona kredytów.

– Do czego, u licha, zamierzali to wszystko wykorzystać? – mruknął Brightwater, kiedy oni i koledzy, siedząc w świetlicy, porównywali notatki.

– Prawdopodobnie chcieli się dobrać do skóry Rebeliantom – odparł Marcross. – Takie niepozorne frachtowce świetnie się nadają do przenikania w skład nieprzyjacielskich konwojów z zaopatrzeniem.

– Albo do udawania statku renegatów, którzy zamierzają się przyłączyć do buntowników – stwierdził LaRone.

– No cóż, cokolwiek zamierzali, ich zapasy bardzo się nam przydadzą – zauważył Grave. – To co, na którą planetę Odległych Rubieży zamierzamy lecieć?

– Moglibyśmy się rozjeździć w przestworzach Huttów – zasugerował Quiller. – Imperium nie ma tam zbyt wielu garnizonów, więc bez trudu znaleźlibyśmy zajęcie jako egzekutorzy długów albo ochroniarze.

– Nie będziemy pracowali dla przestępców – skarcił go ostro Brightwater.

– Chciałem tylko powiedzieć...

– Brightwater ma rację – poparł kolegę LaRone. – Jesteśmy imperialnymi szurmowcami, nie zbirami do wynajęcia.

– Już nie jesteśmy imperialnymi szurmowcami – mruknął Quiller, rzucając swój komputerowy notes na stolik planszą do jakiejś hologry.

– Mimo to nie będziemy pracowali dla przestępców – powtórzył Brightwater.

– Istnieje inna możliwość – podsunął Marcross. – Zamiast uciekać w głąb Odległych Rubieży, jak prerażeni Toongowie, dlaczego nie mielibyśmy zostać tu, w sektorze Shelshy?

– No, nie wiem... – odezwał się z powątpiewaniem Quiller. – Przeglądałem wcześniej listę systemów i nie znalazłem wielu miejsc, w których moglibyśmy osiąść bez obawy, że ktoś nas tam zauważy.

– Chyba że będziemy zmieniali miejsce pobytu – zaproponował Brightwater. – Nie musimy się martwić o kredyty, przy najmniej na razie.

Marcross chrząknął.

– Moim zdaniem powinniśmy osiąść na planecie Shelkonwa – powiedział.

Zaskoczony LaRone zmarszczył brwi. Sądząc po minach pozostałych szurmowców, wszyscy zareagowali podobnie na tę propozycję.

– Chcesz, żebyśmy się ukrywali w stolicy sektora Shelshy? – zapytał w końcu Quiller.

– To ostatnie miejsce, w którym ci z IBB chcieliby szukać dezerterów – zauważył Marcross. – A ja znam tam kilku gości, którzy mogliby nam pomóc.

– Jeżeli masz tam przyjaciół, to byłoby ostatnie miejsce, do którego powinniśmy polecieć – sprzeciwił się Grave. – Czy pamiętasz jeszcze imię pierwszej dziewczyny, z którą się całowałeś?

Marcross parsknął.

– Naturalnie – przyznał.

– A drugiej?

– No cóż... prawdę mówiąc nie pamiętam – przyznał szurmowiec.

– A goście z IBB je pamiętają – stwierdził Grave. – A nawet jeżeli nie, szybko je poznają. Jesteśmy dezerterami, Marcross. To oznacza, że już nigdy nie możemy się kontaktować z kimś, kogo znamy. Nigdy.

– A może na razie damy sobie spokój z układaniem dalekosiężnych planów? – wtrącił LaRone. – W tej chwili powinniśmy się skupić tylko na tym, żeby wylądować na Drunost i wystartować stamtąd bez wzbudzania podejrzeń. Dopiero kiedy będziemy mieli pełne zbiorniki paliwa i dobrze zaopatrzoną spiżarnię, zaczniemy się zastanawiać nad sytuacją.

Marcross nie wyglądał na przekonanego, ale kiwnął głową.

– Może być – powiedział. – Ale i tak musicie mi dać szansę, żebym mógł was przekonać do zamieszkania na Shelkonwie.

– Dostaniesz swoją szansę – obiecał LaRone. – Wszyscy będziemy mogli się wypowiedzieć i wspólnie podjąć decyzję. Jak wspomniał Grave, na razie możemy liczyć tylko na siebie.

Brightwater pokręcił głową.

– Dlaczego to nie napawa mnie optymizmem? – zapytał.

Rozdział 4

– A zatem jest tak, jak podejrzewałem – odezwał się Imperator Palpatine, a jego oczy, niemal niewidoczne w cieniu spiczasto zakończonych kaptura, rzuciły ostre błyski. – Moff Glovstoak jest zdrajcą.

– Jest co najmniej malwersantem, mój lordzie – sprostowała Mara. – Jeszcze nie wiem, czy dopuścił się zdrady.

– Uważam sprzeniewierzenie imperialnych funduszy za zdradę – sprzeciwił się Imperator. – Twoja rola w tej sprawie dobiegła końca, moje dziecko... Teraz zajmą się nią inne osoby. Spisałaś się dobrze.

– Dziękuję – odparła Mara. Poczula, że przez jej ciało przepływa ciepło jego pochwały. – A zatem, jeżeli nie ma niczego pilniejszego, chciałabym prosić o pozwolenie na przeprowadzenie dochodzenia w sprawie sześciu dzieł sztuki, które znalazłam w osobistym sejfie Glovstoaka. Prawdopodobnie należą do grupy dziesięciu cennych artefaktów, skradzionych pięć lat temu z galerii na planecie Krintrino podczas ataku na tamtejszą komórkę Rebeliantów.

Imperator spochmurniał.

– A zatem Glovstoak jest nie tylko malwersantem, ale także może mieć konszachty z Sojuszem Rebeliantów, hm? – zapytał.

– Mógł też mieć kontakt z imperialnymi oddziałami, które brały udział w tamtym ataku – podsunęła Mara z dumą na ramieniu. Imperator był mądrym i dobrym człowiekiem, ale czasami, nie wiadomo dlaczego, dostrzegał Rebeliantów i ich spiski nawet tam, gdzie ich nie było. – A może to piraci albo rabusie wykorzystali chaos, jaki zapanał po tamtym ataku, żeby ukraść te dzieła sztuki i uciec? W dodatku Glovstoak nabył chyba te sześć dzieł sztuki w domu aukcyjnym, nie od pasera, co sugeruje, że zarówno on, jak i sprzedawca chcieli nadać transakcji pozory legalności.

– Powiedziałaś, że skradziono wtedy dziesięć obiektów – przypomniał Palpatine. – A w sejfie Glovstoaka znalazłaś tylko sześć.

– Tak – przyznała Mara. – Wygląda na to, że wszystkie sześć kupiono równocześnie, mniej więcej osiemnaście miesięcy temu.

– Gdzie się podziały pozostałe cztery?

– O ile mi wiadomo, nadal uznaje się je za zaginione – stwierdziła Mara. – To jedno z pytań, na które chciałabym znaleźć odpowiedź. Interesuje mnie też, dlaczego półtora roku temu poprzedni właściciel doszedł nagle do wniosku, że potrzebuje takiej ilości gotówki.

Jakąś minutę Imperator się nie odzywał i Mara poczuła lekką satysfakcję. W całym Imperium prowadzono zarówno legalny, jak i niezupełnie legalny handel cennymi przedmiotami, ale gdyby ktoś inny spośród wielu doradców i asystentów Imperatora zadał podobne pytania, Palpatine raczej nie potraktowałby ich poważnie.

Mara była jednak Ręką Imperatora, zwerbowaną i wyszkoloną przez niego osobiście. Palpatine ufał jej instynktom i osądom.

– Utrata Gwiazdy Śmierci stanowiła ogromny wstrząs nawet dla moich najbardziej zagorzałych zwolenników – odezwał się w końcu Imperator. – Niektórzy mogą się teraz zastanawiać, czy moje Imperium w ogóle ma szansę na zwycięstwo w walce przeciwko Sojuszowi Rebeliantów.

– Naturalnie, że ma szansę – odparła machinalnie Mara.

Imperator uśmiechnął się z goryczą.

– To prawda – powiedział. – Nie wszyscy jednak widzą sytuację równie jasno, jak ty i ja. Jeżeli nawet Glovstoak nie utrzymuje kontaktów z Rebeliantami, to może jeden z naszych bogatszych obywateli postanowił grać na obie strony. Powiedz mi, jak silni są w tej chwili Rebelianci w sektorze Sheshy?

– Jeszcze tego nie wiem – przyznała Mara. – Właśnie zamierzałam się skontaktować z Shelkonwą i poprosić szefa gabinetu gubernatora Choard, żeby przygotował dla mnie zwięzły raport.

– Nie rób tego – ostrzegł Imperator, krzywiąc się pogardliwie – Barshnis Choard to kompetentny administrator, ale utrzymuje liczne i bliskie kontakty z bogatymi i wpływowymi osobistościami swojego sektora. Może przekazać informację o twoim dochodzeniu ludziom, których pragniesz odnaleźć. Zamiast tego skorzystaj z mojej osobistej biblioteki.

Mara się skłoniła.

– Dziękuję ci, mój lordzie – powiedziała.

Imperator wyciągnął do niej rękę.

– Możesz iść – stwierdził.

Mara podeszła, ujęła wyciągniętą dłoń i poczuła, że przepływa przez nią następna fala ciepła i siły. Puściła dłoń Palpatine'a i się cofnęła.

– Jeszcze jedno, mój lordzie – zaczęła. – Wiem, że wydasz rozkaz aresztowania moffa Glovstoaka i jego współników, ale chciałabym cię prosić, żebyś oszczędził członka jego sztabu, generała Deeriana.

Imperator spojrzął na nią z zadumą.

– Uważasz, że nie maczał palców w zdradzie Glovstoaka? – zapytał w końcu.

– Jestem tego pewna – odparła Mara. – To uczciwy i szlachetny człowiek Imperium potrzebuje jego usług.

Na dźwięk słowa „szlachetny” kąciuki ust jej rozmówcy lekko zdrząły, ale Imperator kiwnął głową.

– Jak sobie życzysz, moje dziecko – odezwał się. – Wydam rozkaz, żeby generała Deeriana natychmiast przeniesiono tu, na Imperialne Centrum, gdzie nie dosięgnie go kara, jaką zamierzam wymierzyć Glovstoakowi.

– Dziękuję – powiedziała Mara. Odwróciła się, przeszła przez wielką salę tronową, minęła dwóch milczących strażników w czerwonych płaszczach i skierowała się do turbowindy.

Biblioteka Imperatora była ogromnym, położonym na uboczu pomieszczeniem, odwiedzanym tylko przez niewielką grupkę najbardziej zaufanych osób, a i to wyłącznie za wyraźną zgodą samego Palpatine'a. Zazwyczaj czuwał tam zespół asystentów, gotowych spieszyć z pomocą użytkowników biblioteki, ale kiedy Mara szła między wysokimi szafami o półkach zapelnionych kartami danych w stronę komputerowych stanowisk na środku sali, zwróciła uwagę na niezwykłą ciszę. Wyglądało na to, że nagle wszyscy asystenci poczuli równocześnie potrzebę znalezienia się gdzie indziej.

Dopiero jednak, kiedy minęła ostatnią szafę, odgadła powód ich nieobecności. Przy jednym z trzech komputerowych stanowisk siedział Darth Vader.

– Witaj, Lordzie Vader – odezwała się uprzejmie Mara. Mijając go, odruchowo zerknęła na ekran stojącego przed nim monitora.

Czarny Lord przesunął dłoń, żeby zasłonić jej widok

– Witaj, Ręko Imperatora – pozdrowił ją tonem głębokim, oficjalnym i jeszcze mroczniejszym niż zazwyczaj. – Co cię tu sprowadza?

– Dostałam zgodę na przeprowadzenie poszukiwań – odparła Mara, siadając przy jednym z wolnych stanowisk.

Włączyła konsolę i zaczęła wpisywać polecenia. Od razu wy czuła, że Vader przestał się interesować informacjami na swoim ekranie i zwrócił uwagę na nią. Zawsze był dla niej uprzejmy, ale nawet gdyby Mara nie była wrażliwa na Moc, i takby wy czuła, że Czarny Lord za nią nie przepada.

Nigdy nie poznała powodu takiego nastawienia. Przecież oboje mieli taki sam cel – służyć Imperatorowi i jego Nowemu Ładowi. Możliwe, że zdaniem Vadera jej szkolenie zajmowało Imperatorowi zbyt dużo czasu i zanadto zaprzętało jego uwagę. Vader mógł też podejrzewać, że Mara chce zająć jego miejsce – miejsce osoby, którą Imperator darzy największym zaufaniem.

To wszystko nie miało sensu. Oboje powinni wykonywać swoje zadania, nie podając w wątpliwość mądrości Imperatora i sposobu, w jaki zamierzał korzystać z ich usług.

Mara musiała jednak znaleźć sposób uświadomienia Vaderowi tej prawdy.

– Szukasz informacji na temat Rebeliantów – odezwał się w pewnej chwili Czarny Lord.

– Chyba wszyscy ich szukamy – rzuciła oschle Mara. – Najbardziej interesują mnie informacje na temat ich obecności w sektorze Shelshy. Czy przypadkiem czegoś o tym nie wiesz?

– W tamtym sektorze nie ma znanych ani nawet domniemanych baz – burknął Darth Vader. – Kilka dni temu została tam zaatakowana i zlikwidowana ich samotna stacja nasłuchowa. Podejrzewam, że przez sektor przebiega kilka ważnych szlaków zaopatrzeniowych Rebeliantów, ale ta informacja nie została jeszcze potwierdzona.

– Więc może coś wiadomo o ważnych osobistościach, które z nimi sympatyzują? – zagadnęła Mara.

– Poczula, że wrażenie chłodu wokół niej się pogłębia.

– Ich sympatycy są wszędzie – odparł Vader. – A jeszcze inni knują plany obalenia swoich przełożonych.

Mara poczuła się niewyraźnie, jakby przepłynęła przez nią strużka zimnej wody.

– Lordzie Vader, zapewniam cię, że nie mam zamiaru... – zaczęła.

– Milego dnia, Ręko Imperatora – przerwał Czarny Lord. Wstał, szeleszcząc czarnym płaszczem, i wyłączył zasilanie konsoly. Odwrócił się i ruszył do wyjścia z biblioteki.

– Dziękuję za pomoc, Lordzie Vader! – zawołała w ślad za nim Mara.

Czarny Lord nie odpowiedział, ale w miarę jak się oddalał, uczucie chłodu mijalo. Darth Vader wyciągnął rękę w kierunku drzwi, które same się przed nim rozsunęły, i szybko opuścił bibliotekę.

Mara nabrała głęboko powietrza i ciężko westchnęła. Cielawilo ją, czym się Vader tak niepokoi. Przecież lojalność była jedną z cech najwyż cenie nych przez Imperatora... i to lojalność względem wszystkich, którzy mu wiernie służyli. Jak Czarnemu Lordowi mogło przyjść do głowy, że jego mistrz odtrąci go dla kogokolwiek innego... zwłaszcza dla kogoś tak młodego i niedoświadczonego jak ona?

Pokęciła głową, odwróciła się do swojej konsoly i zmusiła do myślenia o wykonywanym zadaniu. A zatem przez sektor Shelshy przebiegały szlaki zaopatrzeniowe Rebeliantów. To była cenna informacja. Kiedy Mara skończyła wpisywać polecenia wyświetlenia danych na temat Rebeliantów, dodała rozkaz pokazania listy ważnych i mniej ważnych szlaków, usytuowanych na peryferiach sektora kosmoportów, a także wszystkich znanych baz wy padowych przestępców i przemysłowców.

Komputer zaczął wyszukiwać dane, a Mara rozparła się na fotelu i uzbroidła w cierpliwość. Kiedy się przygarbiła ze zmęczenia, od niechcenia spojrziała na konsolę, od której wstał Vader. Czarny Lord nigdy nie był towarzysko usposobiony, ale w czasie ostatniej wymiany zdań Mara odniosła wrażenie, że jest ziry towany bardziej niż zwykle.

Zapra gnęła poznać powód takiego zachowania.

Odwróciła się i zerknęła na drzwi, po czym wstała i podeszła do sąsiedniej konsoly. Zastanowiła się, co by Vader zrobił, gdyby ją na tym przyłapał, ale okazała się być zbyt dobra, żeby ją przepuścić. Usiadła przed monitorem i włączyła urządzenie. Znała pewien sposób dostawiania informacji z pamięci komputera, o którego istnieniu Czarny Lord mógł nie wiedzieć...

Rzeczywiście nie wiedział. Mara wpisała właściwy rozkaz i poleciła wyświetlić ostatni plik, do którego Vader uzyskał dostęp z tego terminala.

Okazało się, że zanim postanowił wyłączyć komputer, korzystał z bardzo skomplikowanego programu wyszukującego, którego baza danych zawierała osobiste dane osób w setkach gwiazdnych systemów.

Były tam również informacje o przemieszczaniu się tych osób oraz raporty szpiegów na ten temat. Program zbierał także dane o stanie majątkowym każdej osoby, o wydanych zezwoleniach na odbywanie podróży i wszelkie inne informacje, jakie miało do dyspozycji Imperium, kiedy chciało poznać miejsce pobytu jednego ze swoich obywateli.

Mara ka zała wyświetlić listę nazwisk. Jeżeli Vader znów chciał badać powiązania Czarnego Słońca księcia Xizora... cóż, to mogło zdenerwować Imperatora.

Ku swojemu wielkiemu zdumieniu stwierdziła jednak, że na liście nazwisk poszukiwanych osób figuruje tylko jedno.

Luke'a Skywalkera.

Zmarszczyła brwi i zastanowiła się, czy już kiedyś nie słyszała tego imienia i nazwiska.

Nie mogła sobie przypomnieć, ale w końcu miała dopiero osiemnaście lat i nie znała wszystkich na dworze Imperatora Palpatine'a.

Na razie miała do wykonania inne zadanie. Na wszelki wypadek zapamiętała imię i nazwisko Luke'a Skywalkera, bo mogła się z nim jeszcze zetknąć w przyszłości. Potem wyłączyła komputerową konsolę i wróciła do swoich poszukiwań.

Han nie był zaskoczony, że miejsce spotkania niczym się nie różni od wszystkich innych zamaskowanych kryjówek, które generał Rieekan miał rozrzucone wszędzie wokół Imperium. Było zaciszne, odosobnione i w niczym nie przypominało żadnej z wojskowych baz, jakie Han widział w życiu.

Miało jednak pewną cechę wyróżniającą: zastał tu Leię.

– Witaj, Hanie – pozdrowiła go księżniczka z oficjalnym uśmiechem, kiedy Korelianin schodził po rampie „Sokoła”. – Wyglądasz, jakby tylko cudem udało ci się wydostać z tarapatów.

– Nic podobnego – zapewnił Solo, uśmiechając się do niej. Naturalnie ani na chwilę nie dał się zwieść chłodnej formalności jej uśmiechu. – Wszyscy inni też się zdążyli ewakuować?

– Prawie wszyscy – odparła Leia, lekko marszcząc czoło. – Wciąż jeszcze nie zameldował się Chivkyrie.

Han obejrzał się na Luke'a i Chewbacę, którzy pomagali technikom wnosić sprzęt z ładowni „Sokoła”.

– Chcesz, żebym polecił z Chewiem na poszukiwania? – zapytał.

– Obawiam się, że nie w tym problem – wyjaśniła ze smutkiem księżniczka. – Wynikły pewne kłopoty nie tylko z nim, ale także z całą jego organizacją.

– Rozumiem... polityka – mruknął Han, kiwając głową. – W takim razie możesz mnie z tego wyłączyć.

– Wiedziałaś – oznajmiła Leia. – A przy okazji... Mon Mothma chce się widzieć z nami wszystkimi w ośrodku dowodzenia. Z tobą, z Lukiem i ze mną.

– Kto taki? – zdziwił się Solo.

– Mon Mothma – powtórzyła cierpliwie księżniczka. – Naczelny dowódca Sojuszu Rebeliantów.

– Ach, ona – mruknął Han, kiedy w końcu przypomniał sobie to nazwisko.

– Tak, ona – potwierdziła Leia. – Ma dla nas zadanie do wykonania.

Han o mało się nie skrzywił. Znów to samo, pomyślał. Wszyscy zakładali, że on i Chewbacca znajdują się oficjalnie na pokładzie tej cieknącej balii.

– Świetnie – powiedział. – Pójdziemy tam, kiedy tylko skończymy.

Leia uśmieła lekko brwi i w pierwszej chwili Han pomyślał, że księżniczka zamierza mu przypomnieć, gdzie jest jego miejsce. Pewnie jednak uświadomiła sobie, że Han po prostu nie ma żadnego miejsca.

– W takim razie do zobaczenia – powiedziała i odeszła.

– Kłopoty? – zapytał Luke z jego pleców.

Han odwrócił się i zobaczył, że chłopak idzie w jego stronę.

– Nie więcej niż zazwyczaj – powiedział. – Dlaczego pytasz?

– Leia wyglądała na zmartwioną.

– Jej Królewska Wysokość zawsze jest zmartwiona – burknął Han, czując wbrew samemu sobie narastającą irytację. Odkład wyciągnęli księżniczkę z więzienia na pokładzie Gwiazdy Śmierci, Luke wodził spojrzeniem za Leią jak zakochany, a od czasu Bitwy o Yavin wyobrażał sobie, że łączy go z nią głęboka więź duchowa, bo umie wyczuwać jej uczucia i nastroje.

A może powodem było to, że zaczął się uważać za rycerza Jedi? Czasami Han miał kłopoty z rozstrzygnięciem, która część osobowości Luke'a najbardziej go irytuje.

Mimo to na ogół nie mógł chłopakowi nic zarzucić... Luke był bardziej w porządku niż większość gości, z którymi Han miał do czynienia w ciągu wszystkich lat życia.

– Ma mnóstwo obowiązków – przypomniał cicho chłopak – A od czasu zniszczenia Alderaana nie upłynęło wcale dużo czasu.

Han się skrzywił. Naturalnie Luke miał rację. Leia była przedtem zbyt zajęta, żeby pozwolić sobie na reakcję, ale od czasu Bitwy o Yavin miała aż nadto czasu, żeby dopuścić do siebie ból i rozpacz po stracie ojczyzny.

A skoro już o tym mowa, Luke także przeżył ostatnio kilka tragedii. Najpierw stracił ciotkę i wujka, a później na własne oczy oglądał śmierć staruszka Kenobiego. Han mógł przynajmniej okazać obojgu trochę zrozumienia.

– Tak, wiem – mruknął. – Aha, jeszcze coś... pewna ważna przywódczyni chce nas widzieć w ośrodku dowodzenia, kiedy tylko będziemy mieli wolną chwilę.

– Wspaniale – odparł Luke. Han zauważył, że chłopak aż się rozpromienił na myśl o kolejnym zadaniu. – Chodźmy. Chewie da sobie radę z wyładowaniem reszty sprzętu.

„Skacz, kiedy dostaniesz taki rozkaz”, przypomniał sobie Han stare wojskowe powiedzenie. „A kiedy już będziesz w powietrzu, zapytaj, jak wysoko”. Han miał wciąż jeszcze pewne zastrzeżenia do Rebelii, ale Luke podskakiwał na rozkaz bez chwili zastanowienia.

Właśnie podskoczył i leciał w górę, ale nawet nie zadał sobie trudu zapytania, jak wysoko.

Okaż im trochę zrozumienia, przypomniał sobie stanowczo. Bądź dla nich bardzo, ale to bardzo rozumiały.

– Jasne – przyznał. – W takim razie przekonajmy się, czego może od nas chcieć Jej Najwyższa Wysokość.

Mon Mothma wyglądała jak królowa. Miała krótkie kasztanowate włosy i jasne, zielonkawoniebieskie oczy. Ubrana w prostą białą szatę, ozdobiła ją tylko pojedynczym medalionem. Siedząc u szczytu stołu, miała po prawej ręce generała Rieekana, a po lewej Leię. Wyglądała dokładnie tak, jak Luke wyobrażał sobie przywódczynię Sojuszu Rebeliantów: jak uosobienie ciepła, siły i stanowczości.

– Dziękujemy wam, że zechcieliście poświęcić mi trochę czasu, kapitanie Solo i mistrzu Skywalkerze – odezwała się, witając ich kiwnięciem głowy. – Obaj służycie dzielnie Rebelii i cała galaktyka ma wobec was wielki dług. Przybyłam tu, żeby prosić was o wykonanie jeszcze jednego zadania.

Luke zerknął na Haną i zauważył, że Korelianin ma się na baczności.

– Bylibyśmy zachwyceni... – zaczął.

– Jesteśmy ciekawi, co to za zadanie – przerwał mu bezceremonialnie Solo.

Luke się skrzywił, ale Mon Mothma albo nie zwróciła uwagi na obcesowość Hana, albo doszła do wniosku, że może ją zignorować.

– Jak wiecie, Sojusz Rebeliantów składa się z wielu grup, które kiedyś toczyły indywidualne wojny przeciwko tyranii Imperatora Palpatine'a – powiedziała. – Dopiero kiedy zaczęliśmy jednoczyć nasze wysiłki i koordynować

poczynania...

– Znamy historię – przerwał ponownie Han. – Co mielibyśmy zrobić?

Siedząca obok Mon Mothmy Leia niespokojnie poruszyła się na krześle i posłała Hanowi ostrzegawcze spojrzenie. Mon Mothma jednak, jeżeli nawet była urażona, nie dała tego poznać żadnym gestem ani słowem.

– Na czele jednej z naszych grup, zwanej Powrotem Republiki, stoi pewien Adarianin, niejaki Yeeru Chivkyrie – zaczęła starsza kobieta. – Chivkyrie złożył nam propozycję, która jego zdaniem w znaczącym stopniu zwiększy siłę Rebelii.

– To zawsze się przyda – przyznał Han. – W czym problem?

– Chodzi o to, że przywódcy dwóch spośród reszty grup sektora sprzeciwiają się jego propozycji równie stanowczo, jak Chivkyrie się za nią opowiada – wyjaśniła Mon Mothma.

– Jak stanowczo? – zapytał Han.

Mon Mothma na chwilę zacisnęła wargi.

– Zagrozili, że się wycofają, jeżeli plan Chivkyrie zostanie przyjęty – wyjaśniła.

– A czy w ogóle zasługują na to, żeby ich trzymać? – zagadnął Solo.

Luke spojrzął na niego z niedowierzaniem.

– Co to za pytanie? – zachnął się zdumiony.

– Całkowicie uzasadnione, mały – stwierdził Han ugodowo. – Myślałem, że Sojusz opuścił stację nasłuchową na planecie Teardrop, bo nie miał nic do roboty w sektorze Shelsy.

– Prawdę mówiąc, Skywalker, to jest dobre pytanie – odezwał się Rieekan. – Mieliśmy kłopoty z uchwyceniem przycółka w tamtych sektorze po części z powodów natury kulturowej, ale także przez takie nieporozumienia.

– Jeżeli chodzi o liczebność, grupa Chivkyrie jest najmniejsza spośród trzech, o których mowa – dodała Leia. – Adarianie mają rygorystyczny system kastowy, a rekruci Chivkyrie, podobnie jak on sam, pochodzą niemal wyłącznie z drugiej co do ważności kasty w hierarchii społecznej. Wygląda na to, że cała reszta ludności nie jest zainteresowana walką przeciwko Imperium.

– Zdawało mi się, że wszyscy mieli zrezygnować z własnych kastowych, kiedy przyłączali się do Sojuszu – powiedział Luke.

– Rzeczywiście tak miało być, ale Adarianie to uparte istoty – stwierdził Rieekan. – Kiedy się już na coś zdecydują, nie da się ich praktycznie namówić do zmiany zdania. – Przeniósł spojrzenie na Leię. – Chyba że zrobi to osoba pochodząca z wyższej kasty – dodał po chwili. – I właśnie dlatego do podjęcia próby mediacji chcemy wysłać księżniczkę Leię.

– Wnioskuję z tego, że nie pokładacie zbyt wielkiej nadziei w planach Chivkyrie – domyślił się Luke.

– Prawdę mówiąc nie mamy pojęcia, na czym te plany polega – ją – przyznał Rieekan. – Chivkyrie nie zgadza się na ich omówienie przez HoloNet, nawet gdyby transmisje zostały zaszyfrowane. Jedynym sposobem dowiedzenia się, co naprawdę zamierza, jest wysłanie was do sektora Shelsy na rozmowę z nim.

Luke nie od razu zwrócił uwagę na słowo „was”. Han zauważył to natychmiast.

– Jak to „was”? – zapytał rzeczowo.

– Was troje – odparł Rieekan, spoglądając mu prosto w oczy. – Chciałbym, żeby pan i Skywalker towarzyszyli księżniczce Lei w tej wyprawie.

Luke poczuł, że jego serce zaczyna bić przyspieszonym rytmem. Jeszcze jedno zadanie dla Rebelii... a w dodatku będzie mógł spędzić trochę czasu z Leią.

– Postaramy się, żeby o naszej wyprawie wiedziało jak najmniej osób – wyjaśniła Leia. – To oznacza, że nie skorzystamy z żadnych znanych statków Sojuszu i żadnych związanych z Sojuszem osób.

– Związanych z Sojuszem osób? – powtórzył jak echo Han.

Luke zmarszczył brwi i spojrzął na niego, ciekaw, co go gryzie.

– Leia chciała powiedzieć, że my nie mamy żadnego oficjalnego stopnia ani statusu... przy najmniej na razie – wyjaśnił, starając się pomóc.

Chyba niezbyt mu się to udało, bo Han spiorunował go spojrzeniem i odwrócił się znów do Rieekana.

– Dokład właściwie mielibyśmy polecieć? – zapytał.

– Jak powiedziała księżniczka, zależy nam, żebyście nie rzucali się w oczy, nie wyłączając Chivkyrie – wyjaśnił generał. – Adarianin mieszka w Makrin City, siedzibie władz stołecznej planety o nazwie Shelkonwa, ale spotkacie się z nim w niezamieszkanym systemie kilka godzin lotu dalej.

– Nie wiemy, czy Imperialcy śledzą jego poczynania – dodała Leia. – Ale jeżeli nawet tak jest, powinniśmy im wymknąć bez wzbudzania podejrzeń.

– Mam nadzieję, że w ciągu tygodnia negocjacji doprowadzisz do zgody między grupami – stwierdził Han.

– Księżniczka da sobie z tym radę – zapewniła Mon Mothma cicho, ale zdecydowanym tonem. – Czy zechcecie jej towarzyszyć?

– Ja tak – odparł stanowczo Luke, posyłając Lei nieśmiały uśmiech. Księżniczka nagrodziła go równie dyskretnym uśmiechem.

– Tak, chyba tak – odezwał się Han o wiele bardziej sceptycznie. – Kiedy mielibyśmy odlecieć?

– Nie wcześniej niż za kilka dni – powiedział Rieekan. – Musimy jeszcze uzgodnić kilka szczegółów, najpierw z Chivkyriem, a później z pozostałymi przywódcami.

– Na przykład kształt konferencyjnego stołu? – zasugerował Solo.

Leia i Rieekan wymienili spojrzenia.

– Poinformujemy was o harmonogramie, kiedy tylko go ustalimy – obiecał generał. – Dziękuję, że zechcieliście nas wysłuchać.

– Jeszcze raz przypomina, że Sojusz jest waszym dłużnikiem – dodała Mon Mothma.

– Jasne – mruknął Han. Wstał i wyszedł z pokoju. Luke odprowadził go spojrzeniem. Zastanawiał się, co się z nim dzieje.

Wyglądało na to, że wszyscy zadają sobie to pytanie.

– Co go gryzie? – zagadnął Rieekan.

– Nie mam pojęcia – odparł Luke. – Zachowywał się tak całą drogę z przestworzy Teardrop.

– Może ja z nim porozmawiam – zaproponowała Leia, wstając od stołu. – Dziękuję, że zechcieliście poświęcić nam tyle czasu. Do widzenia, Mon Mothmo. Do zobaczenia, panie generale.

– To my ci dziękujemy – odparła poważnie przywódczyni.

– Dajcie mi znać, jeżeli będę mógł coś dla was zrobić w sprawie Solo – odezwał się Rieekan. – Potrzebujemy wszystkich porządnym gości, których uda się przeciągnąć na naszą stronę.

– Naprawdę pan uważa, że Solo jest porządnym gościem? – zagadnęła cierpko księżniczka.

– Ależ oczywiście. – Rieekan wzruszył ramionami. – Tylko stara się to ukrywać.

Leia dogoniła Hana, kiedy stał obok „Sokoła” i przyglądał się, jak technicy z bazy na planecie Teardrop wynoszą z ładowni ostatnie skrzynie z ekwipunkiem.

– Witaj, Hanie – pozdrowiła go z powagą księżniczka.

– Witaj, Wasza Czcigodność – odparł Solo, spoglądając na nią i kiwając jej głową.

Księżniczka z trudem powstrzymała się od kąśliwej uwagi, która cisnęła się jej na usta. Nie miała pojęcia, dlaczego Han się tak zachowuje. Wiedział przecież, jak bardzo Leia nienawidzi sarkazmu.

A może właśnie dlatego go używał?

– Poczy nał tam sobie dosyć obcesowo – powiedziała. – Obcesowo i nonszalancko.

Zauważyła, że wargi Hana lekko drgnęły.

– Nie chciałem, żeby to tak wyglądało – odezwał się Korelianin. – Nie lekceważ ich... a przynajmniej nie Rieekana. Widziałem w życiu tylu złych oficerów, że zawsze rozpoznam dobrego, kiedy go zobaczę.

– No cóż, jeżeli to nie była nonszalanca, to na pewno bardzo dobra imitacja – stwierdziła księżniczka.

Han odwrócił się do niej plecami i zaczął grzebać przy jakimś urządzeniu na spodzie kadłuba „Sokoła”.

– Chodzi o to, że po prostu nie znoszę polityki – powiedział, nie patrząc na nią.

– Tu nie chodzi o politykę, Hanie – wyjaśniła Leia. – Musimy tylko dać z siebie wszystko podczas walki przeciwko...

– Dobrze wiem, że chodzi o politykę – przerwał jej Solo, odwracając się i piorunując ją spojrzeniem. – Zawsze o to chodzi. Jakiś rebeliancki przywódca stara się za wszelką cenę dostać to, na czym mu zależy, a pozostali watażkowie usiłują go powstrzymać przed przypisaniem sobie całej zasługi. Ty, Mon Mothma i Rieekan próbujecie łagodzić sytuację, żeby nikt się nie czuł za bardzo urażony. To nie jest kwestia przetrwania, księżniczko. To polityka.

– Czy właśnie to cię gnębi? – zapytała Leia, zdziwiona jego słowami. Czy taki był prawdziwy powód jego zdenerwowania? – Uważasz, że nie doceniamy twoich zasług?

– Ależ doceniacie, aż za bardzo – odciął się Han. – Nie pamiętasz już tego błyszczącego medalu, który zawiesiła mi na szyi?

Leia poczuła, że pieką ją policzki.

– Przepraszam, kapitanie Solo – wycedziła bardziej cierpko niż zamierzała. – Po prostu staram się ciebie zrozumieć.

Na ulamek sekundy wydało się jej, że dostrzega w jego oczach cień wzruszenia, ale chwila minęła i na jego twarzy pojawiła się znów dobrze znana maska cynizmu.

– Nie zwracaj sobie tym głowy – mruknął Han. – Nawet gdybyś dała radę mnie rozgryźć, nigdy byś nie uwierzyła w to, co odkryłaś.

Odwrócił się i znów udał, że coś majstruje przy urządzeniach na spodzie kadłuba „Sokoła”. Leia postąpiła jeszcze chwilę, choć było oczywiste, że ich rozmowa dobiegła końca. Odwróciła się i z płonąca twarzą ruszyła przez płytę lądowiska. Jeszcze nigdy nie spotkała takiego człowieka. Podziwiała jego zalety, a zarazem miała szczerą ochotę udusić go własnymi rękami.

Za drzwiami hangaru natknęła się na Luke’a.

– No i co? – zapytał chłopak

– To co zawsze: chępliwość i pretensje – odparła księżniczka i westchnęła. – Może tobie uda się przekonać.

Luke popatrzył nad jej ramieniem w kierunku odległego „Sokoła”.

– Najlepiej będzie zacząć, aż mu złość minie – powiedział.

– Chciałabym wiedzieć, co go tak bardzo wzburzyło – zastanowiła się Leia. – Mówił o polityce, ale wiem, że nie tylko o to chodzi.

– A tymczasem musimy się udać do sektora Shelsby – przypomniał Luke. – Mam nadzieję, że generał Rieekan ma awaryjny plan na wypadek, gdyby Han nie zgodził się z nami polecieć.

– Na pewno coś wymyślił – uspokoiła go księżniczka. – Mamy jeszcze kilka dni. Może damy radę przekonać Hana.

– Tak – mruknął powątpiewająco Luke. – To możliwe.

Rozdział 5

Widziany z góry ośrodek firmy Consolidated Shipping na planecie Drunost wyglądał dokładnie jak jej dobrze znany znak firmowy, przedstawiający gwiazdę pośrodku wiru. LaRone, który stał za Marcrossem i patrzył ponad jego ramieniem, dostrzegł kilkanaście dużych transportowców zaparkowanych wokół terenu ośrodka. W odległości od kilkaset metrów do kilku kilometrów widniało także wiele mniejszych placów z lądowiskami i stanowiskami remontowymi. Jeszcze dalej, kilkanaście kilometrów na południowy wschód na brzegu rwącej rzeki rozłożyło się średniej wielkości miasto.

– Widzicie te wszystkie transportowce? – zagadnął Quiller wskazując na główny gmach ośrodka. – Niedawno musiał przylecieć konwój. To dobrze, bo teraz wszędzie będzie mnóstwo pojazdów i ludzi odbierających zamówione towary.

– Tę, w którą się łatwo wtopimy – zasugerował Marcross.

– Właśnie.

– Po co są te niewielkie placówki wokół ośrodka? – zainteresował się LaRone.

– To prywatne lądowiska z warsztatami naprawczymi – wyjaśnił Quiller. – Dla osób, które przyleciały po odbiór towarów albo lin zakupy bezpośrednio w hurtowni Consolidated Shipping.

– Nie polecimy do samego ośrodka, prawda? – zapytał Grave, który siedział za plecami Quillera, przy stanowisku kontrolnym generatorów ochronnych pól i sensorów.

– Nawet im nie pomachamy – zapewnił go pilot. – Ci z Consolidated mają własne oddziały strażników, a my nie chcemy mieć z nimi do czynienia. Każde z prywatnych lądowisk ma swoje sklepy i magazyny. Kiedy wylądujemy gdzieś obok, będziemy mieli do przejścia najwyżej kilkaset metrów. Kupimy żywność i sprzęt potrzebny na dalszą część podróży.

– A co z Imperialcami? – dopytywał się Brightwater, który siedział przy stanowisku astronawigacyjno-komunikacyjnym za plecami LaRone'a. – Muszą tu mieć jakiś garnizon.

– To mało prawdopodobne – stwierdził Marcross. – Ci z Consolidated nie lubią jak pachołki rządowe płaczą się im pod nogami. Firma jest tak duża, że Imperialne Centrum pozwala jej na pewną swobodę.

– Między innymi z tego powodu zaproponowałem wam lot na tę planetę – potwierdził Quiller.

– Mimo to dobrze będzie utrzymywać lasery w stanie gotowości – ostrzegł Brightwater. – Nawet jeżeli nie zobaczymy żadnych Imperialców, wokół stanowisk przeładunkowych mogą się kręcić rabusie.

– Zwłaszcza że i oni nie muszą się obawiać Imperialców – dodał cierpko Grave.

– Co racja, to racja – zgodził się z nim LaRone. – Ty i Brightwater będziecie czuwać przy działkach. Mają być gotowe do otwarcia ognia.

– Jasne – odparł Grave. Skłinał na Brightwatera i obaj opuścili sterownię. LaRone obejrzał się i zobaczył, że omijają ulokowane po obu stronach przedsiönka komputerowe stanowiska systemów podtrzymywania życia i przechodzą przez niewielkie blasteroodporne drzwi, kierując się do dwóch stanowisk artylerii, po jednym z każdej strony dziobu.

Quiller pstryknął przełącznikiem interkomu swojego stanowiska.

– Lasery mogą sprawić niemiłą niespodziankę każdemu, do kogo otworzymy ogień – powiedział. – Obejrzałem je wcześniej i wiem, że przewyższają o kilka rzędów wszystko, co stanowi standardowy system uzbrojenia tego rodzaju statku.

– Na to wygląda – przyznał LaRone, rozglądając się po lądowisku, kiedy Suwantek obniżał pułap lotu. – Quiller, co powiesz na to, żeby wylądować na tamtych niezbyt zatłoczonym placu na wschód od ośrodka?

– Nie mam nic przeciwko temu – odparł pilot. – Usiądziemy na północnym skraju, w pobliżu tamtych dwóch frachtowców typu Barloz.

– To co potem zrobimy? – zainteresował się Marcross. – Każdy weźmie swoją listę zakupów i rozproszy my się po całym lądowisku?

– Moim zdaniem nie powinniśmy się rozdzielać – sprzeciwił się LaRone. – Ja i Grave pójdziemy na zakupy, a pozostali tu zostaną. Kupimy zapasy na kilka dni i przewieziemy je śmigaczem na pokład Suwanteka, a potem w innym sklepie kupimy reszcie. W ten sposób nikt się nie zorientuje, że szukujemy się do długiej podróży.

– To brzmi rozsądnie – stwierdził Marcross. – Mam nadzieję że ci, co zostaną, też będą mogli coś dopisać do listy zakupów.

– Hej, to i tak pójdzie na rachunek IBB – przypomniał LaRone. – Po prostu zapiszcie, co wam kupić.

Płyta lądowiska była stara i chropowata. Jej permabetonową powierzchnię przecinały szczeliny i garby, a oznaczenia ułatwiające nawigację wyblakły albo w ogóle nie istniały. Mimo to Suwantek osiadł na zniszczonej powierzchni łagodnie, niemal bez wstrząsu z jakim zazwyczaj lądowały transportowce szturmowców. Oznaczało to, że albo Quiller jest lepszym pilotem niż LaRone sądził, albo urządzenia lądownicze udoskonalono równie starannie jak wszystko inne na pokładzie statku.

– Uważajcie, żeby nie wpaść w tarapaty – ostrzegł LaRone pozostających na miejscu, kiedy Grave umieszczał jeden z dwóch lądowych śmigaczy na platformie windy załadunkowej.

– Wy też – odparł Marcross. – Jeżeli ci z „Odwetu” ogłosili alarm, wszędzie mogą być rozwieszone listy gończe z naszymi podobiznami.

– Mam nadzieję, że nie wiszą – stwierdził Grave, poklepując kolbę sportowego blastera u boku. – Dla ich własnego dobra.

Okazało się, że albo informacja o ucieczce pięciu szturmowców nie dotarła na planetę Drunost, albo komandor Ozzel i funkcjonariusze IBB wciąż jeszcze nie ustalili, w jaki sposób sformułować list gończy za dezertarami. LaRone obserwował uważnie klientów sklepu, kiedy razem z Grave'em napełniali koszyki, ale nie zauważył, żeby ktokolwiek ich rozpoznał. Nikt się nie interesował dwoma nieznanymi im mężczyznami.

Zapłacili za zakupy kredytami IBB i wyszli ze sklepu. Po zachodniej stronie zobaczyli sznur śmigaczy, wylatujących z ośrodka firmy Consolidated Shipping z zamówionymi wcześniej towarami. Nad drogą i utwardzonymi poboczami sunął sznur ciężarowych i lądowych śmigaczy. Drogą szło sześćcioro mężczyzn i kobiet w podniszczonych ubraniach, jakie nosili zazwyczaj miejscowi farmerzy. Wieśniacy otaczali dwa wylądowane plastikowymi pojemnikami powozy, ciągnięte z mozołem każdy przez parę zwierząt pociągowych.

– Najbliższa farma znajduje się w odległości co najmniej piętnastu kilometrów stąd – zauważył cicho Grave, wskazując ruchem głowy na farmerów i pomagając przyjacielowi ładować pakunki z zakupami do przedziału bagażowego śmigacza. – Czeka ich długa droga.

– Może ją częściowo pokonają na wozach – domyślił się LaRone.

– Mało prawdopodobne – mrknął strzelec wyborowy. – W tych pojemnikach mają sprzęt rolniczy... zauważyłem na nich znak firmowy spółki Johder. Narzędzia są prymitywne, ale ciężkie jak osobisty sejf niejednego moffa. Wieśniacy nie zechcą obarczać swoich zwierząt dodatkowym ciężarem.

LaRone skrzywił się, bo przypomniał sobie żyjących w skrajnej nędzy rolników na rodzinnej Copperline.

– Zaciągnąłem się do Marynarki, żeby uciec przed takim życiem – westchnął ponuro.

– To co, mamy ich podrzucić? – zagadnął Grave. – Moglibyśmy umieścić cały ładunek w jednej ładowni Suwanteka, a zwierzęta pociągowe i powozy w drugiej.

– I skazać tych nieszczęśników na to, że kóregoś dnia do ich domów zapukają goście z IBB? – sprzeciwił się LaRone. – Miejscowi farmerzy i bez tego mają dość kłopotów.

Grave wypuścił głośno powietrze z płuc.

– Chyba masz rację – powiedział.

Nagle zza pleców LaRone'a napłynął głośny świst. Szturmowiec zmarszczył brwi, odwrócił się...

... i instynktownie kucnął obok burty ładowego śmigacza, kiedy niespełna pół metra nad jego głową przeleciały dwa grawicykle.

– Grave! – krzyknął, kiedy śladem pierwszych dwóch pomknęło sześć następnych. Dosiadający ich mężczyźni kierowali się ku farmerom i ich wozom.

LaRone wyciągnął blaster i odruchowo ocenił sytuację. Piloci dwóch pierwszych grawicykli rozdzielili się i zaczęli zataczać kręgi nisko nad pojazdami. Niewątpliwie czekali, aż kompani do nich dołączą. Krążyli tak szybko, że trudno było za nimi nadążyć spojrzeniem. Mimo to szturmowiec zauważył, że napastnicy są krzykliwie ubrani, a ich grawicykle mają u dołu zainstalowane nielegalne działka laserowe. Ogień z nich wzbijał fontannę kurzu wokół obu wozów. Wszystko wskazywało, że grawicykliści należą do jakiegoś gangu. Pozostałe śmigacze ciężarowe rozprasały się we wszystkie strony niczym dym na wietrze. Ich kierowcy wyraźnie zamierzali pozostawić wieśniaków własnemu losowi.

– Wylecieli z tamtego frachtowca! – zawołał Grave. LaRone odwrócił się i zobaczył parę odkrytych śmigaczy ciężarowych z groźnie wyglądającymi ludźmi i obcymi istotami. Pojazdy zjeżdżały właśnie po rampie jednego z dwóch zaparkowanych w sąsiedztwie Suwanteka frachtowców typu Barloz.

Oznaczało to, że napastnicy nie są zwykłą grupą nicponiów, którzy dla zabawy postanowili postraszyć bezbronnych farmerów. To byli bandyci, którzy zamierzali ukraść nowiutkie narzędzia rolnicze.

LaRone uświadomił sobie, że w jego gardle wzbiera gniewny warkot. Wyciągnął komunikator i włączył go.

– Quiller? – zaczął.

– Jesteśmy – odparł pilot z zawodową zwięzłością. – Chcecie, żeby was stamtąd wyciągnąć?

– Potrzebujemy waszej siły ognia – sprostował LaRone. – Zamierzamy ich zaatakować.

Quiller wahał się sekundę, zanim zapytał:

– Na pewno chcecie to zrobić?

– Na pewno – wtrącił Grave. – LaRone i ja załatwimy pilotów grawicykli... a wy postarajcie się coś zrobić z tymi frachtowcem.

– Zrozumiałem – odparł Quiller. – Czekajcie w pogotowiu.

LaRone wsunął komunikator z powrotem do szaszki u pasa i oparł lufę blastera o burtę ładowego śmigacza. Od bandytów dzieliła go dosyć duża odległość, więc strzał był niepewny, zwłaszcza, że grawicykliści, czekając na przyjazd ciężarowych śmigaczy, nadal zataczali kręgi wokół ofiar. W dodatku szturmowiec nigdy nie strzelał z tego sportowego pistoletu, który zabrał z kolekcji na pokładzie Suwanteka.

Musiał jednak radzić sobie z tym, co ma. Wymierzył w kierunku najbliższego bandyty, zmrużył oczy i wziął go na cel.

– Głowy do góry! – usłyszał stłumiony okrzyk wydobytą się z głośnika komunikatora. Zmarszczył brwi, spojrzał w górę...

...i zobaczył zakutego w kompletny pancerz Brightwatera, który przeleciał obok niego, siedząc okrzakiem na siodełku raketowego skutera. Jego blasterowe działko posyłało ku odległym grawicyklom śmiercionośne smugi laserowych strzałów.

LaRone nie zdążył nawet zamrunąć ze zdumienia, kiedy jego uwagę przyciągnął drugi szybko poruszający się obiekt na skraju pola widzenia. Szturmowiec odwrócił głowę w tamtą stronę i zobaczył Marcrossa nadlatującego drugim ładowym śmigaczem z ładowni Suwanteka.

– Lap! – krzyknął szturmowiec i przeleciał nad nim, zrzucił dwa duże ciemne przedmioty. LaRone puścił blaster i się wyprostował. Wpatrzony w tor lotu obiektów, wyciągnął ręce, żeby je złapać.

Już po chwili w prawej dłoni miał należący do Grave'a snajperski karabin typu BlasTech T-28, a w lewej własny karabin typu BlasTech T-11.

– Grave! – zawołał.

Strzelec wyborowy spojrzał na niego, szybko schował swój pistolet do kabury i chwycił T-28, którą rzucił mu LaRone. Odwrócił się, przyłożył broń do ramienia i zaczął posyłać śmiercionośne strzały w tym samym kierunku, w którym leciały smugi ognia z działka skutera Brightwatera.

Bandyci nie mieli żadnych szans. Ostatnią rzeczą jakiej się spodziewali, był opór ze strony strażników ośrodka, a co dopiero atak imperialnych szturmowców. Zataczając kręgi wokół niedoświadczonych grawicyklistów, Brightwater nie pozwalał się im rozproszyć, żeby Grave mógł ich wyeliminować jednego po drugim. Nie lepiej radzili sobie ich kompani w śmigaczach ciężarowych, bo Brightwater blokował drogę ucieczki swoim śmigaczem ładowym, a LaRone ostrzeliwał ich smugami blasterowych strzałów.

Ciężarówki wylądowały na powierzchni gruntu, a ich pasażerowie gdzieś zniknęli. Kiedy Brightwater i Grave wyeliminowali ostatniego grawicyklistę, od strony frachtowca bandytów dał się słyszeć huk silnej eksplozji. LaRone odwrócił się i spojrzał w tamtą stronę. Okazało się, że cała sekcja silnikowa Barloza zniknęła w chmurze ognistego dymu, a wraz z nią samotne stanowisko artylerii frachtowca. Artylerzysta sterbertowego lasera Suwanteka skierował już lufę działka ku innemu celowi i przejechał ognistą smugą rampę Barloza. Quiller chciał w ten sposób dać bandytom do zrozumienia, że powinni dać sobie spokój.

W końcu LaRone wyciągnął komunikator.

– Quiller, nastaw lasery na automatyczny ogień i przeładaj energię do jednostek napędowych – rozkazał. – Wszyscy inni, wycofajcie się na pokład statku.

– Zaczekajmy chwilę – zaprotestował Grave, kierując lufę swojego T-28 w położenie spoczynkowe. – Nie zdążyliśmy jeszcze skompletować zapasów.

– Zaopatrzmy się gdzie indziej – zdecydował LaRone. – Na razie musimy się stąd wynosić, zanim ktoś z Consolidated przyleci i zacznie zadawać kłopotliwe pytania.

Grave skrzywił się, ale posłusznie umieścił swój karabin w przedziale bagażowym ładowego śmigacza i wskoczył na fotel kierowcy. LaRone, upewniwszy się, że Brightwater i Marcross także wracają zajął miejsce na fotelu obok Grave'a.

Pięć minut później byli znów w powietrzu i kierowali się w stronę przestworzy.

– Wszędzie czysto – zameldował Quiller, jeszcze raz omiatając spojrzeniem ekrany monitorów. – Ani śladu pościgu.

– No cóż, muszę przyznać, że to była nieźła zabawa – stwierdził Brightwater. – W przyszłości jednak powinniśmy unikać takich przygód.

– Co racja, to racja – zgodził się z nim Grave. – Co, na wszystkie planety, was napadło, żeby nagle atakować tych drani, i to w taki sposób?

– Och, naprawdę nie wiem – odparł Marcross z nutą sarkazmu w głosie. – Chyba przyszło nam do głowy, że przyda się wam pomoc.

– Fakt, pomoc się nam bardzo przydała – zapewnił go Grave. – Zwłaszcza kiedy podrzuciłeś mi blaster, z którego mogłem celnie strzelać. Chodziło mi o to, dlaczego mieliście na sobie kompletne pancerze imperialnych szturmców?

– To był mój pomysł – wyjaśnił Brightwater. – Doszedłem do wniosku, że warto trochę zaszpanować, a nie tak jak obecność szturmców nie przekonuje miejscowych rabusiów i rozmaitych najemników, żeby przestali się wtrącać w nie swoje sprawy.

– A w dodatku, kiedy w powietrzu latają blasterowe strzały, dobrze jest mieć na sobie coś, co cię przed nimi chroni – dodał Marcross. – Nie żebyśmy mieli czas się przebrać – zastrzegł pospiesznie.

– Tak, ale...

– Wszystko w porządku, Grave – wtrącił LaRone. – Uszło nam to na sucho, a przy okazji pomogliśmy farmerom wyostać się z tarapatów. A to jest najważniejsze.

– A poza tym, jeżeli nie liczyć członków korpusu, tylko jedna osoba na miliard da radę odróżnić jednego zakatego w pancerz szturmców od drugiego – przypomniał Quiller. – Nigdy się nie zorientują, kim byliśmy.

– Jak wygląda nowy plan?

– Tak samo jak stary – oznajmił LaRone. – Lecimy w inne miejsce i kończymy się zaopatrzyć w żywność i paliwo. Wyciągnijcie mapę, żebyśmy mogli się zorientować, jaki mamy wybór.

– Chwileczkę – odezwał się nagle Marcross, unosząc wskazujący palec. – Zanim cokolwiek postanowimy, chciałbym się dowiedzieć, dlaczego pozwalamy na to, żeby wszystkie decyzje podejmował LaRone?

– A co, przeszkadza ci to? – zapytał Grave zaczepnym tonem.

– Pytałem dla zasady – stwierdził spokojnie Marcross. – O ile mi wiadomo, wszyscy mamy ten sam stopień wojskowy.

Brightwater parsknął.

– Moim zdaniem standardowa hierarchia stopni nie ma w tej chwili wielkiego znaczenia – powiedział. – Oficjalnie przestaliśmy być jednostką bojową.

– Wydawało mi się, że na Drunost poradziliśmy sobie zupełnie dobrze – przypomniał Grave.

– Powiedziałem, że oficjalnie już nie jesteśmy jednostką bojową – powtórzył Brightwater. – Co w tym złego, że przedyskutuje my nasze plany i dojdziemy do porozumienia?

– Nic, zakładając, że do niego dojdziemy – odparł Marcross – Boję się, że to nie będzie łatwe.

– A więc zamierzasz w dalszym ciągu nalegać, żebyśmy po szukali kryjówek na Shelkonwie? – domyślił się strzelec wyborowy.

– Moim zdaniem to najlepsze wyjście – stwierdził Marcross.

– Marcross ma rację, że powinniśmy mieć ściśle określoną hierarchię dowodzenia – odezwał się nagle LaRone. – Dyskusje w celu osiągnięcia porozumienia są potrzebne, ale w sytuacjach kryzysowych czy podczas walki musimy mieć kogoś, kto będzie wydawał rozkazy.

– Więc powtórzę: co w tym złego, że naszym dowódcą będzie LaRone? – zapytał Grave.

– Pamiętaj, że to on nas wpędził w te tarapaty – mruknął Brightwater.

– Co to miało znaczyć? – oburzył się Grave.

– To, co powiedziałem – odparł Brightwater. – Gdyby nie zabił Drelfina, wszyscy bylibyśmy teraz na pokładzie „Odwetu”.

– I co byśmy tam robili? – odciął się snajper. – Uczestniczyli w rzeziach niewinnych cywilów, jak na Teardrop?

– Może naprawdę wszyscy oni byli Rebeliantami – upierał się Brightwater. – Nie wiemy tego na pewno. A poza tym kto to powie działa, że ktoś musi wydawać rozkazy, a ktoś inny je wykonywać?

– Rozkazy, które służą ochronie Imperium i jego obywateli – dodał Grave.

LaRone spojrział na Brightwatera.

– Zamierzasz tam wrócić? – dorzucił.

Argument poskutkował.

– Co chcesz przez to powiedzieć? – zapytał Grave, marszcząc czoło.

– To nie było podchwytliwe pytanie – wyjaśnił LaRone. – Jeżeli chcesz wrócić na „Odwet”, Brightwater..., jeżeli którykolwiek z was chce to zrobić, macie do tego pełne prawo. Podrzucicie mnie tylko gdzieś i lećcie.

– Nie przeżyjesz sam nawet tygodnia – stwierdził rzeczowo Grave. – Wy dobędą miejsce twojego pobytu z naszych umyśłów i przygwoźdzą cię jak robaka.

– Może wam wtedy odpuszczą – zasugerował LaRone. – Jak zauważył Brightwater, to ja zastrzeliłem Drelfina. Może pozwolą wam wrócić do jednostki.

– Z drugiej strony, jak zauważył Grave, Imperium Palpatine’a chyba już nie zasługuje na to, żebyśmy mu nadal służyli – odezwał się cicho Quiller. – Odniosłem wrażenie, że każdemu z nas przyszło to do głowy, kiedy rozmawialiśmy o

naszej sytuacji.

– No cóż, ja nie zamierzam wracać – oznajmił stanowczo Grave. – A ty, Brightwater?

Zwiadowca się skrzywił.

– Ja też nie – przyznał niechętnie. – Nawet gdybyśmy mogli... zresztą nieważne. Nie możemy i nie wrócimy.

– Co sprowadza nas z powrotem do problemu dowodzenia – przypomniał Marcross. – A jeżeli już o tym mowa – dodał, spoglądając na Brightwatera – chciałbym tylko przypomnieć, że to Drelfin jest wszytkiemu winien. Drelfin, nie LaRone.

– Powinniśmy podejść do tego z innej strony – zaproponował Quiller. – Który z was chce zostać dowódcą?

– Osobiście nie widzę powodu, dla którego nie miałby to być LaRone – stwierdził Marcross. – Przynajmniej na razie.

– Zdawało mi się, że to ty nie chciałeś, aby LaRone wydawał nam rozkazy – zauważył Quiller, marszcząc brwi.

– Powiedziałem tylko, że się nie zgadzam, dopóki tego nie przedyskutujemy – odciął się Marcross. – A generalnie nie mam nic przeciwko temu.

– Widziałem LaRone'a w wielu sytuacjach bojowych – powiedział Grave. – Głosuję na niego jako na naszego dowódcę.

– Ja na pewno się o to nie ubiegam – odezwał się Quiller, odwracając się i spoglądając na zwiadowcę. – Zostałeś już ty lko ty, Brightwater.

Szturmowiec skrzywił się, ale pokiwał głową.

– Dowództwo LaRone'a ma sens – zaczął. – Pod warunkiem, że to nie będzie na całe życie.

– Naturalnie, że nie zapewnił go LaRone. – Gdyby ktoś się ze mną nie zgadzał albo miał lepsze propozycje, ma natychmiast dać mi znać. Stajemy teraz do walki przeciwko całemu wszechświatowi niezgoda jest ostatnią rzeczą, na jaką możemy sobie pozwolić.

– W takim razie osiągnęliśmy porozumienie – podsumował Marcross, ześlizgując się z fotela drugiego pilota. – Idę teraz obejrzeć ładowe śmigacze, żeby sprawdzić, czy żaden nie ucierpiał podczas tamtej akcji. Wy czterej wybijcie następną planetę docelową. Jeżeli o mnie chodzi, zgadzam się na każdą.

LaRone wszedł do ładowni i zobaczył, że Marcross leży na plecach pod jednym z ładowych śmigaczy.

– Jak to wygląda? – zapytał.

– Oberwał kilka razy – odparł Marcross, wyczołgując się spod pojazdu. – Chyba to jednak powierzchowne wgniecenia. A przy okazji... jeżeli jeszcze gdzieś masz tę listę zakupów, mógłbyś do niej dopisać repulsorowy pełzak dla mechanika.

– Zalatwione – obiecał LaRone, wyciągając rękę. Marcross chwycił ją i wstał. – Dziwię się, że ci z IBB nie mieli czegoś takiego na pokładzie Suwanteka.

– Jeżeli nawet mieli, to go nie znaleźliśmy – przypomniał Marcross, próbując niezgrabnie otrząść kurz z pleców. – A poza tym, jak wiadomo, najprostszym sposobem znalezienia brakującego przedmiotu jest kupno następnego. Czy Quiller wybrał już kolejny ośrodek handlowy?

LaRone kiwnął głową.

– Chcemy się zaopatrzyć na Ranklinge – powiedział. – To mniej więcej dwie doby lotu stąd.

– Czy to przypadkiem nie tam znajduje się zakład produkcyjny gwiazdnych myśliwców firmy Incom Corporation? – zapytał Marcross, marszcząc brwi. – O ile dobrze pamiętam, produkują Wyjciobiegacze I-7.

– Masz świetną pamięć – pochwalil LaRone. – Tak, ich fabryka znajduje się na peryferiach Ranklinge City. Quiller doszedł do wniosku, że taka niezbyt rozwinięta planeta znajdzie się stosunkowo nisko na sporządzonej przez IBB liście planet, na które moglibyśmy polecieć.

– Zakładając, że nie wyładujemy obok tych wszystkich I-Siódemek – zażartował Marcross. – I pod warunkiem, że nie zamierzamy tam osiąść na stałe. – Uniósł brew. – Nie mamy takiego zamiaru, prawda? – zapytał.

– Nie. Dyskusja na ten temat wciąż jeszcze jest przed nami.

LaRone się zawahał. – Chciałbym cię o coś zapytać – dodał po chwili.

– Chodzi ci o to, że najpierw poruszyłem problem, kto ma być naszym dowódcą, a później nieoczekiwanie poparłem twoją kandydaturę – domyślił się szturmowiec.

LaRone wydął wargi.

– Coś w tym rodzaju – powiedział.

Marcross wzruszył ramionami, podszedł do jednego z regałów pod rufową ścianą ładowni i zaczął czegoś szukać.

– Najkrócej można to ująć tak – zaczął. – Wszystko wskazuje, że masz do tego największe predyspozycje. – Sięgnął po tubę ze szczęliwem i obejrzał się na przyjaciela. – W dodatku nie zdajesz sobie z tego sprawy, hm? – dokończył.

LaRone pokręcił głową.

– Rzeczywiście – przyznał.

– Prawdziwi przywódcy często sobie nie uświadamiają własnych zdolności – wyjaśnił Marcross. Sprawdził etykietę tuby, odłożył ją na miejsce i wziął inną. – Obserwowałem cię podczas naszej dyskusji. Stałeś cicho z boku i czekałeś, aż każdy z nas wygłosi swoją opinię, a nawet da upust gniewowi czy frustracji. Później jednak zabrałeś głos i opanowałeś sytuację, zanim zdążyła się przerodzić w kłótnię.

LaRone powrócił myślami do tamtej rozmowy. Czy rzeczywiście tak się zachował? Na pewno nie zrobił tego celowo, jak chyba uważał Marcross.

– A ty byś tak nie postąpił? – zapytał. – Poradziłbyś sobie równie dobrze jak ja.

Szturmowiec pokręcił głową i podszedł do lądowego śmigacza.

– Mam pewne doświadczenie w obserwowaniu dowódców podczas akcji – powiedział. – Ale to wcale nie oznacza, że sam potrafiłbym się tak zachować. Zresztą nawet gdybym potrafił, nie jestem pewny, czy pozostali zechcieliby mnie słuchać. – Uśmiechnął się ponuro. – Odnoszę wrażenie, że uważają mnie za osobę oschłą i apodyktyczną.

– Po prostu nie znają cię tak dobrze jak ja – mruknął LaRone.

– No właśnie, to kolejna cecha dobrego dowódcy... powinien znać i rozumieć swoich podwładnych – podjął Marcross. – A także im ufać. – Zaciął wargi. – A poza tym to ty odmówiłeś strzelania do niewinnych cywilów. Takie zachowanie daje ci nad nami moralną przewagę, która jest bardzo ważna u dobrego dowódcy.

LaRone przełknął ślinę, przypominając sobie tamte wydarzenia.

– Wy też postąpilibyście tak samo – powiedział.

– Może tak, a może nie – odparł Marcross. – Grave i Brightwater zajmowali pozycje, na których nie musieli podejmować takiej decyzji. Nie wiem jednak, jak zachował się Quiller.

– A ty?

Marcross spojrzał mu prosto w oczy.

– Ja wykonałem rozkazy – stwierdził cicho.

Na długą, pełną napięcia chwilę zapadła cisza. Później Marcross odwrócił się i ukłękł obok burty lądowego śmigacza.

– Możesz powiedzieć Brightwaterowi, że jego raketowy skuter także kilka razy oberwał – powiedział, otwierając tubę ze szczeliwem i wcierając pastę w ślady po blasterowych strzałach.

– Dobrze – obiecał LaRone, starając się, żeby jego głos nie drżał. „Wykonałem rozkazy...”, przypomniał sobie. – Na pewno mu to powiem.

Na czarnym jak smoła niebie pojawiły się gwiazdy. Zwierzęta ciągnące ciężkie wozy dyszały z wysiłku. W końcu mężczyzna, który kazał nazywać siebie Tragarzem, i jego grupa dotarli do skraju lasu, na umówione miejsce spotkania.

– Kwatermistrzu! – zawołał cicho Tragarz, na wszelki wypadek wsuwając rękę między fałdy zniszczonego płaszcza i chwytając kolbę blastera.

– Tu jestem, Tragarzu – odpowiedział mu spodziewany głos. W blasku gwiazd było widać, jak spod pnia jednego z drzew wstaje chudy jak tyczka człowiek. Obok, w jeszcze głębszym mroku, majaczyła znajoma sylwetka ciężkiego surroniańskiego frachtowca. – Spóźniłeś się. Dlaczego się tak grzebałeś? Przy stanąłeś po drodze, żeby schwytać kilka maślanych pluskwów?

Tragarz wydał ciche westchnienie ulgi i wyjął dłoń spod płaszcza. Podczas podobnych akcji zawsze istniało prawdopodobieństwo wpadki, nawet na samym końcu drogi. Słowa „maślane pluskwy” były jednak hasłem, które oznaczało, że wszystko jest w porządku.

– Ta sztuczka z namalowaniem innego znaku oznaczała, że pojemniki nie znajdowały się w tym miejscu, w którym powinny – wyjaśnił, podchodząc do drugiego mężczyzny. Zobaczył, że z lasu wylaniają się inni ludzie. Niektórzy ciągnęli repulsorowe wózki do transportu towarów. – Wyśledzenie ich zajęło im trochę czasu.

– Mam nadzieję, że nie interesowali się znaną ciemnością, dlatego znalazły się w niewłaściwym miejscu – odparł Kwatermistrz.

– Nie, ale wściekali się na tego, kto przez brak kompetencji spowodował, że znalazły się w niewłaściwym stosie – oznajmił Tragarz. – Tak czy owak, miałem wymyśloną historię na wypadek, gdyby zajrzeli do któregoś pojemnika.

– Mogę się o to założyć – mruknął Kwatermistrz.

– Słowo daję – obstawał przy swoim Tragarz. – Zamierzałem im powiedzieć, że przy tutejszym twardym gruncie ciężkie blastery są oficjalnie uznawane za narzędzia rolnicze.

Kwatermistrz zachichotał.

– Chciałbym być świadkiem takiej rozmowy – powiedział.

– Skoro o tym mowa, straciłeś niezłą okazję – stwierdził Tragarz, sięgając do kieszeni. Zauważył, że podwładni Kwatermistrza przenoszą cenny towar na wózki. – Widziałeś kiedyś coś takiego?

Wręczył mężczyźnie naramiennik odcięty z kosałki jednego z zabitych grawicykistów. Kwatermistrz wyjął niewielki pręt jarzeniowy, zapalił go i w jego świetle obejrzał pasek materiału.

– Nigdy jeszcze takiego nie widziałem – odezwał się w końcu. – Te skrócone rogi u podstawy wyglądają jak znak rozpoznawczy piratów z bandy Krwawej Szramy.

– Też tak pomyślałem – zgodził się z nim Tragarz. – Tyle że ten gang grawicykistów miał bazę na pokładzie starego frachtowca typu Barloz.

– Mogą utrzymywać jakieś związki z Krwawymi Szramami – uzupełnił Kwatermistrz, pocierając zarost na szczęce. – Może wzorem Huttów piraci starają się powiększyć zasięg swoich operacji?

– To by były rzeczy wisty powód do zmartwienia – oznajmił Tragarz. – Bardziej niepokojący jest jednak fakt, że grawicykliści zignorowali wszystkich w okolicy i skierowali się prosto na nas zupełnie jakby wiedzieli, że transportujemy coś cenniejszego niż narzędzia rolnicze.

– Tylko tego nam brakowało – burknął Kwatermistrz. – Jakbyśmy nie mieli dość kłopotów z piratami, a zwłaszcza z Imperialcami, którzy ich zupełnie ignorują.

– Może tak nie jest – sprzeciwił się Tragarz. – Wszyscy bandyci na grawicyklach zginęli, zastrzeleni przez dwóch szturmowców.

Nie widział twarzy Kwatermistrza w błym blasku gwiazd ale wyczuł, że stojący przed nim mężczyzna nagle zeszywniał.

– Co takiego? – zapytał chudzielec.

– Słyszałeś – odparł Tragarz. – Zwiadowca na raketowym skuterze firmy Aratech i zwykły szturmowiec w lądowym śmigaczu. Obaj przyłecili wysłużonym frachtowcem nieznanego typu. Współpracował z nimi dwóch tajniaków, którzy wylądowali wcześniej, i co najmniej jeszcze jeden, cały czas pozostający na pokładzie tego frachtowca.

– Tajniacy? – powtórzył z namysłem Kwatermistrz. – Nie byli ubrani w mundury armii ani floty?

– Stuprocentowi cywile – potwierdził Tragarz. – Prawdopodobnie byli to goście z IBB albo ze specjalnej drużyny komandosów.

– No to dlaczego cię puścili? – Kwatermistrz spojrział nagle w niebo. – Może to jakaś pułapka?

– Jeżeli tak, do tej pory powinna się zatrzaskać – odparł Tragarz. – A tymczasem wszystko wskazuje, że nie mieli najmniejszego pojęcia, kim jesteśmy ani co przewozimy. Przypuszczam, że interesowali ich tylko grawicy księci. – Skrzywił się. – Bardzo chciałbym wiedzieć, co to wszystko oznacza.

– Dla nas na pewno nic dobrego – stwierdził Kwatermistrz, wsuwając do kieszeni naramiennik członka gangu. – Wyślę raport do Celowniczek. Na pewno będzie znała odpowiednich ludzi, którzy się tym zajmą.

– To dobrze – przyznał Tragarz, wskazując pracujące cienie. – Tymczasem mamy do załadowania sporo towaru.

– A ta planeta nagle przestała być bezpieczna – zgodził się z nim ponuro Kwatermistrz. – Zabierajmy się do pracy.

Rozdział 6

Dyrektor domu aukcyjnego Pevens na Crovnie nie bardzo pomógł Marze Jade. Sprzedawca ani nabywca prywatnej kolekcji dzieł sztuki Moffa Glovstoaka nie podali swoich danych, a ani dyrektor, ani nikt z personelu nie znał ich pełnomocników, którzy uczestniczyli w tamtej aukcji. Sam dom aukcyjny nie dysponował informacjami, z których by wynikało, w jaki sposób dzieła sztuki znalazły się na Crovnie, a dyrektor nie miał nawet pojęcia, jakim statkiem z niej odleciały.

Pamiętał jednak, że aż dwa razy wydawał polecenie sprowadzenia dzieł sztuki do obejrzenia, zanim doszło do sprzedaży. Za każdym razem dzieła pojawiały się w jego gabinecie niespełna godzinę po tym, jak kontaktował się z pełnomocnikiem sprzedawców. Pamiętał także, że były transportowane śmigaczem lądowym, nie powietrznym.

Mara domyśliła się, że musiano przechowywać je przed aukcją gdzieś w pobliżu. Złodzieje dzieł sztuki tak często włamywali się do baz danych domów aukcyjnych w nadziei znalezienia cennych łupów, że przechowywanie cennych obiektów w prywatnym domu byłoby i niebezpieczne, i nierozsądne. Oznaczało to, że sprzedawca najprawdopodobniej przechowywał je blisko, w jakimś sejfie, gdzie byłyby ukryte przed spojrzeciami wścibskich osób i bezpieczne, a zarazem łatwo dostępne.

Przeglądanie baz danych Crovny pozwoliło Marze znaleźć ponad pięćdziesiąt magazynów i składów usytuowanych w odległości nie większej niż godzina lotu lądowym śmigaczem od domu aukcyjnego Pevens. Większość nie dysponowała jednak odpowiednio dużymi pomieszczeniami. Nadawała się najwyżej do składowania zbędnych mebli albo kopii rejestrów firm, ale nie do przechowywania przedmiotów o wartości przekraczającej pół miliarda kredytów. Mara znalazła tylko jedną firmę spełniającą wszystkie wymagania, jakie mogły jej stawiać potencjalni sprzedawcy tak cennych dzieł sztuki.

Firma nosiła nazwę „Ośrodek Magazynowania i Odzyskiwania Braci Birtraub”. Ośrodek zajmował dużą przestrzeń niedaleko głównego kosmoportu miasta i stanowił kompleks połączonych ze sobą szarych budynków. Zawsze parkowało tam trzydzieści albo czterdzieści statków, a po terenie kręciło się kilka tysięcy pracowników, którzy przyjmowali, wydawali i przechowywali setki tysięcy pojemników i sejfów dziennie. Mara mogła łatwo uwierzyć w hasło reklamowe braci Birtraub, że są jedną z największych firm tej branży w całym sektorze Shelszy.

Ich firma miała jednak nieuchwytną cechę, która nie dawała spokoju wrażliwym na Moc zmysłom Ręki Imperatora. Może byli to posępni strażnicy, których widziała ze swojego miejsca przy stoliku kawiarenki po drugiej stronie ulicy? Ich twarze i ruchy zdradzały, że strażnicy pochodzą z Peryferii. A może chodziło o to, że wiele statków, których załogi przywoziły albo odbierały towary z lądowisk firmy braci Birtraub, miało w sposób oczywisty sfałszowane oznaczenia na kadłubie?

A może był to fakt, że sama obecność Mary przy stoliku pod oknem wzbudzała niepokój wszystkich pracowników kawiarenki, nie wyłączając tych, którzy pracowali na zapleczu?

Mara uniosła szklankę i upiła mały łyk ukradkiem zerkaając na wyświetlacz chronometru. Siedziała w lokalu od czasu południowego szczytu, ale w ciągu ostatnich trzech godzin wypila tylko dwie niewielkie porcje trunku i skłusa się na przelaskę w postaci przyprawianych ribenów. Cały ten czas nie odrywała spojrzecia od terenu firmy po drugiej stronie ulicy. W ciągu tych trzech godzin pracownicy kawiarenki dyskretnie ją obserwowali, prowadząc co jakiś czas ukradkowe rozmowy przez komunikator z niewidocznymi osobami. Mniej więcej od godziny rozmowy stały się częstsze i chociaż Mara znajdowała się zbyt daleko, żeby podслуchać ich treść, wyczuwała narastającą nerwowość.

Wcale jej to nie dziwiło. Jeżeli dyrektorzy firmy braci Birtraub mieli nieczyste sumienie, powinni natychmiast sprawdzić, w którym sąsiednim kosmoporcie stoi zaparkowany jej statek. Powinni też przeszukać wszystkie bazy danych, które mogłyby ujawnić jej tożsamość, a może nawet skontaktować się ze znajomymi z miejscowej policji, w nadziei, że pomogą im ją zidentyfikować.

Naturalnie wszystkie te starania na nie by się im nie zdały. Nazwisko na plakietce identyfikacyjnej Mary było fikcyjne, statek nie był nigdzie zarejestrowany, a jej twarz, odciski palców oraz wzór DNA nie figurowały w żadnej bazie danych, pamięci żadnego komputera czy androida śledzącego w całym Imperium. Ze wszystkich takich poszukiwań wynikłoby tylko jedno: Mara po prostu nie istniała.

Kątem oka zauważyła, że przejściem między stolikami zmierza w jej kierunku kierownik kawiarenki. Uwolniła myśli i posługując się Mocą, wysłała je w celu pospiesznego zbadania zamiarów mężczyzny. Kierownik był, jak cały czas, zdenerwowany, ale wykryła u niego determinację, której przedtem nie wyczuwała. Najprawdopodobniej ktoś w końcu doszedł do wniosku, że najwyższa pora przystąpić do działań.

– Przepraszam panią – odezwał się niepewnie mężczyzna.

Mara uniosła głowę i spojrzała na niego.

– Tak? – zapytała.

– Przykro mi, ale ten stolik będzie nam potrzebny – oznajmił kierownik – Obawiam się, że musi pani opuścić nasz lokal.

– Hm? – mruknęła Mara, rozglądając się po sali. Prawdę mówiąc w ciągu ostatnich trzydziestu minut sporo stolików zostało zajętych, ale prawie przy każdym siedziała tylko jedna osoba. Większość z nich wyglądała jak wynajęci bandyci, ulepieni z tej samej gliny co strażnicy przy drzwiach firmy braci Birtraub, więc argument kierownika nie był szczególnie przekonujący.

– Przykro mi, to prawda – ciągnął mężczyzna, machając ręką w stronę baru. Jeden z kelnerów, jakby tylko czekał na jego znak, ruszył ku stolikowi Mary, niosąc na tacy szklaneczkę trunku. – Ostatnia kolejka... naturalnie na koszt lokalu, a później będzie pani musiała go opuścić.

Kelner stanął przy stoliku i postawił przed nią drinka.

– Mam lepszy pomysł – odezwała się Mara. Uniosła szklankę i powąchała zawartość. Zapach był dobrze zamaskowany, ale jej technika wzmocnienia wrażliwości zmysłów aż nadto wystarczały, żeby go wykryć. – Zamiast szpikować mnie narkotykiem – mówiła dalej, mieszając trunek i odstawiając szklankę – dlaczego nie mielibyście przejść ze mną na drugą stronę ulicy, żeby uciąć sobie pogawędkę z braćmi Birtraub?

Kierownik zamrugał. Było oczywiste, że nie spodziewał się takiej propozycji.

– Ach... obawiam się, że nie rozumiem – powiedział.

– Nic nie szkodzi – pocieszyła go Mara, rozglądając się po sali. Zatrzywała spojrzenie na siedzącym przy stoliku dalej mężczyźnie, o kilka lat starszym niż reszta zbirów. Mężczyzna przyglądał się jej uważnie, chociaż udawał, że ignoruje jej rozmowę z kierownikiem. – Ty... – Mara wyciągnęła rękę w stronę mężczyzny. Skłońmy z tą ciuciubabką i spotkajmy się z twoim szefem.

Mężczyzna uśmiechnął się, udając rozbawienie, i omiół ją taksującym spojrzeniem. Na pewno zauważył jej skromny szary kombinezon i brak broni.

– Dlaczego pani uważa, że mój szef będzie zainteresowany tym, co pani ma mu do powiedzenia? – zapytał.

– Będzie, uwierz mi – odparła hardo Mara, patrząc mu prosto w oczy i napinając mięśnie.

Mężczyzna wahał się chwilę, ale w końcu wzruszył ramionami.

– Jak sobie pani życzy – powiedział. Wstał od stolika i wskazał drzwi. – Tędy.

Mara także wstała i wyciągnęła rękę po torbę, którą położył na sąsiednim krześle, ale uprzedził ją kierownik sali. Pochylił się i chwycił za rączki torby.

– Pomogę pani – stwierdził.

Mara kiwnęła głową na znak zgody i ruszyła do wyjścia z mężczyzną, którego uważała za herszta zbirów. Kiedy dotarła do drzwi, dwóch osiłków zerwało się od stolików i ruszyło za nią.

Na ulicy czekał na nich długi śmigacz lądowy. Mara i herszt zajęli miejsca na tylnej kanapie, a dwaj bandyci rozłożyli składane fotele i usiedli naprzeciwko nich.

– Do gabinetu pana Birtrauba – polecił herszt kierowcy. Pojazd włączył się do ruchu.

– Ma pan jakieś nazwisko? – zainteresowała się Mara.

Herszt wykrzywił usta w przelotnym uśmiechu.

– Pirtonna – przedstawił się. – A pani?

– Może pan mówić do mnie Claria – odparła Mara.

– Ładne imię. – Pirtonna wskazał jej torbę, którą trzymał na kolanach. – Czy mogę?

Mara kiwnęła głową. Miała tam swoją broń i sprzęt, ale wszystko, co mogło ujawnić jej prawdziwą tożsamość, ukryła w różnych elektronicznych przedmiotach użytku osobistego. Wątpiła, żeby Pirtonna poddał je szczegółowemu oględzinom, zanim dotrą do celu podróży.

I rzeczywiście. Chyba z minutę oglądał jej ubrania na zmianę i elektroniczne urządzenia, ale zaraz zamknął torbę i położył ją na kanapie obok siebie.

– Zadowolony? – zagadnęła Mara.

– Zawsze byłem – odparł mężczyzna, uśmiechając się do niej.

Kilka minut później kierowca unieruchomił pojazd przed niepozornymi drzwiami budynku usytuowanego na uboczu, między dwoma opustoszałymi hangarami. Pirtonna poprowadził Marę jasno oświetlonym korytarzem, a dwaj rośli bandyci szli kilka kroków za nimi. Marę uderzyło, że w przeciwieństwie do gwaru i ruchu na zewnątrz, w korytarzu i w pozostałych pomieszczeniach panowała zupełna cisza.

Kilka zakrętów dalej stanęli przed nieoznakowanymi drzwiami.

– Teraz wejdziemy do środka – odezwał się Pirtonna. Przycisnął płytkę zwalniającą zamek i gestem zaprosił Marę do wejścia.

Gabinet, w którym się znaleźli, nie mógł należeć ani do braci Birtraub, ani do nikogo, kto ma jakąkolwiek władzę. Biurko było stare i poplamione, krzesła skromne i niewyściełane, a źródła światła proste, chociaż jasne i funkcjonalne. Patrząc na rzędy szaf pod ścianami, Mara doszła do wniosku, że zaprowadzono ją do archiwum danych.

Zaraz potem zrozumiała, że mężczyzna z gniewną miną, siedzący za biurkiem, nie jest bynajmniej pionkiem.

– To ona? – wybuchnął, mierząc ją spojrzeniem od stóp do głów i z powrotem. – To z powodu tej... tej... dziewczyny się tak martwiłicie?

– Tak to ona – potwierdził stanowczo Pirtonna. – Jeśli ktoś nie figuruje w żadnych bazach danych, to zawsze jest podejrzane.

– Naprawdę tak jest? – zapytał cierpko mężczyzna.

– Naprawdę – oznajmiła Mara. Usłyszała napływający z tyłu szmer, wyчуła ruch powietrza i domyśliła się, że do gabinetu weszli dwaj bandyci. Chwilę później usłyszała cichy odgłos zamkniętych drzwi gabinetu.

– Którym z braci Birtraub pan jest? – zapytała.

Mężczyzna za biurkiem uśmiechnął się lekko, jakby z przyzwoitością.

– Tym bardziej wrednym – powiedział.

– Doceniam to – odparła Mara. – A zatem do rzeczy. Chcę znać nazwisko osoby, która półtora roku temu wynajęła tu pomieszczenie w celu przechowania sześciu bardzo cennych dzieł sztuki.

Birtraub wytrzeszczył oczy.

– Co takiego? zapytał, wyraźnie zaskoczony. Mara wyчуła, że aurę jego wrogości na sekundę zaćmiło oszołomienie. – Do przechowania dzieł sztuki?

– Właśnie przyznała Mara, starając się nie okazać zawodu. Wyczulone na Moc zmysły powiedziały jej, że Birtraub nie kłamie. Mężczyzna rzeczywiście nie wiedział nic na temat dzieł sztuki ani ich sprzedaży. Niedobrze... gdyby było inaczej, miałaby mu ułatwione zadanie, pomyślała. – W ostateczności zadowolę się listą wszystkich, którzy półtora roku temu wynajmowali tu wolną przestrzeń.

Dezorientacja Birtrauba zniknęła. Mężczyzna spochmurniał.

– Albo jest pani szalona, albo żartuje sobie ze mnie – powiedział.

– Tak? To może mi pan powie, dlaczego tak bardzo pana denerwują obce osoby obserwujące pana firmę? – zadała pytanie Mara.

Birtraub z kamienną twarzą zerknął na Pirtonnę. Szef zbirów kiwnął głową i stanął za jej plecami. Mara poczuła dotyk lufy broni na plecach między łopatkami.

Miała ochotę uśmiechnąć się z politowaniem. Co za amatorzy, pomyślała. Zawodowcy dobrze wiedzieli, że dotykanie przeciwnika lufą tylko pozwala mu się zorientować, w którym miejscu ta broń się znajduje.

– To wyjątkowo zły pomysł – ostrzegła. – Kary za napaść na imperialną agentkę są bardzo drastyczne.

Birtraub parsknął, ale Mara wyчуła promieniującą od niego niepewność.

– Pani jest imperialną agentką? – odezwał się pogardliwie. – Akurat!

– Pańscy ludzie mają pewnie nadzieję, że się pan nie myli – odezwała się spokojnie Mara.

Zorientowała się, że mężczyzna odzyskał pewność siebie.

– Dowiedz się, dla kogo pracuje – rozkazał. – A później ją zabij...

Zanim skończył mówić, Mara wykonała pół obrotu w lewo, niczym tancerka w pirucecie, i zamachnęła się lewą ręką. Cios w nadgarstek Pirtonny zmienił położenie lufy jego blastera. Szef zbirów wystrzelił, ale o ułamek sekundy za późno.

Skwiercząca niebieska błyskawica ogłuszającego strzału wbiła się w jedną z szaf. Mara chwyciła lewą dłoń nadgarstek Pirtonny i uderzyła go kantem prawej w staw łokciowy. Potem wykręciła mu rękę za plecy i wymierzyła blaster w bliższe z dwóch bandytów.

Pirtonna cały czas trzymał palec na spuście, więc Mara nie mogła strzelić z jego broni. W niczym jej to jednak nie przeszkodziło. Pomagając sobie Mocą, przycisnęła spust i posłała błękitną błyskawicę w pierś bandyty. Ułamek sekundy później zmieniła położenie lufy i w podobny sposób ogłuszyła drugiego. Wykręciła nadgarstek Pirtonny, który upuścił blaster, chwyciła broń i posłała ostatnią błyskawicę w tułów samego herszta zbirów.

Przerzuciła broń do prawej dłoni i wymierzyła lufę w twarz Birtrauba, zanim jeszcze pierwszy bandyta zdążył się zwalić na podłogę.

– Nastawiony na ogłuszanie – stwierdziła z aprobatą, kiedy ciało ostatniego zbira runęło ze stłumionym hukiem. – To oznacza, że Pirtonna nie był taki skory do zabijania jak pan. Rozsądny gość. Może przeżyje ten dzień. – Uniosła odrobinę wyżej lufę blastera. – A jaką pan ma na to szansę?

Birtraub zbladł jak ściana. Był tak spięty, że chociaż otworzył usta, nie mógł wymówić ani słowa.

– Bardzo mnie interesuje, dlaczego był pan gotów mnie zabić tylko za to, że znalazłam się w pobliżu pańskiej firmy – zagadnęła Mara.

Birtraub chrząknął, a na jego twarzy pojawił się wyraz rezygnacji.

– To z powodu... pewnego człowieka – wykrztusił w końcu z wysiłkiem. – Nazywa się Caaldra. Współpracuje z gangiem piratów... bardzo potężnym. Piraci przechowują tu mnóstwo zrabowanych towarów. Oni... nie lubią, jak się nimi interesują obce osoby.

– Nie mam im tego za złe – stwierdziła Mara. A zatem może jednak dzieła sztuki w sejfie moffa Glovstoaka w ogóle nie przeszły przez ręce Rebeliantów, pomyślała. – Gdzie mogę znaleźć tego Caaldrę?

Birtraub zbladł jeszcze bardziej.

– O, nie – jęknął. – Proszę, niech pani mnie o to nie pyta. Caaldra zabije mnie, jeżeli się dowie, że to ja pani o nim powiedziałem.

– Nigdy się tego nie dowie – zapewniła go Mara. – Gdzie mogę go znaleźć?

– Niczego pani nie rozumie. – Birtraub był wyraźnie zdesperowany. Kilka godzin po tym, kiedy panią schwytają, wszyscy stąd się od pani dowiedzą.

– Kilka godzin po tym, kiedy mnie schwytają, będą martwi – zapewniła Mara. – Gdzie go znajdę?

Birtraub głęboko odetchnął i zaplótł ręce na piersi.

– Nic z tego – oznajmił buntowniczo, jakby nie miał nic do stracenia. – Cokolwiek mi pani zrobi, nie może się to równać z tym, co mi robi Caaldra.

Mara wyduła pogardliwie wargi. Imperator często jej wytykał, że jest o wiele za młoda, żeby ludzie traktowali poważnie jej groźby.

– Jeżeli właśnie tego pan chce... – zaczęła. – W takim razie będę musiała go sama znaleźć. – Wykonała wymowny ruch lufą blastera w kierunku drzwi. – Proszę iść przodem.

Ulęgę, jaka zaczynała się malować na twarzy Birtrauba, ponownie zastąpiło przerażenie.

– Co takiego? – zachnął się mężczyzna.

– Nie sądzi pan chyba, że będę sama spacerowała po terenie, którego w ogóle nie znam – odparła rzeczowo młoda kobieta. – A poza tym Caaldra, jeżeli w końcu go znajdziemy, na pewno przystanie, przywita się z panem i zapyta, kim jest pana nowa przyjaciółka. A wtedy będzie pan mógł oficjalnie nas sobie przedstawić.

Birtraub ponownie zbladł jak ściana.

– Jest pani szalona – syknął. – Zapomnijmy o tym. Nie pójdę z panią.

– Nie ma pan wyboru – uświadomiła mu Mara.

– Mam uzbrojonych strażników na terenie całego ośrodka – postraszył ją mężczyzna.

– Tutaj też miał pan uzbrojonych strażników – przypomniała Mara, ruszając w jego stronę. – Traci pan czas. Idziemy.

Po zachowaniu Birtrauba zorientowała się, że jej rozmówca zamierza zrobić coś głupiego. Przygotowała się na to, ale szła dalej. Kiedy znalazła się blisko, Birtraub zebrał się na odwagę i wymierzył cios pięścią, celując w jej gardło z całą siłą, na jaką mógł się zdobyć.

Żadna siła i największa nawet desperacja nie mogły się jednak równać z jej wspomaganymi przez Mocę odruchami. Mara uchyliła się przed ciosem i pięść Birtrauba nieszkodliwie przecięła powietrze obok jej szyi. Mężczyzna stracił równowagę i kiedy przechylił się w jej stronę, Mara obróciła się na prawej pięcie, żeby zejść mu z drogi, gdy będzie się przewracał.

Niektórzy ludzie zrezygnowaliby w takiej chwili, ale Birtraub się do nich nie zaliczał. Jeszcze padając, zaklął i usiłował ją kopnąć. Mara się uchyliła i niemal odruchowo podcięła mu drugą nogę.

Mężczyzna runął na twarz i w końcu zrezygnował ze stawiania oporu.

– To co, jesteś gotów? – wycedziła Mara cicho, kopiąc go w zebra szpicem buta.

Birtraub skrzywił się z bólu, wsparł się na ręce i odwrócił, żeby spojrzeć na swoją prześladowczynię.

– Magazyń czernasty – wychrypiął, krzywiąc się, jakby wypowiedzenie tych słów sprawiło mu jeszcze większy ból. Mogło zresztą tak być, zważywszy, z jakim impetem runął na podłogę.

– Wschodnie skrzydło kompleksu. – Przeniósł spojrzenie na nieprzytomnych podwładnych. – Jeżeli cię złapią, powiedz im, że dowiedziałś się tego od Pirtonny.

Mara uśmiechnęła się pogardliwie. Typowe, pomyślała.

– Dziękuję – powiedziała, opuszczając lufę pożądanego blastera. – Pamiętaj, że jeżeli nie zastanę tam Caaldry, wrócę tu i utnę sobie z tobą kolejną pogawędkę – powiedziała.

Wystrzeżona i mężczyzna znów runął na twarz, porażony błękitną błyskawicą ogłuszającego strzału. Mara zabrała swoją torbę i ruszyła opustoszałymi korytarzami do wyjścia.

W kabinie długiego śmigacza lądowego czekał cierpliwie kierowca. Mara ogłuszyła go jednym strzałem i zaciągnęła jego zwiotczałe ciało pod ścianę pustego magazynu, gdzie nie będzie się rzucał w oczy. Wróciła do śmigacza, usiadła na

fotelu kierowcy i odleciała.

Jak mogła się spodziewać, magazyn czernasty mieścił się obok ładowiska numer czternaście, na którym spoczywał frachtowiec typu Crescent firmy Hyrotii Engineering. Takie statki stanowiły zazwyczaj zabawkę rozkaprysonych dzieciaków z zamożnych rodzin, jeszcze raz jednak wygląd stał w sprzeczności z przeznaczeniem. Zataczając powoli krąg nad zewnętrznym podjazdem kompleksu, Mara postanowiła przyjrzeć się statkowi. Zauważyła zamaskowane wyłoty laserów oraz wyrzutni torped i sfalszowane oznaczenia na kadłubie. Zwróciła uwagę na to, że zarówno samego statku, jak i szeroki wrót towarowych magazynu strzegli nienagannie ubrani, chociaż wojowniczo wyglądający ludzie. Za wrotami, na uboczu, dostrzegła trzy ładowe śmigacze ze znakami firmy braci Birtraub na burtach. Przez wrota było także widać grupę robotników, którzy ładowali okratowane skrzynie na repulsorowe wózki i wjeżdżali nimi po rampie załadunkowej frachtowca. Sam magazyn wyglądał na dobrze zaopatrzony, bo w wielu miejscach stały stosy skrzyń. Przelatując naprzeciwko wrot, Mara zwróciła szczególną uwagę na stosy, które ustawiono pod tylną ścianą.

Kiedy dotarła na tył magazynu czernastego, przekonała się, że jego ściana sąsiaduje z tylną ścianą innego budynku o podobnych rozmiarach, podzielonego na mniejsze segmenty do składowania towarów. Oba budynki oddzielała wąskie przejście, niewątpliwie potrzebne w razie konieczności dokonywania napraw urządzeń. Mara unieruchomiła śmigacz, wyskoczyła z kabiny i wślizgnęła się między oba budynki. Podeszła pod tylną ścianę magazynu czernastego, kryjąc się za stosem skrzyń, które powinny ją zasłonić przed spojrzeniami pracujących tam tragarzy. Uwolniła myśli i posługując się Mocą, upewniła się, że w pobliżu nie ma nikogo, kto by ją mógł zaskoczyć. Otworzyła torbę i przystąpiła do działania.

Zaczęła od wyjęcia świetlnego miecza, którego rękojeść ukryła w długim czytniku i analizatorze danych. Urządzenie miało trzy ukryte zatrzaski, rozmieszczone w takich odległościach, żeby nie dało się przycisnąć wszystkich równocześnie. Mara nacisnęła dwa z nich palcami i wywarła nacisk na trzeci, posługując się Mocą. Wyłuskała świetlny miecz i wsunęła go za pas, żeby był pod ręką. Wyjęła z torby jeden z dwóch komputerowych notesów, wyciągnęła z niego mały blaster w kaburze i przywiązała ją do lewego przedramienia. Upewniła się jeszcze raz, że w pobliżu nie ma nikogo, po czym cofnęła się pod ścianę drugiego budynku i zapaliła klingę świetlnego miecza.

Rozległ się znajomy trzask i wysunęła się z szykiem kolumna na szkarłatnego światła. Miała niespotykany kolor, jak wyjaśnił jej Imperator, kiedy ją uczył, jak hodować kryształy do budowy takiej broni. Podobno w ciągu ostatnich stu lat tylko raz widziano podobny kryształ. Palpatine nie powiedział jej, skąd go zdobył. Zapewne kryształ stanowił część jednej z kolekcji broni, dzieł sztuki i prastarych artefaktów, które Imperator przechowywał w wielu miejscach Imperium.

Kilka sekund Mara trzymała klingę nieruchomo, wpatrując się w nią i pozwalając, żeby widok szkarłatnego światła przeniknął najpierw do jej umysłu, a później do dłoni. Potem rozstawiła szeroko nogi, opuściła klingę i delikatnie wbiła szpic w ścianę przed sobą.

Ściana była gruba i potężnie zbrojona, więc dopiero przy trzecim ostrożnym pchnięciu Mara ustaliła jej właściwą grubość. Polem jednak wszystko już było proste. Wetknęła ostrze tylko na tyle głęboko, żeby wbiło się w ścianę, ale nie przeszło na drugą stronę, gdzie jego blask mógłby w ciemności zwrócić czyjąś uwagę. Wycięła ostrożnie trójkąt zwrócony szpicem w dół, na tyle duży, żeby mogła się prześlizgnąć na drugą stronę. Wyłączyła energetyczne ostrze, chwyciła Mocą wycięty fragment ściany i popchnęła.

Trójkąt oderwał się od ściany z cichym zgrzytem, a Mara pozwoliła, żeby osunął się bezgłośnie na podłogę po drugiej stronie. Był cięższy niż wyglądał, więc musiała się bardziej skupić, żeby popchnąć go po podłodze jeszcze pół metra dalej. Ostrożnie zajrzała do środka.

Kolejny raz bardzo jej pomogły ćwiczenia pamięci, jakim ją poddawał Imperator. Wycięty otwór znajdował się dokładnie za środkiem stosu okratowanych skrzyń pod tylną ścianą magazynu.

Mara sięgnęła po torbę i popchnęła trójkątny fragment muru jeszcze metr dalej. Upewniła się, że nikt jej nie widzi, i wślizgnęła się do środka, a później posłużyła się Mocą, żeby umieścić wycięty kawałek ściany na poprzednim miejscu. Wcisnęła torbę w mroczną szczelinę między dwiema skrzyniami, żeby nie rzucała się w oczy, wsunęła za pas rękojeść świetlnego miecza i podeszła do krawędzi stosu.

Kiedy zobaczyła tyle okratowanych skrzyń, przewożonych na repulsorowych wózkach do ładowni statku, w pierwszej chwili pomyślała, że piraci dowiedzieli się o jej śledztwie i próbują uciec ze zrabowanymi towarami. Obecnie jednak doszła do wniosku, że chodzi o coś innego. Obsługujący wózki tragarze – zarówno mężczyźni, jak i obce istoty – nie ładowali skrzyń jak popadnie ale zabierali tylko te z dwóch stosów w pobliżu wrot magazynu. Mara zauważyła także, że do załadowania pozostało już tylko kilkanaście skrzyń. W dodatku tragarze byli ubrani inaczej niż sześciu mężczyźni i obcych, nadzorujących ich pracę. Wszystko wskazywało, że w magazynie odbywa się podział łupów.

Mara uwolniła myśli i korzystając z Mocy, wysłała je do obu grup osób. W umysłach tragarzy wyczuła tylko odrobinę buntu i lekką niepokój, typowy dla przestępców, ale ani śladu okrucieństwa, jakie zazwyczaj charakteryzowało zawodowych zabójców. Doszła do wniosku, że to zwykli przemytnicy, a może paserzy. U pozostałych osób wyczuła jednak nie tylko okrucieństwo, ale także arogancję i przewrotną satysfakcję, a nawet coś w rodzaju dumy. Każda z nadzorujących tragarzy osób miała długą, wyraźnie widoczną bliznę na lewym policzku – lub też w miejscu, które u obcych istot mogło uchodzić za policzek. Zważywszy na ich ubrania i ilość łupów w magazynie, Mara się domyśliła, że ma do czynienia z piratami, o których wspominał Birtraub.

Wciąż jeszcze jednak nigdzie nie widziała szefa tego interesu. Omiatając spojrzeniem i myślami wnętrze magazynu, dostrzegła w końcu Caaldre. Stał samotnie obok stosu skrzyń po jej lewej stronie.

Nie wyglądał groźnie, przynajmniej na pierwszy rzut oka. Był przeciętnego wzrostu i średniej budowy ciała, ubrany w zwykłą ciemnoczerwoną tunikę, czarne spodnie i czarne buty. Nie nosił broni, przynajmniej na wierzchu, a rysy jego twarzy nie wyróżniały się niczym szczególnym.

Szkolenie Mary i jej wrażliwość na Moc pozwoliły jej jednak dostrzec coś jeszcze. Mężczyzna miał czujne, badawcze spojrzenie, a w tunicy i w butach ukrywał egzotyczne i śmiertelne narzędzia mordu. Wyglądał na rozleniwionego, ale Mara wyczuła, że w jego niepozornym ciele kryje się natura gotowego do walki drapieżnika. W przeciwieństwie do Pirtonny i jego zbirów, a nawet do otaczających go bezwzględnych piratów, mężczyzna był urodzonym wojownikiem.

To musi być Caaldra, pomyślała Mara.

Obserwowała go jeszcze jakąś minutę. Zauważyła, w jaki sposób mężczyzna lustruje spojrzeniem wnętrze magazynu i jak trzyma dłoń w pobliżu broni, a raczej kryjówek w subtelnych fałdach ubrania i niewielkich wypukłościach cholewek butów. Wyczuwała, że mężczyzna układa w głowie wojownicze plany, podczas gdy inni w magazynie są zajęci wyłącznie własnymi sprawami.

W pewnej chwili jeden z piratów obserwujących pracę tragarzy odwrócił się i ruszył w stronę Caaldry. Sądząc po wieku i po liczbie niewątpliwie kradzionych świecidełek, które powiesił sobie na piersi bluzy, pirat musiał pełnić w bandzie ważną funkcję. Rozglądając się czujnie po magazynie, cały czas ukryta w mroku za stosami skrzyń, Mara podkrađła się bliżej.

Dotarła do miejsca między dwoma stosami bliżej Caaldry, w tej samej chwili, kiedy stanął przed nim pirat. Kucnęła, wychyliła lekko głowę za najniższej skrzyni i posłużyła się technikami i wzmocnienia wrażliwości zmysłów.

– ...prawie skończyliśmy – meldował pirat. – Możesz być zadowolony, że zabieramy stąd te futra.

– Nie ma na nich dużego zysku – zauważył Caaldra.

– Każdy zysk się liczy – sprzeciwił się pirat. – Futra zawsze zajmują o wiele więcej miejsca niż są warte. – Wyciągnął rękę w stronę rozmówcy. – To jakie mamy następne cele?

– Zobacz sobie – odparł Caaldra, wyciągnął kartę danych i wręczył ją piratowi. – Dziesięć statków, pierwszy i trzeci dla mnie... – Urwał i dodał po chwili: – To oznacza także ich zawartość, chyba rozumiesz Shakko. Dopilnuj, żeby Komodor wyjaśnił swoim ludziom, co się stanie, jeżeli tym razem trafi się jakikolwiek... przeciek.

Komodor, pomyślała Mara i wykrzywiła usta w pogardliwym uśmiechu. Przywódcy piratów zawsze uwielbiali pompatyczne tytuły i związany z nimi prestiż.

– Tak, tak powiem mu to – burknął Shakko. – Nie martw się... sam biorę pierwszy cel.

– Świetnie – stwierdził Caaldra. – Wylatują z kosmoportu za trzy dni, a najlepsza pora na urządzenie zasadki wypada dwa dni później, więc będziecie mieli mnóstwo czasu. Pozostałe cele powinny się znaleźć w zasięgu innych waszych statków.

– Mnóstwo czasu, jeżeli nie nawalą ci parszywi przemytnicy – mruknął Shakko. Odwrócił się do tyłu. – Hej, Tannis! – zawołał.

Jeden z pozostałych piratów odkleił się od ściany, którą dotąd podpierał, i podszedł do niego.

– Tak? – zapytał.

– Weź Vickersa i jeden ze śmigaczy – rozkazał Shakko. – Polećcie na pokład statku i wyślecie tę listę Komodorowi. – Wręczył podwładnemu kartę danych. – Później skontaktujesz się z Biscem i powiesz mu, że ma pół godziny na zakończenie ładowania zaopatrzenia i umieszczenie go w ładowniach.

– Chcesz, żeby m zaczął przygotowywać statek do startu? – zapytał Tannis.

– To może poczekać, dopóki tu nie skończymy – stwierdził Shakko. – Skontaktuję się z tobą i powiem ci, kiedy masz się tym zająć.

– W porządku. – Tannis ruszył w kierunku wrót, zabierając ze sobą jednego z pozostałych piratów.

Mara nie czekała, aż usłyszy coś więcej. Szybko wycofała się do mrocznego miejsca, w którym pozostawiła torbę i wycięła trójkąt w tylnej ścianie. Było jasne, że wróćce przemysłowcy, piraci i Caaldra polecą w różne strony, a nawet Ręka Imperatora nie dałaby rady śledzić trzech celów naraz.

Naturalnie mogła wrócić na pokład swojego statku i wezwać pomoc. Nawet jednak gdyby w pobliżu znajdowały się wojska Imperium, które by zareagowały wystarczająco szybko na jej wezwanie, raczej nie dałoby rady dyskretnie kogoś śledzić. Oznaczało to, że jest zdana wyłącznie na własne siły.

Na szczęście doskonale wiedziała, co powinna zrobić. Caaldra może i był intrygującą postacią, jednak to piraci zamierzali wyruszyć na wyprawę, podczas której będą łupić i mordować. To oni stanowili główne zagrożenie dla Imperium i jego obywateli, więc Mara musiała zapobiec przede wszystkim temu.

A poza tym podczas rozmowy z Shakką Caaldra powiedział, że pierwszy i trzeci cel należą do niego. Ciekawe byłoby się dowiedzieć, dlaczego tak bardzo mu na nich zależy.

Trzy minuty później Mara znalazła się znów w kabine „pożyczanego” śmigacza ładowego. Włączyła silnik i trzymając się w przyzwoitej odległości, podążyła za dwoma piratami, którzy także przelatywali nad podjazdem otaczającym firmę braci Birtraub.

Statek Shakka był zaparkowany na lądowisku po zachodniej stronie kompleksu, na tyle blisko magazynu, żeby dało się szybko przetransportować towary, a zarazem na tyle daleko, aby przypadkowy obserwator nie od razu odgadł związek, jaki mógł łączyć użytkownika magazynu z piratami. Jednostka była średniej wielkości korelańskim frachtowcem typu HT-2200, miała niemal sześćdziesiąt metrów długości i cztery klimatyzowane ładownie. Z daleka wyglądała jak wielkie zwierzę pociągowe, ale, podobnie jak w przypadku statku przemysłowców, wygląd zewnętrzny mógł mylić.

Piraci nie pozostawili na lądowisku żadnego strażnika, lecz Mara od razu się zorientowała, że na pokładzie czuwa przynajmniej jeden członek załogi. Rampa ładownicza zaczęła opadać, zanim jeszcze Tannis zastopował śmigacz ładowy obok wysuniętego bardziej na lewo jednego z dwóch sterujących ku dziobowi dźwigów ładunkowych. Obaj piraci zostawili śmigacz na płycie lądowiska, wyskoczyli z kabiny i wbiegli po rampie, która natychmiast zamknęła się za nimi. Mara wiedziała, że ten typ frachtowca ma drugą rampę w prawym ramieniu ładunkowym, ale tamta rampa z pewnością była strzeżona równie pilnie jak pierwsza.

Nie szkodzi. I tak nie zamierzała wchodzić tamtędy na pokład statku.

Gdyby nie zmieniła wektora, przeleciałaby w odległości mniej więcej dwudziestu metrów od rufy frachtowca. Skręciła lekko, żeby jej pojazd przeleciał za róg najbliższego magazynu firmy braci Birtraub, gdzie byłby niewidoczny dla członków załogi pirackiego statku, gdyby go zastopowała albo pozwoliła, aby się rozrząsał. Chwyła rączki torby i kiedy śmigacz przelatywał za frachtowcem, wyrzuciła ją na płytę lądowiska i wyskoczyła z kabiny.

Uderzyła stopami w permabetonową płytę, przeturlała się dwa razy dla wytracenia impetu, szybko wstała, podniosła torbę i podbiegła do rufy pirackiego frachtowca. Przystanąła pod czterema ogromnymi dyszami wylotowymi i jednostek napędowych, żeby ostatni raz omieścić spojrzeniem okolice. Odrzuciła się, wrzuciła torbę do najbliższej dyszy z prawej strony i pomagając sobie Mocą, wskoczyła do otworu.

Dysza nie była na tyle duża, żeby dało się w niej wyprostować, ale wystarczająco obszerna, aby mogła kucać. Uwolniła myśli, żeby sprawdzić, czy mimo wszystko ktoś jej nie zobaczył. Była pewna, że w dyszy nie zainstalowano sensorów optycznych ani kamer, bo silne promieniowanie podczas lotu niewątpliwie by je zniszczyło. Mogła jednak przeoczyć jakiegoś strażnika na płycie lądowiska.

Jeżeli nawet ktoś zwrócił uwagę na tak niezwykły sposób dostawania się Mary na pokład statku, nie wszczął alarmu. Mara odsunęła torbę na bok, żeby jej nie przeszkadzała, i wyciągnęła świetlna miecz zza pasa, aby powiększyć otwór między dyszą a komorą reaktora. Czełała ją nietrawne zadanie, które kilkakrotnie ćwiczyła, ale którego ani razu nie wykonywała w praktyce. Problem polegał na tym, żeby przeciąć fragment bocznej izolacji i osłony – co mogło zmniejszyć czas pracy silnika, ale nie narażało na szwank nikogo na pokładzie frachtowca – i nie uszkodzić przy tym żadnego przewodu ani rurociągu zasilającego czujniki czy systemy chłodzenia.

Na szczęście, przy tak dużych jednostkach napędowych miała mnóstwo miejsca. Zanim przecięła czwartą część osłony, utworzył się otwór wystarczająco duży, aby mogła się przez niego przecisnąć. Wyłączyła klingę miecza, przesłała na drugą stronę i znalazła się w komorze reaktora.

Przy niektórych typach silników trzeba było przejść co najmniej przez jeszcze jedno pomieszczenie, zanim dało się dostać do wnętrza statku. Pomyślni konstruktorzy firmy Corellian Engineering Corporation przewidzieli jednak taką sytuację. Zaprojektowali w ścianie komory reaktora okrągły właz, przez który mógł się przecisnąć człowiek, a także kilka standardowych otworów dla automatów remontowych i sprzętających.

Ścianki włazu miały grubość kilku centymetrów i były uszczelnione z przeciwnej strony, ale dla Ręki Imperatora nie stanowiło to żadnej przeszkody. Mara zapaliła klingę świetlnego miecza i weisnęła szpic między kłapę włazu a framugę. Starła się nie wyrządzić więcej szkód samemu materiałowi, dopóki nie poczuła, że szpic klingi przebija się na drugą stronę. Przemieściła ostrze w dół i w górę, aż poczuła lekki opór, który uświadomił jej, że przecięła zamek. Wyłączyła klingę broni, wyjęła blaster z kabury na przedramieniu i ostrożnie pchnęła kłapę włąza.

Zobaczyła niewielkie i zagracone, ale zdumiewająco czyste pomieszczenie techniczne. Nikogo w nim nie było, ale Mara wiedziała, że na pokładzie statku przebywają Tannis, Vickers i przynajmniej jeszcze jeden członek załogi. Wróćce mieli się zjawić także Shakko i pozostali piraci, więc jej samotność nie mogła trwać długo.

W pierwszej kolejności musiała uszczelnić właz. Podeszła do kąta, gdzie stał regał z narzędziami, sięgnęła po spawarkę i starannie zaklepiła otwór wycięty w ścianie. Spaw nie był idealny, ale podczas pobieżnych oględzin nie powinien wzbudzić niczych podejrzeń.

Najważniejsze, żeby właz pozostał szczelny nawet pod wpływem wysokiego ciśnienia, jakie na pewno panowało w komorze reaktora po drugiej stronie. Mara niewiele by osiągnęła, gdyby piracki statek, do którego z takim trudem się dostała, zaraz po starcie eksplodował pod jej stopami.

Wyjście z pomieszczenia technicznego prowadziło do świetlicy dla załogi. Mara zobaczyła przestronną salę, z której można się było dostać do kuchni, pokładowego ambulatorium i kabin dla ośmiu członków załogi. Po drugiej stronie świetlicy zobaczyła odporne na blasterowe strzały drzwi do sterowni, a po ich obu stronach wyloty dwóch identycznych korytarzy, wiodących do sterburtoowego i bakburtoowego ramienia ładunkowego. Chwyła jedną ręką torbę, a drugą mały blaster i skierowała się do korytarza po stronie sterburty. Kiedy tam dotarła, usłyszała stłumione głosy i cichy odgłos kroków, więc przyspieszyła. Korytarz przed nią zwał się i zakłęcał, żeby ominąć jakieś pomieszczenie – chyba umieszczoną w wewnętrznej ścianie ramienia ładunkowegoabinę członka załogi. Mara ruszyła w tamtą stronę... ale ostrzegło ją niespodziewane świerzbienie Mocą. Pół sekundy później zamek cicho szczełknął i płyta drzwi kabiny schowała się w ścianie.

Na progu stanął Tannis. W pierwszej chwili jej nie zauważył, bo wpatrywał się w kartę danych w dłoni, ale wszystko wskazywało, że zamierza wyjść z kabiny. Wcześniej czy później musiał zobaczyć Marę, która nie mogła niepostrzeżenie przesłizgnąć się obok niego i zniknąć w głębi korytarza. Nie miała także dość czasu, żeby się cofnąć i ukryć w świetlicy, zanim pirat ją zauważy.

Mogła zrobić tylko jedno. Uwolniła myśli i posługując się Mocą, z całej siły pchnęła mężczyznę, tak że skronią uderzył w ościeżnicę.

Tannis zwał się bezgłośnie na pokład niczym szmaciana kukła. Mara kucała obok niego i odruchowo sprawdziła puls, rozglądając się gorączkowo w poszukiwaniu natchnienia. Zyskała trochę czasu, ale tylko trochę. Musiała szybko wymyślić jakiś naturalny powód upadku Tannisa. Zerknęła w głąb jego kabiny, rozejrzała się po korytarzu i w końcu uniosła głowę. Dopiero tam znalazła odpowiedź.

Pod sufitem korytarza biegło pięć rurek. Wyginały się żeby ominąć wystającąabinę Tannisa, po czym znikwały w ramieniu cumowniczym. Jeżeli barwne paski na każdej rurce oznaczały, to co powinny – zgodnie ze standardowym kodem oznakowań – to dwiema rurkami płynęła woda, jedną chłodzący płyn do klimatyzatorów ładowni, jedną chłodziwo do laserów systemu uzbrojenia pirackiego statku i ostatnią – hydrauliczny płyn do silowników rampy ładowniczej.

A któżkolwiek przemierzał galaktyczne szlaki, doskonale wiedział, że hydrauliczny płyn w połączeniu z wodą tworzy bardzo niebezpieczną, bo wyjątkowo śliską mieszaninę.

Nad kabiną Tannisa tuż przed miejscem, gdzie rurki się wyginały, znajdował się zacisk mocujący. Mara zapaliła klingę świetlnego miecza i wsunęła ją za zacisk. Delikatnie tarła klingą o metal jednej rurki, aż po ścianie zaczęła spływać strużka wody. Powtórzyła zabieg z drugą rurką i po chwili do strużki wody dołączyła również cienką strużką hydraulicznego płynu.

Mara ominęła kałużę, która zaczynała się rozlewać po płytach pokładu, i ułożyła nogi leżącego Tannisa w taki sposób, żeby podeszwy jego butów znalazły się w kałużu.

Jak wszystkie oszustwa, to także było bardzo prymitywne. Gdyby piraci nabrali podejrzeń, domyśliliby się prawdy w ciągu dziesięciu minut.

Shaako nie wyglądał jednak na człowieka z bujną wyobraźnią, a poza tym Mara była niemal pewna, że wcześniej czy później i tak będzie musiała zabić wszystkich piratów. Gdyby odgadli prawdę, musiałoby to nastąpić raczej wcześniej. Ostrożnie, żeby nie wdepnąć w kałużę, ruszyła korytarzem w kierunku tej z dwóch ładowni, która znajdowała się bliżej dziobu.

Jak podejrzewała, odkład zobaczyła przewód z chłodzikiem do laserów, piraci rzeczywiście zainstalowali na pokładzie statku dodatkowe systemy uzbrojenia. Nie spodziewała się jednak, że modyfikacje mają aż taki zakres. Cała dziobowa ładownia wyglądała jak stanowisko artylerii. Mara zobaczyła dwa zestawy poczwórnych laserów, niewielkie działko jonowe i zdecydowanie nielegalną wyrzutnię protonowych torped typu Krupx MG7. Większość pozostałego miejsca zajmował kanciasty transportowiec krótkiego zasięgu typu Cygnus 5, niewątpliwie przeznaczony do przewożenia grup abordażowych, kiedy załoga przechwyczonego statku już została zmuszona do poddania. W jednym kącie ładowni Mara odkryła niewielki arsenał z karabinami blasterowymi i granatami, a pod przeciwległą ścianą szafę z próżnioszczelnymi skafandrami, hełmami i zbiornikami z tlenem. Prawdopodobnie chodziło o możliwość otwierania wrót dziobowej części ładowni, żeby piraci mogli skorzystać z całego asortymentu broni, jaką mieli do dyspozycji na pokładzie frachtowca.

Mara nie widziała żadnego miejsca odpowiedniego na kryjówkę, a musiała spędzić gdzieś bezpiecznie czas, jaki pozostawał do ataku. Na szczęście znalazła coś w drugiej dziobowej ładowni, usytuowanej bliżej rufy. Jedną czwartą powierzchni zajmowały tam stopy okratowanych skrzyń i baryłki z ukradzionymi towarami. Na niektórych Mara zauważyła zwęglenia po oddanych z bliska blasterowych strzałach. Poprzestawiała skrzynie i wygospodarowała wśród nich przytulną małą norę.

Jej szary kombinezon był wymięty i bardzo poplamiony od przeciskania się przez dyszę wylotową jednostki napędowej. Mara miała na zmianę inny kombinezon, a nawet coś w rodzaju oficjalnego kostiumu. Woląла jednak włożyć coś bardziej odpowiedniego do obecnej sytuacji.

Kilka minut zajęło jej przebranie się w strój bojowy – obcisły czarny kombinezon, wysokie buty, pas z bronią i ochraniacze na kolanach, które mogły się przydać podczas walki. Na prawym biodrze zawiesiła blaster typu BlasTech K-14, na lewym rękojeść świetlnego miecza, a w cholewach butów ukryła dwa małe sztylce.

Nie był to pewnie równie imponujący arsenał broni jak ten, jakim dysponował Caaldra, ale wystarczył do jej potrzeb. Odpięła rękawy, bo spodziewała się, że w ładowni będzie bardzo ciepło, i postanowiła nie wyjmować płaszcza z torby. Na pokładzie statku raczej nie będzie walczyć w niemal zupełnej ciemności, kiedy to płaszcz mógłby maskować jej sylwetkę, a jeżeli piraci nie mieli broni z automatycznymi systemami celowniczymi, nie będą jej potrzebne wszyte w podszewkę sensory, zakłócające działanie takich urządzeń.

W końcu doszła do wniosku, że jest przygotowana. Jeżeli wierzyć słowom Caaldry, piraci mieli jeszcze pięć dni do akcji. W ciągu tego okresu musiała znaleźć kartę danych z informacjami, jakie Caaldra przekazał szefowi piratów. Dopiero później będzie mogła zdecydować, co dalej.

Jej wyprawa, która zaczęła się od poszukiwania domniemanych kontaktów Moffa Glovstoaka z Rebeliantami, przybrała niespodziewany obrót. Mara zastanowiła się, czy zanim znajdzie odpowiedzi na dręczące ją pytania, nie będzie świadkiem następnych zwrotów sytuacji.

Wyciągnęła się na płytach pokładu swojej nory i położyła głowę na torbie, która miała jej odtąd służyć za poduszkę. Odwinęła z folii rację żywnościową i uzbroiła się w cierpliwość.

Rozdział 7

– Czasami Moc ma niesamowite poczucie humoru – stwierdziła cierpko Leia.

– A przynajmniej poczucie ironii – odezwał się generał Rieekan, marszcząc brwi i spoglądając na ekran komputerowego notesu. – Czy możemy być pewni, że tamci szurmowcy nie mieli pojęcia, kogo wybawiają z opresji?

– Chyba aresztowaliby grupę Tragarza, gdyby wiedzieli – powiedział Luke.

– Mogli poczekać... w nadziei, że nie dokonamy zmiany naszych szlaków zaopatrzeniowych – podsunęła księżniczka, omiatając badawczym spojrzeniem twarz chłopaka. Widziała, że coś nie daje mu spokoju... coś więcej niż zadanie, do którego się przygotowywali, a nawet niż zagadka niespodziewanej pomocy, jakiej szurmowcy udzielili komórcie Rebeliantów na planecie Drunost. – Pozwolili im odjechać, licząc na to, że z czasem wpadną im w ręce grube ryby.

– Kwatermistrz zameldował, że nikt nie śledził jego statku – przypomniał Rieekan. – A od tamtej pory sam Tragarz kontaktował się kilkakrotnie z Celowniczą i ani razu nie wspominał o kłopotach.

– Mimo to może byłoby lepiej zamknąć tę trasę przerzutową – zasugerowała Leia. – Przynajmniej na razie.

– Nie jestem pewien, czy możemy sobie na to pozwolić – sprzeciwił się generał. – W tej chwili w sektorze Shelsy grasuje wiele band rozbójników i piratów. Jeżeli zamkniemy ten szlak przerzutowy, możemy mieć duże kłopoty ze zorganizowaniem następnego.

– To powinno wprawić Chivkyriego w nastrój odpowiedni do negocjacji – mruknął Luke.

Leia się skrzywiła. Chłopak miał rację. Chivkyrie i tak uważał, że przywódce Sojuszu go lekceważą, więc nikt nie chciał wydłużyć listy jego pretensji.

– To oznacza, że zanim powiemy mu o tym problemie, musimy mieć gotowe rozwiązanie – stwierdziła księżniczka. – Co wiemy na temat tych piratów?

– Należy zacząć od tego, że działają prawie wszędzie – odparł Rieekan. – Kwatermistrz wspominał coś o bandzie zwanej Krwawymi Szramami, ale jedna grupa nie może być tak duża, żeby wyrządzać szkody w całym sektorze. Prawdopodobnie mamy do czynienia z wieloma bandami, które podzieliły między siebie sektor na indywidualne strefy wpływów.

– Moim zdaniem należy zacząć od zdobycia wiarygodnych informacji – zaproponowała Leia. – Ktoś musi tam polecieć i pogadać z członkami naszej grupy przerzutowej. Dopiero wówczas będziemy mogli zdecydować, czy damy radę się uporać z sytuacją.

– Według mnie powinna to być osoba, która wie na temat takich podejrzanych typów więcej niż my wszyscy razem wzięci – zauważył młody Skywalker.

Leia zmarszczyła brwi i spojrzała na niego z nagłym zrozumieniem.

– Masz na myśli Hana Solo? – zapytała.

Luke wzruszył ramionami, ale nie wyglądał na zachwyconego jej pytaniem.

– Chyba tak – przyznał niepewnie. – Nie podoba mi się wprawdzie pomysł narażania go na takie niebezpieczeństwo...

– Może nie być tak duże, jak sądzisz – uspokoił go generał.

W końcu ma tylko zbierać informacje, a nie walczyć w pojedynkę z piratami.

– Wiem – zgodził się z nim Luke, ale nie wyglądał na przekonanego. – Chodzi o to, że... Han chyba nie bardzo tu pasuje. Jeżeli nie proponujemy mu czegoś, w czym będzie się mógł wykazać, prawdopodobnie go stracimy. – Spojrzał na Rieekana. – A chyba nie chcemy do tego dopuścić, prawda?

– W takim razie powinniśmy mu dać to zadanie – zdecydował Rieekan.

– Zgadzą się – odparła Leia. Musiała jeszcze coś dodać, choć trochę się bała. W ciągu krótkiego okresu znajomości z Lukiem poznała go i polubiła, więc była pewna, że chłopakowi się nie spodoba to, co zamierzała powiedzieć. – A jeżeli Han się zgodzi moim zdaniem powinien mu towarzyszyć Luke.

Chłopak rozchylił wargi i otworzył trochę szerzej oczy.

– Sądzilem, że mam lecieć z tobą – powiedział.

– Moje spotkanie z zaufanymi przywódcami Sojuszu odbędzie się w bezpiecznym miejscu w głębinach przestworzy – przy – pomniła księżniczka. – W przeciwieństwie do mnie Han trafił w środowisko przestępców, będzie także musiał wymykać się Imperialcom i patrolom miejscowego rządu. Będzie cię potrzebował bardziej niż ja.

– Przecież ma do pomocy Chewiego – sprzeciwił się Luk – Nigdy dotąd nie potrzebował nikogo innego.

– Bo do tej pory nie figurował na imperialnych listach poszukiwanych osób – zauważył Rieekan. – Zgadzą się z księżniczką. Jeżeli Han zgodzi się polecieć, ktoś zaufany powinien mi towarzyszyć w tej podróży.

– Ale... – Luke urwał, skrzywił się i ciężko westchnął. – Zgoda, macie rację – podjął z rezygnacją. – Chcecie, żebym mu to powiedział?

Rieekan pochwycił spojrzenie Leii i uniósł brwi.

– Nie, ja to zrobię – odparła księżniczka, wstając z fotela.

Generał spojrział na młodego Skywalkera.

– A ja w tym czasie przekażę ci, z kim się macie kontaktować – odezwał się generał. Obrócił się z fotelem w stronę terminala i zaczął wystukiwać polecenia. – Dostaniesz kilka nazwisk osób i wykaz miejsc, w których powinniście się z nimi spotkać.

Kiedy Leia wymykała się z sali odpraw, obaj siedzieli przed monitorem terminala – Rieekan w optymistycznym nastroju, a Luke wyraźnie zawiedziony.

Leia znalazła Hana w hangarze. Korelianin przyklucnął na szczyście sterburkowego ramienia „Sokoła”, miał ręce zanurzone po łokcie w otworze umożliwiający usuwanie awarii i dostęp do niektórych podzespołów.

– Hanie! – zawołała księżniczka.

– Zaczekaj chwilę – odparł mężczyzna, po czym wyprostował się i spojrzał ponad kadłubem w stronę sterowni. – Chewie? – zawołał. – Możesz spróbować.

W odpowiedzi Wookie zaryczał. Leia usłyszała jego odpowiedź, chociaż tłumity ją transpasterowe iluminatory sterowni. W pierwszej chwili nic się nie wydarzyło, ale zaraz dał się słyszeć loskot, a z otworu remontowego wydołała się smużka dymu.

– W porządku! Wspaniale! – krzyknął Han. – Możesz wyłączyć!

Leia usłyszała kolejne potwierdzenie Chewiego, po czym Han zwinął spawarkę i ześlizgnął się po kadłubie statku na płytę lądowiska.

– W porządku? Wspaniale? – powtórzyła pytającym tonem Leia, marszcząc brwi.

– Jasne – stwierdził spokojnie Han. – Dlaczego pytasz?

– Nie przypominam sobie, żeby kiedykolwiek dym stanowiący pomyślną wróżbę podczas naprawy gwiazdowego statku – odparła księżniczka.

– Ach, o to ci chodzi. – Han machnął lekceważąco ręką. – Dodatkowy składnik spawalniczy. Żaden problem.

– Skoro tak twierdzisz – zgodziła się Leia, zadowolona, że nie musi lecieć takim złomem na miejsce spotkania. – Wydarzyło się coś nieoczekiwanego i generał Rieekan chciałby, żebyś o tym wiedział.

Solo wyduł wargi.

– Zanim polecę z tobą na królewski bal dla uprzywilejowanych osób czy potem? – zapytał.

Leia zmusiła się do zachowania spokoju. Ich znajomość trwała krótko, ale Han jakimś cudem zdążył zgadnąć, co ją najbardziej irytuje, i bezbłędnie z tej wiedzy korzystał.

– Prawdę mówiąc, w ogóle nie będziesz musiał tam ze mną lecieć – oznajmiła.

– Co takiego? – zapytał Korelianin tonem udawanej urazy. – Chcesz powiedzieć, że zdezynfekowałem i okadziłem wnętrze „Sokola” na próżno?

– Nie martw się, twojemu statkowi na pewno się to przyda – odparła księżniczka, zdecydowana nie dać się sprowokować.

– Zamówiłem także nowy dywan.

Leia zacisnęła zęby.

– Chcesz usłyszeć, co generał ma ci do powiedzenia czy nie? warknęła.

– Jasne.

Leia streściła mu w kilku słowach, jak wygląda nowa sytuacja w sektorze Sheshy.

– Rozumiem... chodzi o wysłanie jednego łajdaka, aby schwytał innych łajdaków, tak? – podsumował Han, kiedy skończyła.

– Nie będziesz musiał nikogo chwycić – wyjaśniła księżniczka. – Chcemy tylko mieć dokładne informacje i może także pomysły, jak zmienić przebieg szlaków przelotowych, żeby piraci nie mogli przechwytywać naszych transportów z zaopatrzeniem.

– To nie będzie takie łatwe – mruknął Han i pogrzył się w zadumie. – Ludzie, którzy starają się nie rzucać w oczy, stanowią najlepszy cel – podjął w końcu. – Wiedzą o tym wszyscy piraci w galaktyce.

– To prawda – przyznała Leia. – A skoro by waś się już w podobnych sytuacjach, doszliśmy do wniosku, że możesz wiedzieć, jak ich unikać.

Solo wzruszył ramionami.

– W gruncie rzeczy wszystko zależy od tego, czy ma się szybszy statek – powiedział, ale Leia zauważyła, że nowe zadanie zaczyna go intrygować. A może po prostu odczuwał ulgę, że nie musi lecieć na spotkanie z Chivkyriem.

Albo się cieszył, że nie będzie musiał spędzać tyle czasu z Leią.

– To co, na ten wielki bal polecisz tylko w towarzystwie Luke’a? – zagadnął Han niby od niechcenia.

– Słucham? – Leia ocknęła się z zamyślenia. Zła była na siebie za to, że pozwoliła błędzić swoim myślom.... w dodatku na taki temat. – Nie, nie. Poprosiliśmy Luke’a, żeby poleciał z tobą.

Han uniósł brwi.

– Poprosiliśmy? – powtórzył z lekką urazą.

– Generał Rieekan i ja podjęliśmy taką decyzję – odparła Leia, ale zaraz uświadomiła sobie, że powinna była udzielić innej odpowiedzi. Znała Hana i wiedziała, że lepiej byłoby obarczyć odpowiedzialnością za tę decyzję samego generała. Korelianin mógł wyciągnąć pochopny wniosek, że to Leia nie chce lecieć w towarzystwie Luke’a, zwłaszcza sama, bez Hana. A to nieprawda. Po czymś takim poczulaby się...

Prawdę mówiąc nie była pewna, jakby się poczuła. Wiedziała jednak, że to by się jej nie spodobało.

– Uhm – mruknął Han i pokiwał głową. – To ma sens.

Udawał rozsądnego, ale Leia usłyszała w jego głosie drwinę i rozbawienie. Z całą pewnością wyciągnął ten niewłaściwy wniosek.

– Wcale nie o to chodzi – powiedziała.

– A o co? – zagadnął niewinnie Solo.

– Nieważne – odparła księżniczka przez zacisnięte zęby. Znów to zrobił, pomyślała. Jak mu się zawsze udaje wyprowadzać mnie z równowagi? – Generał przekazuje Lukowi listę nazwisk osób i miejsc, w których można się z nimi kontaktować. Możecie odlecieć, kiedy tylko będziecie gotowi.

– Oczywiście, Wasza Czcigodność – odparł Han. – Każde twoje życzenie jest dla mnie...

– Powodzenia i nie dajcie się zabić – przerwała Leia.

– Jasne, jasne – stwierdził Solo z udawaną powagą. – Ty też uważaj na siebie.

Leia odwróciła się bez słowa i przywołując na pomoc całą swoją godność, ruszyła do wyjścia z hangaru.

Całą długą drogę czuła jednak na sobie spojrzenie Hana.

Kiedy LaRone sprawdził stan jednego z zestawów pancerzy w tajnym schowku swojej kabiny, skontaktował się z nim przez interkom Quiller.

– Jesteśmy na miejscu – oznajmił pilot.

– Już idę.

W sterowni zastał wszystkich pozostałych.

– Jak to wygląda? – zapytał, stając za plecami Quillera.

– Naszą najlepszą szansą jest północny kontynent – powiedział pilot, pokazując mapę planety Rankinge, którą polecił wyświetlić na ekranie monitora. – Jeżeli chcemy się trzymać z daleka od Rankinge City i fabryki produkującej myśliwce firmy Incom, mamy do wyboru jedno duże miasto z całkiem sporym kosmoportem i mniej więcej setkę lokalnych portów, rozrzuconych po terenach rolniczych i górniczych i wyglądających jak dziury w gruncie.

– Jak duże jest tamto miasto? – zapytał Grave.

– Niespecjalnie – odparł Quiller. – Może mieć najwyżej sto tysięcy mieszkańców. To raczej duże miasteczko.

– A co sły chać na południowym kontynencie? – zainteresował się Brightwater.

– Nic oprócz wojny domowej – stwierdził ponuro Marcross – Toczy się tam od dziesięciu lat.

– Musimy jej unikać – oznajmił LaRone, krzywiąc się niemiłosiernie. Po zakończeniu Wojen Klonów nowo powstałe Imperium usiłowało zdławić wszystkie planetarne czy lokalne konflikty zbrojne i zaprowadzić porządek. Okazało się jednak, że konfliktów było zbyt wiele, więc w końcu Palpatine zrezygnował i zajął się innymi sprawami. – Jakież inne propozycje?

– Wylądowaliśmy na małym lądowisku na planecie Drunost i skończyło się na tym, że musieliśmy przetrzepać skórę członkom gangu grawicyklistów – przypomniał Grave. – Moim zdaniem tym razem powinniśmy zatrzymać się gdzieś, gdzie można byłoby liczyć na pomoc ze strony miejscowych policjantów albo celników.

– Ale oni mogą mieć nasze wizerunki w swoich notesach komputerowych – zauważył rzeczowo Brightwater.

– Jeżeli mają je celnicy w dużym mieście, to na pewno także we wszystkich mniejszych – odparł Quiller.

– Ale z mniejszego będzie nam łatwiej się wyrwać, wykorzystując siłę ognia Suwanteka – nie dawał za wygraną zwiadowca.

– Tym razem nie będziemy z niej korzystali – sprzeciwił się stanowczo LaRone. – Nie zamierzamy chyba strzelać do funkcjonariuszy, którzy starają się tylko chronić obywateli Imperium. A poza tym dzięki magicznemu urządzeniu, które zostawili nam i chłopcy z IBB, wszyscy mamy nowe karty identyfikacyjne. Damy sobie radę.

– Skoro tak twierdzisz – mruknął Brightwater, wciąż jeszcze nie przekonany. – Jak się nazywa to miasto wielkości miasteczka?

– Janusar – przeczytał Quiller. – Ma przyzwoity kosmoport, niezłe systemy obrony przed atakami rabusiów i wszystkie sklepy, jakich możemy potrzebować.

– Brzmi zachęcająco – stwierdził LaRone. – Wezwijmy miejscową Kontrolę Lotów i zapytajmy o zgodę na lądowanie.

Quiller położył głowę i włączył komunikator.

– Kontrola Lotów Janusara? Tu frachtowiec „Ville Brok” – powiedział. – Prosimy o zgodę na lądowanie i podanie numeru lądowiska.

Frachtowiec „Ville Brok”, tu Kontrola Lotów Janusara usłyszał w odpowiedzi głos mężczyzny. – Jaki transportujecie ładunek?

Quiller wyłączył mikrofon komunikatora, zmarszczył brwi obejrzał się na LaRone’a.

Czy mają prawo się tym interesować? – zapytał. – Nie mam pojęcia – odparł lekko zaniepokojony szturmowiec. Nigdy jeszcze nie sły szalem, żeby władze jakiegos kosmoportu zadawały takie pytanie przed lądowaniem frachtowca.

– Może wymaga tego miejscowe prawo? – podsunął Grave.

– Więc co mam im powiedzieć? – zniecierpliwił się Quiller.

– Powiedz, że przylecieliśmy, żeby coś stąd zabrać – doradził Marcross.

Quiller położył głowę i ponownie włączył mikrofon komunikatora.

– Nie wiemy żadnego ładunku, Kontrolo Lotów Janusara powiedział. – Mamy nadzieję, że coś od was zabierzemy.

– Od kogo?

– Jeszcze nie wiemy – stwierdził pilot. – Jak wspomniałem, na razie mamy taką nadzieję. Jeżeli się martwicie o opłaty parkingowe, możemy was zapewnić, że nie będzie z tym żadnych problemów.

Zapadła krótka cisza.

– W porządku – odezwał się w końcu operator Kontroli Lotów. – Macie zgodę na posadzenie swojej balii na lądowisku dwudziestym drugim.

Na mapie Quillera zaczął mrugać czerwony punkt wskazujący usytuowanie podanego miejsca.

– Łądowisko dwudzieste drugie, potwierdzam – odpowiedział Quiller.

– Jeszcze jedno... czy macie na pokładzie jakąś broń?

LaRone uśmiechnął się ponuro. Gdyby tylko wiedzieli, jaką, pomyślał.

– Nic, o czym by było warto wspominać – powiedział. – Dlaczego pytaacie?

– Ze zwykłej ciekawości – oznajmił operator. – Kontrola Lotów Janusara przerywa połączenie.

Quiller także wyłączył komunikator.

– Ciekawscy goście, prawda? – zauważył.

– Dziwnie wścibscy – zawtórował mu Marcross. – Ciekawe dlaczego chcieli wiedzieć, czy mamy broń.

– Nie mam pojęcia – przyznał LaRone. – Według mnie jednak z tego wynika, że powinniśmy tam iść uzbrojeni. Weźmiemy na razie tylko małe i dobrze ukryte pistolety, bo możemy się znaleźć w sytuacji, w której będą potrzebne.

Kosmoport Janusara składał się z grupy budynków, funkcjonalnie rozmieszczonych, ale dosyć starych. Otaczały je laty nowszych, bo później urządzonych lądowisk LaRone zauważył, że podzielono je na dwie grupy, wyższej i niższej kategorii.

Okazało się, że lądowisko dwudzieste drugie zalicza się do niższej kategorii.

– Prawdopodobnie załogi tych frachtowców, które przylatują po niezamówiony ładunek, nie kontaktują się raczej z najbogatszymi klientami – stwierdził Quiller, wyłączając pokładowe systemy i podzespoły Suwanteka.

– A może trzeba znać tajne hasło, żeby się z nimi skontaktować – podesunął Grave.

– To w tej chwili bez znaczenia – oznajmił LaRone. – Potrzebujemy tylko żywności i paliwa, a jedno i drugie możemy zdobyć wszędzie. Ta sama procedura co poprzednio: Grave idzie ze mną, a wszyscy inni zostają na pokładzie...

– Chwileczkę – przerwał Marcross. Pochylił się w kierunku prawostronnego iluminatora, zmarszczył brwi i spojrzał w stronę sterburtowej rampy ładowniczej. – Mamy towarzystwo... pięciu policjantów i podoficer. Sądząc po oznakach, to sierżant.

– Widzę też pięciu innych – zameldował Quiller, patrząc w przeciwną stronę z fotela pilota. – Sami szeregowcy, żadnego podoficera.

Brightwater mruknął coś pod nosem, odwrócił się i ruszył na rufę.

– Chodź, Grave, obsadzimy wieżyczkę – powiedział. – A podobno mieliśmy stąd odlecieć bez wykorzystania siły ognia Suwanteka.

– Zaczekajcie – odezwał się Marcross. Cały czas spoglądając przez sterburtowy iluminator, chwycił Grave'a za ramię. – Jest ich zbyt mało, żeby stawić czoło pięciu wojskowym dezertantom.

– Co racja, to racja – zgodził się z nim Quiller. – A poza tym wszyscy mają tylko krótkie blastery i trzymają je w kaburach. Prawdopodobnie przyszedł ściągnąć z nas opłatę ładowniczą.

– I potrzebują do tego aż dwóch drużyn? – zapytał podejrziwym tonem Brightwater.

– Może ich podejrzenia wzbudzają załogi frachtowców, które niczego nie przywożą? – domyślił się LaRone.

Od strony sterburtowej rampy ładowniczej napłynął odgłos uderzenia czymś ciężkim w metal.

– No cóż, jeżeli im nie otworzymy, na pewno wzbudzą ich podejrzenia – stwierdził Marcross, wstając z fotela. – Chodźmy, LaRone.

Zanim zdążyli dotrzeć do rampy, goście znów zaczęli się dobijać. LaRone uderzył otwartą dłońią w przyścisk opuszczania pochylni. Rampa opadła i szturmowcy zobaczyli szczęście mężczyzn, którzy piorunowali ich spojrzaniem i.

– Najwyższy czas – warknął sierżant, wchodząc na pokład frachtowca. – A teraz wpuście moich ludzi z drugiej strony, a później podajcie dane rejestracyjne statku i manifest pokładowy.

– Dane rejestracyjne są tu – odezwał się LaRone, wręczając sierżantowi kartę danych. Marcross przeszedł na drugą stronę i opuścił kaburtową rampę ładowniczą. – Jak powiedzieliśmy Kontroli Lotów kosmoportu, nie przewozimy żadnego ładunku.

Pięciu funkcjonariuszy czekających pod lewostronną rampą weszło na pokład Suwanteka i dołączyło do pozostałych.

– Załoga? – zapytał sierżant, wsuwając kartę danych do czytnika komputerowego notesu i spoglądając na ekran urządzenia.

– My dwaj plus trzech w sterowni – odparł zwięźle LaRone, wyciągając nieco wcześniej wyprodukowaną kartę identyfikacyjną.

Podoficer nawet na nią nie spojrzał.

– W porządku – powiedział, zwracając szturmowcowi kartę rejestracyjną statku. – Zaczniemy od dwustu za parkowanie na naszym lądowisku. – Dał znak ręką swojej drużynie i ruszył w stronę świetlicy dla załogi.

– Zaraz, zaraz – sprzeciwił się LaRone, marszcząc brwi. Nie miał wielkiego doświadczenia w sprawach finansowych, ale dwieście kredytów za zaparkowanie statku na trzeciorzędnym lądowisku wydało mu się sumą zbyt wygórowaną. – Co to znaczy „zaczniemy od dwustu”? – zapytał.

– Nie, zaczniemy od dwustu pięćdziesięciu – warknął podoficer. Odwrócił się, zmrużył oczy i spojrzał wyzywająco na szturmowca. – Chcesz się dalej o to kłócić?

Nie kłócił się, pomyślał zirytowany LaRone. Już otwierał usta, żeby to powiedzieć, ale zrezygnował, kiedy poczuł na ramieniu ostrzegawczy dotyk dłoni Marcrossa.

– Bardzo dobrze... słuchaj swojego przyjaciela – powiedział drwiąco sierżant. – Gdzie znajduje się ładownia na tej latającej pułapce dla nerfów?

– Prosto w stronę rufy, w lewo i w prawo, jeszcze przed sekcją techniczną – poinformował Marcross.

– Serdeczne dzięki – odparł sierżant z przesadną uprzejmością. Zaczął się odwracać, ale zmienił zdanie i uniósł brew. – A przy okazji... mam nadzieję, że nie macie na pokładzie żadnych systemów uzbrojenia? – zapytał.

– Tylko dwa laserowe działka zainstalowane przed rampami ładowniczymi – wyjaśnił Marcross.

– To dobrze – burknął sierżant. – Zapłacicie dodatkowo po sto pięćdziesiąt za każde. – Przeniósł spojrzenie na LaRone'a i chwilę patrzył na niego, jakby zachęcał go do sprzeciwu. Szturmowiec jednak dobrze zapamiętał wcześniejszą lekcję i zachował milczenie, więc sierżant jeszcze raz coś mruknął, odwrócił się i gestem rozkazał podwładnym, żeby podążyli za nim. Wszyscy ruszyli w kierunku rufy. Sierżant przycisnął guzik, a kiedy płyty drzwi się rozsunęły, wprowadził podwładnych do świetlicy.

LaRone zaczął, aż wejść i drzwi zasuną się za ich plecami, zanim dał upust emocjom.

– Co to ma być, jawny rozbój? – wybuchnął.

– Prawdopodobnie to, co zwykle – oznajmił półgłosem Marcross. Mówił obojętnym tonem, ale nie potrafił ukryć irytacji. – A co, nie było takich praktyk w twoim rodzinnym kosmosporcie?

– Jeżeli były, nie o tym nie wiedziałem – odparł LaRone. – Mimo to podejrzewam, że bez względu na to, ile zechcą z nas wycisnąć, możemy sobie na to pozwolić.

– To się nazywa właściwe podejście do problemu – stwierdził z aprobatą Marcross. – Zachowamy się grzecznie i cicho, a przy odlocie rozpylimy kurz z tej zapowietrzanej planety we wszystkie strony świata.

– Mam nadzieję, że właśnie to zrobimy – odezwał się LaRone. – Chodźmy się upewnić, że nie ukradną talerzy ani sztucców.

O dziwo, w świetlicy nie zastali nikogo. Weszli przez rufowe drzwi do przedziału dla załogi, ale i tam nie zobaczyli ani jednego policjanta. LaRone otworzył pierwszą kabinę – Quillera – ale tu także nikogo nie było.

Musieli pójść prosto do ładowni – domyślił się Marcross, zaglądając do kabiny Grave'a po przeciwnej stronie korytarza.

– To dobrze – ucieszył się LaRone. Zasunął drzwi kabiny i ruszył w kierunku rufy. – Może cała odprawa potrwa krócej niż się spodziewałem.

Kiedy mijali kuchnię, w drzwiach sterburtowej ładowni stanęli dwaj policjanci. Gestami przywołali do siebie obu szturmowców.

– Chodźcie tu, ofermi! – zawołał jeden z policjantów. – Whisleer chce z wami porozmawiać.

Kiedy LaRone i Marcross weszli do ładowni, obecni tam policjanci spojrzeli na nich bez słowa. Pośrodku grupy stał sierżant ze złośliwym uśmiechem na twarzy. Opierał się niedbale lewym łokciem o kierownicę jednego z dwóch raketowych skuterów.

– A mówiliście, że nie przewozicie żadnych towarów – powiedział. – Macie zezwolenie na te pojazdy?

LaRone zmełł w ustach przekleństwo. Stykał się z wojskowym sprzętem od tak dawna, że nie przyszło mu do głowy, by potraktować skutery jak ładunek. Postanowił improwizować.

– Kupiliśmy je na wyprzedży – odparł szybko. – Były poobijane i przeznaczone do złomowania.

– Nie wyglądają na bardzo zniszczone.

– Trochę przy nich pracowaliśmy.

– Ach, tak? – Whisleer poklepał siodełko. – Rozumiem, że zanim je wam sprzedali, nie zapomnieli o zdemontowaniu... – Pochylił się i zajrzał pod spód skutera. – Coś takiego, popatrzcie tylko – dokończył, udając zdziwienie. – Ktoś zapomniał o usunięciu laserowego działka. – Przekrzywił głowę i spojrzął na LaRone'a. – A ktoś inny zapomniał o zgłoszeniu nam tego jako broni.

– Rzeczywiście zapomniałem – przyznał szturmowiec. – Ale to czysty przypadek... chyba pan widzi, że nawet nie staraliśmy się ukryć ani skutera, ani działka.

– To prawda – potwierdził Whisteer jedwabiste słodkim tonem. – Ale w przypadku kontrabandy to chyba nie ma znaczenia, hm? – zapytał. – Tak czy owak, konfiskujemy te skutery.

LaRone zerknął w bok na Marcrossa, ale wyraz twarzy kolegi odzwierciedlał dokładnie jego myśli. Jeżeli pozwolą, żeby jakiś wredny cywil zarekwirował jego drogocenne skutery raketowy Brightwater obedrze ich żywcem ze skóry.

– Komu możemy zgłosić zażalenie na pańską decyzję? – za – pytał, patrząc Whisteerowi prosto w oczy. – Chętnie wypełnimy stosowne formularze i uiścimy należne opłaty.

Podoficer znów się uśmiechnął, a w jego oczach pojawiły się błyski.

– Chyba istnieje taka możliwość – powiedział. – Będzie was to jednak słono kosztowało.

– Rozumiemy – wtrącił Marcross. – Jak wygląda właściwa procedura?

– Zgłoszcie się do Centralnej Komendy Policji dzisiaj wieczorem o ósmej – oznajmił Whisteer. – Róg Rynkowej i Piątej. Przygotujcie formularze, żebyście mogli je wypełnić.

– Na pewno przyjdziemy – zapewnił LaRone. – Wie pan może, ile będzie wynosiła wysokość opłaty za złożenie tych formularzy?

Sierżant wzruszył ramionami.

– Muszę najpierw sprawdzić w taryfikatorze – stwierdził.

Czyli cena zależy od tego, z iloma osobami będzie się musiał podzielić tą sumą.

– Myśli pan, że opłata będzie bardzo wysoka? – nie dawał za wygraną LaRone.

– To możliwe – przyznał Whisteer. Wycelował kciuk w jednego z podwładnych. – A skoro już mowa o kosztach, Chavers ma resztę waszej listy. Możecie mu zapłacić, kiedy będziemy stąd zabierali te skutery.

LaRone zaczerpnął głęboko powietrza.

– Pójdę otworzyć sejf – powiedział.

Dziesięć minut później szturmowcy, stojąc u stóp kaburtowej rampy, przyglądali się, jak policjanci odlatują dwoma repulsorowymi saniami. Raketowe skutery przytroczyli starannie do rufowych stelaży bagażowych.

– Powinieneś był nas wezwać na pomoc – mruknął Brightwater z mroczną miną. – Dalibyśmy im radę.

– Dalibyście im raczej okazję, żeby was zabili – odezwał się nagle jakiś mężczyzna zza ich pleców.

LaRone się odwrócił i odruchowo zbliżył prawą rękę do kolby ukrytego blastera. Pod kadłubem Suwanteka szedł ku nim technik w poplamionym kombinezonie, ciągnąc grubą wąż do tankowania paliwa.

– Kim pan jest? – zapytał szurmowiec zaczepnym tonem.

– Nazywam się Krinkins – odparł technik, wyraźnie zaskoczony nerwową reakcją rozmówcy. – Z sekcji zaopatrzenia w paliwo. Zgłaszaliście prośbę o zatankowanie swojego statku, prawda?

– Rzeczywiście o to prosiliśmy – przypomniał sobie Quiller.

– I nie pozwolilibyśmy nikomu nas zabić – dodał Brightwater.

– Głowę daję, że byście pozwolili... – zaczął Krinkins, ale zamilkł i przyjrzał się im uważnie. – No cóż, może jednak nie przyznał w końcu. – A przynajmniej nie od razu. Ale wcześniej czy później by was wykończyli. Jest ich zbyt wielu, żebyście dali wszystkim radę podczas walki.

– Chce pan powiedzieć, że w tym procederze maczają palce nie tylko podwładni Whisteera? – zapytał LaRone.

Krinkins parsknął.

– Należy zacząć od tego, że to nie Whisteer za tym stoi – powiedział. – Ten wątpliwy zaszczyt przypada w udziale szefowi policji, który nazywa się Cav'Saran.

– Szefowi? – powtórzył z niedowierzaniem Marcross.

– A co, to cię dziwi? – zagadnął Krinkins.

– Owszem, nawet bardzo – przyznał szurmowiec. Pomyślał, że władze sektora powinny uważnie badać przeszłość i charakter kandydatów na najwyższe stanowiska w tego rodzaju służbach.

Krinkins znów parsknął.

– Tak akurat – stwierdził.

– Naprawdę – zapewnił go Marcross. – Na Shelkonwie nie brakuje urzędników, którzy powinni zwracać uwagę na podobne procedery.

– No cóż, prawdopodobnie urzędnik odpowiadający za sytuację na Ranklinge spędza cały czas pracy, drzemiąc za biurkiem – stwierdził z goryczą Krinkins. – Z początku wysłaliśmy skargę za skargą, ale ani jedna nie pomogła. A w tej chwili Cav'Saran bardzo się stara, żeby żaden protest nawet nie trafił do HoloNetu.

– A co z Imperium? – zapytał Quiller.

Krinkins roześmiał się pogardliwie.

– Imperium? – powtórzył. – W ciągu ostatnich ośmiu lat mieliśmy na Ranklinge wizytę tylko jednego imperialnego okrętu... przestarzałego krążownika z czasów Republiki. Przesłano go, aby zabrał grupę dyplomatów, którzy zrezygnowali z prób mediacji w wojnie domowej na południowym kontynencie. Imperium, jeśli nawet wie o naszym istnieniu, to w ogóle nie interesuje się naszym losem.

– A co na to pan i inni mieszkańcy miasta? – zainteresował się LaRone. – A może oby watele Janusara nie mają nic przeciwko temu, żeby ich policjanci rabowali przylatujących gości?

– Nasi oby watele fatalnie się czują w takiej sytuacji – zapewnił bez ogródek Krinkins. – Tym bardziej, że policjanci rabują nie tylko gości... nam także dają się porządnie we znaki. Trudno jednak walczyć gołymi rękami z osobami uzbrojonymi w blastery.

– Od początku wydawało mi się podejrzane, że tak bardzo interesowali się naszą bronią – mruknął Marcross.

– Nie tylko naszą... każdą bronią – powiedział technik – Osiem miesięcy temu, zaraz po tym, kiedy Cav'Saran zaczął urzędowanie, jego siepacze przeszukali wszystkie domy w promieniu dwustu kilometrów i skonfiskowali każdą sztukę broni, jaką udało im się znaleźć. We wszystkich czterech prowincjach zostało prawdopodobnie nie więcej niż tuzin strzelb na zwykłe kule, a i tak większość jest w rękach farmerów, którzy potrzebują ich do ochrony swoich stad przed drapieżnikami. – Rozejrzał się ukradkiem po ładowisku. – Chyba nie macie... – zaczął i urwał. – Zresztą nieważne – dokończył z rezygnacją.

– Nie mamy na sprzedaż żadnej broni, jeżeli o to chciałeś nas zapytać – odezwał się LaRone, rzucając ostrzegawcze spojrzenie pozostałym. Nie mogli być pewni, czy rzeczywiście Krinkins jest tym, za kogo się podaje. – Ilu ludzi ma Cav'Saran?

– Mniej więcej trzystu – odparł technik – Wszystko mundurowi policjanci. Po objęciu urzędowania Cav'Saran zwolnił z pracy albo zmusił do odejścia uczciwych funkcjonariuszy. Ma także kilkadziesiąt tajników, którzy patrolują ulice miasta i szukają takich, co mogliby sprawić kłopoty.

– A ty się nie boisz rozmawiać z nami o takich sprawach? – zagadnął Grave. – Skąd możesz wiedzieć, czy nie jesteśmy donosicielami?

Krinkins parsknął i dołączył końcówkę węża do gniazda wlotowego Suwanteka.

– Nie wiem tego – burknął. – Doszedłem jednak do takiego stanu, że nic mnie to nie obchodzi. Jeżeli zamierzacie polecieć do Cav'Sarana i powiedzieć mu, żeby mnie aresztował, możecie to zrobić w każdej chwili.

– Podziwiam twoją odwagę – odezwał się LaRone. – Znasz więcej osób, które mają dość tej sytuacji i zgodziłyby się zaryzykować, żeby z tym skończyć?

Krinkins zmarszczył brwi i spojrzał na niego z dziwną miną.

– Co masz na myśli? – zapytał ostrożnie.

– Przyszło mi do głowy, że wszyscy, którzy mają póżurki w nosie tego, co się tu dzieje, mogliby się zgrupować niedaleko budynku Centralnej Komendy Policji – zaczął LaRone. – Powiedzmy, dzisiaj około siódmej wieczorem.

Krinkins parsknął.

– Jeżeli chcecie zorganizować jakąś demonstrację, możecie o tym zapomnieć – powiedział. – Falszywi policjanci ignorują takie formy protestu... przynajmniej dopóki się nie zyrutują i nie rozpędzą demonstrantów kilkoma seriami blasterowych strzałów.

– Spróbuj ich nakłonić, żeby przyszedli – powtórzył szurmowiec, z trudem zachowując spokój. Wiedział, że nie może sobie pozwolić na okazywanie emocji. I upewnij się, że przyjdą także wszyscy wyrzuceni z pracy uczciwi policjanci, o których wspominałeś.

Dwie minuty później szurmowcy zgrupowali się w świetlicy. Dopiero wówczas Brightwater wypowiedział głośno to, o czym wszyscy myśleli:

– Wiecie chyba, że podejmowanie tutaj jakichkolwiek akcji to czyste szaleństwo – stwierdził rzeczowo.

– Zgadzą się – zawtórował mu Grave. – Nie mamy dość ludzi i nie możemy liczyć na żadne wsparcie.

– Nie wspominając o autorytecie – mruknął Quiller.

– Nie zgadzam się z wami – oznajmił LaRone. – Złożyliśmy przysięgę, że będziemy służyli Imperium, a mieszkańcy tego miasteczka są jego obywatelami.

– A Cav'Saran w sposób oczywisty łamie złożoną przysięgę – dodał Grave. – Przyznaję, że ten gość jest parszywą gnidą, ale to w niczym nie zmienia faktu, iż sami nie damy rady pokonać trzystu uzbrojonych mężczyzn.

– Nie będziemy sami – przypomniał LaRone. – Jeżeli dobrze zrozumiałem intencje Krinkinsa, dzisiaj wieczorem powinien czekać tam na nas spory tłum, kiedy zjawimy się w Centralnej Komendzie Policji.

– Wszyscy będą bezbronni – przypomniał Brightwater.

– Ale nie na długo – zauważył LaRone. – Kiedy opanujemy komendę, w tamtejszej zbrojowni powinniśmy znaleźć mnóstwo blasterów.

– Zamierzasz je rozdać rozwścieczonemu tłumowi? – zdumiał się Quiller.

– Ależ skąd. Właśnie dlatego poprosiłem Krinkinsa, żeby sprowadził byłych policjantów – oznajmił LaRone. – Mam nadzieję, że mają odpowiednie wykształcenie i autorytet wystarczający do zapanowania nad tym tłumem.

– Też myślę, że to szaleństwo – stwierdził Brightwater. Marcross, jesteście dziwnie milczący.

– Naturalnie że to szaleństwo – zgodził się z nim Marcross – Mam tylko jedno pytanie: jak się do tego zabierzemy?

Oslupiały Brightwater spojrział na Quillera i Grave'a.

– Chyba żartujecie – powiedział, przenosząc spojrzenie znów na Marcrossa. – Spośród wszystkich ludzi właśnie wy chcecie to zrobić?

– Chyba nie zapomnieliście o tym, że jesteśmy ścigani? – przypomniał Grave.

– Jesteśmy ścigani dlatego, że nie chcieliśmy wykonywać rozkazów, które uważaliśmy za nadużycie władzy – zauważył Marcross. – Czy chcemy wybierać, jakim nadużyciom chcemy się sprzeciwić, a na jakie przemykać oczy?

– Czy na pewno nie chodzi o to, że jesteście wściekły na szumowiny pokroju Cav'Sarana, które pałętają się po tym sektorze? – zapytał rzeczowym tonem Quiller.

– Przyznaję, że coś w tym jest – zgodził się z nim Marcross. – Ale moje osobiste uczucia nie zmieniają istoty sprawy. – Gestem wskazał LaRone'a. – Minutę temu mówiłeś o moralnym autorytecie. Jeżeli my tego nie zrobimy, czując się przedstawicielami Imperium, to kto nas wyręczy?

– Tyle że już od jakiegoś czasu nie jesteśmy przedstawicielami Imperium – zauważył Quiller.

– Ale Cav'Saran o tym nie wie – mruknął LaRone. – A jeżeli umiejętnie zabierzemy się do rzeczy, nigdy się nie dowie, że nie mamy za sobą całego legionu szturmowców.

W świetlicy zapadła cisza. W końcu Grave wzruszył ramionami.

– Jeżeli wszyscy się zgadzamy, że to szaleństwo, chętnie wezmę w tym udział – oznajmił. – A poza tym musimy odzyskać rakietowe skutery Brightwatera.

– O to też chodzi – przyznał niechętnie zwiadowca.

Quiller pokręcił głową i wypuścił powietrze z płuc z cichym świstem.

– Jasne, czemu nie – powiedział. – Zakładając, że opracujemy plan, który będzie miał choć cień szansy powodzenia.

– Nic się nie martw – uspokoił go ze zdecydowaną miną LaRone. – Jest tylko jedno pytanie: jak mocno zamierzamy przetrześć skórę ludziom Cav'Sarana. Za chwilę powiem wam, jak to sobie wyobrażam...

Rozdział 8

Szurmowcy spędzili resztę dnia, kupując żywność i badając dyskretnie okolice Centralnej Komendy Policji. Przygotowując się do akcji, dopracowywali także szczegóły planu.

O wyznaczonej porze byli gotowi do działania.

Niedaleko Centralnej Komendy Policji czekał na nich zdumiewająco liczny tłum ludzi. LaRone zauważył ich, kiedy przelatywał ładowym śmigaczem ulicą wiodącą do Komendy. Ocenił, że przyszło co najmniej czterysta osób, jakieś cztery razy więcej niż się spodziewał. Wyglądało na to, że oby watełom Janusara naprawdę bardzo zależy na pozbyciu się przesładowców.

Podczas wcześniejszego zwiadu szurmowcy nie próbowali dostać się do Komendy. Zauważyli, że sądząc z wygłądu, budynki prawdopodobnie pełnił kiedyś funkcję miejscowego ośrodka zgromadzeń. Zwieńczoną kopułą ogromną salę otaczał pierścień gabinetów i mniejszych sal odpraw. Demonstranci zebrali się w porośniętym trawą niewielkim parku przed frontem budynku. Park był oddzielony od gmachu szerokim podjazdem z parkingiem dla interesantów. Do budynku wiodły szerokie schody kończące się dwuskrzydłowymi ozdobnymi drzwiami.

Przed nimi stało w szeregu sześciu umundurowanych policjantów. Obrzucając gniewnymi spojrzeniami zgromadzony tłum, fałszywi funkcjonariusze trzymali dłonie na kolbach blasterów albo przebiegali palcami w pobliżu kabur.

Część tłumy rozlała się po podjeździe, ale ludzie niechętnie się rozstapili, kiedy LaRone powoli skierował ciężarowy śmigacz ku schodom. Kilka osób wbiło spojrzenia w kierowcę, a inni, osłaniając oczy, usiłowali zajrzeć do środka przez nieprzezroczyste tylne szyby, żeby sprawdzić, kto siedzi na dwóch ławkach w przedziale dla pasażerów. LaRone był ciekaw, co właściwie Krinkins powiedział demonstrantom na temat nieznanomych przybyszów.

Dotarł w końcu przed front budynku Komendy Policji, ale zamiast zaparkować pojazd przy krawężniku, ustawił go z dziobem skierowanym w górę, w stronę zirytowanych policjantów na szczycie schodów.

– Hej! – krzyknął jeden z nich, kiedy LaRone otworzył drzwi i wysiadł z kabiny. – Zabieraj stąd tę kupę gnoju!

– Zaraz, zaraz... jedną chwilę! – zawołał w odpowiedzi szurmowiec, machając ręką w jego stronę i zamykając drzwi kabiny.

Spodziewał się, że gdzieś w pobliżu będzie Krinkins, i nie pomylił się w swoich rachubach. Kiedy odwrócił się w stronę milczącego tłumy, technik oderwał się od najbliższej grupy i podszedł do niego. Na ponurej twarzy mężczyzny malował się cień nadziei.

– Jednak przyłecieliscie – powiedział, zerkając w kierunku nieprzezroczystych szyb ciężarówki. – Nie byłem pewny, czy się pojawicie.

– Udało ci się ściągnąć jakichś byłych policjantów? – zapytał LaRone.

Krinkins wskazał głową do tyłu.

– Znalazłem ośmioro – oznajmił. – Wszyscy są tutaj, jak kazaliście.

– To dobrze – odparł LaRone. – Kiedy dam znak, niech podejdą.

– Chwileczkę – zachnął się Krinkins. – Co właściwie...

Nie czekając, aż mężczyzna skończy, szurmowiec odwrócił się i ruszył w górę schodów.

– Gluchy jesteś, łazęgo? – warknął ten sam policjant, kiedy LaRone dotarł do szerokiego podestu. Funkcjonariusz z naszymi porucznika miał w uchu słuchawkę i mikrofon na wygiętym pałku przed ustami. – Powiedziałem ci, żebyś zabierał stąd ten pojazd!

– Proszę się nie martwić, zaraz go stąd zabiorę – zapewnił go LaRone, cały czas idąc w kierunku szeregu policjantów. – Chciałem tylko odzyskać sprzęt, który zarekwirowali mi dzisiaj pańscy ludzie.

– Ach, to ty jesteś tym gościem, o którym meldował mi Whisteer – domyślił się oficer, obserwując go z pogardliwą ciekawością. Wskazał łufą blastera tłum na podjeździe i w parku. – Więc może i za to odpowiadasz, hm?

LaRone wykonał półobrót, żeby spojrzeć na demonstrantów.

– Chodź panu o nich? – zapytał, gestem lewej ręki pokazując tłum przed Komendą Policji. Nieznacznie wsunął niewidoczną prawą dłoń do bocznej kieszeni tuniki.

– Tak o nich – wycedził lekceważącym tonem porucznik – Bo jeżeli to twoja sprawa...

Jak na dany znak tylne drzwi ciężarowego migacza się otworzyły i na podjazd zeskokczyli pozostali szurmowcy. W blasku ulicznych lamp błyszczały ich białe pancerze, a lufy karabinów typu BlasTech E-II kierowały się w stronę szeregu fałszywych policjantów.

Porucznik urwał w pół zdania i wybałuszył oczy, a od strony tłumy dobiegł szmer zaskoczenia.

LaRone podszedł do oficera.

– Ani słowa, bardzo proszę – odezwał się cicho, przyciskając łufę małego blastera do wybruszenia na gardle mężczyzny. Drugą ręką ściągnął mu z głowy zestaw mikrofonowo-słuchawkowy i wyłączył urządzenie. – Żadnych nagłych ruchów, jeżeli ci życie mile.

Sądząc po minach pozostałych policjantów, nic nie wskazywało, żeby zamierzali sprawić kłopoty. Kiedy szurmowcy wchodzili po schodach, fałszywi funkcjonariusze stali nieruchomo jak marmurowe posągi, trzymając ręce z daleka od kabur z blasterami.

LaRone pochwycił spojrzenie Krinkinsa i gestem przywołał go do siebie. Technik kiwnął głową, obejrzał się – po czym on, pięciu mężczyzn i trzy kobiety zaczęli wchodzić po schodach za plecami szurmowców.

– To twoi policjanci? – zapytał LaRone, wyluskując blaster z dłoni bladego jak ściana porucznika.

– Tak proszę pana – potwierdził Krinkins tonem, z którego przebijała nowa nadzieja. Głową wskazał szpakowatego mężczyznę w średnim wieku. – To pułkownik Atmino, starszy oficer.

– Zmuszony do przejścia w stan spoczynku – dodał Atmino, patrząc z błyskiem w oku na fałszywych policjantów.

– Może się pan uważać za przywróconego do czynnej służby – oznajmił LaRone, wręczając mu broń porucznika. – Mianuję pana i pańskich ludzi moimi zastępcami. Proszę rozbroić tych oszustów i zamknąć w areszcie do czasu postawienia przed sądem za przestępstwa, jakich prawdopodobnie się dopuścili.

– Tak jest, proszę pana – odpowiedział Atmino. Wyprostował się, stanął na baczność i skinął na trójkę podwładnych. – Inne rozkazy? – zapytał.

– Proszę tu zostać i pilnować aresztantów – polecił LaRone.

– Sami zajmijmy się Cav'Saranem. – Spojrzał ponad ramieniem pułkownika na tłum. I mijacie oko na tych demonstrantów. Kiedy poinformuje pan gubernatora o wszystkim, co tu się wydarzyło, na pewno nie będzie pan chciał mieć na koncie zarzutu nieumiejętności utrzymania porządku czy dopuszczenia do rozruchów.

– Tak jest – powtórzył oficer, chwytając porucznika za ramię. – Na pewno do czegoś takiego nie dopuścimy.

LaRone przywołał gestem pozostałych szturmowców.

– Idziemy dalej – powiedział.

Za dwuskrzydłowymi drzwiami znajdował się wyłożony marmurowymi płytami przestronny hol kończący się jakieś piętnaście metrów dalej półokrągłą ścianą z następnymi szerokimi drzwiami. Po prawej i po lewej stronie z holu odchodziły korytarze biegnące wokół centralnej sali zgromadzeń. Co kilkanaście metrów w ozdobionych freskami ścianach korytarzy widniały drzwi osobistych gabinetów.

LaRone przypuszczał, że o tej porze większość tych pomieszczeń jest pusta. Postanowił sprawdzić to później. Podchodząc do drzwi naprzeciwko wejścia, wsunął blaster z powrotem do bocznej kieszeni tuniki. Dał znak pozostałym szturmowcom, żeby na razie zaczęli, po czym otworzył drzwi i wszedł.

Tak jak myślał, znalazł się w dużej sali zgromadzeń, którą fałszywi policjanci przeksztalčili w pomieszczenie służbowe. Na parterze i na balkonach piętra stało prawie dwieście biurek i komputerowych konsol. LaRone zauważył, że niemal wszystkie są zajęte, chociaż niewielu policjantów naprawdę pracowało. Pozostali po prostu siedzieli, bawiąc się od niechcenia kartami dany ch albo blasterami. Niektórzy rozmawiali półgłosem z kolegami, którzy stali albo krążyli po wielkiej sali. Wyglądało na to, że w odpowiedzi na demonstrację mieszkańców Janusara szef Cav'Saran wezwał do powrotu wszystkich podwładnych.

Doskonale, pomyślał LaRone.

Nie zamierzał niweczyć efektu, jakie wywołało jego pojawienie się na progu sali. I tak wszyscy policjanci byli śpiący, kiedy wszedł, wlepili w niego oczy.

– Czego pan sobie życzy? – zapytał rosły funkcjonariusz z wielkiego biurka na podwyższeniu po prawej stronie.

– Przyszedłem zobaczyć się z Whisteerem – odezwał się LaRone wystarczająco głośno, żeby usłyszeli go wszyscy obecni w wielkiej sali. – Z nim i z szefem Cav'Saranem.

– Przyszedłeś za wcześniej – stwierdził równie głośno Whisteer. LaRone odwrócił się i zauważył, że sierżant przerwał rozmowę i wstaje od jednego z biurek – Formularze jeszcze nie są gotowe.

– Nic nie szkodzi – zapewnił go szturmowiec. – I tak nie zamierzałem ich wypełniać. Który z was to Cav'Saran?

Zapadła krótka cisza, po której od jednej z grupek odłączył się mężczyzna z paskudnie zeszeconą przez blizny twarzą.

– To ja jestem szef Cav'Saran – warknął zaczepnym tonem. – Ma pan do mnie jakąś sprawę?

– Przyszedłem zgłosić skargę – oznajmił LaRone. – Dzisiaj rano niektórzy pańscy podwładni usiłovali mnie obrabować.

Cav'Saran uniósł brwi.

– Naprawdę? – zadał pytanie tonem udawanej uprzejmości. – W jaki sposób?

– Zażądali ode mnie wygórowanych opłat i zabrali część mojego ładunku.

– Coś takiego, coś takiego – mruknął Cav'Saran, nie kryjąc rozbawienia. – A właściwie kto jest odpowiedzialny za ten skandal?

– Na przykład sierżant Whisteer – odparł LaRone, wskazując właściwą osobę i dyskretnie omiatając spojrzeniem pozostałych policjantów. Sala była okrągła, więc nie mógł się tu nikt schować, a chociaż biurka zapewniałyby osłonę podczas strzelaniny, nie było za nimi dość miejsca, żeby mogli się wszyscy ukryć.

Bardziej niepokoiło go ci, co stali na piętrze, bo mogli go ostrzeliwać z balkonów i zza konsol z komputerowym i terminalami. Na szczęście większość oszustów miała nasze wkł oficerskie i nie wyglądała na gotowych do otwarcia ognia.

Za to wielu chętnych do takiej akcji zauważył LaRone na parterze wielkiej sali. Zapamiętał miejsca, gdzie siedzieli albo stali, a potem wskazał trzech pozostałych funkcjonariuszy, biorących udział wcześniej tego dnia w incydencie na pokładzie Suwanteka.

– Byli z nim ci trzej – dodał, zwracając się do Cav'Sarana. – A także siedmiu innych.

– A co ja mam w tej sprawie zrobić? – zapytał drwiąco komendant, nie wypadając z odgrywanej roli.

– Chcę, żeby pan ich aresztował – oznajmił LaRone. – Zostaną oskarżeni o wymuszanie, kradzież i nadużycie władzy.

– A jeżeli odmówię?

LaRone jeszcze raz powiódł spojrzeniem po okrągłej sali.

Obecnie, kiedy minął element zaskoczenia, zaczynał wokół siebie wyczuwać narastającą wrogość. Na razie jednak nikt z fałszywych funkcjonariuszy nie doszedł do wniosku, że sytuacja zasługuje na wyciągnięcie blastera.

– W takim razie będę musiał znaleźć kogoś, kto to zrobi – odparł szturmowiec.

– Jakiegoś frajera z tego tłumy na dworze? – zadrwił Cav'Saran. Nagle spoważniał i przybrał groźną minę. – To dobrze się składa, bo oprócz wcześniej nałożonych opłat aresztuję pana za bunt, podżeganie do niego i zorganizowanie bezprawnego zgromadzenia. – Uniósł brwi. – A na takiej podstawie możemy skonfiskować pański statek – Pogardliwie machnął ręką. – Whisteer, zabierz go do celi – rozkazał.

– Nie mam nic przeciwko temu – odpowiedział spokojnie LaRone. – Publiczny proces powinien wszystkim otworzyć oczy.

– Szusna uwaga – zgodził się z nim Cav'Saran, a Whisteer ruszył w ich stronę. – Nie zasługuje pan na takie procedury. Sierżancie, proszę go raczej wrzucić do jakiegoś bagna. – Uśmiechnął się złośliwie. – Dziękuję, że zwrócił pan na to naszą uwagę.

– To ja panu dziękuję za potwierdzenie zarzutów, które słyszałem wcześniej od niektórych obywateli – stwierdził LaRone. – Aresztuję pana i wszystkich pańskich podwładnych.

Cav'Saran się uśmiechnął.

– Naprawdę? – zapytał. – Pan mnie aresztuje? Sam?

Chwila była doskonale wybrana, a Marcross miał dość sprytu, żeby ją wykorzystać. LaRone usłyszał napływający zza pleców szmer otwieranych drzwi i stuk opancerzonych butów na marmurowej posadzce. Domyślił się, że do sali wkroczyli czterej pozostali szturmowcy. Wszyscy się odwrócili i na ich widok wytrzeszczyli oczy. Po wielkiej sali przeszedł szmer zaskoczenia.

A po chwili zapadła głucha cisza.

– W imieniu Imperium – odezwał się oficjalnym tonem LaRone, wyciągając z kieszeni mały blaster – rozkazuję panu i pańskim podwładnym natychmiast oddać broń.

Whisteer zmęł w ustach przekleństwo i sięgnął po blaster.

Nie zdążył jednak wyciągnąć broni z kabury, bo strzał Brightwatera trafił go prosto w pierś. Sierżant runął, zanim zdążył zaczerpnąć powietrza.

Po drugiej stronie sali trzej fałszywi policjanci, z których strony LaRone spodziewał się kłopotów, także sięgnęli po blastery. Czujny szturmowiec trafił dwóch, a Marcross wyeliminował trzeciego. Po swojej lewej stronie LaRone usłyszał odgłosy dwóch strzałów. Uniósł głowę i zobaczył, że przez balustradę balkonu zwieszają się bezwładnie dwaj oficerowie. Chwilę później z ich pozbawionych czucia palców wyslizgnęły się blastery, które z grzechotem upadły na marmurową posadzkę.

W wielkiej sali zapadła jeszcze głębsza cisza.

– Ty ch sześciu postanowiło stawić opór legalnej władzy – oznajmił głośno LaRone. – Kto następny?

Nikt się nie poruszył. Nagle Cav'Saran niespodziewanie chwycił za ramię najbliższego podwładnego i osłonił się nim jak żywą tarczą. Drugą ręką objął go za szyję i wyciągnął blaster.

Prawie nie mierząc, Grave uniósł trochę wyżej lufę blastera i posłał nad uchem nieszczonego policjanta skwierczącą błyskawicę, która wypaliła dziurę w twarzy Cav'Sarana.

LaRone zaczekał, aż ciało szefa policyjnej bandy runie na sąsiednie biurko i osunie się na posadzkę.

– Ktoś jeszcze? – zapytał.

Nikt więcej się nie ośmielił stawić mu oporu. Godzinę później akcja szturmowców dobiegła końca.

– Osadziliśmy w areszcie także tych, którzy patrolowali ulice miasta – zameldował Atmino, kiedy ostatni fałszywi policjanci trafili do pękających w szwach cel. – Okazało się, że weale nie było ich wielu. Podejrzewam, że Cav'Saranowi bardziej zależało na rozprawieniu naszej demonstracji niż na pilnowaniu porządku w samym mieście.

– Nie zapomnijcie o tym w swoim raporcie – doradził LaRone.

– Czy ma pan dość zwolnionych ze służby podwładnych, żeby wszystko dopilnować?

– Raczej tak – stwierdził Atmino. – Ale i tak nie wiem, do czego miałbym ich potrzebować. Myślałem, że sami zamierzacie zatroszczyć się o spokój i bezpieczeństwo w mieście?

– O, nie... od tej pory będzie to wchodziło w zakres pańskich obowiązków – oznajmił LaRone. – Nie wyręczamy miejscowych władz, chyba że nie mamy wyboru. Mam nadzieję, że może pan liczyć na poparcie burmistrza i radnych miasta.

– Z całą pewnością – przyznał Atmino. – Zwłaszcza teraz, kiedy Cav'Saran i jego siepacze trafili za kratki – dodał pogardliwym tonem. – Żeby być sprawiedliwym muszę przyznać, że ostatnio nie wyróżnił się szczególnie odwagą.

– A zatem załatwione – podsumował LaRone. – Rada musi teraz wysłać oficjalny raport na Shelkonwę z opisem wszystkiego, co tu się wydarzyło. Władze sektora albo zaaprobuja bez zastrzeżeń wasze postępowanie, albo zaproponują jakieś zmiany.

– Mam nadzieję, że nie zechcą przywrócić Cav'Sarana do czynnej służby – zartował pułkownik – Odzyskaliście swoją przybraną w nienaruszonym stanie?

– Naszą przybraną? – powtórzył zdezorientowany LaRone.

– Rakietowe skutery – wyjaśnił Atmino. – Przecież specjalnie się nimi posłużyliście, żeby Cav'Saran, konfiskując je, udowodnił, że nie postępuje zgodnie z prawem, prawda?

– Tak, tak, naturalnie – powiedział szybko LaRone. Zdumiewające, jak pod wpływem nieoczekiwanego obrotu sytuacji niektórzy wyciągają absurdalne i błędne wnioski, pomyślał. – Mamy je już w naszym śmigaczu ciężarowym.

– To dobrze – ucieszył się Atmino. – Aha, jeszcze jedno... nie wiem, czy to was zainteresuje, ale wykryliśmy dziwny związek między Cav'Saranem a potężną bandą piratów, zwanych Krwawymi Szramami. Sły szeliście o nich?

– Nic nam o tym nie wiadomo – powiedział LaRone i zmarszczył brwi. Zdeprawowany szef policjantów i banda piratów? – pomyślał. – Jakiego rodzaju związek? – zapytał.

– Jeszcze tego do końca nie ustaliliśmy – przyznał oficer. W gabinecie Cav'Sarana znaleźliśmy jednak kartę danych z informacjami na temat pewnego miejsca spotkań i systemu szfrowania przesyłanych wiadomości. – Wyjął z kieszeni nośnik informacji. – Sporządziłem dla was kopię, na wypadek, gdybyście chcieli podążyć tym śladem.

– Dziękuję – odparł szturmowiec. Wziął kartę danych i schował ją do kieszeni. Na ich liście priorytetów ściganie bandy piratów było na szarym końcu... naturalnie jeżeli nie liczyć zwiedzania Imperialnego Pałacu. – Moim zdaniem coś takiego leży raczej w gestii władz sektora.

– W takim razie wyśle i im kopię – zapewnił Atmino.

– Dobrze – mruknął LaRone, wyciągając rękę do oficera. – Tak czy owak, musimy lecieć. Gratuluję panu ponownego objęcia służby w mieście.

– Bez was nie dalibyśmy rady – stwierdził Atmino. Krótko, ale energicznie potrząsnął ręką LaRone'a. Spojrzał na czterech zakutych w pancerze szturmowców, jakby się zastanawiał, czy i z nimi powinien się pożegnać, ale doszedł do wniosku, że nie musi. – Nie zdradziliście mi jeszcze numeru swojej jednostki – powiedział.

LaRone poczuł, że coś ściska go za gardło. W ciągu ostatnich kilku godzin myślał tylko o pokonaniu zbirów Cav'Sarana i o zapewnieniu bezpieczeństwa mieszkańcom Janusara. O mało nie zapomniał o swojej sytuacji. Słowa Atmina przypomniły mu ponurą prawdę.

– Dlaczego chce pan to wiedzieć? – zapytał.

– Naturalnie żeby podziękować waszym przełożonym – odparł pułkownik, lekko zdziwiony, że LaRone pyta o coś tak oczywistego.

– Aha – mruknął szturmowiec. – Prawdę mówiąc wykonujemy specjalne zadania, przez co nasza jednostka nie ma oficjalnego numeru.

– Rozumiem – powiedział zbity z tropu Atmino. – Ale jakoś musicie się nazywać.

– Jasne – przyznał LaRone. Starał się zmusić szare komórki do wyżejonej pracy, ale nic nie przychodziło mu do głowy. Chyba że... – Jesteśmy znani jako Ręka Sprawiedliwości.

– Świetnie – ucieszył się Atmino, obrzucając spojrzeniem pozostałych szurmowców. – Naprawdę zasługujecie na tę nazwę.

– Nam też się podoba – stwierdził LaRone, udając, że nie przywiązuje do tego większej wagi. Liczył na to, że w zapadających ciemnościach pułkownik nie zauważy rumieńców na jego twarzy. Co go podkusiło, żeby coś takiego wymyślić? – No cóż, na nas już czas – podjął po chwili. – Zyczę powodzenia.

Szurmowcy wsiedli do ciężarowego śmigacza i przejechali dwie przecznice, ale żaden nie powiedział nawet słowa. W końcu LaRone miał dosyć przedłużającej się ciszy.

– No dobrze, poddaję się – zaczął. – Niech ktoś wreszcie to wykrzusi.

Dopiero po dłuższej chwili Grave w końcu zdecydował się przemówić.

– Niech ci będzie – odezwał się spokojnie. – Ręka Sprawiedliwości?

LaRone się skrzywił. W ustach strzelca wyborowego ta nazwa zabrzmiała jeszcze gorzej niż wówczas, kiedy sam ją wypowiedział.

– Wiem, wiem, bardzo mi przykro – mruknął. – Moje szare komórki uległy paraliżowi i nie bardzo wiedziałem, co powiedzieć.

– Mogłeś mu podać pierwszy lepszy numer – stwierdził Quiller. – I tak by go nie sprawdził przed naszym odlotem z tej planety.

– Ach, tak! – warknął zdenerwowany LaRone. – Następnym razem ty będziesz dowódcą i rzecznikiem drużyny.

– Doskonale – oznajmił słodko Quiller. – Czy to znaczy, że przestanę być palcem, a zacznę być kciukiem?

– To niesprawiedliwe – wtrącił Grave kłótliwym tonem, który LaRone aż za dobrze pamiętał z własnego doświadczenia, jako że dorastał z dwoma młodszymi braćmi. – Ja też chciałem być kciukiem.

– Żarty na bok, LaRone, ale chyba wiesz, że nie powinno być następnego razu – zaprotestował Brightwater. – Wiem, że musieliśmy odzyskać nasze skutery rakietowe, ale tym razem ryzykowaliśmy jak jeszcze nigdy dotąd.

– Wcale nie sądzę, że bardzo ryzykowaliśmy – sprzeciwił się LaRone.

– Moim zdaniem tak – upierał się przy swoim Brightwater. – Widok pancerna szurmowca może i wywiera psychologiczny efekt, ale naprawdę nie wiem, w jaki sposób nas pięciu dało radę trzystu uzbrojonym przeciwnikom.

– Zapominasz, że oni o tym nie wiedzieli – przypomniał LaRone. – Właśnie to usiłuję wam powiedzieć. Pojawienie się choćby jednego szurmowca zawsze sugeruje, że gdzieś w mroku za jego plecami czai się potężna organizacja dysponująca wieloma ludźmi i śmiercionością bronią. Tamci fałszywi policjanci zobaczyli, że jest nas pięciu, i doszli do wniosku, że w pobliżu czeka kilkaset następnych.

– To może działać do czasu. Ktoś w końcu się domyśli, że blefujemy – ostrzegł Quiller.

– Nie zdąży się tego domyślić, bo zginie – stwierdził Grave.

– To możliwe – przyznał Quiller. – Zgodnie jednak z wszelkimi regulami prawdopodobieństwa tamci powinni byli obedrzeć nas ze skóry. Im szybciej zostawimy cały ten sektor za rufą, tym lepiej.

Marcross poruszył się na ławce.

– Dlaczego mielibyście się tak spieszyć? – zapytał.

– Dlaczego mielibyśmy się tak spieszyć? – powtórzył zaskoczony Quiller.

– On nadal chce, żebyśmy poleciali na Shelkonwę – przypomniał Grave.

– Nie w tym rzecz. Po prostu nie daje mi spokoju ten związek między Cav'Saranem a piratami z bandy Krwawej Szramy – wyjaśnił Marcross.

– Co chcesz przez to powiedzieć? – zainteresował się LaRone.

– Pamiętacie tamten gang grawicyklistów, którym przetrzepaliśmy skórę na planecie Drunost? – zapytał szurmowiec. – Doszedłem do wniosku, że naramienniki, które tamci nosili, wyglądają zbyt elegancko jak na takie szumowiny, więc po powrocie na pokład Suwanteka sprawdziłem to i owo. Okazało się, że dolna część naramiennika bardzo przypomina znak w kształcie skrzyżowanych rogów, po którym można rozpoznać Krwawą Szramę.

– Jaka ta galaktyka mała – mruknął Quiller.

– Może jednak nie taka mała – sprzeciwił się Marcross. – Może Krwawe Szramy starają się rozszerzyć zakres swojej działalności?

– Co, na grawicykle i na służby porządkowe? – zażartował Grave.

– Możesz sobie kpić, proszę bardzo – odparł ponuro Marcross. – Zwracam wam jednak uwagę na miejsca, w jakich obie te grupy prowadziły działalność. Grawicykliści zaatakowali w pobliżu ośrodka firmy Consolidated Shipping, której frachtowcami transportuje się niewielkie ilości cennych albo niebezpiecznych towarów. Siepacze Cav'Sarana założyli bazę w mieście oddalonym zaledwie kilkaset kilometrów od fabryki firmy Incom, w której są produkowane myśliwce szurmowe typu I-7. Czy ktoś oprócz mnie zauważył tę prawidłowość?

Zapadła krótka cisza.

– Zwerbowanie trzystu zbirów to bardzo kosztowne przedsięwzięcie – przemówił w końcu Brightwater. – Podejrzewam, że wynajęcie grawicyklistów także musiało sporo kosztować, chociaż niby mieliśmy do czynienia z bandą amatorów. Jeżeli Krwawe Szramy rozszerzają zakres działalności, muszą naprawdę dobrze prosperować.

– A może są sponsorowani przez kogoś z zewnątrz? – odezwał się cicho Quiller.

– Właśnie – zawtórował Marcross. – A gdzie jest najbardziej oczywiste źródło pieniędzy? Kto może być zainteresowany myślicami i dyskretnym transportem towarów?

– Rebelia? – Podsunął Grave.

– A ktoś by inny? – odparł Marcross.

– No, nie wiem – oznajmił z powątpiewaniem Brightwater. – Piraci to najgorsze szumowiny galaktyki i bardzo wątpię, żeby ktokolwiek chciał się z nimi zadawać. Nawet Rebeliantów stać na coś więcej.

– Usiłują zniszczyć Imperium i zniweczyć Nowy Ład – przypomniał Grave.

– Jasne, ale atakowanie wojskowych celów to co innego niż zawieranie układów z piratami i atakowanie cywilów – sprzeciwił się Brightwater.

– Właśnie dlatego staraliśmy się ich powstrzymać – stwierdził cierpko Marcross. – A może Krwawe Szramy wcale nie są gangiem piratów? Za ich nazwą i reputacją może się kryć komórka Rebeliantów.

– Moim zdaniem Marcross ma rację – oznajmił LaRone. – Powinniśmy się zająć tym problemem.

– Wyślijmy anonimową wiadomość do najbliższego garnizonu imperialnych wojsk pozwólmy, żeby sami się tym zajęli – zaproponował Grave.

– Dobry pomysł, ale niepraktyczny – ocenił Marcross. – Słyszaleś, co powiedział Krinkins... od ośmiu lat nie mieli tu wizyty żadnego przedstawiciela Imperium, a i tamta wizyta była właściwie przypadkowa. O ile wiem, „Odwet” jest jedynym gwiazdowym niszczycielem Imperium w tej okolicy. Sektor Shelsby nie figuruje wysoko na żadnej liście priorytetów.

– Wygląda na to, że nawet Shelkonwa nie bardzo się interesuje tą częścią swojego obszaru – zauważył Grave.

– Masz rację – zgodził się z nim LaRone. – Może dlatego Krwawe Szramy zdecydowały się właśnie tu rozpocząć swoją działalność.

– Za to my mamy mnóstwo wolnego czasu – doszedł do wniosku Marcross. – Powinniśmy przynajmniej spróbować ustalić, czy nie znajdziemy jakiegoś związku między Krwawymi Szramami a Rebeliantami. W najlepszym razie moglibyśmy podążyć tym tropem, żeby przekazać władzom na Shelkonwie i na Imperialnym Centrum dokładne dane o wojskowych celach, które powinni zaatakować.

– Pamiętajcie, że sami jesteśmy czymś w rodzaju takiego celu – przypomniał Quiller. – Podobno mieliśmy szukać miejsca, w którym daloby się ukryć.

– Nie twierdzą, że powinniśmy rzucić się w oczy – zapewnił go Marcross. – To będzie tylko dyskretny zwiad na terytorium wroga. Bez względu na nasze obecne położenie, nadal jesteśmy imperialnymi szurmowcami.

– Na których w tej chwili polują inni imperialni szurmowcy – upierał się Quiller.

– Przysięgaliśmy chronić obywateli Imperium – stwierdził Marcross. – Wyeliminowanie komórki Rebeliantów z pewnością wchodzi w zakres naszych obowiązków.

– Od czego proponujesz zacząć? – zapytał rzeczowo LaRone.

– Od powrotu na Drunost – wyjaśnił Marcross. – Cav’Saran był na tyle głupi, żeby zostawić kartę danych, która stanowi dowód jego winy. Wątpię, żeby tamci grawicy kłisici byli sprytniejsi niż on.

– Ale mieszkańcy planety Drunost widzieli i nas, i Suwanteka – przypomniał mu Quiller.

– Nie wszyscy, tylko pracownicy jednego ze sklepów – uściślił Grave. – A nawet i oni zauważyli tylko mnie i LaRone’a.

– A jeżeli chodzi o statek, możemy sobie przecież wziąć jeszcze jeden fałszywy dokument rejestracyjny spośród tych, które zostawili nam chłopcy z IBB – stwierdził Marcross. – Co ty na to, LaRone?

Szurmowiec zwlekał chwilę z odpowiedzią, udając, że się zastanawia. Naturalnie robił to tylko na pokaz, bo już wcześniej się zdecydował.

– Warto zaryzykować – odezwał się w końcu. – Nawet jeżeli ktoś nas rozpozna i wyśle meldunek, co uważam za mało prawdopodobne, będziemy mieli kilka godzin, żeby pokręcić się i po-węszyć po okolicy, zanim ktokolwiek zdąży nas wpędzić w tarapaty.

– A jeżeli do tej pory ślad zdążył ostygnąć? – zaniepokoił się Quiller.

LaRone wzruszył ramionami.

– Odlecimy ku Odległym Rubieżom równie łatwo z planety Drunost, jak stąd. – Ciężarowy śmigacz dotarł w końcu na lądowisko i szurmowiec unieruchomił go obok sterburtowego turbodźwigu towarowego Suwanteka. – Więc jak doszliśmy do porozumienia?

– Wchodzę w to – oznajmił Quiller.

– Ja też – zawtórował mu Grave. – Jeżeli Rebelianci skumali się z piratami, chciałbym przygwoździć jednych i drugich. A ty, Brightwater?

– Nadal mi się to nie podoba – odparł ponuro zwiadowca. – Nie zachwycam się jednak także posielanym grumem na płaskopłacku, a mimo to nauczyłem się go jeść. Jeżeli naprawdę uważacie, że znajdziemy coś ciekawego, możecie na mnie liczyć.

– A zatem postanowione – podsumował LaRone. Otworzył drzwi, wyskoczył z kabiny i podszedł do urządzeń kontrolnych turbodźwigu. – Schowajmy ten pojazd i ruszajmy w drogę.

– A więc Drunost – powiedział bez entuzjazmu Solo.

– Daj spokój, Hanie – odezwał się pocieszającym tonem Luke. – Na pewno nie będzie tak źle, jak sobie wyobrazasz.

Stojący z boku u stóp rampy ładowniczej „Sokoła” Chewbacca cicho zaryczał.

– Założę się, że będzie – burknął Han, posyłając Wookiemu ostrzegawcze spojrzenie. – Już raz tam byłem. Same farmy, rancza, kopalnie i kilka górniczych miasteczek.. bardzo dobrze zorganizowanych cz miasteczek

– W takim razie trzeba będzie się trzymać jak najdalej od kompanii górniczych i ich miasteczek – stwierdził Luke z irytującą pogodą ducha chłopaka z farmy.

– Akurat. – Han dobrze wiedział, że to niemożliwe. – Dlaczego nie mielibyśmy się spotkać z tym Tragarzem w bezpiecznych głębinach przestworzy? Leia tak właśnie się spotyka z tamtym Adarianinem.

– Bo Tragarz nie ma własnego statku – odparł cierpliwie Luke. – Mieszka na Drunost, tam właśnie ma grupę swoich ludzi i tam chce się z nami spotkać.

– I to właśnie tam szurmowcy wyskoczyli jak spod ziemi – przypomniał Solo.

– A później odlecieli.

– To on tak twierdzi.

Luke przekrzywił głowę i zerknął na Hana kątem oka z irytującą miną osoby, której cierpliwość zostaje wystawiona na poważną próbę.

– Jeżeli nie chcesz tego zrobić, polecę sam – zaproponował i popatrzył na Wookiego. – Możemy to zrobić we dwóch, ja i Chewie.

– Właż na pokład „Sokoła” – burknął Han. Zanim się zgodził na udział w tej wyprawie, wyobraził sobie, że odbędzie krótką wycieczkę do sektora Sheshy, powęszy w kilku kantynach, zbierze informacje i wróci.

Ale kiedy do planów wyprawy zaczęli się wtrącać Luke, Rieekan oraz Jej Królewska Właścicielka Aksamitnych Kostiumów i Modnych Fryzur, z krótkiej wycieczki zrobiła się poważna dyplomatyczna wyprawa, której część miały stanowić rozmowy z miejscowym przywódcą Rebeliantów.

Innymi słowy, chodziło o politykę..., a właśnie z powodu niechęci do polityki Han tak bardzo nie chciał brać udziału w wyprawie Lei.

Tyle że tym razem Leia nie miała mu towarzyszyć ani umilać życia.

Zauważył, że w przeciwnym końcu hangaru coś się porusza. Spojrzał w tamtą stronę i się skrzywił. Typowe, pomyślał. W chwili, kiedy przypomniał sobie o Lei, księżniczka wyrosła jak spod ziemi.

Miała na sobie praktyczny jasnobrązowy kombinezon, i najwyraźniej przygotowała się do podróży. Na chwilę ich spojrzenia się spotkały, chociaż dzieliła ich zbyt duża odległość, żeby Han mógł być tego pewien. Księżniczka zrobiła ruch, jakby zamierzała podejść do niego...

– Cześć, kolego – dobiegł nagle z przeciwnej strony pogodny kobiecy głos.

Han odwrócił się w tamtą stronę i zobaczył jedną z nowych pilotek X-wingów – Stacy Jakąś tam.

– Cześć – powiedział. Obserwując ukradkiem Leię, podszedł do pilotki. Zauważył, że księżniczka już nie zamierza do niego podejść. Stała nieruchomo jak posąg, chociaż nadal patrzyła na niego.

– Znowu lecisz w towarzystwie tego wielkiego gościa? – zapytała z ożywieniem Stacy, podchodząc do Hana.

Solo miał ochotę się skrzywić, ale zamiast tego wyszczerzył zęby w przyjaznym uśmiechu. I pomyśleć, że jeszcze chwilę wcześniej irytowała go pogoda ducha Luke’a.

– Sama wiesz, jak to jest – oznajmił. – Pojawia się jakiś problem, to trzeba wysłać kogoś do jego rozwiązania.

– I wtedy wysyłają ciebie – dokończyła pilotka z domyślnym uśmiechem. – No cóż, dobrej zabawy.

– Zawsze się dobrze bawię, obojętne dokąd lecę – zapewnił Han, muskając kosmyk włosów Stacy. Jeżeli Leia chciała mieć widowisko, nie miał nic przeciwko temu. – Dopilnuj, żeby nikomu tutaj nie stało się nic złego, dobrze?

– Jasne – odparła dziewczyna, uśmiechnęła się i odeszła.

Han patrzył w ślad za nią, a kiedy zniknęła, znowu się odwrócił.

Leia chyba nie miała zamiaru podejść do niego, skoro zniknęła.

Miał przed sobą puste lądowisko. Trudno. To powinno nauczyć Leię, żeby go więcej nie lekceważyła. Ostatni raz spojrzął na urządzenia lądownicze „Sokoła” i wszedł po rampie na pokład frachtowca.

I postarał się zignorować lekkie wyrzuty sumienia.

Rozdział 9

Barshnis Choard, gubernator sektora Shelsy, przypominał rankora. Był wysoki i barczysty, a z wiecznie zmierzwionymi czarnymi włosami i krzaczastą brodą wyglądał raczej jak pirat niż władca sporego obszaru terytorium Imperium. Kiedy był rozgniewany, miał zwyczaj spacerować po swoim gabinecie. Przechadzał się po grubym dywanie z taką miną, że nikt nie śmiał mu się sprzeciwić ani nawet głośniej odetchnąć.

Obecnie był naprawdę bardzo rozgniewany. Szef jego administratorów, Vilim Disra, jeszcze nigdy nie widział go w takim nastroju.

– Nie chcę słyszeć żadnym wyświek! – warknął Choard. Chcę rezultatów. Rozumiesz, Disra? Re-zul-ta-tów!

– Tak jest, Wasza Ekscelencjo – odparł Disra, kłaniając się w pas, co zawsze było najlepszym sposobem uniknięcia skutków gniewu zwierzchnika. – Zaraz się tym zajmę.

– Więc na co czekasz? – wybuchnął Choard. – Wynoś się stąd i zabieraj do roboty!

– Tak jest, Wasza Ekscelencjo. – Disra skłonił się jeszcze raz i wyszedł.

Jego gabinet znajdował się dwa pokoje dalej i wyglądał o wiele skromniej niż okazała sala recepcyjna gubernatora. Z tego mało reprezentacyjnego pomieszczenia można się było jednak dostać do skomplikowanego labiryntu tajnych przejść, do którego miał także dostęp gubernator, zarówno z pomieszczeń prywatnych, jak i służbowych. Dzięki temu odwiedzający Disrę goście mogli się dostać do pałacu równie niepostrzeżenie jak goście Choarda.

Gość, którego wizyty Disra się spodziewał, siedział już w jednym z wygodnych foteli, ustawionych półkołem pod ścianami gabinetu.

– Spóźniłeś się – powiedział Caaldra oskarży cielskim tonem.

– Byłem zajęty – oznajmił Disra, pewniwszy się, że dzwinkoszczelne drzwi zamknęły się za jego plecami. – Gubernator nie jest zadowolony.

– Gubernator zawsze jest niezadowolony – stwierdził pogardliwym tonem Caaldra, kiedy Disra podszedł do niego. – Co tym razem wprawiło go w zły humor? Podano mu za zimną zupę? Nie podobał mu się wzór na talerzach zastawy przygotowanej na następne wielkie przyjęcie?

– Porozmawiamy o czymś ciekawszym – zaproponował administrator. – Na przykład o gangu grawicyklistów Barglega. Wysłałeś ich na Drunost, żeby przechwycili transport ciężkich karabinów blasterowych.

– To Krwawe Szramy ich wysłały, nie ja – przypomniał Caaldra. – Co się stało? Rebeliancy kurierzy stawili im opór?

– Rebelianci nie musieli nawet kiwnąć palcem – oznajmił lodowatym tonem Disra. – O wszystko zatroszczyli się szurmowcy.

Najemnik zmrużył oczy.

– Szurmowcy? – powtórzył jak echo.

– Jeżeli to nie byli szurmowcy, wyglądali dokładnie jak oni – burknął Disra. – A zapewniałeś mnie, że Imperialcy wycofali większość swoich sił zbrojnych z sektora Shelsy.

– Bo wycofali – stwierdził Caaldra, marszcząc brwi. – Pozostawili tylko „Odwet” i kilka przestarzałych dreadnaughtów do patrolowania przestworzy. Ich garnizony stacjonują już tylko na Minkringu i Chaasternie Cztery. To wszystko.

– W takim razie może mi wyjaśnisz, skąd się wzięli ci szurmowcy? – zapytał Disra. – Z „Odwetu”?

– „Odwet” nigdy nie zbliża się do planety Drunost bliżej niż na pięćdziesiąt lat świetlnych – zapewnił Caaldra, z niesmakiem marszcząc nos. – Komandor Ozeel uwielbia ruty nowe sytuacje. I Jest absolutnie przewidywalny.

– Skądś jednak musieli się wziąć – nie dawał za wygraną Disra. I – Podobno pozostali przy życiu członkowie gangu Barglega donieśli Komodorowi, że w ataku brały udział co najmniej trzy drużyny szurmowców, korzystające ze wsparcia ciężkiej artylerii.

– Komodor ich wezwał, żeby mogli się wypłakać na jego ramieniu? – zapytał najemnik z obłudnym współczuciem. – Mam nadzieję, że przy najmniej posłużyli się jedną z kapsuł do przesyłania informacji.

– Raczej nie – powiedział Disra. – Pamiętaj, że najlepiej się wypłakać bezpośrednio przed kimś.

Caaldra zesztywniał.

– Skontaktowali się bezpośrednio z Gepparinem? – zadał pytanie napastliwym tonem. – Co za bezmyślni idioci!

– Większość tych bezmyślnych idiotów już nie żyje – przypomniał Disra. – A przy okazji, przepadł także milion kredytów wydanych na ich zwerbowanie.

– Pieniądze nie odgrywają żadnej roli – burknął najemnik – Czy naprawdę jesteś ślepy i głupi? Nie wiesz, że bezpośrednia rozmowa pozostawia w systemie HoloNetu ślad, po którym można dojść jak po nitce do kłębka?

– Kto niby miałby podążać tym śladem? – zadrwił administrator. – I dokąd? Co godzina z Drunost wysyła się przez HoloNet sto tysięcy podobnych wiadomości. Nikt się nie połapie, którą wysłali ludzie Barglega.

– Tak czy owak zachowali się jak nieodpowiedzialni amatorzy – obstawał przy swoim Caaldra, ale trochę się uspokoił. – Ale czego można się było spodziewać po bandzie grawicyklistów?

– Cóż, liczyłem, że przynajmniej zrobią to, za co im zapłaciliśmy – odparł Disra. – Aha, jeszcze coś... pozostali przy życiu członkowie gangu Barglega domagają się, żeby ich zabrać z Drunost. A Komodor żąda zwrotu pieniędzy za Barloza, którym się tam dostali.

– Statek został zarekwirowany? – zdziwił się Caaldra.

– Nie, ale bardzo poważnie uszkodzony – wyjaśnił Disra. – Wszystko przez ciężką broń, jaką mieli do dyspozycji tamci szurmowcy.

Caaldra się skrzywił.

– W porządku, sprawdzę to – powiedział. – Może uszkodzenia nie są tak poważne, jak się chłopcom Barglega wydaje.

– A jeżeli są?

– Właściciele Consolidated Shipping mają w pobliżu swojego ośrodka mały bank ze skarbcem, w którym przechowują pieniądze – zakomunikował najemnik – Skrzyknę parę osób, żeby odebrały stamtąd rekompensatę dla Komodora.

– Przy okazji mógłbyś poświęcić chwilę, żeby wpaść na Rankinge – zaproponował Disra. – Kilka godzin temu dowiedziałem się, że mężczyzna, którego tam wysłałeś, aby objął urząd szefa policji Janusara, został tej władzy pozbawiony. W dodatku przy użyciu siły.

– Nigdy w to nie uwierzę – oburzył się najemnik – Cav'Saran zna się na swoim fachu. Na pewno rozpoczął urzędowanie od skonfiskowania całej broni w tamtej okolicy.

– Ja też uważam, że dobrze wywiązał się z wszystkich obowiązków – przyznał Disra. – Na nieszczęście szturmowcy byli przewidujący i przyszli uzbrojeni we własną broń.

Caaldra zacisnęła zęby z taką siłą że aż drgnęły mięśnie jego policzków.

– Następnego szturmowcy? – zapytał.

– Właśnie, następni szturmowcy – odparł z przekąsem Disra. – A skoro według ciebie Cav'Saran miał pod rozkazami i trzystu zaprawionych w bojach ludzi, tym razem szturmowcy musieli się pojawić w sile co najmniej pięciu drużyn.

Caaldra się zamyślił, a jego spojrzenie straciło ostrość.

– Widocznie nie byli tak doświadczeni, jak przypuszczaliśmy – mruknął w końcu cicho. – Cav'Saran raczej nie wynajął najdroższych, czyli najlepszych, skoro się spodziewał, że będą mieli do czynienia z nieuzbrojonymi obywatelami niewielkiego miasteczka. Nigdy nie lubił marnować kredytów.

– Nie wyciągnie wniosków z tej nauki – stwierdził administrator. – Nie żyje. Podobny los spotkał jeszcze sześciu jego ludzi. Aha, jeszcze jedno: dowódca drużyny szturmowców oznajmił, że jego oddział nazywa się Ręka Sprawiedliwości.

– To ciekawe – zauważył z namysłem Caaldra. – Raczej nie spotyka się podobnych nazw.

– Możesz zgłosić skargę w dowództwie szturmowców – zaproponował cierpko Disra. – Nadal czekam na twoje wyjaśnienie, skąd się wzięła ta Ręka Sprawiedliwości.

– To nie mógł być żaden oficjalny oddział – zastanawiał się głośno Caaldra. – Biuro gubernatora powinno być informowane o wszystkich operacjach wojskowych jednostek Imperium w jego sektorze. Włamałem się do jego bazy danych i nie znalazłem żadnej wzmianki, że do tego rejonu mieli zostać skierowani dodatkowi szturmowcy.

– Sugerujesz, że podwładni Barglega i połowa mieszkańców Janusara mieli halucynacje? – zadrwił Disra.

– Nic podobnego – podsumował ponuro Caaldra. – Sugeruję, że w naszym sektorze może się kręcić imperialny agent.

Disra poczuł, że zaschło mu w gardle.

– Imperialny agent? – powtórzył z niedowierzaniem. – Chcesz powiedzieć, że Imperialne Centrum zamierza się nam dobrać do skóry?

– Niekoniecznie – uspokoił go najemnik – Może chce się tylko dobrać do skóry Krwawym Szramom.

– A twierdziłeś, że Imperialne Centrum przestało się interesować piratami.

– Bo na ogół tak jest – przyznał Caaldra. – Pamiętaj jednak, że w ciągu ostatnich osiemnastu miesięcy przechwyciliśmy osiem transportów z zaopatrzeniem dla wojska. Może ci z Imperialnego Centrum w końcu mieli tego dość.

– Coś wspaniałego – burknął Disra. – A podobno przechwytywanie transportów ze sprzętem wojskowym miało pozostać niezauważone wśród tych wszystkich cywilnych transportów, na które napadaliśmy. To był według ciebie jeden z powodów, żeby wydać tyle pieniędzy na wynajęcie dodatkowych piratów i bandytów.

– Zaufaj mi. Kiedy nadejdzie odpowiednia pora, będziesz zachwycony, że pod swoimi rozkazami masz tyle dodatkowej siły ognia – odparł Caaldra.

– Pod warunkiem, że zajdziemy tak daleko – zastrzegł administrator. – A zatem co zrobimy z tym imperialnym agentem?

– A co mamy zrobić? – zdziwił się Caaldra. – Imperialne Centrum o niczym nie wie, bo gdyby wiedziało, wysłałoby do tego sektora tuzin gwiazdnych niszczycieli zamiast jednego agenta i kilku drużyn szturmowców. Możemy pozwolić sobie na to, żeby jeszcze pokręcili się po okolicy.

– A jeżeli zaczną się kręcić zbyt blisko centrum?

– Najpierw będą musieli je znaleźć – powiedział najemnik – Jeżeli nikt więcej nie zrobi nic głupiego, w rodzaju poszukiwania bezpośrednich kontaktów, nie ma szans, żeby imperialny agent dał radę namierzyć nas albo Krwawe Szramy. A przynajmniej nie wcześniej niż będziemy gotowi do wykonania naszego planu.

Disra się skrzywił, ale pomyślał, że Caaldra odbył wojskowe szkolenie, więc chyba wie, co mówi.

– A co z Rankinge? – zapytał. – Teraz, kiedy Cav'Saran nie żyje, nie mamy bazy usytuowanej blisko tamtej fabryki I-Siódemek.

– To żaden problem – uspokoił go Caaldra. – Dobrze byłoby zaatakować ją z lądu, ale niemal równie łatwo możemy się do niej dobrać z powietrza. Poproszę Komodora, żeby polecił komuś się tym zająć.

– Komuś wojowniczo usposobionemu, kompetentnemu i moziwemu do spisania na straty? – domyślił się Disra.

– Mniej więcej – przyznał Caaldra. – A jeżeli chodzi o te ciężkie karabiny blasterowe, których nie udało się zdobyć chłopcom z gangu Barglega, to się nie przejmuj. Mam na oku ładunek, który przyda się nam jeszcze bardziej do zneutralizowania garnizonów Imperium w Minkringu i Chaasternie Cztery.

– Więcej samopowtarzalnych blasterów typu E-Web? – domyślił się Disra.

– Czegoś lepszego... tych mamy i tak pod dostatkiem – powiedział Caaldra. – Powiem ci, kiedy Krwawe Szramy już zdobędą. W tej chwili leci tu ich najlepszy statek z załogą. Wstał z fotela. – Ale Komodor może nam tego nie przekazać, jeżeli nie będziemy mieli dla niego pod ręką rekompensaty za zniszczonego Barloza. Muszę się teraz zatroszczyć o zdobycie tych pieniędzy.

– Tylko uważaj – ostrzegł Disra. – Jeżeli naprawdę mamy do czynienia z imperialnym agentem, nie możemy pozwolić sobie na żadną wpadkę.

– Nie będzie żadnej wpadki – zapewnił go najemnik – Uspokój się, Disra. Twój gubernator niedługo przejdzie do historii, nie pamiętasz?

Uśmiechnął się z przymusem, przeszedł przez gabinet do ukrytych drzwi i zniknął w tajnym korytarzu.

Dopiero wówczas administrator pozwolił sobie na pełen satysfakcji uśmiech. Tak, gubernator Choard rzeczywiście miał wkrótce przejść do historii.

Ale nie w sposób, jakiego można się było spodziewać.

Jeden z instruktorów Mary nauczył ją, że kapitanowie pirackich statków rzadko przestrzegają wojskowego, trzy zmianowego harmonogramu wacht. Na ogół członkowie załogi czuwali cały dzień, a wieczorem wracali do swoich kabin – naturalnie wszyscy z wyjątkiem dyżurnego pilota – i udawali się na spoczynek.

Pod tym względem Shakkó nie stanowił wyjątku.

Mara spędziła pierwsze dwie noce, krążąc swobodnie po pirackim statku. Aby odnaleźć kartę danych, którą dostał Shakkó od Caaldry, przeszukała wszystkie pomieszczenia oprócz kabin i sterowni. Sprawdzenie kabin mogło być trudniejsze, ale po kilku dniach badania obyczajów piratów Mara stwierdziła, że członkowie załogi spędzają większość wolnego od służby i posiłków czasu nie w swoich kabinach, lecz w sterowni, w pomieszczeniach technicznych albo w dziobowej ładowni, gdzie sprawdzali stan rozmaitych systemów uzbrojenia. Przewidując ich zamiary dzięki Mocą, znalazła wystarczająco dużo okazji, żeby się ostrożnie wślizgnąć do każdej kabiny i ją przeszukać.

Niestety nic nie znalazła. Oznaczało to, że albo Shakkó zostawił kartę danych w sterowni, czyli jedynym miejscu, którego dotąd nie miała okazji przeszukać, albo nosi ją cały czas przy sobie.

Mara uświadomiła sobie, że zaczyna jej brakować czasu. Poszukiwania zajęły niemal cztery dni, więc do spodziewanego ataku pozostał już tylko jeden. Na razie nie natknęła się na żadnego członka załogi. Doskonale wiedziała, że dwa niewyjaśnione wypadki utraty przytomności podczas tej samej wyprawy zmusiłyby nawet najgłupszego pirata do zastanowienia się, czy to nie sabotaż. Gdyby jednak Mara nie miała innego wyjścia, musiałyby się na to zdecydować.

Późnym wieczorem czwartego dnia, kiedy siedziała w ładowni, schowana w swojej kryjówce w stosie skrzyń, usłyszała odgłosy cichego stapania.

Usiadła prosto i zwiększyła wrażliwość zmysłów. W ciągu poprzednich czterech dni do ładowni przychodzili pojedynczy piraci, ale żaden z nich się nie skradał. Kierowali się prosto do stosu pojemników, coś zabierali i równie naturalnie wychodzili. Tym razem jednak było więcej intruzów, w dodatku starali się iść jak najciszej, żeby Mara ich nie usłyszała.

I skierowali się prosto do stosu pojemników, w którym się ukrywała.

Mara bezszelestnie kucnęła i upewniła się, że ma świetlny miecz i blaster w zasięgu ręki. Przycisnęła plecy do dużej beczki, podtrzymującej środek sklepienia jej kryjówki, i przygotowała się do walki. Przypuszczała, że piraci zaczną od wrzucenia granatu...

I rzeczywiście już po chwili przez jedną ze szczelin, którą zostawiła między okratowanymi pojemnikami dla dopływu powietrza, wleciał niewielki granat ogłuszający. Potoczył się z grzechotem po płytach pokładu i znieruchomiał tuż przed jej nogami.

Mara odierwała plecy od beczki, zwróciła się w prawo i przetoczyła do tyłu w taki sposób, że na ułamek sekundy jej nogi znalazły się nad głową. W połowie obrotu skrzyła ciało w lewo, opuściła nogi i odepchnęła się lewym ramieniem od płyty pokładu.

Kucnęła po drugiej stronie beczki w tej samej chwili, w której eksplodował wrzucony granat.

Rozległ się ogłuszający huk. Siła eksplozji uniosła w powietrze okratowane pojemniki tworzące sklepienie jej kryjówki i popchnęła podpierającą je beczkę ku jej plecóm. Wstrząs okazał się zbyt silny, żeby skrzynie utrzymały się w delikatnej równowadze w jakiej je ustawiła. Kiedy sklepienie zaczęło się walić, Mara odepchnęła się plecami od beczki i zauważyła, że dwa pojemniki lecą na jej głowę. Uwolniła myśli i pomagając sobie Mocą, odepchnęła je na boki w taki sposób, żeby runęły jeden po jej lewej, a drugi po prawej stronie.

Naturalnie prościej byłoby posłużyć się Mocą już na początku, żeby chwycić granat i wyrzucić go z kryjówki. Ujawniłyby to jednak napastnikom, że Mara wie o ich obecności w ładowni. Obecnie powinni poczynać sobie mniej ostrożnie, przekonani, że ofiara jest obezwładniona albo nie żyje. Mara sięgnęła po blaster i wstała.

Zobaczyła twarze czterech stojących półkolem piratów, którzy na jej widok wybaluszyli oczy. Byli uzbrojeni, ale lufy blasterów były skierowane ku pokładowi. Mara uniosła swoją broń i wystrzeliła.

Trafiła dwóch stojących pośrodku piratów w pierś, zanim którykolwiek zdążył unieść blaster. Najszybciej zareagował mężczyzna stojący po lewej stronie i Mara musiała się uchylić, żeby pierwsza skwiercząca błyskawica przeleciała obok jej głowy. Posługując się Mocą, wykręciła blaster w dłoń pirata. Ku jego wielkiemu zaskoczeniu drugi strzał trafił kolegę po prawej stronie.

Wciąż miał jeszcze na twarzy wyraz niedowierzania, kiedy Mara położyła kres jego życiu ostatnim strzałem.

Zanim zdążyła się wygrzebać z ruin kryjówki, poczuła silny wstrząs, ale nie usłyszała żadnych odgłosów. Płyty pokładu pod jej stopami przeniknęło subtelne, ale trwające dosyć długo drżenie. Zmarszczyła brwi, zastanawiając się, co piraci knują.

Po chwili poczuła przypływ adrenaliny, bo nagle zrozumiała. Silny wstrząs oznaczał, że piraci opuścili przednią płytę dziobowej ładowni, w której mieli zainstalowane systemy uzbrojenia. Długotrwałe drżenie towarzyszyło otwarciu ognia z czterolufowych laserów i jonowego działka, a całkowita cisza wynikała z braku atmosfery w ładowni. Mara odgadła, że piraci zdecydowali się rozpocząć atak dzień wcześniej niż planowano.

Puściła się biegiem do dziobowej ładowni ze stanowiskami artylerii, ale w połowie drogi uświadomiła sobie, że nie może zrobić nic dla powstrzymania piratów. W dziobowej ładowni panowała próżnia, więc nawet gdyby się tam dostała, pozbawiłaby atmosfery wszystkie inne pomieszczenia na pokładzie statku. Nie tylko sama by zginęła, ale także uśmierciła wszystkich innych członków załogi. Miała wprowadzić do dyspozycji próżnioszczelne skafandry w przedziale technicznym, ale straciłaby wiele cennych minut, zanim by tam dotarła.

Jeżeli jednak nie mogła przerwać ataku w bezpośredni sposób, może mogłaby go powstrzymać w sposób pośredni.

Spodziewała się, że blasteroodporne drzwi do sterowni są uszczelnione, i nie pomyślała się w swoich rachubach. Przypuszczała jednak, że jej świetlny miecz bez trudu je przetrnie, i tym razem także miała rację. Wycięła otwór w drzwiach i trzy mając płonące karmazy nowym blaskiem ostrze przed sobą, wskoczyła do środka.

W sterowni pełniło służbę czterech piratów, a wśród nich Shakkó i Tannis. Wszyscy trzymali gotowe do strzału blastery. Gdyby otworzyli do niej ogień wszyscy naraz, mogłoby jej to sprawić sporo kłopotów, ale zaczęli strzelać pojedynczo, dzięki czemu Mara bez trudu odbijała klingą skwierczące błyskawice ich strzałów ku pokładowi, ścianom albo sufitowi. Powoli ruszyła przed siebie, nastawiając klingę świetnego miecza tak umiejętnie, żeby odbijane strzały nie wbijały się w urządzenia kontrolne ani, co byłoby jeszcze gorsze, w transpaltalowe iluminatory.

– Poddajcie się! – rozkazała, wymawiając słowo z trudem, bo musiała poświęcić całą uwagę odbijaniu blasterowych strzałów.

– Idź się utop – warknął w odpowiedzi Shakkó. – Parszywa imper...

Jego słowa przemieniły się w zduszony charkot, kiedy Mara posłała błyskawicę prosto w jego gardło.

Trzej pozostali przy życiu piraci zdwoili wysiłki, ale Mara wyczuła, że przez ich wściekłość zaczyna przebiegać zwątpienie. Ani wściekłość, ani zwątpienie nie mogły się im jednak na nic przydać. Mara radziła sobie znakomicie, więc po następnych dwóch strzałach do kapitana dołączyli jeszcze dwaj piraci, którzy runęli bez życia na płyty pokładu.

Ostatni, Tannis, wahał się chwilę, zanim uniósł lufę blastera i wyzywająco posłał błyskawicę prosto w jej twarz.

Mając już tylko jednego przeciwnika, Mara mogła pozwolić sobie na odrobinę finezji. Nie skierowała odbitej błyskawicy w jego głowę ani w pierś, ale posłała ją w prawe udo.

Mężczyzna jęknął z bólu i potknął się, kiedy zraniona noga przestała utrzymywać ciężar jego ciała. Opuścił broń, a Mara podeszła do niego, zatoczyła młynką klingą świetnego miecza i zręcznie przecięła blaster na dwie części. Wyciągnęła w stronę pirata rękę z dłonią zwróconą na zewnątrz i pomagając sobie Mocą, pchnęła go z powrotem na fotel drugiego pilota.

– Zostań tam – rozkazała.

Stanęła obok niego i spojrziała przez iluminator. Lupem piratów padł spory rendiliański frachtowiec. Wyglądał na niemal nowy, a przynajmniej taki był jeszcze przed godziną, zanim piraci otworzyli ogień do jego kadłuba i sekcji silnikowej. Mara przeniosła spojrzenie na kontrolny pulpit pirackiego statku i znalazła włącznik systemu kompensacji przyśpieszeń.

System zaopatrzonego w układy zapobiegające skutkom awarii i przypadkowemu wyłączeniu przez niepowołane osoby, więc Mara nawet nie usiłowała przy nim majstrować. Zamiast tego wbiła ostrze świetlnego miecza we właściwy fragment kontrolnego pulpitu. Stopiła w ten sposób obwody sterujące i wysłała impuls o tak dużym natężeniu, żeby pokonał wszystkie przeszkody na swojej drodze.

Wskaźniki poprawności funkcjonowania kompensatorów za – płonęły intensywną czerwień. Mara wyłączyła klingę świetlnego miecza, wsunęła rękę do pasa i spojrziała na Tannisa.

– Lepiej się przypnij – doradziła, siadając na fotelu pilota i zapinając klamry swojej ochronnej uprząży. Kątem oka zauważyła, że pilot pirackiego statku przestał ścisnąć zranioną nogę i zaczął wykonywać jej polecenie. Najwyraźniej Tannis miał głęboko zakorzeniony instynkt samozachowawczy, i Mara postanowiła to zapamiętać na wszelki wypadek. Włączyła główne jednostki napędowe i przesała do nich silny impuls energii.

Niewidzialna ręka wcisnęła jej plecy w oparcie fotela, a Tannis zaczerpnął powietrza ze zduszonym jękiem. Mara pomyślała, że doskonale rozumie jego reakcję. Nikt nie latał gwiazdnym statkiem z wyłączonymi kompensatorami, bo nawet kiedy urządzenia były włączone, raptowne manewry mogły przeciążyć system na tyle, że odczuwało się skutki przyśpieszeń. Nawet Mara nie była do końca przygotowana na sensacje spowodowane brakiem kompensatorów.

Wyłączyła jednostki napędowe i wciskając ją w fotel siła zanika równie nagle jak się pojawiła. Mara przygotowała się na następne szarpnięcia i przesała silny impuls energii do dziobowych silniczków manewrowych.

Tym razem niewidzialna ręka zmieniła kierunek działania, pchając ją na iluminator. Nie wyłączając dziobowych silniczków, Mara przekazała energię do silniczków sterburtowych i poczuła, że jej prawe biodro napiera na podłokietnik fotela.

Przenikające statek lekkie drżenie świadczące o prowadzeniu ognia z dziobowych stanowisk artylerii zanikło. Zamiast niego napłynął chór przekazywanych przez interkom okrzyków, jęków i przekleństw. Ignorując je, Mara odcięła dopływy energii do wszystkich silniczków manewrowych, a potem przesała ją do silniczków w bakurcie. Po kolei włączała silniczki dziobowe, sterburtowe i główne jednostki napędowe, żeby w końcu przekazać impuls energii do dziobowych i sterburtowych silniczków manewrowych. Później całkowicie odcięła dopływy energii i spojrziała przez iluminator.

Zobaczyła w przestworzach przed dziobem dziesięć ubranych w różnosczełne skafandry ciał, które wypadły dzięki jej manewrom przez otwarte wrota dziobowej ładowni. Lecąc w idealnej próżni, niektóre się obracały, a inne bezradnie koziłkowały. Z głośnika interkomu wydobywały się obecnie tylko sporadyczne przekleństwa, świadczące o dezorientacji i oszołomieniu. Mara wyłączyła interkom i wcisnęła guzik komunikatora.

– Wzywam rendiliański frachtowiec – powiedziała. – Tu koreliański HT-2200, który dotychczas was ostrzeżliwał. Przejęłam dowodzenie i powstrzymałam atak. Podajcie dane identyfikacyjne swoje, swojego statku i informacje o ładunku.

Zapadła krótka cisza.

– Kto mówi? – odezwał się podejrziwym tonem jakiś mężczyzna.

– Nowy dowódca tego statku – odparła Mara. – W tej chwili nie musicie wiedzieć nic więcej. Podajcie dane identyfikacyjne swoje, swojego statku i informacje o ładunku.

Znów zapadła cisza, tym razem na dłużej. Mara domyśliła się, że jej rozmówca stara się zorientować, czy to przypadkiem nie podstęp jego prześladowców. Co prawda nie miał pojęcia, do czego mogłoby się im to przydać.

– Nazywam się Norello i jestem kapitanem „Drogi Happera” – oznajmił w końcu. – Dowodzę prywatnym frachtowcem wynajętym przez imperialną armię na Chandrili.

A zatem ładunek, którym tak bardzo interesował się Caaldra, stanowił zaopatrzenie dla imperialnych sił zbrojnych. Ciekawe, pomyślała Mara.

– Co pan transportuje? – zapytała.

Zapadła kolejna krótka cisza.

– Pięćdziesiąt robotów kroczących typu AT-ST dla garnizonu na Llorkanie – poinformował ją w końcu Norello.

Mara poczuła się, jakby ktoś ją mocno uderzył w brzuch. Uniwersalne terenowe transportery zwiadowcze typu AT-ST były jednymi z najbardziej wszechstronnych machin bojowych, jakimi dysponowała imperialna armia. Można je było wykorzystać wszędzie, począwszy od terenów porośniętych gęstymi lasami, a skończywszy na wąskich uliczkach miast i osad. Jeżeli ktoś wiedział, jak się nimi posługiwać, mając pięćdziesiąt takich robotów mógł zrównać z ziemią całą dzielnicę, a może nawet podbić i opanować niewielką skolonizowaną planetę.

Co, na wszystkie mroki przestworzy, knuł Caaldra?

– Jak bardzo jest uszkodzony pański statek? – zadała pytanie Mara.

Norello prychnął.

– Na razie nigdzie się nie wybieramy – odparł ponuro.

– Muszę wiedzieć coś więcej – oznajmiła cierpko Mara. – Czy ma pan na pokładzie wojskowych w stopniu oficerów?

– Nie mam w ogóle żadnych wojskowych – zapewnił kapitan „Drogi Happera”. – Dowodzę cywilnym frachtowcem.

– Już mi pan to mówił – przypomniała Mara i zaczęła szybko myśleć. Była Ręką Imperatora, więc teoretycznie mogła zażądać oddania pod jej rozkazy wszystkich osób i całego sprzętu, jakiego potrzebowała. Ze względów praktycznych musiałaby jednak przedtem znaleźć kogoś, komu mogłaby udowodnić, że rzeczywiście jest tym, za kogo się podaje. – Gdzie znajduje się najbliższy imperialny okręt liniowy? – zapytała.

– Skąd mam wiedzieć? – odpowiedział Norello.

– Transportuje pan wojskowy sprzęt – przypomniała Mara. – To oznacza, że dysponuje pan listą kontaktów, z których może pan zrobić użytek w sytuacjach wyjątkowych.

Zapadła krótka cisza, a kiedy Norello się znów odezwał, w jego głosie brzmiała subtelna nuta szacunku.

– Tak, proszę pani, rzeczywiście mam taką listę – przyznał. – Najbliższy okręt liniowy to gwiazdny niszczyciel „Odwet”. Chętnie przekaza pani informacje o osobie, z którą można się tam skontaktować.

– Wolałabym, żeby to pan się z nią skontaktował – stwierdziła Mara. – Czasami piraci instalują na pokładach swoich statków urządzenia do kopiowania rozmów i przesyłania ich do głównej bazy.

– Tak jest, proszę pani – odparł Norello. – Co mam im przekazać?

– Niech pan im powie, że chcę rozmawiać z dowódcą okrętu – poleciła Mara. – I tylko z nim, z nikim innym.

– Zrozumiałem – oznajmił kapitan.

Kiedy głośnik komunikatora umilkł, Mara odwróciła się do Tannisa.

– Komu miały zostać przekazane te AT-ST? – zapytała.

Pilot pirackiego statku zmierzyl ją lodowatym spojrzeniem. Mara zauważyła, że Tannis bardzo cierpi.

– Co z tego będę miał? – zapytał.

– Życie? – podsunęła Ręka Imperatora.

Tannis pokręcił głową.

– Dobry początek, ale chyba stać cię na coś więcej – powiedział.

Mara powiodła spojrzeniem po sterowni. Jedyne karty danych, jakie widziała, przechowywano w regale obok jej kolana. Pochyliła się i wyciągnęła je z przegródki.

– Nie znajdziesz jej tam – odezwał się Tannis.

– Czego nie znajdziesz? – zagadnęła Mara, zapoznając się z zawartością nośników informacji.

– Karty z danymi o ataku – odparł Tannis z satysfakcją. – Szakko nigdy nie pozostawia takich kart tam, gdzie ktoś mógłby je łatwo znaleźć. Przesłał listę Komodorowi i zapamiętał dane o tym celu, a później zniszczył kartę danych.

– Z tego wynika, że powinnam uciąć sobie pogawędkę z tym Komodorem – podsumowała Mara. – Gdzie mogę go znaleźć?

– Co z tego będę miał? – powtórzył pirat.

Mara uwolniła myśli i korzystając z Mocy, posłała je w głąb umysłu pilota. Wyczuła ból i strach, ale także silny upór. Tannis wiedział, że ma informację, na której zależy jego rozmówcy. Był gotów zaryzykować wszystko, w nadziei, że Mara potrzebuje jej tak bardzo, iż jest gotowa zawrzeć z nim ugodę.

– Zaatakowaliście statek z zaopatrzeniem dla imperialnej armii – przypomniała. – Chyba wiesz, że takie przestępstwo jest karane śmiercią.

– Wiem – mruknął Tannis. – I co z tego?

– Mogę zamienić to na dwadzieścia lat w kolonii karnej.

Mężczyzna wyduł wargi, jakby się zastanawiał nad jej propozycją, ale po chwili pokręcił głową.

– Nie – powiedział.

Mara uniosła brwi.

– Chyba żartujesz – parsknęła. – Nawet gdy bym mogła zamienić ci karę śmierci na więzienie, dlaczego uważasz, że twoje informacje są tego warte?

– Hej, możesz to załatwić, bez dwóch zdań – odparł pirat. – Bo widzisz, dostaliśmy tę informację od jednego z naszych współpracowników...

– Masz na myśli Caaldre? – wtrąciła Mara.

Tannis się skrzywił.

– Tak, Caaldre – przyznał niechętnie, obrzucając ją czujnym spojrzeniem. Prawdopodobnie liczył na to, że coś uzyska w zamian za wyjawienie tej informacji. – Powiedział nam, że w okolicy węszy imperialny agent. – Spojrzał na zwłoki trzech towarzyszy. Po gwałtownych manewrach Mary leżały w nienaturalnych pozach jedno na drugim. – Domyślam się, że chodziło mu o ciebie. A zatem albo zawrzesz ze mną ugodę, albo wszelkie ślady znikną.

– Na pokładzie gwiazdnego niszczyciela mają pełny zestaw aparatury do przesłuchiwania opornych więźniów – przypomniała Ręka Imperatora.

Tannis przelknął ślinę.

– Takie przesłuchanie zajmie mnóstwo czasu – powiedział, widocznie jeszcze nie zamierzając rezygnować z udawania twardziela. – Jeżeli nie dostarczymy towaru w określonym terminie, Komodor się domyśli, że coś poszło nie tak i się stamtąd zmyje.

Mara wiedziała, że Tannis może blefować. Ból i zdenerwowanie pirata nie pozwalały jej prawidłowo ocenić jego nastawienia. Jeżeli jednak nie blefował i Komodor rzeczywiście mógł opuścić bazę, Mara wróciłaby do punktu, od którego zaczęła poszukiwania.

Tymczasem jej zadanie stało się tak interesujące, że wołała nie ryzykować.

– Proszę pani – odezwał się kapitan Norello. – Nawiązałem kontakt z dowódcą „Odwetu”.

– Niech pan mi umożliwi rozmowę z nim, a później wyłączę swój komunikator – poleciła Mara. – Dam znak światłami pozycyjnymi, kiedy będzie pan mógł go znów włączyć.

– Tak jest, proszę pani.

Rozległ się cichy trzask

– To komandor Ozzel z pokładu imperialnego niszczyciela gwiazdnego „Odwet” – usłyszała Mara burkliwy głos. – Kto, na wszystkie ognie przestworzy, chce ze mną mówić?

– Kod rozpoznawczy brzmi: Hapspir, Barrini, Corbolan, Triaxis – powiedziała Mara. – Życzy pan sobie, żeby m powtórzyła?

– Nie – odparł Ozzel o wiele uprzejmiej. – Jak brzmi pani... to znaczy, jak mam się do pani zwracać?

– Jestem Ręką Imperatora – oznajmiła Mara. – Macie nasze aktualne współrzędne?

– Mamy – potwierdził Ozzel.

– Więc proszę przerwać wszelkie czynności i przyłecieć tu najszybciej jak się da – rozkazała Mara.

– Potwierdzam – powiedział komandor oficjalnym, oschłym tonem. – Będziemy mniej więcej za dziesięć standardowych godzin.

– To dobrze – powiedziała Mara. – Ręka Imperatora przerywa połączenie.

Zaczekała, aż usłyszy trzask oznaczający, że operator systemu łączności „Odwetu” wyłączył komunikator, po czym dwukrotnie zapaliła i zgasiła światła pozycyjne pirackiego statku.

– Tu Norello – usłyszała natychmiast głos kapitana „Drogi Happera”.

– Na ile ocenia pan czas niezbędny do dokonania napraw? – zapytała.

– Przywrócenie sprawności silnikom zajmie mniej więcej trzydzieści godzin – poinformował Norello. – Przedtem musimy naprawić kilka poważnych dziur w poszyciu kadłuba.

– Zajmijcie się natychmiast tymi dziurami – poleciła Mara. – „Odwet” już tu leci. Kiedy się pojawi, wydam rozkaz, żeby jego inżynierowie przyszedli wam z pomocą. Jaka jest minimalna liczba członków załogi, potrzebna, aby się uporać z problemem uszczelnienia kadłuba frachtowca?

– Muszę mieć co najmniej czterech – oznajmił Norello podejrziwym tonem. – Dlaczego pani o to pyta?

– Dam panu znać, kiedy pojawi się „Odwet” – odparła Mara. – Proszę wysłać szalupę do zabrania tych dziesięciu piratów, którzy w tej chwili koziolkują w przestworzach. Mam nadzieję, że ma pan na pokładzie miejsce, gdzie można ich zamknąć?

– Znajdziemy – zapewnił ponuro kapitan „Drogi Happera”.

– Zależy pani na tym, żeby przeżyli?

Mara spojrzała na Tannisa. Pilot pirackiego statku patrzył na nią jakby zobaczył upiora. Wyglądało na to, że pogłoski na temat Ręki Imperatora dotarły nawet na Rubieże.

– Tylko dopóki się nie okaże, czy będziemy ich potrzebowali – powiedziała.

Komandor Ozzel wyłączył komunikator w swojej kabinie i spojrzeł na mężczyznę siedzącego po drugiej stronie jego biurka.

– Ręka Imperatora – oznajmił, czując dreszcz, który przewędrował wzdłuż jego kręgosłupa.

– Proszę się uspokoić, panie komandorze – odparł surowo pułkownik Vac Somoril z Imperialnego Biura Bezpieczeństwa. – Nie wywnioskowałem z waszej rozmowy, że pańska rozmówczyni wie cokolwiek na temat naszych dezertarów.

Gdyby nawet wiedziała, Somoril na pewno by wymyślił sposób, żeby obarczyć winą mnie jako dowódcę „Odwetu”, nie siebie, pomyślał z goryczą Ozzel.

– Powinniśmy byli o tym zameldować – burknął. – A ja nie powinienem się zgadzać na zatajenie tej informacji, jak pan sugerował.

– Czy naprawdę pan chce, aby pańscy przełożeni się dowiedzieli, że pozwolił pan uciec pięciu szturmowcom? – zapytał Somoril. – A wśród nich jednym... chyba pan wie, o kogo chodzi? I że nawet wyskoczył pan z nadprzestrzeni, żeby ułatwić im ucieczkę?

– To nie o moją reputację się pan troszczy – przypomniał cierpko Ozzel. – Chciał pan zataić fakt, że pański zastępca został zastrzelony ze swojej broni. Bardzo chciałbym wziąć udział w następnej sesji poświęconej podziałowi środków z budżetu. Ciekawe byłoby posłuchać, jak przedstawiciele IBB wychwalają poziom kompetencji swoich podwładnych.

Długą sekundę obawiał się, że przebrał miarę, bo rysy twarzy Somorila stężyły, a w oczach pojawiła się śmierć. Później jednak oficer wyraźnie się odprężył.

– Wydaje mi się, że obaj dobrze rozumiemy powagę sytuacji, komandorze – odezwał się w końcu. – Z powodu tego incydentu może ucierpieć kariera zarówno moja, jak i pańska. Pozostaje pytanie, co zamierzamy zrobić, żeby do tego nie dopuścić.

– Powinniśmy zacząć od tego, że nie pozwolimy tej kobiecie wejść na pokład „Odwetu” – podsunał Ozzel. – Ta bajeczka o zaatakowanym frachtowcu może być tylko pretekstem do wdrożenia śledztwa.

– Miałem na myśli bardziej radykalne rozwiązanie – wyjaśnił Somoril. – Ile osób wie o śmierci majora Drelfina?

– Zbyt wiele – stwierdził ponuro komandor. – Kapitan Brillstow i niektórzy członkowie załogi, którzy pełnili wówczas służbę na mostku, cały oddział szturmowców...

– Chodziło mi o śmierć Drelfina, nie o dezercję – przerwał pułkownik IBB.

– Ach, tak – Ozzel urwał i jakiś czas się zastanawiał. – Na pewno wie o tym technik, który znalazł zwłoki, i sanitariusz, który je badał, a także kilka medycznych androidów, kapitan Brillstow, pan i ja – podjął po chwili. – Plus osoby z pana grupy, którym pan o tym powiedział.

– Nie mówilem nikomu – zachnął się Somoril i wpatrzony w przestrzeń nad ramieniem Ozzela, zaczął machinalnie gładzić się po brodzie. – A zatem trzy osoby oprócz nas – podsumował. – Jest pan pewny, że pański technik i sanitariusz nie powiedzieli jeszcze komuś?

– Prawie pewny – odparł Ozzel, zastanawiając się, dokąd zmierza funkcjonariusz IBB. – Zgodnie z pańskim poleceniem rozkazałem im, żeby nic nikomu nie mówili.

– Wiem, co panu poleciłem – burknął kwaśno Somoril. – Pytałem o to, jak dokładnie zostało wykonane to polecenie. – Głęboko odetchnął. – No, dobrze – podjął po chwili. – Panie komandorze, niniejszym wyrażam zgodę na zamieszczenie w dzienniku pokładowym informacji, że dotychczas niewyjaśniony odlot frachtowca „Gillia” był w rzeczywistości zorganizowaną przez IBB tajną wyprawą, w której udział wzięli major Drelfin i pięciu szturmowców z zakreutowanego oddziału.

Ozzel jakiś czas wpatrywał się w niego, jakby nic nie rozumiał.

– Czy pan oszalał? – wybuchnął w końcu. – Przecież mamy na pokładzie okrętu zwłoki Drelfina!

– Które w ciągu następnej godziny znikną – wyjaśnił beznamiętnie Somoril. – Zanim dotrzemy na miejsce spotkania z „Drogą Happerą”, już ich nie będzie.

– A co z technikiem i z sanitariuszem, którzy widzieli zwłoki? – nie dawał za wygraną Ozzel.

Somoril zacisnął wargi.

– Zarejestruje pan także, że Drelfin kontaktował się osobiście z panem i zażądał, aby do jego zespołu dołączono tych dwóch ludzi – powiedział.

Ozzel poczuł, że cała krew odpływa z jego twarzy.

– Chyba nie mówi pan poważnie – szepnął.

– Niech pan da spokój – oznajmił sardonicznie Ozzel. – Starszemu oficerowi Marynarki Imperium nie przystoi rozkładać się nad sobą.

– Nie wezmę w tym udziału – zastrzegł Ozzel. – Ma pan na myśli morderstwo z premedytacją...

– Toczy my wojnę, panie komandorze – uciął surowo pułkownik. – A podczas wojny ginie wiele osób. To niewielka cena za to, żeby dwaj doświadczeni starsi oficerowie mogli nadal pełnić służbę. – Uniósł brwi. – A może pan woli, żeby pozbawiono pana stopnia i okrytego niesławą, odesłano do domu?

Ozzel skrzywił się, kiedy pomyślał o swoich marzeniach awansu do stopnia admirała.

– Nie, oczywiście, że nie – powiedział. – Proszę robić, co uzna pan za konieczne.

– Dziękuję panu – burknął Somoril i wstał. – Proszę wydać rozkaz temu technikowi i sanitariuszowi, żeby się u mnie zameldowali, a później niech pan przygotuje swój okręt do odlotu. – Uśmiechnął się ponuro. – Wspaniała Ręka Imperatora czeka na nas.

Rozdział 10

– Oto dane na temat transmisji, o które pan prosił, inspektorze – oznajmiła funkcjonariuszka Ośrodka HoloNetu Conso City, wyciągając kartę danych z czytnika komputera. – Musi mi pan jednak przedstawić potwierdzony przez trzy osoby nakaz sądowy, żeby mi mogła umożliwić panu dostęp do danych personalnych nadawcy.

– Dostarczę go pani jutro – zapewnił LaRone, biorąc kartę danych. – Na razie zapoznam się z tymi informacjami. Bardzo dziękuję.

Wsunął kartę danych do wewnętrznej kieszeni i minutę później wyszedł na zalaną blaskiem południowego słońca ulicę. Prawdę mówiąc nie oczekiwał, że firma Consolidated Shipping udostępni mu szczegółowe informacje bez przedstawienia niezbędnych nakazów czy zezwoleń, ale doszedł do wniosku, że nie zaszkodzi spróbować.

W każdym razie zdobył informacje na temat samej transmisji. Pomyślał, że może to mu wystarczy.

Idąc ulicą, zauważył, że wokół ośrodka HoloNetu panuje wyjątkowo duży ruch. Prawdopodobny powód odkrył, kiedy minął najbliższe skrzyżowanie. Zobaczył duży biały budynek ze znakiem firmy Consolidated Shipping oraz napisem „Depozyt gotówki i wymiana waluty” nad głównymi drzwiami. Dzień chylił się ku zachodowi, więc wielu kupców i pracowników firm usługowych przywoziło do skarbca całodzienny utarg, na ogół w imperialnych kredytach, ale czasami także w miejscowych czy regionalnych walutach, z którymi wielu obywateli tej zacofanej planety nadal nie miało ochoty się rozstać. Zastanawiając się, ile pieniędzy oddawano na przechowanie każdego wieczora, LaRone zaczął się rozglądać w poszukiwaniu Grave’a.

Nigdzie go nie zobaczył. Zmarszczył brwi i wyjął komunikator.

– Grave? – zapytał.

– Jestem – usłyszał od razu odpowiedź strzelca wyborowego, bez umówionych haseł, które miały oznaczać kłopoty. – Siedzę w kawiarence trochę dalej po prawej stronie, dokładnie naprzeciwko skarbca firmy Consolidated. Mam nadzieję, że dołączysz do mnie.

– Już tam idę – odparł LaRone i przyspieszył kierując się do kawiarenki. – Masz jakieś wiadomości od pozostałych?

– Zgłaszał się Quiller – zameldował Grave. – Ci z Consolidated mają szczątki tamtego Barloza, ale trzymają je pod kluczem i nie mają ochoty udostępnić ich obcym. Quiller nie chciał się przy tym upierać, dopóki nie porównamy notatek nie przekonamy się, czego udało się nam dowiedzieć. Marcross i Brightwater nie mieli więcej szczęścia w sprawie raportów z sekcji zwłok grawicykistów.

A tymczasem Grave przesiadywał w kawiarence.

– To co, świętujemy czy topimy smutki? – zagadnął LaRone.

– Ani jedno, ani drugie – odparł snajper. – Postaraj się wejść dyskretnie... żeby nikt nie zwrócił na ciebie uwagi. Siedzę przy stoliku w głębi po prawej stronie.

Lokal wyglądał jak wiele innych kawiarenek na wielu planetach Imperium: był pogrążony w półmroku, a pod ścianą naprzeciwko wejścia stał duży bar z kontuarem. Większość pozostałej przestrzeni zajmowały stoliki dla czterech albo sześciu gości. Siedzieli przy nich zarówno ludzie, jak i przedstawiciele wielu innych ras galaktyki. LaRone zauważył strzelca wyborowego przy jednym z mniejszych stolików pod ścianą po prawej stronie sali. Podszedł do niego.

– Z czego robisz taką tajemnicę? – zadał pytanie, siadając po lewej stronie przyjaciela.

– Przyjrzyj się dyskretnie gościom przy tamtym stoliku – powiedział cicho Grave, wskazując głową kierunek – Trzech ludzi i Wookie. Czy któryś z tych mężczyzn nie wygląda ci znajomo?

LaRone podrapał się po policzku, a przy okazji odwrócił głowę i spojrzał od niechcienia we wskazanym kierunku. Jeden z gości był kilkunastoletnim wyrostkiem i zachowywał się, jakby pierwszy raz przyjechał do dużego miasta. Drugi mężczyzna, trochę starszy, miał znużoną minę, co prawdopodobnie dowodziło, że widział w życiu wszystko, co było do zobaczenia. LaRone zwrócił uwagę na krwistoczerwone koreliańskie lampasy na nogawkach jego spodni, co oznaczało, że mężczyzna jest kimś w rodzaju bohatera. Trzeci człowiek..

Zmarszczył brwi.

– Czy to przypadkiem nie jeden z tych farmerów, których ocaliliśmy przed gangiem grawicykistów? – zapytał.

– Wygląda dokładnie jak on – przyznał Grave. – Tyle że od tamtych czasów zaczął się lepiej ubierać.

LaRone kiwnął głową. Zamiast obszarpanego płaszcza, który mężczyzna nosił tamtego dnia, kiedy zaatakowali go grawicykliści, obecnie był ubrany w taką samą ozdobioną haftem tunikę i spodnie, jakie nosiła większość pozostałych gości kawiarenki.

– Ciekawe – mruknął cicho szurmowiec.

– Zauważyłem go, kiedy szedłem ulicą – ciągnął Grave. – Nie zwróciłem jednak na niego uwagi, dopóki nie skręcił w stronę tego lokalu. Zanim wszedł, rozejrzał się ukradkiem, jakby chciał się upewnić, że nikt go nie śledzi. Doszedłem do wniosku, że może warto się tym zainteresować.

– Wiesz kim są pozostali trzej? – zapytał LaRone.

– Nie, ale już tu siedzieli, kiedy wszedł ten farmer.

A zatem zawczasu umówili się na spotkanie, pomyślał LaRone.

– Powiem Quillerowi, żeby wrócił na pokład Suwanteka i sprawdził w pokładowej bazie danych, czy nie znajdzie informacji o jakiejś grupie złożonej z dwóch mężczyzn i Wookiego – powiedział, wyjmując komunikator.

– Nie tak szybko – sprzeciwił się Grave, kładąc dłoń na jego ramieniu. – Najpierw powiedz mi, co sądzisz o tych dwóch ludziach i Rodianinie, którzy siedzą obok drzwi.

Chłopaki Korelianin przy bliższym stoliku mieli dość charakterystyczny wygląd. Równie łatwi do rozpoznania byli dwaj mężczyźni i towarzyszący im Rodianin. Wszyscy trzej wyglądali jak przestępcy, którym nieobca jest przemoc.

– O, o – mruknął LaRone.

– Oni także tu byli, kiedy do lokalu wszedł nasz znajomy farmer – powiedział Grave. – Prawdopodobnie spędzili tu sporo czasu, ale raczej nie wypili dużo, bo mają się na baczności.

– Ochroniają czyjąś operację? – domyślił się LaRone, ale jeszcze zanim skończył mówić, doszedł do wniosku, że nie o to chodzi. Cała trójka sprawiała wrażenie bandziorów, ale bardzo czujnych bandziorów. Chyba przygotowywali się do jakiejś akcji.

Nie obserwowali jednak baru, barmana ani kasy z całodziennym utargiem. Cały czas kierowali spojrzenia w przeciwny kąt lokalu. Podążając za ich spojrzeniami, LaRone zobaczył grupę siedmiu mężczyzn przy dwóch złączonych

stolikach.

Mężczyźni barczystych, o krótko przystryżonych włosach i czujnych oczach. Prawdę mówiąc, osobników bardzo podobnych do obu szurmowców. LaRone odwrócił się do Grave'a.

– Ochrona? – zapytał.

– To mogą być najemnicy albo wojskowi w stanie spoczynku – ocenił Grave. – Może chodzi tu o rozstrzygnięcie jakiegoś sporu czy konfliktu interesów?

– Raczej nie – powiedział LaRone, który nagle domyślił się, o co naprawdę chodzi. – Ktoś zamierza napaść na ten skarbiec.

– Och, *shunfa* – zaklął Grave. – A tamtych trzech zbirów przy drzwiach ma mieć oko na ochroniarzy, którzy mogą tu wpaść po zakończeniu służby?

– Właśnie tak uważam – stwierdził LaRone. Układkiem wyjął komunikator i wpisał kod. – Quiller, gdzie w tej chwili jesteś? – zapytał.

– Wracam na pokład Suwanteka – zameldował pilot. – Nie dałem rady...

– Wiem, wiem... Grave mi o wszystkim opowiedział – przerwał mu LaRone. – Przyłec tu jak najszybciej. Będziemy potrzebowali wsparcia z powietrza.

– Zaczekaj chwilę – odezwał się Grave, marszcząc brwi. – Chyba...

– Już do ciebie lecę – oznajmił Quiller zwięźle jak zawodowiec. – Gdzie i jak silne ma być to wsparcie?

– Skarbiec firmy Consolidated przy ulicy Newmark na południowym skraju miasta – poinformował LaRone. – Wygląda na to, że ktoś zamierza go obrobić.

Zapadła krótka cisza.

– A co my mamy z tym wspólnego? – zapytał w końcu pilot.

– Jeżeli pomożemy tym z Consolidated schwycić rabusiów, może w dowód wdzięczności przekażą nam dane na temat tej transmisji HoloNetowej i sekcji zwłok, których na razie nie zamierzają ujawniać – wyjaśnił LaRone. – Skontaktuj się z Marcossem i Brightwaterem. Powiedz im, żeby także wracali na pokład statku... bo zanim to wszystko się skończy, może będziemy potrzebowali, żeby się pokazali w pancerzach szurmowców. Grave i ja siedzimy w kawiarence naprzeciwko skarbcza. Będziemy wam stąd przekazywali informacje i dane na temat celów.

– Zrozumiałem – potwierdził Quiller. – Startuję za dziesięć minut. Dajcie mi znać, gdzie mam się zgłosić.

LaRone wyłączył komunikator.

– Kiedy przyleci? – zainteresował się Grave.

– Powiedział, że startuje za dziesięć minut – odparł LaRone.

– Miejmy nadzieję, że to wystarczy – mruknął Grave.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– No cóż, po prostu przyszło mi do głowy, że chłopaki z ochrony firmy Consolidated wyglądają podobnie jak my – oznajmił strzelec wyborowy. – Albo raczej to my wyglądamy bardzo podobnie jak oni.

LaRone spojrział od niechcenia w kierunku drzwi. Siedzący tam dwaj mężczyźni nie odrywali spojrzenia od ochroniarzy w przeciwnym kierunku lokalu.

Towarzyszący im Rodianin patrzył jednak na niego i na Grave'a.

– Coś wspaniałego – mruknął cicho LaRone.

– I co teraz? – zainteresował się Grave.

– Nie ruszamy się z miejsca – zdecydował LaRone. – Na razie.

– Naprawdę uważasz, że skłamał się z piratami z Krwawej Szramy? – zagadnął Han, kiedy Tragarz zakończył relacjonowanie przebiegu ataku grawicy klistów.

– Wskazywałby na to wygląd ich naramienników – wyjaśnił Rebeliant. – Same Krwawe Szramy uważają się zresztą za grupę paramilitarną.

– Natknąłeś się już kiedyś na nich? – zapytał Luke. Obwąchał uważnie szklaneczkę z trunkiem, który Tragarz dla niego zamówił. Napój pachniał jak płyn do czyszczenia silników i chłopak nie był pewien, czy powinien zaryzykować i wypić to paskudztwo.

– Prawdę mówiąc nie – odparł Tragarz. – Do tej pory kłopoty sprawiali nam raczej członkowie mniejszych band piratów, zwłaszcza z okolic Purnhamu i Chelkrii. Na statki Krwawych Szram natknęliśmy się tylko raz, kilka miesięcy temu. Kwaternistrz leciał wówczas jednym z transportowców konwoju, który został zaatakowany niedaleko Ashkaskova.

– A zatem dlaczego uważasz, że Krwawe Szramy są dużą grupą? – zainteresował się Solo.

– Bo podczas ataku w okolicy Ashkaskova mieli dziesięć statków – wyjaśnił Tragarz. – Jeżeli mogą zmobilizować aż tyle jednostek na jednym szlaku przerzutowym, muszą dysponować naprawdę liczną flotą.

Chewbacca cicho zamruczał.

– Dobre pytanie – zgodził się z nim Han. – Ile statków z tamtego konwoju trafiłi wówczas piraci?

– Wydaje mi się, że tylko cztery – odparł z namysłem Rebeliant, marszcząc nos. – Kwaternistrz powiedział jednak, że strzelali do wszystkich... a te cztery praktycznie roznieśli na strzępy. Jego statek ocalał, bo miał opancerzony kadłub wewnętrzny i wyglądał jak unieszkodliwiony, dopóki piraci stamtąd nie odlecieli. Wcześniej jednak ogolocali pozostałe cztery, a potem wysadzili je w powietrze.

– Może więc wiedzieli, gdzie znajdowały się towary, na których im zależało – podsunął Han.

– To możliwe – przyznał niechętnie Tragarz. – Musieliby jednak mieć wyjątkowo dobre informacje... dysponować tysiącem szpiegów w tysiącu miejsc, skąd wysyła się towary.

– A może tylko dwoma albo trzema we właściwych miejscach – podsunął Solo.

– Byłoby to nie mniej trudne niż zdobyć cię naprawdę dużej floty – stwierdził Tragarz. – Może nawet trudniejsze. Dlaczego się upierasz przy swoim zdaniu?

– Hej, kolego, nie wyzywaj się na mnie – zirykował się Han. – Chcę tylko się zorientować, co się dzieje. Mamy do czynienia albo z dużą flotą atakującą wszędzie, jak popadnie, albo z niewielką flotą dysponującą ścisłymi informacjami. Na czym ci bardziej zależy, na rozwiązaniu rzeczywistego problemu, czy tylko takiego, który ci się podoba?

Tragarz głęboko odetchnął przez zaciśnięte zęby.

– Na rozwiązaniu rzeczywistego – przyznał niechętnie. – Jeżeli jednak okaże się, że piraci z bandy Krwawej Szramy wchłaniają mniejsze gangi, mamy do rozwiązania zupełnie inny problem. – Obrzucił niechętnym spojrzeniem Chewiego. – Zwłaszcza jeżeli tamci dotychczasowe sukcesy zawdzięczają dokładnym informacjom.

– Wróćmy do grawicyklistów – zaproponował Han. – Czy ktoś wie skąd się tu wzięli?

– Na pewno nie pochodzą z planety Drunost – odparł Tragarz. – Przylecieli frachtowcem typu Barloz. – Uniósł wskazujący palec. – Wiem jednak, że co najmniej paru przeżyło. Szturmowcy uszkodzili ich statek, ale sam widziałem, jak odlaty wali z miejsca akcji kilkoma lądowymi śmigaczami.

Szturmowcy, pomyślał Luke i aż się wzdygnął. Dorastając, miał do czynienia tylko z Ludźmi w Piasku, więc wiedział, jak sobie z nimi radzić. Imperialni szturmowcy byli jednak zupełnie innymi przeciwnikami. Luke i pozostali przeżyli kilka krótkich potyczek z nimi na pokładach Gwiazdy Śmierci, ale nawet wówczas chłopak miał wrażenie, że zaskoczeni Imperialcy nie dawali z siebie wszystkiego, na co ich stać.

Naturalnie obecnie wiedział, że Tarkin i Vader świadomie pozwolili, aby „Sokół” i jego załoga uciekli, bo zamierzali za nim podążyć podczas lotu na Yavina Cztery. Luke podejrzewał, że następne spotkanie z członkami elitarnych oddziałów Imperium mogłoby się skończyć zupełnie innym rezultatem.

– Niedobitki, mówisz? To dobra nowina – ucieszył się Han. To oznacza, że będzie z kim rozmawiać. Dokąd polecieci?

– Wszystko wskazuje, że zaszyli się gdzieś tu, w tym mieście – oznajmił Tragarz i machnął ręką. – Nic dziwnego... w promieniu wielu kilometrów to jedyne gęsto zaludnione miejsce, w którym można się ukryć.

– Jesteś pewny, że nie odlecieli?

Tragarz wzruszył ramionami.

– Na pewno nie tym, co zostało z ich statku – powiedział. – Ani niczym innym, co mogli mieć w ładowni. Ci z Consolidated położyli łapę na wszystkim, kiedy skonfiskowali szczątki ich statku.

– Ci z Consolidated je skonfiskowali? – zapytał z niedowierzaniem Luke.

– A kóżby inny? – odparł Rebeliant ze zdziwioną miną.

– Sądzilem, że zarekwirują je władze kosmoportu – wyjaśnił chłopak – Oni albo miejscowa policja.

Tragarz pokręcił głową.

– Nie mamy tu ani jednych, ani drugich – oznajmił.

– Mówiłem ci, że na Drunost władzę w miastach sprawują miejscowe firmy – przypomniał Solo. – To oznacza, że cała planeta jest podzielona na ich terytoria.

– Podobnie jak Sektor Wspólny, tyle że na mniejszą skalę – potwierdził Tragarz. – Naturalnie panuje tu mniejsze bezprawie.

– To kwestia sporna – mruknął Han.

– Nie, naprawdę. Wielkie firmy są w porządku – stwierdził Tragarz. – Dbają o to, żeby wszyscy przestrzegali prawa i porządku. Lepsze to, niż mieć do czynienia z Imperium.

Luke...

Chłopak drgnął i rozejrzał się po lokalu, ale zaraz sobie przypomniał, skąd zna ten głos. Tak jak podczas ataku na Gwiazdę Śmierci, przemówił do niego Ben Kenobi.

Zanosi się na kłopoty, Luke. Uwolnij myśli i posłuż się Mocą.

– Jakiego rodzaju kłopoty? – mruknął.

Głos nie odpowiedział. Luke pochylił się nad szkaneczką z trunkiem i zaczął omiatać spojrzeniem lokal. Nie zauważył jednak niczego podejrzanego, co by zwróciło jego uwagę.

Ben nie polecił mu jednak, żeby się rozglądał. Kazał mu posłużyć się Mocą. Luke zacisnął zęby i uwolnił myśli.

W tej samej chwili postacie siedzących przy stolikach jakby się rozmyły, a ich głosy przycichły. Rozejrzał się jeszcze raz, tym razem uważnie badając kryjące się za twarzami emocje i intencje gości kawiarenki.

Nie wyczuł jednak niczego. Prawdę mówiąc nie był nawet pewny, co właściwie widzi.

A później, niespodziewanie, w jego umyśle pojawił się wizerunek porośniętego zmierzwiłą sierścią, wyglodniałego drapieznika, przygotowującego się do ataku na bezbronną ofiarę.

Luke wstrzymał oddech i zaczął, aż widzenie zniknie. Co, na wszystkie planety...

Uśmiechnął się lekko. No jasne, to miała być tylko wskazówka. Pozwolił myślom jeszcze raz obieć wewnątrz kawiarenki. Tym razem jednak szukał kogoś, kto odpowiadałby wizerunkowi drapieznika.

Znalazł. Przy stoliku obok drzwi siedzieli dwaj mężczyźni i Rodianin. Od wszystkich trzech promieniowała energia niczym od ściśniętej sprężyny, tak samo jak od przesłanego mu przez Bena obrazu drapieznika.

Wyczuł nie tylko oczekiwanie, ale także gotowe do działania zło.

– Mały?

Luke ocknął się z zadumy.

– O co chodzi? – zapytał.

– Czy przypadkiem cię nie nudzimy, omawiając strategię? – zagadnął Han.

– Nie – odparł machinalnie Luke, po czym odwrócił się i podążył śladem spojrzeń dwóch mężczyzn zachowujących się jak drapieżniki. Przy złączonych stolikach pod przeciwległą ścianą siedziało siedmiu mężczyzn. – Wiecie, kim są tamci goście? – zapytał, wskazując głową liczniejszą grupę.

Tragarz obejrzał się przez ramię.

– To odpczywający po służbie ochroniarze firmy Consolidated – powiedział. – Mogą tu kupować trunki za pół ceny, żeby nawet po zakończeniu służby przebywali w pobliżu ośrodka firmy. Dlaczego pytasz?

– Są obserwowani – wyjaśnił Luke. – Przez dwóch mężczyzn i Rodianina przy tamtym stoliku obok drzwi.

Tragarz parsknął.

– To absurd – zdecydował. – Nikt tu nie wszczy na żadnych awantur.

– Wszczęli ją tamci grawicyklicsi – przypomniał Han, spoglądając kątem oka na wskazany przez chłopaka stół.

– Tamten atak miał miejsce poza miastem – zaprzeczył Tragarz. – Nie licząc samego ośrodka, znajdujemy się na terenie, na którym ci z Consolidated prowadzą miejscowe operacje. Mają tu swoją centralę HoloNetu, swój najważniejszy administracyjny biurowiec...

– I skarbiec w banku po drugiej stronie ulicy – wtrącił Solo.

– To o to im chodzi! – odezwał się Luke, który nagle poukładał sobie wszystko w głowie. – Zamierzają go obrabować!

– Coś wspaniałego – burknął Han. – Czy ten lokal ma tylne wyjście?

– Tam – odparł Tragarz, wskazując przesłonięte kotarą drzwi obok baru.

– To dobrze – stwierdził Han i zaczął wstawać od stolika. – Tylko cicho i spokojnie.

– Zaczekaj chwilę – sprzeciwił się Luke. – Zamierzamy stąd uciekać?

– Cheesz być świadkiem napadu na bank? – zapytał drwiąco Korelianin. – Nie ma mowy.

– Ale musimy pomóc...

– Komu? – zachnął się Solo. – Rabusiom, którzy chcą okraść bank potężnej spółki? Też mi wybór.

– To niesprawiedliwe – obstawał przy swoim chłopak.

– Han ma rację, mały – wtrącił nerwowo Tragarz. – Staramy się nie zwracać na siebie uwagi, zapomniałeś?

Luke się skrzywił, bo przypomniał sobie, co powiedział Benowi na Tatooine. „Ja nie mogę się mieszać do czegoś takiego”. A jednak gdyby tego nie zrobił, Tarkin by zwyciężył, Gwiazda Śmierci wciąż by istniała, a Leia, Rieekan i setki innych byliby martwi.

– Świetnie... wy starajcie się nie zwracać na siebie uwagi – powiedział. – Sam się tym zajmę.

Siedzący po drugiej stronie stolika Chewbacca cicho zaryczał na znak protestu i klepnął potężną łapą Hana w ramię.

– Och, na wszystko... – zaczął Solo, ale urwał i spiorunował partnera spojrzeniem. – Chewie... och, niech ci będzie. Wy dwaj tu zostańcie. Zajmiemy się tym ja i Chewie.

– Posłuchaj, Solo... – odezwał się Tragarz.

– Albo wynoście się stąd i uciekajcie – przerwał Han. – Nie obchodzi mnie, co postanowicie.

– Ale ja chcę ci pomóc – zaprotestował Luke.

– A zatem wymyśl jakiś sposób, żeby odwrócić ich uwagę – polecił Han i wstał. – Chodź, Chewie. Miejmy to już za sobą.

– Zaczyna się – mruknął Grave, kiedy Korelianin i Wookie wstali i niby od niechcenia ruszyli do wyjścia. – Myślisz, że się przyłączą do tych na zewnątrz?

– Możliwe – odparł LaRone, nie odrywając spojrzenia od chłopaka. On i farmer siedzieli nadal przy stoliku, ale młokos wsunął rękę za poły tuniki, jakby czegoś tam szukał. Czyżby zamierzał wyciągnąć broń? Kiedy Korelianin i Wookie przechodzili obok trójki przy stoliku obok drzwi, mężczyzna opuścił prawą rękę do blastera w kaburze.

A później od strony ulicy napłynął stłumiony huk eksplozji. Szmer rozmów w kawiarence nagle ucichł i wszyscy zamienili się w słuch.

To znaczy wszyscy z wyjątkiem trójki przy stoliku blisko wyjścia. Chwilę później dał się słyszeć huk drugiej eksplozji i wszyscy trzej zerwali się od stolika. Jeden z mężczyzn skierował lufę wielkiego blastera ku szturmowcom, a drugi ku siedmiu ochroniarzom w głębi sali. Rodianin odwrócił się i wymierzył blaster w Korelianina i Wookiego.

– To tyle z naszych planów zaskoczenia ich – mruknął Grave.

– Co racja, to racja – wymamrotał LaRone. Korelianin i Wookie odwrócili się w stronę Rodianina. Na twarzy mężczyzny malowało się udawane zdumienie, ale jego kosmaty towarzysz wyglądał jak zawsze groźnie. Szurmowiec zauważył kątem oka, że chłopak przy stoliku wstał i uniósł rękę nad głowę.

W lokalu rozległ się dziwny syk i pomruk. Z ręki młodzieńca wystrzeliła kolumna niebieskiego światła.

Nikt na Drunost nie słyszał charakterystycznego odgłosu zapalanej klingi świetlnego miecza prawdopodobnie od Wojen Klonów, ale to nie był dźwięk, który można łatwo zapomnieć. W jednej chwili, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, oczy wszystkich gości skierowały się w stronę świetlistego ostrza, które chłopak trzymał nad głową jak wojenny proporzec. Nawet Rodianin odwrócił głowę, zanim przypomniał sobie, że musi mieć na oku mężczyznę i Wookiego.

Korelianinowi wystarczyło jednak pół sekundy nieuwagi Rodianina. Mężczyzna pokonał jednym susem dzielącą ich odległość, chwycił lewą ręką lufę blastera w jego dloni, skierował ją ku sufitowi i wyszarpnął z kabury swój blaster. Rosly Wookiee zachował się dość niezwykle: chwycił Rodianina za przód koszuli, uniósł w powietrze i cisnął nad stolikiem w obu mężczyzn. Wszyscy trzej runęli na sąsiedni stolik i w gmatwaniu rąk i nóg zniknęli z oczu szturmowców.

Rodianin był szybki. Kiedy LaRone wyciągał mały blaster, obca istota zerwała się na nogi i zaczęła miotać przekleństwami na wszystkich, którzy mogli je usłyszeć. Pochyliła się, podniosła blaster i zaczęła unosić lufę w kierunku napastników.

Zanim LaRone zdążył wymierzyć w plecy Rodianina, Korelianin dał ognia i tym razem Rodianin runął na dobre na podłogę.

A później do stolika przy drzwiach podbiegli ochroniarze z głębi sali. Trzech zajęło się zakładaniem kajdanek obu mężczyznom na podłozę, a pozostali przecisnęli się obok Korelianina i Wookiego i pobiegli do drzwi. Pierwszy ochroniarz je otworzył, ale zamarł na progu, żeby ocenić sytuację na ulicy. Zaraz wybiegł, a za nim pozostali. Kiedy drzwi się za nimi zamknęły, LaRone usłyszał napływające z ulicy odgłosy blasterowych strzałów.

Korelianin i Wookie nie wyszli na ulicę. Widocznie uznali, że zrobili, co do nich należało, bo odwrócili się i ruszyli do swojego stolika. Stojący przy nim chłopak wyłączył klingę świetlnego miecza i schował rękojęć za pazuchę, a siedzący dotąd farmer wstał. Wszyscy czterej skierowali się do osłoniętych kotarą tylnych drzwi. Młody właściciel świetlnego miecza przepuścił przodem swoich towarzyszy, ale zanim wyszedł, odwrócił się i popatrzył na gości w sali.

Zatrzymał spojrzenie na obu szturmowcach.

Spoglądał na nich kilka sekund, lecz później odwrócił się i także zniknął za kotarą.

– No cóż, to by było coś innego niż poprzednio – stwierdził Grave. Schował swój mały blaster i wstał od stolika. – Przyłączamy się do zabawy?

– No, nie wiem – odparł LaRone, wyciągając komunikator. W spojrzeniu chłopaka było coś takiego, że zaczęła go świerzbic skóra. – Quiller?

– Już do was lecę – usłyszał w odpowiedzi głos pilota. – Będę tam mniej więcej za dziewięćdziesiąt sekund.

– Czy ci z Consolidated mają do tej pory coś w powietrzu?

– Mają wszystko, co tylko możesz sobie wyobrazić – stwierdził Quiller. – Patrolowce, opancerzone ślizgacze, a nawet kilka małych kanonierek. Możesz im dać maksymalną liczbę punktów za gotowość do akcji.

LaRone odwrócił się i spojrzał w kierunku przesłaniającej tylne wyjście kotary.

– W takim razie zawróć i przeleć nad dachami budynków na wschód od skarbcza – rozkazał. – Chcę, żebyś znalazł i namierzył pewną grupkę... trzech mężczyzn i Wookiego.

– Zaczekaj chwilę.

W słuchawce komunikatora zapadła cisza.

– Myślisz, że nasz farmer może być zamieszany w coś więcej niż tylko przekopywanie gleby? – zagadnął Grave.

– Przekopywanie gleby jest naprawdę bardzo skomplikowanym zajęciem – zapewnił go LaRone. – Ale masz rację, przyszło mi coś takiego do głowy. Jeżeli podczas tamtego ataku grawicyklistów uprzedził ich o zawartości transportowanego ładunku, może on i jego trzej przyjaciele utrzymują kontakty z Krwawymi Szramami.

– W takim razie kto nie chciał dopuścić do obrabowania skarbcza i dlaczego? – zainteresował się Grave.

– Może członkowie konkurencyjnej bandy? – podsunął LaRone. – Wydaje mi się, że warto mieć tych czterech na oku.

– Widzę ich – odezwał się przez komunikator Quiller. – Lecą dwoma lądowymi śmigaczami... w jednym samotny mężczyzna, a w drugim pozostali dwaj i Wookie. Samotny odłącza się od nich.

LaRone podjął szybką decyzję.

– Miej na oku tych trzech – rozkazał.

– Zrozumiałem – potwierdził pilot. – Wygląda na to, że kierują się w stronę jednego z lądowisk remontowych.

Czyżby to miało oznaczać, że ich wyprawa osiągnęła zamierzony cel?

– Będziemy ich śledzić – zdecydował LaRone. Wstał i gestem przyznał Grave'emu, żeby podążył za nim. Obaj szturmowcy skierowali się do tylnego wyjścia. – Daj mi znać, kiedy dotrą do swojego statku, i namierz ich, bo polecimy za nimi.

– Polecimy? – zdziwił się Grave. – Dlaczego?

– Bo mają z tym coś wspólnego – wyjaśnił szturmowiec. – Nie mam pojęcia, co, ale mają. A poza tym w tej chwili to nasz jedyny wyraźny trop.

– Nie powiedziałbym, żeby był wyraźny – stwierdził powątpiewająco Grave.

– Może masz rację – zgodził się z nim LaRone – ale nic nie tracimy, jeżeli przy najmniej się przekonamy, dokąd polecą.

Grave wzruszył ramionami.

– Nic oprócz czasu i paliwa – zauważył.

– Czasu mamy pod dostatkiem, a za paliwo płacą i tak ci z IBB – przypomniał mu LaRone. Szturmowcy przeszli przez zaplecze kawiarenki i skierowali się do tylnego wyjścia. – Pospiesz się, bo inaczej zauważą Quillera.

– Nie Purnham – powtórzył z naciskiem Solo. – System Purnhama. Tragarz wspominał, że właśnie tam zaatakowali cię piraci.

– Czyś ty oszalał? – zapytał niedowierzająco Kwaternistrz. Jego głos wydobywał się z pokładowego komunikatora „Sokola”.

– Staramy się unikać piratów, zapomniałeś?

– Nie, staramy się rozwiązać zagadkę Krwawych Szram – sprostował Han.

– To nie Krwawe Szramy zaatakowały nas w systemie Purnhama – oznajmił Rebeliant.

Han przewrócił oczami, a siedzący obok niego Chewbacca pozwolił sobie na ciche, pogardliwe warknięcie. Czyżby ci idioci nic nie rozumieli?

– Posłuchaj – odezwał się Solo perswazyjnym tonem, jakby się zwracał do małego dziecka albo urzędnika średniego szczebla – Nie wiemy, gdzie w tej chwili działają Krwawe Szramy, ale ty i Tragarz uważacie, że usiłują wchłonąć pozostałe małe bandy. Możliwe, że próbują zwerbować bandę z przestworzy Purnhama, a na szczęście wiemy, gdzie ta ostatnia grupa się obraca. Jeżeli schwytemy kilku członków tej bandy, może dowiemy się od nich, gdzie znaleźć Krwawe Szramy.

– No cóż... to możliwe – przyznał niechętnie Kwaternistrz – Ale skłonienie ich do mówienia nie będzie łatwe.

Han spojrział na siedzącego obok niego Wookiego, który aż ki piał z gniewu.

– Pozwól, że ja się będę o to martwił – powiedział. – Wyślij tam tylko statek z zaopatrzeniem... powiedzmy, za trzy dni od dzisiaj. Dopilnuj jednak, żeby jego pilot poleciał dokładnie tą samą trasą co poprzednio, na wypadek, gdyby ktoś się włamywał do bazy danych tras przelotów w poszukiwaniu dobrych celów.

– Świetnie – mruknął z rezygnacją Kwaternistrz – Niech będzie, jak chcesz. Muszę ci jednak powiedzieć, że mam złe prze...

– Trzy dni – przerwał mu Solo i wyłączył komunikator. Spiorunował spojrzeniem Luke'a, który siedział bez słowa za plecami Chewiego. – A może ktoś jeszcze ma zastrzeżenia? – zapytał wyzywająco tonem.

– Nie, nie, podoba mi się ten plan – zapewnił go szybko chłopak – Zasadzka to ostatnia rzecz, jakiej się będą spodziewali.

– To dobrze. – Han odwrócił się znowu w kierunku pulpitu kontrolnego. – A zatem postanowione. Doskonale.

Przesłał energię do repulsorów i „Sokół” wzniósł się nad płytę lądowiska. „Polećcie tam i pogadajcie z gośćmi od zaopatrzenia”, powiedział Rieekan. „To wszystko. Polećcie i tylko pogadajcie z nimi”.

Tak akurat, pomyślał z goryczą Han.

– Moi inżynierowie obiecują, że statek będzie się nadawał do lotu za cztery godziny – oznajmił komandor Ozzel, cofając się szybko, kiedy długa płyta poszycia, przenoszona w powietrzu w kierunku przedziału silnikowego „Drogi Hoppera”, zakotyła się i niebezpiecznie zbliżyła do jego głowy. Mara, której oczy i umysł automatycznie oceniały rozmiary oraz odległości, nawet nie drgnęła, kiedy metalowa płyta przeleciała w powietrzu niespełna pięć centymetrów od jej twarzy. – Czy jeszcze w czymś możemy pani pomóc?

– Potrzebuję dwóch członków pańskiej załogi – odparła Mara. – Mężczyzn, którzy umieją zarówno walczyć, jak i radzić sobie ze statkiem tych rozmiarów.

– Chodzi pani o walkę na niewielkie odległości? – zapytał powątpiewająco Ozzel. – Znalezienie odpowiednich ludzi nie będzie łatwe.

– Może oddeleguje ich pan z pokładowego oddziału szurmowców? – zasugerowała Mara.

Zauważyła, że w twarzy komandora drgnął jakiś mięsień, i wyczuła napływający od oficera impuls emocji.

– To chyba możliwe – przyznał niepewnie Ozzel. – Zapytam dowódcę oddziału.

– Proszę nie zwracać sobie tym głowy... sama z nim porozmawiam – odparła Mara. – Proszę mu tylko powiedzieć, żeby się zameldował w sali odpraw.

– Ależ oczywiście – podchwycił komandor, wyciągając komunikator.

Mara prześlizgnęła się wąskimi korytarzami „Drogi Hoppera” i przeszła przez właz na płytę lądowiska hangaru „Odwetu”, dołądź ściągnięto frachtowiec w celu dokonania niezbędnych napraw. Zgodnie z jej rozkazem pozostawiono nietknięte niegroźne uszkodzenia, jakie piraci Sha'ka wyrządzili kadłubowi. Mara obejrzała je uważnie i uznała, że jest zadowolona. Wyglądało to tak, jakby napraw dokonywali w głębinach przestworzy sami członkowie załogi frachtowca. Zawróciła i skierowała się do sali odpraw.

Czekał tam już na nią gładko ogolony mężczyzna w mundurze z naszywkami pułkownika.

– Witam, Ręko Imperatora – powitał ją z powagą. – Nazywam się Vac Somoril. Słyszałem, że chciała pani ze mną rozmawiać.

– Czy to pan jest dowódcą okrętowego oddziału szurmowców? – zapytała Mara.

– Nie jestem naczelnym dowódcą, ale dowodzę oddziałem specjalnym – oznajmił Somoril. – Komandor Ozzel doszedł do wniosku, że moi podwładni bardziej się nadadzą do wykonania zadań, jakie zamierza im pani zlecić.

– Potrzebuję dwóch wojowników, którzy dadzą sobie radę z obsługą urządzeń rendiliańskiego ciężkiego frachtowca – wyjaśniła Mara. – Może pan ich oddać pod moje rozkazy?

– Chyba tak – odparł Somoril. – Kiedy będzie pani ich potrzebowała?

– Natychmiast – powiedziała Mara. – Niech zabrają cywilne ubrania i zameldują się na pokładzie „Drogi Hoppera”. Spotka się tam z nimi kapitan Norello, który ich oprowadzi po pomieszczeniach frachtowca oraz zapozna z obsługą systemów i podzespołów. Odlatujemy z hangaru „Odwetu” za cztery godziny.

– Jak pani sobie życzy – rzucił dziarsko Somoril. – Zameldują się na pokładzie „Drogi Hoppera” za dwadzieścia minut.

– To dobrze. Może pan odejść.

Somoril wyszedł. Mara wpatrywała się w płytę drzwi, które zamknęły się za jego plecami. Czekala, aż Somoril się oddali i znacznie wydawać podwładnym niezbędne rozkazy. Później podeszła do komputerowego terminala i wpisała osobiste hasło, które pokonywało wszystkie zabezpieczenia. Poleciała wyświetlić listę członków załogi „Odwetu”.

Nie znalazła na niej nazwiska pułkownika Vaca Somorila.

Wyduła wargi, zażądała dostępu do dziennika okrętowego i powtórzyła poszukiwania, ale i tym razem nie natknęła się na nazwisko oficera. Zażądała dostępu do wykazu osób, które przyleciały na pokład „Odwetu” albo z niego odleciały, i szukała dalej.

W końcu coś znalazła. Nie było to wprawdzie nazwisko Somorila, ale informacja. Trochę ponad dwa standardowe tygodnie wcześniej w hangarze piątym „Odwetu” wyładowało osiem cywilnych statków. Jeden z nich trzy dni później odleciał, chociaż w dziwnych okolicznościach. Mara znalazła także nieścisłość w sekwencji raportów o odlotach. Pozostałe statki nadal spoczywały na lądowisku w tym hangarze.

Wszystko łączyło się w logiczną, spójną całość. Pulownik Somoril i jego oddział szturmowców do specjalnych zadań zostali oddelegowani przez Imperialne Biuro Bezpieczeństwa.

Mara zmarszczyła nos z niesmakiem. Wiedziała, że IBB jest złem koniecznym, ale uważała, że w tej formacji jest za dużo zła, a za mało konieczności. Pamiętała z własnego, chociaż ograniczonego doświadczenia, że funkcjonariusze IBB są na ogół arogancy, brutalni i przesadnie dumni ze swojego elitarnego statusu.

Kiedy jednak chodziło o osiągnięcie politycznej korzyści albo prestiżu, można było mieć pewność, że zawsze staną na pierwszej linii. Prawdopodobnie dlatego zamiast naczelnego dowódcy okrętowego oddziału szturmowców zgłosił się do niej Somoril, żeby zaproponować swoje usługi Ręce Imperatora.

Dlaczego jednak nie przedstawił się po prostu jako funkcjonariusz IBB? Mara doszła do wniosku, że prawdopodobnie zamierzał to powiedzieć tuż przed jej odlotem z hangaru gwiazdowego niszczyciela.

Wyłączyła komputer, opuściła salę odpraw i przeszła przez hangar do sali odpraw pilotów. Na strazy przed drzwiami stali dwaj żołnierze. Na jej znak jeden z nich otworzył drzwi i wpuścił ją do środka.

Przy stole konferencyjnym siedział pirat Tannis, bezpiecznie przykuty dwiema parami kajdanek do jednej z nóg mebla.

– Najwyższy czas – warknął na jej widok – Kiedy dostanę coś do jedzenia?

– Zamknij się i słuchaj – skarciła go Mara. Wyjęła kartę danych i podsunęła na tyle blisko, żeby pilot pirackiego statku ją zobaczył. – Przygotowałam listę zarzutów. Jeżeli zostaniesz oskarżony o wszystko, co przeciwko tobie zebrałam, dostaniesz od trzydziestu standardowych lat w kolonii karnej do kary śmierci.

Tannis się skrzywił.

– Tak wyglądasz na pojęcie o zawarciu ugody? – zapytał.

– Jeszcze nie skończyłam – zastrzegła Mara. – Na razie uchodziło ci wszystko na sucho... tobie i twoim kompanom, którzy w tej chwili siedzą w areszcie. Na razie pozostajecie anonimowi, bo jedynych ludzi, którzy mogliby was oskarżyć o akty piractwa, zawsze zabijaliście przed opuszczeniem miejsca akcji ze zrabowanymi łupami. Dopóki nie zgłupielicie na tyle, żeby nosić naszywki z emblematami Krwawych Szram, mogliście sobie paradować po ulicach każdego miasta Imperium, bez obawy, że ktoś się dowie, kim naprawdę jesteście.

Postukała w kartę danych wskazującym palcem.

– Ale od tej pory wasza sytuacja uległa radykalnej zmianie – podjęła po chwili. – Jeżeli nie liczysz zarzutów, ta karta zawiera także twój wizerunek, odciski palców, dane biometryczne i kompletny profil twojego DNA. Kiedy te informacje trafią do imperialnej bazy danych, każdy stróż prawa, który zechce cię za – puszczając, dowie się o twojej przestępczej działalności, jak tylko skontaktuje się z Imperialnym Centrum. – Uniósła brew. – A to oznacza, że spędzisz następne trzydzieści kilka lat w więzieniu albo do końca życia będziesz się ukrywał w kanałach ściekowych czy innych mrocznych dziurach.

Tannis umiał panować nad wyrazem twarzy, ale Mara wyczuwała promieniujące od niego przerażenie. Pirat nie mógł być zachwycony perspektywą ponurej przyszłości, jaką przed nim odmalowała.

– Jest jakaś alternatywa? – zapytał niepewnie.

– Dane na twój temat znalazły się już w systemie – oznajmiła Mara. – Na razie jednak trafiły tylko do jednej z moich osobistych baz danych, odizolowanej od wszystkich pozostałych. Zostaną przepisane do ogólnej bazy najpóźniej za trzydzieści dni. To oznacza, że w ciągu tego okresu mogę je skasować i nikt się nigdy nie dowie, że kiedykolwiek tam się znajdowały.

– Chodzi o coś w rodzaju warunkowego aktu łaski? – domyślił się Tannis.

– Mniej więcej – przyznała Mara. – Czy to cię interesuje?

Pirat przesunął czubkiem języka po górnej wardze.

– Co będę musiał zrobić? – zadał pytanie.

– Zabierzemy „Drogę Hoppera” do twojej bazy – zaczęła Mara. Podczas bitwy wasz statek został poważnie uszkodzony. Zniszczono jednostkę napędu nadświetlnego i komunikator, więc twój herszt Shalko postanowił cię wysłać do domu z łupami, a sam został z reszłą załogi, żeby się zająć naprawami.

– A skąd ty się tam wzięłaś? – zainteresował się Tannis.

– Moi podwładni i ja jesteśmy porywaczami, którzy dostali się na pokład „Drogi Hoppera” – wyjaśniła Mara. – Kiedy nas zaatakowaliście, spróbowaliśmy właśnie opanować frachtowiec, dzięki czemu udało się go wam łatwo przechwycić, bez potrzeby zamieniania w bezużyteczny złom. Slysześmy o Krwawych Szramach, więc ustaliliśmy z twoim hersztem, że zabierzecie nas do Komodora, abyśmy mogli omówić warunki przyłączenia się do jego bandy.

– A jeżeli Komodor zapyta, z jakiej bandy pochodzicie? – zapytał pirat. – Wie o wszystkim, co się dzieje w tym sektorze.

– Niech cię o to głowa nie boli – odparła Mara. – Zaufaj mi. Na pewno mi się uda.

Tannis się skrzywił.

– Żądasz ode mnie, żebym zdradził moich kamratów – powiedział.

– Jesteś piratem – przypomniała Mara. – Twoi kamraci to zbieranina. Za dodatkowe dziesięć procent każdy z nich wbiłby ci nóż w plecy. – Urwała na chwilę, żeby Tannis mógł przyswoić sobie tę prawdę. – Prawdę mówiąc, nawet nie będziesz musiał ich zdradzać – podjęła w końcu. – Jesteście lokalnym problemem, z którym powinny się uporać lokalne władze. Zależy mi tylko na poznaniu osoby, która w obecnej chwili finansuje waszą działalność i wydaje rozkazy.

Tannis zmarszczył brwi.

– Masz na myśli Caaldrę? – zapytał.

– Chodzi mi o kogoś wyżej stojącego w hierarchii – wyjaśniła cierpliwie młoda kobieta. – Caaldra może i wywiera wrażenie, ale w rzeczywistości jest tylko kosztownym chłopcem na posyłki. Chcę uzyskać dostęp do bazy danych Komodora, żebym mogła się dowiedzieć, kto podejmuje decyzje, kto wydaje rozkazy...

– Znów na chwilę urwała. – A przede wszystkim kto finansuje waszą działalność – dokończyła.

Twarz pirata pozostała kamienna, ale niespodziewana emocjonalna zmarszczka w Mocy wyjawiała Marze, że trafiła w dziesiątkę. Tannis stał dość nisko w hierarchii pirackiej władzy, ale dobrze wiedział, jak podążać śladami kredytów. A zatem przecucie jej nie myliło. Wszystko wskazywało na to, że przynajmniej część pieniędzy, jaką moff Glovstoak wyłożył na nabywanie swoich dzieł sztuki, trafiła w jakiś sposób do bandy Krwawych Szram.

– A co się stanie, jeżeli Komodor się polapie? – zainteresował się Tannis.

– Postarasz się, żeby do tego nie doszło – odparła Mara.

– A jeżeli coś pokręcisz i dasz się zabić? – nie dawał za wygraną pirat.

– Postarasz się nawet jeszcze bardziej, żeby i to się nie wydarzyło – oznajmiła Mara. – Wchodzisz w to?

Tannis parsknął.

– A mam jakiś wybór? – wymamrotał.

– Jasne. Jeszcze dzisiaj możesz zacząć odbywać swoją karę – wyjaśniła Mara.

– Nie, dzięki – mruknął Tannis. Z jego oczu i zmienionego tonu głosu Mara wywnioskowała, że pirat nagle uświadomił sobie, że ma trzecie wyjście. Mógł ją wystawić pozostałym członkom bandy Krwawej Szramy i wykorzystać trydziestodniowy okres łaski, żeby gdzieś się ukryć. – Wchodzę w to – zdecydował.

– To dobrze – powiedziała Mara i stanęła przed nim. – Chcę jednak, żebyś miał absolutną jasność co do tego, na co się decydujesz... – Skierowała spojrzenie w dół, na jego kajdanki, i posłużyła się Mocą, żeby je rozpiąć. Pozwoliła, żeby upadły z grzechotem na płytę pokładu.

Kilka sekund Tannis spoglądał na nie z napiętymi mięśniami i szyi. Później powoli unosił głowę i spojrzał na Marę.

Może i zamierzał ją zdradzić, ale obecnie zrezygnował z tego zamiaru.

– Vader – wyszeptał z podziwem. – Jesteś jak Vader.

– Tylko lepsza – odparła lodowatym tonem Ręka Imperatora. Zastanowiła się, co by Vader zrobił, gdyby usłyszał jej słowa, ale doszła do wniosku, że to, czego Lord Sithów nie słyszy, nie powinno go zaboleć. – Doszliśmy do porozumienia?

Tannis z wysiłkiem przełknął ślinę.

– Tak – wykrztusił. – Oczywiście.

– To dobrze – stwierdziła Mara. Cofnęła się i ponownie uwolniła myśli. Tym razem posłużyła się Mocą, żeby przywołać kajdanki do swojej dłoni. Tannis cały czas nie odrywał od nich spojrzenia. – Przydzielę ci teraz strażnika, który zabierze cię na pokład pirackiego statku, żebyś mógł zabrać ubranie i wszystko, co może ci być potrzebne. Później zameldujesz się na pokładzie „Drogi Hoppera”, gdzie zostaniesz zapoznany z rozkładem pomieszczeń oraz obsługą pokładowych systemów. Dopilnuję, żeby w ambulatorium znalazło się dla ciebie miejsce w zbiorniku bacta, bo rana na twojej nodze powinna się zagoić, zanim przylecimy do twojej bazy.

– Jasne. – Tannis powoli wstał, ale nie oderwał spojrzenia od kajdank w dłoni Mary. W końcu spojrzał w jej oczy i uśmiechnął się z przynajmniej. – Witaj w gronie Krwawych Szram, Ręko Imperatora – powiedział. – Na pewno spodoba ci się u nas.

– Dziękuję – odparła Mara. – Lepiej, żeby mi się spodobało.

Komandor Ozzel rozparł się na fotelu i wpatrzył w ekran komputerowego monitora z gorzką świadomością porażki. Wszystko, co kiedykolwiek zrobił... cała praca, cały wysiłek, wszystkie starania... wszystko to przepadło.

Naszywkę admirała? Przepadły.

Płyty drzwi w przeciwniejszym ścianie się rozsunęły i do pomieszczenia wszedł pułkownik Somoril.

– Przed chwilą przyspieszyła do nadświetlnej i zniknęła – powiedział.

– To i tak nie ma znaczenia – mruknął Ozzel, wskazując ekran monitora. – Jesteśmy skończeni.

– O czym, na wszyście mroki przestworzy, pan mówi? – wybuchnął oficer. Podszedł do biurka, odwrócił monitor w swoją stronę i spojrzał na ekran.

– Nasza sprytna mała Ręka Imperatora włamała się do bazy danych okrętowego komputera – wyjaśnił z goryczą komandor. – Użyła dostęp do danych osobowych, dziennika okrętowego oraz do informacji o przylotach i odlotach.

Somoril z kamienną twarzą zaczął przeglądać przesuwające się z dołu do góry informacje na ekranie monitora. Ozzel go obserwował i ku własnemu zaskoczeniu stwierdził, że napięcie powoli ustępuje z twarzy pułkownika.

– Świetnie – odzwał się w końcu funkcjonariusz IBB, siadając naprzeciwko komandora. – A zatem dowiedziała się, że kilka tygodni temu odleciała stąd „Gillia”. I co z tego? Nic nie wskazuje na to, żeby to nie miała być jedna z tajnych wypraw IBB.

– Doprawdy? – warknął Ozzel. – Rzeczywiście pan uważa, że uknęła cały plan dostania się na pokład tego niszczyciela i włamania się do bazy danych komputera, nie wiedząc, czego właściwie poszukuje?

Somoril unosił brwi.

– Uknęła plan dostania się na pokład? – powtórzył. – A częścią tego planu było zorganizowanie ataku bandy piratów na wyczarowany przez Imperium frachtowiec?

– Specjalni agenci Imperatora nie zawracają sobie głowy czymś równie blahym jak piraci – odciął się Ozzel. – A już na pewno nie robi tego ktoś taki jak Ręka Imperatora. Jeżeli pokrzyżowała plany piratów, z pewnością zrobiła to przypadkowo, przy okazji wykonywania głównego zadania.

Somoril pokręcił głową.

– Nie jestem o tym przekonany – powiedział.

– Lepiej, żeby pan uwierzył – burknął kwaśno Ozzel. Odwrócił monitor w swoją stronę i wpisał polecenie wyświetlenia następnej informacji. – Ściągnąłem te dane z planetarnego biuletynu informacyjnego. Dysponujemy dwoma niezależnymi raportami o ekscesach imperialnych szurmowców.

Somoril zmrużył oczy.

– O jakich ekscesach pan mówi? – zapytał.

– Pierwszy wyczyn nie był zbyt groźny – ciągnął Ozzel. – Szurmowcy zaatakowali i zlikwidowali gang grawicyklistów, którzy napadli na grupę farmerów. Druga akcja zakończyła się jednak wyeliminowaniem całych sił policyjnych pewnego miasta.

– Szturmowcy opanowali miasto? – zadał pytanie z niedowierzaniem pułkownik

– Nie, nie... wszystko wskazuje na to, że po prostu przywrócił do służby poprzednich policjantów – odparł Ozzel. – Na razie nie znam szczegółów, ale to i tak nie ma żadnego znaczenia. Problem w tym, że nasza Ręka Imperatora już wie, skąd pochodzili ci szurmowcy.

– Ale nie wiadomo, czy wykryła jakikolwiek związek między nimi a nami – sprzeciwił się Somoril. – Może o niczym takim nie wie. A zresztą nawet gdyby się dowiedziała, nie musimy się niczego obawiać, jeżeli nie będzie mogła tego powiedzieć nikomu innemu.

Ozzel spojrział na niego z taką miną, jakby poczuł paskudny zapach.

– Co właściwie chce pan powiedzieć? – zapytał w końcu.

– Tylko to, że nie wysłała żadnej wiadomości z pokładu „Odwetu” – wyjaśnił Somoril. – A Brock i Gilling dopilnują, żeby nie wysłała też niczego z pokładu „Drogi Happer’a”. Pozostały jej tylko nadajnik u celu podróży. – Urwał i zastanowił się chwilę. – A sądząc z wektora lotu, który śledziliśmy, zanim zniknęła, prawie na pewno udała się do placówki górniczej na Gepparinie.

– Śledził ją pan? – dopytywał się oszołomiony Ozzel.

– A jak inaczej mógłbym wiedzieć, dokąd poleciała? – wyjaśnił rzeczowo funkcjonariusz IBB. – A zatem, komandorze, musi pan teraz podjąć ważną decyzję.

– Czy pan wie, co pan sugeruje? – zdenerwował się komandor. – Mówi pan o zabiciu imperialnej agentki... kobiety, która dostaje rozkazy od samego Palpatine’a.

– Smarkuli, która dostaje te rozkazy – poprawił go Somoril. – Wystarczająco dorosłej, żeby ukończyć szkolenie, ale zarazem na tyle młodej, aby nie mieć doświadczenia w wykonywaniu takich operacji.

– Jest imperialną agentką – obstawał przy swoim Ozzel.

– Niech pan przestanie to powtarzać – burknął Somoril. – Wybrała niebezpieczny tryb życia. Wyślani do takich akcji agenci często tracą życie podczas służby.

– A zatem dlaczego się pan z nią nie rozprawił tu, na pokładzie „Odwetu”? – zapytał napastliwym tonem Ozzel.

– Miałem to zrobić na oczach setek potencjalnych świadków? – odciął się pogardliwie Somoril. – A poza tym nie wiedziałem wówczas, do czego jest zdolna i jak blisko nas wędruje. Teraz już wiem.

Ozzel wypuścił powietrze z płuc z cichym świstem. Wiedział, że pułkownik ma rację. Straszliwą, przerażającą rację.

– Co mamy według pana zrobić? – spytał z rezygnacją.

– Jak powiedziałem, życie agenta bywa czasem bardzo niebezpieczne – zaczął Somoril. – Nigdy nie wiadomo, kiedy może się znaleźć po niewłaściwej stronie wojskowej akcji. – Uniósł brwi. – Na przykład kiedy dowódca patrolującego przestworza gwiazdowego niszczy ciela Imperium przy padkiem pozna współrzędne miejsca, w którym może się mieścić piracka baza.

Chyba z minutę obaj mężczyźni patrzyli sobie w oczy. W końcu Ozzel wyciągnął powoli rękę do włącznika interkomu.

– Mówi dowódca okrętu – zaczął ponuro. – Obracaj kurs na system Gepparina. Wskoczycie do nadprzestrzeni, kiedy tylko jednostki napędu nadświetlnego zaczną pracować pełną mocą. – Zaczekał na potwierdzenie i wyłączył interkom. – Zakładam, że obliczył pan także, jak długo po niej się tam pojawimy – dodał.

– Nie więcej niż kilka godzin – zapewnił go Somoril. – Brock i Gilling bez problemu utrzymają ją przez ten czas z daleka od jakiegokolwiek nadajnika HoloNetu. – Wstał. – Za pańskim pozwoleniem, komandorze, chciałbym teraz poszukać następnych szczegółów na temat tego, co porabia naszych pięciu dezertersów.

Sklonił się lekko, odwrócił i ruszył do wyjścia.

– A co by pan zrobił, gdybym się nie zgodził? – upewnił się jeszcze Ozzel.

Somoril przy stanął, ale się nie odwrócił.

– Wysłałbym jeden ze swoich statków, żeby moi ludzie rozwiązali ten problem – powiedział. – I gardziłbym panem do końca pańskiego życia.

Ozzel parsknął.

– Chciał pan powiedzieć, że do końca swojego życia? – zapytał.

– Bynajmniej – odparł cicho funkcjonariusz IBB. – Mam przecucie, że w takim wypadku pańskie życie byłoby o wiele krótsze niż moje.

Rozdział 11

Jak wcześniej uzgodniono, jacht Chivkyriego już czekał, kiedy kurierski statek Lei wyskoczył z nadprzestrzeni nad niezamieszkaną planetą, gdzie miało się odbyć spotkanie. Księżniczka zobaczyła jeszcze dwie krążące po równoległych orbitach gwiazdne jednostki. Wiedziała, że należą do dwóch innych przywódców Rebelii, którzy sprzeciwiali się planom Chivkyriego. Popatrzyła przez iluminator i powoli, głęboko oddechała. Właśnie to radził jej robić ojciec, jeżeli chciała się uspokoić. Obserwowała, jak pilot jej statku zrównuje się z jachtem Adarianina. To tylko jeszcze jedne negocjacje, pomyślała. Podobne do setek innych, w jakich brałaś udział w swojej karierze.

Tym razem miała jednakże przecucia, a dziwny niepokój nie chciał jej opuścić. Żalowała, że nie towarzyszy jej Luke. Albo nawet Han.

Kiedy była przedstawicielką Alderaana w Imperialnym Senacie, nie utrzymywała kontaktów z Adarianami, bo interesy mieszkańców obu planet rzadko bywały zbieżne. Odłądziła jednak przyłączyła się do Rebelii, z konieczności musiały się nauczyć czegoś więcej o ich psychice i obyczajach. Jeżeli ktoś żyje w czasie wojny, jak kiedyś powiedział jej ojciec, musi dobrze znać geografii. Leia zauważyła, że uczestniczenie w wojnie zmusza ją do poznawania obcych osób.

Wiedziała, że na pokładzie jachtu Chivkyriego czeka ją powitalny ceremonial, krótki, ale pełen gestów i słów wynikających z historii i obyczajów. Była zadowolona, że zdążyła się zapoznać z przebiegiem uroczystości, ale w rezultacie i tak popełniła kilka drobnych błędów, bo jej struny głosowe nie umiały prawidłowo wymówić niektórych aderiańskich wyrazów.

– Zaszczycza pani mnie i mój statek swoją obecnością – oznajmił Chivkyrie, kiedy ceremonia dobiegła końca. Leia zauważyła, że Adarianin kaleczy słowa basica niemal w takim samym stopniu, jak przedtem ona zniekształcała słowa jego języka. – Proszę pozwolić, że przedstawię pani dwóch innych przywódców, którzy także pragną poznać panią. – Wskazał stojącego po prawej stronie Mungrę o przenikliwych pomarańczowych oczach. – To Ydor Vokkoi, przywódca grupy Freedonna Kaisu.

– Witam pana, przywódcu Vokkoi – powiedziała Leia, kiwając głową w jego stronę. Mungrowie byli jedną z dwóch ras żyjących w sektorze Shelshy istot, które zdążyły założyć kilka międzygwiazdnych kolonii od czasu, kiedy kilka tysięcy lat wcześniej rozpoczęła się Wielka Eksploracja galaktyki.

– Witam panią, księżniczko Organo – odpowiedział Vokkoi, nisko pochylając porośniętą grzywę zmierzwionych włosów głowę.

– A to przywódca Thillis Slanni ze Światlistej Nadziei – ciągnął Chivkyrie, pokazując Ishi Tiba stojącego po jego prawej stronie.

[Nie jestem przywódcą, ale skromnym dyrektorem działu planowania], sprzeciwił się Slanni, wydając skomplikowane serie pisków, świstów i kłapięć dziobem, z których się składała mowa Ishi Tibów.

– Rozumiem – odparła Leia, kiwając mu głową. – Umiejętności organizacyjne istot pańskiej rasy są wszędzie dobrze znane. Cieszę się, że zarówno pan, jak i przywódca Vokkoi zechcieliście tu przyjechać, aby mi pomóc w podjęciu tak ważnej decyzji.

– Decyzji, która może oznaczać dla nas wszystkich życie albo śmierć – wymruczał Vokkoi.

To tyle, jeżeli chodzi o grzecznościową wymianę zdań, pomyślała Leia.

– Usiądźmy gdzieś, żebyśmy mogli do spokojnie omówić – zaproponowała. – Przywódcu Chivkyrie, czy zechcesz nam wskazać drogę?

Sala konferencyjna znajdowała się w głębi wiodącego od służby korytarza i wyglądała jak wielostopniowy amfiteatr z charakterystycznym dla cywilizacji Adarian wielopoziomym stołem konferencyjnym. Chivkyrie zaprowadził Leię do miejsca na najwyższym poziomie, sam zaś usiadł poziom niżej po jej prawej stronie. Vokkoi zajął miejsce naprzeciwko niego na tym samym poziomie, a Slanni jeszcze niżej, po tej samej stronie co Mungra.

Leia uznała, że kształt stołu jest dziwny, bo podczas długich negocjacji siedzącym nisko uczestnikom na pewno dokażał ból w szyi i zawroty głowy. Musiała jednak przyznać, że takie rozmieszczenie dyskutantów aż nazbyt dobitnie daje wszystkim do zrozumienia, kto zajmuje jaką pozycję w społecznej hierarchii i kto opowiada się po której stronie.

– Po pierwsze – odezwała się, kiedy służby Chivkyriego ustawili na wszystkich zajętych poziomach stołu napoje i przekąski – chciałabym usłyszeć od pana, przywódcu Chivkyrie, jak wyglądają szczegóły proponowanego przez pana planu.

– Och, to bardzo prosty plan – zaczął Adarianin. – Nie rozumiem, jak można nie widzieć olbrzymiego potencjału korzyści...

– Porozmawiamy o korzyściach za chwilę – przerwała mu spokojnie księżniczka. – Najpierw chciałabym poznać szczegóły samego planu.

Chivkyrie spojrzął na siedzących po przeciwnej stronie kolegów Rebeliantów, a w otworze napowietrzającym w jego długiej czasce pojawił się błysk światła.

– Proponuję przyłączyć do Rebelii sektor Shelshy – powiedział, spoglądając na Leię. – Cały sektor.

– To ciekawe – stwierdziła księżniczka, starając się zachować kamienną twarz wytrawnej dyplomatki. – Jak zamierza pan tego dokonać?

– To najwspanialsza część tego planu – odparł Chivkyrie. – My, Sojusz Rebeliantów, będziemy mieli niewiele do zrobienia. O wszystko się zatroszczy gubernator Choard, który sam to zaproponował.

– Powiedział to panu? – zdziwiła się Leia.

– Nie osobiście – przyznał Chivkyrie. – Długo jednak rozmawiałem z jego asystentem, szefem administratorów, Vilimem Disrą. Disra zapewnił mnie, że gubernator Choard zaczął już realizować plan, zgodnie z którym sektor Shelshy wycofa się z Imperium i ogłosi niepodległość.

[Co nie jest równoznaczne z oświadczeniem, że Shelkonwa rzeczywiście przyłączy się do Rebelii jako aktywny członek Sojuszu], zauważył Slanni.

– Szef administratorów Disra zapewnił mnie, że taki będzie następny krok – ciągnął Chivkyrie. – Gubernator Choard jest coraz bardziej przerażony okropnościami rządów Imperialnego Centrum i rozumiał, że przyłączenie się do Rebelii jest jedynym logicznym rozwiązaniem.

– Pod warunkiem, że Imperialne Centrum przystanie na tak oczywisty bunt – wymruczał Vokkoi, a infradźwięki jego basowego głosu wprawiły stół w lekkie drżenie. – Freedonna Kaisu uważa, że w odpowiedzi Palpatine skieruje przeciwko Shelkonwie całą potęgę Imperialnej Marynarki.

– Właśnie dlatego sojusz z Rebelią ma tak duże znaczenie dla powodzenia planów Choarda – stwierdził Chivkyrie. – Równoczesne ataki naszych sił zbrojnych w innych miejscach galaktyki związałyby sporą część wojsk Imperium, które w przeciwnym razie mogłyby zostać użyte przeciwko sektorowi Shelshy.

[Światlista Nadzieja zgadza się z opinią przywódcy Chivkyriego, że polityczne i psychologiczne korzyści takiego posunięcia byłyby ogromne], wtrącił Slanni. [Nie zgadzamy się jednak z jego zdaniem, że Choard rzeczywiście zamierza się przyłączyć do Sojuszu]. Wskazał Vokkolio. [Nie wierzymy także w to, co powiedział przywódca Vokkoi. Sojusz nie dysponuje wystarczającą potęgą wojskową, aby w znaczącym stopniu zmniejszyć siłę reakcji Palpatine'a].

– To, czy nasza akcja okaże się wystarczająca, zależy od zakresu przygotowań, jakie podejmie gubernator Choard – zauważył Chivkyrie.

– Zgadzą się z pańską opinią – odezwała się Leia, starając się przewidzieć skutki nieoczekiwane oświadczenia. Slanni miał rację. Informacja o odłączeniu się całego sektora od Imperium powinna zdruzgotać iluzję jedności Nowego Ładu, którą Palpatine tak pieczołowicie szerzył. Taka wiadomość stałaby się zarzewiem niezadowolonych i znakomicie usadniałaby istnienie Rebelii. Sojusz nie mógłby nawet marzyć o lepszym efekcie propagandowym. Prawdę mówiąc, odłączenie się całego sektora mogło oznaczać początek końca rządów Palpatine'a.

Z drugiej jednak, mniej przyjemnej strony, dokładnie takie same separatystyczne zapędy rozdarły Republikę na krawę strzępy w poprzednim pokoleniu. Ostatnią rzeczą, na jakiej Leii i innym przywódcom Sojuszu zależało, była powtórka chaosu i krwawego żniwa tamtych czasów.

Księżniczka spojrzała na Chivkyrie.

– Wie pan coś więcej o planach Choarda? – zapytała.

– Wiadomo mi, że prowadzi przygotowania i rozmieszcza siły zbrojne, aby przejęły kontrolę nad głównymi obiektami – odparł Adarianin. – Poza tym jednak nie znam szczegółów.

– Takie szczegóły są bardzo ważne – stwierdził Vokkoli.

– Ma pan rację – zgodził się z nim Chivkyrie, kiwając głową drugiemu Rebeliantowi. – Właśnie dlatego prosiłem księżniczkę Leię Organą, żeby się do nas przyłączyła.

Leia o mało się nie zachłysnęła powietrzem, bo nagle zrozumiała, do kąd zmierza ich rozmowa. To normalne, że Chivkyrie nie rozmawiał osobiście z Choardem... Gubernator sektora przewyższał go w hierarchii społecznej o kilka stopni, więc Adarianin nie mógłby nawet marzyć, żeby odbyć z nim rozmowę w cztery oczy. Leia była jednak księżniczką, a w jej żyłach płynęła królewska krew Alderaana. Nie miało znaczenia, że planeta, która nadała jej ten tytuł, już nie istniała.

– Czy gubernator zechce ze mną porozmawiać? – spytała.

– Sze administratorów Disra zapewnił mnie, że gubernator Choard chętnie porozmawia z każdą osobą, równą mu w hierarchii społecznej – odpowiedział Adarianin. – Jeżeli się pani zgodzi, zaraz odlecimy stąd na Shelkonwę.

– Czyba pan nie zdradził gubernatorowi mojej tożsamości? – zaniepokoiła się Leia.

– Naturalnie, że nie – zapewnił ją Chivkyrie, wyraźnie zgorzsony jej podejrzaniem. – Po pierwsze nie byłem pewny, kogo przyśle Sojusz Rebeliantów, a po drugie, nigdy bym nie zdradził nazwiska tej osoby bez jej wyraźnej zgody. – Spojrzał na dwóch swoich towarzyszy po drugiej stronie stołu. – Sze administratorów Disra ostrzegł mnie jednak, że przygotowania gubernatora Choarda są bliskie ukończenia – dodał po chwili. – Jeżeli chcemy włączyć się do jego planu, musimy działać szybko, bardzo szybko.

– Rozumiem potrzebę pośpiechu – zgodziła się księżniczka. – Rozumiem jednak również powody niepokoju przywódcy Vokkoliego i dyrektora działu planowania Slanniego. Taka akcja mogłaby stanowić duże zagrożenie dla Sojuszu Rebeliantów, zwłaszcza gdyby plany gubernatora spały na panewce.

– Całe życie podejmujemy ryzyko, z którego może nic nie wynikać – stwierdził niecierpliwony Chivkyrie. – Przywódcy Sojuszu twierdzą, że starają się zgromadzić pod jednym dachem wszystkich nieprzyjaciół Imperium. Jeżeli nie przyjmie pani pod ten dach gubernatora Choarda, prawdopodobnie nie zależy pani na użyciu rzeczy wistej jedności.

[Skąd możemy mieć pewność, że gubernatorowi Choardowi zależy na naszym zwycięstwie?] – sprzeciwił się Slanni. [Może po wywalczeniu niepodległości obrócić się przeciwko nam i wygnać nas ze swojego terytorium].

Dzięki takiemu posunięciu sektor Shelsy stałby się strefą neutralną, pomyślała Leia. Może Palpatine się zgodził, żeby Shelkonwa uzyskała większą autonomię, ale pozostała pod rządami Imperium? Księżniczka wiedziała, że podobne układy zawierano już w przeszłości, nie tylko w Sektorze Wspólnym, ale także gdzie indziej. Gdyby dążeniu do niezależności Choarda towarzyszyła publiczna proklamacja lojalności względem Imperialnego Centrum, Palpatine byłby może gotów się na to zgodzić. Nie musiałby wysyłać swoich sił zbrojnych, aby zmusić Shelkonwę do posłuszeństwa, więc mógłby je wykorzystać do innych zadań. W ostatecznym rozrachunku Choard uzyskałby pewną samodzielność, na której prawdopodobnie mu zależało, a żołnierze Sojuszu walczyliby i ginęli na próżno.

A może chodziło o coś jeszcze gorszego? Choard mógł pozostawać cały czas lojalnym poddanym Imperium, a jego rzekomy plan miał tylko zwabić kilku przywódców Sojuszu w zasadzkę.

– Jeżeli przegapimy taką okazję, gubernator Choard z pewnością zostanie pokonany – odezwał się Chivkyrie, jakby czytał w jej myślach. – Jego próby uniezależnienia się od Imperium staną się tylko nic nieznaczącym epizodem w mrocznej historii rządów Palpatine’a. – Odwrócił głowę w jej stronę. – A Powrót Republik będzie się musiał zastanowić, czy Sojusz Rebeliantów jest rzeczywiście dla niego odpowiednim partnerem.

A zatem tak wyglądała sytuacja. Mon Mothma ostrzegała Leię, że Vokkoli i Slanni grożą wycofaniem się z Sojuszu, gdyby plan Chivkyrieego został zaakceptowany. Kilka chwil wcześniej Chivkyrie wygłosił podobne ultimatum.

Wyglądało na to, że jedności rebelianckich sił w sektorze Shelsy nie da się w żaden sposób utrzymać.

Jednak Leia mogłaby spróbować odwręć to, co wydawało się nieuniknione... przynajmniej na jakiś czas.

– Nie ugnę się przed szantażem – ostrzegła Chivkyrie, nadając głosowi ton monarszego niezadowolenia. – Nie zrezygnuję jednak od razu z możliwości osiągnięcia ostatecznego zwycięstwa w walce przeciwko Imperium. Wrócę teraz na pokład mojego statku i skontaktuję się z innymi przywódcami Sojuszu Rebeliantów. Jeżeli się zgodzą, polecę na Shelkonwę, żeby ocenił sytuację. – Przeniosła spojrzenie na Vokkoliego i Slanniego. – Wasza obecność i rada podczas tej podróży byłyby bardzo cenne – dodała.

Chivkyrie poruszył się niespokojnie na fotelu, ale zachował milczenie. Vokkoli spojrział najpierw w dół, na Slanniego, po czym odwrócił się do Lei.

– Będziemy zaszczytzeni, mogąc pani towarzyszyć, księżniczko – odezwał się z powagą. – Niech Moc będzie z panią i z pani decyzjami.

– Dziękuję – odparła Leia i wstała, starając się nie okazać niezadowolenia. Znów ta Moc, pomyślała. Bardzo chciałaby mieć umiejętności Jedi, żeby korzystać z tego źródła energii i mądrości, ale... – Wróć tu za godzinę – obiecała.

– Będę czekał na pani powrót – zapewnił Chivkyrie. – Proszę jednak pamiętać, że za godzinę wracam do domu. W pani towarzystwie albo sam.

Kiedy Han przeszedł ze sterowni do świetlicy, Luke ćwiczył walkę ze zdalnikami, wymachując klingą świetlnego miecza.

– Co, znów? – warknął Solo, zerkając na Chewiego, który przyglądał się ćwiczebnemu pojedynkowi spod ściany.

Wookie zaryczał, zadając logiczne pytanie.

– Nie, nie mam pojęcia, gdzie indziej mógłby ćwiczyć – przyznał Han. – Tylko kto mówi, że w ogóle musi to robić na pokładzie „Sokoła”? Co będzie, jeżeli przetnie jakiś kabel albo wypali dziurę w rurze z hydraulicznym płynem? Albo jeśli odtnie sobie rękę?

Mimo to musiał przyznać, że chłopak radzi sobie coraz lepiej z tą absurdalną bronią. Na początku, kiedy Kenobi uczył go bronić się przed atakami zdalnika, chłopak parował najwyżej jeden strzał na dziesięć. Obecnie jednak, kiedy w pewnej chwili pomrukująca kula wysłała sześć błyskawic, Han zauważył, że tylko jedna przedarła się przez zaporę.

– Ale rękę i tak może sobie odciąć – mruknął w końcu.

Chewbacca przypomniał mu przeciągłym wyciem o ambicjach i odpowiedzialności młodego Sky walkera.

– Tak idę o zakład, że jeżeli będzie codziennie ćwiczył, wyrośnie na wspaniałego rycerza Jedi – stwierdził Han z lekkim sarkazmem. – Luke? Hej, Luke!

Chłopak znieruchomiał, jakby potrzebował czasu, żeby skoncentrować się na czymś innym niż zdalnik.

– O co chodzi? – zapytał, odwracając się do Hana. – Och...

część, Chewie. Nie wiedziałem, że tu jesteś.

Han z trudem się powstrzymał, żeby nie pokręcić głową. Luke zawsze miał nadzieję, że zostanie wszytkowidzącym i wszytkowiedzącym rycerzem Jedi. Han zaś twierdził, że to tandetne sztuczki i bzdury.

– Zbliżamy się do systemu Purnhama – powiedział. – Musimy przygotować poczwórne lasery.

– Jasne. – Luke wyłączył klingę świetnego miecza i obszedł cicho pomrukającego zdalniaka. Przycisnął guzik kontrolnym panelu technicznym, a unosząca się nieruchomo kula poszybowała prosto do gniazda ładowarki. Sekundę później w świetlicy rozległ się dwutonowy sygnał, ostrzegający o zbliżeniu się do celu podróży.

– Chodźmy... pospiesz się, mały – przy naglił Han. Podszedł do drabinki i zsunął się po poręczach do wieżyczki dolnego działka. – Kwatermistrz będzie niepokieszony, jeżeli piraci pojawią się na zabawie wcześniej niż my.

– Jest – odezwał się Marcross, wskazując przestrzeń za iluminatorem. – Jeden frachtowiec, prosto na kursie.

– Widzę go – potwierdził Quiller i zaczął przebieierać palcami po klawiaturze, żeby wyświetlić na ekranie dane identyfikacyjne statku. – Ale to nie jest nasz Korelianin. Wszystko wskazuje, że to jakiś Surronianin. Nie znam dokładnie tego modelu.

– Ma jakąś broń? – zainteresował się LaRone.

– Kilka laserowych działek – odparł pilot. – Nic niezwykłego jak na statek tego typu.

– Inaczej mówiąc łatwy łup – mruknął Marcross. – Kiedy miał się pojawić nasz Korelianin?

– Zakładając, że nie zmienił prędkości, powinien tu być lada chwila – stwierdził Quiller. – A jeżeli się naprawdę spieszył, mógł zdążyć przyłecić i odlecieć.

– Nie wiedziałem, że statki typu YT-1300 są takie szybkie – zauważył Brightwater.

– Bo nie są, ale ten konkretny statek jest – wyjaśnił Quiller. – Zanim wskoczyli do nadprzestrzeni, zapoznałem się z kilkoma ciekawymi udoskonaleniami i modyfikacjami. Jeżeli ci goście nie są piratami, idę o zakład, że to przemysłnicy albo łamacze blokad.

Z kontrolnego pulpitu wy dobył się ostrzegawczy świergot.

– Mamy towarzysstwo – oznajmił Quiller, przenosząc spojrzenie na wskaźniki. – Wyłaniają się spoza tamtej gromady asteroid po naszej sterburcie.

– Widzę ich – mruknął ponuro LaRone. Zobaczył dwa statki podobne do patrolowców, smukłe, szybkie i silnie uzbrojone. Śledzony koreliański frachtowiec mógł nie być statkiem pirackim, ale na pewno były nimi te dwie jednostki.

I od pierwszej chwili stało się jasne, że ich piloci zaczynają polowanie. Zatoczyli łuki, obrali kurs na odległy frachtowiec i przyspieszyli.

– Przechwycają mnie więcej za dziewięćdziesiąt sekund – ostrzegł Quiller. – LaRone?

Szurmowiec wy dął wargi.

– No cóż, jeżeli zależy nam tylko na przesłuchaniu kilku przypadkowo spotkanych piratów... – zaczął.

– Hej, jest tam! – wykrzyknął nagle Grave, wskazując coś z przodu po lewej stronie. – To nasz Korelianin!

– A to drań – podsumował Brightwater. – Rzeczywiście przyłeciał wcześniej niż my.

– I włącza się do akcji – dodał Marcross, kiedy pilot frachtowca typu YT-1300 niespodziewanie przyspieszył. – Wygląda na to, że zamierza zaatakować naszych piratów.

– Nie ma to jak dobrze zaopatrzony bufet – zauważył Quiller. – Chcecie się założyć, który statek w ciągu następnych kilku minut pozostanie niezniszczony?

LaRone obserwował rozwój sytuacji przed dziobem Suwanteka. Zgodnie ze standardową wojskową procedurą powinien najpierw unieszkodliwić wszystkie trzy jednostki, a dopiero później starać się odróżnić wrogów od przyjaciół. Gdyby jednak miał się kierować niejasnymi przeczuciami, a także własnym wrażeniem, jakie odniósł na widok Korelianina i jego przyjaciół...

– Obieramy kurs na tamte dwa patrolowce – zdecydował. – Wiemy, że to piraci. Najpierw bierzemy na cel przedziały silnikowe i staramy się unieruchomić przy najmniej jeden statek bez rozpylania go na atomy.

– A co z tym Korelianinem? – zagadnął Grave.

– Na razie zostawiamy go w spokoju – odparł szurmowiec. – Przy najmniej dopóki pierwszy nas nie ostrzela.

Brightwater poklepał Grave'a po ramieniu.

– Wykorzystajmy okazję – zaproponował. – Przekonajmy się, jak skuteczne na tak dużą odległość są nasze działka.

Kiedy Chewie zmniejszył dzielącą ich odległość, pirackie statki zaczęły się powiększać w iluminatorach „Sokoła”. Luke przestawił umysł na tryb bitewny Jedi, ale ponownie usłyszał w głowie cichy, znajomy głos:

Luke...

– Tak wiem – mruknął chłopak, skupiając całą uwagę na piratach.

Nie skupiaj się, napomniał go głos Bena. Jeszcze nie. Najpierw odszukaj i zidentyfikuj wszystkie możliwe zagrożenia, bez względu na to, gdzie się czają.

Luke zmarszczył brwi. Gdzie się czają? – powtórzył w myśli. Co to miało oznaczać?

Uwolnij myśli i posłuchaj się Mocą, Luke. Wyślij je we wszystkie strony.

Luke skrzywił się, ale opróżnił umysł i zmusił się do ignorowania oczywistych celów przed dziobem „Sokoła”. Pozwolił, żeby jego świadomość wypłynęła na zewnątrz. Nie miał pojęcia, skąd jeszcze może pochodzić zagrożenie...

Nagle poczuł w umyśle dotyk myśli obcych osób. Rozejrzał się, żeby odszukać ich źródło.

I wstrzymał oddech. Zza pobliskiej asteroidy wyłonił się jeszcze jeden statek. Jego pilot zajął pozycję za rufą „Sokoła”, jakby zamierzał go przechwycić.

– Hanie! – zawołał chłopak.

– Tak widzę go – burknął Solo, a Luke usłyszał jego głos w słuchawkach na głowie. – Powinienem był się spodziewać, że mają wsparcie. Chewie, obierz kurs na frachtowiec Kwaternistrza i zacznij wykonywać uniki. Luke, weź na cel tego nieproszonego gościa. Staraj się trzymać go na odległość, a jeżeli się zbliży, rozwał go na kawałki.

– Zrozumialem – odparł Luke. Pilot nadlatującego statku obniżył pułap lotu, ale cały czas trzymał się za rufą „Sokoła”. Pozostawał jednak poza zasięgiem ognia poczwórnych laserów.

Mimo to Luke zamierzał zrobić, co do niego należało. Chewbacca zaczął wykonywać skomplikowane skręty i uniki, a „Sokół” zataczał się w przestworzach jak pijany dewback. Chwilę później, kiedy Han otworzył ogień do dwóch pirackich patrolowców, obok jego kadłuba pojawiły się zielone błyski. Luke zwrócił jarzmo z przyciskiem spustowym w stronę rufy i opuścił lufy działek najbardziej jak mógł. Czełał, aż któryś z uników Chewiego da mu okazję do oddania celnego strzału.

Luke, skup myśli.

Chłopaków znowu się skrzywił. Jak Ben mógł żądać, żeby jego uczeń się skłupił w takiej sytuacji? Głęboko odetchnął i wysłał myśli w kierunku przybyszów.

Skoncentrował się i zaczął, a lecący za nimi statek zbliżył się jeszcze bardziej do „Sokoła”. Dopiero wówczas zaczął się orientować w intencjach mężczyzny na jego pokładzie.

Nie wyczuł w nich napięcia na kształt energii ściśniętej sprężyny... energii przygotowującego się do ataku drapieżnika, jaką wyczuwał w kawiarence w Conso City. Odbierał podobne oczekiwania i taką samą siłę, ale było w nich coś zdecydowanie innego, coś mniej przewrotnego. Lecący za nimi nieznajomi nie żywili wobec nich złych zamiarów.

Moc poprowadzi cię, jeżeli jej na to pozwolisz.

Zbliżający się do rufy „Sokoła” statek był już prawie w zasięgu strzału. Luke, wpatrzony w niego, zastanawiał się, w jaki sposób wykorzystać tę ostatnią wskazówkę.

Może znowu powinien pozwolić, aby Moc pokierowała jego ruchami, tak jak wtedy, kiedy ćwiczył walkę ze zdalnikami? Głęboko odetchnął i boleśnie świadom podejmowanego ryzyka, położył dłonie na drążku celowniczym i pozwolił, żeby przepłynęła przez nie Moc.

Ku swojemu wielkiemu zdumieniu stwierdził, że jego palce oderwały się od spustu.

Bardzo dobrze, usłyszał znowu głos Bena. Tym razem wydało mu się, że słyszy w nim aprobatę. Nie wszyscy obcy są wrogami.

Luke musiał się uśmiechnąć, bo uwaga była aż nadto oczywista. Mimo to postanowił zachować w pamięci tę naukę. Ostatni raz rzucił okiem na doganiający ich statek, po czym obrócił lufy działek i wziął na cel pirackie patrolowce przed dziobem „Sokoła”. Jeszcze raz pozwolił, żeby Moc przepłynęła przez niego, i znowu jego palce poruszyły się jak obdarzone własną wolą.

Tym razem jednak spoczęły stanowczo na przycisku spustowym.

Przesłanie było oczywiste. Zamiast brać na cel niezmany statek, Luke powinien się przyłączyć do Hana i zaatakować piratów.

Miał tylko nadzieję, że Moc wie, co robi.

– Uwierzycie mi na słowo, czy chcecie sami zobaczyć? – mruknął Quiller, kiedy Suwantek przybył na pole walki. – Dwa poczwórne działka laserowe! Za coś takiego dają od ręki ile, trzy lata więzienia?

– Prawdopodobnie tak, ale to lepsze niż gdyby się mieli dać rozpylić na atomy – odparł Marcross. Jego policzek rozjarzył się na ułamek sekundy zielonym blaskiem, kiedy z luf laserowych działek Suwanteka pomknęły ku obu patrolowcom serie błyskawic. – Zastanawiam się, kiedy piraci zaczną się szykować do ucieczki.

– Nie widzę możliwości – stwierdził Quiller. – Korelianin atakuje ich od strony bakburty, a my ostrzeliwujemy od rufy, więc muszą przekazywać całą rezerwę energii do generatorów tych dwóch deflektorów. Gdyby skęcili, wystawiliby tę stronę na następny atak, a na to nie mogą sobie pozwolić. Nie mogą się nawet rozdzielić, żeby nas zmusić do rozproszenia ognia.

– Czy ten, który leci po prawej, nie może zwiększyć pułapu lotu, żeby skierować swoje działka na Korelianina? – zainteresował się Marcross.

– Jasne, że może – potwierdził Quiller. – Ale wówczas także się znajdzie w zasięgu cztero lufowych działek jego statku. Dziesięć do jednego, że to patrolowiec, którym leci przy wódcę piratów.

LaRone uświadomił sobie, że wydyła wargi. Typowe, pomyślał. Piraci nie mieli nic przeciwko atakowaniu bezbronych frachtowców, ale kiedy trzeba było prowadzić równorzędną walkę, na ogół okazywali się tchórzami.

– A zatem co zrobią? – zapytał.

– Jedyńą rzecz, jaką mogą – wyjaśnił Quiller. – Spróbują dogonić ścigany frachtowiec i wykorzystać go jako osłonę przed naszymi strzałami.

– Liczą na to, że nikogo z nas nie obejdzie zagłada frachtowca – zauważył Marcross.

– To prawda, ale jak powiedziałem, to wszystko, co mogą zrobić – powtórzył Quiller. – Korelianin jest tak blisko i dysponuje tak dużą siłą ognia, że już dawno powinien był zamienić piratów w ogniste kule. Wygląda na to, że i on stara się schwytać ich żywych.

– To mi się podoba – mruknął Marcross, zerkając na LaRone’a. – Problem w tym, że nawet nie zauważyłem, kiedy zaczęliśmy współpracować z nim podczas tej walki.

– To jest sojusz z rozsądku – odezwał się LaRone. – Musimy tylko czekać, żeby się przekonać, jak długo ten rozsądek nas nie opuści.

– Już wkrótce może to nastąpi – stwierdził Quiller. – Wygląda na to, że nasz Korelianin właśnie się przygotowuje do decydującej akcji.

LaRone odwrócił się i spojrział przez iluminator. Nie zauważył, żeby sytuacja uległa zmianie, ale zamierzał uwierzyć Quillerowi na słowo.

– W porządku – powiedział. – Grave, Brightwater, wstrzymajcie na minutę ogień. Przekonajmy się, co robi nasz Korelianin.

– Chewie? – zapytał Han. – Jesteś gotów?

Usłyszał w słuchawkach potwierdzający pomruk Poprawił ułożenie palców na kontrolnym jarmzie i postarał się zignorować niepokój, który poślaskotał jego wnętrzności. Osobiście szkolił Chewiego w wykonywaniu takich wariackich manewrów, dopóki rosły Wookie nie stał się w tym równie dobry jak on.

Za rufą „Sokoła” nadal jednak leciał problem o kształcie Suwanteka... w dodatku dysponujący o wiele większą siłą ognia niż powinien mieć frachtowiec tych rozmiarów. Do tej pory nieproszeni goście kierowali uwagę na oba pirackie patrolowce i ignorowali „Sokoła”, ale w każdej chwili sytuacja mogła ulec zmianie.

A jeżeli naprawdę czekali na odpowiednią chwilę, żeby zmienić cel, taki manewr powinien im dać doskonałą okazję.

– Luke? – zagadnął Solo.

– Jestem gotów – usłyszał głos chłopaka.

– To dobrze – odparł Han, zbierając się w sobie. – Chewie... teraz!

Usłyszał kolejne potwierdzenie ze sterowni i nagle „Sokół” zmienił kurs. Przestał lecieć równoległe do obu pirackich patrolowców i zaczął się szybko do nich zbliżać. W pewnej chwili kadłub runął w dół, kiedy Chewbacca zanurkował, żeby przelecieć pod pirackimi statkami. Na chwilę Han stracił je z oczu. Usłyszał dobiegające z góry odgłosy strzałów z poczwórnych laserów i domyślił się, że to Luke posyła salwę za salwą w spody ich kadłubów. Znajomym dźwiękom towarzyszyło przyprawiające o ból zębów skierowanie laserowego ognia rozpryskującego się o deflektory „Sokoła”, co oznaczało, że piraci odpowiedzieli strzałami. Kiedy frachtowiec przeleciał najpierw pod bliższym, a następnie pod dalszym pirackim statkiem, Chewbacca wykonał korkociąg, podczas którego gwiazdy za iluminatorem wieżyczki Hana wykręciły szaleńczego młynka. Wookie śmignął obok sterburty dalszego patrolowca, po czym raptownie zwiększył pułap lotu i zajął pozycję tuż nad nim.

Jeszcze raz obniżył pułap lotu. Han usłyszał stłumiony huk, kiedy Wookie zahaczył patrolowiec pazurem ładowniczym „Sokoła”.

Górna wieżyczka pirackiego statku znajdowała się na rufie nie więcej niż trzy metry od wieżyczki Hana. Oba stanowiska artylerii dzieliła niewielka odległość, ale Han był na to przygotowany, a artylerzysta pirackiego statku nie był. Kiedy wieżyczka patrolowca zaczęła się obracać, Han celnym strzałem zmienił ją w metalowe strzępy.

– W porządku, Chewie – powiedział.

Usłyszał trzask i domyślił się, że Wookie przełączył go na kanał komunikatora.

– To wasza pierwsza i ostatnia szansa! – zawołał do mikrofonu. – Poddajcie się albo zginiecie!

Pilot lecącego dotąd z boku drugiego patrolowca zatoczył szeroki łuk, zwiększył pułap i zajął pozycję, z której mógł wymierzyć lufy wszystkich działek w niewiarygodnie bezczelnego włóczęgę. Han obrócił ku niemu lufy poczwórnych laserów i posłał serię obok jego kadłuba, a Luke poszedł w jego ślady.

Pirat nie zrezygnował i nadal obracał lufy działek, ale artylerzyści nadlatującego z tyłu Suwanteka rozpylili jego statek na atomy.

Han spojrział przez iluminator na frachtowiec. Jeżeli dotąd podejrzewał, że Suwantek może pospieszyć z pomocą piratom, obecnie musiał się wyzybić wszelkich wątpliwości. Mimo to nadal mogło się okazać, że statek należy do rywalizującej bandy. A skoro jeden piracki patrolowiec przestał istnieć, a „Sokół” trzymał drugi szponem jak drapieżny ptak rywale mogli dojść do wniosku, że oto nadeszła chwila prawdy.

– Niezidentyfikowany frachtowiec typu Suwantek... – zaczął Solo.

– Koreliański frachtowiec, wstrzywać ogień – przerwał mu obcy głos. – Nie niszczyć, powtarzam, nie niszczyć pirackiego patrolowca, który trzymacie swoim szponem. Zależy nam, żeby przeżyli przy najmniej niektórzy członkowie jego załogi.

– Zrozumiałem, Suwantek – odparł przezornie Han. Jego rozmówca wprawdzie się nie przedstawił, ale mówił jak wojskowy.

Pozostali przy życiu piraci chyba także doszli do takiego wniosku. Han poczuł szarpnięcie, kiedy pilot schwytanego patrolowca przesłał energię do jednostki napędu podświetlnego, żeby zerwać więź łączącą go z „Sokołem”. Chwilę później w przestworzach pojawił się czerwony błysk i za rufy „Sokoła” napłynął huk eksplozji...

– Zalatwione – odezwał się tym samym wojskowym tonem mężczyzna z pokładu Suwanteka, kiedy jednostka napędowa patrolowca odmówiła posłuszeństwa. – Jeszcze raz prosimy, koreliański frachtowiec, żebyście nie otwierali ognia.

Dobrze chociaż, że tym razem poprosili.

– Żaden problem – zapewnił go Solo. – Prawdę mówiąc my także chcemy pogawędzić z tymi chłopakami.

– Doskonale – podsumował jego rozmówca. – Nie spieszcie się. Zamierzamy pierwsi wejść na pokład tego statku.

– Jasne – uspokoił go Han. – Serdecznie zapraszamy.

Rozdział 12

Okazało się, że służbę na pokładzie pirackiego patrolowca pełniło tylko dwóch członków załogi. Obaj by li młodzi i bardzo przerażeni, ale aż nadto skłonni do współpracy.

Niestety nie mieli wiele do powiedzenia.

– Nie mam pojęcia, skąd się zjawil – stwierdził nerwowo starszy z nich, Badji. Chciał wykonać zamasysty gest, ale się zorientował, że swobodę jego ruchów ograniczają kajdanki łączące nadgarstek z pierścieniem mocującym ładowni. – Pewnego dnia po prostu przyleciał i powiedział kapitanowi Andelowi, że Krwawe Szramy chcą utworzyć z wielu małych grup jedną wielką bandę.

– I co na to Andel? – zainteresował się Brightwater.

– Powiedział temu Caaldrze, że zastanowi się nad jego propozycją – odparł Badji. – Nie sądzę jednak, żeby zamierzał z niej skorzystać. Słyszałem, jak mówił, że to będzie ostatnia rzecz, jaką... – Niespodziewanie urwał i otworzył szerzej oczy. – Chwileczkę – zaczął niepewnie. – Chyba nie jesteście... to znaczy...

– Nie, nie jesteście z Krwawych Szram – uspokoił go LaRone. – Czy ten Caaldra zostawił Andelowi informację, jak się z nim skontaktować?

Badji pokręcił głową.

– Ja przy najmniej nic o tym nie wiem – powiedział.

– Łesz – odezwał się oskarży cielskim tonem Brightwater. – Caaldra nie odleciałby bez zostawienia informacji, jak się z nim skontaktować.

– Ale on... naprawdę nic takiego nie zostawił... Przy sięgam – wykrztusił pirat, dygocząc z przerażenia. – Oznajmił tylko, że wróci za jakieś dwa tygodnie, żeby wysłuchać, co kapitan Andel ma mu do powiedzenia.

– Kiedy u was był?

– Może tydzień temu – odparł Badji. – Nie, nie... dokładnie osiem standardowych dni. Pamiętam to, bo...

– Chcesz powiedzieć, że jeżeli zamierzamy porozmawiać z tym Caaldrą, musimy was trzymać jeszcze cały tydzień? – wtrącił Brightwater.

– Nie mam pojęcia, kiedy wróci Caaldra – jęknął pirat. – Nie usiłuję wprowadzić was w błąd... Przy sięgam, że nie.

– Naturalnie, że nie – stwierdził LaRone. Pochwycił spojrzenie Brightwata i kiwnął głową, jakby pokazywał coś za swoimi plecami. Brightwater także kiwnął głową i obaj wyszli z ładowni.

W świetlicy czekali na nich Marcross i Grave, rozmawiając półgłosem.

– No i co? – spytał LaRone, kiedy on i Brightwater dołączyli do dwójki szturmców.

– Nic, co mogłoby się nam przydać – odparł Marcross. – Wiemy tylko, że Krwawe Szramy starały się ich zwerbować do swojej bandy... mniej więcej tydzień temu przyleciał do nich niejaki Caaldra, żeby nakłonić do tego ich kapitana.

– I to właściwie wszystko, czego udało się nam dowiedzieć – potwierdził LaRone, czując rosnącą irytację. Poświęcili tyle trudu, starając się wykryć związek jaki mógł istnieć między Korelianinem a Krwawymi Szramami, a znaleźli tylko dwóch wyrostków, którzy uważali, że przyłączenie się do bandy i udawanie piratów może być świetną zabawą.

– A co z tym Korelianinem i z jego przyjaciółmi? – zagadnął Brightwater. – Wiemy coś na ich temat?

LaRone pochylił się i pstryknął dźwigienką włącznika interkomu.

– Quiller, co wyszło z twoich poszukiwań? – zapytał.

– Nie znalazłem żadnych informacji o grupie złożonej z dwóch istot ludzkich i Wookiego – odparł pilot. – Chcesz, żebym poszukał teraz grup składających się z jednego mężczyzny i Wookiego? Możliwe, że dopiero ostatnio przyłączył się do nich jeszcze jeden człowiek.

– Na razie się wstrzymamy – zdecydował LaRone. Przeszukiwanie imperialnych baz danych pod tym kątem było niebezpieczne, a on nie chciał ryzykować po raz drugi. – Co robią w tej chwili?

– Siedzą spokojnie tam, gdzie im kazaliśmy – zameldował Quiller. – Pilot surroniańskiego frachtowca także nie próbował uciec.

– A to zimnokrwiste dranie – mruknął Brightwater.

– Dokładnie tak samo zachowywali się na Drunost – przypomniał mu Grave. – Bardzo chciałbym wiedzieć, kim są i co knują.

– Może mieli tylko przekazać informację? – podsunął Brightwater. – Jeżeli ten Caaldra odniósł wrażenie, że An del zamierza odrzucić jego propozycję, może postanowił mu udowodnić, iż to nie byłoby dobry pomysł.

– A może ten Korelianin i Caaldra to jedna i ta sama osoba – odezwał się nagle Marcross. – Powiedział nam przecież, że chce porozmawiać z pozostałymi przy życiu piratami.

– Przekonajmy się, czy tak jest – zaproponował LaRone. – Quiller, skontaktuj się z nim i zaproś wszystkich trzech na pokład Suwanteka.

Kiedy nadeszło zaproszenie, Han miał ręce zanurzone po łokiecie we wnętrzościach jednostki napędu nadświetlnego „Sokoła”.

– Dziękuję za propozycję – powiedział, kiedy Luke przyłożył mu słuchawkę do ucha. – W tej chwili jesteśmy jednak trochę zajęci... usuwamy uszkodzenia spowodowane przez ostatni strzał, który trafił nasz statek.

– Przykro mi to słyszeć – odezwał się głos w słuchawce. – Chcecie, żeby ktoś z nas wam pomógł?

Han obrzucił słuchawkę groźnym spojrzeniem. Jeżeli sensory Suwanteka zostały udoskonalone w takim samym stopniu jak systemy uzbrojenia, istniało duże prawdopodobieństwo, że jego rozmówca dobrze wie, jak wygląda jednostka napędu nadświetlnego „Sokoła”. Nie wyglądała dobrze nawet w najlepszych czasach, a obecne trudno byłoby zaliczyć do tej grupy.

– Dzięki, damy sobie sami radę – stwierdził Solo. – Musimy mieć tylko trochę czasu.

– Zrozumiałem – odparł rozmówca. – Myślałem, że jesteście zainteresowani rozmową z piratami. Mamy dwóch więźniów, ale nie możemy spędzić w tym systemie zbyt dużo czasu. Jeżeli nadal chcecie z nimi pogadać, musicie to zrobić jak najrybniej, zanim stąd odleciemy.

Han spojrział na Luke'a. Chłopak wzruszył ramionami, ale pokiwał głową.

– Świetnie, zaraz tam będziemy – oznajmił Solo. – Macie rękaw cumowniczy, który dałoby się przytwierdzić do któregoś z naszych włazów?

– Mamy coś lepszego... nasz dolny właz jest wyposażony w uniwersalny kołnierzyk – odparł jego rozmówca. – Zajmiemy pozycję nad wami i dołączymy go do waszego górnego włazu.

Han już wcześniej zauważył, że jego rozmówca ma głos nawykły do wydawania rozkazów. Kiedy obaj członkowie załogi „Sokoła” wspięli się po drabince z dolnej śluzy Suwanteka, przekonali się, że czekający na nich dwaj mężczyźni nie tylko mówią, ale także wyglądają jak wojskowi.

– Witajcie na pokładzie – odezwał się jeden z nich, kiedy Luke skończył się wspinać i stanął obok Hana.

– Dzięki za zaproszenie – odparł Solo i zaczął się rozglądać. Znajdowali się w dość szerokim korytarzu z sześcioma parami drzwi po każdej stronie i dodatkowymi w ścianie na wprost, tuż za plecami obu gospodarzy. Drzwi w bocznych ścianach prowadziły prawdopodobnie do kabin członków załogi, a te ostatnie umożliwiały dostanie się na mostek albo do świetlicy. Han obejrzał się i zauważył, że w jednym miejscu korytarza zainstalowano dwa gniazda kapsuł ratunkowych, po jednym z każdej strony, a później korytarz znowu się zwężał i kończył drzwiami prowadzącymi zapewne do przedziałów technicznych i ładowni.

– Ładny statek – zauważył.

– Nam też się podoba – stwierdził ten sam mężczyzna. – Nazywam się LaRone, a to jest Grave.

– Ja nazywam się Solo – przedstawił się Han, czując rosnący niepokój. Jego tożsamość można było potwierdzić na wiele sposobów, zarówno legalnych, jak i nielegalnych, więc gdyby podał nieprawdziwe nazwisko, mógłby wzbudzić podejrzenia. A poza tym, jeżeli nie liczyć kłopotów z Jabba i kilkoma mniej ważnymi postaciami, w obecnej chwili nie miał właściwie z nikim na pieńku... naturalnie z wyjątkiem Imperatora, który mógł mu mieć za złe współudział w zniszczeniu Gwiazdy Śmierci, ale tego nikt nie da rady mu udowodnić. – A to jest Luke.

LaRone kiwnął głową.

– Dla kogo pracujecie? – zapytał.

– Dla nikogo – odparł Han. – Jesteśmy niezależni. Zabieramy ładunki wszędzie, gdzie możemy je znaleźć.

– Czy ktoś jeszcze pozostał na pokładzie waszego statku?

– Mój drugi pilot Chewbacca – wyjaśnił Solo.

– To ten Wookie, w którego towarzystwie widzieliście nas na planecie Drunost – dodał Luke.

Han rzucił chłopakowi ostrzegawcze spojrzenie, ale LaRone tylko się uśmiechnął.

– To dobrze... pamiętacie nas – powiedział. – My także was pamiętamy. – Gestem wskazał ręką jeść świetnego miecza u pasa Luke'a. – Umiesz się posługiwać tą zabawką? – zapytał.

– Trochę – przyznał chłopak. – Cały czas się uczę.

– Skąd ją masz?

– Ukradł ją gościowi, który nazywał się Tooni – odparł niecierpliwie Han. – Dlaczego interesujecie się takimi głupstwami? Mówiliście, że możemy porozmawiać z waszymi więźniami.

– Za minutę – stwierdził LaRone. – Najpierw chciałbym się dowiedzieć, co robiliście w tamtej kawiarence w Conso City.

Han wzruszył ramionami.

– Wpadliśmy tam, żeby się czegoś napić – powiedział.

– Kim była czwarta osoba przy waszym stoliku?

– To nasz przyjaciel – oznajmił Luke.

– Jeden z miejscowych – dodał szybko Han, zanim chłopak zdążył powiedzieć coś więcej. – Macie do niego jakąś sprawę?

– Niewykluczone – podkreślił LaRone. – Pozwólcie, że wam coś powiem. Przebywaliście na Drunost, kiedy bandyci napadli na tamten skarbiec. Kilka dni wcześniej waszego przyjaciela widziano na miejscu innej napaści, której dopuścił się gang grawicykistów. A dzisiaj znaleźliśmy was w przestworzach Purnhama na miejscu jeszcze jednej napaści.

– Po prostu wy świadczyliśmy przyjacielowi przysługę – odparł Han, czując pot gromadzący się pod kołnierzem. Rozmowa mogła zmierzać w kilku kierunkach, ale żaden nie wydawał się obiecujący. – Powiedział nam, że właśnie w tym miejscu jego znajomy miał kłopoty z piratami. Nie byliśmy specjalnie zajęci, więc powiedzieliśmy mu, że spróbujemy przepędzić ich z tej okolicy.

– A przy okazji dziękujemy wam za pomoc – dodał Luke.

– Nie ma za co – mruknął LaRone. – My także nie przepadamy za piratami. Czy możecie nam powiedzieć, dlaczego wasz przyjaciel był obecny na miejscu obu zajęć na planecie Drunost?

– Po pierwsze, bo właśnie tam mieszka – wyjaśnił Solo. – A po drugie, trudno w tak ciężkich czasach unikać kłopotów. Miejscowi nie mają dość środków, żeby przepędzić bandytów, a Imperialcy chyba w ogóle zrezygnowali z walki z nimi.

– Więc chcesz nam powiedzieć, że to był czysty przypadek?

– Niezupełnie – odezwał się Luke.

Han odwrócił głowę i zmełł w ustach przekleństwo. Co ten smarkacz sobie wyobraża? – pomyślał.

– Posłuchaj, mały... – zaczął.

– Zechciej nam to wyjaśnić – zażądał LaRone, nie spoglądając na chłopaka.

Luke posłał Hanowi przepaszające spojrzanie, ale nie wyglądał na speszonego.

– Dowiedzieliśmy się, że w tym sektorze działa banda piratów, zwanych Krwawymi Szramami – rozpoczął. – Slyszełiśmy, że usiłują się dogadać ze wszystkimi innymi miejscowymi grupami piratów i bandytów.

– Wiesz to na pewno, czy tylko powtarzasz plotki? – zainteresował się LaRone.

– Członkowie wspomnianego przez was gangu grawicykistów mieli naramienniki z emblematem Krwawych Szram – powiedział Luke. – Kiedy uslyszełiśmy o działalności piratów w okolicach Purnhama, doszliśmy do wniosku, że może dowiemy się od nich, co knują Krwawe Szramy.

– Dlaczego tak bardzo się interesujecie tym, co planuje banda piratów? – zagadnął Grave.

– A jak ci się wydaje, dlaczego? – odciął się Solo. – Zebyśmy wiedzieli, jak unikać spotkania z nimi.

– A nie dlatego, że chcecie się do nich przyłączyć? – podsunał oskarży cielskim tonem LaRone.

– Wcale nie... staramy się ich unikać – powtórzył Han, któremu przyszedł nagle do głowy straszliwy pomysł. Do tej pory zakładał, że LaRone jest w jakiś sposób związany ze stróżami prawa Purnhama.... może jako najemnik na usługach miejscowych władz. A jeżeli w rzeczy wistosci był członkiem bandy Krwawych Szram? – Ale wy, chłopaki, chyba siedzicie w tym po same uszy – dodał, robiąc od niechcenia krok w kierunku szybu z drabinką. – Jak powiedział Luke, dzięki za pomoc.

– Dołąd się tak spieszysz? – zapytał LaRone. – Sądzilem, że chcieliście porozmawiać z naszymi więźniami.

– Nie, to nie będzie konieczne – odparł Han, robiąc jeszcze jeden krok w kierunku szybu z drabinką. Ani LaRone, ani Grave chyba nie byli uzbrojeni, więc gdyby zdołał jakoś dać znak Luke'owi, co zamierza zrobić, może zjechaliby po drabince do dolnego wjazdu, zanim członkowie załogi Suwanteka zdążyliby zareagować i ich powstrzymać.

Tyle że Luke zupełnie nie zwracał na niego uwagi. Stał cały czas w tym samym w miejscu z lekko przekrzywioną głową, jakby się wsłuchiwał w jakiś głos w swoim mózgu.

– Moim zdaniem powinniście posłuchać, co nasi więźniowie mają do powiedzenia – upierał się przy swoim LaRone. On i Grave także się nie poruszili. Czyżby tylko Han się domyślał, że zanosi się na kłopoty? Zrobił jeszcze jeden krok..

Nagle Luke wyciągnął rękę i chwycił go za lewe ramię.

– Wszystko w porządku, Hanie – powiedział, patrząc na LaRone'a. – Oni nie należą do Krwawych Szram.

– A kto powiedział, że należą? – zachnął się Solo, tłumiąc kolejne przekleństwo. Doszedł do wniosku, że co za dużo, to niezdrowo. Wyszarpnął ramię z palców chłopaka i zrobił zamaszty gest, licząc, że obaj gospodarze spojrzą w tamtą stronę. Równocześnie opuścił dyskretnie prawą rękę wzdłuż ciała...

– Nie rób tego – odezwał się nagle ktoś stojący za jego plecami.

Han zamarł z dłonią zaledwie kilka centymetrów od kolby blastera. Ostrożnie obejrzał się za siebie.

Zobaczył dwóch innych mężczyzn, którzy także wyglądali jakby byli wojskowi. Obaj mierzyli z blasterów do niego i do Luke'a.

Han uświadomił sobie, że nawet nie usłyszał odgłosu otwieranych drzwi. Ci goście są naprawdę dobrzy, bez dwóch zdań, pomyślał ponuro.

– W porządku – stwierdził najspokojniej jak mógł i odwrócił się znów do LaRone'a. – I co teraz?

– To zależy – odparł jego rozmówca. Podszedł do Hana i wyjął jego blaster z kabury. Zawahał się, ale odczepił także świetlny miecz Luke'a. – Zacznijmy od wyjaśnień, kim jesteście wy i wasi przyjaciele.

– Jak powiedziałem, jesteśmy niezależnymi przewoźnikami – powtórzył Solo.

– Z dwoma poczwórnymi działkami laserowymi na pokładzie statku? – zapytał z niedowierzaniem LaRone. – Spróbuj jeszcze raz.

– Potrzebujemy ich do obrony – wyjaśnił Han.

– Na pewno – zadrwił LaRone. – W takim razie powiedz, czy gdybyśmy zaraz przeszukali ładownie waszego frachtowca, znaleźlibyśmy w nich coś, czego tam być nie powinno?

– Mowy nie ma – zapewnił Han. Dla odmiany powiedział prawdę. – Nie jesteśmy przemysłnikami.

– Naturalnie że nie – stwierdził LaRone. – Wróćmy jednak do Krwawych Szram. Naprawdę uważacie, że usiłują stworzyć tu, w sektorze Shelshy, własną małą kopię Sojuszu Rebeliantów?

– Nazwałbym ją raczej piramidą Huttów – burknął Solo, zastanawiając się, dlaczego porównanie bandy piratów do Sojuszu Rebeliantów tak bardzo go zirytowało. Prawdę mówiąc, właśnie tym był Sojusz Rebeliantów: wielką nielegalną organizacją składającą się z wielu mniejszych chwielegalnych grup oporu. – Ale owszem, naprawdę uważam, że usiłują stworzyć coś podobnego.

– I słusznie – zauważył LaRone. – Bo to akurat prawda. Nasi więźniowie mówią, że zaledwie tydzień temu odwiedził ich agent Krwawych Szram. Starał się ich nakłonić, żeby się do nich przyłączyli. Podobno ma niedługo wrócić po odpowiedź.

Han zmarszczył brwi, jakby nagle zrozumiał.

– A wy uważacie, że tym agentem jest jeden z nas, tak? – zapytał.

– Rzeczywiście przyszło nam coś takiego do głowy – przyznał LaRone. – Ironia losu, bo mogę się domyślać, że wy myśleliście to samo o nas.

– No cóż, już tak nie myślimy – zapewnił stanowczo Solo.

– Możecie to udowodnić?

– Pomogliśmy wam zniszczyć drugi piracki statek – przypomniał Han. – Werbownicy na ogół tak nie postępują.

– Niewykluczone, że piraci z przestworzy Purnhama postanowili odrzucić propozycję Krwawych Szram – wyjaśnił LaRone. – Nasi więźniowie twierdzą, że ich kapitan skłaniał się do podjęcia właśnie takiej decyzji. Krwawe Szramy mogły was więc wysłać, żebyście dali mu nauczkę.

– A co, jeżeli nie odrzucił jego propozycji? – stwierdził Han. – Jeżeli zamierzał się przyłączyć, musimy tu zacząć, aż Krwawe Szramy przysła kogoś po odpowiedź.

– Co, jeszcze tydzień? – LaRone pokręcił głową. – Nie możemy spędzić w tym miejscu tyle czasu.

– Może istnieje inny sposób – odezwał się nagle Luke.

LaRone zmierzył go spojrzeniem.

– Słuchamy – powiedział.

– Jeżeli miejscowi piraci naprawdę odrzucili propozycję Krwawych Szram, prawdopodobnie skorzystali z HoloNetu – zaczął chłopak – Gdyby tak było i gdybyśmy dostali wykaz połączeń miejscowej stacji, może udałoby się nam dowiedzieć, czy przypadkiem ten Caaldra nie kręci się jeszcze gdzieś w tej okolicy.

Han się skrzywił. Sam wykaz połączeń był bezużyteczny, bo zawierał tylko nazwy planet, z którymi nawiązywano kontakt w kolejnych odcinkach czasu, a obywatele planety nawet tak małej jak Purnham musieli się łączyć z HoloNetem bardzo często. Luke nie wspominałby jednak takiej możliwości, gdyby nie chował w zanadrzu czegoś więcej.

– Założmy, że zlobędziemy taki wykaz – odezwał się LaRone, wyraźnie zainteresowany. Prawdopodobnie doszedł do takiego samego wniosku co Solo. – I co dalej?

– Później moglibyśmy...

– Właściwie, jaki macie w tym interes? – przerwał ostro Han. Był niemal pewien, że wie, do kąd zmierza Luke, ale nie zamierzał tak łatwo się pozbywać cennej karty przetargowej... przynajmniej dopóki się nie dowie, po czyjej stronie opowiadają się LaRone i jego towarzysze podróży.

– Taki sam jak ty – odparł LaRone, marszcząc brwi i zastanawiając się z kolei, do czego zmierza Solo. – Tyle że zamiast unikać spotkania z Krwawymi Szramami, zamierzamy z nimi skończyć... raz na zawsze. – Siegnął do kieszeni i wyjął oficjalnie wyglądającą plakiętkę identyfikacyjną. – Zostaliśmy wynajęci przez ochronę firmy Consolidated Shipping.

– Aha – mruknął Han, czując świerzbienie włosków na karku. – No cóż, w takim razie chyba jesteście w porządku.

– Już ci to mówiłem – przypomniał Luke.

Han się skrzywił. Rzeczywiście chłopak powiedział coś takiego.

Problem w tym, że absolutnie nie miał racji.

Grave spojrzął na młodego Sky walkera i uniósł brwi.

– Chciałeś nam jeszcze coś powiedzieć, prawda? – zapytał.

– Chyba nie – wtrącił pospiesznie Han, posyłając chłopakowi ostrzegawcze spojrzenie. – Luke czasami szybciej mówi niż myśli.

– Dostyc tego! – warknął LaRone.

Han drgnął, kiedy usłyszał ten gniewny ton, i odruchowo opuścił prawą rękę do pustej kabury.

– Dość tych gier – wycedził LaRone. – Ci piraci stanowią zagrożenie dla całego sektora. Jeżeli wiecie coś jeszcze na ich temat, chcę to usłyszeć. Natychmiast.

Han spoglądał jakiś czas na niego, czując na języku gorycz odległych wspomnień. Kiedyś i on płonął równie szlachetnym zapalem, zanim popełnione przez Imperium okrucieństwa nie otworzyły mu oczu na ponurą prawdę.

Wiedział jednak, że żaden pirat ani bandyta nie potrafiłby udawać równie bezinteresownego oburzenia. Kimkolwiek byli jego rozmówcy, na pewno nie opowiadali się po stronie Krwawych Szram.

– Pozwólcie mi na minutę skorzystać z waszego komunikatora – powiedział.

LaRone popatrzył chwilę na niego, ale w końcu kiwnął głową.

– Tutaj – oznajmił, po czym przeszedł w bok i wskazał drzwi za swoimi plecami.

Jak Han się domyślał, za drzwiami znajdowała się świetlica dla załogi.

– Połączmy cię przez interkom – wyjaśnił LaRone, wskazując komputerowy terminal, przeznaczony do umilania życia członkom załogi. – Quiller?

– Z kim chcesz rozmawiać? – odezwał się ktoś z głośnika interkomu.

– Z naszym przyjacielem na pokładzie tamtego frachtowca – odparł Han, siadając przy konsolce. Kiedy pojawiło się oświetlenie klawiatury, wpisał częstotliwość kanału Kwaternistrza. – Kwaternistrzu, tu Solo – zakomunikował.

– Najwyższy czas – usłyszał głos Rebelianta. – Nic ci się nie stało? Chewbacca powiedział, że udałeś się na pokład Suwanteka...

– Jesteśmy cali i zdrowi – uciął Han. – Tragarz wspominał, że kilka miesięcy temu miałeś w przestworzach Ashkaskova niemłą przygodę z Krwawymi Szramami. Czy zarejestrowałeś ich wektor, kiedy odlatywali?

– Tak – przyznał zdezorientowany Kwaternistrz. – Nie ma jednak powodu przy puszczać, że polecieci do jakiegoś konkretnego miejsca.

– Idę o zakład, że wrócili do domu – stwierdził Han. – Tragarz powiedział, że zginęli wszyscy oprócz ciebie, a i ty zostałeś uznany za zabitego. Piraci nie mieli powodu ukrywać, do kąd lecą.

– Chyba tak – przyznał niepewnie Rebeliant. – Chcesz, żeby ci przesłał współrzędne tego wektora?

– Jeżeli nie masz w tej chwili nic innego do roboty – mruknął Han, starając się ukryć sarkazm w głosie. Ci Rebelianci by wali strasznie mało rozgarnięci.

– Jasne – burknął Kwaternistrz. – Pozwól tylko, że odłożę na bok ten szalik, który właśnie dziergam na drutach.

Han przewrócił oczami. Nierozgarnięci i pyskaci, pomyślał.

– Kiedy tylko zechcesz – powiedział.

– Już przesyłam – odezwał się Kwaternistrz.

– Potwierdzam odbiór – zameldował Quiller.

Han spojrzął na LaRone'a.

– I co teraz? – zapytał.

Szturmowiec spojrzął na Grave'a.

– Powiedz mu, że dziękujemy i że może lecieć – stwierdził.

– Nasi nowi przyjaciele mówią, że jesteś wolny – przekazał Solo. – Powodzenia i uważaj na siebie.

– Ty też – usłyszał w odpowiedzi. – Aha, i dzięki za pomoc. Podziękuj także twoim nowym przyjaciółom.

Rozległ się cichy trzask i połączenie zostało przerwane.

– Odlatuje – zameldował Quiller.

– A zatem teraz musimy tylko się skontaktować ze stacją przekaźnikową HoloNetu, żeby sprawdzić, jakie wiadomości przekazywano do systemów leżących wzdłuż tego wektora – odezwał się Solo, zerkając na Luke'a. – Właśnie to zamierzałeś im zaproponować, prawda?

– Tak – potwierdził chłopak.

– Miejmy nadzieję, że goście z tej stacji będą żywcem usposobieni do funkcjonariuszy Consolidated Shipping – dodał Han. Spojrzął uważnie na LaRone'a, ale nie zauważył, żeby w jego twarzy drgnął choćby jeden mięsień.

– Na szczęście nie będziemy musieli się o tym przekonywać – odparł LaRone. – Tak się składa, że mamy już wykaz sygnałów przesłanych przez HoloNet z Conso City zaraz po tamtym ataku gangu grawicy klistów. – Uśmiechnął się półgębkiem. – To właśnie w tym celu przylecieliśmy na Drunost. Doszliśmy do wniosku, że niedobitki gangu mogły wezwać na pomoc wielkiego brata. – Wskazał jednego z dwóch mężczyzn, którzy dopiero co powstrzymali Hana przed wyciągnięciem broni. – Marcross? – zapytał.

– Uruchomię program – odezwał się szturmowiec. Kiedy przecisnął się obok Hana, posłał mu zagadkowe spojrzenie. Zanim zniknął za drzwiami w dziobowym końcu świetlicy, Han zauważył, że prowadzą one do przedsiönka sterowni.

– A przy okazji, to jest Brightwater – dodał LaRone, wskazując drugiego mężczyznę za plecami Hana i Luke'a.

– Miło mi cię poznać – odparł Solo. – W takim razie chyba na nas już czas. Czy mógłbym dostać z powrotem mój blaster?

– Dokąd się tak spieszysz? – zapytał Brightwater.

– Jesteśmy niezależni mi przewoźnikami, zapomniałeś? – prychnął Han. – Musimy się trzymać harmonogramu.

– Jakiego harmonogramu? – zdziwił się szturmowiec. – Nie przewozicie przecież żadnego ładunku.

– A poza tym macie uszkodzoną jednostkę napędu nadświetlnego – przypomniał Grave.

– Ale nie bardzo – zastrzegł Solo.

– Przejdźmy do rzeczy – odezwał się LaRone. – Problem w tym, że jeszcze nie jesteśmy pewni, czy możemy spuścić was z oczu.

Han poczuł, że znów zaczynają go świerzbic włoski na rarku.

– Podaliśmy wam współrzędne tego wektora – zauważył.

– Istnieje wiele powodów, dla których Krwawe Szramy mogły pozwolić, żebyś je nam podał – stwierdził LaRone. – Może prowadzą do dawno opuszczonej bazy, a nawet do pułapki.

– Ale nie przejmuj się – wtrącił Grave. – Przydzielone wam kwatery zaspokoją wymagania nawet najbardziej wybrednych niezależnych przewoźników.

– Coś wspaniałego – mruknął Han. – Jesteśmy trupami.

– Gdybyś był łaskaw zaprosić tu Wookiego, moglibyśmy odlecieć – powiedział LaRone. – Oczywiście ma przyjąć bez broni.

– A co z naszym statkiem? – zaniepokoił się Han, starając się zachować obojętny wyraz twarzy. Bezbranny Wookie, a to dobre, pomyślał rozbawiony. – Nie możemy go pozostawić w tym miejscu.

– Quiller! – zawołał LaRone.

– Żaden problem – potwierdził przez interkom pilot Suwanteka. – Przytwierdźmy go, jak w tej chwili, do kołnierza spodniego włazu i zabierzemy ze sobą.

– Chyba żartujesz – mruknął Han, mrużąc oczy. – „Sokół” jest równie duży jak wasz statek.

– Damy radę – zapewnił go Quiller. – Zaufaj mi. Mamy mnóstwo rezerwowej mocy.

– Zaproś Wookiego – powtórzył LaRone. – Zaprowadzimy was do waszych kwater.

Kiedy drzwi kabiny zasunęły się za plecami rozszczępczonego Wookiego, LaRone, Brightwater i Grave sprawdzili dokładnie zamki i wrócili do świetlicy.

Czekali tam już na nich pozostali dwaj szturmowcy. Marcross wciąż jeszcze siedział przy komputerowej konsolce.

– Zakwaterowani i utuleni do snu? – zagadnął Quiller.

– Jasne, i zachwyleni, jak ty lko mogą być w tych okolicznościach, to znaczy wcale – odparł LaRone. – Chciałbym usłyszeć, co o nich sądzicie?

– Jest w całej trójce coś zdecydowanie dziwnego – zaczął Brightwater. – Nie mam tylko pojęcia, co takiego.

– Jak dalece możemy być pewni, że nie należą do Krwawych Szram? – zapytał Grave. – Sprytny herszt bandy mógłby wymyślić na poczekaniu taką historjkę. Mógłby nawet poświęcić kilku miejscowych piratów, żebyśmy wpadli na niewłaściwy trop.

– Może, ale to nie wyjaśnia ich zachowania w Conso City – sprzeciwił się Quiller. – Z najnowszych raportów wynika, że bandyci zrabowali z tamtego skarbcia mniej więcej pięćdziesiąt tysięcy w gotówce i odlecieli z kilkoma pasażerami na pokładzie.

– Krwawe Szramy z niedobitkami gangu grawicyklistów – mruknął Brightwater.

– A napisać na skarbcie miała tylko odwrócić uwagę miejscowych stróżów prawa – dodał Quiller, kłwijąc głowę. – Tyle że Solo i jego przyjaciele usiłowali pokrzyżować plany bandytów.

– A zatem może należą do konkurencyjnego gangu? – podsunął Grave.

– To możliwe – przyznał LaRone. – Nie wyglądają jednak na piratów.

– Jesteś pewny, że na twoją opinię o nich nie wpłynął widok tamtego miecza? – zaniepokoił się Grave.

LaRone parsknął.

– Nie sądzę, skoro jedyną osobą, u której widziałem jeszcze taką broń, jest Lord Vader – powiedział.

– Ciekawe, że wspomniałeś właśnie o Vaderze – odezwał się z namysłem Marcross. – Słyszałem plotki o specjalnym imperialnym agencie, zwanym Ręką Imperatora, który od czasu do czasu pojawia się i znika jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Podobno podlega bezpośrednio Imperatorowi i pod względem znaczenia przewyższa wszystkich innych w Imperium...

– I także jest uzbrojony w świetlny miecz – dorzucił Brightwater. – Tak ja też słyszałem te pogłoski.

– Pamiętajcie, że takie plotki nie są warte złamanego kredytu – przypomniał wszystkim LaRone.

– Ale to by było w stylu Palpatine'a – stwierdził Marcross – Zauważcie, w jaki sposób osłabił pozycję wojskowych, powołując do życia IBB i osobiście mianując wielkich admirałów.

– Przypuszczasz, że ten Luke może być Ręką Imperatora? – zapytał powątpiewającym tonem Grave. – No, nie wiem... Nie wygląda na kogoś takiego.

– Może właśnie chce, żebyś tak myślał – sprzeciwił się Marcross. Z komputerowej konsoly wy dobył się pisk i szturmowiec odwrócił się w stronę monitora. – Mam – powiedział, sprawdzając informację na ekranie. – Korelacja między współrzędnymi wektora podany mi nam przez Solo a naszymi danymi na temat HoloNetowych transmisji wskazuje na jeden system: Gepparina. Kilka osad farmerów, spory kompleks górniczy i właściwie niewiele więcej.

– Doskonałe miejsce na kryjówkę bazy piratów – zauważył Brightwater. – Jak to daleko od nas?

– Mniej więcej czterdzieści godzin lotu – oznajmił Marcross. Uniósł brew i spojrział na LaRone'a. – Mam nadzieję, że nie zamierzasz pokazywać gościom naszych błyszczących, białych, sztywnych garniturków?

– Niech cię o to głowa nie boli – burknął szturmowiec. – Dopóki są zamknięci w swoich kabinach, możemy chodzić ubrani, jak chcemy.

– A skoro mowa o zamykaniu, mam nadzieję, że ktoś pamiętał o zamknięciu zbrojowni w tamtych trzech kabinach? – zaniepokoił się Quiller.

– Ja się o to zatroszczyłem – zapewnił go Brightwater. – Komputery w każdej kabine zawierają prostą sekwencję, dzięki której można te arsenale zamykać albo otwierać. A co z tymi dwoma smarkaczami w ładowni?

– Zabiorą ich funkcjonariusze służby bezpieczeństwa Purnhama – odparł Quiller. – Już do nas leci ich bryg wahadłowy.

– To dobrze – stwierdził LaRone. – Quiller, wpisz współrzędne kursu na Gepparina. Ruszamy w drogę, kiedy tylko przełożemy w ich ręce obu piratów.

Rozdział 13

Szkolenie Mary obejmowało podstawowe zagadnienia obsługi urządzeń gwiazdowego okrętu, ale nie cywilnego statku. Na szczęście Tannis chyba wiedział, jak sobie radzić z frachtowcami w rodzaju „Drogi Hoppera”. Prawdopodobnie takie umiejętności mieli także dwaj podwładni pułkownika Somorila.

Mara spotykała od czasu do czasu funkcjonariuszy IBB i uważała ich za ponuraków wypranych z wszelkich uczuć, ale Brock i Gilling byli wyjątkowi nawet pod tym względem. Przestrzegali dyscypliny, trzymali się razem i starali się jak najbardziej kontaktować z nią czy z Tannisem. Nawet kiedy przyjmowali i wykonywali rozkazy, nie mówili więcej niż to konieczne, a najczęściej nie wypowiadali ani słowa. Nie zadawali pytań, nie wygłaszali uwag ani nie rozmawiali na tematy niezwiązane z wykonywanym zadaniem. Mara doszła do wniosku, że Ozzel równie dobrze mógłby jej przydzielić parę naprawczych androidów.

Postanowiła skupić całą uwagę na Tannisie. Spędzała z nim tyle wolnego czasu, ile mogła, żeby dowiedzieć się wszystkiego na temat gniazda gundarków, do którego się kierowali.

Podobno Krwawe Szramy przebywały na Gepparinie zaledwie od dwóch lat, kiedy to opanowały dużą placówkę górniczą. Tannis wyjaśnił, że w jednej połowie kompleksu piraci założyli swoją bazę, ale w drugiej nadal wydobywano niskoprocentową rudę, co stanowiło kamuflaż dla ich działalności. Większość łupów sprowadzali bezpośrednio do bazy, gdzie dzielili je i pakowali w pojemniki do transportu rudy, a potem wysyłali bezpośrednio do nabywców, domów aukcyjnych czy magazynów w rodzaju firmy braci Birtraub na Crovnie.

– Niektóre ładunki wędrują jednak prosto do Caaldry – oznajmił Tannis, szkicując plan rozmieszczenia budynków bazy. – Prawdę mówiąc, ten statek miał także trafić bezpośrednio do niego. Zabieranie go na Gepparina może narazić nas na kłopoty.

– To wina Shaka, który wołał zginąć z kartą danych, zamiast się poddać, jak mu kazałam – powiedziała Mara.

– Możesz za to winić, kogo chcesz, ale i tak będziemy mieli kłopoty – ostrzegł Tannis. – Mam nadzieję, że twoi koledzy w świetlicy umieją walczyć... i że nie zaczną strzelać do wszystkiego, co się rusza, zanim nie zostaną do tego zmuszeni.

– Komandor Ozzel na pewno dał nam najlepszych ludzi, jakich miał – zapewniła go Mara, chociaż sama bardzo chciałaby w to uwierzyć. Znając funkcjonariuszy IBB, mogła podejrzewać, że Somoril wybrał dwóch takich, których mógł spisać na straty. – Ilu piratów przebywa zazwyczaj na terenie bazy?

– To zależy od tego, czy stacjonują tam jakieś transportowce – odparł Tannis. – Cały czas jest ich tam mniej więcej trzydziestu, ale jeżeli trwa rozładunek kilku statków, ta liczba może być dwukrotnie większa.

– Wiesz, ile statków stacjonuje tam w tej chwili?

Tannis pokręcił głową.

– Caaldra i Komodor ściągają do bazy tyle innych band, że mogę się tylko domyślać – powiedział.

Mara pokławiła głową. Najprawdopodobniej mieli się tego dowiedzieć dopiero po wyładowaniu.

– A więc co się za tym wszystkim kryje? – zapytała. – Moim zdaniem Caaldra jest bardzo sprytny. Musi wiedzieć, że tworzenie tak dużej bandy piratów wiąże się z ogromnym ryzykiem, bo naraża was na akcję odwetową nie tylko ze strony Shelkonwy, ale także Imperialnego Centrum.

– Caaldra jest mocny tylko w gębie – mruknął pogardliwie Tannis. – Co prawda, ma także mnóstwo kredytów.

– Wiesz, ile wyłożył na tę operację?

– Nie mam pojęcia – przyznał pirat. – Wypłaca jednak od jednego do pięciu milionów zaliczki członkom każdej grupy, która zechce się przyłączyć. Daje także premie, jeżeli jakaś banda ma wiele statków, wybitne osiągnięcia albo coś w tym rodzaju.

A moff Glovstoak zapłacił od sześciuset do ośmiuset milionów sprzeniewierzonych kredytów za dzieła sztuki, które Mara widziała w jego sejfie. Obojętne, ile z tej sumy wpadło w ręce Caaldry i Krwawych Szram, Mara mogła mieć do czynienia z koalicją ponad stu mniejszych band piratów.

I wiele wskazywało na to, że wszystkie działają w tym samym sektorze. Co było w nim takiego, że różnił się od pozostałych?

– No cóż, na pewno Komodor o wszystkim wie – powiedziała.

Tannis parsknął.

– Ciekawe, czy zdołasz go nakłonić, żeby ci o tym opowiedział – zauważył.

Mara wzruszyła ramionami.

– Wkrótce się przekonamy – stwierdziła.

Gepparin był niewielką, zimną i mroczną planetą, krążącą wokół czerwonego słońca – jednej z trzech gwiazd, do których zaliczało się także małe żółte słońce i świecące jasnym blaskiem niebiesko-białe. Pilotujący „Drogę Hoppera” Tannis przeleciał zresztą między dwiema jaśniejszymi gwiazdami, ale kiedy obrał kurs na planetę, musiał stawić czoło pierwszemu wyzwaniu.

Mara się nie dziwiła, kiedy usłyszała uprzejmy głos:

– Nadlatujący rendiliański frachtowiec, tu Kontrola Lądowiska Gepparina. Proszę podać dane identyfikacyjne statku i macierzystą korporację transportową.

– Cześć, Capper, tu Tannis – odparł pirat. – Jest tam gdzieś blisko Komodor?

Zapadła krótka cisza.

– Co tam robisz, Tannis? – zapytał w końcu Capper. Jego głos nie brzmiał już tak uprzejmie. – Gdzie jest Shako?

– Nadał na pokładzie „Kawalkady”... on i nasi chłopcy mają tam to i owo do zrobienia – wyjaśnił Tannis, zerkając na Marę. – Mamy na pokładzie kilku sojuszników, którzy może zechcą się do nas przyłączyć.

– Może zechcą? – powtórzył złowieszczo Capper. – Ściągnąłeś ich tu nie będąc pewny, czy zechcą się przyłączyć, czy nie?

– Przesyłają energię do baterii laserowych działek – zameldował cicho Brock, zajmujący miejsce przy stanowisku sensorów za plecami Mary.

– Gdzie to jest? – zapytała cicho Mara.

– Gdzieś między tamtymi dźwigami – odparł funkcjonariusz IBB, pokazując na ekranie głównego monitora skomplikowany labirynt budynków, portowych żurawi i napowietrznych kładek.

– Hej, uspokój się, Capper – odezwał się Tannis. – Zaufaj mi... oni na pewno się przyłączą. Przedtem muszą tylko uzgodnić parę szczegółów.

– No dobrze... wchodzimy w to – zdecydował pirat z Gepparina. – Łądowisko ósme. Tylko nie opuszczajcie rampy, dopóki nie zobaczycie naszego komitetu powitalnego.

Rozległ się trzask i głośnik komunikatora umilkł.

– Czy ze wskazań sensorów wynika, jakie tam mają statki? – zainteresowała się Mara.

– Jeżeli nie liczyć pięciu niezdolnych do między systemowych lotów, małych transportowców rudy, widzę tylko dwa frachtowce – odparł Brock. – Prawdopodobnie oba to statki piratów.

– Nawet na pewno – potwierdził zwięźle Tannis. Obecnie, kiedy nie musiał już odgrywać roli, w jego głosie dało się słyszeć napięcie. – Sądząc z rozmiarów, każdy ma od piętnastu do dwudziestu członków załogi. To oznacza, że w bazie może przebywać nawet siedemdziesięciu piratów.

– Bardziej mnie niepokoi ten komitet powitalny – oznajmił ponuro Gilling.

– A co, spodziewaliście się otwartych drzwi i kluczy do kwatery Komodora? – warknął Tannis. – Nie mają do nas zaufania. Ja także bym nie miał, gdybym to ja był tam na dole.

– Uspokójcie się wszyscy – rozkazała Mara. – Zejdźmy z pokładu nieuzbrojeni i pozwolimy im się upewnić, że nie muszą się obawiać z naszej strony żadnych sztuczek.

– Co to znaczy nieuzbrojeni? – zapytał oburzony Gilling.

– Na ogół wszyscy rozumieją znaczenie tego słowa – odcięła się Mara. – Żadnej broni ani żadnych urządzeń, które inni mogliby uznać za broń, a także żadnych nieszkodliwych przedmiotów, które mogłyby służyć do obrony.

– I tak reszta by nam je zabrali – stwierdził Tannis.

– Właśnie – przyznała Mara. – A poza tym postarajcie się odprężyć. Nie przylecieliśmy tu, żeby wszczynać awantury. Zamierzamy tylko uprzejmie porozmawiać z możliwymi sojusznikami, wydobyc z nich kilka informacji i odlecieć. Spokojnie odlecieć – dodała z naciskiem, patrząc na Tannisa.

Łądowisko ósme było kręgiem, otoczonym z trzech stron przez przyprawiający o klaustrofobię labirynt dźwigów, pomostów i budowli. Trudno było na nim wylądować, więc na pewno jeszcze trudniej byłoby odlecieć.

Na szczęście Tannis stanął na wysokości zadania i bez trudu przeleciał między przeszkodami. Kiedy posadził frachtowiec pośrodku kręgu, Mara zauważyła, że od strony budynków i usytuowanych przed nimi hangarów remontowych zmierza ku nim zapowiadany komitet powitalny. Składał się z dwudziestu kilku mężczyzn i obcych. Połowa leciała przodem dwoma lądowymi śmigaczami, a pozostali szli za nimi w bezpiecznej odległości. Wszyscy byli uzbrojeni w broń boczna lub karabiny blasterowe, a nierzadko w jedno i w drugie.

– Uwaga, z dźwigów i pomostów kierują się ku nam lufy cięższej artylerii – uprzedził Tannis, wyłączając pokładowe urządzenia i systemy. – Jeżeli spróbujemy zrobić coś, co się im nie spodoba, zamienią nas w żuźel.

– Nikt niczego nie będzie próbował – ostrzegła Mara, spoglądając przez iluminator. Łądowisko otaczał istny labirynt konstrukcji, a czerwone słońce Gepparina rzucało płataninę mrocznych cieni. Mara zauważyła, że ciągną się przez cały teren placówki górniczej aż do skraju usytuowanej w drugiej części kompleksu pirackiej bazy. W końcu przeniosła spojrzenie na Tannisa. – Kiedy skończysz wyłączać systemy, kieruj się do rampy rozkazała, kierując się do wyjścia ze sterowni. – Brock, Gilling, dotrzy macie mu towarzystwa.

– A pani gdzie będzie? – zapytał podejrzliwie pirat.

– Dołączę do ciebie, zanim będziesz musiał opuścić rampę – obiecała Mara i wyszła.

Wiedziała, że piraci z bazy będą obserwowali włazy i panele umożliwiające dostęp do urządzeń statku, w obawie, że przybysze mogą próbować jakichś sztuczek. Na szczęście wymyśliła coś innego.

Dotarła do przedziału silnikowego i otworzyła klapę wlotu wodącego do umieszczonego pod silnikami wylotu gorącego powietrza. Wyjęła z kieszeni ciemnozielonego kombinezonu parę czarnych bojowych rękawic i nasunęła je na oba końce rękawic światelnego miecza w taki sposób, że odsłonięty pozostał tylko kilkucentymetrowy fragment pośrodku polyskającego cylindra. Wiedziała, że w mrocznym wnętrzu rękawice powinny wystarczająco osłonić broń przed spojrzeniami i oczu nieprzyjacznych osób. Wsunęła miecz do otworu wentylacyjnego i posługując się Mocą, popchnęła za zakręt w kierunku wylotu.

Pozostali członkowie jej załogi czekali na nią przy włazie.

– Coś nowego? – zapytała. Pospiesznie ściągnęła włosy do tyłu, żeby jej nie przeszkadzały, i zabezpieczyła ozdobnym grzebykiem w kształcie wachlarza.

– Na razie nie zapukali, jeżeli to chciała pani wiedzieć – mruknął Tannis. – Prawdopodobnie oglądają kadłub z zewnątrz, czy nie zastawiliśmy na nich jakiejś pułapki.

– Mogą go oglądać do woli powiedziała spokojnie Mara. Tylko bardzo szczegółowe oględziny otworu wylotowego pozwoliłyby zauważyć osłoniętą rękawicami rękawicą światelnego miecza, a ona się nie spodziewała, żeby gospodarze byli aż tak dokładni. Przy najmniej dopóki nie zobaczą członków załogi.

W końcu usłyszeli napływający z zewnątrz stłumiony łomot kolbą blastera o metal.

– Otwieram – odezwał się Tannis, odetchnął głęboko i wpisał kod opuszczania rampy. Mara dała znak Brockowi i Gillingowi, żeby stanęli z tyłu, a sama poszła za piratem.

Kiedy rampa opadła, zobaczyła tuzin mężczyzn z lądowych śmigaczy, ustawionych klasy czynnym półkolem kilka kroków od stóp pochylni. Każdy trzymał gotowy do strzału blaster.

– Cześć, Bobbler – odezwał się Tannis, kiwając głową roslemu mężczyźnie stojącemu dokładnie przed rampą. – Czy nie bylibyście uprzejmi skierować luf tych zabawek w inną stronę?

– Ani kroku dalej – warknął Bobbler, obrzucając spojrzeniem Marę i dwóch funkcjonariuszy IBB. – Tannis, do mnie. Sam.

Pirat usłuchał bez słowa. Podwładny stojący po prawej stronie Bobblera szybko omiótł ręcznym skanerem ciało Tannisa.

– Wygląda na czystego – zameldował.

– Tak tylko że sam wygląd to za mało – stwierdził Bobbler i ponownie spojrzał na Marę. – Sprawdźmy go dokładnie w środku. Teraz ty, laleczko. Podejdz do mnie.

– Mam na imię Celina – przedstawiła się Mara, podchodząc do pirata.

– Wszystko jedno – burknął Bobbler, oglądając ją od stóp do głów. – Kim właściwie jesteś, dodatkową premią?

– Ona należy do bandy... – zaczął Tannis.

– Zamknij się – uciął Bobbler. – Vinis, Waggral, obszukajcie ją. – Wyszczerył zęby w złośliwym uśmiechu. – Przekonajmy się, czy nie ukrywa czegoś ciekawego.

Dwaj wywołani przez niego piraci schowali blastery do kabur i ochoczo podeszli do Mary.

– Zaczekajcie chwilę – odezwał się Tannis z niepokojem. – Jorhim mógłby ją sprawdzić skanerem...

– Jeżeli jeszcze raz będę musiał ci kazać się zamknąć, zrobię to kolbą blastera – zagroził Bobbler. – Czy ta kobieta ma dla ciebie szczególne znaczenie? Dlaczego ci na niej tak zależy?

Tannis zacisnął wargi, ale Mara zauważyła, że pirat przełyka z wysiłkiem ślinę. Odwróciła się i posłała ostrzegawcze spojrzenie obu funkcjonariuszom IBB, po czym spojrzała znów na Bobblera.

– Naprawdę nie powinieneś traktować gości w taki sposób – powiedziała.

– Ach, tak? – zdrgnął pirat. – A jak twoim zdaniem powinienem ich traktować?

Kiedy obaj członkowie bandy stanęli przed Marą, jeden chwycił ją za prawe ramię i zacisnął mocno palce. Mara szarpnęła rękę ku sobie i pozbawiony równowagi pirat zatoczył się w jej stronę. Zmell w ustach przekleństwo, doskoczył i spróbował jeszcze raz ją złapać. Mara uchyliła się i gwałtownie przyklucnęła, zanim jego kompan zdążył ją złapać za drugą rękę. Dwie pary rąk przecięły powietrze nad jej głową. Mara wymierzyła każdemu mężczyźnie silny cios w brzach i błyskawicznym ruchem wyszarpnęła blastery z ich kabur.

Piraci skuli się, ale szybko się wyprostowali i spróbowali jeszcze raz. Tym razem też się spóźnili o ułamek sekundy. Mara stanęła prosto, chwyciła dwa blastery za lufy i wymierzyła każdemu z bandziorów silny cios kolbą w szczękę.

Kiedy piraci zatoczyli się do tyłu, Mara chwyciła blastery za kolby i skierowała lufę każdego w Bobblera.

Na sekundę zamarła i zwiększyła wrażliwość zmysłów, żeby ocenić napięcie w pełnej zdumienia ciszy, jaka zapadła na płycie lądowiska. Zanim którykolwiek pirat zdążył się zastanowić, czy zamierza zostać bohaterem, uniosła lufy obu blasterów ku niebu.

– Chodziło mi o to, że twoi ludzie powinni oddać broń, zanim zaczną kogokolwiek przeszukiwać – oznajmiła spokojnie. Chwyciła blastery za lufy, podeszła do Bobblera i podała mu obie sztuki broni, zwrócone kolbami w jego stronę.

Pirat zignorował blastery. Nie odrywał spojrzenia od jej twarzy.

– Czy to miało wywrzeć na nas wrażenie? – zapytał.

– Mam nadzieję, że wywarło – odparła Mara. – Szalko mówił, że wypłacasz premie osobom obdarzonym specjalnymi talentami.

Bobbler parsknął pogardliwie, ale Mara zobaczyła szacunek w jego oczach.

– Nie widzę tu niczego specjalnego – stwierdził lekceważąco, ale wziął od niej blastery. – A ty i tak nie unikniesz przeszukiwania.

Mara bez słowa rozłożyła ręce na boki. Bobbler zawahał się, ale później spojrzał kątem oka na pirata ze skanerem i gestem kazał mu podejść. Mara nie poruszyła się, kiedy pirat omiatał skanerem jej ciało. Zrobił to szybko, ale dokładnie.

– Czysta – zameldował w końcu. – Mam obszukać pozostałych?

Bobbler przeniósł spojrzenie na Brocka i Gillinga.

– Wy także zamierzacie sprawić nam kłopoty? – zapytał w wyjąłym tonem. Gestem przywołał Vinisa i Waggrala, i oddał im blastery.

– Nie robią nic bez mojego rozkazu – uprzedziła Mara, zanim któryś z funkcjonariuszy IBB zdążył odpowiedzieć. – Jeżeli chcesz ich przesukać w tradycyjny sposób, proszę bardzo.

Spodziewała się, że Bobbler zrezygnuje. Pirat jednak kiwnął głową i gestem przywołał czterech następnych podwładnych ze stojącego półkolem oddziału. Tym razem jeden z każdej pary wręczył blaster swojemu partnerowi, a ten się wycofał poza zasięg rąk ludzi Somorila.

Przeszukanie było szybkie i dokładne. Mara starała się poznać myśli obu Imperialców, podczas gdy piraci obmacywali ich ubrania, ale nie wyczuli ani zawstyżenia, ani gniewu.

– Tannis, idź z Rer'chofem – rozkazał Bobbler, kiedy rewizja dobiegła końca. – Jorhim, weź drużynę i przeszukaj ten statek.

Tylko dokładnie, kawałek po kawałku, nie wyłączając nitów. Wy – wskazał na Marę i obu Imperialców – pojedziecie ze mną.

Poprowadził ich do jednego z dwóch lądowych śmigaczy i gestem wskazał, żeby zajęli miejsce na tylnej kanapie, a sam wskoczył na fotel kierowcy. Obok niego usiadł inny pirat, który odwrócił się tyłem do kierunku lotu, położył lufę blastera na oparciu kanapy i skierował ją ostrzegawczo w stronę trojga gości. Vinis i Waggral, trzymając gotowe do strzału blastery, zajęli miejsca za plecami Imperialców i Mary. Tannis i jeszcze jeden pirat wsiedli do drugiego śmigacza i wszyscy ruszyli w drogę.

Mara zaczęła, aż przeleciał mniej więcej dwadzieścia metrów. Dopiero wówczas odwróciła się, jakby chciała spojrzeć na „Drogę Hoppera”.

– Mam nadzieję, że wiesz, jak się przeszukuje statek – powiedziała, nie zwracając się do nikogo w szczególności. Skierowała spojrzenie na rufę, uwolniła myśli i posługując się Mocą, wyciągnęła z wylotu powietrza osłoniętą rękawicami ręką część świetlnego miecza.

Bobbler burknął.

– Nie martw się, niczego wam tam nie zniszczą – oznajmił.

Żaden z piratów nie krzyknął zaskoczony, co dowodziło, że nikt nie zauważył pojawienia się niezwyklej broni. Pomagając sobie Mocą, pozwoliła jej opaść na wysokość kilku centymetrów nad płytę lądowiska, a później kazała jej pomknąć w cień najbliższego żurawia, starając się, żeby cały czas pozostawała w półmroku.

– Chyba że statek się nadaje na złom – dodał Vinis, wbijając lufę blastera w jej ramię, jakby chciał nadać większą wagę swoim słowom.

– Cieszę się, że to słyszę – mrugnęła Mara. Zaczęła, aż świetlny miecz znajdzie się w pobliżu stanowiska operatora żurawia, po czym zmieniła kierunek i pozwoliła, żeby broń śmignęła obok poziomego wspornika i zaczęła lecieć równoległe do kursu lądowego śmigacza.

Bobbler ominął jeden z budynków administracyjnych placówki górniczej, przeleciał między dwiema wieżami reperatorów i skierował pojazd na biegnący łukiem most łączący obie połowy kompleksu. Obserwując kątem oka niewielki fragment odsłoniętego metalu, Mara starała się utrzymać świetlny miecz nisko nad powierzchnią gruntu, mniej więcej w takiej samej odległości od śmigacza. Kiedy Bobbler pozostawił za rufą wysokie budynki i dźwigi, skierowała broń pod grubą kablę energetyczną, a gdy kablę skręcił w stronę stromego zbocza góry, pozwoliła mieczowi pokonać krótki odcinek otwartej przestrzeni przed skupiskiem połączonych ze sobą jedno – i dwupiętrowych budynków, w których kierunku zmierzał Bobbler. W wielu oknach paliło się światło, więc wybrała ciemny fragment najwyższego piętra jednego z wyższych domów i umieściła świetlny miecz w rynnie biegnącej wzdłuż dachu nad jednym z nieoświetlonych okien.

Bobbler zaparkował przed drzwiami i zaprowadził wszy stłch troje do pomieszczenia pelniącego kiedyś funkcję górnicej cechowni. Piraci przerobili ją na salę rełpcyjną zastawioną skanerami i urzędzeniami i do obezwładniania. Czełł tu już na Marę i jej towarzyszy tuzin uzbrojonych piratów, którzy poddali ich badaniu następnymi skanerami. Sprawdzili nie tylko ich ubrania i skóre, ale nawet strukturę komórkową organizmów. Szczególnie zainteresowali się grzebieniem Mary, który poddali badaniu dodatkowymi skanerami.

– Wszy stko w porządku – podsumował Bobbler, kiedy wreszcie skończyli. – Ty, Celino, pójdiesz ze mną.

– A co z moimi ludźmi? – zainteresowała się Mara.

– Udadzą się gdzie indziej – odparł Bobbler. Zwrócił jej grzebień i zaczęł, aż wsunie go we włosy. Gestem polecił, żeby towarzyszyło im czterech piratów, po czym zaprowadził Marę przez opancerzone drzwi do labiryntu pokoi i korytarzy połączonych cy lindrycznymi przejściami.

W końcu, dwa budynki dalej, doszł do przestronnego, gorącego i wilgotnego pomieszczenia. Na środku Mara zobaczyła duży, owalny, wpuszczony w podłogę basen z wodą. Prawdopodobnie gorącą, sądząc po wysokiej temperaturze i wilgotności powietrza. Nad powierzchnią basenu unosiła się mgiełka.

Po drugiej stronie sali stało czterech rosy ch, uzbrojonych mężczyzn. Mieli wilgotne ubrania i mokre twarze, i ani na chwilę nie odrywali spojrzenia od Mary i jej eskorty.

W zbiorniku z wodą pływał jakiś mężczyzna.

Kiedy Bobbler prowadził ją w stronę basenu, Mara zauważyła, że pływający mężczyzna jest niewysoki, szczupły i gładko ogolony. Miał na sobie biały kostium kąpielowy i unosił się na lekko falującej powierzchni wody na wznak, z rozłożonymi na boki rękami i nogami. Górną połowę jego twarzy, od czoła do nosa, przesłaniała biała maska.

Pod każdą ścianą pokoju siedziało pięciu mężczyzn, ubranych w grube białe szlafroki, z ręcznikami na głowach. Mara nie widziała ich twarzy, ale uznała, że to rezerwowi ochroniarze.

– Podejdźcie bliżej – odezwał się nagle pływający mężczyzna, kiedy Bobbler i Mara stanęli kilka metrów od basenu. – Czy to nasza zachwała, mała porywaczka statków?

– Tak jest, Komodorze – potwierdził Bobbler, popychając Marę w stronę basenu. – Nazywa się Celina.

– Ładne imię – oznajmił z aprobatą Komodor. – Umiesz mówić, Celino?

– Umiem, Komodorze – odezwała się Mara.

– Doskonale – stwierdził mężczyzna. – Opisz mi, jak wyglądasz.

Mara zmarszczyła brwi i spojrzała na Bobblera. Pirat kiwnął głową i gestem zachęcił ją, żeby spełniła polecenie Komodora.

– Jestem średniego wzrostu... – zaczęła niepewnie.

– Ile dokładnie mierzysz? – przerwał Komodor.

– Sto sześćdziesiąt centymetrów – odparła Mara. – Jestem szczupłej budowy ciała, mam złocistorude włosy i zielone oczy.

– Jak jesteś uczesana?

– W tej chwili w kłkę spiętą grzebieniem w kształcie wachlarza – odpowiedziała Mara.

– Wołę, żeby kobiety miały rozpuszczone włosy – stwierdził herszt piratów. – Z twoich słów wnioskuję, że jesteś pociągająca. Czy tak jest naprawdę?

Mara spojrzała znów na Bobblera, który tylko wzruszył ramionami.

– Niektórzy moi znajomi właśnie tak uważają – powiedziała.

– To dobrze – zawyrokał Komodor. – Mam nadzieję, że nie uważasz mnie za ekscentryka czy, co gorsza, szaleńca. Staram się tylko wyciszyć wszy stkie pozostałe zmysły, żeby lepiej słyszeć twój głos i ocenić twoją prawdziwość. Czy to cię niepokoi?

– Prawdę mówiąc ani trochę – odezwała się niezupełnie szczerze Mara. Niektóre osoby na dworze Imperatora eksperymentowały w tym samym celu z podobnymi, wyciszającymi zmysły technikami, ale tylko kilku to się naprawdę udało. Gdyby Komodor był w tym naprawdę dobry, mógłby kryć kłamstwo nawet wyszkolonego agenta Imperium.

A przynajmniej normalnego agenta Imperium. Mara znała jednak równie subtelne sztuczki, które mogła wykorzystać przeciwko hersztowi piratów. Posługując się Mocą, wzburzyła lekko wodę w jego basenie.

– Przejdźmy do rzeczy – odezwał się Komodor. – Rozumiem, że lubicie porywać statki.

– Niekoniecznie lubimy – odparła Mara. – Po prostu na tym polega nasza praca.

Komodor zacisnął wargi.

– Może więc lubicie porywać moje statki – uściłił.

– Bardzo mi przykro – powiedziała Mara i zaczęła burzyć wodę w przeciwną stronę. Delikatne nowe zmarszczki razem z poprzednimi utworzyły na powierzchni krzyżujący się wzór. – Na swoją obronę powiem tylko, że kiedy zaczynałmy naszą operację, to jeszcze nie był pański statek. Gdybyśmy wiedzieli, że Krwawe Szramy są zainteresowane zdobyć ciem go, trzymalibyśmy się od niego jak najdalej.

– W takim razie co zamierzaliście zrobić z ładunkiem?

– Naturalnie sprzedać go – stwierdziła Mara, błędząc wzrokiem po pokoju. Zauważyła kilka przesłoniętych żaluzjami otworów wentylacyjnych w miejscach, gdzie ściany stykały się z sufitem. Uwolniła myśli i pomagając sobie Mocą, uchyliła dwie żaluzje trochę szerzej niż pozostałe. – Roboty kroczące typu AT-ST nie są nam do niczego potrzebne.

– Kto miał być waszym kupcem?

– Na razie nikogo nie znaleźliśmy – wyznała młoda kobieta. Poczula na twarzy lekki prąd powietrza i szybko przyknęła żaluzje. Chciała zakłócić koncentrację pozostałych zmysłów Komodora, ale tak, żeby sobie tego nie uświadamiał. – Ale prawdopodobnie zaczęlibyśmy od nawiązania kontaktów z Huttami.

– To bardzo cenny ładunek – skostatował Komodor. – Dziwię się, że Shakko pozwolił ci z nim odlecieć.

Mara wzruszyła ramionami.

– „Droga Hoppera” nadawała się do lotu, a „Kawalkada” nie – przypomniła. – Shakko i ja rozmawialiśmy na ten temat i doszliśmy do wniosku, że wolałby pan dostać frachtowiec z ładunkiem niż sam ładunek

– Dziwię się jednak, że Shakko pozwolił ci z nim odlecieć – powtórzył herszt piratów.

Mara z trudem zachowywała spokój. Albo Komodor usłyszał w jej głosie nutę, która mu się nie spodobała, albo się zorientował, że coś rozprasza jego uwagę, i chciał usłyszeć drugi raz jej odpowiedź.

– Kazał Tannisowi lecieć z nami – oznajmiła. – Chciał się upewnić, że nie wykręcimy mu żadnego numeru.

– Jakby Tannis mógł was powstrzymać – mruknął pogardliwie Komodor.

– No cóż... wątpię, żeby mu się udało – zgodziła się Mara. – Mimo to dostarczyliśmy ładunek w nienaruszonym stanie.

– To bardzo rozsądnie z waszej strony – stwierdził Komodor. – Czy Shakko nie wspomniał przy padkiem, że ładunek nie należy do nas, lecz do jego klienta?

– Tak rozmawialiśmy o tym – przyznała Mara, a jej serce gwałtownie przyspieszyło. Właśnie, klient, pomyślała. Gdyby tylko mogła nakłonić herszta piratów do ujawnienia jego tożsamości... – Doszliśmy do wniosku, że...

– Kłamiesz.

Mara zamarła. Czyżby Komodor wyczuł w jej głosie ożywione zainteresowanie?

– Nie kłamie – odparła spokojnie, starając się zyskać chociaż trochę na czasie. Musiałaby zacząć od wyeliminowania czterech najbliższych stojących ochroniarzy, żeby zdobyć chociaż jeden Master.

– Kłamiesz! – powtórzył gniewnie Komodor. – Shakko nigdy by nie wspomniał o naszym kliencie.

Mara poczuła, że opuszcza ją część napięcia. Domyśliła się, że Komodor nie usłyszał w jej głosie niczego podejrzanego, chciał ją po prostu na czymś przyłapać.

– No cóż, tym razem wspomniał – oznajmiła. – Powiedział nam, że na ten ładunek czeka gość o nazwisku Caaldra.

– Caaldra? – Komodor wybuchnął bezkrośnym śmiechem, jakby się pozbył resztek wątpliwości, a po powierzchni wody rozeszły się drobne fale. – O, nie, nie. Caaldra nie jest naszym klientem. On tylko dla niego pracuje.

– Aha – mruknęła Mara, udając zakłopotaną. Kiedy przeciwnik zyskiwał nad nią przewagę, choćby tylko iluzoryczną, uznawała za słuszną podtrzymać u niego tę iluzję. – No cóż, Shakko wyrażał się o nim w taki sposób, jakby to właśnie Caaldra był jego klientem.

– Jestem pewny, że tak się o nim wyrażał – przyznał Komodor, nagle poważniejąc. – Opowiedz mi teraz, jak porwaliście ten frachtowiec.

– To nie było trudne – stwierdziła Mara. – Obezwładniliśmy członków załogi...

– Ale w jaki sposób? – przerwał Komodor. – Które pomieszczenia i stanowiska opanowaliście najpierw? Kto spośród was czym się zajmował? Chcę poznać wszystkie szczegóły akcji.

Czyżby w tej chwili ktoś inny zadawał te same pytania Brockowi i Gillingowi, żeby później można było porównać trzy zestawy odpowiedzi? – Zaniepokoiła się Mara. Prawdopodobnie tak. Na szczęście była na to przygotowana.

– Bardzo mi przykro – powiedziała. – Nasze metody zapewniają nam przewagę w tym interesie. Nie wyjawiamy ich nikomu.

– Nawet gdybym za odmowę kazał was wszystkich zabić? – zapytał Komodor.

– Jeżeli każe pan to zrobić, zginiemy – odparła spokojnie Mara. – Zaprzępaści pan jednak szansę współpracy naszych organizacji. Będzie pan musiał nadal marnować statki swoich ofiar, zamiast przechwytywać je i wcielić do swojej floty. – Uniosła głowę i spojrzała na czterech spoconych ochroniarzy stojących po przeciwnej stronie basenu. – A podczas ataku na nas zginie więcej pańskich ludzi niż chciałby pan poświęcić – dodała.

– Czy to groźba? – zapytał herszt piratów.

Mara pokręciła głową.

– Zwyczajne stwierdzenie faktu – oznajmiła.

– No właśnie – powiedział ponuro Komodor. – Fakty. Prawda w miłym dla ucha opakowaniu. Kto wie, może powinienem przełazać naszemu klientowi twoje zwłoki w miłym dla oka opakowaniu? Bądź co bądź ukradliście jego ładunek. Co o tym sądziś, Caaldra? – zapytał podniesionym tonem. – Czy nie spodobałaby mu się urodziwa młoda porywaczka statków, z którą mógłby się zabawić?

– Na pewno by mu się spodobała. – Mara usłyszała znajomy głos dobiegający z prawej strony.

Odwróciła głowę. Pięciu siedzących tam mężczyzn w białych szlafrokach odrzuciło ręczniki, które dotąd przesłaniały ich twarze. Caaldra zajmował miejsce pośrodku, między dwoma roslymi ochroniarzami, których Mara nie знаła. Z prawej strony grupy zobaczyła Tannisa. Pilot pirackiego statku miał czerwoną, spoconą twarz.

– Kim jesteście? – zapytała Mara.

– Ten pośrodku to właśnie Caaldra – odparł Komodor. Najemnik i dwaj jego ludzie wstali i podeszli do basenu. – To ten człowiek, do którego należy skradziony przez ciebie ładunek... i który tu przyleciał, żeby nas ostrzec przed tobą, Celino. Porywaczko Statków. – Zrobił dramatyczną przerwę, a Mara, obserwując dolną połowę jego twarzy, zorientowała się nagle, że herszt piratów pilnie nasłuchuje. – A może powinienem był powiedzieć: Celino, Agentko Imperatora?

W absolutnej ciszy, w której nikt nie wydał żadnego rozkazu, stojący po drugiej stronie basenu czterej mężczyźni wyciągnęli blastery. Mara z trudem zachowała kamienną twarz i przeniosła spojrzenie na napiętą twarz Tannisa. A zatem wszystkie jej groźby i obietnice nie przydały się na nic. Tannis ją zdradził.

– Ach, więc nagle stałam się agentką Imperatora, tak? – zapytała, nadając głosowi ton pogardy. W żadnym razie nie zamierzała ułatwiać zadania hersztowi piratów. – Bardzo wygodne. Zwłaszcza dla niektórych.

– Co chcesz przez to powiedzieć? – wybuchnął Komodor.

– Mówię, jakie to wygodne, że do twojej organizacji przeniknęła nieznajoma osoba, na którą twój przyjaciel może zrzucić winę. – Mara przeniosła spojrzenie na Caaldrę, który stanął kilka metrów od niej. – Niech zgadnę – podjęła po chwili. – Nie wszystko u niego układa się, jak powinno?

Caaldra napiął mięśnie twarzy.

– Niezła próba, imperialna agentko, ale tracisz czas – warknął. – Komodor dobrze wie, kim jesteś.

– Nie powiedziałam, że tego nie wie – zastrzegła Mara, zaintrygowana stanowczym tonem najemnika. Czyżby to oznaczało, że naprawdę nie wszystko układało się pomyślnie dla niego i dla jego klienta? – Chciałam tylko powiedzieć, że zwalanie winy na innych jest odwieczną metodą wyłączenia się od odpowiedzialności.

Miała nadzieję, że Caaldra, kontynuując gniewną tyradę, wyjawii jej coś pozytywnego. Okazja jednak przepadła, bo najemnik odzyskał panowanie nad sobą.

– Mówisz, jakbyś właśnie starała się to zrobić – odparł spokojnie.

– Staram się tylko powstrzymać Komodora przed popełnieniem błędu, który będzie go kosztował utratę potencjalnych sojuszników, a mnie utratę życia – wyjaśniła Mara. – Może przestań się kłócić, a zacznij się zastanawiać, w jaki sposób mogę wam udowodnić, kim jestem.

– Udowodnisz nam to, jeżeli spełnisz prośbę Komodora i opowiesz, w jaki sposób opanowałaś „Drogę Happera” – stwierdził Caaldra. – Możesz także zabrać mnie do swojej rzekomej bazy i pozwolić mi porozmawiać z osobą, która podobno jest twoim hersztem.

– Nie zrobię tego, dopóki nie zawrzemy umowy – oznajmiła stanowczo Mara, zastanawiając się, dlaczego nie zrezygnuje z odgrywanej roli... tym bardziej, że zdrada Tannisa czyniła jej położenie niemal beznadziejnym.

I nagle doznała ośnienia. Caaldra i Komodor, zwracając się do niej, tytułowali ją tylko imperialną agentką.

Tymczasem Tannis wiedział, że Mara jest w rzeczywistości Ręką Imperatora.

Jeszcze raz przyjrzała się Tannisowi i stwierdziła, że napięcie w jego twarzy nie wynika z obawy przed konsekwencjami zdrady, lecz ze świadomości, iż jego głowa znajdzie się na katowskim pieknie w następnej kolejności.

W następnym ułamku sekundy znalazła wyjście z sytuacji.

– Przecież możesz zapytać o to Tannisa – zaproponowała, wskazując pirata. – Był tam... na własne oczy widział, jak systemy obronne „Drogi Happera” praktycznie odmówiły posłuszeństwa, i to jeszcze zanim piraci rozpoczęli swój atak. Zapytaj go, jakim cudem imperialny agent mógł wiedzieć, że zamierzacie zaatakować właśnie ten frachtowiec. – Przeniosła spojrzenie na Caaldrę. – A może chcesz powiedzieć, że to Shalko albo jeden z jego ludzi wyjawił tę tajemnicę?

Caaldra spiorunował ją spojrzeniem, ale nie wiedział, co odpowiedzieć.

– Tannis? – zapytał w końcu Komodor.

Pirat spojrział na Marę, która nie musiała pomagać sobie Mocą, żeby wyczuć promieniujący od niego paniczny lęk na myśl o konieczności okłamania Komodora... zwłaszcza tu, w jego osobistej sali przesłuchań.

Okazało się, że nie musiał się spieszyć z odpowiedzią. Mara odzyskała równowagę ducha, a wraz z nią panowanie nad sytuacją. Posługując się Mocą, wywarła nacisk na blaster jednego z ochroniarzy, który wypuścił broń z palców.

Spróbował ją schwycić. Naprawdę się starał, ale przy takiej wilgotności powietrza i wysokiej temperaturze jego dłonie i kolba blastera były śliskie i mokre. Ochroniarz się nie spodziewał, że blaster wyślizgnie się z jego palców, więc nie miał czasu, żeby się przygotować. Broń odbiła się z głośnym brzękiem od wyłożonej kafelkami posadzki i z pluskiem wpadła do basenu.

Mara była przekonana, że Komodor ryknie z zaskoczenia albo z gniewu, ale herszt piratów nie powiedział ani słowa. Po prostu nie zareagował. Chyba czekał, aż wszystko ucichnie. Mara doszła do wniosku, że taki zupełny brak reakcji jest bardziej denerwujący niż najgroźniejszy wybuch wściekłości. Tak samo o pewnie uważał sprawca zamieszania. Stał jak skamieniały, a mimo warstewki potu na jego twarzy Mara zauważyła, że zbladł jak ściana. Komodor pozwolił, żeby cisza trwała jeszcze pięć czy sześć sekund, po czym ostrożnie zaczerpnął powietrza.

– Możesz wyciągnąć swoją broń, Nirsh – odezwał się niemal spokojnym tonem.

Ochroniarz zbladł jeszcze bardziej.

– Tak jest, proszę pana – wybelkotał. Osunął się na kolana i zanurzył prawą rękę po pachę w basenie. Gmerał w nim jakiś czas i w końcu wyciągnął ociekający wodą blaster.

– Zgłosisz się do raportu – rozkazał Komodor. – Tannis?

– Tak proszę pana? – zapytał pirat. Nie zmienił wyrazu twarzy, ale Mara widziała w jego spojrzeniu wielką ulgę. – Rozumiem... oczywiście, proszę pana. Naprawdę nie wiem, jak to zrobili, ale Celina mówi prawdę. Musieli stoczyć zaciętą walkę... zdążyli wypalić paskudną dziurę w czaszy anteny komunikatora, ale w pewnej chwili nagle przestali walczyć.

– A może po prostu postanowili darować ci życie, żeby móc za wami trafić do naszej bazy? – zasugerował zgryźliwie Caaldra.

– Dlaczego mielibyśmy zwracać sobie tym głowę? – odcięła się Mara. – Każdy imperialny agent zasługujący na ten tytuł wiedziałby, jak wyciągnąć dane z pamięci nawigacyjnego komputera zniszczonego statku. – Uniosła brwi. – I żaden imperialny agent nie przyłeciałby tu sam. Pojawiłby się w asyście legionu szturmowców i z potężnym wsparciem z powietrza.

– Może tamci po drodze zabłądzili? – nie dawał za wygraną Caaldra.

– Cóż za lekkomyślność – odpowiedziała sarkastycznym tonem Mara. – Proszę dać mi znać, kiedy w końcu się tu zjawią. – Odwróciła się znów do Komodora. – A więc jest pan zainteresowany współpracą z nami, czy nie? – zapytała.

Kilka sekund herszt piratów nie odpowiadał. Później, bardzo ostrożnie podpłynął do brzegu, chwycił krawędź basenu i wyprostował się w wodzie.

– Intrygujesz mnie, Celino, Porywaczko Statków – powiedział. – Porozmawiamy o tym po obiedzie. – Ściągnął maskę z twarzy i zamrugał. – Twój znajomi mieli rację – podjął, mierząc ją spojrzeniem od stóp do głów. – Jesteś rzeczywiście atrakcyjną kobietą.

– Dziękuję panu, Komodorze – odparła Mara z trudem, bo zaschło jej w ustach. Dopiero obecnie, kiedy pierwszy raz spojrziała w jego oczy, uświadomiła sobie, że herszt piratów nie powiedział jej prawdy, kiedy wyjaśniał powód pływania pośrodku basenu.

Możliwe, że Komodor nie był ekscentrykiem, ale z całą pewnością był szaleńcem.

Rozdział 14

Z informacyjnej karty podróźnej, którą Leia zabrała na tę wyprawę, wynikało, że Makrim City szczyti się tytułem Drugiego Miasta Igllic. Nazwa ta stanowiła oczywiście aluzję do jednego z poprzednich tytułów, jakie nadawano Imperialnemu Centrum w czasach, kiedy znano je jako Coruscant, jeszcze zanim Republika zbudowała całą planetę tak gęsto, że większość starych iglic została zasłonięta przez wyższe budowle albo uladkiem zburzona. Leia widziała obrazy przedstawiające Imperialne Centrum w tamtych czasach, więc od razu uznała, że Makrim City wygląda jak jego ubogi krewniak

– Mam nadzieję, że będzie się pani podobało w moim domu – stwierdził Chivkyrie, kiedy jego pilot skierował statek na kurs wiodący do głównego kosmoportu miasta. – Jest duży i dobrze wyposażony, chociaż... – dodał z nagle niepewnością – ... nie został urządony z myślą o goszczeniu istot ludzkich.

– Nic nie szkodzi – zapewniła go Leia. – Prawdę mówiąc doszłam do wniosku, że zamieszkanie w pańskim domu nie byłoby dobrym pomysłem.

[Zgadzą się z księżniczką Leią], stwierdził Slanni. [Jeżeli gubernator Choard knuje zdradzieckie plany, nie powinien wiedzieć, gdzie może nas znaleźć].

– Choard nie knuje zdradzieckich planów – obruszył się Chivkyrie. – Powierzylbym mu moje życie.

– Ale ja nie wiem, czy my ufamy mu na tyle, żeby powierzyć nasze – odezwał się Vokkoli. – Przylecieliśmy tu, żeby się tego dowiedzieć.

– Wasze obawy są nieuzasadnione – stwierdził z urazą Chivkyrie. – Jeżeli jednak księżniczka Leia sobie życzy, znajdziemy dla niej i dla was inne miejsce.

– Dziękuję panu – odparła Leia z lekką ulgą. – Proponowałabym zaciszny hotel, w którym zatrzymują się istoty wielu ras... taki, w którym istota ludzka, Mungra i Ishi Tib nie będą rzucali się w oczy. – Przycisnęła odpowiedni klawisz i tak przekroczyła komputerowy notes, żeby gospodarz mógł zobaczyć informację na ekranie. – Prawdopodobnie ten byłby najlepszy – dodała.

Chivkyrie wzdygnął się z wyraźnym przerażeniem.

– To miejsce nie nadaje się nawet dla Adarian piątej kategorii – powiedział. – Jeżeli nalega pani na zamieszkanie w hotelu, proszę pozwolić mi wybrać jakiś bardziej odpowiedni dla gości pierwszej i drugiej kategorii.

[Przypuszczam, że księżniczka Leia celowo wybrała hotel dla gości niższej kategorii], zasugerował Slanni.

– Dyrektor Slanni ma rację – potwierdziła Leia. Miała nadzieję, że kolejne wstrząsy, następujące tak szybko jeden po drugim, nie oszołomiły Chivkyriego zaudto. – Jeżeli nasi prześladowcy się zorientują, że zaprosił nas tu Adarianin drugiej kategorii, zaczną przeszukiwanie miasta od najlepszych hoteli.

– I właśnie dlatego wolelibyśmy się w nich nie zatrzymywać – dodał Yokkoli.

Chivkyrie westchnął.

– Muszę się zgodzić na prośbę moich gości, chociaż naprawdę sprawia mi to ból – oznajmił. – Wydam polecenie moim sługom, żeby wszystko załatwili.

– To nie będzie konieczne – wtrąciła Leia, z trudem zachowując cierpliwość. Zastanawiała się, jakiej części zwrotu „nie rzucać się w oczy” nie rozumie Chivkyrie. – Znajdziemy w kosmoporcie jakiś środek transportu i po prostu polecimy nim do tego hotelu.

– Ale...

– Uczyniłby pan nam wielki zaszczyt, wyrażając zgodę – dodała księżniczka.

Chivkyrie skrzywił się, jakby zjadł nieświeżą gruffę, ale w końcu niechętnie kiwnął głową.

– Niech będzie – powiedział. – A zatem i ja zatrzymam się w tamtym hotelu. Okryłbym się niesławą, gdybym mieszkał w bardziej komfortowych warunkach niż goście wyższej kategorii. – Kiwnął głową Slanniemu. – Czy choćby nawet goście o jedną kategorię niższą.

– Doceniamy pańską chęć służenia nam w taki sposób – odezwała się Leia. – Kiedy tylko się tam rozgościmy, będzie pan mógł się skontaktować z szefem administratorów Disrą, żeby umówić się na spotkanie.

Wybrany przez Leię hotel nie był tak obskurny, jak Chivkyrie się obawiał. Składał się z trzech wysokich budynków, wzniesionych wokół niewielkiego dziedzińca, na którym jednak znalazło się miejsce dla dwóch starannie utrzymanych ogrodów. Same pokoje były duże i wygodnie umeblowane.

Naturalnie hotel nie oferował gościom pełnego zakresu usług rekreacyjnych, w jadłospisie nie uwzględniono gustów istot poszczególnych ras, a indywidualnym klientom nie przydzielano osobistych androidów. Chivkyrie wytknął te braki z wyraźną dezaprobatą, ale Leia i pozostali zapewnili go, że dadzą sobie radę.

Kiedy skończyli się rozpakowywać, zgromadzili się w apartamencie Lei, skąd Chivkyrie skontaktował się z Disrą przez komunikator.

Podczas ich krótkiej, ogólnikowej rozmowy nie padło ani jedno nazwisko.

– Spotka się z nami za godzinę na północnych obrzeżach targu kwiatowego – poinformował Adarianin, odkładając komunikator. – Dotrzemy tam powietrzną taksówką w ciągu pięciu minut.

– A gdybyśmy poszli piechotą? – zaproponowała Leia.

Chivkyrie wyduł wargi z wyraźną dezaprobatą, ale widocznie już wiedział, że nie ma sensu spierać się o takie szczegóły z kłopotliwym gościem, który nie przywiązuje żadnej wagi do hierarchii społecznej.

– Czerdzieści minut – powiedział. – Może mniej.

[Czy Disra przyjdzie sam?], zainteresował się Slanni.

– Tak, jak zresztą zawsze – zapewnił go Chivkyrie.

– A zatem chodźmy – odezwała się księżniczka, starając się stłumić przygniatające ją przecucie naciągającego niebezpieczeństwa. W końcu nawet jeżeli gubernator Choard knuł podstępne plany, nie było powodu, dla którego on czy Disra mieliby zmienić przebieg pierwszego spotkania. – Chciałabym mieć kilka minut na rozejrzenie się po okolicy, zanim Disra przybędzie na umówione miejsce.

To był i tak parszywy dzień, pełen frustracji i niespełnionych nadziei, więc Disra piął się w duchu, kiedy płacił za przelot powietrzną taksówką i schodził z pomostu na zatłoczoną ulicę śródmieścia Makrim City. Czełało go jedno z tych ciągnących się bez końca spotkań z Chivkyriem, podczas których musiał przestrzegać wymogów adariańskiej etykiety. W dodatku nic nie wskazywało, żeby w najbliższym czasie jego sytuacja miała ulec poprawie. Disra doszedł do wniosku, że

im szybciej będzie miał to za sobą, tym lepiej.

Nagle wydarzenia zaczęły się toczyć nie po jego myśli. Caaldra włamał się do imperialnych baz danych, ale nie znalazł w nich niczego na temat rzekomego agenta Imperium. Drużyny szurmowców, które pojawiły się na planetach Drunost i Rankinge, rozplynęły się w powietrzu, jakby nigdy nie istniały, a obecnie statek z ładunkiem, na który tak bardzo liczył Caaldra, żeby powetować sobie utratę blasterowych karabinów, także zniknął bez śladu, a wraz z nim jeden ze statków Krwawych Szram.

Działo się coś złego, coś bardzo złego. Trzeba było zapanować nad sytuacją, i to jaknajszybciej.

Pogrążony w zadumie Disra nie zauważył Chivkyriego, dopóki Adarianin nie zaczął iść obok.

– Witaj, admin... Poszukiwaczu Przyjaciół – zająknął się Chivkyrie, jak zawsze gotów powitać Disrę właściwym tytułem. – Jesteśmy zaszczytzeni twoją obecnością. Tędy, proszę.

Kiedy Chivkyrie skręcił w lewo, Disra zmarszczył brwi. My? – powtórzył w myśli. Czyżby ten idiota zaprosił na spotkanie swoich rebelianckich podwładnych albo, co gorsza, służących? Do tego, żeby ten dzień się zakończył kompletną katastrofą, brakowało tylko podania jego nazwiska do publicznej wiadomości, aby mógł je poznać każdy znajdujący się przy padkim w pobliżu szpieg Imperium.

Podążając za Chivkyriem, obszedł kępę miniaturowych drzew mii i skierował się w stronę jednego z negocjacyjnych stolików, rozmieszczonych w wielu strategicznych miejscach targu kwiatowego. Siedzieli już przy nim, nerwowo rozglądając się na boki, Mungra z kudłatą grzywą, odrażająco brzydki Ishi Tib...

... i księżniczka Leia Organa z nieistniejącego już i nieopłakiwanego przez nikogo Alderaana.

Disra poczuł nagle, że powietrze w płucach pali go niczym rozżarzone węgle. Oto niespełna pięć metrów od niego siedziała jedna z najzacieklej ściganych osób w galaktyce.

Tu, w jego mieście.

Stawiając nogę za nogą wyłącznie siłą woli, miał nadzieję, że dzięki wieloletniej wprawie w politycznych machinacjach nie okaże na twarzy żadnych uczuć. Zanim usiadł na jednym z dwóch wolnych miejsc przy stole, odzyskał panowanie nad sobą.

– Pozdrawiam was wszystkich – powiedział, kiedy Chivkyrie zajął miejsce obok niego. – Mój przyjaciel wspominał, że zaprosi gości.

– To są Aurek Besh i Cresh – odezwał się Chivkyrie, przedstawiając kolejno Organę, Mungrę i Ishi Tibę.

Falszywe nazwiska zaczynające się od trzech pierwszych liter alfabetu, pomyślał Disra. Co za oryginalny pomysł.

– Jestem zaszczycony – oznajmił, pamiętając o tym, żeby nadać twarzy wyraz lekkiej czujności, jak przystało na kogoś, kto rzekomo zamierza się dopuścić zdrady stanu. – Jesteście znajomymi mojego przyjaciela Poszukiwacza, prawda?

– Przylecieliśmy tu, żeby się o tym przekonać – odparła beznamiętnym tonem Organa. Na jej twarzy, wyćwiczonej w tej samej szkole co twarz Disry, także nie malowały się żadne emocje.

Administrator rozejrzał się wokół i stwierdził, że nikt nie zwraca na nich uwagi. Wiedział, że stoliki na targu mają wbudowane generatory pół tłumiących dźwięki, aby negocjatorzy mogli swobodnie prowadzić rozmowy.

– Na pewno chcielibyście się czegoś dowiedzieć – stwierdził. – Proszę, pytajcie, o co chcecie.

– Na razie nie zapytam, czy rzeczywiście gubernator Choard zamierza się na to zdecydować – zaczęła Organa i urwała na chwilę. Disra zauważył ze skrywanym rozbawieniem, że księżniczka obserwuje go uważnie, jakby szukała na jego twarzy reakcji na pytanie, którego nie zamierzała zadawać. – A zatem przejdźmy od razu do rzeczy – podjęła po chwili. – Jakim cudem ktokolwiek, choćby nawet sam gubernator sektora, może zgromadzić dość sił i środków, żeby rzucić wyzwanie całemu Imperium?

– Zapewniam, że nie moglibyśmy o tym nawet marzyć bez pomocy sojuszników – odparł Disra. – Jeżeli się zgodzicie, będą nimi pani i jej przyjaciele. Jeżeli nie wyraziacie zgody, znajdą się inni.

– Kim są ci inni?

Disra pokręcił głową.

– Podobnie jak pani, wolą pozostawać anonimowi – powiedział.

– Zadowolę się suchą oceną ich siły.

Disra wydał wargi i zaczął udawać, że zastanawia się nad jej prośbą. Miał w kieszeni dane statystyczne na temat Krwawych Szram, a także współpracujących z nimi band piratów i rozbójników. Przechowywał je w odpowiednio zaszyfrowanych plikach swojego komputerowego notesu. Gdyby je przedstawił od razu, w ciągu następnej godziny Organa i jej przyjaciele mogliby odlecieć z tej planety.

– Dobrze, podam je pani – odezwał się w końcu. – To jednak potrwa kilka godzin, bo muszę wrócić do gabinetu i je ściągnąć. – Przeniósł spojrzenie na Chivkyriego. – Mam nadzieję, że zamieszkała pani w domu mojego przyjaciela?

– Postanowiliśmy zatrzymać się gdzieś indziej – wyjaśniła Organa.

– Rozsądny pomysł – pochwalił Disra. – Jak mogę się z panią skontaktować?

– To my skontaktujemy się z panem jutro rano – obiecała Leia, wstając od stolika.

Disra uniósł brwi i spojrzał na nią.

– Nie ma pani więcej pytań? – zagadnął od niechcenia.

– Muszę się przedtem zapoznać z danymi o pańskich sojusznikach – odparła księżniczka, kiedy trzej pozostali konspiratorzy także zerwali się na nogi. – Może wtedy będę potrzebowała pana odpowiedzi.

Kiwnęła głową i wszyscy czworo odeszli.

Disra spiorunował ich spojrzeniem. Obserwował, jak omijają drzewa mii i znikają w tłumie. Spotkanie trwało krótko. Zbyt krótko. Nie zdążył zadać żadnego z tuzina przygotowanych pytań na temat przywódców Sojuszu Rebeliantów. Nie dowiedział się, czy Organa przyjechała sama, czy też może w towarzystwie kogoś z nich.

Zamiast tego księżniczka przerwała dyskusję, jeszcze zanim na dobre się zaczęła. Czyżby zwiertzyła pismo nosem i jakimś cudem poznała jego prawdziwe zamiary?

A może już od dawna je знаła? Może to, co i on, i Caaldra uważali za rezultat działalności imperialnego agenta, w rzeczywistości było skutkiem wariackiej operacji Rebeliantów?

No cóż, jeżeli nawet, to Organa nie powinna mieć z tego żadnej satysfakcji. Disra wyjął komunikator i połączył się z Kontrolą Kosmoportu.

– Tu szef administratorów Disra – powiedział, kiedy zgłosił się operator. – Proszę natychmiast wprowadzić w życie zakaz odlotu wszystkich statków z istotami ludzkimi na pokładzie, czy to jako członkami załóg, czy też pasażerami.

– Słucham? – zapytał wyraźnie zdumiony operator.

– Nie słyszałeś, co powiedziałem? – warknął Disra, kierując się w stronę platformy powietrznych taksówek – Od tej chwili macie poszukiwać zbiegów. Proszę także umieścić ten rozkaz w HoloNecie, do wiadomości władz wszystkich pozostałych kosmoportów i planetarnych systemów transportu.

– Ale, proszę pana, nie możemy po prostu zarządzić...

– Możecie i zarządzić – uciął Disra. – W ciągu najbliższej godziny prześlę wam rysopis i dane biometryczne poszukiwanej osoby. Kiedy je otrzymacie, możecie zacząć przepuszczać wszystkich innych ludzi. Na razie jednak z tej planety nie może odlecieć żadna istota ludzka. Czy to jasne?

– Tak jest, proszę pana – odparł kontroler, chociaż w jego głosie dało się wyraźnie słyszeć niezadowolenie.

Disra przerwał połączenie i wpisał kod korporacji powietrznych taksówek. Powrót do gabinetu nie powinien mu zająć więcej niż dwadzieścia minut, a prawdopodobnie następne dziesięć potrwa opracowanie plakatu z portretem, rysopisem i danymi biometrycznymi Organów. Oznaczało to, że za trzydzieści minut wszyscy Rebelianci znajdą się w pułapce.

Dopiero wówczas będzie się mógł połączyć przez HoloNet i odbyć rozmowę, na którą czekał od tak dawna. Na rozmowę, która pozwoli mu awansować w hierarchii imperialnej władzy.

– Zechce mi pani wybaczyć tę uwagę, ale zachowała się pani bardzo nieuprzejmie – skarcił Chivkyrie Leię, kiedy wszyscy czworo pokonywali kręty szlak między budkami i straganami z kwiatami. – Disra był gościem przy moim stole.

– A ja chciałem mu zadać kilka pytań – dodał Vokkoli, wyraźnie zdezorientowany.

Leia zignorowała ich, zwracając całą uwagę na otaczających ją przechodniów. Instynkt, jaki wyrobiła sobie w ciągu ostatnich lat życia, podpowiadał jej, że powinna się jak najszybciej wynieść z tej planety.

– Może gdybym się z nim skontaktował i przeprosił... – nie dawał za wygraną Chivkyrie.

– Nie skontaktuje się pan – ucięła ostro Leia. – Nigdy więcej nie odbędzie pan z tym osobnikiem żadnej rozmowy.

[O co chodzi?], zapytał Slanni, a energiczne kłapanie dziobem i wysoki ton wydawanych dźwięków wskazywały, że Ishi Tib jest w najwyższym stopniu wyprowadzony z równowagi. [Co się stało?].

– Właściwie nie jestem pewna – powiedziała z namysłem księżniczka. – Było w nim jednak coś... strasznego, coś złego.

– Daje się pani ponosić wyobraźni – obstawał przy swoim Chivkyrie. Ton jego głosu także uległ subtelnej zmianie. – Nigdy dotąd nie dał mi powodu do niepokoju.

– Bo nigdy dotąd nie towarzyszyłam panu podczas spotkań z nim – odparła Leia.

Jej niejasne dotąd obawy nagle zaczęły się krystalizować. Do tej pory Imperium starało się utrzymywać w tajemnicy rolę, jaką odgrywała w Rebelii, prawdopodobnie z obawy, żeby jej postać nie stała się źródłem inspiracji dla niezadowolonych obywateli. Tymczasem Disra na pewno ją rozpoznał, ale księżniczka nie wyczuwała w nim ani szacunku, ani trwogi. Administrator zamierzał ją wydać w ręce siepaczy Imperium.

A jeżeli nie był sympatykiem Rebelii, za jakiego starał się uchodzić, prawdopodobnie nie był nim także gubernator Choard.

Od samego początku miała rację: próby uniezależnienia sektora Shelshy od Imperium były tylko sprytnie zastawioną pułapką. Leia spojrzała na Chivkyrie.

– Musimy się stąd dostać – powiedziała. – Z powierzchni tej planety i z tego sektora. Najszybciej jak można.

– Przesadza pani, księżniczko – odparł zdezorientowany Chivkyrie, marszcząc brwi. – Przyznam, że trzeba trochę czasu, aby się przyzwyczaić do manier administratora Disry...

– Odlatujemy – ucięła Leia. – Jeżeli jest pan rozsądny, odleci pan z nami.

– Niech pani nie będzie śmieszna! – wybuchnął zirytowany Adarianin, widocznie na chwilę zapominając, że Leia stoi w hierarchii społecznej o szczybel wyżej niż on. – To moja rodzinna planeta!

– Jak pan sobie życzy – zgodziła się Leia, rozglądając się w poszukiwaniu stanowiska powietrznych taksówek – Proszę natychmiast połączyć się z pilotem i kazać mu przygotować statek do startu.

Chivkyrie bez słowa włączył komunikator i wpisał odpowiedni kod. Kiedy usłyszał odpowiedź, zaczął trąkotać po adariańsku. Leia się skrzywiła. Nie znała dobrze obyczajów Adarian, ale wiedziała, że prowadzenie rozmowy w języku, którego gość z wyższej kategorii nie rozumie, stanowi rażące pogwałcenie reguł etykiety. Wszystko wskazywało, że w ciągu ostatnich kilku minut straciła na znaczeniu w oczach Chivkyrie co najmniej dwie kategorie.

A to oznaczało, że Adarianin ani myśli dłużej słuchać tego, co Leia ma mu do powiedzenia. Wbrew jej zaleceniom zamierzał nadal realizować własny plan wyprowadzenia swojej grupy z Sojuszu Rebeliantów. Leia wiedziała, że jeżeli mu na to pozwoli, jego śladami podążą inni, a potem prawdopodobnie cała delikatna konstrukcja Sojuszu legnie w gruzach.

W końcu Chivkyrie skończył rozmowę i schował komunikator do szuflki u pasa.

– Jak szybko będziemy mogli stąd odlecieć? – zainteresował się Slanni.

Chivkyrie spojrzał na Leię.

– Pani nie odleci – oznajmił ponuro. – Od tej pory istoty ludzkie nie mogą opuszczać powierzchni Shelkonwy.

Vokkoli raptownie przy stanął.

– Co pan mówi? – zapytał.

– Wszystko wskazuje na to, że księżniczka Leia miała rację – stwierdził Chivkyrie, kłaniając się jej nisko w geście pokory i skruchy. – Administrator Disra nas zdradził.

– Niekoniecznie nas wszystkich – sprostowała Leia, myśląc intensywnie. Niewątpliwie to ona była głównym celem Disry, ale należało się spodziewać, że administrator niebawem uniemożliwi odlot także Mungrom i Ishi Tibom, choć jeszcze taka decyzja nie została podjęta. – Powiedział pan, że zakaz dotyczy tylko istot ludzkich – podjęła po chwili. – Jeżeli wszyscy trzej dostaniecie się zaraz na pokład statku, może zdążyście opuścić planetę, zanim Disra rozciągnie zakaz na istoty waszych ras.

– Tak musicie lecieć – zawtórował jej Chivkyrie, zanim pozostali zdążyli się odezwać, i znów wyjął komunikator. – Każę mojemu pilotowi..

– Nie – sprzeciwił się stanowczo Vokkoli. – Nie porzucimy w niedoli naszej sojusznicy.

– Nawet gdyby wasza obecność miała zwiększyć niebezpieczeństwo, jakie już i tak mi zagraża? – zapytała księżniczka. – Nie zapomnijcie, że Disra widział nas wszystkich razem. Łatwiej będzie się ukryć samotnej istotce ludzkiej niż tej samej istotce w towarzystwie Ishi Tiba i Mungry.

[Niestety, pani słowa mają sens], przyznał niechętnie Slanni.

Leia odwróciła się do Chivkyrie.

– Pan także powinien odlecieć, ale raczej nie na pokładzie własnego statku – doradziła. – Prawdopodobnie Disra polecił swoim podwładnym, żeby nie spuszczała go z oka. Proszę wejść na pokład pierwszego odlatującego transportowca i uciekać.

W końcu dotarli do platformy powietrznych taksówek. Leia zauważyła, że w ich kierunku opada jeden z jaskrawo polakierowanych pojazdów.

– Oni odlecają, ale ja zostanę – zdecydował stanowczo Chivkyrie. – Jest pani moim gościem, a to moja rodzinna planeta.

– Chivkyrie... – zaczęła księżniczka.

– Jest pani moim gościem, a to moja rodzinna planeta – powtórzył z uporem Adarianin, po czym spojrział na Vokkoliego i Slanniego. – Wy odlatujcie, i to jak najszybciej. Służcie nadal Sojuszowi i sprawie wolności. – Przybrał uroczysty wyraz twarzy. – I żyjcie dalej w świadomości, że wy i wasza organizacja mieliście rację.

– Odlecimy dla dobra naszych ziomków – odparł z powagą Vokkoli. – Będziemy się cały czas modlili, żeby nie przypłacił pan swoich błędów życiem. – Wyciągnął rękę i dotknął czubków palców Chivkyrie. – Niech Fortuna ochrania pana swoim uśmiechem.

Slanni w milczeniu się uklonił. Już po chwili powietrzna taksówka z dwiema obcy mi istotami na pokładzie wzniosła się w powietrze i skierowała do kosmoportu.

– I was także – rzucił w ślad za nią Chivkyrie, obserwując, jak pojazd znika nad iglicami miejskich budynków. W końcu odwrócił się do Leii. – Proszę ze mną – powiedział, ujmując ją za rękę. – Wrócimy do hotelu po pani rzeczy. – Obdarzył ją wstydliwym uśmiechem. – A później Adarianin udowodnił pani, że wie, co to dyskrecja.

Kiedy Disra wpadł do pałacu gubernatora, przekonał się, że wrze w nim jak w ulu. Przebił się przez tłum podnieconych pracowników, nie zwracając uwagi na kierowane ze wszystkich stron pod jego adresem pytania i żądania. Chciał jak najszybciej dotrzeć do swojego gabinetu.

Niestety czekała tam na niego jedyna osoba w Makrin City, której nie mógł zignorować.

– Na wszystkie ognie przestworzy, co się właściwie dzieje? – zapytał napastliwym tonem gubernator Choard. Na jego okolonej krzaczastą brodą twarzy malowała się dezorientacja i wściekłość. – Powiedziano mi, że kazał pan zamknąć wszystkie kosmoporty! Czy to prawda?

– Tylko dla ludzi – zastrzegł uspokajającym tonem Disra, starając się go ominąć. – Miałem dobry powód.

Tym razem jednak jego zwierzchnik nie pozwolił się zbyć ogólnikami. Choard wyciągnął potężną rękę i zacisnął palce na kołnierzu kurtki podwładnego.

– Chcę poznać ten dobry powód – zażądał z furią.

Disra zgrzytnął zębami i zaczął szybko wymyślać stosowne kłamstwa.

– Otrzymałem informację, z której wynikało, że ktoś zamierza obrabować magazyn Nightowk – odezwał się w końcu. – Przekazano mi wprawdzie tylko rysopis kobiety należącej do tej bandy...

– Nightowk? – przerwał Choard, wysuwając do przodu szpiczastą brodę.

– ... i doszedłem do oczywistego wniosku, że rabusie zamierzają ukraść dzieła sztuki, które oddał pan tam na przechowanie – dokończył Disra kategorycznym tonem. – Chciałbym jak najszybciej przesłać ten rysopis do władz wszystkich kosmoportów, żebyśmy mogli się zająć odszukaniem jej i umożliwieniem odlotu wszystkim innym złodziejom, którzy chcieliby opuścić naszą planetę.

– Tak, tak, naturalnie – mrknął gubernator w zadumie i puścił kołnier kurtki podwładnego. – Proszę przy okazji zarządzić, żeby strażnicy magazynu Nightowk wzmogli czujność.

– Właśnie taki miałem zamiar – odparł Disra, wyglądając fałdy kurtki. Pokonał resztę odległości do swojego biurka i usiadł. – Na pewno ma pan inne, ważniejsze sprawy – przypomniał delikatnie.

Kilka następnych sekund Choard się nie ruszał. Disra wyjął komputerowy notes i zaczął przeglądać zbiory danych. Miał nadzieję, że gubernator nie zamierza pozostać w jego gabinecie, żeby nadzorować całą operację. W końcu jednak jakby słowa administratora ukołysały jego niepokój o drogie kradzione dzieła sztuki, Choard odwrócił się i ruszył do wyjścia.

Disra odprowadził go spojrzeniem, wracając pamięcią do pierwszego swojego spotkania z gubernatorem, jakie miało miejsce przed trzema laty. Zorientował się od pierwszej chwili, że Choard ma słabości, które da się znakomicie wykorzystać. Disra spędził wiele pracowitych godzin, starając się poznać te słabości.

Domyślał się, że w ciągu następnych kilku dni może będzie musiał je wreszcie wykorzystać.

Przekazanie operatorom Kontroli Ruchu Powietrznego rysopisu Organy zajęło mu tylko kilka minut. Rozmowa trwałaby jeszcze krócej, gdyby mógł im przekazać jej nazwisko, bo rysopis i wszelkie inne dane niewątpliwie znajdowały się gdzieś w bazach danych osób poszukiwanych przez Imperium. Na razie jednak postanowił zachować tę ważną informację w tajemnicy. Przełączył komunikator na łączność z HoloNetem i wpisał specjalny kod gubernatora, umożliwiający bezpośrednią łączność z Imperialnym Pałacem.

– Mówi szef administratorów Vilim Disra z Shelkonwy w sektorze Shelshy – powiedział, kiedy nad holograficzną płytką odbiornika pojawił się obraz rozmówcy. – Mam pilną wiadomość dla Imperatora albo dla Lorda Vadera.

– Proszę ją przekazać mnie – odparła funkcjonariuszka z beznamiętnym wyrazem twarzy. Mówiła tonem osoby, która spędziła pół życia, wysłuchując oficjalnych oświadczeń, skarg i podobnych głupstw.

– Proszę im powiedzieć, że odnalazłem księżniczkę Leię Organę z Alderaana – oznajmił Disra. – I że uniemożliwiłem jej ucieczkę z planety.

Zauważył z nieklamną satysfakcją, że oczy kobiety rozszerzyły się ze zdumienia.

– Jedną chwilę – rzuciła operatorka systemu łączności niespodziewanie ożywionym, profesjonalnym tonem. – Połączę pana bezpośrednio z okrętem dowodzenia Lorda Vadera.

Rozdział 15

Mara się obawiała, że obiad u Krwawych Szram okaże się niewyśzukany i bez smaku, niewiele lepszy niż okrętowe racje żywnościowe. Ku swojemu zaskoczeniu stwierdziła jednak, że uczestniczy w prawdziwej, choć skromnej uczcie, podobnej do bankietu wydanego z okazji Święta Plonów. Jeden z podwładnych Komodora był całkiem niezłym szefem kuchni.

Prawdziwy powód, dla którego piraci zadali sobie tyle trudu, stał się oczywisty w chwili, kiedy Komodor skosztował pierwszego dania. Ostre rysy jego twarzy złagodniały, a błysk szaleństwa w oczach zniknął. Kiedy na stole pojawiło się drugie danie, mężczyzna sprawiał wrażenie niemal normalnego.

Mara siedziała w środkowej części stołu, wcisnięta między jednego z poruczników a kapitana frachtowca, który chyba przyjechał do bazy z kurtuazyjną wizytą. Vinis, którego podbródek przybrał siną barwę w miejscu, gdzie wylądowała kolba blastera Mary, stał bez słowa za jej plecami niczym osobisty kelner, a niewątpliwie także osobisty strażnik. Brock i Gilling siedzieli przy dwóch innych stołach, mając za plecami własnych kelnerów-strażników. Tannis zajmował miejsce przy czwartym stole i chociaż brał udział w rozmowie, Mara zauważyła, że pilot pirackiego statku poświęca jej niemal całą uwagę. Nie zdziwiła się specjalnie, że nie widzi nigdzie Caaldry.

Podczas obiadu nikt nie zadawał jej żadnych pytań i Mara zrozumiała, że Komodor kocha jedzenie za bardzo, żeby mieszać je z interesami. Czy to dzięki wyraźnemu rozkazowi, czy też nauczeni doświadczeniem, siedzący wokół Mary piraci nie rozmawiali o bieżących planach, liczbie okrętów floty Krwawych Szram ani o niczym innym związanym z organizacją pirackiej bazy. Gawędzili za to na najróżniejsze blahe tematy, jakie Mara słyszała podczas niezliczonych formalnych i niezapelnie formalnych przyjęć, w których brała udział w wielu miejscach galaktyki. Słownictwo piratów stanowiło ciekawy kontrast z plugawym językiem, jakim posługiwali się na co dzień.

Po skończonym posiłku Komodor zaprowadził Marę i obu funkcjonariuszy IBB do niewielkiej sali konferencyjnej i dopiero tam negocjacje rozpoczęły się na dobre.

Mara pamiętała, kiedy pierwszy raz brała udział w takich targach. Rozmawiała wówczas o głupstwach z kimś święcie przekonanym, że omawia poważne zagadnienia. Pierwsze takie rozmowy zrobiły na niej surrealistyczne wrażenie, zupełnie jakby to ona zatraciła poczucie rzeczy wistości. Obecnie takie negocjacje stanowiły dla niej chleb powszedni.

– Proponuję podział siedemdziesiąt procent dla nas, trzydzieści dla was – zaczęła Mara. – Musi pan tylko sprecyzować, który statek albo jaki rodzaj statku chce pan dostać, a my zajmiemy się całą resztą.

– A czego oczekujecie od nas w zamian za te trzydzieści procent? – zainteresował się Komodor.

– Choćby ochrony przed rywalizującymi bandami i władzami – odparła Mara. – Bezpiecznych miejsc, gdzie moglibyśmy odprowadzać opanowane statki. Od czasu do czasu przydzieli nam pan dodatkowy personel, jeżeli okaże się to potrzebne.

– Moim zdaniem powinniśmy się dzielić w stosunku sześćdziesiąt do czterdziestu, ale sześćdziesiąt dla nas – zasugerował Komodor.

– To za dużo, zważywszy, że to my będziemy wykonywali całą robotę – sprzeciwiła się Mara.

– Wcale nie, jeżeli weźmiemy pod uwagę, że będziecie mieli Krwawe Szramy i naszych klientów za sojuszników – zauważył herszt piratów z błyskiem w oczach. – Za sojuszników, nie za wrogów.

– Co racja, to racja – przyznała Mara. – Niestety, nie mam prawa wykraczać aż tak daleko poza granice wyznaczone przez mojego szefa. Czy mogłabym skorzystać z pańskiego łącza HoloNetowego, żeby to z nim przedyskutować?

Kątem oka zauważyła, że Brock poruszył się niespokojnie na krześle, ale Komodor tylko się uśmiechnął.

– Wystarczy, jeżeli zrobisz to jutro – powiedział. – Zawsze daję przyszyły sojusznikom szansę przespania się z decyzją. Oczywiście spędzicie u nas noc, prawda?

– Bylibyśmy zaszczytzeni – stwierdziła Mara. – Nie chcielibyśmy jednak sprawić panu kłopotu. Jeżeli nie ma pan nic przeciwko temu, przenocujemy na pokładzie „Drogi Hoppera”.

– Nawet o tym nie myśl – obruszył się Komodor. – Vinis zaprowadzi was do waszych kwater.

Wskazany przez pirata pokój znajdował się na najwyższym poziomie jednego z dwupiętrowych budynków bazy. Było tu tylko jedno okno, z którego rozciągał się widok na odległy kompleks górniczy. Mara zauważyła, że sterty gruzu tuż pod oknem skutecznie zniechęciłyby każdego, kto zechciałby schodzić po murze.

Na szczęście nie zamierzała wędrować w dół, lecz w górę.

Odczekała trzy godziny, aż zgasną światła we wszystkich oknach, z których można byłoby ją zobaczyć, i ucichną ostatnie odgłosy dobiegające z korytarza... z wyjątkiem szurania stóp strażników, których Komodor postawił za drzwiami i jej pokoju.

Jak większość cywilnych ubrań Mary, ciemnozielony kombinezon zaprojektowano tak, żeby mógł pełnić także inną rolę. Mara zdjęła go i wyrzuciła na czarnoszarą, bojową stronę, po czym znów się ubrała. Wyjęła z włosów ozdobny grzebyk, który wzbudził takie podejrzania piratów, i rozłożyła go na części jak drucianą łamigłówkę. Po powtórnym złożeniu powstały z niego dwa zakończone szpikulcami kastety. Otworzyła okno, wyslizgnęła się na zewnątrz i oddychając chłodnym nocnym powietrzem, zaczęła się wspinać.

To była jedna z najtrudniejszych wspinaczek w jej życiu. Gładka ściana budynku nie miała ozdób czy występów, które mogłaby wykorzystać podczas wspinaczki. Na szczęście wskutek wielu lat oddziaływania czynników atmosferycznych utworzyły się w murze niewielkie pęknięcia, w które można było wbijać szpikulce kastetów. Mara pocieszała się myślą, że nie musi się wspinać wysoko.

Zanim wystawiła głowę nad poziom dachu, wyostrzyła wszystkie zmysły, by sprawdzić, czy Komodor nie kazał tam rozmieścić obserwatorów czy strażników. Nikogo jednak nie wyczuli, więc przetoczyła się na dach, schowała kastety do kieszeni i bezszelestnie przebiegła na drugą stronę budynku, do miejsca, gdzie ukryła rękojeść świetnego miecza.

Przekonała się jednak, że jej broń zniknęła.

Czując przyspieszone uderzenia pulsu, przeszła kilka razy tam i z powrotem wzdłuż rynny, w której umieściła miecz. Zastanawiała się, czy przypadkiem się nie pomyliła, ale doszła do wniosku, że to niemożliwe. To było właściwe miejsce... zauważyła ślad odcisnięty w kurzu w miejscu, gdzie pozwoliła mieczowi opaść na dno rynny. Ktoś musiał go znaleźć i zabrać.

Co oznaczało, że ktoś odkrył jej tajemnicę.

Mara kućnęła, zmusiła się do zachowania spokoju i zaczęła intensywnie myśleć. Komodor wiedział, że jedno z jego gości jest kimś innym niż osoba, za którą się podaje. Czy to jednak oznaczało, że podejrzewa właśnie ją?

A jeżeli już o tym mowa, czy będzie podejrzewał kogokolwiek z ostatnich gości? Caaldra starał się zwerbować członków wielu band, więc w ciągu poprzednich tygodni Krwawe Szramy gościły prawdopodobnie dziesiątki osób. Któraś z nich mogła przecież ukryć broń, w nadziei, że posłuży się nią później. To mogłoby tłumaczyć, dlaczego Marę i pozostałych zaproszono na obiad, zamiast na przesłuchanie w sali z kompletem sprzętu do torturowania opornych więźniów.

To jednak wcale nie oznaczało, że Mara może się odprężyć. Musiała się dostać do ośrodka dowodzenia, włamać do bazy danych i spróbować wydobyc z niej nazwisko tajemniczego klienta Komodora, potem zaś zabrać Brocka oraz Gillinga i jak najszybciej odlecieć.

Mniej więcej pośrodku dachu znajdował się niezabezpieczony wylot klatki schodowej. Mara wślizgnęła się przez otwór i zaczęła schodzić. Na klatce było pusto, podobnie jak na korytarzach, którymi przemyciała. Nikogo nie zobaczyła także w cylindrycznym przejściu do sąsiedniego budynku, w którym znajdował się ośrodek dowodzenia. Wokół wyczuwała tylko umysły osób pogrążonych w głębokim śnie. Nie wiedziała, co knuje Komodor, ale nie mogła mu odmówić zimnej krwi.

Dopiero kiedy szła korytarzem w kierunku ośrodka dowodzenia, wyczuliła przed sobą obecność istot ludzkich. Pod ścianą korytarza zobaczyła regał ze sprzętem pozostawionym przez górników. Stanęła z boku mebla, uwolniła myśli i

posługując się Mocą, wysłała je przed siebie. Wyczuła za drzwiami na końcu przytarza dwie osoby... w pełni przytomne i gotowe do akcji. Znacznie bardziej czujne niż mogłoby być o tej porze nocni strażnicy. Doszła do wniosku, że może właśnie tam, w ośrodku dowodzenia, Komodor zamierza się z nią ostatecznie rozprawić.

Uświadomiła sobie, że nie nie zyska, jeżeli będzie się ociągała. Omiotła spojrzeniem regał w poszukiwaniu czegoś, co mogłoby jej posłużyć za broń. Znalazła parę energetycznych złączy wielkości pięści i zdjęła je z półki. Podeszła do drzwi i wpisała odpowiedni kod, a kiedy płyta schowała się w ścianie, wbiegła do środka i od razu skręciła w prawo.

Była noc, więc zgodnie ze standardową procedurą w dużym pomieszczeniu panował półmrok. Mimo to Mara dostrzegła kilkanaście konsol w kilku rzędach. Przed każdą stało jedno albo dwa krzesła. W ścianie po drugiej stronie sali znajdowało się szerokie transpasteralne okno, przez które było widać oświetlony blaskiem gwiazd odległy kompleks górniczy.

Na krzesłach nikt nie siedział. Całe pomieszczenie wyglądało na opustoszałe.

A przecież Mara kogoś tu wyczuła. Zmarszczyła brwi i uwolniła myśli, żeby sprawdzić następne pomieszczenie.

O mało nie przypłaciła życiem tej chwili nieuwagi. Na szczęście w porę dostrzegła błysk i kiedy skoczyła w kierunku środka sali, wystrzelona z lewej strony blasterowa błyskawica odłupała fragment ściany w miejscu, pod którym stała ułamek sekundy wcześniej. Mara zauważyła fragment twarzy osoby wychylającej się zza bocznej ściany jakiejś konsoli i rzuciła w tamtą stronę jedno z górniczych złączy energetycznych.

Jej napastnik usiłował się ukryć, ale zareagował trochę za wolno. Mara zauważyła, że złącze odbiło się od jego czoła. Usłyszała stłumione przekleństwo i twarz zniknęła.

Ale Mara rozpoznała ten głos.

– Brock? – zapytała, rezygnując z przetoczenia się drugi raz po posadzce sali.

Drugi raz o mało nie przypłaciła życiem chwili wahania. Z jej prawej strony ktoś wystrzelił drugą blasterową błyskawicę i Mara poczuła w ramieniu impuls bólu.

– Nie strzelaj! To ja! – warknęła, tłumiąc ból i dając susa w kierunku najbliższej konsoli. Zobaczyła błysk następnego strzału, który chybił, bo w tym czasie przelatywała nad konsolą. Zaraz potem powietrze przecięły dwie następne skwierczące błyskawice, wystrzelone z przeciwnych stron sali. Obie chybiły i Mara wyładowała za konsolą. Kucnęła między trzema ciałami leżącymi na posadzce, gdzie ktoś je zaciągnął i porzucił. Byli to niewątpliwie piraci, którzy na swoje nieszczęście pełnili tej nocy służbę w ośrodku dowodzenia.

– Kazałam wam wstrzymać ogień! – zawołała ponownie, odwracając głowę, żeby spojrzeć na ranę. Nie wyglądała na poważną. – Ogluchliście?

– Ależ skąd, słyszeliśmy cię wyraźnie – odparł Gilling. – Nie masz szans. Dlaczego nie wyjdiesz i nie ułatwisz nam zadania?

– Zwariowaliście, czy co? – wybuchnęła Mara. – Jestem imperialną funkcjonariuszką.

– Jesteś arogancką smarkulą, która przy padkiem wie więcej niż powinna – odciął się Brock – Przykro mi, dziecko, ale tylko wykonujemy rozkazy. Rozkazy, które wydał nam prawdziwy imperialny funkcjonariusz.

– Jaki znowu funkcjonariusz? – zdziwiła się Mara. – Komandor Ozzeł?

– Ten idiota? – prychnął pogardliwie Gilling. – Nie ma mowy!

– Zamknij się, Gilling – skarcił go drugi funkcjonariusz IBB. – Niemniej muszę mu przyznać rację. Tylko przedłużasz to, co nieuniknione.

– Wszystko mi jedno... i tak nie mam planów na tę noc – zadrwiła Mara. Przycisnęła plecy do konsoli, po czym spojrzała w prawo i w lewo. Poza krzesłami i sąsiednimi konsolami nie zobaczyła w pomieszczeniu innych mebli, za którymi mogłaby się ukryć. A jeżeli nie liczyć ostatniego złącza energetycznego i krzesel, nie miała nawet czym rzucić w napastników. Doszła do wniosku, że jej sytuacja nie jest korzystna. – Co takiego podobno wiem, co spędza sen z powiek pułkownika Somorila? – zapytała.

Wyczuła delikatną zmianę emocji obu napastników.

– Muszę przyznać, że jesteś bystra – stwierdził Brock. Sądząc z brzmienia jego głosu, funkcjonariusz IBB skraślał się chytkiem w jej stronę pod lewą ścianą ośrodka dowodzenia. – Z ciekawości zapytam, czy wiedziałaś o tych deztererach, zanim weszłaś na pokład „Odwetu”, czy też właśnie tej informacji szukałaś w bazach danych okrętowego komputera?

Mara zmarszczyła brwi. Deztererach? – zdumiała się w duchu.

– Nie wiem nic o żadnych deztererach – powiedziała. – A zresztą nic by mnie to nie obchodziło, nawet gdybym wiedziała. To problem marynarki, nie mój.

– Akurat – mruknął Brock z jadowitym sarkazmem. – Więc Imperatora nie obchodzi, jeżeli kilku szturmowców opuszcza swoje posterunki? Nic a nic, prawda?

– Szturmowców? – zapytała Mara, intensywnie nasłuchując. Jej przeciwnicy starali się uciec do bardzo starej sztuczki. Jeden gadał bez przerwy, żeby zagłuszyć kroki drugiego, który zamierzał niespodziewanie ją zaskoczyć.

Ale ten, co zagadywał, nie powinien udzielać jej prawdziwych informacji. Oznaczało to, że albo Brock jest po prostu głupi – co w przypadku funkcjonariusza IBB nie wchodziło w rachubę – albo on i Gilling są bardzo pewni siebie.

– Jeszcze nie wiecie, ale to się wam nie uda – poinformowała ich Mara. Uwolniła myśli i posłużyła się Mocą, żeby chwycić jedno z krzesel w pobliżu miejsca, gdzie, jak się spodziewała, zamierzał zaatakować Gilling, żeby skończyć z nią raz na zawsze. – Nawet działając ręką w rękę, nie dacie mi rady.

– Ejże, chyba jednak damy – odparł Brock – A jeżeli nie my, pojawiają się inni, żeby zakończyć to, co zaczęliśmy. Już niedługo.

W tej samej chwili Mara pochwyciła ledwo słyszalny szmer rozsuwanych drzwi pomieszczenia.

Brock dalej gadał, kiedy w pomieszczeniu aż się zaroilo od błyskawic blasterowych strzałów.

Mara skuliła się za konsolą i zmrużyła oczy, by chronić je przed dymem i szubującymi we wszystkie strony, ceramicznymi i metalowymi okruciami. Tymczasem kanonada trwała, ale – o dziwo – Mara zauważyła, że strzały lecą w kierunku kryjówek Brocka i Gillinga. Najpierw rozpadły się w kawałki konsoli, za którymi się ukrywali, a w końcu strzały dosięgły obu jej przeciwników. Ktoś wydał głośny rozkaz, którego Mara nie zrozumiała, i kanonada urwała się równie raptownie jak przedtem się zaczęła.

– Możesz już wyjść, Celino – odezwał się lodowatym tonem Komodor. – Trzymaj ręce nad głową. Puste. I żadnych sztuczek.

– W porządku – zawołała Mara. – Nie strzelajcie. Mam panu jeszcze coś do zaproponowania.

Położyła energetyczne złącze obok siebie na posadzce i wyężdżając zmysły, uniosła otwarte dłonie nad konsolą. Nikt nie otworzył ognia, więc Mara wstała i nie opuszczając rąk, odwróciła się w stronę swoich wybaczców.

Zobaczyła kilkastu piratów stłoczonych pod drzwiami. Wszyscy byli niekompletnie ubrani, ale kierowali ku niej lufy Masterów. Do ich grupy należeli także Vinis i Waggral. Mara zwróciła uwagę na ich zbiegające palce na spustach broni. Pośrodku stał Komodor z rękami zapiętymi na piersi i z blasterem w kabinie. Obok Waggrala, na lewym skrzydle grupy, stał z ponurą miną Tannis, który także mierzył do niej z blastera.

– Jeszcze jedna propozycja? – zdziwił się łagodnie Komodor.

– Tym razem prawdziwa – zapewniła Mara. – Przyleciałam tu po pewną informację, tylko po to. Po jedną informację. Jeżeli pozwoli mi pan ją uzyskać, spokojnie odlecę.

– Dlaczego uważasz, że w ogóle odleczisz, spokojnie czy nie? – sprzeciwił się Komodor.

– Bo to leży w pańskim interesie – odparła Mara. – Mam potężnych przyjaciół.

Komodor parsknął i na ulamek sekundy przeniósł spojrzenie na zwęglone zwłoki Brocka.

– Nie byli wcale tacy potężni – powiedział.

– Nie byli także moimi przyjaciółmi – odcięła się Mara. – Usilowali mnie zabić i prawdopodobnie właśnie to was obudziło. Miałam na myśli innych przyjaciół.

Komodor wyduł wargi i jakiś czas tylko mierzył ją spojrzeniem.

– Jakiej informacji poszukiwałaś? – zapytał w końcu.

– Wspomniał pan niedawno o pewnym kliencie – powiedziała Mara. – Chcę poznać jego nazwisko.

Uwolniła myśli i pomagając sobie Mocą, zapuściła je do umysłu herszta piratów. Spodziewała się, że po jej pytaniu nazwisko klienta automatycznie wypłynie w głowie Komodora, i miała nadzieję wyłuskać je spośród jego myśli. Umysł Komodora był jednak mroczną niewiadomą. Kłębilo się w nim za dużo gniewu, nienawiści i szaleństwa, żeby Mara mogła z niego cokolwiek wydobyć.

– Muszę przyznać, że jesteś bezczelna – stwierdził herszt piratów. Jego spokojny głos dziwnie kontrastował z zamętem w myślach. – Tak czy owak, twoja propozycja jest jednostronna.

– Mogę temu zarządzić – odparła Mara. – Proszę mi powiedzieć, czego pan chce w zamian. Jeżeli będę mogła spełnić pana prośbę, zrobię to. Dysponuję o wiele większą potęgą niż się panu wydaje.

Komodor nagle spowaźniał.

– Tę prośbę możesz spełnić na pewno – oznajmił ponuro. – Bo chcę tylko ciebie, a ściślej twojej śmierci. – Wymierzył wskazujący palec w sufit.

– Proszę chwilę zaczekać – odezwał się Tannis. Mara usłyszała napięcie w jego głosie. – Proszę pana... Komodorze... jeżeli ona zginie, do niczego się nam nie przyda.

Herszt piratów spojrział na niego, ale nie opuścił palca.

– A uważasz, że przyda się nam na coś żywa, panie Tannis? – zapytał. – To pan ją tu sprowadził, prawda?

Pirat się skrzywił.

– Przyznaję, wywiodła mnie w pole – odezwał się w końcu. – Wywiodła także kapitana Shakkę. Moglibyśmy przy najmniej...

– Jeżeli kapitan Shakko rzeczywiście dał się wywieść w pole – przerwał Komodor. – Jeżeli kapitan Shakko w ogóle jeszcze żyje. – Niespodziewanie wykrzywił się w taki sposób, że jego twarz przestała przypominać ludzkie oblicze. – Ale nie żyje, prawda? – podjął po chwili. – Jest martwy, podobnie jak pozostali członkowie waszej załogi.

– Ależ skąd – zaprotestował Tannis, chociaż zbladł jak ściana. – To znaczy, o ile wiem, wszyscy są cali i zdrowi. Jeżeli jednak zatrzymamy ją tu dla okupu, może przy najmniej dostaniemy za nią trochę pieniędzy.

– Ciekawy pomysł – przyznał herszt piratów. Spojrział znów na Marę, a jego twarz przybrała niemal normalny wygląd. – No i co, szpiegu? – zadrwił. – Jesteś warta okupu?

– To prawda, znam parę osób, które są gotowe zapłacić, bylebym tylko wróciła – przyznała Mara. Uwolniła myśli i posługując się Mocą, uniosła energetyczne złącze na wysokość górnej płaszczyzny konsoly, dyskretnie, żeby piraci go nie zobaczyli. – Mogę dać panu HoloNetowe adresy kilku ludzi, z którymi będzie się pan mógł skontaktować.

– Wierzę ci. – Komodor wskazał głową na Tannisa. – A co z nim? – zapytał.

– A co ma być? – odparła Mara. To była także dobrze znana sztuczka. – Był pożytecznym narzędziem – podjęła po chwili. – Nie tak łatwowiernym jak Shakko, ale odpowiednim dla naszych potrzeb.

– Tak myślałem – mruknął Komodor. – Waggral, zastrzel go.

Wskazany pirat bez wahania wyciągnął rękę, chwycił blaster Tannisa za lufę i wyszarpnął broń z jego dłoni.

– Wstrzymajcie się chwilę – zawołał jeszcze bardziej zaniepokojony Tannis. – Komodorze...

Urwał, bo Waggral wyrzucił go kolbą blastera w szczękę. Tannis zachwiał się i cofnął. Waggral obrócił zarekwirowaną broń w dłoni i wymierzył lufy obu blasterów w twarz Tannisa.

Mara uniosła energetyczne złącze jeszcze o dwa centymetry i posłała przez pokój. Pocisk trafił Waggrala w skroń. Zanim ktokolwiek zdążył zareagować, posłużyła się Mocą, żeby odwrócić blastery w jego bezwładnych dłoniach. Skierowała lufy w stronę jego towarzyszy i dała ognia.

Mężczyzna stojący obok Waggrala, trafiony pierwszą salwą, zwałił się na posadzkę, nie wydając nawet charkotu. Sekundę później szereg załamał się, a piraci zaczęli nurkować za najbliższe konsoly. Oczy wszystkich i lufy blasterów zwróciły się automatycznie w stronę źródła nowego, nieoczekiwanego zagrożenia.

To znaczy wszystkich z wyjątkiem Komodora.

– Nie mierzcie do Tannisa, głupcy! – wrzasnął herszt piratów, starając się przekrzywić panujący harmider. Spiorunował Marę spojrzeniem i opuścił rękę do kabury z blasterem. – Celujcie w nią! To Jedi!

Mara wiedziała, że piraci nie rozumieją tego słowa, bo Jedi dawno zniknęli z galaktyki, a już z pewnością nie mogli go zrozumieć w ogniu bitwy. Na pewno jednak mieli wpojone zasady bezwzględnej posłuszeństwa. Nie starając się nawet ukrywać przerażenia, przestali strzelać do Waggrala i ponownie skierowali lufy blasterów w stronę Mary.

Młoda kobieta wyskoczyła zza konsoly. Pomagając sobie Mocą, chwyciła jedno z krzeseł i rzuciła nim w dwóch piratów, na tyle nierozsądnych, żeby stać zbyt blisko siebie. Obaj zwałili się z łukiem na posadzkę. Mara chwyciła następne krzesło i posłała je łukiem w kierunku innej części grupy.

Podążając za nim spojrzeniem, zauważyła kątem oka srebrzysty błysk lecącego ku niej z lewej strony metalu. Szybko uniosła rękę, żeby odbić nieznamy przedmiot. Zastanowiła się, który pirat był na tyle głupi, żeby rzucić granat w zamkniętym pomieszczeniu.

Zaraz jednak poznała, że to nie granat... a kiedy dotarło do niej, co ma przed oczami, Mara odwróciła uniesioną rękę – postanowiła nie odbijać przedmiotu, ale go złapać.

Sekundę później w jej otwartej dłoni wyładowała z głośnym pląsnięciem rękojeść świetnego miecza.

Mara zerknęła na Tannisa, który zanurkował w bok żeby się ukryć za jedną z ocalałych konsolet. Zauważyła, że pilot pirackiego statku jeszcze nie zdążył opuścić ręki, którą coś rzucił. Kciuk Mary trafił na guzik włączający klingę broni. Ze skwierczeniem i pomrukiem z metalowego cylindra wyłoniła się kolumna karmazynowego blasku.

Dopiero kiedy Mara uśmieciła błyskawicami odbitych strażów trzech spośród czterech ostatnich pozostałych przy życiu piratów, Komodor uświadomił sobie, co się stało z jego oddziałem, i wyciągnął blaster. Wrzasnął głośno i ukrył się za ostatnim podwładnym, Rodianinem. Wycofując się pospiesznie ku drzwiom, strzelał do przeciwniczki nad ramieniem obcej istoty. Mara powaliła Rodianina, ale Komodor zdążył uciec.

– Tannis! – zawołała. Wyłączyła klingę świetnego miecza i obchodząc szczątki konsolet, ruszyła w kierunku miejsca, gdzie ostatnio widziała pirata. – Nic ci nie jest?

– Prawie nie – wycedził Tannis przez zaciśnięte zęby. Z wysiłkiem usiadł i powiódł spojrzeniem po stosach zwłok kompanów. – Już tam, na pokładzie „Kawalkady”, wydawało mi się, że jesteś dobra, naprawdę dobra. Co mam powiedzieć teraz? Jak na wszytkie ciemności przestworzy, udało się im wyeliminować was, Jedi, z tej galaktyki?

– Prawdę mówiąc, nie jestem Jedi – wyjaśniła Mara, rozglądając się po pomieszczeniu. Nieskazitelnie schludny ośrodek dowodzenia wyglądał obecnie jak pobojowisko. – Macie tu gdzieś rezerwowy ośrodek dowodzenia? – zapytała.

– Tak w awaryjnym bunkrze – odparł Tannis. – Pewnie chcesz, żebym cię tam zaprowadził?

– Jeżeli tego nie zrobisz, cały mój wysiłek pójdzie na marne – oznajmiła Mara.

– Świetnie. – Pirat nabrał powietrza i wypuścił je z głośnym sykem. – Trzeba stąd wyjść i skręcić w lewo. – Obdarzył Marę wymuszonym uśmiechem. – Chyba pozwolę, żebyś wyszła pierwsza.

– Właśnie tak miałam zamiar. – Mara znów zapaliła klingę świetnego miecza, uderzyła otwartą dłonią w przycisk otwierający drzwi i wyszła na korytarz.

Nikogo tam nie zobaczyła.

– Wasi ludzie naprawdę śpią jak zabici – zauważyła, kiedy oboje kierowali się w stronę wskazaną przez Tannisa.

– Bardziej prawdopodobne, że Komodor kazał im przygotować statki do szybkiego odlotu – odparł Tannis, patrząc nerwowo na każde drzwi, obok których przechodzili. – Nie wyeliminowałaś Caaldry, zanim wpadłaś do tamtego ośrodka dowodzenia, prawda?

– Przykro mi – mruknęła Mara. – Nie widziałam go nawet podczas obiadu. Możliwe, że po prostu odleciał.

– Mam nadzieję. – Tannis się wzdygnął. – Ten gość przyprawia mnie o zimne dreszcze.

– Nie przejmuj się nim – doradziła młoda kobieta. – A przy okazji, dzięki za pomoc. Jakim cudem się zorientowałaś, gdzie ukryłam mój świetny miecz?

– Wszedłem na dach i wyjąłem go z rynny, w której go ukryłaś – odparł kwaśno pirat. – Pewnie wydawało ci się, że jesteś bardzo sprytna, ale ja cały czas obserwowałem, jak ten przedmiot przemyka między wieżami i pod energetycznymi kablami. O mało nie dostałem zawału serca.

– Zobaczyłaś go, bo wiedziałeś, gdzie szukać – stwierdziła Mara.

Mimo to Tannis jej zaimponował tym, że zauważył jej podstęp.

– Możliwe – odparł pirat. – Nie chciałem jednak liczyć na to, że nikt prócz mnie go nie zauważy. Kiedy tylko zostałem sam, wyszedłem na dach...

– Zaczekaj chwilę – przerwała Mara, nakazując mu gestem lewej dłoni, żeby się nie ruszał, i unosząc prawą rękojeść świetnego miecza do pozycji obronnej. Prosto przed nimi, za stosem beczek...

Zza krawędzi stosu poleciały ku nim serie blasterowych błyskawic. Strzelało dwóch mężczyzn, z których jeden kucał, a drugi stał. Mara bez trudu odbiła błyskawice w kierunku napastników, co zmusiło ich do ukrycia się za beczkami. Odwróciła się do Tannisa.

– Wiesz, co jest w tych baryłkach? – zapytała.

– Nie mam pojęcia – przyznał pirat. – Nigdy takich nie widziałem w tym korytarzu.

Napastnicy ponownie otworzyli ogień. Odbijając ich błyskawice, Mara usłyszała cichy syk i zauważyła, że jeden z odbitych strażów wbił się w beczkę na najniższym poziomie stosu. Z otworu zaczęła wyciekać na podłogę ciemna ciecz. Po chwili blasterowy ogień ustał i Mara zauważyła dwie ciemne sylwetki, wycofujące się w pośpiechu w głąb korytarza.

– Idziemy – postanowił Tannis i ruszył dalej.

– Zaczekaj – ostrzegła Mara. Posługując się technikami wzmocnienia wrażliwości zmysłów, ostrożnie wciągnęła powietrze w nozdrza.

Jeden wdech wystarczył.

– Wycofujemy się! – rozkazała ostro, ciągnąc pirata za rękę. Po podłodze rozlewała się kałuża łatwo palnej cieczy.

Zdążyli dać trzy kroki, kiedy ciecz eksplodowała oslepiając żółtym płomieniem.

Reagując instynktownie, Mara pociągnęła Tannisa na podłogę i padła obok niego. Ułamek sekundy później baryłki eksplodowały i w obie strony korytarza pomknęły kule ognia. Mara przycisnęła twarz do podłogi. Czuli, jak żar omywa jej nogi i ciemię. Dopiero jednak kiedy Tannis wrzasnął z bólu, uświadomiła sobie niejasno, że i ona została poparzona.

Kula ognia przemknęła nad nimi i zostawiając rozgrzane powietrze, poleciała w głąb korytarza. Mrugając, żeby pozbyć się łez, Mara przetoczyła się, kucała i pomogła sobie Mocą, żeby stłumić ból. Podczas eksplozji klinga jej miecza zgasała, więc zapaliła ją na nowo.

W samą porę. Kiedy unosiła miecz do pozycji obronnej, zauważyła kątem oka ostrzegawczy błysk. Odwróciła się nieco w prawo. Z mrocznej wnęki, której nie dosięgła fala żaru, leciały ku niej dwie blasterowe błyskawice.

Mara odbiła je i blaster umilkł. Z mrocznego kąta napłynął cichy chichot.

– Imponujące, nie ma co – usłyszała Mara głos Caaldry. – Czy mam zaszczyt rozmawiać z Ręką Imperatora?

– Ręka Imperatora to tylko plotki – odparła Mara.

– Akurat – mruknął najemnik – Pochlebia mi, że Imperator wysłał kogoś takiego jak ty, żeby nas powstrzymał.

– Dla ciebie i dla twojego klienta tylko to, co najlepsze – zadeklarowała Mara, postanawiając zignorować fakt, że znalazła się w tej sytuacji tylko przez przypadek – A tak przy okazji... sprytna pułapka.

– Dla ciebie i twojego kumpla zdrajcy tylko to, co najlepsze. Caaldra znów posłał ku niej dwie błyskawice, tym razem mierząc w głowę i w nogi. Mara była gotowa i bez trudu odbiła oba strzały. – Oboje musieliście nieźle ucierpieć podczas tej eksplozji.

– Damy sobie radę – zapewniła go Mara. Nie miała pojęcia, w jakim stanie jest Tannis, ale nie chciała rozpraszać uwagi poświęcanej wyłącznie odbijaniu strzałów i tłumieniu bólu – A zresztą to nic w porównaniu z tym, co czuje osoba poddawana imperialnemu przesłuchaniu.

Caaldra prychnął pogardliwie.

– A co, uważasz, że podczas takiego przesłuchania wyjawisz moje tajemnice i będę błagał o litość? – zapytał.

– Wyjawienie tajemnic rzeczywiście mogłoby ci trochę pomóc – odparła Mara. – Ale błaganie o litość mnie nie wzruszy.

– Ach, tak? – mruknął najemnik – Nie chcę cię rozczarować, ale na mnie już czas. Pozdrów swoich przyjaciół.

Mara odebrała ostatni błysk jego myśli i ku swojemu zaskoczeniu stwierdziła, że wrażenie, które dotąd wywierał, znikło.

Pozostawiła Tannisa leżącego na podłodze korytarza i zaczęła się skradać w kierunku mrocznej wnęki, omiatając ją swoimi myślami. Upewniła się, że Caaldra rzeczywiście zniknął. Trzy mając przed sobą klingę świetlnego miecza, podeszła jeszcze bliżej i przekonała się, że to, co na początku wzięła za osobne pomieszczenie w rzeczywistości jest głęboką niszą z drzwiami. Sprawdziła oba końce korytarza, aby się upewnić, że nikt nie usiłuje jej zaskoczyć, po czym podeszła i otworzyła drzwi.

Zobaczyła za nimi pomieszczenie o wiele większe, niż się spodziewała. Było mroczne i zatęchłe, a jedyne oświetlenie zapewniał duży świetlik pośrodku sufitu. W słabym blasku gwiazd Mara dostrzegła rdzewiejące spychacze oraz pokryte kurzem rury i płyty stempli, prawdopodobnie pozostałe z czasów, zanim piraci przekształcili tę część kompleksu górniczego w swoją bazę.

A pod przeciwległą ścianą pomieszczenia, otoczone wysoką ochronną poręczą, ziały trzy okrągłe mroczne otwory.

Mara uśmiechnęła się ponuro. Czyżby Caaldra naprawdę się łudził, że się jej wymknie, uciekając starym tunelem próbnego odwiertu? Moc była jej sprzymierzeńcem, więc bez względu na to, jak bardzo kręte i rozgałęzione były te tunele, Mara mogła bez trudu podążać jego śladami.

Ruszyła w kierunku najbliższego wylotu tunelu, ale kątem oka dostrzegła, że do pomieszczenia wpadł przez świetlik jaskrawy zielony błysk.

Chwilę później cały budynek się zatrzęsł i Mara usłyszała stłumiony huk odległej eksplozji.

Instynktownie kucnęła za najbliższym spychaczem. Po sekundzie z nieba spadł następny zielony błysk, a grzmot drugiej eksplozji wzbił z podłogi obok jej stóp obłoczek kurzu.

Baza piratów została zaatakowana.

Rozdział 16

LaRone właśnie skończył zakładać biały pancierz, kiedy Quiller połączył się z nim przez interkom.

– Jeszcze godzina – zameldował. – Warto zacząć sprawdzać systemy uzbrojenia, bo może nas czekać bitwa.

– Zrozumiałem – potwierdził szturmowiec. – Grave, Marcross, idźcie na stanowiska działek i przekonajcie się, czy wszystko działa jak należy.

Kiedy usłyszał dwa potwierdzenia, przycisnął hełm ręką do boku i skierował się do sterowni.

Jak mógł się spodziewać, zastał tam już Marcrossa siedzącego na fotelu drugiego pilota. LaRone zauważył, że kolega położył swój kubek obok kontrolnej konsoli.

– Wygląda na to, że wszystko w porządku – stwierdził Marcross, kiedy LaRone zajmował miejsce za plecami Quillera przy stanowisku sensorów/generatorów pól ochronnych. – Jak się miewają nasi goście?

– Trzy godziny temu mieli się doskonale – odparł LaRone. – Zapoznałem ich z uaktualnionym harmonogramem i zasugerowałem, żeby choć trochę się przespali, zanim zabawa zacznie się na dobre.

– Idę o zakład, że zapytali, czy mogą się przyłączyć – odezwał się Grave przez interkom stanowiska artylerii.

– Zdziwisz się, ale o nic takiego nie zapytali – powiedział LaRone. – Prawdopodobnie nie liczyli, że to poprawi ich sytuację.

– Pod tym względem mieli rację – mruknął Marcross. – Quiller, co to za ostrzegawczy sygnał, który odbieram ze sterburtowego sensora?

– Nic takiego – odparł pilot Suwanteka. – Postaram się go zlikwidować.

Sluchając jednym uchem ich rozmowy i nie odrywając spojrzenia od ekranów monitorów, LaRone zaczął przygotowywać się psychicznie do walki.

Luke...

Chłopak od razu się ocknął z lekkiej drzemki.

– Ben? – zapytał.

Wstań, szepnął głos Bena w jego głowie. Luke wyczuł w jego tonie napięcie. Lei zagraża niebezpieczeństwo.

Luke poczuł, że jego serce zamiera.

– Jakiego rodzaju niebezpieczeństwo? – zadał pytanie, sięgając po swoje buty. – Gdzie ona jest w tej chwili?

W Makrin City na Shelkonwie. Szef administratorów gubernatora zamknął miejscowy kosmoport i poinformował władze Imperium o jej obecności na planecie.

Luke poczuł, że coś ścisną go za gardło. Od chwili, kiedy Leia go poprosiła, żeby poleciał z Hanem, zamiast z nią obawiał się, że coś takiego może się wydarzyć.

– Co mam zrobić? – zapytał. – Siedzę tu jak w pułapce.

Zapadła krótka cisza.

Pułapka nie jest tak szczelna jak ci się wydaje, usłyszał w końcu głos Bena, który chyba z trudem wypowiadał słowa. Podejź do komputera.

Luke zmarszczył brwi, ale podszedł do biurka. Czy powinien się domyślić, jak się włamać do systemu łączności Suwanteka, żeby wezwać na pomoc generała Rieekana?

Skup się na klawiaturze, polecił głos Bena. Zwróć szczególną uwagę na cyfry.

Mam się gapić na klawiaturę? – pomyślał chłopak

– Nic tam nie widzę – powiedział, wpatrując się intensywnie w klawisze z cyframi. Uwolnił myśli i wysłał je dzięki Mocy, ale niczego nie zauważył.

Pierwsza cyfra to siódemka, podpowiedział głos Bena.

Luke zwrócił uwagę na klawisz z tą cyfrą. Czyżby miał w nim odkryć jakiś sens? Położył palce na klawiaturze, otworzył umysł na przepływ Mocy i powierzył jej kontrolę nad swoim ciałem, podobnie jak zrobił to podczas walki z pirackim statkiem.

Jego palce pozostały jednak nieruchome. Pozbawiony bitewnego napięcia, które kierowało wówczas jego myślami i emocjami, niczego nie widział i nic nie wyczuwał.

– Ja nie... nic nie widzę – stwierdził.

W umyśle usłyszał odgłos podobny do westchnienia.

Oto kolejne cyfry: siedem, siedem, osiem, jeden, trzy, jeden, dwa.

Luke wpisał sekwencję cyfr, ale nie się nie wydarzyło.

– Co teraz? – zapytał.

Ben nie odpowiedział. Luke skrzywił się i obrzucił spojrzeniem swoją kabinę, wsłuchując się w podszepty Mocy. W pewnej chwili zerknął na wtórny ekran pokazujący aktualną pozycję Suwanteka, jego wektor lotu i stan pokładowych systemów. Wydało mu się, że coś wyczuł, ale chociaż starał się ze wszystkich sił, wrażenie nie chciało się skryształizować w coś zrozumiałego.

Przesuń palcami po dolnej krawędzi ekranu wórnego monitora.

Luke usłuchał i tym razem usłyszał dobiegający zza pleców cichy trzask. Odwrócił się w tamtą stronę i ku wielkiemu zdumieniu stwierdził, że po drugiej stronie łóżka fragment ściany wielkości drzwi uchylił się na szerokość kilku centymetrów. Luke przeszedł przez kabinę i otworzył te drzwi szerzej.

Nie znalazł za nimi skrytki przemysłowej. Zobaczył magazyn broni i wojskowego wyposażenia.

A w skład tego wyposażenia wchodziły także dwa kompletne białe pancerze imperialnych szturmowców.

Czując dreszcz przerażenia, spojrzął na połyskujące pancerze. Cały dzień spędził, zastanawiając się, czy LaRone i jego podwładni to piraci, przemysłowcy, łowcy nagród, czy też może naprawdę, jak twierdzili, agenci służby bezpieczeństwa firmy Consolidated Shipping. Nigdy jednak nie wpadłoby mu do głowy, że w rzeczy wistoci są żołnierzami Imperium.

Przestań się niepokoić, usłyszał kojący głos Bena. *To nie to, co ci się wydaje. A przynajmniej niezupełnie.*

Luke odwrócił głowę i spojrzął na drzwi kabiny.

– To niewielka pociecha – rzucił.

Zaufaj mi, Luke. Weź jeden z tych Masterów i naladuj go.

Chłopak spojrzął znów na regały z bronią. Miał nadzieję, że Ben nie każe mu zabić własnymi rękami pięciu imperialnych szturmowców. Wyciągnął rękę ku największemu blasterowi na półce.

Luke, skarcił go głos starego Jedi.

Chłopak zamarł, głęboko odetchnął i ponownie otworzył umysł na przepływy Mocy. Dlaczego nie miał wziąć największego blastera?

Spojrzął na najmniejszą sztukę broni, blaster używany zazwyczaj przez bandytów podczas napadów. Pozwalając Mocy przepływać przez swój umysł, wyciągnął rękę i zdjął broń z półki. Nadal nie wiedział, czy podjął słuszną decyzję.

– Wiesz, mógłbyś mi to ułatwić – mruknął, ale znalazł właściwe ogniwo energetyczne i pojemnik z gazem, po czym umieścił je w odpowiednich gniazdach blastera.

Czy twój wuj nosił cię na plecach, dopóki nie skończyłeś piętnastu lat?

Luke się skrzywił. Rzeczywiście pozwolił sobie na całkiem głupią uwagę.

– Przepraszam – powiedział.

Zrobileś pierwsze kroki w szerokim świecie, Luke. Czekają cię jednak wiele, wiele następnych. Nie mogę cały czas prowadzić cię ścieżką, którą masz kroczyć. Mogę tylko udzielać ci wskazówek, uczyć i pomagać ci samemu odnaleźć tę ścieżkę.

– Rozumiem – odparł Luke, oceniając ciężar blastera w dłoni. – Wnoszę z tego, że sam muszę się domyślić, co z tym zrobić?

Zrobicie to razem, ty i Moc, zapewnił go głos Bena. *Cierpliwości. Wsłuchuj się w podszepty Mocy. Zorientujesz się, kiedy nadejdzie odpowiednia chwila.*

– Zaczynamy – mruknął Quiller, przyciągając do siebie rękojeści dźwigni napędu nadświetlnego. Światliste linie za iluminatorem przemieniły się w gwiazdy, a w dole pojawił się mroczny cień Gepparina.

LaRone zmarszczył brwi. Prosto na kursie, na pogrążonej w ciemności półkuli planety, widniało skupisko jasnych, czerwono-żółtych punktów.

– Co to takiego? – zapytał, wskazując tamto miejsce.

W tej samej chwili przed iluminatorem przemknęła oślepiąco jasna zielona błyskawica. Wbiła się w powierzchnię planety w dole i powiększyła liczbę jasnych punktów.

– Co, u... – zaczął Marcross.

– A niech to! – wykrzyknął Quiller. Zadarł dziób Suwanteka i zaczął wykonywać ciasny skręt, żeby położyć frachtowiec na kurs powrotny. Gdzieś z góry poleciała ku planecie jeszcze jedna turbolaserowa błyskawica.

W oddali, przelotnie oświetlony odbitym blaskiem, pojawił się podobny do kłosa kształt imperialnego niszczyciela gwiazdowego.

– To niemożliwe – szepnął osłupiały LaRone.

– A jednak – potwierdził ponuro Quiller. – To „Odwet”. Jakimś cudem nas odnaleźli.

Luke przemierzał tam i z powrotem kabinę, kiedy nagle wstrząs Suwanteka rzucił go z całą siłą na boczną ścianę. Chłopak odżył się równowagę i zaczął masować potłuczone dłonie.

Jakobiecycwał Ben, od razu się zorientował, że nadeszła odpowiednia chwila.

Wyciągnął mały blaster z wewnętrznej kieszeni kurtki i podszedł do drzwi.

Zaczekaj, usłyszał głos Bena, kiedy pilot Suwanteka wykonywał kolejny raptowny zwrot. *Uwolnij myśli i posłuchaj Mocy. Będziesz wiedział, kiedy.*

– Jasne – odparł Luke.

Przyłożył wylot lufy blastera do zamka drzwi, przytrzymał się krawędzi biurka z komputerem, żeby nie stracić równowagi, i postanowił zacząć na właściwą chwilę.

– Panie komandorze, mamy intruza – zameldował ktoś ze stanowiska załogi. – Przed chwilą wskoczył do systemu, a teraz usiłuje uciec.

– Dajcie mi odczyt – rozkazał Ozzel. Przestał obserwować płonącą bazę piratów w dole i ruszył pomostem dowodzenia w kierunku stanowiska sensorów. Nieznany statek miał dziwny kształt, jakiego nigdy dotąd nie widział, więc stanął na skraj pomostu, żeby się lepiej przyjrzeć obrazowi na ekranie monitora.

– To muszą być dwie jednostki połączone jedna z drugą – odezwał się Somoril, który stanął obok niego. – Jeden statek szczepiony z drugim.

– Ma pan rację – mruknął Ozzel, który nagle zrozumiał, skąd się bierze dziwny kształt. Transportowanym statkiem był koreański lekki frachtowiec, prawdopodobnie typu YT albo YR, a jednostką, z którą by połączony...

Somoril raptownie zaczerpnął powietrze.

– To Suwantek – powiedział.

Ozzel otworzył szeroko usta.

– Chyba pan nie sądzi... – zaczął niepewnie.

– Stanowisko generatorów promienia ściągającego! – krzyknął pułkownik IBB, odwracając się w tamtą stronę. – Schwytać ten statek! Natychmiast!

– Proszę wykonać – potwierdził Ozzel, a w jego serce wstąpiła nagle nowa nadzieja. Przylecieli w ten rejon przestworzy, żeby uciszyć imperialną agentkę, która miała okazję poznać ich wstydliwą tajemnicę. Obecnie jednak, wbrew wszelkiemu prawdopodobieństwu, otrzymali szansę pogrzebania tej tajemnicy razem z agentką. – I wysłać myśliwce typu TIE – dodał. – Ten statek nie może nam uciec!

Kilka pierwszych minut LaRone myślał, że im się uda. Później jednak Suwantek zadygotał, a jakaś siła szarpnęła wszystkich w bok.

– Quiller? – zapytał szturmowiec.

– Złapali nas – wycedził przez zaciśnięte zęby pilot Suwanteka. – To promień ściągający.

– Jesteśmy bardzo daleko od nich – zauważył Marcross. – Może spróbujemy się zerwać, wykonując ruchy wahadłowe?

– Zrób to – polecił LaRone.

Kiedy Quiller zmienił kierunek siły ciągu, żeby skierować Suwanteka pod kątem prostym do kierunku działania promienia ściągającego, rykslników napędu podświetlnego zmienił ton i natężenie.

– No i co? – zapytał LaRone.

– Jeszcze minutę – odparł Quiller. – Mamy trochę swobody w tym kierunku, ale musimy się wydostać poza zasięg promienia, zanim schwytają nas następny m.

Nagle od strony rufy napłynął loskot i skowyt.

– Albo zanim stopią na żużel nasze jednostki napędowe – dodał ponuro Marcross.

– Grave, Brightwater, odpowiedzieć ogniem – rozkazał LaRone, kiedy po rufowych osłonach zatańczyła następna błyskawica turbolaserowego strzału.

Chwilę później od kadłuba Suwanteka oderwały się serie zielonych cienkich nitek.

– Jesteśmy zbyt daleko, żeby wyrządzić im krzywdę – zauważył Marcross.

– Wiem, ale może to wystarczająco blisko, żeby przynajmniej w pewnym stopniu zniekształcić odczyty ich sensorów – odparł LaRone. – No dalej, Quiller... postaraj się nas uwolnić z tej uwięzi.

W Mocy pojawił się błysk dokładnie taki sam, jak wówczas, kiedy Luke toczył pojedynek ze zdalniakiem. Kiedy pierwsza turbolaserowa błyskawica trafiła w rufowe osłony Suwanteka, chłopak posłał błyskawicę w zamek drzwi.

Płyta ukryła się w ścianie i Luke wyjrzał ostrożnie na zewnątrz. Nikogo nie zobaczył na korytarzu. Zataczając się po każdym nagłym manewrze pilota, szybko podbiegł do drzwi kabiny Hana i wpisał kombinację cyfr, która je otwierała.

Han stał obok biurka i trzymał się go, żeby nie stracić równowagi. Patrzył z kamienną twarzą na ekrany wtórnych monitorów.

– Nic ci nie jest? – spytał Luke.

Han otworzył szeroko oczy ze zdumienia.

– Wypuścili cię? – zapytał.

– Niezupełnie – odparł chłopak – Hanie, Leia znalazła się w niebezpieczeństwie.

– Nam też ono grozi – przypomniał Solo. Wyłuskał blaster z dłoni Luke'a, spojrzał na broń i skrzywił się z niesmakiem. – Skąd to masz, z automatu z zabawkami? – zadał pytanie.

– Leia jest uwięziona w Makrin City na Shelkonwie, a Imperium wie, że tam przebywa – oznajmił szybko Luke.

– Później, mały. – Han przecisnął się obok niego i wyszedł na korytarz.

Mimo odgłosów pracy jednostek napędowych Luke usłyszał ryki Chewiego. Han otworzył drzwi jego kabiny, ale przezornie się cofnął, dzięki czemu kosmata ręka Wookiego przecięła powietrze centymetry przed jego twarzą.

– Uspokój się, to my – powiedział.

Chewbacca znieruchomiał w połowie następnego gestu, wyskoczył na korytarz, spojrzał w prawo i w lewo i coś wymruczał.

– Nie wiem, ale kimkolwiek są, złapali nas promieniem ściągającym – wyjaśnił Solo. – Zejdź na dół do „Sokoła” i przygotuj go do startu.

– Odlatujemy? – zapytał Luke. Poczuł instynktową ulgę na myśl o ucieczce przed bitwą i równie instynktowne wyrzuty sumienia na myśl o tym, że zostawił LaRone'a i pozostałych na łasce atakujących ich.

– Jeszcze nie – mruknął Han. – Co o tym myślisz, Chewie? Przynęta i zamiana ról?

Wookie zastanawiał się jakiś czas, ale zaryczał coś w odpowiedzi i skierował się do włazu wiadącego do dolnej śluz Suwanteka. Otworzył kłapę i zniknął w otworze.

– A co ja mam robić? – chciał wiedzieć Luke.

– Trzymać się z daleka – odparł zwięźle Solo. Zważył na dłoni blaster i ruszył w kierunku sterowni.

Świetlica była pusta, podobnie jak przedpokój za nią. Han uderzył otwartą dłonią w przycisk drzwi sterowni, a kiedy płyta schowała się w grodzi, wszedł do środka. Zdążył przejść dwa kroki, zanim jego uwagę przyciągnęły pancerce szturmowców.

Luke się skrzywił. Poniewczasie uświadomił sobie, że powinien był zdradzić pozostałym prawdę o tożsamości właścicieli statku. Han wahał się jednak tylko chwilę i zaraz ruszył dalej.

– Sytuacja? – warknął.

– Zostaliśmy schwytani promieniem ściąającym gwiazdowego niszczyciela – zameldował LaRone. Napiął mięśnie twarzy, kiedy zauważył blaster w dłoni Hana, ale zachował się jak wojskowy. – Możliwe, że jego dowódca wydał także rozkaz startu eskadrom myśliwców TIE.

– Staramy się im wyrwać ruchem wahadlowym – dodał szturmowiec siedzący za sterami, prawdopodobnie Quiller.

– Są w pobliżu inne statki? – zapytał Solo.

– Nie – odparł Marcross, posyłając Hanowi mroczne spojrzenie z fotela drugiego pilota. – Wszystko wskazuje na to, że baza piratów została skutecznie zneutralizowana.

– W porządku. – Han spoglądał chwilę przez iluminator na ciemny klin, unoszący się w oddali nad nimi. Potem poklepał Marcrossa po płycie naramiennika.

– Spływaj stąd – rozkazał.

– Co takiego? – zachnął się szturmowiec.

– Powiedziałem, żebyś się stąd wynosił – powtórzył Solo i cofnął się, żeby zrobić mu więcej miejsca. Chciał wpuścić mały blaster do pustej kabury, ale w porę uświadomił sobie, że niewielka broń ukryje się w niej cała, więc wsunął blaster za pas z lewej strony. – Musimy wykonać kilka skomplikowanych manewrów, a ja nie mam czasu, żeby ci to tłumaczyć.

– Posłuchaj, Solo...

– Wykonać – odezwał się LaRone.

Marcross spiorunował go spojrzeniem, ale rozpiął pasy ochronnej sieci i wstał z fotela. Przecisnął się obok Hana, który usiadł na jego miejscu i popatrzył na Quillera.

– Połącz mnie z „Sokołem” – polecił, omiatając błyskawicznie spojrzeniem urządzenia kontrolne. – Chewie, jesteś gotów?

Z głośnika wydobył się potwierdzający ryk

– To dobrze – odparł Han. – Niech ktoś czeka w gotowości, aby uszczelnić dolny właz i wciągnąć kołnierz.

– Powiedz tylko, kiedy – odezwał się Quiller.

– Teraz – oznajmił Han. – I przekaż mi stery.

Quiller przycisnął klawisze dwóch przełączników. Chwilę później „Sokół” wyleciał spod spodu Suwanteka, wyprzedził go i skręcił raptownie w prawo.

– LaRone, Korelianin ucieka – zameldował przez interkom Grave.

– Wszystko w porządku. Pozwól mu odlecieć – rozkazał LaRone. – Nie przerywaj ostrzału „Odwetu”. Quiller?

– Promień ściąający nadal nas trzyma – potwierdził chwilowo bezrobotny pilot. – Obojętne, na czym ma polegać ta sztuczka, lepiej niech okaże się skuteczna.

– Dajcie nam jeszcze minutę – powiedział Han, wykonując Suwantekiem ósemkę na końcu niewidzialnej smyczy. – Najpierw muszą go zauważyć.

W następnej sekundzie w przestworzach za rufą „Sokoła” przemknęła ulewa zielonych błyskawic.

– Właśnie zauważyli – stwierdził Solo. – Gdzie są te myśliwce TIE, które waszym zdaniem wypuścili?

– Może zmienili... nie, nadlatują! – oznajmił LaRone. – Z głównego hangaru „Odwetu” wyleciały cztery kłucze.

Luke uniósł głowę i popatrzył w przestworza. Od razu zauważył osiem lecących ku nim myśliwców typu TIE. Piloci szczęście kierowali się na pewno w stronę Suwanteka, a pozostali dwaj się odłączyli.

– Wygląda na to, że jeden kłucz kieruje się ku „Sokolowi” – mruknął.

– To dobrze. Właśnie tak powinni postąpić – uspokoił go Solo. Spojrzał w górę, raptownie szarpnął w bok rękojęść dźwigni drążka sterowniczego i przesłał dodatkową porcję energii do jednostek napędowych, żeby zawrócić. – Chewie, potrzebujemy całuna – powiedział.

– Macie całun? – zdziwił się Marcross. – Gdzie?

– Co to takiego całun? – zainteresował się młody Skywalker.

– Ogłupiacz promienia ściąającego – wyjaśnił zdezorientowany Quiller. – To falowo-warstwowa bomba, pełna ferromagnetycznych cząstek, od których odbija się pole magnetyczne takiego promienia. – Przeniósł spojrzenie na Hana. – Nie znaleźliśmy takich bomb, kiedy przeszukiwaliśmy wasz statek.

– To dlatego, że nie mamy ich na pokładzie – odparł Han, wykonując następną ósemkę.

– No to gdzie zamierzacie zdobyć coś takiego? – zapytał LaRone.

– Całuna się nie zdobywa – wyprowadził go z błędu Han, spoglądając znów w górę. – Całun się robi. Chewie, zacznaj!

W odpowiedzi „Sokół” skreślił gwałtownie prawo i lecąc po spirali, skierował się w stronę dwóch podążających ku niemu maszyn typu TIE. Ignorując ogień laserów ich pilotów, Chewbacca odpowiedział własną salwą. Jaskrawoczerwone błyskawice trafiły w sam środek kabiny lecący na czele szyku myśliwiec, który przemienił się w kulę ognia i dymu.

A także w deszcz niewielkich metalowych szczątków.

– To ma być nasz całun? – zdziwił się Luke.

– Jasne, mały – potwierdził Han. Nie czekając, aż pilot drugiego myśliwca TIE ominie miejsce, w którym zginął jego partner, przesłał impuls energii do jednostki napędowej Suwanteka i skierował statek łagodnym łukiem do miejsca eksplozji. Leciwał w taki sposób, żeby rozprzestrzeniająca się chmura odłamków znalazła się między nim a imperialnym niszczycielem, a promień skierował się na chmurę.

Wszyscy poczuli silne szarpnięcie, z jakim Suwantek zerwał się z niewidzialnej uwięzi.

– O to chodziło! – warknął Quiller. – Akcja, akcja, akcja!

– Jesteśmy czyści, Chewie – zameldował Han, kierując Suwanteka rufą w stronę gwiazdowego niszczyciela i przesyłając pełną energię do jednostek napędowych. Zwił się jak ryba na haczyku, żeby uniemożliwić operatorom generatora promienia ściągającego ponowne nawiązanie kontaktu. – Wynoś się stamtąd!

Nie usłyszał odpowiedzi.

– Chewie? – zapytał. – Chewie!

– Gdzie on się podział? – zapytał zaniepokojony Luke, wyciągając szyję, żeby lepiej widzieć.

– Tam – odparł Quiller, wskazując jakiś punkt w przestworzach. – Kieruje się w stronę planety.

Han zaklął i zawrócił.

– Trzymaj się, kumplu – powiedział. – Lecimy ci na pomoc.

– Co ty wyprawiasz? – zdenerwował się Marcross.

– A jak ci się wydaje? – odciął się Solo.

– Jeżeli teraz zawrócimy, na pewno nas dopadną – stwierdził szturmowiec.

– Nie poddamy się bez walki.

– My przeciwko gwiazdowemu niszczycielowi? – Marcross chwycił Hana za ramię. – Czy ty oszalał?

– Puść mnie – warknął Han, próbując się uwolnić. – Luke, zrób z nim coś, żeby mi nie przeszkadzał.

– Jedną chwilę – odparł chłopak z napięciem obserwując dramatyczną sytuację w przestworzach. Piloci wszystkich pozostałych TIE zawrócili i rzucili się w pościg za „Sokołem”... a o ile wzrok go nie mylił, to samo zrobił także pilot gwiazdowego niszczyciela. – Ignoruj nas – zauważył. – Ścigają „Sokola”.

– Wiedzą że nie zdążą nas złapać, zanim wskoczmy do nadprzestrzeni – wyjaśnił równie zdenerwowany LaRone. – Zrozumieli, że już im uciekliśmy, więc Ozzel postanowił puścić się w pościg za tym, którego może jeszcze dopaść.

– Za chwilę rozpylą go na atomy. – Han zgrzytnął zębami. – Quiller, co, u...

– Przejmuję kontrolę nad sterami – oznajmił pilot, przerywając szaleńczy pościg Suwanteka za związającym się jak w ukropie „Sokołem”. – Nie ma sensu rzucać się na oślep w wir walki. Musimy mieć plan.

– Musimy lecieć mu na pomoc – upierał się Han. Puścił rękojęści dźwigni sterowniczych i sięgnął do pasa, żeby wyszarpnąć blaster.

Marcross jednak szybciej zareagował, bo spodziewał się takiego rozwoju sytuacji. Zręcznie wyłuskał blaster z palców Hana i cofnął się, żeby Solo nie mógł mu go wyrwać.

– Quiller ma rację – oznajmił stanowczo. – Zamiast się sprzeczać, lepiej przedstaw nam plan, który ma chociaż cień szansy powodzenia.

– Nie potrzebujemy żadnego planu – wtrącił Luke, pokazując linie danych, które nagle pojawiły się na ekranie monitora komunikatora. – Chewie już go opracował.

– Sygnały? – wybuchnął Ozzel, wpatrując się wściekle w stanowisko załogi. – Jakiego rodzaju sygnały?

– Nie wiemy, panie komandorze – zameldował oficer łącznościowiec, spoglądając na ekran ponad ramionami podwładnych, którzy gorączkowo starali się rozszyfrować sygnał. – Są zakodowane, a my znaleźliśmy się na samym skraju przesyłanej wiadomości. Wiemy jednak, że wysłano ją do bazy piratów i pasma wzgórz na północ od niej.

Ozzel prychnął.

– No cóż, cokolwiek oznaczają te sygnały, w tej sytuacji i taknic im nie pomogą – powiedział. – Ośrodek dowodzenia stanowisk artylerii, ten koreliański frachtowiec ma zostać zniszczony.

– Nie tak szybko, komandorze – wtrącił Somoril, mrużąc oczy. – Podjęli wielkie ryzyko, żeby się zbliżyć do powierzchni planety i wyemitować tę wiadomość. Chciałbym się dowiedzieć, jaką wiadomość im przesłali.

Ozzel zgrzytnął zębami, ale uświadomił sobie, że pułkownik IBB ma rację.

– Odwołuję ostatni rozkaz! – zawołał. – Obsługa generatora promienia ściągającego, schwytać tego Korelianina! – Spiorunował spojrzeniem inne stanowisko załogi. – I tym razem postarajcie się go utrzymać!

– Twój kumpel wyraźnie kieruje się znów ku przestworzom – stwierdził zdeorientowany Marcross. – Dlaczego go nie trafili, kiedy jeszcze znajdował się między nimi a planetą?

– W tamtych sygnałach musiało być coś, co przekonało Ozzela, że lepiej będzie dostać ich żywych – domyślił się LaRone. – Gdyby go zestrzelili tak nisko nad planetą, jego szczątki rozleciałyby się po całej powierzchni.

– No cóż, właśnie starają się to nadrobić – stwierdził ponuro Quiller. – Piloci myśliwców TIE rzucili się za nim w pościg. Prawdopodobnie namierzają go także operatorzy generatora promienia ściągniętego „Odwetu”.

– Żaden problem – odparł beztrzęsio Han, starając się okazywać większą pewność siebie niż naprawdę odczuwał. On i Chewbacca wykonywali takie sztuczki dziesiątki razy i zazwyczaj wychodzili z nich bez szwanku.

Tyle że tym razem Chewbacca musiał sam pilotować statek i kierować ogniem poczwórnych laserów. Problem mogła stanowić także zawodna jednostka napędu nadświetlnego „Sokoła”. Rosły Wookiee był dobry, ale Han nie był pewien, czy aż tak dobry, żeby i tym razem sprostać wyzwaniu.

– Twój kumpel jest wystarczająco daleko, żeby wskoczyć do nadprzestrzeni – stwierdził Quiller. – Nadal nie schwytały go promieniem ściągniętym.

– Piloci myśliwców TIE starają się odciąć mu drogę ucieczki – dodał Marcross. – Prawdopodobnie Ozzel w końcu uświadomił sobie, że go traci.

Han także się zorientował, że już jest za późno. Piloci myśliwców TIE znajdowali się zbyt daleko z tyłu, żeby uniemógłwić „Sokolowi” ucieczkę, chociaż bardzo się starali, posyłając w ślad za odlatującym frachtowcem serie blasterowych błyskawic. Han zauważył, że wszystkie odbijają się od rufowych pól ochronnych „Sokoła”... chociaż nie, jedna przełamała się jednak przez zapórę. Solo skrzywił się na myśl, że w panczerzu kadłuba pojawiło się kolejne wgłębienie.

– No, dobrze, Chewie, zabieraj się stamtąd – mruknął do siebie.

– Może ma uszkodzoną jednostkę napędową – zasugerował LaRone.

– Jeszcze jej w ogóle nie włączył – wyjaśnił Han. – Próbuje odciągnąć przeciwników jak najdalej od nas, żeby później nie mogli się rzucić za nami w pościg.

Quiller cicho gwizdnął.

– Sprytnie – powiedział.

– I głupio – burknął Han, wzdygając się, kiedy operatorzy turbolaserów gwiazdznego niszczy ciela poniewczasie otworzyli ogień do uciekającego frachtowca.

Dowódca imperialnego okrętu znowu zareagował za późno. W kierunku prześladowców poleciała ostatnia seria z poczwórnych działek, po czym „Sokół” zamigotał i zniknął.

– Będą go namierzali – uprzedził Quiller. – Parametry wektora ucieczki, prawdopodobieństwa i tak dalej.

– Mogą sobie próbować – stwierdził Han, oddychając z ulgą. Chewbacca znał najbardziej szaleńcze, niewiarygodne sztuczki. – Jedynym miejscem, dokąd naprawdę leci, są tutejsze przestworza.

– A co, jeżeli na wszelki wypadek Imperialcy zostawią w pobliżu kilka statków? – zaniepokoił się Luke. – Mam na myśli coś większego niż te TIE... na przykład jeden czy dwa patrolowce.

– To by były z ich strony rozsądne – przyznał Solo. – Wątpię jednak, żeby ich kapitan miał aż tyle rozumu.

– Na pewno nie ma – zgodził się z nim LaRone. – Na szczęście dla nas.

– Czy mamy parametry jego wektora ucieczki? – krzyknął Ozzel tak głośno, że usłyszeli go chyba wszyscy na mostku. – Oficer dyżurny stanowiska sensorów! Czy mamy parametry jego wektora ucieczki?

– Zdążyliśmy go namierzyć, panie komandorze – zameldował podwładny. – Właśnie obliczamy prawdopodobieństwo... nie, to niemożliwe.

– Co to znaczy niemożliwe? – wybuchnął Ozzel.

– Z zebranych danych wynika, że skierował się do systemu Alderaana – odparł zdezorientowany oficer. – A tam przecież niczego nie ma. Już nie.

Ozzel uśmiechnął się z niechęcią. Sprytny drań, ale nie dość sprytny, pomyślał.

– To doskonałe miejsce na kryjówkę – powiedział. – Wpisać parametry kursu do systemu Alderaana.

– A co z bazą piratów? – zapytał Somoril, pokazując planetę w dole. – Jeszcze z nią nie skończyliśmy.

Ozzel spojrział na pożary szalejące po powierzchni Gepparina.

– Zlikwidowaliśmy zagrożenie z ich strony – oznajmił. – Ostatecznym zniszczeniem bazy mogą się zająć piloci naszych TIE.

– Może się jednak okazać, że niektórzy tam przeżyli – stwierdził półgłosem pułkownik IBB. – Zwłaszcza... wie pan, kogo mam na myśli.

– Jeżeli dotąd nie zginęła, niedługo będzie trupem – zapewnił go Ozzel. – Dopilnują tego piloci kluczy TIE. Jeżeli jednak tak bardzo się pan przejmujesz... – Odwrócił się i spojrział w dół, do niszy dla załogi. – Otworzyć ogień do tych ładowisk na południe i na wschód od kompleksu górniczego – rozkazał. – Zniszczyć wszystkie statki. Poprawka... wszystkie z wyjątkiem rendiliańskiego ciężkiego frachtowca.

– Dlaczego, panie komandorze? – zapytał zdezorientowany Somoril.

– W ładowniach tego frachtowca znajduje się cały czas pięćdziesiąt robotów kroczących AT-ST, które stanowią własność Jego Ekscelencji – przypomniał mu zniecierpliwiony Ozzel. Czy rzeczywiście na pokładzie tego okrętu jestem jedyną osobą, która umie przewidywać i planować? – pomyślał. – Wrócimy po nie i po pilotów myśliwców TIE, kiedy się rozprawimy z tym koreliańskim piratem.

– Panie komandorze, naprawdę nie uważam... – zaczął Somoril.

Ozzel demonstracyjnie odwrócił się do niego plecami. Pułkownik IBB może i wiedział więcej niż on o knuciu intryg, skrytobójstwach i ukrywaniu się, ale to on, Ozzel, był tu ekspertem od okrętów i prawdziwej walki.

Nie zamierzał pozwalać, żeby Korelianin mu uciekł. Nie po tym, jak pomógł tym tchórzliwym szurmowcom prześlizgnąć się między jego palcami.

Nie ma mowy.

– Współrzędne kursu do systemu Alderaana wpisane, panie komandorze – zameldował podwładny z niszy dla załogi.

Ozzel posłał jeszcze jedno spojrzenie w kierunku statku zdrajców, którzy, unosząc się w bezpiecznej odległości, kpiłi z niego w żywe oczy. Obiecał sobie, że wcześniej czy później ich dopadnie.

– Obracć kurs na system Alderaana – rozkazał.

LaRone jeszcze nie skończył mówić, kiedy sylwetka ogromnego okrętu w kształcie kłina zamigotała i zniknęła.

– Odlecieli – stwierdził Han, na wół z pogardą, a na wół z ulgą. Doszedł do wniosku, że dowódca tego okrętu jest naprawdę idiotą. – Nawet nie pomyśleli o ściągnięciu do hangaru swoich myśliwców TIE.

– To oznacza, że zamierzają tu wrócić – powiedział Marcross. – Jeżeli chcemy przeszkąć bazę piratów, musimy się tam dostać przed nimi.

– Nie będzie łatwo się przedrzeć przez zaporę tych TIE – ostrzegł Luke.

Tymczasem zamiast się rozproszyć i utworzyć zaporowy kordon, siedmiu pozostałych pilotów maszyn TIE skierowało się w stronę planety.

– Nie zostali tu po to, żeby nas powstrzymać – domyślił się Quiller. – Ozeł kazał im zniszczyć do końca bazę Krwawych Szram.

– A więc o to chodziło – mruknął Han, ponownie chwytając rękęjeści dźwigni sterowniczych. – Lecimy tam, Quiller. Przekaż mi kontrolę nad sterami.

Pilot Suwanteka obejrzał się do tyłu.

– LaRone? – zapytał dziwnie niepewnie.

LaRone się zawahał.

– W czym problem? – stwierdził Han zaczepnym tonem, spoglądając to na jednego, to znow na drugiego. – Chcecie sami pilotować? Proszę bardzo, ale ruszajmy w drogę.

LaRone przeniósł spojrzenie na Marcrossa.

– No, nie wiem... – odezwał się niepewnie.

Han zmarszczył brwi... i nagle zrozumiał.

– To kiedyś był wasz okręt, prawda? – zapytał cicho. – Znacnie pilotów tych TIE.

– Prawdę mówiąc nie zupełnie ich znamy – odparł LaRone, który chyba powoli dojrzywał do podjęcia decyzji. – I „Odwet” to nie jest nasz okręt. Już nie.

– Nic nie szkodzi – powiedział Han, starając się nadać głosowi obojętny ton. Spojrzał na Luke’a. Chłopak miał napięte mięśnie twarzy, ale wyglądał na gotowego do akcji. – Żaden problem. Luke i ja damy sobie z tym radę.

Wiedział, że wyjście z tej sytuacji nie jest trudne, ale nie sądził, aby szturmowcy pozwolili mu zastosować je w praktyce.

I rzeczywiście nie pozwolili.

– Nic z tego – odezwał się stanowczo LaRone. – To była nasza decyzja. To nasze zadanie.

– Zaczekał chwilę – wtrącił Luke, wskazując coś za iluminatorem. – Popatrz.

Han odwrócił się i aż otworzył usta ze zdumienia. Tam, gdzie jeszcze minutę wcześniej unosiło się siedem myśliwców TIE, obecnie było ich już tylko pięć... a chwilę później serie laserowych błysków oddanych spomiędzy wzgórz obok pirackiej bazy unicestwiły dwa następne.

– Chyba jeszcze nie wszyscy tam zginęli – zauważył.

– Zapewne masz rację – stwierdził ponuro LaRone. – Jeżeli jednak chcemy zdobyć jakieś informacje, musimy tam lecieć. Quiller?

– Racja – przyznał pilot Suwanteka. Zawrócił i obracć kurs na planetę. – Grave, Brightwater, postarajcie się namierzyć pozycje baterii tamtych laserów.

– Już się tym zajmujemy – zameldował natychmiast Brightwater. – Naturalnie wciąż jeszcze znajdują się poza zasięgiem naszych strzałów.

– Już niedługo – obiecał LaRone. – Quiller, zabierz nas w tamto miejsce.

Rozdział 17

Niespodziewanie ostrzał z powietrza ustał.

Skulona za potężnym spychaczem Mara uwolniła myśli i zwiększyła wrażliwość zmysłów. W powietrzu unosił się kwaśny dym, a przynajmniej z trzech pobliskich miejsc napływał trzask płomieni. Za to turbolaserowe strzały z nieba przestały zasypywać bazę piratów.

Mara nie wiedziała, dlaczego tak się dzieje, ale postanowiła wykorzystać przerwę w ostrzale, żeby poszukać innej kryjówki. Przeszła ostrożnie nad otaczającymi ją stosami szczątków i wyszła na korytarz. Zastawiona przez Caaldrę ognista pułapka zdążyła zgasnąć, ale w powietrzu unosiły się wciąż jeszcze kłęby kłującego w oczy dymu. Mara kilka razy zamruła i poszła w stronę miejsca, gdzie pozostawiła Tannisa.

Pilot pirackiego statku leżał bez ruchu na dymiącej podłodze.

– Tannis? – zapytała Mara. Wsunęła za pas rękójść świetlnego miecza i przykucnęła obok pirata.

Nie usłyszała odpowiedzi, ale zorientowała się, że Tannis żyje. Poświęciła chwilę, żeby ocenić jego obrażenia – przeważnie oparzenia po eksplozji zostawionych przez Caaldrę beczek z łatwopalną cieczą – i wróciła do zrujnowanego ośrodka dowodzenia po medyczny pakiet.

Nie miała dużo czasu, żeby się zająć rannym, bo prawdopodobnie właśnie w tej chwili napastnicy przygotowywali się do drugiej fazy operacji. Wybrała zestaw wojskowych środków usmierających ból i stymulujących, po czym wstrzyknęła je w tę część ramienia Tannisa, która uniknęła oparzeń. Pół minuty później pirat otworzył oczy, zamruł i spojrzał na nią.

– Jak się czujesz? – zagađnęła Mara.

– Jakbym miał zaraz umrzeć – wy mamrotał Tannis, który wciąż jeszcze nie do końca oprzytomniał. – Co się stało?

– Caaldra zostawił nam małą niespodziankę – wyjaśniła Mara, postanawiając na razie nie wspominać o ostrzale z orbity. – Masz dość sił, żeby się wybrać na krótki spacer?

– Nie wiem – odparł Tannis. – Jak daleko mielibyśmy pójść?

– Można by na chwilę wpaść do waszego rezerwowego ośrodka dowodzenia, a później wrócić na pokład statku i zapakować cię do medycznej kapsuły – oznajmiła Mara.

– Mogę spróbować – stwierdził pirat. Krzywiąc się, oparł rękę na podłodze i usiłował się dźwignąć.

– Dasz radę – powiedziała Mara. Uwolniła myśli i posługując się Mocą, pomogła mu wstać. – Musisz tylko wskazywać drogę. Będę cię wspierała.

– Zapomniałem – mruknął Tannis i uśmiechnął się z wyraźnym wysiłkiem. – Gdzie jesteśmy?

– Na korytarzu niedaleko wejścia do głównego ośrodka dowodzenia.

– Racja. – Tannis spojrzał w prawo i w lewo. – Tędy – zdecydował, pokazując dalszy ciąg korytarza, którym szli, kiedy Caaldra postanowił ich złapać w swoją pułapkę.

Mara przysunęła się do poparzonego pirata, objęła go w pasie i ruszyli w drogę.

Baza wyglądała jak pobojowisko. Co najmniej pięć budynków zostało zrównanych z powierzchnią gruntu, kilka wciąż jeszcze płonęło, a z pozostałych unosiły się kłęby dymu. Wszędzie leżały zwłoki piratów. Mara zauważyła, że niektórzy są kompletnie ubrani, ale resztę śmierć zaskoczyła na pryzcach, na których smacznie spali. W pierwszej chwili się zdziwiła, że dali się tak łatwo zaskoczyć. Czyżby nie chroniły ich systemy sensorów bazy? Doszła jednak do wniosku, że nad bezpieczeństwem prawdopodobnie mieli czuwać trzej piraci, zabici przez funkcjonariuszy IBB w ośrodku dowodzenia. To dlatego Brock i Gilling nie zauważyli nadlatujących napastników, może zresztą nie przejęli się ich pojawieniem w przestworzach nad planetą.

Albo... albo też oczekiwali ich przybycia. „Jeżeli nie damy ci rady, pojawią się inni, żeby zakończyć to, co zaczęliśmy”, przypomniała sobie słowa Brocka.

– To tam – mruknął Tannis, pokazując jeden z widocznych przed nimi budynków.

Niemal całkowicie zniszczony, jeżeli nie liczyć dużego pomieszczenia na parterze, w najdalszym rogu.

– W porządku – stwierdziła Mara, ciężko dysząc. Popatrzyła na oddzielające ją od budynku rumowisko i uświadomiła sobie, że jej zadanie może się okazać trudniejsze niż początkowo przypuszczała.

Tannis także zwrócił uwagę na zaścienioną gruzem przestrzeń.

– Zostaw mnie tu – powiedział. – Idź sama, odszukaj potrzebne dane i wróć po mnie.

– Wykluczone – oznajmiła Mara, obejmując go jeszcze mocniej w pasie. Lada chwila mógł się znów zacząć ostrzał z orbity, więc nie mogła zostawić pirata na otwartej przestrzeni... zwłaszcza że od najbezpieczniejszego miejsca bazy dzieliło ich zaledwie pięćdziesiąt metrów. – Uwważ, gdzie stawiasz stopy.

Zaczęli się przedzierać przez rumowisko. Chociaż Mara przejęła większą część ciężaru Tannisa, pirat potykał się raz po raz na nierównym terenie, więc musiała się znów posłużyć Mocą – uniosła go w powietrze i resztę drogi pokonała, niosąc jak worek owoców. Cały czas lustrowała okolicę. Miała nadzieję, że nikt nie skorzysta z okazji, widząc ją taką objuczoną, i nie otworzy do nich ognia.

Okazało się jednak, że narozne pomieszczenie, które ocalało z całego budynku, jest tylko przejściem umożliwiającym dostęp do samego bunkra z rezerwowym ośrodkiem dowodzenia. Był to duży kompleks pomieszczeń, usytuowany dwa poziomy pod powierzchnią gruntu. Wynikało stąd, że Komodor bardzo poważnie liczył się z możliwością ataku nieprzyjaciół na jego bazę.

Nie na wiele mu się to przydało. Mara zauważyła jego poranione zwłoki na fotelu przed konsolą komunikatora. Herszt bandy Krwawych Szram nie żył.

– A więc to koniec – mruknął Tannis, kiedy Mara posadziła go delikatnie na jednym z wolnych krzeseł. – Przepadło. Wszystko przepadło.

– Na to wygląda – zgodziła się z nim Mara, rozglądając się po pomieszczeniu. Doszła do wniosku, że powinna zacząć od systemu łączności bazy. Jeżeli Komodor i jego tajemniczy klient nie dyskutowali o interesach w cztery oczy, w HoloNecie powinny pozostać ślady rozmów, jakie prowadzili. Podeszła do konsoly komunikatora i delikatnie odsunęła na bok fotel ze zwłokami Komodora.

Zauważyła, że zanim uszła z niego ostatnia iskierka życia, herszt piratów starał się połączyć z HoloNetem. Numer kontaktowy i częstotliwość nie jej nie powiedziały, ale wiele do myślenia dał adres odbiorcy.

Shelkonwa. Stolica sektora Shelshy.

– Ręko! – wychrypiał Tannis. – Popatrz na ekran taktycznego monitora...

Mara odwróciła się w tamtą stronę. Monitor pokazujący rzeczywisty obraz był wyłączony, ale główny monitor taktyczny nad konsoletą systemu obrony nadal funkcjonował. Mara zauważyła na nim siedem czerwonych trójkątów oznaczających nieprzyjacielskie myśliwce. Ich piloci zbliżali się szybko do bazy. Oznaczało to, że za chwilę może się rozpocząć druga faza operacji wymierzonej przeciwko kryjówce piratów.

Tyle że tym razem, w przeciwieństwie do pierwszej fazy, walkę miały toczyć dwie strony.

Mara podeszła do konsolety systemu bezpieczeństwa, usiadła na fotelu i przyjrzała się urządzeniom kontrolnym systemów uzbrojenia, żeby wiedzieć, czym dysponuje. Główne lasery mogły prowadzić ogień równocześnie do trzech celów, a w odwodzie czekała ulubiona broń Krwawych Szram: wyrzutnie protonowych torped. Lasery były gotowe do akcji, więc Mara je uzbroiła. Położyła dłoń na urządzeniach spustowych i zaczęła na odpowiednią chwilę.

Zaledwie jednak napastnicy zbliżyli się na odległość optymalnego strzału, rozdzielili się jak na paradzie z okazji Dnia Zwycięstwa. Mara wzruszyła ramionami. Miło by było prowadzić ogień na optymalną odległość, ale nie zawsze ma się to, co się chce. Skierowała podwójne krzyże celownicze na dwóch pierwszych napastników i dała ognia.

Błyskawice jej laserowych strzałów przemieniły cele w chmury odłamków. Mara obrała nowe cele, zastanawiając się, dlaczego członkowie rywalizującej bandy piratów są na tyle nieostrożni albo zaufani w sobie, żeby wysłać do walki myśliwce pozbawione choćby najsłabszych osłon. Ponownie dała ognia i następna dwójka napastników podzieliła los poprzedniej.

Biorąc na cel następne dwa myśliwce, doszła do wniosku, że prawdopodobnie napastnicy liczą na zwrotność swoich maszyn, która pozwoli im uniknąć trafienia. Zauważyła, że wykorzystują ją do granic możliwości. Wykonywali szalenie manewry, żeby nie zostać namierzonym przez komputerowe systemy celownicze laserów bazy. Jednemu się to nawet udało, czego dowodziło szybko mrugające czerwone światło.

Mara nie potrzebowała jednak technicznych zabawek. Miała do dyspozycji Moc, więc jej przeciwnikom nie mogła pomóc nawet największa zdolność manewrowa we wszechświecie. Przełączyła lasery na celowanie ręczne i, strzelając chłodno i metodycznie, niszczyła pozostałe myśliwce, jeden po drugim. Obserwując wskazania sensorów, zauważyła w oddali jeszcze jeden nadlatujący obiekt, tym razem wielkości frachtowca. Z danych na ekranie wynikało jednak, że statek pojawi się na polu bitwy zbyt późno, żeby pomóc.

Piloci ostatnich dwóch myśliwców postanowili widocznie zaatakować bazę piratów, bo Mara usłyszała dobiegający z góry trzask laserowych błyskawic. Domyśliła się, że w ostatnim akcie desperacji nieprzyjaciele ostrzeżliwiej bunkier z rezerwowym ośrodkiem dowodzenia. Posługując się Mocą, uwolniła myśli, żeby zorientować się w ich zamiarach. Kiedy już mogła je przewidzieć, przesunęła odrobinę w bok lufy działek. Dała ognia – i na polu walki pozostał już tylko jeden napastnik.

Jeszcze raz przesunęła w bok lufy laserów... ale się zawahała. Systemy celownicze zbierały wszystkie istotne informacje o biorących udział w walce napastnikach. Mara doszła do wniosku, że powinna je zarejestrować, aby móc zapoznać się z nimi w wolnej chwili. Dobrze byłoby także mieć kontakt optyczny z napastnikami. Na chwilę przestała poświęcać całą uwagę walce, chociaż wiedziała, że daje w ten sposób ostatniemu wrogowi chwilę wytchnienia. Włączyła ekran monitora pokazującego rzeczywisty obraz pola bitwy.

Podczas wcześniejszego ostrzału optyczne sensory zostały poważnie uszkodzone, więc przesyłany obraz był ciemny, ziarnisty i bardzo zniekształcony. Mimo to Mara uznała go za wystarczająco czytelny. W całej galaktyce istniał tylko jeden typ myśliwca o takim profilu i budowie.

Zrozumiała, że bazę piratów atakowali piloci imperialnych maszyn typu TIE.

Nie mogąc uwierzyć własnym oczom, wpatrywała się w wizerunek na ekranie. To było niemożliwe... Całą uwagę Imperium pochłaniała przecież Rebelia, a także niestabilność wewnętrzna i niepokojące wzniesienie przez istoty obcych ras. Z rozkazu samego Imperatora piraci i bandyci zostali zakwalifikowani do kategorii problemów, z którymi powinny sobie radzić lokalne służby bezpieczeństwa. To nie mogła być oficjalna operacja, wymierzona przeciwko Krwawym Szramom.

Chyba że celem imperialnych napastników była sama Mara.

Młoda kobieta uświadomiła sobie, że ma napięte mięśnie twarzy. Ponownie skoncentrowała się na mechanizmie spustowym i zestrzeliła ostatnią maszynę typu TIE. A zatem właśnie tak wygląda sytuacja. Nie chodziło tylko o zjednoczenie piratów sektora Shelszy w jedną wielką bandę. Nie chodziło nawet o związek między piratami a Rebelią. Chodziło o sprawę dotyczącą samego Imperium. I samych szczytów władzy.

Mara spojrzała ponownie na ekran taktycznego monitora. Nieznany frachtowiec był wciąż zbyt daleko, żeby stanowić zagrożenie, ale cały czas zbliżał się do planety.

Mara uznała, że pora się stąd wynosić.

Tannis bezwładnie zwiślał na krześle, na którym go zostawiła. Oddychał szybko i płytko.

Mara podeszła i kucnęła obok niego.

– Dasz radę wybrać się na jeszcze jeden krótki spacer? – zapytała.

– Mogę spróbować – powiedział cicho pirat. – Zdobyłeś to, po co przyjechałeś?

– O, tak – odparła równie cicho Mara. Pomagając sobie Mocą, uniosła go z krzesła tak delikatnie jak umiała. – Jeszcze tylko kilka minut – oznajmiła, niosąc go w kierunku wyjścia z bunkra. – Zaraz cię umieszczę w medycznej kapsule „Drogi Happera”...

Urwała, bo poczuła, że pirat ścisnął ją za ramię.

– Jeżeli z tego nie wyjdę – wychrypiał, kierując na jej twarz półprzymknięte oczy – pochowaj mnie w przestworzach. Rozumiesz?

– Wyjdiesz z tego – zapewniła go Mara. Skłamała bez zastanowienia, ale zaczynała ją ogarniać frustracja. Znała kilkanaście technik Mocy, służących do uzdrawiania własnego organizmu, ale ani jedna z nich nie mogła pomóc innej osobie.

Doszła jednak do wniosku, że póki życia, poty nadziei.

– Trzymaj się – poleciła, kierując się do schodów. Wyszła na dwór i ruszyła w kierunku głównego ośrodka dowodzenia. Kiedy pokonywała usianą gruzem przestrzeń, usłyszała dobiegający z oddali ryk jednostki napędu podświetlnego startującego statku.

Spojrzała w tamtą stronę i zobaczyła, że ze szczytów lądowiska unosi się w powietrze „Droga Happera”. Frachtowiec obrócił się niespiesznie wokół pionowej osi, jakby pilot chciał ocenić bezmiar zniszczeń, po czym zaczął się wznosić i śmignąć ku przestworzom.

Mara obserwowała statek ze ściśniętym sercem. A więc to tak pomyślała. Jej frachtowiec odleciał, a sądząc po ogniskach, które wciąż jeszcze dogasały w tej części kompleksu górniczego, wszystkie inne statki zostały także zniszczone.

Oznaczało to, że ona i Tannis nie mają czym odlecieć.

Nagle przypomniała sobie o innym statku wielkości frachtowca, którego pilot powoli, ale bez przerwy zbliżał się do planety. Jeżeli był na tyle głupi, żeby wylądować w zrujnowanej bazie, Mara mogła mieć nadzieję, że obezwładni członków załogi i wydstanie się z Gepparina.

Chyba że statek miał brać udział w trzeciej fazie wymierzonej przeciwko niej operacji. W takim razie musiałaby po prostu zabić wszystkich na jego pokładzie.

Poczuła, że stojący obok niej Tannis lekko się poruszył.

– Dlaczego stoimy? – wymamrotał.

Mara skupiała całą uwagę na nim, na jego poparzonej twarzy i urywanym oddechu. Doszło do wniosku, że nie może czekać na przyłot nieznanego frachtowca. Pirat wymagał natychmiastowej pomocy.

W końcu uświadomiła sobie oczywistą odpowiedź.

Większa część budynku głównego ośrodka dowodzenia legła w gruzach, ale Mara wciąż jeszcze mogła się dostać do wylotów trzech próbnych odwiertów, którymi uciekł Caaldra. Kurz i pył pierwszego ataku prawdopodobnie zatarał pozostawione przez niego ślady, lecz kiedy Mara weszła do lewego tunelu, metr dalej zobaczyła świeży odcisk dłoni.

W tunelu nie było źródeł światła, ale dno było gładkie, a sam tunel obniżał się stosunkowo łagodnie. Dwa zakręty dalej i mniej więcej sto metrów od wejścia Mara i Tannis dotarli do kiepsko oświetlonej pieczary. Stał tutaj statek, który mógł im umożliwić ucieczkę; statek, który Mara miała nadzieję tam znaleźć – niewielka jednostka typu Starfeld Z-10 Seeker. Była przygotowana do lotu, co dowodziło, że zamierzał nią uciec Caaldra, dopóki się nie natknął na nieuszkodzoną „Drogę Happera” i nie postanowił przywłaszczyć jej sobie wraz z całym ładunkiem. Mara zaniósła Tannisa do medycznej kapsuły i wpisała kod awaryjnego leczenia, po czym włączyła repulsory i ostrożnie skierowała statek w głąb tunelu.

Kiedy Han i pozostali szli przez rumowisko, jakie pozostało po pirackiej bazie, większość pożarów zdążyła zgasnąć.

– Miło widzieć, że Imperium znów się interesuje piratami – zauważył Korelianin, nie zwracając się do nikogo w szczególności.

– W tym przypadku nie chodziło o rozprawę z piratami, Solo – stwierdził ponuro LaRone. – Chodziło o zatarcie śladów spisku.

Han spiorunował go spojrzeniem, chociaż i on nie uważał, żeby sprawa wyglądała tak prosto.

– Jakiego spisku? – zainteresował się Luke.

– Ktoś werbuje piratów – oznajmił Marcross jeszcze mroczniejszym niż zazwyczaj tonem. – A ten ktoś, jaksami widzicie, ma powiązania z Imperium. To osoba stojąca bardzo wysoko w hierarchii imperialnej władzy.

– Kto? – nie dawał za wygraną chłopak.

– Przyłeciliśmy tu, żeby się tego dowiedzieć – przypomniał LaRone. – Quiller?

– Nic się nie porusza, ani na górze, ani w dole – rozległ się głos pilota z komunikatora u pasa Hana. – Pamiętacie tamten frachtowiec, którego start obserwowaliśmy, lecąc tutaj? Prawdopodobnie odleciały nim ostatnie osoby, które przeżyły ostrzał z orbity.

– Ani śladu „Sokoła”? – zapytał Solo.

– Na razie nie – odparł Quiller. – Na twoim miejscu specjalnie bym się jednaknie przejmował. Zanim twój kumpel zawróci, chce się chyba upewnić, że „Odwet” przeleci jaknajwiększą odległość.

Han się skrzywił. Prawdopodobnie właśnie takrozumował rosły, tępawy Wookie.

– Dajcie mi znać, kiedy go zobaczycie – powiedział.

– Jasne – obiecał Quiller. – LaRone, z odczytów wynika, że masz przed sobą wyloty kilku głębokich tuneli próbnych odwiertów. Nie są zasypane. Mogą się w nich znajdować żywe istoty, albo systemy uzbrojenia, których nie wykrywają moje skanery.

– Jeżeli pozostaną na miejscu, nie zrobią nam żadnej krzywdy – stwierdził LaRone. – Mimo to miej oko na wyloty tych tuneli. Czy mamy już odczyt w podezwierzeni?

– Właśnie się pokazuje – poinformował Quiller. – Wygląda na to, że jedynym miejscem wciąż jeszcze pobierającym energię jest punkt na północny wschód od epicentrum ataku. To pojedyncze małe pomieszczenie na powierzchni i duży kompleks pod nim, prawdopodobnie coś w rodzaju bunkra albo reduty. Będę wam mówił, kórędy macie iść.

Okazało się, że podziemny kompleks to rzeczywiście bunkier, i to profesjonalnie wykonany. Do dużego ośrodka dowodzenia z szerokimi drzwiami w trzech bocznych ścianach prowadziły wąskie schody. Szturmowcy zauważyli tam tylko jedne zwiłki. Mężczyzna siedział skulony na krześle przed konsolą komunikatora.

– Systemy prowadzenia ognia pozostawiono w stanie gotowości – zameldował Grave, pochylając się nad jedną z konsol.

– A tu są kwatery dla personelu pełniącego służbę – oznajmił Brightwater, zaglądając do jednego z bocznych pokoiów. – Wygląd łózek wskazuje jednak, że w chwili ataku nikt w nich nie spał. Ostrzał „Odvetu” musiał ich kompletnie zaskoczyć.

– Co za brak dyscypliny – mruknął Grave.

– Przecież to piraci – przypomniał mu Brightwater.

– Czego właściwie szukamy? – zainteresował się Han. Podszedł do innych drzwi, otworzył je i zajrzał do środka. Zobaczył niewielką zbrojownię z regałami pełnymi granatów i blasterów, gotowych do użytku, gdyby nieprzyjacieli zrudził się ostrzeliwaniem bazy z powietrza i postanowił zaatakować ją z powierzchni gruntu.

– Zacznijmy od sprawdzenia, z kim ostatnio rozmawiali – zaproponował Marcross, podchodząc do konsoli komunikatora.

– Dobry pomysł – przyznał Han, rozglądając się po pomieszczeniu. Pozostali szturmowcy zgromadzili się za plecami Marcrossa, byli więc zwrócenii plecami do niego i do Luke’a. Han zaczął, aż chłopak na niego spojrzy, i wymownym gestem głowy wskazał mu zbrojownię, po czym podszedł do szturmowców stojących za plecami Marcrossa. Luke nie od razu zrozumiał, o co chodzi, w końcu jednak kiwnął głową i ruszył od niechcenia w kierunku wskazanych drzwi.

– Znaleźliście coś? – zapytał Han za pleców LaRone’a.

– Na razie wiemy tylko, z jakim miejscem się ostatnio łączyli – odparł szturmowiec, patrząc nad ramieniem Marcrossa na ekran monitora. Głos miał dziwnie zniekształcony przez elektroniczną aparaturę hełmu.

– No i co? – nie dawał za wygraną Solo. Wyciągnął szyję, żeby samemu zerknąć na ekran komunikatora.

– Nie twój interes – burknął Marcross, szybkim ruchem wskazującego palca wyłączając zasilanie ekranu monitora.

Mimo to Han zdążył odczytać nazwę planety i systemu. Kiedy piraci zostali zaskoczeni przez atak „Odvetu”, jeden z nich prowadził rozmowę z kimś na planecie Shelkonwa w systemie Shelsly... na tej samej planecie, na której zdaniem Luke’a jakieś niebezpieczeństwo groziło księżniczce Lei.

– A zatem lecimy na Shelkonwę? – zapytał Solo obojętnym tonem.

– To my lecimy na Shelkonwę – poprawił go oschle Marcross. – Wy możecie lecieć, dokąd chcecie. Naturalnie własnym statkiem.

– Będziecie mogli opuścić planetę, kiedy wróci wasz Wookie – dodał LaRone. – A przy okazji... jeszcze raz dziękujemy za pomoc w ujęciu tamtych dwóch piratów.

– Nie ma sprawy – odparł Han, czując nagły przypływ w sprzecznych emocji. Uświadomił sobie, że to koniec. Jeżeli Luke miał rację, że Leia została tam uwięziona, on, Chewie i chłopaknie mogli zrobić absolutnie nic, żeby jej pomóc. Na pewno do tej pory Imperialcy otoczyli całą planetę kordonem tak szczelnym, że Han nawet nie mógłby marzyć o tym, aby się przedrzeć „Sokołem” przez ich blokadę. Nie każdy imperialny dowódca był równie naiwny i głupi jak komandor Ozzel.

Księżniczka była więc zdana na własne siły, ale Han doszedł do wniosku, że da sobie radę. Leia jest przedsiębiorcza i sprytna, a ona i Chivkyrie mają na planecie wielu przyjaciół. Mogą także liczyć na pomoc Mon Mothmy, Rieekana i ich sojuszników, którzy na pewno wydadzą jej pomoc, po czym ukryją gdzieś na drugim krańcu galaktyki, a Han prawdopodobnie nigdy więcej się z nią nie spotka.

A kiedy Leia zniknie na dobre, on straci ostatni powód zainteresowania problemami Rebelii.

Oznaczało to, że jest wolny. Może zostawić Luke’a z jego nowymi przyjaciółmi, załagodzić spór z Jabbą i powrócić do dobrze znanego, prostego życia, jakie wiodł, zanim się spotkał w kantine w Mos Eisley z Luke’em i ze starym Kenobim. Nikt nie będzie go ścigał, nikt nie będzie od niego niczego wymagał i nikt oprócz niego nie będzie mu rozkazywał. To był koniec.

Jeżeli tylko naprawdę tego zechce.

Han rozejrzył się po dużym pomieszczeniu i zauważył, że Luke wraca ze zbrojowni. Chłopak miał obojętny wyraz twarzy, ale trzymał blaster, przezornie ukryty za nogawką spodni.

Han westchnął. Nie, to nie koniec. Jeszcze nie. Luke i Leia byli jego przyjaciółmi... a on, chociaż jeszcze nie był gotów opowiedzieć się po stronie Rieekana i Rebelii, nie mógłby zawieść zaufania przyjaciół.

Spojrzał na LaRone’a.

– Prawdę mówiąc, my też zamierzaliśmy lecieć na Shelkonwę – powiedział. – Nie widzę powodu, dla którego nie mielibyśmy udać się tam razem.

– A ja mogę sobie wyobrazić cały tuzin takich powodów – odciął się Marcross, odwracając głowę i spoglądając na niego. Trzymał blaster, ale nie kierował lufy w jego stronę. – Jaki pilny interes was tam ciągnie?

– I dlaczego nie możecie lecieć własnym statkiem? – dodał LaRone.

Han doszedł do wniosku, że powinien wyznać całą prawdę. W razie ewentualnych kłopotów będzie lepiej, jeżeli szturmowcy dowiedzą się od razu wszystkiego, niż gdyby miał im to powiedzieć dopiero w drodze do Makrin City.

– Mamy tam przyjaciółkę, która wpadła w tarapaty – wyznał w końcu. – Może nawet w coś więcej niż zwykłe tarapaty. Prawdopodobnie do tej pory cała planeta została zamknięta z jej powodu.

– Zamknięta? Stolica sektora? – zapytał niedowierzającym tonem Brightwater. – Co takiego zrobiła twoja przyjaciółka? Obrabowała pałac gubernatora?

– Do tej pory nie zrobiła właściwie nic – odparł Han, mając nadzieję, że nie mija się z prawdą. – Chodzi o to, że wy, jako wojskowi, bez trudu przeleciecie przez blokadę. My nie moglibyśmy nawet o tym marzyć.

W rezerwowym ośrodku dowodzenia zapadła długa cisza. Pierwszy przerwał ją LaRone.

– A więc o to chodzi – powiedział, jakby właśnie uzyskał odpowiedź na pytanie, które od dawna nie dawało mu spokoju. – Jesteście Rebeliantami!

– Prawdę mówiąc jesteśmy tylko z nimi luźno związani – wyjaśnił Solo.

– Chcesz powiedzieć, że jesteście tylko po części zdrajcami, tak? – zapytał kwaśno Grave.

– No cóż, wy za to jesteście dezertarami – wtrącił Luke.

Nie powinien był tego powiedzieć. Wszyscy czterej szturmowcy napięli mięśnie, a Han bez trudu sobie wyobraził, jak wyglądają ich twarze wewnątrz hełmów.

– Jeżeli jeszcze raz nas tak nazwiesz, chłopcze – odezwał się lodowatym tonem Grave – lepiej bądź gotów zrobić użytek z tego blastera.

– Odlóż go, Luke – polecił Han. Czy ten smarkacz nigdy się nie nauczy trzymania języka za zębami? – pomyślał. – To w tej chwili i tak nie ma żadnego znaczenia.

– Owszem, ma – sprzeciwił się LaRone, kiedy Luke w milczeniu odkładał broń na pulpit najbliższej konsoly. – Bez względu na to, jak wygląda nasza obecna sytuacja, cały czas pozostajemy żołnierzami Imperium.

– Składaliśmy przysięgę, że będziemy go bronić przeciwko takim gościom jak wy – dodał Brightwater.

– Tak ja też znam słowa tej przysięgi – stwierdził Han, dumnie się prostując. – Kiedyś i ja ją składałem.

Zobaczył, że LaRone opuścił odrobinę niżej lufę swojego blastera.

– Byłeś w wojsku? – spytał szturmowiec.

– W Akademii na Caridzie – odparł Solo, zmagając się z falą gorzko-słodkich wspomnień. – Ukończyłem ją z wyróżnieniem. Wszyscy twierdzili, że mam przed sobą wspaniałą karierę.

– I co się stało? – zainteresował się LaRone.

Han się skrzywił.

– Przekonałem się, jak Imperium traktuje ludzi – powiedział. – A zwłaszcza istoty innych ras.

Tym razem wszyscy czterej szturmowcy opuścili lufy broni.

– My też – mruknął w końcu Grave.

– Kiedy... zrezygnowałeś ze służby? – zapytał Brightwater.

– Nigdy z niej nie zrezygnowałem – wyjaśnił Han. – Staralem się pomóc, moim zwierzchnikom to się nie spodobało, więc po prostu mnie wyrzucili. Koniec historii.

Znów zapadła cisza. Sądząc z mowy ciała szturmowców, Han domyślił się, że wszyscy już kiedyś toczyli rozmowę na podobny temat.

– Wy, Rebelianci, staracie się zburzyć ład i zaprowadzić swój porządek – odezwał się w końcu LaRone. – Usiłujecie zniszczyć wszystko, co z takim trudem budujemy od czasu Wojen Klonów.

– Prawo i porządek wcale nam nie przeszkadzały – sprzeciwił się Solo. – Nikt nie zamierza tego niszczyć. Chcemy tylko wyeliminować to, co się nam w tym wszystkim nie podoba.

– Dlaczego uważacie, że nie da się tego naprawić od wewnątrz? – zagadnął Brightwater.

– Bo nie zależy na tym osobom, które sprawują władzę. I hm wskazał na sufit. – Mój partner Chewie był kiedyś imperialnym niewolnikiem. Do tej pory w imperialnej niewoli język mnóstwo innych istot jego rasy. Czy sądzicie, że gubernatorom, Moffom i admirałom zależy na zmianie tej sytuacji?

– Może po prostu istoty rasy Wookie mają szczęście – mruknął Grave.

– Chcesz powtórzyć to Chewiemu? – zdrwił Han.

– Nie, ale skąd – wycofał się strzelec wyborowy. – Chciałem tylko powiedzieć, że mógł go spotkać gorszy los. Tak jak wiele innych istot.

– Zanim zrezygnowaliśmy z dalszej służby na pokładzie „Odwetu”, braliśmy udział w pewnej operacji na planecie Teaidrop – zaczął Brightwater, z trudem wypowiadając słowa. – To jeden z powodów, dla których odeszliśmy. Mielismy tam zlikwidować komórkę Rebeliantów w niewielkim mieście pośród wzgórz.

Han spojrzął na Luke'a. Teardrop, przy pomnił sobie. Czy to nie z tej planety ledwo uciekli po walce z piratami i spotkaniu z imperialnym niszczycielem?

Odwrócił się znów do szturmców.

– Tamci Rebelianci odlecieli jeszcze przed naszym pojawieniem się na orbicie planety – powiedział. – Kiedy wylądowaliście już ich tam nie było.

Po jego słowach zapadła kolejna krótka cisza.

– Jesteś tego pewny? – zapytał w końcu LaRone, chyba nie do końca przekonany, czy chce znać odpowiedź.

– Jak najbardziej – odparł Han. – Kiedy na niebie nad planetą pojawił się nasz niszczyciel, ja i Luke odlaty waliśmy stamtąd z ostatnią grupą Rebeliantów na pokładzie.

– Czy stało się tam coś złego? – zagadnął nieśmiało chłopak.

LaRone odwrócił się w jego stronę.

– Oni byli... my... wydano nam rozkaz, żebyśmy ich zabili – oznajmił w końcu. – Wszystkich.

– Wszystkich mieszkańców tamtego miasta – dokończył Grave i urwał, jakby się zawahał. – Zaczynając od istot obcych ras.

– O, nie – szepnął Luke. – Ale wy... wy tego nie zrobiliście, prawda?

LaRone nie odpowiedział.

Han spojrzął na Luke'a i poczuł skurcz żołądka. Z drugiej strony... po tym, co stało się z Alderaanem, czego mógł się spodziewać? Czego kogośkolwiek z nich mógłby się spodziewać? Przeniósł spojrzenie na szturmców.

– Czy wciąż jeszcze uważacie, że takie rzeczy dadzą się naprawić od wewnątrz? – zapytał.

– Nie przyłeciliśmy tu, żeby ratować galaktykę, Solo – burknął Grave. – Jesteśmy tylko żołnierzami.

– W tej chwili nawet tego nie możemy być pewni – przyznał Brightwater.

– My także nie przyłeciliśmy tu z zamiarem ratowania galaktyki – zapewnił go Han, starannie dobierając słowa. Rozumiał obecnie o wiele lepiej motywy postępowania tych ludzi. Najlepszym sposobem uzyskania ich zgody na jego propozycję będzie odwołanie się do ich emocji. – Chcę tylko naprawić parę drobniagów tu i tam. – Machnął ręką w kierunku sufitu. – Jednym z drobniagów jest ocalenie naszej przyjaciółki.

– Składaliśmy przysięgę na wierność Imperatorowi – nie dawał za wygraną szturmcowiec.

– Nie wątpię w to – zapewnił Han. – Ale jeżeli chcecie znać moją opinię, prawdziwym obowiązkiem żołnierza jest ochrona obywateli.

– Nie musisz nam mówić, na czym polegają nasze obowiązki – powiedział cicho Marcross. Han zauważył, że to pierwsza śmiała uwaga, na jaką pozwolił sobie szturmcowiec, odkąd rozmowa zesza na ten temat. – A my marnujemy czas.

– Masz rację – przyznał Solo. – A więc co postanowicie?

Z głośnika komunikatora u pasa Hana wydobył się cichy trzask.

– LaRone, pojawił się „Sokół” – zameldował Quiller. – Wszystko wskazuje na to, że w jednym kawałku. Skończyliście już tam na dole?

Han spojrzął na LaRone'a. Żałował, że nie może zobaczyć jego twarzy.

– W tej chwili wszystko zależy od ciebie – powiedział.

Szurmcowiec powiódł spojrzeniem po helmach trzech podwładnych, a później, jakby niechętnie, odwrócił się znów do Hana.

– Quiller, powiedz Wookiemu, że zabieramy ich wszystkich na Shelkonwę – zdecydował. – Niech ukryje gdzieś swój statek, na wypadek, gdyby wrócił tu „Odwet”. Kiedy to zrobi, niech przekaże nam współrzędne kryjówek, żebyśmy mogli tam po niego przylecieć.

– A może Luke i ja zabierzemy się z wami, a Chewie poleci sam na Shelkonwę? – zaproponował Solo. – Spotkamy się w ja – kims punkcie tamtego systemu, żeby Chewbacca mógł się przesiąść na pokład Suwanteka.

– My śle, że to możliwe – przyznał LaRone. – Quiller?

– Zaraz dam mu znać – odparł pilot. – Macie wszystko, czego szukaliście?

LaRone spojrzął na Marcrossa.

– O, tak – mruknął cicho Marcross. – Wszystko.

– Za dziesięć minut będziemy na płycie lądowiska. – LaRone odwrócił się znów do Hana. – Zabierzemy was na Shelkonwę obiecał. – Ale kiedy już tam wylądujecie, będziecie zdani tylko na własne siły. Jeżeli przy padkiem się znów spotkamy, podrzucimy was do miejsca, gdzie Wookie zostawi „Sokoła”, ale nie poza tym nie zrobimy ani dla was, ani dla waszej rebelianckiej przyjaciółki. Czy to jasne?

– Jak słońce – odparł Solo.

LaRone spojrział na Luke'a.

– A ty możesz położyć ten blaster na pulpicie konsoli powiedział. – Mamy lepsze w zbrojowni Suwanteka.

Odwrócił się i ruszył w stronę schodów.

– Rozumiem – rzucił chłopak, posyłając Hanowi spojrzenie pełne udęki.

Solo wzruszył ramionami.

– Słyszałeś, co powiedział – mruknął cicho. – W drogę.

Wylot tunelu próbnego odwiertu znajdował się dziesięć kilometrów dalej, w zamaskowanej jaskini na północ od pirackiej bazy. Mara śmignęła w niebo po drugiej stronie pasma wzgórz i zauważyła, że niezmany frachtowiec osiadł na lądowisku ósmym... tym samym, na którym przedtem wylądował pilot „Drogi Hoppera”.

W pierwszej chwili chciała zawrócić i ostrzelać statek z powietrza, dopóki spoczywa nieruchomo na płycie lądowiska, ale po namyśle zrezygnowała. Nic nie wskazywało, żeby załoga frachtowca brała udział w ataku, a ona nie miała ani chwili do stracenia. Wpisała do pamięci nawigacyjnego komputera współrzędne najbliższego systemu, w którym mogła znaleźć przyzwoity ośrodek medyczny, i opuściła przestworza Gepparina.

Godzinę później wyskoczyła z nadprzestrzeni, żeby spełnić ostatnie życzenie Tannisa.

Wiedziała, że Imperator nie znosi pomników, a szczególną pogardą darzy zwyczaj wygłaszania przemówień nad grobami poległych bohaterów. Mimo to wypowiedziała kilka zapamiętanych z dzieciństwa zdań, zanim powierzyła odkryte całunem zwłoki Tannisa pustce przestworzy.

Kiedy ponownie zasiadła za sterami frachtowca, w jej duszy kłębił się mroczny, lodowaty gniew. Myśliwce typu TIE i turbolaserowy ogień dowodziły, że w ataku na bazę piratów brał udział gwiazdny niszczyciel Imperium, a zdaniem kapitana Norella jedynym okrętem tego typu w okolicy był „Odwet”.

Mogła być pewna, że komandor Ozzel nie utrzymywał bezpośrednich kontaktów z Krwawymi Szramami. Imperialny dowódca był ambitny i zachowywał się pretensjonalnie, ale musiałby być szaleńcem albo idiotą żeby się decydować na takie ryzyko. Ozzel po prostu nie miał takich cech charakteru. Pułkownik Somoril to człowiek odważny i pozbawiony wszelkich skrupułów, ale nawet starszy oficer IBB nie mógłby wydać dowódcy gwiazdznego niszczyciela rozkazu wzięcia udziału w takiej operacji. Jeżeli nie liczyć kilku osób takich jak Mara i najwyższych stopniem dowódców imperialnej Marynarki, mógł to zrobić tylko sam gubernator sektora.

A z informacji, jakie Mara zdobyła w rezerwowym ośrodku dowodzenia pirackiej bazy, wynikało jasno, że krótko przed śmiercią Komodor kontaktował się z kimś w stolicy sektora.

Mara spojrzała ostatni raz na owinięte całunem zwłoki Tannisa, unoszące się za iluminatorem frachtowca, po czym skierowała statek na Shelkonwę. To gubernator Choard wysłał „Odwet” w celu zniszczenia bazy Krwawych Szram i zatarcia śladów swojej działalności. Był zdrajcą Imperium.

Mara zamierzała się z nim rozprawić.

Rozdział 18

Leia się spodziewała, że kiedy ona i Chivkyrie wrócą do hotelu, zastaną w nim przeszkakujących jej apartament żołnierzy gubernatora Choarda. Okolica i hotel wyglądały jednak dokładnie tak jak przed godziną, kiedy Leia wychodziła.

Mimo to Chivkyrie oznajmił, że wejdzie sam, żeby zabrać jej rzeczy. Zaprowadził księżniczkę na drugą stronę ulicy do kawiarenki dla istot różnych ras. Leia weszła, zamówiła coś do picia i usiadła przy stoliku pod oknem, skąd mogła obserwować ulicę.

Zaczynała tracić cierpliwość, ale w końcu Adarianin pojawił się w drzwiach hotelu. Niósł jej bagaże, przerzucone jakby od niechcenia przez ramię. Rozejrzył się i ruszył na drugą stronę ulicy. Leia położyła na stoliku kilka kredytów i wyszła mu na spotkanie.

– Dlaczego to trwało tak długo? – zapytała, biorąc swoje torby podróżne.

– Uznałem za rozsądne połączyć się przez komunikator z kilkoma osobami – wyjaśnił Chivkyrie, gestem zachęcając ją do oddalenia się od hotelu.

– Proszę wybaczyć moją bezczelność, ale nie wydaje mi się to rozsądne – zauważyła księżniczka. – Mogli pana namierzyć i schwytać.

– Jeżeli nawet, to lepiej tam niż w pani obecności – odparł Adarianin. – Tak czy owak mamy chyba kilka chwil wytchnienia. Kosmoporty wprawdzie zamknięto i zarządzono poszukiwania osób płci żeńskiej odpowiadających pani rysopisowi, ale moi przyjaciele nie zauważyli, żeby miasto penetrowali funkcjonariusze miejscowej policji. Przynajmniej nie ma ich w dzielnicach zamieszanych przez obywateli pierwszej kategorii, od których takie poszukiwania powinny się zacząć.

– A może Choard jest dość sprytny, aby się domyślić, że będziemy unikali takich miejsc? – podesunęła Leia.

– Wykluczone – odparł spokojnie Chivkyrie. – W Makrin City i w okolicznych osadach mieszka bardzo wielu Adarian. Gubernator Choard zna całkiem niezłe nasz sposób myślenia i nasze obyczaje. Na moje nieszczęście aż za dobrze zna mnie także jego szef administratorów Disra. Wie, że nie pozwoli gościowi mieszkać w apartamencie nieodpowiadającym jego społecznemu statusowi.

– Przecież pozwolił mi pan zamieszkać w tamtym hotelu – przypomniła księżniczka.

Chivkyrie pochylił głowę.

– Niezupełnie – powiedział, wyraźnie zakłopotany. – Pozwoliłem pani wprowadzić się do tamtego hotelu, ale nie zamierzałem dopuścić, żeby pani w nim zamieszkała. Chciałem wydać rozkaz moim sługom, żeby zabrali stamtąd pani rzeczy i przenieśli je do mojego domu.

Leia się skrzywiła. Adarianie to istoty bardzo uparte, pomyślała.

– A teraz dokąd zmierzamy? – zapytała.

– Proszę się o nic nie martwić, księżniczko Leio – odparł Chivkyrie poważnym i stanowczym tonem. – Od tej chwili moja kategoria społeczna nie będzie stanowiła dla nas żadnego problemu, nie będzie mąciła jasności mojego umysłu, ani nie będzie kierowała moimi poczynaniami. – Wyglądało na to, że Adarianin powoli odzyskuje pewność siebie. – Widzi pani, przez własną głupotę zawiodłem mojego gościa. Nie mam innego wyjścia... muszę wyrzec się mojego nazwiska, mojego domu i miejsca, jakie zajmuję w hierarchii społecznej.

Leia spojrzała na niego, wyraźnie zaskoczona. Coś takiego było dla Adarianina niesłychanym poniżeniem. Nie wiedziała, czy Chivkyrie naprawdę rozumie, co chce zrobić. Otworzyła już nawet usta, żeby mu to uświadomić... ale nic nie powiedziała. Chivkyrie musiał wiedzieć, co go czeka.

Przyłączając się do Rebelii, z góry zakładał, że dla wolności jest gotów oddać życie. Obecnie rzucał na szalę także swoją pozycję w hierarchii społecznej. Był Adarianinem, więc podjęcie takiej decyzji musiało być dla niego o wiele trudniejsze.

– Dziękuję panu – mruknęła Leia. – I co teraz?

– Teraz – odparł Chivkyrie, stawiając coraz dłuższe kroki – znajdziemy sposób zrobienia jak najlepszego użytku z czasu, jaki mamy.

Leia także przyspieszyła. Adarianie może i byli uparci, ale byli także odważni i szlachetni. Uważała, że te zalety zawiązką równoważą wady ich charakteru.

Przeszli trzy przecznice i wsiadli do jednego z pojazdów transportu publicznego, którym pojechali na północ w kierunku głównego kosmoportu. Wsiadli sześć przecznice dalej i innym pojazdem skierowali się na południe, w stronę głównego międzygwiazdowego ośrodka finansowego i otaczających go apartamentowców dla osób trzeciej kategorii. Na skraju dzielnicy jeszcze raz zmienili środek transportu i podążyli na wschód, do miejsca, w którym Makrin City graniczyło z pasmem stromych wzgórz, usianych mrocznymi otworami i jaskiń. Ruszyli brudnym chodnikiem w kierunku granicy miasta.

– To katakumby – wyjaśnił Chivkyrie, wskazując otwory widoczne w oddali między budynkami i rzadko rosnącymi drzewami. – W ciągu wielu wieków korzystali z nich przestępcy i banicy, podżegacze wojenni i roznosiciele zarazy. W tamtym okresie naszej historii mieszały tu najuboższe istoty różnych ras, które przyłatywały na Shelkonwę w poszukiwaniu lepszego życia, ale nigdy go nie znalazły.

Leia zmarszczyła nos z niesmakiem i natychmiast zawstydzila się swojej reakcji. Tak to ponure sprawy, ale sama w życiu mieszkała w gorszych miejscach. Jeżeli Chivkyrie umiał się zniżyć do przebywania pośród istot najniższej kategorii swojego społeczeństwa, mogła się na to zdobyć także ona.

Zresztą powietrze w jaskiniach nie mogło być gorsze niż atakujące jej nos wonie, jakie napływały od rządów budynków wzniesionych po obu stronach wąskiej ulicy.

– To chyba dobre miejsce, żeby się na jakiś czas ukryć – odezwała się Leia.

– Idealne miejsce – przyznał Chivkyrie. – I właśnie dlatego tam nie pójdziemy. Jaskinie będą jednym z pierwszych miejsc, od których gubernator Choard rozpocznie poszukiwania, kiedy się dowie, że nie zamieszkałszy w żadnym z miejskich apartamentowców dla osób pierwszej kategorii. Pozostawimy jednak w jaskiniach kilka pani osobistych rzeczy, żeby wprowadzić w błąd naszych prześladowców.

– Doskonały pomysł – podchwyciła Leia. – Skoro nie idziemy do katakumb, to dokąd się kierujemy?

Chivkyrie niespodziewanie przystanął.

– Tu – powiedział, wskazując na budynek

Leia spojrzała w bok. Stali przed wejściem wcisniętego między dwa sklepy z używaną odzieżą niewielkiego baru. Nad drzwiami wisiał spłowiwały sztyl z adariańskim napisem, a wypisany w czterech językach jadłospis w oknie z przyciemnioną szybą.

– Tu? – Leia się zdziwiła.

– Czasami najrozsądniej ukryć cenną rzecz na widoku, pamięta pani? – zapytał Chivkyrie. Leia zauważyła, że Adarianin stara się nie okazać dumy, ale w skrytości ducha jest bardzo zadowolony z siebie. – Załatwiłem pani tutaj pracę.

Leia uświadomiła sobie, że może drugi, a może trzeci raz w życiu nie ma pojęcia, co odpowiedzieć.

– Aha – powiedziała, żeby w jakiś sposób skwitować tę informację.

– Osobiście przejrzałem setki ofert pracy, aby nikt, kto by przesłuchiwał mojego sługę albo przyjaciela, nie wy dobył z niego tej informacji – ciągnął Chivkyrie. – Może pani zacząć natychmiast.

– Dziękuję panu – odparła machinalnie księżniczka. Stwierdziła z niepokojem, że to chyba z tego baru wy doby wa się większość snujących się po okolicy nieprzyjemnych zapachów. – Co właściwie miałabym tam robić?

– Naturalnie obsługiwać klientów. – Chivkyrie zmarszczył brwi. – A może woli pani przyrządzać posiłki?

– Nie, nie, obsługiwanie gości bardzo mi odpowiada – zapewniła go szybko Leia. – Tym bardziej, że nie znam wielu przepisów adariańskiej kuchni.

– W tym barze są obsługiwani także Mungrowie i istoty innych ras – powiedział Chivkyrie. – Może później poproszą panią o gotowanie dla nich, ale na razie może pani się ograniczyć do podawania potraw gościom. Chodźmy... wejście dla personelu znajduje się za rogiem, na tyłach budynku. Właścicielka nazywa się Vicria. Już tam na panią czeka.

Okazało się, że Vicria jest chudą jak szczapa Mungranką o ciemnoczerwonych pasmach w żółto-brązowej grzywie.

– Pani zajęcie będzie polegało głównie na dźwiganiu ciężkich tac – poinformowała, lustrując z powątpiewaniem pomarańczowymi oczami szczuple ciało nowej pracownicy.

– Rozumiem – odparła księżniczka. – Proszę się nie martwić. Jestem silniejsza niż wyglądam.

– Wkrótce się przekonamy, czy to prawda – mruknęła Vicria. – W tamtej szafce znajdzie pani fartuski. Proszę któryś włożyć i przyjść do mojego gabinetu po komputerowy notes do przyjmowania zamówień.

Leia kiwnęła głową.

– Dziękuję pani – powiedziała.

Na Alderaanie tego rodzaju pracami zajmowały się androidy typu BD-3000, ale Leia była tyle razy obsługiwana przez żywe istoty, że od dawna była do tego przyzwyczajona. Po kilku pierwszych wizytach w takich lokalach przestała nawet zwracać uwagę na kelnerki czy kelnerów, chyba że obsługująca ją osoba się pomyliła albo doszło do jakiegoś incydentu. Księżniczka była więc przekonana, że praca kelnerki jest łatwa i lekka.

Po pierwszej godzinie pozbyła się wrażeń, że to łatwe zajęcie. Obsługiwanie nawet najniżej stojących w hierarchii społecznej Adarian przy pominało stapanie po połu minowym. Leia powinna przyjmować zamówienia w odpowiedniej kolejności, zaczynając od najwyższej, a kończąc na najniższej kategorii. Musiała zwracać uwagę na to, jakie miejsce zajmują goście przy każdym stole. Zgodnie z protokołem osoba najwyższej kategorii mogła pierwsza wybrać miejsce, na którym pragnie usiąść, po niej osoba niższej kategorii i tak dalej, trudno więc było ocenić, która z osób siedzących przy stole należy do jakiej kategorii. Zanim Leia się nauczyła to odgadywać, zebrała kilka cierpkich uwag.

Mungrowie nie zwracali przesadnej uwagi na społeczne kategorie, ale także mieli specyficzne wymagania, więc Leia odetchnęła z ulgą dopiero późnym popołudniem, kiedy zobaczyła, że do baru wchodzi trzech mężczyzn. Okazało się zaraz, że wszyscy są kompletnie pijani.

Po następnych trzech godzinach pracy pozbyła się złudzenia, że jej praca jest lekka.

Krótko po północy, bezgranicznie zmęczona, wspięła się po schodach na trzecie piętro do jednego z pokoiów, które właścicielka baru przeznaczyła dla swoich pracowników. Czekał już tam na nią Chivkyrie. Drzemał w wielkim fotelu, w którym mógłby się zmieścić nawet otyły Gamorreanin.

– Ach – powiedział, budząc się i siadając prosto, kiedy Leia zamykała drzwi. – Mam nadzieję, że nie miała pani kłopotów podczas popołudniowej pracy?

– Dałam sobie radę – zapewniła księżniczka. Rozejrzała się po pokoju, zdjęła fartuszek i powiesiła go na wieszaku obok drzwi. Jej pokój był mały i zagracony, nie większy niż kabina statku i tylko trochę porządniej umeblowany, ale miał wygodne łóżko, a to było wszystko, czego w obecnej chwili potrzebowała. – Popołudnie okazało się jednak prawdziwą katastrofą – dodała. – A jak pan spędził ten dzień?

– Dość pożytecznie – stwierdził Chivkyrie. – Funkcjonariusze policji zaczęli już przeszukiwać hotele dla osób pierwszej kategorii. Pomagali im w tym żołnierze z oddziału pałacowej straży gubernatora Choarda. A może jest pani głodna? Znajdzie pani coś do jedzenia w schowku.

– Dziękuję bardzo. – Leia przeszła do kąta pełniącego funkcję kuchni i otworzyła schowek na zapasy. Znalazła w nim resztki jakiegoś adariańskiego posiłku, ale także kilka potraw, które mogły zadowolić ludzkie podniebienie. – Wygląda na to, że pochodzą z tego bardzo poważnie – dodała, wyjmując i wstawiając do kuchenki danie przeznaczone dla ludzi.

– Poważniej niż sobie pani wyobraza – przyznał ponuro Chivkyrie. – Powiedziano mi, że informację o pani pobycie na Shelkonwy wysłano na Imperialne Centrum.

Leia się skrzywiła. Miała nadzieję, że przynajmniej jakiś czas Choard zechce utrzymać poszukiwania w tajemnicy, mając nadzieję, że jeżeli osobiście przekaze księżniczkę w ręce Imperatora, zyska na politycznym prestiżu. Wyglądało jednak na to, że gubernator postanowił pozwolić się tym zająć samym Imperialcom.

– Wie pan, kiedy przyłecą tu imperialne siły zbrojne? – zapytała.

– Możliwe, że już są – odparł Adarianin. – W sektorze Shelshy istnieją dwa garnizony, a jeden z nich jest oddalony zaledwie o sześć godzin lotu. Pobliskie przestworza patroluje także gwiazdny niszczyciel, który może szybko przylecieć na pomoc.

– I prawdopodobnie przyleci – domyśliła się Leia. – Będą potrzebowali dużej siły ognia na orbicie, żeby nas powstrzymać, gdybyśmy chcieli stąd uciec.

Chivkyrie ciężko westchnął.

– Bardzo mi przykro, księżniczko – powiedział. – Zawiodłem panią. Nie mam pojęcia, jak wybrnąć z tej sytuacji.

– Bywałam nieraz w gorszych sytuacjach – pocieszyła go Leia, zmagając się z ogarniającą ją rozpaczą. Na końcu tej drogi czekał dla niej tylko kłęsa, pomyślała. – Musimy mieć nadzieję na wolność i czekać na okazję. Jeżeli Vokkoi i Slanni odlecieli bezpiecznie z Shelkonwy, przekazali informację przywódcom Sojuszu Rebeliantów.

– Ale oni są zbyt daleko, żeby mogli nam pomóc, zanim pojawią się tu siły zbrojne Imperium – stwierdził Chivkyrie. Spojrzał na Leię z pokornym wyrazem twarzy. – Bardzo przepraszam – dodał, pochylając głowę. – Nie powinienem tak mówić. Wiem, że Sojusz zrobi wszystko, co w jego mocy, żeby pospieszyć pani na ratunek.

Leia odwróciła się do kuchenki. Niespodziewanie przez jej głowę przemknęła wspomnienie. „Jestem Luke Skywalker – powiedział jej wtedy mężczyzna trochę za niski, żeby być szturmowcem. – Przybyłem, by cię uratować”, dodał, zdejmując hełm.

Gdyby podczas tamtego spotkania trzymała język za zębami, Luke mógłby stać w tej chwili u jej boku. Tak samo jak Han, gdyby z takim uporem nie odżegnywał się od wszelkiej polityki. Tymczasem obaj latali po całym sektorze, próbując ustalić, w jaki sposób uchronić szlaki zaopatrzeniowe Sojuszu przed atakami piratów.

Leia uświadomiła sobie ze smutkiem, że w tej sytuacji osiągnięcie celu ich wyprawy mogło w ogóle nie mieć znaczenia. W każdej chwili Chivkyrie mógł zostać schwytany, a Choard i jego siepacze znali Vokkoliego i Slanniego. Było niemal pewne, że już niedługo komórka Rebeliantów w sektorze Shelshy przestanie istnieć. A kiedy to się stanie, zniknie potrzeba dostarczania tutaj zaopatrzenia.

Księżniczka pokręciła energicznie głową. Nie podda się rozpacz. W obecnej chwili musi usunąć takie myśli z głowy, pocilić się i przespać. Zmęczenie niewątpliwie kładło się cieniem na jej emocje, a chyba pierwszy raz w życiu Leia była tak wykończona.

Kiedy wyjmowała potrawę z kuchenki, przez niedomknięte okno usłyszała odgłos tłuczonego szkła.

Chivkyrie od razu zerwał się na równe nogi i wyciągnął blaster.

– Proszę paść na podłogę – szepnął, ostrożnie podchodząc do okna.

Leia zignorowała jego radę. Zamiast upaść, podeszła do drzwi i wyłączyła źródło światła. W ciemności wyjęła z kieszeni mały blaster i stanęła przy oknie obok Chivkyrie.

W tej dzielnicy miasta paliło się na ulicy mniej lamp niż w miejscach zamieszanych przez Adarian wyższej kategorii. Mimo to Leia zauważyła dwie ciemne sylwetki na dachu dwupiętrowego budynku po przeciwnej stronie szerokiej alei na tyłach baru. Trzecia osoba wślizgiwała się przez jedno z pogrążonych w ciemności okien na najwyższym piętrze.

– Włamy waczę – mruknął Chivkyrie z bezgraniczną pogardą.

– Myśli pan, że tam ktoś jest? – spytała Leia.

– Raczej nie – odparł Adarianin. – To mieszkania pracowników domu uciech na sąsiedniej ulicy, więc lokatorzy nie wrócą do domu jeszcze przynajmniej przez godzinę. To ty powe dla tych tchórzy...

– Chwileczkę – przerwała mu Leia, wyjąwszy wzrok. Dwa okna dalej, na tym samym piętrze co okno, przez które wślizgnął się włamywacz... czyżby zasłony w oknie lekko się poruszyły?

Drgnęły ponownie i Leia z przerażeniem zauważyła w szczelinie między nimi twarz małego adariańskiego dziecka.

Wsunęła blaster do kieszeni i otworzyła okno na całą szerokość.

– Co pani wyprawia? – zapytał zaskoczony Chivkyrie.

– W tamtym mieszkaniu jest jakieś dziecko – wyjaśniła księżniczka, wychylając się przez okno. Zauważyła wąski, ozdobny gzyms wystający mniej więcej na dwadzieścia centymetrów z kamiennej ściany i biegnący chyba wokół całego budynku. Podobny gzyms był pod oknem drugiego piętra i jeszcze jeden pod oknem pierwszego. Leia uniosła głowę i stwierdziła, że takie same występy biegną pod wszystkimi oknami na wyższych piętrach. Fasada budynku była stara i zniszczona, usiana mnóstwem pełnięci i szczelin, które mogłyby wykorzystać doświadczony wspinacz wysokogórski, gdyby dysponował właściwym sprzętem.

Leia nie była jednak doświadczona i nie miała takiego sprzętu. A nawet gdyby go miała, nie dostałaby się do domu po drugiej stronie alei, bo dzieliło ją od niego co najmniej dwadzieścia metrów.

– Nie może się pani wtrącać – ostrzegł nerwowo Chivkyrie, ciągnąc ją za rękaw tuniki. – Jeżeli pojawią się policjanci...

– Nie zostawię tego dziecka na pastwę włamywaczy – przerwała księżniczka. – Widziałam, co takie typy robią osobom, które przypadkiem zastają w rabowanym mieszkaniu.

Po lewej stronie okna, mniej więcej w odległości metra od framugi, biegła pionowo gruba, plastikowa rura spustowa, łącząca się z rynną pod okapem dachu i kończąca na poziomie alei. Leia zauważyła, że na każdym piętrze rurę przytwierdzono do ściany domu cienkimi obejmami. Wyśliznęła się przez okno, stanęła na gzymsie, chwyciła rurę i nią potrząsnęła. Rura zadrzęła, ale obejmę nie puściły. Sama rura też wyglądała na solidną. Była wystarczająco gruba, żeby utrzymać ciężar jej ciała. Leia odwróciła się bokiem, wyjęła blaster i wymierzyła w obejmę na najwyższym piętrze.

– Księżniczko, bardzo panią proszę – odezwał się błagalnym tonem Chivkyrie. – Jeżeli pojawią się policjanci, wszystko będzie stracone. Mogą panią usłyszeć także sami włamywacze.

– Wątpię, żeby ktokolwiek w tej okolicy zwrócił uwagę na odgłosy blasterowych strzałów – odparła cierpko Leia. Wstrzymała oddech, starannie wymierzyła i przycisnęła spust broni.

Odgłos blasterowego strzału zabrzmiał w nocnej ciszy dwukrotnie głośniejszy niż zazwyczaj, a echo odbite od ścian domów niemal całkowicie zagłuszyło cichy grzechot szczątków trafionej obejmę, które odbiły się od gzymsu pod jej oknem. Leia wzięła na cel niższą obejmę i dała ognia. Powtórzyła czynność jeszcze kilka razy, aż w końcu oderwała rurę spustową na wszystkich piętrach z wyjątkiem tego, na którym stała.

Pomyślała z ponurą satysfakcją, że może nie jest najlepszą kelnerką w barze na parterze, ale pod względem celności może się równać z najlepszymi snajperami.

Zauważyła łkaniem oka, że przy każdym jej strzale Chivkyrie się krzywił.

– Co teraz? – zapytał Adarianin agresywnym tonem, kiedy ucichły echa ostatniego strzału i w okolicy znów zapanowała cisza.

Leia zmarszczyła brwi, bo doszła do wniosku, że to bardzo dobre pytanie. Zamierzała oderwać rurę od ściany, wysunąć ją z gniazda łączącego tuż nad gzymsiem trzeciego piętra i skierować tak, żeby drugi koniec oparł się o dach budynku po przeciwnej stronie alei. Chciała później zsunąć się po rurze aż do miejsca, w którym mogłaby stawić czoło włamywaczowi, ale po niewczasie dotarło do niej, że przechodząc na drugą stronę, stanie się idealnym celem dla dwóch współników czekających na dachu na kompana, który wybił szybę w oknie.

A gdyby nawet jej nie trafili, to co zrobi dalej? Ocali dziecko i przepędzi włamywacza, ale jakim cudem wróci do swojego pokoju na trzecim piętrze? Wejdzie po rurze niczym cyrkowy akrobata, trzymając dziecko w ramionach?

Była tak zmęczona, że wszystkiego dokładnie nie przemyślała. Na szczęście nie miała czasu się nad tym zastanawiać. Dziecko nadal groziło niebezpieczeństwem, a ona mogła mu pomóc tylko wtedy, jeśli dostanie się na drugą stronę. Odwróciła się na gzymsie, chwyciła grubą rurę...

– Proszę zaczekać – odezwał się nagle Chivkyrie, chwytając ją za nogawkę spodni. – Niech pani spojrzy... wychodzi.

Rzeczywiście ten włamywacz, który wszedł do mieszkania przez okno, z zawrotną szybkością wspinał się na dach po linie. Jeden z dwóch kompanów na górze pomógł mu wstać, a drugi gorączkowo upychał złodziejski łup do ciemnego plecaka.

– Chyba jednak tuż się przejmuję odgłosami strzałów – mruknęła Leia.

– Ten hałas postawił na nogi całą okolicę – powiedział Adarianin takim tonem, jakby nie był pewny, czy ma być z tego powodu zmartwiony, czy zadowolony. – Spłoszyła pani intruzów.

Leia znów spojrzała na okno, w którym widziała twarz małego dziecka. Doszła do wniosku, że włamywacz nie miał czasu go skrzywdzić.

W tej samej chwili zasłony w oknie znów się rozdzieliły i pokazała się twarz malca.

Westchnęła z ulgą i posłała chłopcykowi uspokajający uśmiech, chociaż wątpiła, czy w ciemności mały widzi wyraz jej twarzy. Spojrzała wyżej, na dach budynku po drugiej stronie, i zobaczyła, że wszyscy trzej włamywacze przeskakują nad niskim murkiem na dach sąsiedniego budynku i znikają w ciemności nocy.

– Proszę już wrócić – odezwał się Chivkyrie, szarpiąc ją za nogawkę spodni. – Zanim ktoś panią zauważy.

Chwilę później Leia znalazła się w pokoju.

– Zachowała się pani bardzo dzielnie i szlachetnie – oznajmił Adarianin, zamykając okno. – Musimy mieć nadzieję, że nie ściągnęła pani nieszczęścia na swoją i moją głowę.

– Rzeczywiście postąpiłam lekkomyślnie – przyznała księżniczka. Podeszła do drzwi i włączyła światło. – Ale nie mogłam tego nie zrobić – podjęła po chwili. – Sojusz Rebeliantów powstał, żeby ocalić galaktykę od tyranii, a strach przed przemocą i bezprawiem jest taką samą tyranią, jak rozkazy z ust Imperatora.

Wsunęła blaster do kieszeni i skierowała się do kąta pełniącego funkcję kuchni.

– A tymczasem – dodała – nawet orędownicy wolności muszą coś jeść.

Ku niejakiemu zaskoczeniu Lei funkcjonariusze policji nie pojawili się tej nocy. Nie przyszli także następnego ranka ani też nie czekali na nią, kiedy Leia pojawiła się w barze na popołudniową zmianę.

W ciągu pierwszych kilku godzin księżniczka czuła, że jej serce zamiera za każdym razem, ilekroć się otwierają drzwi baru. I nieodmiennie odczuwała ulgę, kiedy wchodził przez nie następny klient. Dopiero jednak gdy ruch po południu zmalął, żeby się znów zwiększyć przed wieczorem, kiedy klienci przychodzili gromadnie na kolację, Leia zauważyła subtelną zmianę w traktowaniu jej przez gości.

W pierwszej chwili pomyślała, że po prostu klienci stracili nadzieję, iż kiedykolwiek nauczy się ich dobrze obsługiwać. Pewnie doszli do przekonania, że nie ma sensu się spodziewać po nowej kelnerce opanowania zawiloci ich cywilizacji, a zatem nie warto jej napominać, choćby bardzo uprzejmie, ilekroć popełni jakąś gafę. Potem jednak Leia doszła do wniosku, że tak mogliby się zachować stali klienci, ale nie wyjaśniało to uprzejmości nowych, którzy nie widzieli pomyłek jakie popełniła w ciągu poprzedniego dnia pracy w barze.

Prawdziwy powód zrozumiała dopiero w połowie wieczornego szczytu, kiedy do baru weszła liczna, ale milcząca adariańska rodzina – rodzina z małym dzieckiem, którego twarz Leia widziała w oknie po drugiej stronie.

A więc Chivkyrie miał rację... odgłosy blasterowych strzałów rzeczywiście obudziły wszystkich w okolicy. Zamiast jednak zadunąć ją policjantom, okoliczni mieszkańcy doszli do wniosku, że kobieta próbowała pomóc i że jej starania przyniosły zamierzony skutek.

To dlatego barowi goście postanowili przymykać oczy na jej pomyłki. Po prostu chcieli jej podziękować.

Leia wróciła tej nocy do swojego pokoju równie skonana jak poprzednio. Tym razem jednak jej nastrój był daleki od przygnębienia. Możliwe, że mieszkańcy Makrin City nie byli jeszcze gotowi wystąpić czynnie przeciwko tyranii Imperialnego Centrum, ale na pewno zdążyli w dobrym kierunku.

Zupełnie innym problemem pozostawało pytanie, czy ich nastawienie przetrwa, kiedy ulicami miast zaczną maszerować oddziały imperialnych żołnierzy. Tak czy owak, Leia miała się wkrótce o tym przekonać.

Rozdział 19

– Zbliżamy się do Shelkonwy – oznajmił Quiller. – Czy nasi goście są gotowi nas opuścić?

– O ile mi wiadomo, tak – stwierdził LaRone, zerkając na Marcrossa, siedzącego bokiem po drugiej stronie sterowni. Nawet w migotliwym blasku gwiazdnych linii za iluminatorem widział wyraźnie napięte mięśnie jego twarzy i szyi. – Mają na nich oko Grave i Brightwater. Marcross?

Linie napiętych mięśni złagodniały, jakby szturmowiec powracał z odległego i mrocznego miejsca.

– O co chodzi? – zapytał, odwracając się bokiem także do pozostałych.

– Chcę się upewnić, że wszystko w porządku – odparł LaRone. – Od czasu Gepparina zachowujesz się trochę dziwnie.

– Nic mi nie jest – burknął Marcross, ponownie kierując spojrzenie za iluminator. – Po prostu chcę jak najszybciej z tym skończyć.

– Zakładając, że znajdziemy osobę, która utrzymywała kontakty z Krwawymi Szramami – zauważył Quiller. – Wydaje ci się, że masz wystarczająco dużo informacji na podstawie tamtego rejestru HoloNetu...

– Mam dość informacji – uciął Marcross.

– Świetnie – odparł Quiller. – Chciałem tylko zauważyć, że Shelkonwa to duża planeta...

– Powiedziałem, że mam dość informacji – powtórzył szturmowiec.

– Nie sądzisz, że najwyższy czas podzielić się nimi z resztą? – zasugerował LaRone. – Podaj nam przy najmniej numer osoby, która się kontaktowała z Krwawymi Szramami. Jeżeli coś ci się stanie, będziemy musieli ponownie szukać go w bazach danych.

Mięśnie na twarzy kolegi ponownie się napięły.

– Nie będziecie musieli tego robić – powiedział Marcross. – Zdrajca ukrywa się w pałacu.

LaRone spojrział na niego, wyraźnie zaskoczony.

– W pałacu gubernatora? – zapytał.

– O ile mi wiadomo, mają tam tylko jeden pałac – burknął Marcross.

– Wiem, ale...

– Ale co? – dokończył szturmowiec. – Nie wiedziałeś, że zdrajcy zdarzają się wszędzie? Popatrz tylko na tych trzech, których mamy w rufowej ładowni.

– Wyśkakujemy – oznajmił Quiller, przyciągając ku sobie rękojeść dźwigni przepustnicy jednostki napędu nadświetlnego. Za iluminatorem Suwanteka pojawiły się gwiazdy...

Quiller wyprostował się na fotelu pilota.

– O, nie – mruknął. – Nie, nie, nie.

– Zachowajmy spokój – doradził łagodnie LaRone, chociaż też poczuł skurcz żołądka na widok ogromnego okrętu dowodzenia, unoszącego się wysoko na orbicie nad planetą. – Pamiętaliśmy o włączeniu transpondera z kodem identyfikatora. Jesteśmy czyści.

Z konsoly komunikatora wydobył się cichy pisk

– „Egzekutor” do nadlatującego Suwanteka – rozległ się głos osoby nawykłej do wydawania rozkazów. – Z danych identyfikacyjnych waszego statku wynika, że jesteście jednostką wojskową. Prosimy o potwierdzenie za pomocą kodu wejściowego.

– Quiller? – przy naglił kolegę LaRone.

Nie usłyszał odpowiedzi. Pilot wpatrywał się w sylwetkę ogromnego okrętu, jakby nagle zobaczył ducha.

– Ja to zrobię – powiedział Marcross. Odwrócił się z fotelem i wpisał odpowiedni kod.

Zapadła krótka cisza.

– Kod potwierdzony – odezwał się w końcu ten sam mężczyzna z pokładu gwiazdnego superniszczyciela. – Cel podróży?

– Makrin City – odparł Quiller. – Pałac gubernatora.

– Pałacowe lądowisko zostało czasowo zamknięte – poinformował operator systemu łączności „Egzekutora”. – Mogę was skierować albo na lądowisko Makrin City, albo na Greencliff Regional. Które wybieracie?

– Dlaczego pałacowe lądowisko jest zamknięte? – zapytał LaRone, przywołując na ekran mapę okolicy. Główne lądowisko Makrin City znajdowało się w samym środku północno-zachodniego kwadrantu miasta, zaledwie kilka kilometrów od pałacu gubernatora. W przeciwieństwie do niego Greencliff Regional było o wiele mniejszym kosmoporciem, wciśniętym między północno-wschodnią część miasta a pasmo wzgórz biegnących wzdłuż całego wschodniego skraju.

– W mieście trwa operacja wojskowa – wyjaśnił operator. – Prowadzone są poszukiwania. Pałacowe lądowisko zamknięte ze względów bezpieczeństwa.

– Kto albo co jest obiektem poszukiwań? – spytał szturmowiec.

– To informacja zastrzeżona – odparł jego rozmówca, który wyraźnie zaczął się irytować. – Podajcie, gdzie chcecie wylądować.

Marcross odwrócił głowę, spojrział na siedzącego z tyłu LaRone'a i uniósł pytająco brwi.

– Główne lądowisko Makrin City jest bliżej – mruknął.

– Ale Greycliff będzie mniej zatłoczone – oznajmił równie cicho LaRone.

Marcross zastanawiał się jeszcze chwilę i w końcu kiwnął głową.

– Wolimy wyładować na Greycliff – powiedział głośno.

– Zrozumiałem. Macie zgodę na lądowanie na Greycliff Regional.

– Dziękuję. – Marcross wyłączył zasilanie mikrofonu komunikatora. – Quiller? – zagadnął. – Nic ci nie jest?

– Ależ skąd, czuję się doskonale – odparł pilot takim tonem, jakby składał wizytę na cmentarzu. – Czy żaden z was nie zwrócił uwagi na nazwę tego okrętu? – zapytał.

Marcross zmarszczył brwi i spojrzał na LaRone'a.

– Nazywa się „Egzekutor” – powiedział. – Dlaczego pytasz?

– Coś mi się zdaje, że wy, udeptywacie gleby, nie jesteście na bieżąco z nowinkami dotyczącymi Marynarki. – LaRone ciężko westchnął. – „Egzekutor” to nowitanka okręt flagowy Lorda Dartha Vadera.

LaRone poczuł chłód w żołądku. Spojrzał na wielki okręt.

– Vadera? – powtórzył z niedowierzaniem. – A co, na wszystkie planety, on ma tu do roboty? – zapytał.

– Mogę się tylko domyślać – odparł cierpko Quiller. – Chce dopaść albo naszego zdrajcę, albo tę rebeliancką przyjaciółkę Hana Solo. Mam wrażenie, że jest ważniejsza niż początkowo się nam wydawało.

– Solo powiedział, że prawdopodobnie zarządzili blokadę planety z jej powodu – przypomniał mu LaRone.

– Sądziłem wówczas, że przesadza – usprawiedliwił się pilot. – Nie wiem, jak wy dwaj, ale ja nie chciałbym się znaleźć w tym samym mieście co Darth Vader. Prawdę mówiąc nie chciałbym się znaleźć nawet w tym samym gwiazdowym systemie co on.

– Nie mam ci tego za złe – stwierdził Marcross spokojnie, ale tonem świadczącym o zdenerwowaniu. – Jeżeli chcecie, możecie zostawić mnie samego w tamtych kosmoporcie.

LaRone zmarszczył brwi.

– Co chcesz przez to powiedzieć? – zapytał.

– Zamierzam sam odszukać zdrajcę, który utrzymywał kontakty z Krwawymi Szramami – wyjaśnił szturmowiec. – Pozostali nie muszą brać w tym udziału. Prawdę mówiąc, Quiller ma rację... Jeżeli naprawdę mamy do czynienia z Vaderem, dla wszystkich będzie o wiele bezpieczniej, jeżeli pozostaną na pokładzie Suwanteka.

– Zapomnij o tym – burknął LaRone. – Nie zostawimy cię w potrzebie.

– Nie jesteście mi nic winni – przypomniał Marcross.

– Ale jesteśmy coś winni obywatelom sektora Shelshy – sprzeciwił się LaRone. – Baza Krwawych Szram została wprawdzie zniszczona, ale to jeszcze nie oznacza końca konspiracji. Natknęliśmy się na zło i musimy je wykorzeńić.

– Jeżeli złapie was Vader, gorzko pożałujecie, że nie wpadliście wcześniej w ręce funkcjonariuszy IBB – ostrzegł Marcross. – Zostawcie mnie tam i lećcie.

– Serdeczne dzięki – mruknął Quiller. – Od razu poczułem się o wiele lepiej.

– A ja uważam, że obecność Vadera może się nam bardzo przydać – odezwał się nagle LaRone. – Prawie na pewno na powierzchni wyładował jego osobisty legion szturmowców, którzy prowadzą poszukiwania. W takim tłumie nikt nie zwróci na nas uwagi.

Quiller odwrócił się do niego i posłał mu niedowierzające spojrzenie.

– Żartujesz, prawda? – zapytał. – LaRone, to nie pierwsza lepsza jednostka szturmowców, do której chciałbyś przeniknąć. To Pięćset Jedyńka.

– I co z tego? – odciął się LaRone, odsuwając na bok własne wątpliwości. – Podobnie jak my, goście z Pięćset Jedyńki zakładają pancerze po jednym elemencie naraz.

Quiller syknął przez zaciśnięte zęby.

– Jesteś rąbnięty – zawyrokował. – Wiesz o tym, prawda?

– Rzeczywiście slyszalem takie opinie – przyznał LaRone.

– Dobrze, że wszyscy jesteśmy co do tego zgodni – stwierdził pilot i ciężko westchnął. – A zreszta... niech będzie. Jeżeli ty i Marcross zamierzacie postąpić jak szaleńcy, możemy być szaleni wszyscy razem. Następny problem: co zrobimy z Solo, Lukiem i Wookiem?

– Dobre pytanie – podkreślił Marcross. – Jeżeli Vader szuka ich przyjaciółki, nie powinniśmy im pozwolić samym spacerować po mieście. Zwłaszcza teraz, kiedy wiemy o nas to i owo.

– Na pewno nie możemy liczyć na to, że się wmiejszą w tłum chłopców z Pięćset Jedyńki – zauważył Quiller. – Z drugiej strony jednak nie widzę wielu innych możliwości. Wątpię, żebyśmy zdołali ich zmusić do pozostania na pokładzie Suwanteka. Chyba że ich zastrzelimy, co stworzyłoby zapewne inne problemy.

– Właśnie... na przykład w które miejsce trafić Wookiego, żeby go od razu zabić – przyznał LaRone, któremu przyszedł nagle do głowy dziwaczny pomysł. – No dobrze, a co byście powiedzieli, gdybyśmy zamiast puścić ich samych, dołączyli do nich eskortę?

Jego propozycja wywołała dokładnie taką reakcję, jakiej LaRone się spodziewał: Quiller i Marcross otworzyli szeroko usta. Pierwszy przyszedł do siebie Marcross.

– Quiller miał rację – stwierdził. – Jesteś rąbnięty.

– Bardzo prawdopodobne – przyznał LaRone. – Ale jeżeli pominąć wątpliwości co do mojego zdrowia psychicznego, to dlaczego nie? Przebywaliby w towarzystwie prawdziwych szturmowców, więc nie musieliby się obawiać schwytania i przesłuchiwania przez funkcjonariuszy miejscowej policji. A gdyby chłopcy z oddziału Vadera mieli jakieś pytania, możemy im powiedzieć, że to nasi informatorzy.

– Albo więźniowie, których prowadzimy na przesłuchanie – podsunął Quiller.

– To też dobry pomysł. – LaRone się zawahał. – Gdyby jednak przyszło co do czego i musielibyśmy wziąć udział w walce... no cóż, bardzo wątpię, czy po niej Vader miałby kogo przesłuchiwać.

– Chcesz powiedzieć, że powinniśmy ich zastrzelić? – zapytał bez ogródek Marcross.

LaRone przypomniał sobie sytuację, w jakiej znaleźli się na planecie Teardrop.

– Nie my – oznajmił stanowczo. – Jeżeli przyjdzie nam stoczyć walkę z chłopcami i Pięćset Jedyńki, prawdopodobnie nie będziemy musieli tego robić.

Quiller pokręcił głową.

– Wiesz chyba, że nigdy się na to nie zgodzą – powiedział.

– Kto miałby się nie zgodzić? – dociekał LaRone. – Solo i Luke czy też Grave i Brightwater?

– Żaden z nich na to nie pójdzie.

LaRone wzruszył ramionami.

– No cóż, do lądowania mamy jeszcze trochę czasu, więc nie musimy się spieszyć z podejmowaniem decyzji – zauważył. – Może komuś przyjdzie do głowy lepszy pomysł.

Tak jak Mara zaplanowała, ocknęła się z leczniczego transu Mocy, kiedy usłyszała alarmowy kurant, ostrzegający ją o zbliżaniu się jej statku do jakiegoś obiektu.

Dotarła do przestworzy Shelkonwy.

Kilka sekund leżała nieruchomo na rozkładanej pry czy, starając się ocenić stan swojego organizmu. Była głodna i spragniona, co stanowiło efekt uboczny leczniczego transu, ale odniesione podczas walki w bazie Krwawych Szram rany i oparzenia zniknęły bez śladu.

Wstała i przeszła do sterowni. Po drodze, przechodząc obok kuchni z zamkniętym dystrybutorem, wzięła kilka racji żywnościowych i pojemnik z wodą. Kiedy skończyła jeść pierwszy baton odżywczy, usłyszała pisk komputera, więc przyciągnęła ku sobie rękojeści dźwigni przepustnicy jednostki napędu nadświetlnego. Przed dziobem statku, na tle usianej punkcikami i gwiazd czerni przestworzy, pojawiła się stolica sektora Sheshy.

Za to bliżej, między swoim frachtowcem a planetą, Mara zobaczyła ostatnią jednostkę we wszechświecie, jakiej się tu spodziewała.

Chwilę później z głośnika pokładowego komunikatora wydołył się cichy trzask.

– Nadlatujący Z-10 Seeker, tu imperialny okręt dowodzenia „Egzekutor” – odezwał się rażno operator systemu łączności ogromnego okrętu. – Podajcie swój numer identyfikacyjny i powód, dla którego wyskoczyliście w przestworzach Shelkonwy.

Mara zgrzytnęła zębami i przełączyła aparaturę na nadawanie. Co, na wszystkie cuchnące opary śmietnisk Imperialnego Centrum, miał tu do roboty Lord Vader?

– „Egzekutorze”, tu Z-10 Seeker, mój numer identyfikacyjny nieznanym – wycedziła Mara. – Czy na pokładzie waszego okrętu przebywa Lord Vader?

Zapadła krótka cisza. Operator systemu łączności gwiazdowego superniszczyciela starał się pewnie przetrawić tę całkowicie niestandardową odpowiedź.

– Uhm... – zaczął.

– Jest tam, czy go nie ma? – powtórzyła niecierpliwym tonem Mara.

– Tak Lord Vader jest na pokładzie – przyznał w końcu lekko zirytowany operator. – Okrętem dowodzi admirał Bentro...

– Proszę poinformować Lorda Vadera, że chce z nim rozmawiać Ręka Imperatora – przerwała bezceremonialnie Mara.

– Lorda... kogo? – zająknął się operator.

– Lorda Vadera – warknęła Mara. – Natychmiast.

Nie usłyszała odpowiedzi. Zmeła w ustach przekleństwo, skierowała dziób statku w stronę gwiazdowego superniszczyciela i wyłączyła jednostki napędu podświetlnego. Lord Sithów ukrywał się prawdopodobnie w swojej kabinie albo przechadzał po pomoście dowodzenia w jednym z pasywnych nastrojów, w którym nikt nie ośmielał się nawet do niego odezwać.

Mara miała jednak do wykonania pewne zadanie. Musiała go przekonać, żeby się z nią zobaczył.

Kiedy zbliżyła się na odległość zasięgu strzału z systemów obrony wewnętrznej wielkiego okrętu, na jej frachtowiec skierowały się lufy punktowych stanowisk artylerii. Mara czekała. Głośnik komunikatora w końcu znów obudził się do życia.

– Ręko Imperatora – usłyszała znajomy, basowy głos Vadera. – Co za miła niespodzianka.

– I nawzajem – odparła Mara, dobrze wiedząc, że żadne z nich nie mówi szczerze. – Lordzie Vader, musimy porozmawiać.

– Jak sobie życzysz – stwierdził Vader. – Przyłec do mnie.

Pierwszy oficer „Egzekutora” wyłączył systemy obronne i skierował Marę do osobistego hangaru dowódcy okrętu. Kiedy Mara wylądowała, zobaczyła eskortę w postaci oddziału imperialnych szturmowców z dowodzonego przez samego Vadera elitarnego Pięćset Pierwszego Legionu.

Szturmowcy zaprowadzili ją do niewielkiej sali konferencyjnej.

Czekał tam już na nią Vader, stojąc w pobliżu szczytu stołu. Wyglądał jak gradowa chmura.

– Powiedziano mi, że zażądała widzenia się ze mną – odezwał się bez jakiegokolwiek wstępu.

– Przepraszam za mój wcześniejszy ton – odparła Mara, pochylając głowę w geście pokory.

– Tylko jedna osoba w całym Imperium może żądać widzenia się ze mną – ciągnął Vader wyniosłym tonem. Najwyraźniej nie był w nastroju do przyjmowania przeprosin. – Tą osobą nie jesteś ty... i nigdy nią nie będziesz – dodał złowieszczo.

– A zatem postaram się przedstawić sprawę tak zwięźle jak to tylko możliwe – powiedziała młoda kobieta. Ona także nie była w różowym humorze. – Przyleciałam tu, żeby wykonać ważne zadanie, i muszę mieć pewność, że twoja obecność mi w tym nie przeszkodzi.

– Że moja obecność ci nie przeszkodzi? – powtórzył Vader tonem niższym przynajmniej o oktawę. – Uwważ na to, co mówisz, Ręko Imperatora.

– Nie zamierzam uważać, kiedy w grę wchodzi zdrada – sprzeciwiła się Mara. – Podążam tropem...

– Nie! – zagrzmiał Czarny Lord, a jego głos przeciął powietrze i poraził mózg Mary. Stawiając długie kroki, faworyt Imperatora obszedł stół tak szybko, że zafurkotały poły jego czarnego płaszcza. Opuścił dłoń w rękawicy do rękojeści świetlnego miecza. – Tylko dzięki niej mogę go odnaleźć! Ona jest moja!

– Slucham? – wykrzusiła Mara, uświadamiając sobie nagle, że wpadła w poważne tarapaty. – Przecież ja...

Było jednak za późno. Vader odczepił od pasa rękojeść świetlnego miecza. Rozległ się trzask i pomruk i z metalowego cylindra wyskoczyła kolumna czerwonego blasku. Trzymając broń skierowaną do ataku, Vader ruszył w stronę rozmówczyń.

Mara cofnęła się i odczepiła rękojeść swojego miecza, ale nie zapaliła klingi broni. Ostatnią rzeczą, na jakiej jej zależało, był pojedynek z Lordem Sithów. Obejrzała się na drzwi i przeniosła ciężar ciała na drugą nogę, żeby się przygotować do natychmiastowej ucieczki.

Vader albo zauważył jej spojrzenie, albo zwrócił uwagę na mowę ciała, bo skierował się do drzwi i stanął w taki sposób, żeby uniemożliwić jej ucieczkę.

Mara przeniosła ciężar ciała na drugą nogę. Wskoczyła bokiem na blat konferencyjnego stołu, odbiła się od niego lewym barkiem, wylądowała na podłodze i kucnęła po drugiej stronie.

– Uspokój się – powiedziała najłagodniej jak umiała. – Kim właściwie jest dla ciebie gubernator Choard?

Vader uniósł wysoko broń, zamachnął się i ciął stół przez środek.

Mara cofnęła się szybko i obie połówki stołu runęły na podłogę. Stała pod ścianą, a Vader uniemożliwiał jej ucieczkę. Miała właściwie tylko jedno wyjście.

– Dopraszasz się guza? – warknęła, zapalając klingę miecza i unosząc ją przed sobą obronnym gestem. – Świetnie. Chodź bliżej, to go dostaniesz.

W odpowiedzi Vader ponownie uniósł swój miecz, jakby zamierzał się rzucić do ataku. Stanął między obiema połówkami stołu. Posługując się Mocą, Mara uwolniła myśli i przycisnęła guzik wyłączający źródła światła.

Nigdy by nie zastosowała takiej sztuczki podczas walki ze zwykłym przeciwnikiem. Obie klingi świetlnych mieczy rzucały wystarczająco dużo blasku, żeby oczy żywej istoty przystosowały się do panującego półmroku.

Helm Vadera wyposażono jednak w optyczne sensory umożliwiające widzenie w mrocznych pomieszczeniach. Takie urządzenia miały zarówno swoje zalety, jak i wady. Mara doszła do wniosku, że w ciągu pierwszych kilku kluczowych sekund, zanim sensory wzmocnią natężenie światła, Vader będzie widział tylko płonącą klingę jej świetlnego miecza, unoszącą się w oceanie całkowitej ciemności.

Okazało się, że miała rację. Lord Sithów ryknął, zmienił położenie swojej broni i zamasyścił ciął powietrze pół metra poniżej płonącej karmazy nowym blaskiem klingi przeciwniczkę.

Tyle że jej tam już nie było. Pomagając sobie Mocą, żeby utrzymać świetlny miecz nieruchomo, Mara padła na podłogę ułamek sekundy po wyłączeniu źródła światła i przetoczyła się za osłonę jednej z połówek rozciągniętego stołu.

Vader stanął jak wryty i na kilka sekund, jeżeli nie liczyć pomruka kling świetlnych mieczy, w sali zapadła cisza. Mara wzmocniła wrażliwość słuchu, ale niezmiennie natężenie dźwięku klingi broni Vadera dowodziło, że Lord Sithów trzyma ją nieruchomo. Czyżby się w końcu opanował?

A później, ku swojej wielkiej uldze, usłyszała znajome skwierczenie, z jakim Vader wyłączył klingę broni. W sali konferencyjnej znów zapłonęły źródła światła.

– O co właściwie ci chodziło, kiedy pytałaś o gubernatora Choarda? – zagadnął Vader spokojnym tonem.

Mara opuściła kryjówkę, przygotowana na każdy podstęp przeciwnika, ale Vader cofnął się od stołu i przypiął do pasa rękojeść świetlnego miecza. Mara zrozumiała, że chwila jego szaleństwa minęła.

– Choard werbował bandy piratów, żeby napadały na transporty wojskowego sprzętu – zaczęła. Przywołała swój świetlny miecz do dłoni i wyłączyła energetyczną klingę. – Kilka dni temu wysłał „Odwet”, żeby jego artylerzyści zniszczyli bazę największej bandy piratów i zatarli ślady jego zdrady. Przy okazji o mało mnie nie zabil.

– To byłaby niepowetowana strata – stwierdził Lord Sithów. Mara nie usłyszała w jego głosie sarkazmu, chociaż Vader na pewno nie starałby się go ukrywać. – Twoje informacje zgadzają się z moimi.

Mara spojrzała na niego, wyraźnie zdumiona.

– Chcesz powiedzieć, że o tym wiedziałeś? – spytała.

– Niedawno dostałem taką wiadomość – przyznał Vader. – Mimo to nie zamierzam zrobić z niej użytku – dodał gniewnym tonem. – Oskarżając swojego gubernatora, szef jego administratorów, niejaki Disra, stwierdził także, że w Makrin City przebywa Leia Organa. To po nią tu przyleciałem.

– Doprawdy? – zapytała Mara, której przyszło do głowy jedno słowo: obsesja. Mimo to w końcu zrozumiała przyczynę wcześniejszego wybuchu Lorda Vadera. Powinna się domyślić, że jego mroczny nastrój ma coś wspólnego z Rebelią i byłą alderaafińską księżniczką. – Co tu robisz?

– Disra twierdzi, że kontaktowała się z miejscowymi przywódcami Rebeliantów – odparł Vader. – Zapewnia mnie, że może mi podać ich nazwiska.

– Bardzo wygodne – mruknęła Mara. – Wiemy, gdzie w tej chwili przebywa ten Disra?

– Udał się do palacu, żeby zabrać dane z policyjnego nadzoru, które mogą się przydać w naszych poszukiwaniach.

A może raczej po to, żeby zniszczyć inne, o wiele bardziej obciążające dane? – pomyślała Mara.

– Muszę się tam natychmiast dostać – oznajmiła.

– Czy ktoś cię powstrzyma?

Mara bezwiednie skrzywiła usta. Vader nawet kiedy nie wpadał w morderczy nastrój, nie był osobą, z którą się miło rozmawia.

– Nikt a nikt – powiedziała. – Milego polowania.

Kiwnęła głową i ruszyła do wyjścia.

– Ręko Imperatora?

Mara odwróciła się i stwierdziła, że Darth Vader kieruje na nią czarną płytę czołową swojego helmu.

– Tak? – zapytała.

– Kiedy będziesz wymierzała sprawiedliwość gubernatorowi Choardowi – odezwał się łagodnie Lord Sithów – postaraj się nie wchodzić mi w paradę.

Niebo pociemniało i wyglądało jak typowa dla dużych miast bezgwiezdna szara mgła. Leia zdążyła przyjąć zamówienie grupy Mungrów, kiedy przez tylne drzwi kuchni wpadł wzburzony Chivkyrie. Adarianin przyniósł niepomysłną wiadomość.

– Zaczęło... się – wyjąkał, spoglądając na Leię. – W kosmoporcie wylądowali imperialni szturmowcy. Już w tej chwili przeszukują miasto.

Leia ciężko westchnęła. Cóż, wreszcie doczekała się reakcji Imperialnego Centrum.

– Rozumiem – powiedziała.

– Chyba jednak nie – sprzeciwił się Chivkyrie. Odwrócił się i spojrzał najpierw w jedną, a później w drugą stronę alei na tyłach baru. – Podobno dowodzi nimi sam Darth Vader.

Leia doszła do wniosku, że także tego mogła się spodziewać. Lord Sithów zawsze traktował niepowodzenia jak osobiste zniewagi, a jej rola w zniszczeniu Gwiazdy Śmierci na pewno zaliczała się do tej kategorii. Mimo to, kiedy usłyszała nowinę, poczuła na plecach lodowaty dreszcz.

– Rozumiem – powtórzyła. – Dziękuję za ostrzeżenie. A teraz niech pan już idzie.

– Jaki to ma sens? – zapytał udręczonym tonem Adarianin. – Jeszcze nikt nie dał rady uciec przed pościgiem Lorda Vadera.

– Zapewniam pana, że parę osób mu się wymknęło – oznajmiła księżniczka. – Proponuję, żeby udał się pan do katakumb. Prawdopodobnie do tej pory miejscowi policjanci już je przeszukali, więc raczej nieprędko się tam znów zapuszczą.

Chivkyrie parsknęła.

– Szturmowców nie obchodzi, czy funkcjonariusze miejscowej policji je przeszukali, czy nie – powiedział.

– Szturmowcy nie szukają pana – przypomniała Leia. – Wątpię, żeby dostali rozkaz schwywania kogokolwiek oprócz mnie. A zresztą i tak musi pan podjąć jakąś decyzję.

– Ma pani rację – mruknął Chivkyrie. – Proszę wybaczyć chwilę mojej słabości.

– Każdemu zdarzają się takie chwile – pocieszyła go Leia, rumieniąc się na wspomnienie swoich nieco wcześniejszych zmagañ z emocjami. – Sztuka polega na tym, żeby to były tylko chwile. Nie powinny się zmieniać w godziny albo dni.

– Albo w całe życie – dodał Chivkyrie.

– Zwycięży my – zapewniła go cicho księżniczka. – Któregoś dnia. Wiem, że zwycięży my. – Wychyliła się przez drzwi i omiotła spojrzeniem aleję, ale nie zobaczyła nikogo. – A teraz proszę już iść. I jeszcze raz za wszystko dziękuję.

Adarianin patrzył na nią długo, jakby starał się zapamiętać jej twarz. Wreszcie skłonił się, odwrócił i wybiegł na dwór.

– Czy pani także nie powinna uciekać?

Leia się odwróciła. Obok jednej z szafek stała Vicria, właścicielka baru. W panującym na zapleczu kuchni półmroku jej pomarańczowe oczy wydawały się jeszcze bardziej świetliste niż zazwyczaj.

– Na razie nie – odparła księżniczka.

– Bo może pani odejść, kiedy tylko będzie pani musiała – ciągnęła Vicria. – To nie jest dla pani odpowiednie miejsce. Wiedzą o tym wszyscy, którzy widzieli tu panią podczas pracy.

Leia przełknęła z wysiłkiem ślinę.

– A zatem jestem bardziej niż kiedykolwiek wdzięczna za waszą dyskrecję – powiedziała.

Vicria pokręciła głową, co u istot rasy Mungra było równoznaczne ze wzruszeniem ramionami. Jej grzywa łagodnie zafalowała.

– W ciągu ostatnich lat wiele osób przybywało do mnie i do okolicznych lokali, żeby szukać tu schronienia – wyjaśniła. – Większość zachowywała się arogancko, była rozgoryczona albo demonstrowała nienawiść do swoich prześladowców. Tylko niewielu traktowało nas uprzejmie, tak jak pani. Byliśmy zaszczytzeni pani obecnością.

Stanęła obok Leii w przejściu, gdzie jeszcze chwilę wcześniej stał Chivkyrie, i spojrzała w kierunku okna drugiego piętra budynku po przeciwnej stronie alei.

– Odpłaciła nam pani z należytą za naszą dyskrecję – dodała cicho. – Będzie pani u nas zawsze mile widzianym gościem, Leio Organo.

Księżniczka poczuła, że coś ściska ją za gardło. A zatem wiedzieli nawet, jak się nazywa.

– Jest pani osobą pełną niezwykłej godności, Vicrio – odparła z przekonaniem. – Zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby za okazaną mi życzliwość nikogo nie spotkała żadna kara.

– Proszę się dla nas nie poświęcać – zaprotestowała Vicria. – Stoi pani w hierarchii społecznej o wiele wyżej niż my.

– Na pewno nie odrzucę beztroško daru, który mi pani ofiarowała – zapewniła ją Leia. – A jeżeli chodzi o wasze kategorie społeczne, nie uważam ich za właściwy miernik wartości żyjących istot rozumnych. A już na pewno nie są wyznacznikiem lojalności czy odwagi.

– Dziwny sposób myślenia – stwierdziła Vicria. – Jest pani jednak osobą z innej planety. Pani sposób myślenia i poglądy różnią się od poglądów Adarian czy Mungrów.

– Może nie tak bardzo – sprzeciwiła się księżniczka. – Przekonałam się, że pragnienie wolności przekracza wszystkie granice i bariery. I to nie tylko między istotami różnych ras, ale także różnych kategorii.

– Dziwny sposób myślenia – powtórzyła Vicria. – Mimo to chyba w jednym ma pani rację. Skoro ulice są przeszukiwane przez obcych żołnierzy, może najlepiej będzie, jeżeli zostanie pani w moim lokalu.

– Będę się ukrywała na widoku, jak proponował mój przyjaciel – zgodziła się Leia. Rozmowa o hierarchii i społecznych barierach wprawiła Vicrię w takie zakłopotanie, że właścicielka baru wyraźnie wołała zmienić temat rozmowy.

A jednak Leia zasiała w jej umyśle ziarna wątpliwości. Pomyślała, że może któregoś dnia coś z nich wyrośnie.

– A poza tym i tak nie mogłabym opuścić pani lokalu – dodała.

– Dlaczego? – zainteresowała się Vicria.

Leia pokazała jej ekran komputerowego notesu.

– Jeszcze nie zrealizowałam zamówień dwóch klientów – wyjaśniła.

Disra pokonał sprintem ostatnie dwadzieścia metrów pałacowego korytarza. Wpadł do swojego gabinetu, zatrzęsął drzwiami i skoczył w kierunku bezpiecznego komunikatora.

– Tu Disra – wydyśzał do mikrofonu. – Caaldra?

– Jesteś w końcu – burknął zirytowanym tonem najemnik – Gdzie się podziewałeś? A zresztą to nieważne. Co, na ognie przestworzy, robią tu ci wszyscy Imperialcy?

– Nic, co miałyby jakkolwiek związek z nami – zapewnił go Disra. – Szukają rebelianckiej przywódczyni, którą podobno ktoś widział kilka dni temu w Makrin City.

– Czy możemy mieć z tego powodu jakieś kłopoty?

– Nie, nie, wykluczone – odparł Disra, błyskawicznie kojarząc ostatnie fakty. Jego HoloNetowa rozmowa z Komodorem została nagle przerwana, a od tego czasu nie mógł ani razu skontaktować się z bazą Krwawych Szram, więc doszedł do wniosku, że Caaldra zginął. A jednak okazało się, że szczywany najemnik kolejny raz oszukał śmierć.

Stwarzało to kilka ciekawych możliwości. Disra miał wszystko, czego naprawdę potrzebował, ale obecność Caaldry na Shelkonwie mogła mu się przydać... pod warunkiem, że da radę go zwiabić.

– Mam nadzieję, że lecis do mnie? – zagadnął niby od niechcenia.

– Lecę do kosmoportu Greenciff Regional – odparł Caaldra. – Ten idiota kontroler ruchu z pokładu „Egzekutora” powiedział mi, że nikomu nie wolno lądować na terenie pałacu gubernatora.

– Nie poprosiłeś go, żeby pozwolił ci wyładować w głównym kosmoporcie Makrin City? – zdziwił się Disra.

– W pierwszej chwili właśnie tam chciałem skierować – przyznał Caaldra. – Odwiodłem go od tego zamiaru.

Disra zmarszczył brwi.

– Dlaczego, na litość Imperialnego Centrum? – zapytał. – Główny kosmoport Makrin City jest większy i znajduje się bliżej pałacu.

– Ale roi się tam od Imperialców – wyjaśnił Caaldra. – A zważywszy na to, że mam w ładowniach pięćdziesiąt robotów kroczących typu AT-ST, żaden z nas nie chce, żebym tam wyładował.

Szef administratorów gubernatora Choarda bezwiednie rozdziawił usta.

– Pięćdziesiąt... czego? – dopytywał się.

– Pamiętajsz, jak powiedziałem, że Krwawe Szramy zrabowały mój specjalny ładunek? – przypomniał Caaldra z ponurą satysfakcją. – Udało mi się go odzyskać.

– I przyleciałeś z nim tu, na Shelkonwę?

– Operator z pokładu „Egzekutora” nie pozostawił mi wyboru – oznajmił kwaśno Caaldra. – Nie pozwolił mi zawrócić i odlecieć.

Pięćdziesiąt zrabowanych AT-ST, pomyślał Disra. Jego sytuacja stawała się z każdą chwilą korzystniejsza.

– Nie przejmuj się Imperialcami i daj sobie spokój z kosmoportem Greenciff – powiedział. – Połączę się z „Egzektorem” i wydam rozkaz, żeby skierowali cię prosto do pałacu.

– Nie słyszałeś, co ci mówiłem? – burknął Caaldra. – Kontroler z „Egzekutora” powiedział, że nie mogę tam wyładować.

– Bo taki zakaz wydał gubernator Choard – wyjaśnił Disra. – Zabronił komukolwiek lądować na terenie pałacu. Zakaz gubernatora może jednak zostać cofnięty. Nie zwlekaj i zmień swój wektor lądowania... a ja o wszystko inne się zatroszczę.

Komunikator umilkł. Disra rozsiadł się na fotelu i skrzywił się, kiedy jego spocone, rozgrzane plecy zetknęły się z chłodnym materiałem koszuli. Pięćdziesiąt AT-ST, powtórzył w myśli. Nic dziwnego, że Caaldra był tak zdenerwowany, kiedy zniknęły. Mając tyle bojowych machin i mogąc liczyć na pomoc Krwawych Szram oraz sprzymierzonych z nimi band piratów, mogli być pewni, że ich plan zakończy się powodzeniem.

A raczej mógłby się zakończyć, gdyby Disra naprawdę zamierzał go realizować. Jego prawdziwy plan był wprawdzie bliski pomyślnego finału, ale Disra musiał przedtem załatwić to i owo. Ponownie włączył komunikator i wpisał kod „Egzekutora”.

Mara wciąż jeszcze kłapała gniewem, kiedy zauważyła, że pilot jednego ze statków daleko przed dziobem jej frachtowca wypadł z kolejki jednostek kierujących się ku planecie i zmienił wektor lotu.

Zmarszczyła brwi i pochyliła się do przodu, żeby lepiej ocenić parametry nowego wektora. Czyżby nieznanemu pilotowi przytrafiła się awaria? Jej sensory nie wykrywały żadnej usterki, ale też jakość sprzętu na pokładzie jej frachtowca bardzo odbiegała od standardów, do jakich była przyzwyczajona. Pewnie pilot tamtego statku miał kłopoty z systemami utrzymywania parametrów wektora lotu, co było możliwe, bo dopiero co wlecieli w najwyższe warstwy atmosfery. W pewnej chwili pilot lecącego z przodu statku lekko go obrócił...

Mara wstrzymała oddech. Zapatrzyła się na lecącą przed nią jednostkę, a po chwili wystukała polecenie maksymalnego powiększenia obrazu na ekranie monitora.

Maksymalne powiększenie nie było dość dobre, ale wystarczyło. Mara rozpoznała w dryfującym frachtowcu „Drogę Hoppera”.

Włączyła komunikator i wybrała kod gwiazdowego superniszczyciela.

– „Egzekutorze”, widzę statek, który zmienił parametry wektora lądowania – oznajmiła zwięźle. – Proszę zapoznać mnie z zamiarami jego pilota.

Znając wojskowe procedury i regulaminy, spodziewała się, że będzie musiała długo czekać, zanim uzyska jakąkolwiek informację. Okazało się jednak, że operator systemu łączności nie zapomniał rozmowy z młodą kobietą, która nie tylko zażądała widzenia się z Vaderem, ale także, co ważniejsze, zakończyła ją żywa.

– Przed chwilą pilot frachtowca „Droga Hoppera” otrzymał zgodę na lądowanie na terenie pałacu gubernatora – powiedział.

Na terenie pałacu, pomyślała Mara. Powinam była się tego spodziewać.

– Słyszałam, że nikomu nie wolno tam lądować – stwierdziła.

– Wszystko wskazuje na to, że ktoś zrobił dla niego wyjątek – usłyszała w odpowiedzi.

Mara pokiwała głową i zauważyła, że pilot „Drogi Hoppera” jeszcze bardziej zboczył z poprzedniego kursu. A więc tak wygląda sytuacja, pomyślała. Caaldra odbył rozmowę z Choardem, który wyraził zgodę na lądowanie „Drogi Hoppera” na terenie swojego pałacu, żeby można było ukryć porwane AT-ST przed wścibskimi spojrzzeniami i imperialnych szturmowców.

– Proszę wydać mi rozkaz, żeby wrócił na poprzedni kurs – zażądała Mara.

– Słucham? – zapytał zdezorientowany operator.

– Proszę wydać mi rozkaz powrotu na poprzedni kurs – powtórzyła Mara. – Miał wylądować na lądowisku Greencliff i właśnie tam powinien się kierować.

– Ale biuro gubernatora wyraziło zgodę, żeby wylądował na terenie pałacu.

– To bez znaczenia – odparła Mara. – Biuro gubernatora może podejmować decyzje w sprawach dotyczących samego pałacu i otaczającego go terenu, ale tamten frachtowiec znajduje się wciąż jeszcze w atmosferze. – Zawahała się, ale doszła do wniosku, że to nie pora na półśrodki. – Proszę zagrozić pilotowi, że jeżeli ponownie nie położy statku na wektor Greencliff, jego statek zostanie zestrzelony.

Zapadła krótka cisza, w której Mara usłyszała trzask przełącznika komunikatora.

– Ręką Imperatora, tu admirał Bentro – usłyszała spokojny głos innej osoby. – Nie mogę grozić bez powodu pilotowi cywilnego frachtowca. Zwłaszcza że ten pilot znajduje się pod ochroną gubernatora sektora.

– Wydaję panu rozkaz, admirał – odparła Mara. – Kod rozpoznawczy brzmi: Hapspir, Barrini, Corbolan, Triaxis.

Zapadła kolejna krótka cisza.

– Zrozumiałem – odezwał się w końcu Bentro. – Gdybym jednak mógł najpierw się skontaktować z Lordem Vaderem...

– Nie musi pan pytać o zgodę Lorda Vadera – przerwała ostro Mara. – A poza tym nie mamy czasu. Proszę przekazać ten rozkaz pilotowi statku, panie admirał.

Usłyszała cichy syk wypuszczanego z płuc powietrza.

– Zrozumiałem – powtórzył dowódca „Egzekutora”. – Panie kapitanie, proszę wydać pilotowi „Drogi Hoppera” rozkaz powrotu na kurs do poprzedniego miejsca lądowania.

– Dziękuję panu, admirał – powiedziała Mara. – I proszę się nie martwić... pilot tamtego frachtowca nie zaryzykuje możliwości zestrzelenia. Jest pewny, że da radę się wymknąć z każdej sieci, jaką na niego zastawimy.

– Zrozumiałem – potwierdził powątpiewającym tonem Bentro. – Czy chce pani, żebym wysłał oddział żołnierzy na teren kosmoportu Greencliff albo przydzielił wsparcie z powietrza?

Mara się zawahała. Oddziałami na powierzchni planety dowodził bezpośrednio Lord Vader, a ona nie miała zamiaru narażać mu się dwukrotnie tego samego dnia.

– Nie, sama się tym zajmę – oznajmiła. – Dziękuję panu za pomoc.

– Cała przyjemność po mojej stronie – odparł admirał. – Nasze sensory wskazują, że pilot „Drogi Hoppera” wraca na poprzedni kurs.

– Widzę – oznajmiła Mara. – Skontaktuję się z panem, jeżeli będę znów potrzebowała pomocy.

– Tak jest, proszę pani – dodał Bentro z wyraźnie słyszalną ulgą. Jeżeli Mara wolała nie narażać się Vaderowi, to już na pewno nie chciał tego robić zwykły admirał Marynarki.

Rozległ się cichy trzask i komunikator umilkł. Nie odrywając spojrzenia od „Drogi Hoppera”, Mara wpisała sekwencję rozkazów poprzedzających lądowanie. Zwążywszy na odległość dzielącą Caaldrę od frachtowca Mary, najemnik powinien wylądować mniej więcej dziesięć minut wcześniej niż ona.

Mara zastanowiła się, czy nie opuścić swojego miejsca w kolejce statków czekających na lądowanie i nie zająć pozycji za rufą „Drogi Hoppera”, żeby wylądować zaraz po nim. Istniało jednak prawdopodobieństwo, że Caaldra jeszcze jej nie zauważył, więc gdyby zajęła miejsce w kolejce zaraz za nim, na pewno by go spłoszyła. Doszła do wniosku, że lepiej będzie dać mu te dziesięć minut, aby mógł się przygotować na spotkanie z kimś, kto właśnie mu uniemożliwił bezpieczne lądowanie na terenie pałacu gubernatora.

Cieszyła się na myśl o minie, jaką zrobi Caaldra na jej widok.

Rozdział 20

– To kompletne szaleństwo – stwierdził Solo.

– Ja też tak mówilem – mruknął siedzący obok niego Quiller. – Ale LaRone mnie też nie chciał słuchać.

Luke zmarszczył brwi i wbił spojrzenie w szybę ciężarowego śmigacza. Musiał przyznać, że to rzeczywiście jakiś obłąd. On i Han w towarzystwie pięciu dezertersów zapuścili się do cichego miasta, w którym roilo się od szturmowców Vadera i gdzie prawdopodobnie przebywał sam Lord Sithów. Głośno protestujący Chewbacca pozostał wprawdzie na pokładzie Suwanteka, żeby się nie rzucać w oczy, ale gdyby Luke i Han poruszali się sami, zostaliby zatrzymani i poddani przesłuchaniu, zanim jeszcze zdążyliby się wy dostać z kosmoportu.

Tymczasem towarzyszyło im pięciu zakutych w kompletne pancerze szturmowców. Brightwater leciał raketowym skuterem przed ciężarowym śmigaczem, którym jechali pozostali, więc na ich widok wszelkie pytania i podejrzenia miejscowych policjantów parowały niczym rosa na pustynnym piasku.

Prawdziwym sprawdzianem miało się jednak stać spotkanie z przeszkakującymi miasto żołnierzami Imperium. Na pierwszy rzut oka wszyscy wyglądali tak samo, ale z rozmów towarzyszących im wojskowych Luke wynioskował, że szturmowcy znają sposoby rozpoznawania się nawzajem. Gdyby patrolujący Makrin City członkowie Pięćset Pierwszego Legionu się zorientowali, że LaRone i jego towarzysze nie należą do ich jednostki, mogliby mieć ochotę zadać im kilka niewygodnych pytań.

Szturmowcy z Pięćset Jedynek musieliby jednak najpierw ich zobaczyć... a LaRone i jego towarzysze dysponowali tajną bronią, o której istnieniu nie mógł wiedzieć nawet Vader.

W pewnej chwili Luke poczuł subtelny dotyk Mocy. Spojrzał na LaRone'a.

– Na najbliższym skrzyżowaniu skręć w lewo – powiedział, wskazując ulicę przed ciężarowym śmigaczem.

LaRone kiwnął lekko głową w helmie i włączył kierunkowskaz, żeby uprzedzić lecącego przodem zwiadowcę o spodziewanej zmianie kierunku.

– Szkoła, że na ulicy jest tak mało pojazdów, przez co za bardzo rzuca się w oczy – mruknął Han, spoglądając przez okno, kiedy śmigacz skręcał w lewo. – Czyżby wszyscy w tej samej chwili poszli na kolację?

– Na pewno nie o to chodzi – wyjaśnił ponuro Marcross. – Kulą się w domach ze strachu.

– Pamiętaj, że krążą tu siły zbrojne Imperium – dodał Grave siedzący za plecami Hana. – A może myślałeś, że mieszkańcy utworzą na ulicach szpaler, aby Vader mógł się poczuć jak na defiladzie?

– Na następnym skrzyżowaniu skręć w prawo – polecił Luke, pokazując ulicę przed śmigaczem.

– Wiecie, to zaczyna mnie przyprawiać o dreszcze – oznajmił Grave. – Jakim cudem chłopak może wiedzieć, gdzie znajdują się oddziały przeszkakujących miasto szturmowców? Jakś czas prowadziłem nasłuch na ich wspólną częstotliwość, ale nawet dzięki tym informacjom nie odgadłem, według jakiego planu prowadzą poszukiwania.

– Nawet go o to nie pytaj – odparł cierpko Han. – Odpowie ci, że to sztuczka Jedi.

– Akurat – burknął sceptycznie Quiller. – Tych gości, którzy podobno kilka lat temu zniknęli z galaktyki? Muszę jednak przyznać, że i mnie przechodzą ciarki.

– Daleko jeszcze? – zainteresował się LaRone.

– Już nie – zapewnił go Luke. – Najwyżej dwie przecznice.

Wiedział, że jeżeli ten rejon miasta przeszkakują żołnierze Vadera, trzeba będzie wyciągać Leię praktycznie na ich oczach. Taka akcja mogła znów wysunąć na pierwszy plan problem tożsamości szturmowców.

Nagle usłyszał w myślach cichy szept i oczami wyobraźni zobaczył wizerunek pręjącego się do skoku drapieznika. Zaczynał się uczyć, że taka wizja oznacza niebezpieczeństwo.

– Zastopuj śmigacz – polecił ostro. – Natychmiast!

Sekundę później, kiedy LaRone raptownie zahamował, napięły się pasy jego ochronnej uprząży.

– Co się stało? – zapytał szturmowiec.

Z tyłu i z góry napłynął charakterystyczny odgłos strzałów z ciężkich działek laserowych. Luke odwrócił się na fotelu i wyciągnął szyję, żeby spojrzeć przez tylne okno pojazdu.

Zobaczył niewielki statek płonąca sekcją silnikową, który opadał, wirując wokół osi, w kierunku ulicy.

„Droga Hoppera” spoczywała cicho na upstrzonym dolkami permabetonie, kiedy Mara posadziła swój Z-10 na wyznaczonym lądowisku niezbyt zatłoczonego kosmoportu Greenciff. Pozostawiła silniki na biegu jałowym i przyjrzała się porwanemu frachtowcowi. Nie zobaczyła niczego, co by się poruszało... żadnej oznaki życia.

Czyżby Caalra zdążyła uciec?

Miała tylko jeden sposób, żeby się tego dowiedzieć. Odczepiła od pasa rękojeść świetlnego miecza, opuściła rampę swojego frachtowca i zesła na płytę lądowiska. Uwolniła myśli, wyostrzyła zmysły i zwiększyła kąt widzenia, na wypadek, gdyby najemnik tkwił w zasadce, ukryty w cieniu pod kadłubem innego statku, po czym ruszyła ostrożnie w kierunku „Drogi Hoppera”.

Kiedy pokonała połowę odległości, sterburtową ładownię porwanego frachtowca rozerwała siła potężnej eksplozji.

Dzięki wspomaganym przez Moc odruchom Mara rozplaszczyła się w porę na permabetonie i skuliła tak, żeby przyjąć siłę eksplozji na plecy, zamiast na twarz. Poczula świerzbienie skóry, nieco wcześniej zagojonej po poprzednich oparzeniach. Kiedy wokół niej zaczęły spadać metalowe szczątki, przetoczyła się, szybko wstała i zapaliła klingę świetlnego miecza.

Spojrzała na frachtowiec. W otworze o poszarpanych brzegach kłębił się czarny dym, ale mimo to dostrzegła kanciasty metalowy korpus robota kroczącego typu AT-ST. Moduł dowodzenia obrócił się w jej stronę, a z luf zainstalowanych pod nim laserowych działek wyleciały dwie śmiertelnie błyskawice.

Mara odskoczyła w bok i strzały wybiły dwie dziury w permabetonie w miejscu, w którym ułamek sekundy wcześniej stała. Moduł dowodzenia obrócił się znów w jej stronę i z działek wyleciały dwie następne błyskawice. Mara uskokczyła przed pierwszą i nadstawiła klingę świetlnego miecza, żeby odbić drugą w kierunku, skąd przyleciała.

O mało nie przypłaciła tej decyzji życiem. Jeszcze nigdy nie usiłowała zablokować strzału, który niósłby tak dużą energię. Zamiast odbić błyskawicę, musiała chwycić rękojeść oburącz, żeby energia strzału nie wyrwała miecza z jej

dłoni. Z najwyższym trudem go utrzymała, ale w następnej sekundzie puściła się biegiem do najbliższej kryjówki, uskakując po drodze przed kolejnymi strzałami.

Ledwo zdążyła się ukryć za starym i skorodowanym holownikiem rudy, którego od wielu lat chyba nikt nie ruszał. Ostatnie strzały z działek robota AT-ST wyrwały dwa otwory w płakym kadłubie holownika. Mara przebiegła za rufę, gdzie masywne silniki zapewniały jej lepszą osłonę.

Ale nie na długo. Po krótkiej ciszy usłyszała skrzywienie mechanicznych stawów kolanowych robota i domyśliła się, że maszyna wy dostała się z otworu w burcie „Drogi Happera”. Mara wyżyła słuch i zaczęła omiatać spojrzeniem zaparkowane w pobliżu statki. Wybrała dwie drogi ucieczki, z których mogłaby skorzysta ć, w zależności od tego, z której strony Caaldra zdecydowałby się ją zaatakować. Nie mogła nawet marzyć o tym, żeby długo uciekać przed robotem AT-ST po linii prostej. Za to biegnąc z gąkami i między zaparkowanymi frachtowcami, miałyby o wiele większą swobodę ruchów niż ogromna maszyna bojowa. Może nawet dałaby radę wślizgnąć się pod spód robota i przeciąć klingą jedną z łap, żeby go powalić.

Usłyszała ponownie skrzywienie mechanicznych stawów, ale tym razem odgłosy dobiegały z prawej strony, nie z przodu. Obeszła lewą burtę holownika rudy i przycupnęła pod dziobem, pod którym mogłaby przejść na drugą stronę, gdy tylko zobaczy robota kroczącego.

Nie zobaczyła go jednak i nic nie wskazywało, żeby się zbliżał. Wręcz przeciwnie: cichnące skrzywienie sugerowało, że śmiercionośna maszyna się oddala.

Mara zrozumiała w mgnieniu oka. Skuliła się i przeszła pod dziobem holownika na drugą stronę.

Caaldra zrezygnował z polowania na nią i skierował ogromną maszynę bojową przez płytę lądowiska na południe. Kiedy Mara zobaczyła robota, automat przedzieriał się właśnie przez niskie ogrodzenie parkingu dla lądowych śmigaczy i kierował ku opustoszałym ulicom miasta.

Mara wypuściła powietrze z płuc. Caaldra odgadł, że zastawiła na niego pułapkę, ale nie połączczył się na przynętę. W tej części miasta ulice były wąskie, lecz proste, dzięki czemu robot kroczący AT-ST mógł się poruszać dosyć szybko. Najemnik musiał tylko oddalić się od niej kilka przecznicy i porwać lądowy śmigacz. Zdążyłby nim odlecieć, zanim go dogoniła.

Najprawdopodobniej właśnie tak zamierzał postąpić. Mara spojrzała jeszcze raz na oddalający się automat, a później odwróciła się i pobiegła do swojego Z-10. Dwie minuty później wzbila się w powietrze i skierowała na południe.

Spodziewała się, że kiedy Caaldra opuści kosmoport, skręci w boczną uliczkę, żeby Mara nie mogła go znaleźć. W tym rejonie miasta było jednak tylko kilka skupisk wysokich domów, a większość pozostałych miała najwyżej jedno albo dwa piętra, więc trudno mu by było się gdzieś ukryć. Mara wzbila się kilkanaście metrów nad płytę lądowiska i od razu zobaczyła AT-ST, który nadal parł na południe. Przesłała do silników pełną moc i puściła się w pościg.

Niestety te same niskie budynki, które nie zapewniały osłony ściganemu, pozwalały mu zobaczyć ścigającego. W dodatku pilotowany przez Marę Z-10 dysponował tylko niewielkim automatycznym blasterem, którego oprogramowanie celownicze było częścią oprogramowania sensorów. Jeżeli Mara chciała myśleć o wygraniu bitwy, musiała trafić robota pierwszym strzałem, i to z najbliższej możliwej odległości.

Iluminatory i ekrany AT-ST zapewniały jednemu operatorowi trzy stu sześćdziesiąciopięcioletnie pole widzenia, więc jedną szansą trafienia robota było znalezienie się dokładnie nad nim. Mara wzbila się wysoko i wyrównała pułap lotu, a kiedy znalazła się nad maszyną, wprowadziła swój Z-10 w lot nurkowy.

Starła się nakierować przecięcie nitek celowniczego krzyża na właz robota, ale w jej stronę odwróciła się wieżyczka lekkiego automatycznego działka blasterowego, zainstalowanego na lewym boku modułu dowodzenia. Mara szarpnęła rękójeść dźwigni dźwigni sterowniczej, żeby wyprowadzić statek z lotu nurkowego i przelecieć nad prawym bokiem robota kroczącego AT-ST, gdzie nie mogłyby jej dosięgnąć strzały z działka z lewego boku maszyny.

Systemów sterowniczych Z-Dziesiątka nie zaprojektowano jednak z myślą o wykonywaniu tak raptownych manewrów. Statek zareagował pół sekundy za późno i zatrząś się, kiedy strzał z dołu trafił w sekcję silnikową.

Lekki frachtowiec wpadł w korkociąg i zaczął opadać.

Zmagając się ze sterami, Mara zdążyła w ostatniej chwili zapobiec katastrofie. Wyrównała pułap lotu tuż nad powierzchnią ulicy. Siłą rozpędu ślizgała się po jezdni przez dwie przecznice, a ogłuszający zgrzyt metalu o permabeton cały czas drażnił jej uszy.

W końcu jednak jazgot ucichł i jej Z-10 znieruchomiał. Ciężko oddechając, Mara skrzywiła się, kiedy poczuła gryzący woń dymu, płonącego metalu i hydraulicznych płynów. Rozpięta pasy ochronnej uprzęży i wstała z fotela. Podczas awaryjnego lądowania rampa statku uległa zgnieceniu, ale trzy szybkie cięcia klingą świetlnego miecza umożliwiły jej wydostanie się przez transpasterowy iluminator sterowni.

Jej statek znieruchomiał mniej więcej trzy przecznice na południe od miejsca, w którym trafił go Caaldra. Mara wygramoliła się ostrożnie z wraku i spojrzała na północ. Spodziewała się, że prześladowca skorzysta z okazji i zmieni kierunek ucieczki – zawróci na północ, gdzie pozostawił „Drogę Happera”, albo na zachód w stronę pałacu, dokąd naprawdę zmierzał.

Najemnik nie zrobił jednak ani jednego, ani drugiego. Kroczący robot AT-ST nadal się zbliżał, a zainstalowane pod modułem dowodzenia działka kierowały się raz po raz to w prawo, to znów w lewo, niczym czujni strażnicy omiatający spojrzeniami i poboczna ulicy.

Wyglądało na to, że Caaldra porzucił myśl o ucieczce i postanowił się zemścić.

Uszkodzony statek zniknął między budynkami, a sekundę później LaRone usłyszał dobiegający z oddali zgrzyt metalu o permabeton.

– Zestrzelili go – oznajmił, rozglądając się wokół. W pewnej odległości na południe zobaczył zaparkowany transportowy śmigacz lądowy. Domyślił się, że lecący nim szurmowcy przeszkadzają okoliczne domy. Nigdzie jednak nie dostrzegł imperialnych żołnierzy ani innych środków transportu. Było możliwe, że w pobliżu nie ma ani jednych, ani drugich.

Byli tylko szurmowcy z Ręki Sprawiedliwości.

– Wsiadaj! – nakazał, spoglądając na Luke’a i zwracając. – Ty też, Solo. Zaczekajcie tu na nas. Zamierzamy się przekonać, czy nie trzeba pomóc pilotowi tamtego statku.

Stał się cud, bo ani Luke, ani Solo nie zaprotestowali. Chwilę później LaRone skierował ciężarowy śmigacz w kierunku miejsca katastrofy. Przed pojazdem, jak poprzednio, leciał raketowym skuterem Brightwater.

Miejsce katastrofy znajdowało się na północ od nich i, jak się okazało, dwie przecznice dalej na zachód. LaRone skręcił za ostatni róg i ujrzął niezwykle widok. Na jezdni pół kwartału na północ od niego spoczywał wrak lekkiego frachtowca, tego samego, który wpadł w korkociąg. Kadłub był poskręcany i porozrywany, a z płonących silników unosiły się kłęby czarnego dymu. Z otworu w transpasterowym iluminatorze sterowni wychodziła właśnie pilotka – młoda kobieta o zlocistorudych włosach.

A dwa następne kwartały na północ zobaczył uniwersalny terenowy transporter zwiadowczy, który podążał w ich kierunku, sztywno stawiając metalowe łapy.

– Co, na wszystkie czarne dziury, on tu robi? – mruknął zaskoczony Quiller.

– Brightwater, sprawdź to – rozkazał LaRone. Skierował ciężarowy śmigacz w stronę wraku, ale poczuł w żołądka dziwne łaskotanie. Pilotka frachtowca musiała być poszukiwaną przez szurmowców Vadera przyjaciółką Luke’a i Solo. To był jedyne powód, dla którego ktoś mógłby chcieć wysłać robota kroczącego typu AT-ST. Obecnie, kiedy kobieta została rozpoznana, schwytywanie jej było tylko kwestią czasu. Luke i Solo mogli się spodziewać, że wkrótce i oni pójną w jej ślady.

Wyglądało na to, że Marcross myśli tak samo.

– Nie możemy się do tego wtrącać – odezwał się szybko z tylnego siedzenia ciężarowego śmigacza. – Zaraz ją dopadną.

– A co z Lukiem i z Solo? – zapytał Grave. – Nie możemy dopuścić, żeby i oni wpadli w ich łapy.

– Możemy nie mieć wyboru – odparł ponuro LaRone. Mimo to musieli zaryzykować. Skierował pojazd na skraj ulicy, żeby móc szybko zawrócić i polecieć do miejsca, w którym pozostawili obu Rebeliantów, w nadziei, że zdążą ich przetransportować na pokład stosunkowo bezpiecznego Suwanteka. Zauważył, że lecący skuterem Brightwater zbliża się do robota AT-ST.

Zainstalowane pod modulem dowodzenia działka laserowe bez ostrzeżenia skierowały się w dół, w jego stronę, i plunęły ogniem.

Zaskoczony Brightwater o mało nie przyplacił tego życiem. Zatoczył skuterem ciasny łuk, ale i tak jeden ze strażów zdruzgotał prawą lotkę sterującą i przeorał bok skatera. Mimo to zwiadowca przyspieszył, ale wskutek uszkodzenia lotki jego manewr wyglądał, jakby pijak leciał slalomem. Artylerzyści działek robota AT-ST oddali jeszcze dwa strzały, ale oba chybiły.

Mimo to machina nadal się zbliżała.

Brightwater dotarł do wraku w tej samej chwili, kiedy LaRone unieruchomił śmigacz ciężarowy, wyskoczył z kabiny i przygotował swój E-11 do strzału.

– Stać! – wykrzyknął do rudowłosej kobiety. Zauważył, że jest młoda... mogła mieć najwyżej dwadzieścia lat.

– Jestem imperialną agentką! – odrzknęła kobieta. – Stopień K. – 12, kod rozpoznawczy Hapspir Barrini. Tamty AT-ST kieruje bandyta.

LaRone dopiero po chwili uświadomił sobie, że ma otwarte usta, ale od razu władzę nad jego mięśniami przejęły wpojone w ciągu wielu lat ćwiczeń odruchy.

– Zrozumiałem, proszę pani – powiedział. – Rozkazy?

– Zacznijmy od wsparcia z powietrza – odezwała się agentka. – Połączcie się przez komunikator z dowódcą.

LaRone się skrzywił.

– Prawdę mówiąc, nie należymy do głównej grupy... – zaczął.

– Po prostu połączcie się z nim przez komunikator – ucięła ostro kobieta.

– Nie da rady – odparł ponuro Marcross. – Operator tamtego AT-ST nastawił na pełną moc pokładowe urządzenia zagłuszające.

– A zatem będziemy musieli to zrobić sami – zdecydowała agentka tonem zimnym jak góra lodowa. Odwróciła się do Brightwatera. – Jesteś zwiadowcą – stwierdziła. – Czy twój skuter jest nadal sprawny?

– Wystarczająco sprawny, proszę pani – odparł Brightwater, odwracając maszynę w kierunku nadchodzącego robota. LaRone zauważył, że pancierz kolegi jest przypieczony na prawej tyłce, w miejscu, w którym dosięgła go rozproszona energia strzału z laserowego działka.

– Przeleć się obok jego lewej strony i postarasz się ściągnąć na siebie ogień z wieżyczki lekkiego blastera – rozkazała kobieta. – Jeżeli operator zacznie obracać w twoją stronę moduł dowodzenia, żeby dać ognia z laserowych działek – odwróciła się do Grave'a – ty, snajperze, zniszczysz celnym strzałem wyrzutnię granatów udarowych po prawej stronie.

– Zrozumiałem – potwierdził Grave, opuszczając lufę swojego T-28 i kierując ją w stronę robota.

Imperialna agentka znów przeniosła spojrzenie na Brightwatera.

– Jeżeli nie obróci modułu dowodzenia albo zacznie go obracać do położenia spoczynkowego, zawróć się i postarasz się trafić radiator jego silnika lub dysze wylotowe. Powinna się tam także znajdować antena nadajnika sygnałów zagłuszających, więc może uda ci się ją trafić i zlikwidować zagłuszanie, żebyśmy mogli wezwać posiłki. Jeżeli snajper zniszczy granatnik, powinieneś być tam stosunkowo bezpieczny, ale miej oko na wieżyczkę lekkiego blastera po lewej stronie robota.

– Dam sobie radę – zapewnił ją Brightwater.

– Pamiętaj jednak, że jeśli snajper nie zniszczy wyrzutni granatów, będziesz musiał uważać i na nią – ostrzegła młoda kobieta. – Jeżeli zacznie być gorąco, zawróć się, oblecisz kwartał i dołączysz do nas od południa. Jesteś w tej chwili naszą jedyną mobilną jednostką strzelecką, a ja nie chcę, żebyś poświęcał się na próżno.

LaRone poczuł, że ogarnia go coraz większe zdumienie. Imperialna agentka, która się troszczy o bezpieczeństwo żołnierzy pod swoimi rozkazami? To było coś nowego.

– A co z nami? – zapytał Marcross.

– Położycie ogień zaporowy, żeby odwrócić jego uwagę – poleciła agentka. – Kiedy się zbliży, wycofacie się i postaracie, żeby przeszedł obok szczątków mojego statku. Będę tam na niego czekała.

LaRone spojrzał na Grave'a. Krycie się wewnątrz płonącego wraku na drodze maszerującego robota kroczącego AT-ST nie było gwarancją dożycia wieku emerytalnego.

– Proszę pani, jeżeli mogę zaproponować... – zaczął niepewnie.

– Ruszać się! – ucięła młoda kobieta, po czym odwróciła się i kucnęła obok burty wraku. – Jeżeli zwabicie go wystarczająco blisko, powinienam sobie z nim poradzić.

Poradzić sobie? – pomyślał LaRone, unosząc z niedowierzaniem brwi. W tej samej chwili zauważył smukły metalowy cylinder w jej dłoni.

Świetny miecz.

Spojrzał na jej młodą twarz i nagle poczuł zimny dreszcz wzdłuż kręgosłupa. Imperialna agentka, świetny miecz... a zatem mimo wszystko pogłoski okazały się prawdziwe.

Ta kobieta była Ręką Imperatora.

– Słyszeliście rozkazy, szturmowcy – powiedział, czując suchość w gardle. – Wykonać!

Za następnym skrzyżowaniem Luke i Han zobaczyli kilkunastu idących chodnikiem szturmowców. W pewnej chwili chłopak nagle stanął.

– Co się stało? – zapytał zczepnym tonem Solo, nie odrywając spojrzenia od Imperialców.

– Nic – odparł Luke. – Jesteśmy na miejscu.

Han zmarszczył brwi, po czym spojrzał na obskurne drzwi i splóły jądłospis w oknie. Bar? – pomyślał.

– Leia ukrywa się tu, w barze? – zapytał.

– Nie sądzisz, że powinniśmy tam wejść? – odparł Luke, wymownym ruchem głowy pokazując zbliżających się szturmowców.

Korelianin pokręcił głową. Jej Królewska Wysokość miałaby się ukrywać w takiej norze? Pomyślał, że mistyczne sztuczki Jedi musiały przepalić jakiś bezpiecznik w umyśle Luke'a.

Doszedł jednak do wniosku, że każde miejsce będzie dobre, byle tylko zejść z oczu szturmowcom. Otworzył drzwi, wszedł do środka...

I zamarł, nie wierząc własnym oczom. W pograżonej w półmroku sali jadalnej, wśród obcych istot wielu ras, zobaczył Leię. Księżniczka nie siedziała jednak w łacie ani nie ukrywała się z kapturem nasuniętym na głowę. Poruszając się zgrabnie po sali, roznosiła trunki.

Jej Królewska Doskonałość miała na sobie fartuszek i podawała drinki.

– Jest! – wykrzyknął podekscytowany Luke.

– Tak widzę – mruknął Han, omiatając pomieszczenie uważnym spojrzeniem. Nie zapadła w nim niespodziewana cisza, w jego stronę nie odwróciła się żadna głowa, ale wyczuł w powietrzu coś w rodzaju statycznej elektryczności. Bywalcy zauważyli nowych przybyśców, ale nie wyglądali na zachwyconych z tego powodu.

– O co chodzi? – zapytał niecierpliwie Luke.

Han wziął się w garść i spojrzał na chłopaka.

– Grzecznie i spokojnie – mruknął. Zaczął iść między stolikami w kierunku Lei, trzymając dłoń na tyle blisko blastera, żeby móc go szybko wyciągnąć, ale zarazem nie zdradzać wrogich zamiarów.

Kiedy pokonał połowę odległości, drogę zastąpiło mu dwóch Adarian w zakurzonych ubraniach roboczych.

– Spokojnie – wymruczał Solo, unosząc ręce i pokazując puste dłonie. – Wpadliśmy tu, żeby zobaczyć się z naszą przyjaciółką.

– Han? – zawołała Leia.

Solo spojrzał na nią pomiędzy Adarianami i przekonał się, że księżniczka idzie w jego stronę. Na jej twarzy malowały się zdumienie i ulga.

– W czymś przeszkadzamy? – zapytał od niechcenia Korelianin.

– Cieszę się, że was widzę – odparła Leia, zerkając nad jego ramieniem na Luke'a. – Was obu. Skąd wiedzieliście, że wpadłam w tarapaty? Nieważne... musimy się stąd dostać.

– Ja też tak uważam – przyznał Solo. – Jest tu gdzieś tylny wyjście?

– Tak... tędy – odparła Leia. Przecisnęła się i chwyciła go za rękę. Adarianie zrobili im przejście i księżniczka poprowadziła Hana i Luke'a między stolikami do kuchni.

Przy tylnych drzwiach stała pomarańczowooka Mungranka.

– Bezpiecznej drogi, Leio Organo – wymruczała. – Nie zapomnimy tu ciebie.

– Ja ciebie także nie zapomnę, Vicrio – odparła Leia, kiwając Mungrance głową. – Któregoś dnia, kiedy niewola Imperium dobiegnie końca...

– ... postawimy ci drinka – dokończył Han. Ujął Leię za ramiona, odwrócił ją i niemal wypchnął przez tylne drzwi. Wszyscy troje znaleźli się w wąskiej i kiepsko oświetlonej, ale na szczęście opustoszałej uliczce. – Chodźmy – powiedział Solo i chwycił Leię za rękę, jakby zamierzał pociągnąć księżniczkę w kierunku północnego wylotu uliczki.

– Hanie, to było z twojej strony bardzo nieuprzejme – odezwała się oskarżycielskim tonem Leia. – Tamta Mungranka pomogła mi się ukrywać...

– Zamierzałaś jej dziękować, dopóki przez frontowe drzwi nie wejdzie Vader? – odciął się Solo. – Coś takiego wypadłoby wspaniale w raporcie z jej przesłuchania. Chodźmy... w kosmoporcie czeka na nas Chewie.

Dotarli niemal do końca uliczki, kiedy Luke niespodziewanie chwycił Hana za rękę.

– Za nami – szepnął. – Ktoś się zbliża.

Han się obejrzał. O ile mógł się zorientować, uliczka nadal była pusta.

Przecucia chłopca sprawdzały się jednak zbyt wiele razy w ciągu tej wyprawy, żeby Han miał ochotę wątpić w jego słowa.

– Tam – powiedział, wyjmując blaster i ciągnąc Leię w kierunku stosu pojemników na odpadki stojących z boku uliczki. Wepchnął Leię za śmietnik, stanął tuż obok i przycisnął się do niej plecami, żeby też się ukryć. Po chwili wychylił głowę i spojrzał w przeciwną stronę uliczki.

– Hanie... – zaczęła księżniczka.

– Ćśśś!

– Hanie, zaraz mnie zgnieciesz – syknęła Leia przez zaciśnięte zęby.

– Wolisz, żeby mnie postrzelili? – oburzył się Solo. Zauważył, że coś porusza się w mroku... coś szybko się do nich zbliżało. W pewnej chwili poruszający się obiekt przeleciał pod latarnią...

– Zwiadowcy – mruknął Han, czując ciężar w żołądku. A więc tak wyglądały poszukiwania. Główne siły szturmowców wdierały się do domów od strony głównej alei, a zwiadowcy na raketowych skaterach patrolowali tylną uliczkę, wypatrując uciekinierów. Metoda szybka, dokładna i skuteczna, pomyślał Solo.

Miał mniej więcej trzydzieści sekund na podjęcie decyzji, jak się rozprawić z imperialnymi zwiadowcami.

Stojąca za jego plecami Leia zaczęła się nagle przeciskać do przodu.

– Zostań tam! – burknął Han, rozglądając się w poszukiwaniu natchnienia. Nigdzie nie zauważył żadnego innego miejsca, w którym mogliby się ukryć.

A to oznaczało, że będzie musiał zastrzelić obu Imperialców. Problem w tym, że nawet jeżeli wyeliminuje pierwszego strzałem z zasadki, drugi nie będzie czekał bezczynnie, aż Korelianin zajmie się z kolei nim.

Musiał jednak zaryzykować.

Nagle w cichym wieczornym powietrzu dały się słyszeć napływające z dużej odległości odgłosy strzałów. Han zacisnął zęby, uniósł blaster i wymierzył lufę w pierwszego zwiadowcę.

W tej samej chwili Leia przecisnęła się między nim a pojemnikami na odpadki.

– Co ty, u licha, wyprawiasz? – zapytał szepem Solo.

– Daj mi blaster – zażądała księżniczka, spoglądając w stronę zbliżających się szturmowców.

– Posłuchaj, Wasza Czcigod...

Leia bez słowa wyciągnęła rękę i wyszarpnęła blaster z jego dłoni. Han chciał go odzyskać, ale księżniczka uchyliła się przed jego rękami i odepchnęła go łokciem na bok. Han spojrział na Luke'a, ale chłopak tylko zmarszczył czoło i spoglądał w kierunku nadlatujących zwiadowców. Z oddali napływały odgłosy coraz intensywniejszej strzelaniny. Han zobaczył, że obaj zwiadowcy spojrzeli po sobie i przyspieszyli.

Leia dała ognia.

Nie celowała jednak do żadnego Imperialca, ale posłała strzał w górę, w ścianę budynku po drugiej stronie. Han spojrział w tamtą stronę, zmarszczył brwi i ku swojemu zdumieniu zauważył, że od ściany na wysokości trzeciego piętra odrywa się powoli dwudziestometrowy odcinek rury spustowej. Rura uderzyła o permabeton przed raketowymi skuterami i odbiła się od nawierzchni w samą porę, żeby imperialni zwiadowcy zderzyli się z nią hełmami.

Pospadali z siodłek. Jeden od razu się rozpląszczył na permabetonie, a drugi wykonał ćwierć obrotu i runął obok niego. Pozbawione kierowców skutery raketowe zawisły nieruchomo w powietrzu. Żaden ze zwiadowców się nie poruszył.

– Chodźmy – odezwała się Leia, wciskając blaster z powrotem do dłoni Hana. – W którym kosmoporcie wylądowaliście?

– W Greenciff – odparł Solo, gapiąc się w osłupieniu na leżących szturmowców i zlaną w kilku miejscach rurę spustową. Postanowił, że któregoś dnia będzie musiał zapytać Leię, w jaki sposób to zrobiła.

– Pospieszmy się! – przynagliła go niecierpliwie Leia. – Zanim inni się zorientują, że tym dwóm stało się coś złego.

– Zaczekaj chwilę – poprosił Han, spoglądając na raketowe skutery. Decydowali się na duże ryzyko, bo cywile lecący wojskowymi maszynami musieli zwrócić uwagę każdego przeszkąjącego miasto szturmowca. Liczyła się jednak każda sekunda, więc równie dobrze mogli zaryzykować, choćby tylko mieli pokonać kilka przecznic. – Leciałś już kiedyś czymś takim? – zapytał, delikatnie popychając Leię w kierunku bliższej maszyny.

– Nie – odpowiedziała niepewnie księżniczka. – Hanie, naprawdę nie uważam...

– On ma rację... i damy sobie radę – zapewnił szybko Luke. Podszedł do drugiego skutera i odważnie wspiął się na siodelko.

– Niech będzie – odparła Leia, wciąż jeszcze nie do końca przekonana. – Ale to ja będę kierowała.

– Powiedziałś, że nigdy tego nie robiłaś – przypomniał Korelianin.

– A ty robileś? – odcięła się Leia.

– No cóż, nie latałem wprawdzie wersją wojskową...

– A zatem ja będę kierowała – zdecydowała księżniczka. – A poza tym musisz mieć wolną rękę, żeby strzelać z blastera, na wypadek, gdybyśmy wpadli w tarapaty.

Han się skrzywił. Ach, ta kobieta logika... – pomyślał.

Mimo to musiał przyznać, że Leia ma rację. Fakt, oderwała mistrzowskim strzałem kawałek rury od ściany domu, ale to on był lepszym strzelcem, zwłaszcza kiedy chodziło o strzelanie w locie.

– Jak sobie życzysz, Wasza Czcigodność – powiedział. – Wskakuj.

Leia usadowiła się na siodelku bliższego skutera, a Han zajął miejsce za jej plecami na tobolku z awaryjnym sprzętem. Objął ją w pasie lewą ręką i stwierdził z niemym rozbawieniem, że pod dotknięciem jego ręki Leia niespokojnie pokręciła się na siodelku. To może być przyjemniejsze niż mi się wydawało, pomyślał Solo.

Leia i Luke poświęcili minutę na opanowanie zasad sterowania, ale i tak pierwsze dwadzieścia metrów lecieli zygakiem, zmagając się z regulatorem przepustnicy. Kiedy w końcu przyswoili sobie podstawy sztuki pilotażu, polecili szybciej, starając się wybierać tyłne uliczki. Na szczęście wszystko wskazywało na to, że pozostałe patrole szturmowców nie zapuściły się jeszcze tak daleko do północnych dzielnic miasta.

Chyba że wszyscy szturmowcy w tym rejonie nagle doszli do wniosku, że mają na głowie inne zmartwienia niż ścigana Rebeliantka. Napływające z północnego zachodu odgłosy blasterowych strzałów znów się nasiliły. Na pewno korzystano z różnych rodzajów broni, co sugerowało, że toczy się tam regularna bitwa... mniej więcej w miejscu, w którym LaRone wyrzucił Hana i Luke'a z ciężarowego migacza.

Jeżeli jednak dezercerzy wpadli w tarapaty, byli zdani, przynajmniej na razie, tylko na własne siły. Han doszedł do wniosku, że kiedy on, Luke i Leia znajdą się na pokładzie Suwanteka, mogliby wrócić i sprawdzić, co się dzieje.

Przelecieli trzy przecznice. Kiedy młody Skywalker i księżniczka opanowali zasady kierowania skuterem raketowym, Han zauważył na zachód od siebie jakiś obiekt, lecący na południe tuż nad dachami domów. Uniósł głowę...

– Zastopuj! – warknął, ściskając mocniej Leię w pasie. – Luke!

– O co chodzi? – zapytała Leia przez ramię, ale usłuchała.

– To był nasz statek – wyjaśnił Solo, pokazując miejsce nad dachami domów, gdzie zniknął Suwantek.

– Co takiego? – zdziwił się zaskoczony chłopak – Dokąd poleciał?

– Tam, skąd dolatują odgłosy blasterowych strzałów – wyjaśnił ponuro Han. – Chewie kieruje się w sam środek bitwy.

– To nie brzmi najlepiej – mruknął młody Skywalker.

– Nie ma co do tego dwóch zdań – ocenił Solo. Wyzarpnął komunikator i włączył go kciukiem.

Zaraz jednak go wyłączył, bo z głośnika wydołył się tylko monotony szum.

– Wszystko zagłuszają – powiedział, po czym wsunął komunikator do saszetki u pasa i wskazał ręką przed siebie, na następne skrzyżowanie. – Lecimy tam – polecił. – Musimy się z nim spotkać.

– Racja – przyznała Leia, kierując raketowy skuter w tamtą stronę. Luke ją wyprzedził i pierwszy dotarł do skrzyżowania.

Han przywarł mocniej do Leii, która skrzyła za róg i przyspieszyła. Na pewno LaRone i jego towarzysze wpadli w tarapaty... mógłby się o to założyć, stawiając zawartość sterburtowej ładowni „Sokoła”. Ale kłopoty mógł mieć także Chewie, który pospieszył im na pomoc.

Han obiecał sobie solennie, że jeżeli wyjdą z tego żywi, on i Chewie będą musieli o tym poważnie, długo porozmawiać.... bardzo poważnie i bardzo długo.

Lecąc zygzakami, Grave ostrzeliwał z działka pod ramą zbliżającego się robota AT-ST. Bezskutecznie. Mara kucnęła obok kadłuba płonącego wraku lekkiego frachtowca. Kiedy owionęła ją chmura dymu, zamrugła i w duchu zacisnęła kciuki. Zobaczyła, że lufy działek pod modulem dowodzenia kierują się w dół, w stronę nadlatującego zwiadowcy, i w pierwszej chwili pomyślała, że Caaldra dał się nabrać na jej podstęp.

Później jednak lufy działek się uniosły, a zainstalowana z lewej strony wieżyczka lekkiego blastera obróciła się i plunęła ogniem. Grave skrzył w bok, żeby uniknąć trafienia, śmignął między dwiema ogromnymi łapami robota i wyłeciał z tyłu. Wieżyczka blastera z lewego boku zwróciła się w jego stronę i ponownie plunęła ogniem. Kiedy zwiadowca skrzył w lewo, żeby znaleźć się poza zasięgiem strzału, z wyrzutni po prawej stronie robota AT-ST poleciał ku niemu granat udarowy.

Trafił w permabeton i eksplodował z siłą, która wypchnęła z okien szyby domów połowy kwartału. Podmuch uderzył Marę w twarz niczym aksamitna pięść. Młoda kobieta napięła mięśnie i starała się coś dostrzec. Kiedy kłęby dymu się rozwiały, zobaczyła, że zwiadowca na raketowym skuterze skrywa za róg budynku na najbliższym skrzyżowaniu i znikła w przecznicy. Był bezpieczny, a przy najmniej nie został poważnie ranny, i zamierzał oblecieć kwartał ulic, żeby spróbować szczęścia jeszcze raz.

Tymczasem pozostali szturmowcy nie próżnowali. Systematycznie posyłał strzały w stawy łap, gniazda sensorów i iluminatory maszyny. Zaprojektowany właśnie do takich walk robot opierał się jednak ich wysiłkom. Zupełnie jakby Caaldra odczuwał perwersyjną radość z przebiegu bitwy, a zwłaszcza z przewagi, jaką daje mu ogromna maszyna bojowa. Zamiast przyspieszyć do maksymalnej prędkości, która pozwoliłaby mu szybko pokonać przeciwników, kierował robotem niespiesznie, jakby zachęcał ich do oddania celnego strzału.

Mara uświadomiła sobie, że coś obok niej się poruszyło, i zobaczyła, że u jej boku kucnął dowódca drużyny.

– Kazałam ci się wycofać – powiedziała.

– Musiałem się z panią skonsultować – odparł nerwowo LaRone. – Chyba wiemy, w jaki sposób wyeliminować robota z walki.

– Wyjaśnij.

– System żyroskopowy znajduje się między spodem modułu dowodzenia a platformą, pod którą zainstalowano łapy – zaczął drużynowy. – Jeżeli mój snajper zajmie stanowisko ogniowe na trasie robota na jednym z najwyższych pięter wysokiego budynku, będzie miał lepszą okazję oddania celnego strzału.

Mara popatrzyła na ulicę i wycofujący się szturmowców. To prawda, stało tam kilka wysokich domów, z których można by oddać taki strzał.

Problem polegał na tym, że snajper będzie mógł strzelić tylko raz. Gdyby chybił albo gdyby system żyroskopowy robota okazał się wytrzymały i nie uległ uszkodzeniu, Caaldra po prostu obróciłby moduł dowodzenia i zamienił cały budynek w gruzy.

Drużynowy i snajper doskonale o tym wiedzieli.

– Powiedz mu, żeby zajął stanowisko – rozkazała Mara. – Miejmy nadzieję, że nie będziemy musieli spisać go na straty.

– Tak jest. – LaRone wstał, żeby szybko odbiec.

Zanim jednak zdążył zrobić krok, niespodziewanie coś przeleciało z rykiem nad ich głowami. Od spodu kadłuba lecącego statku odbiły się strzały chyba wszystkich działek kroczonego robota AT-ST. Mara odruchowo się skuliła i powiodła spojrzeniem za intruzem. Czyżby przeskakujący miasto szturmowcy Vadera postanowili się w końcu dowiedzieć, skąd się biorą odgłosy strzałów napływające z tego rejonu miasta?

Tyle że to, co przeleciało nad nimi, nie było transportowcem imperialnych szturmowców. Nie była to nawet jednostka wojskowa. Mara zauważyła, że to frachtowiec, ale z powodu dymu, zapadających ciemności i szybkości lotu nie rozpoznała jego typu. Pilot statku zatoczył luk i zawrócił, po czym zawisnął nieruchomo w powietrzu dzięki repulsorom, jakby podziwiał niezwykłą scenę w dole.

– Każ mu stąd odlecieć! – rozkazała Mara.

– Sygnały komunikatorów są cały czas zagłuszane, proszę pani – przypomniał drużynowy.

– Wiem – burknęła Mara. – W takim razie zacznij machać rękami... zrób coś! On jest tam, w górze, bardzo łatwym celem!

– Postaram się. – Drużynowy wstał i zaczął wymachiwać rękami.

W tej samej chwili za kroczącym robotem AT-ST pojawiły się błyski wielu blasterowych strzałów.

Luke doleciał do głównej ulicy i unieruchomił raketowy skuter obok narożnego domu. Leia zastopowała swoją maszynę za nim. Han zeskokczył z worka i kilka ostatnich metrów pokonał biegiem. Trzy mając gotowy do strzału blaster, wychylił głowę i zerknął za róg.

Pół kwartału dalej zobaczył zwróconego tyłem imperialnego robota kroczonego typu AT-ST, oddalającego się niezgrabnie ulicą na południe. Za następną przecznicą zauważył dymiący wrak statku, prawdopodobnie tego samego lekkiego frachtowca, który widzieli, jak przelatował z płonąca sekcją silnikową nad dachami domów. Przez kłęby dymu dostrzegł kogoś, kto stał na widoku, zapewne nieświadom zbliżającego się robota. Jeszcze dalej kilka osób ostrzeliwało kolosa.

A nad ulicą krążył Chewbacca za sterami Suwanteka. Wszystko wskazywało, że zamierza staranować robota.

– To wygląda poważniej niż przy puszczałam – odezwała się stojąca za nim, wyraźnie zdenerwowana Leia.

– Lepiej w to uwierz – odparł Han. Nie mógł opanować gonitwy myśli. Gdyby w jakiś sposób udało mu się ostrzec Chewiego, może zdołałby go nakłonić, aby wrócił do kosmoportu. Ale skoro sygnały komunikatorów były zagłuszane...

Przeniósł spojrzenie na AT-ST, a zwłaszcza na szczelinę między modulem dowodzenia a łapami. Jeżeli dokumentacja techniczna, z którą się kiedyś zapoznał, mówiła prawdę, właśnie tam powinny się mieścić wszystkie anteny... włącznie z tą, która odpowiadała za wysyłanie sygnałów zagłuszających działanie komunikatorów.

Uznał, że warto spróbować. Wymierzył lufę blastera w szczelinę i dał ognia.

– W takim razie zacznij machać rękami..., zrób coś! – rozkazała Ręka Imperatora. – Jest tam, w górze, bardzo łatwy cel!

– Postaram się. – Drużynowy wstał. Nie otwieraj ognia do roboty, przesłał w myśli polecenie – i zaczął wymachiwać rękami, żeby zwrócić na siebie uwagę Wookiego. Proszę, nie strzelaj! Funkcjonariusze IBB na tyle udoskonaliли systemy uzbrojenia Suwanteka, że pojedynczy strzał z bliźniaczych działek mógłby rozerwać AT-ST na metalowe strzępy.

Przy okazji przebiły także gruby pancierz chroniący jego energetyczne ogniwa dużej mocy. Zmieniłoby to robota w kulę ognia, która objęłaby zasięgiem szturmowców i większość budynków tego kwartału, a prawdopodobnie także samego Suwanteka.

Na szczęście Chewbacca chyba zdawał sobie z tego sprawę. Nadal krążył nad robotem, ale nic nie wskazywało, żeby uzbroił laserowe działka. LaRone znów zamachał rękami, żeby nakłonić Wookiego do odlotu.

W następnej chwili monotonny szum, wydobywający się dotąd z głośnika jego komunikatora, w zagadkowy sposób nagle ucichł. LaRone odwrócił się do kucającej obok niego imperialnej agentki.

– Możemy rozmawiać przez komunikator – zameldował.

– Ktoś zniszczył antenę nadawczą urządzenia zagłuszającego tego AT-ST – domyśliła się młoda kobieta. Uniosła głowę i spojrzała na frachtowiec. – Teraz możesz mu kazać, żeby odleciał.

LaRone pokiwał głową i nastawił komunikator na prywatną częstotliwość.

– Chewie, tu LaRone – odezwał się cicho. – Musisz się stąd wynosić. Sami damy sobie radę.

Widocznie jednak nie mówił wystarczająco cicho.

– Znasz tego pilota? – zdziwiła się Ręka Imperatora.

– Współpracuje z nami – odparł wymijająco LaRone. – Kazałem mu wrócić do kosmoportu.

– To dobrze. Chociaż nie... zaczekaj chwilę – powiedziała agentka. Spojrzała w kierunku kroczącego powoli robota i zaczęła intensywnie myśleć. – Czy ten statek ma wytrzymały pancierz? – zapytała w końcu.

– Dostyc wytrzymały – stwierdził LaRone, zastanawiając się niespokojnie, co kombinuje jego rozmówcy ni. Gdyby Suwantek włączył się do poważnej bitwy, od razu by się zorientowała, że to jednostka przeznaczona do udziału w specjalnych operacjach. Dziesięć minut później on i pozostali znaleźliby się w areszcie, czekając na przesłuchanie. A w godzinę po jego zakończeniu znaleźliby się znów w rękach funkcjonariuszy IBB.

– To dobrze, bo będzie musiał wytrzymać jeszcze kilka strzałów – zdecydowała Mara. – Mam nowy plan...

– Co takiego LaRone kazał ci zrobić? – zapytał Han, obserwując, jak pilot Suwanteka zatacza szeroki łuk na zachód, jakby zamierzał zawrócić do kosmoportu Greencliff. – To szaleństwo!

W odpowiedzi Chewbacca coś wymruczał.

– Tak, on też jest szalony – burknął Solo.

– Co on robi? – zainteresował się Luke.

– Kim jest LaRone? – zapytała Leia.

– Nie wiemy dokładnie – odparł ponuro Han. – Liczy się tylko to, że chce, aby Chewie stanął coś w rodzaju przynęty.

– Dla operatora tego AT-ST? – domyśliła się zaskoczona Leia.

– Nie martw się, tamten statek jest bardziej wytrzymały niż wygląda – oznajmił Han. – Nie o to chodzi. Martwię się tylko, że teraz, kiedy sygnały przestały być zagłuszane, w okolicy zaraz zaroi się od Imperialców.

– To może powinniśmy się stąd zabierać? – podsunął Luke.

– Dokąd? – warknął Han. – Mamy wrócić do kosmoportu i udawać, że robimy zakupy? Już zapomniałeś, że tam, w górze, nadal krąży nasz statek?

– To ma być nasz statek? – zdziwiła się księżniczka. – Co się stało z „Sokołem”?

– Znów nadlatuje – odezwał się Luke, zanim Han zdążył odpowiedzieć.

Suwantek rzeczywiście nadlatywał po tym, jak pilot zawrócił nad ulicą za plecami szturmowców. Chewbacca obniżył pułap lotu, przekazał dodatkową porcję energii do jednostek napędowych i skierował dziób w stronę kroczącego robota, jakby rzeczywiście zamierzał go staranować.

Mara kucnęła na rufie raketowego skatera i spojrzała na wyłot wąskiego przejścia między budynkami pół kwartału dalej. W pewnej chwili usłyszała stłumione potwierdzenie zwiadowcy, wydobywające się z głośnika jego komunikatora. Odliczając w myśli sekundy, chwyciła go za ramiona i skuliła się za jego plecami...

A kiedy doliczyła w myśli do zera, Grave uruchomił silniki wystartował.

Mara poczuła na twarzy pęd powietrza i jeszcze mocniej zacisnęła palce na krawędziach płyty napierśnika zwiadowcy. Gdzieś przed nią, z prawej strony zbliżał się robot AT-ST, ale wysoki budynek zasłaniał jej widok, więc nie mogła widzieć ani jego, ani frachtowca, który powinien właśnie nurkować. Słyszała tylko głos dowódcy drużyny szturmowców, który donośnie odliczał, i mogła tylko ufać, że żołnierz wie, co robi.

Raketowy skuter dotarł do końca wąskiego przejścia między budynkami. Dopiero wówczas Mara zauważyła w górze rozmytą sylwetkę frachtowca, którego pilot śmignął przed wyłotem uliczki i zaczął zwiększać pułap lotu. Ryk silników statku zagłuszał wszystkie inne dźwięki, ale mimo to Mara usłyszała, że artylerzysta robota AT-ST otworzył ogień. Jedna z grubych łap maszyny opadła na permabeton tuż przed nią w tej samej chwili, kiedy skuter wyleciał z wąskiego przejścia między domami.

Dopiero wówczas Mara zrozumiała, że jej podstęp się udał. Kiedy niezmany statek przeleciał nisko nad kroczącym robotem, Caaldra przestał udawać wstrzęmiężliwość. Skierował lufy obu laserowych działek tak wysoko, jak tylko mógł je unieść, tak samo jak lufę lekkiego działka w wieży czcze po lewej stronie, i otworzył ogień, wykorzystując maksymalną moc systemów uzbrojenia. To była logiczna reakcja na atak dużego i nieznanego napastnika. W dodatku zareagował dokładnie tak jak wówczas, kiedy ten sam frachtowiec przeleciał pierwszy raz nad jego machiną.

Najwyraźniej jednak zapomniał, że zwracając lufy wszystkich działek w górę, przestanie chronić obszar bezpośrednio przed robotem. Z niezwykłą precyzją zwiadowca przeleciał raketowym skuterem tuż przed miejscem, gdzie miała opaść masywna łapa.

A kiedy przelatywał, Mara wyprostowała się i odbiła od rufy skutera.

Skoczyła, wyciągnęła ręce i zacisnęła palce na podstawie laserowych działek tuż przed obudową. Podczas skoku obróciła się i wylądowała w kucki na platformie obudowy. Odbiła się od niej, skoczyła znowu i tym razem znalazła się na szczycie modułu dowodzenia.

Przytrzymała się jedną ręką kłapy włazu, żeby nie stracić równowagi, a drugą odpięła rękojęść świetlnego miecza i wysunęła energetyczną klingę. Przeorała na ukos gruby pancierz, tak kierując ostrze, żeby przeciąć każdego, kto mógłby siedzieć na jednym z dwóch foteli w kabinie.

Nic się nie wydarzyło.

Zdezorientowana Mara kęczała chwilę na kłapie włazu. Nie wiedziała, dlaczego robot nadal maszeruje. To było niemożliwe... w kabinie robota kroczącego AT-ST było niemal równie mało miejsca jak w kabinie myśliwca typu TIE. W żadnym wypadku nie mogła chybić operatora automatu.

Chyba że go tam w ogóle nie było.

I nagle wszystko zrozumiała. Zakłępa pod nosem, odskoczyła do tyłu na kratkę systemu wentylacyjnego kabiny, i wbiła szpic klingi w zamek kłapy włazu. Wyłączyła miecz i odchyliła ciężką płytę.

Kabina była pusta.

Wślizgnęła się nogami naprzód do ciasnego pomieszczenia i przedostała na fotel operatora. Światelka na kontrolnym pulpicie, sygnalizujące automatyczne kierowanie i sekcje trybu pracy strażniczej, płonęły radosną zielenią. Mara obrzuciła je gniewnym spojrzeniem i oba systemy wyłączyła. Robot zakochał się i znieruchomiał, a lufy wszystkich działek powróciły do położenia spoczynkowych.

Kilka następnych minut Mara przesiadła w kabinie, wpatrując się ze złością w urządzenia kontrolne. Czula się głupio. Pokładowy komputer robota AT-ST zaprogramowano w taki sposób, żeby bez trudu radził sobie w nieskomplikowanym miejskim terenie, a tryb strażniczy pracy oznaczał, że bojowa machina mogła śledzić i automatycznie otwierać ogień do wszystkiego, co znalazłoby się zbyt blisko bez odpowiednio zakodowanego transpondera. Caaldra musiał tylko skierować robota we właściwą stronę i nastawić go na powolny ruch, żeby Mara doszła do wniosku, iż ma szansę go pokonać. Sam zaś po prostu się rozplynął w ciemności nocy.

Mara wiedziała, że Imperator będzie wściekły, a Vader nigdy nie przestanie jej dolać.

Głęboko odetchnęła i z trudem usunęła ponure myśli z głowy. Ani jeden, ani drugi nie musiał się dowiedzieć o jej klęsce, bo jeszcze żadnej nie poniosła. Może pokładowy komputer robota AT-ST radził sobie z kierowaniem jego krokami prostą miejską ulicą, ale machina na pewno nie wy dostała się sama z otworu po eksplozji w ładowni „Drogi Happer”. Z tego wynikało, że Caaldra jakiś czas kierował kroczącym robotem, a zatem musiał cały czas przebywać gdzieś na terenie kosmoportu Greencliff. Nie mógł zyskać nad nią dużej przewagi. Najważniejsze jednak, że Mara wiedziała, dokąd Caaldra zmierza.

Musiała tylko tam dotrzeć wcześniej niż on.

Seria rozkazów i raportów, wydobywających się z głośnika nastawionego na wspólną częstotliwość komunikatora, była pierwszą wskazówką, że przeszukujące okolice oddziały imperialnych szurmowców zdecydowały się w końcu sprawdzić, co się dzieje. LaRone jednak się nie spodziewał, że na ulicy tak szybko pojawią się żołnierze Vadera. Większość podeszła od razu do unieruchomionego robota kroczącego AT-ST, ale kilku ruszyło do Suwanteka, który wylądował na ulicy kwartał dalej na północ, z dziobem skierowanym w stronę robota AT-ST. Lewą burtą niemal stykał się z budynkami.

Niektórzy żołnierze Imperium – stanowczo zbyt wielu – zmierzała jednak w stronę LaRone’a i jego towarzyszy.

Kiedy podeszli, dowodzący nimi plutonowy kierował płytę czołową hełmu po kolei na wszystkich pięciu nieznanym szurmowców, zanim zdecydował się spojrzeć dłużej na LaRone’a.

– Ty – odezwał się zaczepnym tonem. – Tożsamość i raport.

– Tamten AT-ST został porwany, a jego operator chyba wpadł w szal – powiedział LaRone, wskazując stojącą nieruchomo machinę bojową. – Moja drużyna dostała rozkaz unieruchomienia tego robota.

– Kto go wydał? – warknął plutonowy.

– Ja – odparła z góry jakaś osoba.

LaRone uniósł głowę i zobaczył, że po boku robota zsuwa się z ręcznie Ręka Imperatora. Zauważył, że młoda kobieta wkłada dyskretnie za pas rękojęść świetlnego miecza.

– Kim pani jest? – zapytał wyzywającym tonem plutonowy.

– Jestem imperialną agentką – stwierdziła Mara, zeskalując z ostatnich trzech metrów na permabeton. – Mój kod rozpoznawczy to Hapsir Barrini.

Plutonowy wyraźnie się wyprostował.

– Tak jest, proszę pani – powiedział formalnym tonem. – Lord Vader poinformował nas o pani obecności w Makrin City. – Wskazał LaRone’a. – Ci żołnierze są z panią? – zapytał.

– Na razie tak – odparła Mara. – Dlaczego pan o to pyta?

– Bo muszę znać nazwę ich jednostki, żeby zamieścić ją w raporcie – wyjaśnił plutonowy.

– Nie znam nazwy ich jednostki i nic mnie to nie obchodzi – oznajmiła Ręka i zwróciła się do LaRone’a: – Proszę przekazać pilotowi frachtowca moje podziękowania i powiedzieć mu, że może wrócić do kosmoportu. – Odwróciła się do Brightwatera. – Czy twój skuter jest nadal sprawny? – zapytała.

– Tak jest, proszę pani, pod warunkiem, że nie będzie się wykonywać zbyt skomplikowanych manewrów – zapewnił zwiadowca.

– Przygotuj się do odlotu – rozkazała Mara. – Pozostali niech wrócą do ciężarowego śmigacza.

– Chwileczkę, proszę pani – odezwał się zdenerwowany plutonowy. Vader podobno był pedantem, jeżeli chodzi o przestrzeganie regulaminowych procedur, a obecna sytuacja daleko od nich odbiegała. – Musimy przeszukać ten frachtowiec, zanim będzie mógł stąd odlecieć.

– Możecie go przeszukać w kosmoporcju – sprzeciwiła się Ręka Imperatora. – Nie chcę, żeby blokował ulicę.

– Proszę pani...

– Wydałam wam rozkaz, plutonowy – ucieła oschle Mara i przeniosła spojrzenie na LaRone’a. – Drużyny? – zapytała.

– Tak, proszę pani? – odparł LaRone. Przełączył komunikator na prywatną częstotliwość, ale poczuł zimny dreszcz. Ręka nic nie zauważyła, bo przebywała wówczas w kabinie robota kroczącego AT-ST, ale kiedy Chewbacca wylądował

Suwantkiem na permabetonie, opuszczona przez niego bakburkowa rampa zablokowała wąskie przejście między budynkami, obok których posadził frachtowiec. Ze swojego miejsca i z dużej odległości LaRone nie mógł dojrzeć, czy ktoś wszedł po rampie na pokład Suwanteka, ale Wookie wykonał manewr tak precyzyjnie, że to nie mógł być przypadek. Niemal na pewno Solo i Luke byli już na pokładzie, może nawet w towarzystwie poszukiwanej przyjaciółki.

Gdyby znaleźli ich tam szturmowcy z Pięćset Jedyńki...

Nie mógł jednak zrobić nic oprócz wykonywania rozkazów. Zbliżył usta do mikrofonu komunikatora.

– Pilocie, macie zgodę na powrót do kosmoportu Greenciff – powiedział, nadając głosowi rozkazujące brzmienie. – I dziękujemy za pomoc.

Napiął mięśnie, obawiając się, że w odpowiedzi Wookie zaryczy głośno i usłyszą go szturmowcy Vadera mimo skorupy helmu LaRone'a. Na szczęście rozległ się jednak głos Hana Solo:

– Zrozumialem. Dajcie nam znać, kiedy znów znajdziecie się w potrzebie. Jesteśmy zawsze gotowi do pomocy.

Suwantek zakolysał się lekko i wznosił nad permabeton. Pilot obrócił go o sto osiemdziesiąt stopni i skierował z powrotem do kosmoportu.

– Potwierdza i mówi, że z przyjemnością nam pomógł – przekazał LaRone.

– To dobrze – stwierdziła Ręka Imperatora. – A teraz wsiadajcie do śmigacza.

– Najpierw muszę poznać nazwę waszej jednostki – wtrącił plutonowy, stając między LaRonem a śmigaczem. Kolbę swojego E-11 oparł na biodrze, a lufę skierował w napierśnik szturmowca. LaRone się skrzywił. Co za okropny koniec, pomyślał ponuro. Nie w chwalebnej bitwie przeciwko wrogowi Imperium, ale w chwili hanby.

A wszystko dlatego, że zobaczył zestrzelony statek i postanowił pospieszyć na pomoc jego pilotowi.

Zdumiał się jednak, kiedy między nim a wymierzonym Mastrem stanęła Ręka Imperatora.

– Oni są ze mną – oznajmiła spokojnie, ale tonem zimnym jak góra lodowa. – Mają za zadanie mi towarzyszyć i tylko ode mnie przyjmują rozkazy. Ma pan jeszcze jakieś pytania?

– Proszę pani...

– Powtarzam: czy ma pan jeszcze jakieś pytania?

Plutonowy głęboko odetchnął, aż płyta jego napierśnika uniosła się i opadła.

– Nie, proszę pani – powiedział i przywrócił blaster do położenia neutralnego.

– To dobrze – odparła agentka. – Lord Vader polecił, żebym nie przeszkadzała wam w poszukiwaniach. Lepiej wróćcie do tego, co robiliście.

– Tak jest, proszę pani. – Plutonowy spojrział jeszcze raz na LaRone'a, odwrócił się i odmaszerował.

Młoda kobieta obserwowała, jak imperialny żołnierz pokonuje kilka pierwszych metrów, po czym znów spojrziała na LaRone'a.

– Do ciężarówki – rozkazała cierpko. – Zatrzymasz się dopiero w kosmoporcie.

Minutę później lecieli na północ. Za sterami siedział LaRone.

– Dokład dokładnie na terenie kosmoportu, proszę pani? – zapytał.

– Do frachtowca o nazwie „Droga Happera” – odpowiedziała Ręka Imperatora. – To właśnie stamtąd pochodzi porwany robot kroczący.

– Uważa pani, że porywacz nadal tam jest?

– Szczerze mówiąc, bardzo w to wątpię – stwierdziła Mara. – Najbardziej zależy mi na tym, żeby unieruchomić jego statek. Muszę być pewna, że porywacz nim nie odleci, a przy okazji chcę zabrać z pokładu kilka drobiazgów osobistych.

LaRone zmarszczył brwi. Ręka Imperatora pozostawiła swoje rzeczy na pokładzie statku porywacza? – zdumiał się.

– Rozumiem – powiedział, chociaż wcale nie rozumiał.

– A później – dodała agentka – polecimy do pałacu gubernatora.

LaRone zeszywniał.

– Do pałacu? – powtórzył ostrożnie.

– Tak – odparła Ręka. – Masz coś przeciwko temu?

LaRone zerknął z ukosa na siedzącego obok Marcrossa. Obaj mieli na sobie pancerze, ale wyczuł nienaturalną sztywność kolegi.

– Nie, proszę pani – powiedział. – Moja drużyna jest do pani dyspozycji.

– Wiem – oznajmiła łagodnie Mara. – To dobrze.

Rozdział 21

Podczas nieobecności Mary Caaldra nie wrócił na pokład „Drogi Hoppera”. Ręka Imperatora nie mogła jednak tego wiedzieć, dopóki sama nie sprawdzi, a nie chciała niepotrzebnie ryzykować. Pozostawiła na lądowisku zwiadowcę, żeby obserwował okolicę, a sama wysłała pozostałych czterech szurmowców w grupach po dwóch, żeby przeszukali wnętrze frachtowca.

Znalazła swój worek dokładnie tam, gdzie go zostawiła. Wydawało się, że Caaldra się nim nie zainteresowała, ale tylko na pierwszy rzut oka. Najemnik pozostawił w spokoju jej rzeczy osobiste, ale chyba spędził godzinę lotu z Gepparina, majstrując przy granatach i chowanym w rękawie miniaturowym blasterze. Mara pozostawiła broń w takim stanie, w jakim ją znalazła, i przebrała się w czarny kombinezon bojowy. Tym razem włożyła także płaszcz z długimi rękawami, żeby lepiej ją chronił przed spojrzzeniami i wścibskich osób, celowniczy mi sensorami i chłodem, bo robiło się już zimno. Przytwierdziła do biodra kaburę z blasterem typu K-14, wsunęła za pas rękojeść świetlnego miecza i zeszła na płytę lądowiska.

Dziesięć minut po przybyciu do kosmoportu odleciała na zachód wysadzaną szpalerami drzew pustą aleją wiodącą do pałacu gubernatora.

– Wiecie, dokąd jechać? – zapytała z tylnego siedzenia śmigacza. Świadomie zajęła miejsce z tyłu, żeby mieć na oku wszystkich czterech szurmowców. Jak zwykle zwiadowca leciał raketowym skuterem przed śmigaczem, a pozostali siedzieli przed Marą po dwóch w rzędzie.

– Mamy wpisany plan miasta do pamięci komputera – wyjaśnił drużyny z fotela kierowcy, pokazując ekran monitora. – Wyznaczy nam najlepszą trasę lotu.

– Doskonale – pochwaliła Ręka Imperatora. Wyjęła zza pasa świetlny miecz i oparła rękojeść na fotelu przed sobą w taki sposób, że wyłot był skierowany do przodu. – Mamy kilka minut, więc chciałabym usłyszeć teraz waszą historię.

Szurmowiec siedzący na fotelu bezpośrednio przed nią odwrócił głowę.

– Słucham? – zapytał. Mara zauważyła, że jego prawe ramię zmieniło położenie, kiedy zbliżył dłoń do kabury z blasterem E-11.

Westchnęła i zapaliła klingę świetlnego miecza. Dał się słyszeć pomruki i trzaski w przejściu między dwiema parami białych hełmów pojawiła się kolumna karmazy nowego blasku.

– Zostawcie broń w spokoju – doradziła Ręka Imperatora, chociaż klinga miecza w odległości trzydziestu centymetrów od szyi szurmowców stanowiła chyba wystarczająco wymowną sugestię. – Zaczniemy od waszych osobistych numerów, nazwy jednostki i bieżącego zadania... czyli od wszystkiego, czego tak bardzo nie chcieliście wyjawić tamtemu plutonowemu Lorda Vadera.

Kiedy szurmowcy wymienili spojrzenia, ich hełmy zmieniły położenie obok płonącej klingi świetlnego miecza Mary.

– Tacy jesteście nieśmiali? – zagadnęła Ręka tonem grzecznościowej pogawędki. – Pozwólcie więc, że sama podtrzymam rozmowę. Po ataku „Odwetu” na bazę piratów z bandy Krwawych Szram wyładowaliście na Gepparinie swoim frachtowcem... swoim, a nie statkiem jakiegoś przyjaciela czy współnika. Widziałam ten statek na ostatnim ocalałym lądowisku, kiedy startowałam z awaryjnej kryjówki Komodora. Czy to, co mówię, nie brzmi w waszych uszach znajomo?

– Tak jest, proszę pani – odezwał się w końcu wyraźnie zdenerwowany dowódca drużyny. – Nie braliśmy jednak udziału w tamtym ataku.

– Wiem o tym – odparła Mara. – W przeciwnym razie zaatakowałibyscie mnie albo przy najmniej próbowali zestrzelić, kiedy stamtąd odlatywałam. Chcę wiedzieć, dlaczego się tam pojawiliście.

– Śledziliśmy Krwawe Szramy – wyjaśnił drużyny. – Mielismy dowody, że starają się scalić organizacje przestępcze działające w tym sektorze w jedną wielką bandę. Przyłeciliśmy na Gepparina w nadziei, że przekonamy się, kto finansuje tę operację, jeżeli w ogóle ktoś za tym stoi.

– I znaleźliście odpowiedź na swoje pytania? – zapytała Mara.

Zauważyła, że drużyny odwrócił się i spojrzał na siedzącego obok kolegę.

– Tak nam się wydaje – powiedział.

– To dobrze – stwierdziła Mara. – Bo ja też dowiedziałam się tego, czego chciałam. Kto wydał wam rozkaz, żeby tam polecieć?

– Prawdę mówiąc my nie... – zaczął dowódca i urwał.

– Jeżeli się martwisz o moje uprawnienia, możesz być spokojny – zapewniła go Mara. – Zajmuję naprawdę bardzo wysokie miejsce w hierarchii dowodzenia, chociaż moje nazwisko nie figuruje na żadnej oficjalnej liście. – Uniosła brwi. – Rozumiem z tego, że i waszych numerów nie ma na żadnej oficjalnej liście, prawda? – zapytała.

– Ma pani rację – potwierdził drużyny.

– A więc jak brzmi nazwa waszej jednostki?

Szurmowiec znów się zawałał.

– Na ogół jesteśmy znani jako Ręka Sprawiedliwości – odparł w końcu.

Mara uniosła brew.

– Brzmi trochę zbyt poetycko jak na Naczelne Dowództwo Szurmowców, a zwłaszcza jak na IBB – stwierdziła.

– Prawdę mówiąc, wybraliśmy tę nazwę sami – odezwał się jeden z pozostałych szurmowców.

– I nie wolno nam wyjawić nic więcej – podjął drużyny. – Bardzo mi przykro, proszę pani.

Mara wyduła wargi. Naturalnie mogła ich zmusić do udzielenia odpowiedzi na swoje pytania. Prawdopodobnie jednak o jej obecności wiedział gubernator Choard, więc trudno byłoby się jej samej wedrzeć do pałacu bez narazania się na niebezpieczeństwo. Szurmowcy z Ręki Sprawiedliwości nie zaatakowali jej, kiedy odlatywała z Gepparina. Co więcej, pospieszyli na pomoc, gdy Caaldra trafił jej frachtowiec strzałem z laserów robota kroczącego typu AT-ST.

Vader i jego szurmowcy zajmowali się tylko poszukiwaniem Leii Organy, a zatem ci żołnierze byli najbardziej godnymi zaufania sojusznikami, jakich mogła zdobyć w Makrin City. Już samo to stanowiło wystarczający powód, żeby utrzeć nosa tamtemu wścibskiemu plutonowemu.

– Jak chcecie – odezwała się w końcu. – Powiem jedno: nieważne, jak wygląda wasza hierarchia dowodzenia i czy w ogóle jakąś macie, ale w ciągu następnych dwóch godzin pracujecie tylko dla mnie. Czy to jasne?

– Jak słońce, proszę pani – odpowiedział drużyny.

– To świetnie – mruknęła Mara. Wyłączyła świetlny miecz i przypięła rękojeść do pasa. – Jak brzmią wasze numery operacyjne?

– Prawdę mówiąc, wolimy się posługiwać nazwiskami – odparł druzy nowy. – Tak jest... krócej. Zwłaszcza podczas walki.

W głębi duszy Mara także tak uważała, ale Naczelne Dowództwo Szturmowców było przywiązane do systemu numerów.

– W takim razie podajcie mi wasze nazwiska – zażądała.

– Ja nazywam się LaRone – zaczął druzy nowy i wskazał kolegę siedzącego po prawej stronie. – To jest Marcross, za nim siedzi Grave, a za mną Quiller. Nasz zwiadowca nazywa się Brightwater.

– Możecie mnie nazywać Jade – powiedziała Mara, po czym uwolniła myśli i wysłała je dzięki Mocy. Nigdy nie słyszała o buszującej po terenie Imperium jednostce szturmowców bez ściśle określonej hierarchii dowodzenia. Niewykluczone jednak, że tym żołnierzom rozkazy wydawał sam Imperator. Gdyby tak było, szturmowcy mogli znać jej nazwisko.

Nie wyczuła jednak u nich żadnej reakcji. Wynikało z tego, że Palpatine nie powiedział im nic o niej, tak samo jak jej o nich.

– Proszę pani? – zagadnął Grave.

– Jade – przypomniała Mara.

– Jade – poprawił się snajper. – Czy mogę się dowiedzieć, jaki mamy plan, kiedy dolecimy do pałacu gubernatora?

– Ja się włamuję, a wy mi w tym pomagacie – wyjaśniła Mara.

– To wszytko, co musicie wiedzieć.

– Tak proszę pani – zgodził się Grave.

– I bądźcie przygotowani na opór – dodała Ręka Imperatora. – Podejrzewam, że komuś może się to nie spodobać.

Siedzący w pierwszym rzędzie na fotelu pasażera Marcross zerknął z ukosa na LaRone'a.

– Bez obaw – zapewnił posępnie. – Jesteśmy gotowi.

Disra doszedł do wniosku, że pośpiesznie wydane przez gubernatora Choarda przyjęcie w sali balowej na parterze zajęło tego wieczoru stanowczo zbyt wiele jego drogiego czasu. W końcu jednak goście zaczęli się rozchodzić i szef administratorów mógł powrócić ukradkiem do swojego gabinetu. Włączył źródła światła, dokładnie zamknął drzwi za sobą i skierował się do biurka.

Przeszedł trzy kroki, zanim jego oczy zarejestrowały fakt, że ma gościa. Stał jak wryty.

– Dlaczego nie odbierasz rozmów przez komunikator? – zapytał władcym tonem Caaldra, odrywając spojrzenie od ekranu monitora osobistego komputera gospodarza.

Disra poczuł, że serce zamiera w jego piersi. Czego, na wszystkie ognie galaktyki, mógł szukać Caaldra w jego komputerze?

– Gubernator wydał dzisiaj wieczorem niespodziewane przyjęcie – bąknął niepewnie. – Musiałem się tam pojawić.

– Przyjęcie? – powtórzył Caaldra. – Teraz?

– Kiedy w twoim mieście roi się od szturmowców Imperium, wydaje się przyjęcie, żeby uspokoić wszystkie ważne osobistości – odparł Disra. Odrywał rękę od kolan i jakby od niechcenia ruszył w stronę biurka. Pod siedzeniem krzesła ukrył mały blaster, ale nie miał pojęcia, jak go stamtąd wydobyc. – A ty co tu robisz? – spytał.

Caaldra wykrzywił twarz w czymś podobnym do uśmiechu, ale Disra pierwszy raz zauważył w jego oczach starannie skrywany ból.

– Naturalnie przyjechałem tu z twoimi AT-ST – powiedział.

– Chodziło mi o to, co robisz w moim gabinecie – uściślił Disra, podchodząc do biurka. Dopiero wówczas zobaczył oderwany lewy rękaw tuniki Caaldry i niestarannie owinięty bandażem połowy wokół przedramienia. – Co się stało? – zapytał.

– Mały wypadek – wyjaśnił Caaldra, unosząc lekko ramię. – Musiałem wywołać eksplozję w ładowni frachtowca. – Wykrzywił usta. – Prawdopodobnie o tym także nie wiedziałeś, co?

– Nie miałem żadnych wiadomości, odkąd wyciągnęłeś mnie z przyjęcia, żeby zażądać zezwolenia na lądowanie koło pałacu – wycedził administrator. Uważał wówczas, że pokazanie się na idiotycznym przyjęciu Choarda jest ważniejsze niż interesowanie się tym, co robi Caaldra po niespodziewanym lądowaniu w Makrin City, ale po niewczasie doszedł do wniosku, że był w błędzie. – Zapoznaj mnie z nowinami.

– Po pierwsze, nasza imperialna agentka jakimś cudem wyrwała się z Gepparina – zaczęła Caaldra. – Jest w tej chwili tu, w Makrin City.

Disra poczuł zimny dreszcz wzdłuż kręgosłupa.

– Podobno uszkodziłeś ostatni zdatny do lotu statek, jaki pozostał na powierzchni tamtej planety – przypomniał.

– Widocznie nie dość dokładnie – odparł najemnik. – Dziesięć minut po moim lądowaniu w kosmoporcie Greenclyff posadziła swój statek trzy miejsca dalej.

– Chcesz powiedzieć, że leciała tu za tobą? – zaniepokoił się Disra.

Caaldra przekrzywił głowę.

– Jeżeli mamy szczęście – powiedział.

Administrator prychnął.

– Dziwnie rozumiesz pojęcie szczęścia – zauważył.

– Wcale nie, ale znam kilka nowych faktów – stwierdził Caaldra. – Kiedy leciałem tu z Gepparina, w końcu połączyłem się z członkiem załogi, którego przy padkiem znam na pokładzie „Odwetu”. Jest bardzo prawdopodobne, że atak Ozzeła na bazę Krwawych Szram nie miał z nami nic wspólnego.

– Zawsze uważałem, że Imperiały nie zwracają sobie głowy piratami – mruknął Disra.

– Zawracają, kiedy atak może stanowić wygodny pretekst dla innej akcji – oznajmił ponuro Caaldra. – Wiele z tego to wciąż tylko niepotwierdzone pogłoski, ale nasza imperialna agentka zobaczyła prawdopodobnie w pamięci komputera „Odwetu” coś, czego nie powinna była tam widzieć, Orzell zaś podążył za nią na Gepparina, żeby tego nie wygadała.

– Żartujesz – odezwał się Disra, mierząc go niedowierzającym spojrzeniem. – Czego niby mogła się dowiedzieć?

– Oficjalnie chodzi o coś związanego z tajną operacją IBB, w której brali udział szurmowcy z pokładu „Odwetu”. – Caaldra uniósł brew. – Nieoficjalnie mówi się jednak, że tamci szurmowcy nie wyruszyli na żadną wyprawę, ale zdezerterowali po zamordowaniu oficera IBB.

Disra wytrzeszczył oczy.

– To niemożliwe – podkreślił stanowczo. – Szurmowcy nie dezertują. Nigdy.

– Rzeczywiście do tej pory tak było – zgodził się z nim najemnik – Ale kto wie? Ryba psuje się od głowy, a ostatnio Imperialne Centrum cuchnie po prostu niewyobraźalnie. – Zamaszystym gestem pokazał gabinet gospodarza. – To właśnie z tego powodu powstały starania o uzyskanie niepodległości, pamiętasz? – zapytał.

– Tak, rzeczywiście, przypominam sobie coś takiego – przyznał kwaśno Disra. Jego myśli gnały jak szalone. A co, jeśli jednak imperialna agentka nie na nich polowała? – Zaczekaj chwilę. Ilu szurmowców rzekomo zdezerterowało?

– Bardzo dobrze – pochwalił go Caaldra, kiwając głową. – Pięciu. Tytu, ilu zgodnie z późniejszymi raportami z Rankinge brało udział w pozbawieniu władzy Cav Sarana.

To o wiele mniej niż trzy drużyny, które zdaniem pozostałych przy życiu grawicyklistów Barglega zaatakowały ich na Drunost, przypomniał sobie Disra. Odkąd to jednak bandyci z gangu grawicyklistów słyneły z rzetelności?

– Uważasz, że to zbuntowani szurmowcy, którzy buszują po sektorze Shelshy, tak? – zapytał.

– Właśnie... tak zwana Ręka Sprawiedliwości – przytaknęła Caaldra. – Ironia losu, nie uważasz? Martwiła nas sprawa imperialnej agentki i jej osobistej drużyny szurmowców, tymczasem ona, gdyby się kiedykolwiek na nich natknęła, prawdopodobnie zastrzełaby wszy stkich bez pytania.

– Miło to wiedzieć – burknął Disra. – A raczej byłoby miło, gdyby nie węszyła tuż obok

Caaldra pokręcił głową.

– Nie zwróciłeś uwagi na to, co najważniejsze – powiedział. – To szurmowcy śledzili Krwawe Szramy, nie ona. Od tej pory nie ma absolutnie żadnego powodu, aby podejrzewać, że wykryła jakikolwiek związek między nami a Krwawymi Szramami.

Disra zastanowił się nad jego słowami i doszedł do wniosku, że brzmią rozsądnie.

– Ale powiedziałeś, że trafiła za tobą tu, na Shelkonwę – przypomniał w końcu.

– Wie tylko tyle, że byłem z Komodorem na Gepparinie – odparł Caaldra. – Jakie to szczęście, że tamten idiota kontroler z pokładu „Egzekutora” nie pozwolił mi wyładować na terenie pałacu.

Disra odetchnął z ulgą. A zatem agentka wcale nie na nich polowała. Wszystko było jednym wielkim zbiegiem okoliczności, z którego on i Caaldra wyciągnęli niewłaściwe wnioski.

– A więc nie jesteśmy podejrzani – podsumował.

– Prawdopodobnie nie – przyznał Caaldra. – Istnieje jednak zawsze możliwość, że w zgłiszczach bazy piratów na Gepparinie ta kobieta znalazła coś, co wskazuje na nas. Na wszelki wypadek musimy być gotowi.

Disra zdrzął. Rzeczywiście, pomyślał. Gdyby agentka się pojawiła, zanim zdąży przekazać te informacje Vaderowi, cała wina spadnie na jego głowę.

– Wiesz kiedy możemy się jej tu spodziewać? – zapytał.

Caaldra wzruszył ramionami.

– Zostawiłem pewien drobiazg, który powinien przaprząnąć jej uwagę, ale nie mam pojęcia, ile to jej zajmie czasu – powiedział, wskazując komputer Disry. – Zwiększyłem poziom bezpieczeństwa twoich zewnętrznych systemów obronnych przeciwko intruzom, ale bez twojego upoważnienia nie mogłem zmienić konfiguracji ochrony.

– Sam się tym zajmę – odparł Disra, gestem nakazując najemnikowi, żeby się odsunął. – Czy to wystarczy, żeby ją powstrzymać?

– Nie, jeżeli już zaczęła polowanie – stwierdził Caaldra. Wstał z fotela i odszedł od biurka. – A to oznacza, że musimy wykonać następne posunięcie. – Uniósł brwi. – I musimy to zrobić natychmiast.

Disra posłał mu niedowierzające spojrzenie.

– Czyś ty oszalał? – zapytał. – Chcesz ogłosić niepodległość, kiedy stolicę przeszukuje Vader i szurmowcy z jego Pięćset Jedynek?

– Jeżeli nie popełnimy żadnego błędu, zwał się im na głowy bardziej naglące problemy niż ty czy ja – oznajmił Caaldra. – Już wydałem rozkaz, żeby piraci i bandyci zajęli pozycje do ataku. Musimy tylko wysłać im rozkazy.

A potem cały sektor Shelshy ogarnie pożoga, wojna i śmierć, pomyślał Disra. Piraci zaczną atakować i niszczyć imperialne garnizony, bandyci opanują najważniejsze wojskowe ośrodki przemysłowe, a gangi grawicyklistów i szpiedzy przejmą kontrolę nad głównymi miastami i wezmą do niewoli najważniejszych imperialnych dostojników. Proklamowana deklaracja niepodległości stanie się dla Imperialnego Centrum wyzwaniem, z którym Palpatine'owi trudno będzie się uporać.

I nie będzie odwrotu.

– Mogę wydać te rozkazy – odezwał się Disra, włączając panel komunikatora. – Ale to zajmie trochę czasu. Musisz dopilnować, żeby imperialna agentka nie dostała się tu, dopóki nie skończę.

– Zajmę się tym – zapewnił ponuro Caaldra. – Ty martw się o to, co należy do ciebie.

Odwrócił się i ruszył do zamaskowanych tylnych drzwi.

Disra odprowadził go spojrzeniem. Świerzybiały go palce, żeby wyciągnąć ukryty blaster i zastrzelić najemnika, ale nie ośmielił się tego zrobić. Musiał zebrać potrzebne dane i przekazać je Vaderowi, a nie wierzył, żeby strażnicy Choarda dali radę powstrzymać tak długo imperialną agentkę przed wtargnięciem do pałacu. Coś takiego mógł zrobić tylko Caaldra.

A poza tym mógłby chybić.

– Przy okazji... czy ktoś wie, gdzie w tej chwili przebywają szurmowcy z Ręki Sprawiedliwości? – zapytał.

Caaldra pokręcił głową.

– Pewnie się gdzieś bawią w rycerzy na białych rumakach i walczą w imię nadziei i chwały – powiedział. – Nie martw się o nich. Wraz ze zniszczeniem bazy piratów na Gepparinie zniknęła ich ostatnia szansa na powiązanie nas z bandą Krwawych Szram.

Otworzył drzwi i zniknął w labiryncie tajnych korytarzy.

– Miejmy nadzieję – mruknął pod nosem Disra. Odwrócił się do biurka i wyłączył komunikator. Nie zamierzał tego wieczoru wysłać piratom żadnych rozkazów, a już na pewno nie z pałacu... jeżeli miał w tej sprawie coś do powiedzenia.

Usiadł przy klawiaturze i powrócił do kompilacji danych. Jak na ironię, wszystko to zapoczątkował Caaldra. Jakże niewiele wiedział! Od niemal dwóch lat Disra nim manipulował, kładąc skałac przez obręcz, które widział tylko on, główny administrator gubernatora Choarda. Obecnie jednak bieg wydarzeń zepchnął Disrę na margines. Jego życie i przyszłość zależały wyłącznie od umiejętności Caaldry – od tego, czy uda mu się schwytać i unieszkodliwić imperialną agentkę.

Disra mógł tylko mieć nadzieję, że najemnik jest naprawdę tak dobry, za jakiego się uważał.

Kiedy od terenu pałacu dzieliło ich jeszcze pięć kwartałów, LaRone zauważył pierwszego przebranego wartownika.

– Chyba wcześniej przelecieliśmy obok jeszcze jednego – oznajmił Grave, kiedy LaRone zwrócił na to uwagę. – Kilka kwartałów za nami. Trudno było się zorientować, bo wyglądał jak obszarpany handlarz narkotykami.

– Tak, to był strażnik – potwierdziła siedząca z tyłu Jade. – Poznałam po jego oczach.

– Czy imperialni gubernatorzy mają zwyczaj roztawiać wartowników tak daleko od pałacu? – zapytał Quiller.

– Na ogół nie – odparła Jade. – Wygląda na to, że ktoś w pałacu ma nieczyste sumienie.

– Więc co teraz zrobimy? – spytał Grave, kiedy minęli następnego milczącego wartownika.

– Nic – stwierdziła młoda kobieta. – Zobaczyli tylko kilku szurmowców w mieście, w którym aż się od nich roi. Wątpię, żeby w ogóle chcieli wszczynać alarm.

– Musimy mieć coś więcej niż tylko charakterystyczny pancerz, żeby się tam dostać frontową bramą – uprzedził Quiller.

– Na szczęście nie zamierzamy wybrać tamtej drogi – odparła agentka. – W ciągu wielu lat gubernator zbudował rezydencję, w której aż się roi od zakamarków i kryjówek. Wymyślmy jakiś sposób, żeby się dostać do środka.

– Otaczające teren mury mają prawdopodobnie ze sześć systemów alarmowych – ostrzegł Grave.

– Może nawet siedem albo osiem – zgodziła się z nim Jade. – Nie martw się, mam trochę doświadczenia w pokonywaniu takich systemów.

Siedzący obok LaRone'a Marcross poruszył się na fotelu.

– Istnieje inny sposób – odezwał się cicho. – Możemy wykorzystać w tym celu awaryjne wyjście gubernatora.

Kierujący śmigaczem LaRone posłał mu zaskoczone spojrzenie.

– Gubernator ma awaryjne wyjście? – spytał.

– Mają je wszyscy gubernatorzy i moffowie – potwierdziła lekko pogardliwym tonem Jade. – Skąd o tym wiesz, Marcross?

– Wychowywałem się w Makrin City – wyjaśnił szurmowiec. – Kolegowałem się z synem Choarda, Craygiem, kiedy mieliśmy po kilkanaście lat. Wyjście znajduje się w północno-wschodnim sektorze muru, obok dzielnicy Farfarn, w której mieszkają głównie robotnicy. Fragment muru wielkości drzwi daje się otwierać.

– Choard pozwalał wam wychodzić i wracać tymi drzwiami? – zapytał z niedowierzaniem Quiller.

– Chyba nawet nie wiedział, że to robimy – odparł Marcross. – Wejście znajduje się daleko od wartowni przy głównej bramie i prowadzi do jednego z ogrodów. Pełno tam stawów, fontann i drzew, a ścieżki wyłożono kamieniami, na których nie zostawia się śladów. Crayg wymyślał się tamtędy w nocy, żeby hulać w klubach i w kantynach.

– A jak unikałście identyfikacji przez system bezpieczeństwa? – zapytała Jade.

– System ochrony nie identyfikował wchodzących ani wychodzących osób – wyjaśnił Marcross. – Moim zdaniem Choard obawiał się zdrady ze strony pałacowych strażników bardziej niż kłopotów, jakie mogłyby mu sprawić intruzi z zewnątrz. Nie chciał, żeby kłólkowiek z pałacu wiedział o tym wyjściu. Mimo to trzeba znać kod, żeby się dostać tamtędy na teren pałacu.

– Żaden problem – zapewniła go Jade. – Chodźmy obejrzeć ten fragment muru.

Napierśnik Marcrossa uniósł się lekko i opadł, kiedy szurmowiec głęboko odetchnął.

– Skręć w prawo na następnym skrzyżowaniu – polecił.

LaRone zбочzył z głównej ulicy i zaczął lecieć nad terenem bagiennym, poprzecinanym przez wijące się strumyki. Biegące wzdłuż nich uliczki były kręte i wąskie, a większość domów wzniesiono na metrowych palach. Okoliczni mieszkańcy z pewnością od lat żyli w strachu przed zalaniem swoich domów przez wodę.

– Tam – odezwał się w pewnej chwili Marcross, pokazując miejsce przed ciężarowym śmigaczem. – Tu, gdzie mur się wybrzusza i niemal styka z poboczem ulicy.

LaRone zdjął stopę z pedału akceleratora i pozwolił, żeby śmigacz pokonał resztę drogi rozpędem. Wyciągnął szyję, żeby lepiej widzieć wskazany przez kolegę kawałek muru w światłach reflektorów.

– To wyjście chyba nie jest szczególnie bezpieczne – stwierdził z powątpiewaniem Quiller. – Sprytny nieprzyjaciel mógłby otoczyć okolicę, żeby wychodząca tędy osoba wpadła prosto w jego ręce.

– Podobno w garażu tamtego domu czeka gotów do lotu ciężki myśliwiec dalekiego zasięgu – oznajmił Marcross, wskazując zaniedbany budynek po drugiej stronie uliczki, naprzeciwko ukrytego wyjścia. – Prawdopodobnie istnieje także utworzony przez siłowe pole tunel, umożliwiający bezpieczne przejście między murem a garażem tamtego domu. Nigdy jednak nie widziałem, żeby kłólkowiek korzystał z tego tunelu.

– Jak sobie poradzimy bez kodu dostępu? – zaniepokoił się Grave.

– Nie potrzebujemy kodu, bo wcale tędy nie wejdziemy – wyjaśniła Jade. – Leć dalej, LaRone... sama ci powiem, gdzie się zatrzymać.

– Skoro nie zamierzaliśmy skorzystać z tego wejścia, dlaczego pani chciała, żebyśmy je pokazał? – zapytał ostro Marcross, kiedy LaRone przyspieszył i przeleciał obok łukowato wygiętego fragmentu muru.

– Uważaj, jakim tonem się do mnie zwracasz, żołnierzu – ostrzegła Jade. – Nie dostaniemy się tędy, bo to może być ulubione wejście konspiratorów, a ja nie chcę się na nich natknąć, dopóki nie będziemy gotowi. Popatrz... ten odcinek muru między dwoma drzewami. Zastopuj tam pojazd.

LaRone zatrzymał ciężarowy śmigacz we wskazanym miejscu.

– Wszyscy wysiadać – rozkazała Jade, otwierając drzwi od swojej strony. – Zabezpieczyć perymetr.

Odpięła rękojeść świetlnego miecza i podeszła do muru. LaRone i pozostali trzej szturmowcy utworzyli perymetr, zanim Brightwater zawrócił na raketowym skuterze i unieruchomił obok nich swoją maszynę.

– Co ona robi? – zapytał.

– Nie jestem pewien – przyznał LaRone, obserwując młodą kobietę kątem oka. Jade przyłożyła do muru ucho i zaczęła wodzić dłońmi po chropowatych, zimnych kamieniach, jakby powoli i metodycznie, kawałek po kawałek, badała powierzchnię ściany. – Chce tędy wejść, ale nie mam pojęcia, w jaki sposób.

– Cicho i bez ofiar – odparła imperialna agentka, odchodząc od muru. – Slyszeście kiedyś o gazie cryseefa?

– To trucizna na bazie kwasu – wyjaśnił Brightwater. – Potwornie żrąca i śmiertelnie niebezpieczna dla wszystkich istot oddychających tlenem.

– Bardzo dobrze. – Mara poklepała mur w jednym miejscu. – Właśnie tu zamurowano pojemnik z tym gazem pod ciśnieniem.

I tu też – Wskazała inne miejsca. – A także tu i tu.

– Zabije każdego, kto będzie usiłował przebić ten mur na wyłot – mruknął LaRone. Wzdrygnął się ze zgrozą.

– A przy okazji i wszystkich w promieniu pięćdziesięciu metrów – dodała Jade. – To broń prosta i skuteczna, ale jej zasięg rażenia uniemożliwia odróżnienie przyjaciół od wrogów.

– A pani wie dokładnie, w których miejscach zamurowano te pojemniki? – zapytał Grave.

– Takie mury pochłaniają w ciągu dnia wiele słonecznego ciepła – wyjaśniła Jade, zapalając klingę świetlnego miecza. Rozległ się trzask i syk, a z metalowego cylindra wysunęła się kolumna szkarłatnego blasku. – Kiedy kamienie i metal stygną, kurczą się i wydają różne odgłosy. Lepiej będzie, jeżeli się teraz cofniecie.

Żaden ze szturmowców nie usłuchał jej rady. Mara wbiła szpic ostrza w mur i powoli wyprostowała rękę, a później ostrożnie zatoczyła koło. Kiedy skończyła, wyłączyła miecz.

– Chce pani, żebyśmy wyjęli ten kawałek? – domyślił się LaRone.

– To nie będzie potrzebne. – Jade wyciągnęła rękę w stronę wyciętego fragmentu muru i nabrała powietrza w płuca.

Dał się słyszeć cichy zgrzyt kamienia o kamień i wycięty fragment zaczął się wysuwać. Marcross podszedł i podtrząsał go, żeby nie upadł na powierzchnię gruntu. Jade podziękowała mu kłównięciem głowy, włączyła miecz i zaczęła wycinać fragment muru z następnym pojemnikiem.

Pięć minut później na ziemi pod murem spoczął szósty kamienny cylinder.

– Czy to już wszystko? – zapytał półgłosem LaRone.

Jade odwróciła się do nich.

– Wszystkie, którymi i należało się martwić – powiedziała. – Chcę, żebyście mnie dobrze zrozumieli. Kiedy przejdziemy na drugą stronę, znajdziemy się na terytorium wroga. Jeżeli dacie sobie radę bez zabijania strażników, to doskonale, ale jeżeli będziecie musieli zabijać, róbcie to bez wahania.

– Zrozumiałem – odezwał się w imieniu wszystkich LaRone.

Minutę później Jade wykroiła w bezpiecznym fragmencie muru otwór na tyle duży, żeby można było nim przejść na teren pałacu. LaRone zauważył fragment ogrodu, o którym wspomniał wcześniej Marcross.

– Drużyny? – powiedziała Mara, wyłączając klingę świetlnego miecza. – Wy daj dyspozycje swoim ludziom.

LaRone kiwnął głową na znak zgody.

– Brightwater, udasz się do głównej bramy – rozkazał. – Chcę wiedzieć, jak wyglądają systemy bezpieczeństwa, a zwłaszcza ilu jest wartowników, którzy mogą do nas strzelać. Grave i Quiller, zajmijcie pozycje na skrzydłach. Marcross, idź prozdem. Wskażesz Jade miejsce, w którym twoim zdaniem najłatwiej dostanie się do pałacu, i pomożesz jej się tam znaleźć. Ja będę strażą tylną. Spotkamy się, kiedy Marcross da znać, że Jade jest już w pałacu, i postaramy się cicho dostać do środka. Grave, pomożesz Brightwaterowi przepchnąć skuter raketowy.

Zwiadowca podprowadził maszynę do muru i obaj szturmowcy przeprowadzili ją na drugą stronę przez wycięty w murze otwór. Brightwater wsiadł i z cichym skowycem silnika odleciał. Skręcił w lewo, żeby skorzystać z osłony roślinności ogrodu. Grave i Quiller przedostali się przez otwór i rozbiegli się jeden w prawo, a drugi w lewo. Kiedy przez otwór przeszedł Marcross, LaRone też zbliżył się do muru.

– Chwileczkę, drużyny – mruknęła Mara, kładąc dłoń na jego naramienniku. – Rozsądek nakazuje, żeby mój zastępca znał cel wyprawy.

– Tak jest, proszę pani – odparł LaRone. Poczul, że jego serce zaczęło bić przyspieszonym rytmem.

– Naszym celem jest gubernator Choard – podjęła Jade. – Jest winny zdrady stanu, bo wspólnie z piratami napadał na imperialne transporty z zaopatrzeniem dla wojska, a poza tym wysłał „Odwet”, żebyśmy zginęła na Gepparinie. Za swoje zbrodnie zasłużył na karę śmierci.

– Zrozumiałem – powiedział LaRone, chociaż czuł się jakoś... surrealistycznie. Czym innym było czekanie w przestworzach albo w pirackiej bazie i dyskutowanie o sprawiedliwości, obowiązku i zasadach, a czym innym wy czekanie pod murem pałacu imperialnego gubernatora i zastanawianie się, jak go zabić z zimną krwią.

– No to do roboty – rozkazała Jade. Przełożyła świetlny miecz do lewej dłoni, prawą chwyciła blaster i przeszła przez otwór na drugą stronę muru.

Bronić Imperium i jego obywateli... – przy pomnił sobie LaRone. Upewnił się, że jego E-11 jest odbezpieczony, i poszedł w ślady Ręki Imperatora.

Rozdział 22

Gubernator Choard chyba lubił, żeby jego ogrody wyglądały na zaniedbane. Szturmowcy i Mara minęli płynący wzdłuż zewnętrznej granicy posiadłości wąski strumyk i dotarli do zagajnika. Rosło tu mnóstwo drzew, gęstych krzaków i trzcinopodobnych roślin, wyrastających z gruntu pokrytego kamieniami i płatami zeschniętej kory.

O dziwo, w ciągu kilku pierwszych minut nieprzyjaciele nie zauważyli intruzów. Mara też nie zobaczyła ani nie usłyszała niczego podejrzanego, kiedy skradali się między drzewami, i nie wyczuła w pobliżu nikogo, kto okazywałby niepokój.

Pas zarośli ciągnął się mniej więcej przez trzydzieści metrów i kończył szerokim trawiastym placem. Po jego drugiej stronie, pod murem pałacu, stały dwa rzędy ogrodowych krzeseł.

– To pole do różnych gier – oznajmił Marcross, pokazując łąkę. – Drzwi za krzesłami prowadzą do letniej kuchni, skąd roznosi się kanapki i napoje dla graczy i dla widzów.

– A co jest za letnią kuchnią? – zainteresowała się Mara.

– Główna kuchnia – odparł Marcross. – Można się z niej dostać do prywatnej jadalni na parterze, oficjalnej jadalni i głównej sali balowej.

– Schody?

– Najbliższe znajdują się za kuchnią w bok od służbowego korytarza – wyjaśnił szturmowiec. – Jest tam także kilka szybów turbowind.

Mara wyduła wargi i zaczęła się zastanawiać. Wszystko wyglądało bardzo prosto i bez wątplenia właśnie tak miało wyglądać, ale jak zwykle pozory mogły mylić. Zauważyła, że w ozdobnych blankach pałacowego muru zainstalowano źródła różnobarwnego światła, ale rozmieszczone w regularnych odstępach muru mroczne nisze pozostawały nieoświetlone. Na pewno kryli się w nich wartownicy – ludzie, zwierzęta albo androidy. Obserwowali trawiasty plac, który ona i szturmowcy musieli przebiec, żeby się znaleźć pod murami pałacu Choarda.

Miała jednak w zanadru kilka sztuczek. Mogła na przykład niepostrzeżenie posłać pod wiatr niewielki pojemnik. Wkrótce potem nad fragmentem trawiastego pola przed nimi pojawiłby się gęsty opar, który by ich osłonił przed spojrzaniem wartowników.

LaRone mruknął coś pod nosem i podszedł bliżej do imperialnej agentki.

– Brightwater ma w zasięgu wzroku główną bramę – zameldował. – Widzi przed nią niemal pięćdziesiąt cywilnych śmigaczy lądowych.

Mara zmarszczyła brwi. Czyżby niezaplanowane spotkanie kierowanej przez Choarda grupy konspiratorów? – pomyślała.

– Czy ich właścicielami mogą być doradcy, którzy przylecieli tu na spotkanie? – zapytała.

LaRone przekazał pytanie i chwilę słuchał odpowiedzi Brightwata.

– Te śmigacze są zbyt luksusowe, żeby mogły należeć do nawet najwyższych stojących w hierarchii urzędników Choarda – powiedział. – Wygląda na to, że gubernator wy daje przyjęcie dla najbardziej wpływowych obywateli Makrin City.

– To może nam utrudnić zadanie – mruknęła Jade, starając się coś dojrzeć przez oświetlone okna letniej kuchni. Jeżeli Choard wy dawał przyjęcie dla wielu gości, dostanie się do pałacu przez kuchnię mogło nie być dobrym pomysłem. Odwróciła się do Marcrossa. – Co znajduje się nad kuchnią? – zapytała.

– Bezpośrednio nad nią jest magazyn – poinformował szturmowiec. – Przechowuje się tam stoły i zapasowe krzesła. Do magazynu po obu stronach przylegają małe salki audiencyjne. Można stamtąd zejść do głównej sali audiencyjnej obok wielkiej sali balowej...

Zupełnie niespodziewanie za ich plecami poruszyła się ciemna, słębiona masa jakiejś rośliny.

Wszyscy czterej szturmowcy odwrócili się w tamtą stronę i wymierzili w nią blastery. Któryś cicho zaklął.

– Nie! – warknęła Mara.

Ostrzeżenie przyszło jednak za późno. Zanim imperialna agentka zapaliła klingę świetnego miecza, ciemności rozjaśniły cztery błyskawice blasterowych strzałów, które trafiły roślinę dokładnie w środek. Rozległ się chrapliwy ryk i kłęb winorośli stanął w płomieniach.

Dzięki temu ukradkowa część wyprawy Mary i szturmowców dobiegła końca.

– Do środka! – rozkazała Jade. Wyłączyła świetny miecz i wybiegła pomiędzy krzaków na trawiaste pole.

– Co to, u diabła, było? – zapytał LaRone, kiedy ją dogonił.

– Flara Noulanda – wycedziła Jade przez zaciśnięte zęby. Z mrocznych wnęk w murze wybiegali strażnicy, a przed intruzami zaczynały się krzyżować celownicze nitki światła z ich blasterowych karabinów. – Sądzi się je w niektórych miejscach. Służą do wykarzania nieproszonych gości.

LaRone parsknął.

– W całkiem dosłownym sensie – zauważył.

– Właśnie – zgodziła się z nim Jade. – Te półinteligentne rośliny nie są specjalnie niebezpieczne, ale swoją wielkością wzbudzają postrach, no i są bardzo łatwopalne. Musiano je tu posadzić później, kiedy Marcross przestał już bywać w pałacu.

Najbliższa para strażników otworzyła ogień. Ich strzały przeleciały ze skwierczeniem obok głowy Mary. LaRone dwukrotnie dał ognia. Jeden ze strażników padł na trawę i znieruchomiał. Biegący obok LaRone'a Quiller posłał tylko jedną błyskawicę, która powaliła drugiego strażnika.

– Na czym polega plan B? – zapytał.

– Na tym samym co plan A! – odkrzyknęła Mara i zwołniła, żeby szturmowcy mogli do niej dołączyć. – Uformujcie kłm – rozkazała.

LaRone i Marcross zajęli miejsca po bokach przed nią, a Quiller i Grave z tyłu. Stojąca pośrodku Mara systematycznie strzelała do biegnących ku nim strażników. Z każdą chwilą coraz więcej funkcjonariuszy pałacowej straży docierało na odległość optymalnego strzału. W pewnej chwili jeden ze szturmowców jęknął, bo przez jego pancerz przedarła się część energii jakiejś błyskawicy. Kiedy już przebiegł połowę odległości do drzwi letniej kuchni, strzały zaczęły przelatywać bliżej.

A później zza rogu pałacu, pięćdziesiąt metrów od nich, wyleciały dwie pary grawicykły. Nie zwracając uwagi na strzelających strażników, dosiadający ich mężczyźni skierowali maszyny w stronę intruzów i otworzyli ogień z zainstalowanych pod pojazdami blasterowych działek.

– Biegnijcie dalej! – warknęła Jade. Wcisnęła blaster z powrotem do kabury i zapaliła klingę świetlnego miecza.

– Jade... – zaczął LaRone.

– To rozkaz! – ucieła Ręka Imperatora. Wybiegła z bezpiecznego miejsca pośrodku szyku szturmców i odwróciła się w kierunku nadlatujących grawicyklistów.

I ze zdumieniem stwierdziła, że zupełnie ją zignorowali. Zatoczyli łuk i skierowali się prosto na szturmców.

Mara zmiała w ustach przekleństwo i ponownie wyciągnęła blaster. Oddawane z bliska strzały z działek grawicykły niosły energię wystarczającą do przebicia pancerzy szturmców, a ona nie zamierzała do tego dopuścić. Nastawiła kciukiem blaster na automatyczny ogień i otworzyła zawór między komorą gazową a konwertorem, po czym posłała broń lukiem w kierunku nadlatujących nieprzyjaciół. Kiedy blaster osiągnął najwyższy punkt, schwyła go dzięki Mocy i dokonała poprawki trajektorii lotu, żeby broń przecięła linię ognia blasterowego działka w niewielkiej odległości od bliźszego grawicykła.

To doprowadziło do eksplozji, chociaż niezbyt widowiskowej. Strzał z blasterowego działka trafił w obudowę komory gazowej, rozerwał broń na kawałki i wzbudził niewielką kulę ognia, od której zajęła się rosnąca chmura gazu.

Eksplozja może i wyglądała niegroźnie, ale liczyło się miejsce, w którym do niej doszło. Potężny podmuch zadarł nos grawicykła, który stanął pionowo w powietrzu niczym oszalale zwierzę.

Grawicyklista, wpatrzony w biegnących szturmców, nie miał żadnej szansy. Podczas gdy jego grawicykł wyprawiał w powietrzu dzikie harce, mężczyźni robili, co mogli, żeby nad nim zapanować. W rezultacie zderzył się ze swoim partnerem, którego pojazd także zaczął tańczyć w powietrzu jak szalony.

Lecący za nimi dwaj pozostali grawicyklisty zatoczyli łuk, żeby uniknąć kolizji. Zanim zdążyli wrócić na poprzedni kurs, Grave wyeliminował obu strzałami ze swojego T-28. Potem unieszkodliwił także obu zmagających się z maszynami nieprzyjaciół z pierwszej pary.

LaRone odwrócił się do Mary.

– Idziesz? – zapytał.

– Za chwilę. – Jade poświęciła sekundę, żeby odbić na boki kilka blasterowych strzałów, a później pobiegła sprintem za szturmcami. Kiedy do nich dołączyła, LaRone posłał blasterowe błyskawice w dziwnie uparty zamek w drzwiach polowej kuchni.

– Cofnij się – rozkazała Jade i błyskawicznie pokonała opór zamka cięciem klingi świetlnego miecza. – Wy czterej, do środka! – warknęła, ciągnąc ku sobie płytę drzwi. Zauważyła za nimi kuchenny sprzęt i kilku usiłujących się gorączkowo uchylić członków personelu, ale – przy najmniej w pierwszej chwili – nie dostrzegła żadnego blastera. – Są jakieś wieści od Brightwata? – zapytała.

– Trzyma w szachu strażników przy głównej bramie i unieszkodliwił większość ich pojazdów – zameldował LaRone. – Przepraszam za grawicykle... nie ma pojęcia, skąd się wzięły.

– Powiedz mu, żeby uważał na siebie – poleciła Mara. Odwróciła się i spojrzała na doganiających ich strażników. – Wejdźcie do środka. Ja będę waszą strażą tylną. Zamknijcie drzwi na zamek, jeżeli się uda.

– Co takiego? Ale...

– Wydałam ci rozkaz, drużyno – ucieła ostro Jade. – Jeżeli coś mi się stanie, wykonaj zadanie.

– Tak jest, proszę pani – odparł LaRone, tym razem odpowiednim, zawodowym tonem. – Powodzenia.

Czterej szturmcowcy oddali ostatnią salwę w kierunku nadbiegających strażników, po czym wśliznęli się do polowej kuchni i zamknęli drzwi.

Mara oparła się o nie plecami z drugiej strony i zajęła się odbijaniem na boki błyskawic blasterowych strzałów. Jej przeciwnicy podchodzili jednak z każdą chwilą bliżej i radzili sobie coraz lepiej z celowaniem. Mara zrozumiała, że nawet mimo maskującego płaszcza, bojowego kombinezonu i wspomaganych przez Moc odruchów nie zdoła odbijać wszystkich strzałów dłużej niż kilka sekund.

Broniła się jeszcze parę chwil, żeby dać szturmcowcom więcej czasu na zablokowanie drzwi polowej kuchni. Później odepchnęła się od nich i puściła biegiem w kierunku zagajnika i muru otaczającego teren pałacu Choarda.

Dała dwa długie susy, zanim strażnicy zdążyli zareagować na zmianę jej taktyki, i trzy następne, zanim blasterowe strzały zaczęły się znów kierować ku niej. Przeszła jeszcze parę kroków, wbiła stopy w miękką grunt, stanęła i raptownie się odwróciła. Ugięła nogi w kolanach, chwyciła mocniej rękojeść świetlnego miecza, zaczerpnęła porcję energii Mocy... i skoczyła w górę.

Zanim strażnicy zareagowali na kolejną niespodziankę, Mara szybowała nad ulewą błyskawic ich blasterowych strzałów. Kierując się ku pałacowym murom, wzniosła się niemal na wysokość drugiego piętra, zanim zaczęła opadać. Kiedy znalazła się przed murem, zatoczyła duży krąg klingą świetlnego miecza i wycięła spory kamienny cylinder. Podkurczyła nogi, przyciskając kolana do piersi, i uderzyła stopami w środek wypalonego koła.

Z głośnym trzaskiem fragment muru wpadł do środka, ale siła uderzenia pozbawiła Marę impetu. Krótką jak mgnienie oka chwilę młoda kobieta kołysała się na krawędzi wyciętego otworu, z trudem utrzymując równowagę. Wreszcie chwyciła palcami wolnej ręki krawędź muru i zanim blasterowe strzały strażników w dole zaczęły się odbijać wokół niej, wciągnęła się do środka.

Wyłądowna na pierwszym piętrze, w magazynie, o którym wspominał Marcross. W niskim pomieszczeniu zobaczyła tylko dwie repulsorowe platformy z okrągłymi stołami o składanych nogach i trzy kołowe wózki, na których stały wysokie stopy ozdobnych krzeseł o wysokich oparciach.

W odległym kącie pomieszczenia dostrzegła pojedyncze drzwi. Wyłączyła klingę świetlnego miecza i skierowała się ku nim. Zdążyła pokonać połowę odległości, kiedy poczuła drażniący zapach. Postanowiła skorzystać z technik wzmacniania wrażliwości zmysłów.

Nagle wdepnęła z pluskiem w jakiś płyn. Szybko zmniejszyła wrażliwość zmysłów, spojrzała pod nogi i stwierdziła, że stoi w szybko rozprzestrzeniającej się kałuży. Na razie kałuża miała głębokość tylko kilku milimetrów, ale z każdą chwilą stawała się głębsza.

A krótka chwila wzmocnienia wrażliwości zmysłów powiedziała jej, czym jest ciecz pod stopami.

Jeden z dwóch repulsorowych wózków ze stołami znajdował się zaledwie kilka metrów dalej, po jej lewej stronie. Mara wskoczyła jednym susem na stos stołów, które zatrzeszczały pod jej ciężarem. O mało nie uderzyła głową w sufit i musiała złapać się blatu jednego ze stołów, żeby się nie ześlizgnąć na podłogę.

– Imperialna agentko? – usłyszała. – Celino, czy jak tam się naprawdę nazywasz!

Mara uniosła głowę i zaczęła omiatać spojrzeniem pogrążony w ciemności magazyn. Głos mówiącego był stłumiony, więc mężczyźni musieli stać po drugiej stronie drzwi. Zważywszy na to, jak szybko magazyn wypełniał się cieczą, było to z jego strony bardzo rozsądne posunięcie.

– Jestem tu, Caaldró – zawołała Mara. Zauważyła, że czoło kałuży dotarło już niemal do przeciwległej ściany. Ona sama utkwiła pośrodku pomieszczenia i miała odciętą drogę ucieczki. – Lepiej wezwij ekipę techniczną... masz tu poważny przeciek.

– I bardzo dobrze – odparł Caaldró. – Spodziewałem się, że wejdiesz nie przez mur, ale przez okno jednej z małych salek audiencyjnych. Wygląda na to, że niepotrzebnie zniszczyłem tam kilka dywanów.

– Zniszczysz o wiele więcej, jeżeli ten plyn eksploduje – ostrzegła Mara. – Ciekawe, dlaczego tak bardzo lubisz ogień? Czyżbyś się sparzył za młodu albo coś w tym rodzaju?

– Nic podobnego – zapewnił ją najemnik – Po prostu w ciągu wielu lat się nauczyłem, że ogień i woda to dwa żywioły, na spotkanie z którymi nie są gotowi nawet zawodowcy.

– Będę musiała to zapamiętać – obiecała Jade.

– Na pewno nie zapomnisz – stwierdził Caaldra. – A jeżeli zamierzałaś mnie zaskoczyć, kiedy wejdziesz tam z moją poręczną zapalniczką, możesz się nie trudzić. Kałuża wyciekła pod drzwiami i na korytarz, więc mogę podpalić twoje osobiste jezioro nawet bez otwierania tych drzwi.

Mara się skrzywiła. Rzeczywiście zamierzała zaatakować Caaldre, kiedy wejdzie do magazynu, ale obecnie musiała zrezygnować ze swojego zamiaru.

– Mogłeś to przecież zrobić już dawno, bez uprzyjemniania mi życia pogawędką – oznajmiła. – Z tego wynika, że czegoś ode mnie chcesz.

– Sprytna jesteś – pochwalił ją Caaldra. – Chcę zawrzeć z tobą ugodę.

Mara uniosła brew.

– Slucham – powiedziała. – I tak zresztą nie mam innego wyjścia.

– Krótko mówiąc, chcę się stąd dostać – zaczął najemnik – I to w jednym kawalku. Odleczę z Shelkonwy, ty nie wytoczysz przeciwko mnie żadnych zarzutów, a więc nikt nie będzie mnie ścigał.

– A w zamian za to będę mogła stąd wyjść nieupieczona – domyśliła się Ręka Imperatora.

– To też, a oprócz tego dam ci wszystkie potrzebne dowody, żebyś mogła przygwoździć głównego administratora Choarda, Disre – odparł Caaldra.

– Disra też w tym siedzi? – zdziwiła się Mara, rozglądając się po magazynie. Nie było tu żadnego okna ani innych drzwi, a kałuża łatwo palnej cieczy osiągnęła już głębokość pięciu czy sześciu centymetrów.

Pozostał jednak w zewnętrznych murze otwór, przez który Mara się tu dostała, a na kołowych wózkach spoczywały trzy stopy krzesel.

– I to po same uszy – potwierdził pogardliwym tonem Caaldra. – Moim zdaniem stał za wszystkim od samego początku.

– Coś takiego – mruknęła Jade. Uwolniła myśli i pomagając sobie Mocą, wysłała je w kierunku krzesła leżącego na szczycie najbliższego stosu. Uniesione krzesło szepotało się nogami z innym, leżącym bezpośrednio pod nim, ale Mara zaraz je uwolniła. Przeniosła krzesło w powietrzu nad podłogą i ustawiła pod otworem w zewnętrznych murze, mniej więcej trzy metry od krawędzi repulsorowej platformy ze stołami, na których leżała. – Dziwię się, że ktoś taki jak gubernator Choard pozwolił komukolwiek innemu decydować w takich sprawach.

– Decydować w takich sprawach? – powtórzył Caaldra i prychnął. – Chyba żartujesz. Ten rośły głupiec nie ma pojęcia, co się wokół niego dzieje.

Mara uśmiechnęła się z przyzwoatym.

– Niezła sztuczka, Caaldro, ale ja wiem swoje – stwierdziła. – Tylko moff albo gubernator sektora może wydawać rozkazy imperialnym siłom zbrojnym. Nie mógłby tego zrobić nawet główny administrator.

– A kto powiedział, że mógłby? – zdziwił się Caaldra. – Nie zamierzaliśmy wydawać rozkazów dowódcy żadnego z okolicznych garnizonów sektora Shelsy... chcieliśmy je po prostu zniszczyć.

– Nie udawaj idioty – skarciła go Jade, umieszczając drugie krzesło trzy metry za pierwszym. – Miałam na myśli atak „Odwetu” na bazę piratów na Gepparinie.

– „Odwetu”? – powtórzył jak echo najemnik – Czy przy padkiem nie obszczałejesz niewłaściwego drzewa? Tamten atak nie miał z nami nic wspólnego... zarządził go komandor Ozeł, który chciał w ten sposób uratować własny tyłek. Zamierzał cię zabić, żebyś nie powiedziała nikomu o jego dezerterach.

Mara zmarszczyła brwi.

– O kim? – zapytała.

– O dezerterach. – Caaldra wybuchnął śmiechem. – Co za niesamowita historia! Ktoś usiłuje cię zabić, a ty nawet nie wiesz, dlaczego?

– Przestań się chępić i bądź łaskaw mnie oświecić – burknęła Ręka Imperatora.

– Mówiąc krótko, pięciu szturmowców z pokładu „Odwetu” prawdopodobnie zabiło majora IBB, porwał jeden z ich specjalnych statków i dało drapaka z pokładu niszczyciela.

Mara poczuła, że cała drętwieje.

– Pięciu szturmowców? Wiesz o nich coś więcej? – zapytała ostrożnie.

– Tylko to, że od tamtej pory pałętają się po sektorze Shelsy, usiłując torpedować nasze plany – odparł Caaldra z pogardliwym prychnięciem. – Zaczęli od tego, że uniemożliwili nam porwanie transportu ciężkich karabinów blasterowych, na które mieliśmy chrapkę. Później pozbawili władzy komendanta policji, którego zamierzaliśmy wykorzystać do ataku na fabrykę szturmowych myśliwców.

I nagle Mara zrozumiała, co miała oznaczać dziwna uwaga, na jaką pozwolił sobie Brock w ośrodku dowodzenia Krwawych Szram. Spytał ją, czy wiedziała o tych dezerterach, zanim weszła na pokład „Odwetu”, czy też właśnie tej informacji szukała w bazach danych okrętowego komputera.

Dezerterzy. Szturmowcy. Pięciu.

Ręka Sprawiedliwości.

– Niezła historia – odezwała się Mara, udając, że mało ją to interesuje. – Gdzie w tej chwili znajdują się ci szturmowcy?

– Prawdopodobnie gdzieś, gdzie mogą spełniać następne dobre uczynki – zakpił Caaldra. – Problem w tym, że Ozeł nie zameldował nikomu o ich zniknięciu. Uznał, że ty o tym wiesz, skoro przesłuchiwałaś innych szturmowców i przeszukiwałaś bazy danych na pokładzie jego niszczyciela. A przez to on ryzykuje karierę, a może nawet życie.

– Cóż, rzeczywiście włamałam się do pamięci jego komputera – przyznała Jade, bo nagle przyszła jej do głowy okropna myśl. Uznała gubernatora Choarda winnym zdrady stanu tylko na podstawie ataku „Odwetu” na bazę piratów na Gepparinie. Jeżeli jednak Caaldra mówił prawdę, Choard mógł być zupełnie niewinny.

A ona właśnie wysłała czterech szturmowców-dezerterów, żeby zamordowali niewinnego człowieka.

Zgrzytnęła zębami. Musiała się wy dostać z magazynu, i to natychmiast. Uniosła ze stosu następne krzesło i postawiła je za poprzednim. Do powodzenia jej planu powinno wystarczyć jeszcze tylko jedno krzesło.

– Czego ty naprawdę chcesz? – zapytała, starając się grać na zwłokę.

– Już ci powiedziałem – odparł najemnik lekko podejrzliwym tonem. – Chcę się stąd wy dostać. Co właściwie tam robisz?

– Czekam, aż podasz mi więcej szczegółów – poinformowała go Jade i skarciła się w duchu. Zajęta przygotowaniami do ucieczki i problemem, jak zapobiec wymierzaniu niezasłużonej kary, zupełnie zapomniała, że Caaldra już jej przedstawił swoje żądanie. Postanowiła improwizować. – Dobrze znam gości takich jak ty – powiedziała. – Chcesz, żeby wszystko się działo dokładnie tak, jak sobie tego życzysz.

– To chyba oczywiste – przyznał Caaldra z jeszcze większą podejrzliwością. – Odleć „Drogą Happera”, ale przedtem będę musiał załatać dziurę w burcie ładowni. Ty pozwoliłaś mi stąd zabrać wystarczające zapasy paliwa i zapewniłaś mi bezpieczną drogę...

– Zaczęłaś chwilę – przerwała Mara, stawiając na podłodze ostatnie krzesło. Obecnie musiała się tylko zastanowić, co zrobi, kiedy już wy dostanie się z magazynu. – Chyba się nie spodziewasz, że pozwolę ci stąd odlecieć statkiem z ładowniami pełnymi wojskowego sprzętu, co?

– To będzie moja nagroda za to, że pomogłem ci zażegnać potencjalnie katastrofalny kryzys polityczny – zadrwił najemnik.

– Disra miał wszystko przy gotowane do proklamacji niepodległości i oderwania całego sektora Shelshy od Imperium.

– Chyba żartujesz – odparła Mara, posyłając następne krzesło pod zewnętrzną ścianę. W przeciwieństwie do poprzednich nie postawiła go jednak na podłodze, ale ułożyła w wyciętym otworze w taki sposób, żeby wysokie oparcie wysunęło się na zewnątrz. – A może to Disra pozwala sobie na kiepskie żarty? W ciągu kilku dni miałyby na orbicie nad głową połowę imperialnej floty.

– Naprawdę przypuszczasz, że Palpatine zdecydowałby się na jawną akcję zbrojną? – zagadnął Caaldra. – Nie sądzisz, że wolałby zawrzeć ugodę, żeby załatwić wszystko bez rozgłosu?

– Imperator Palpatine nigdy by tego nie zrobił – obruszyła się Mara. Zdjęła ze stosu dwa następne krzesła i przeniosła je w powietrzu w pobliże otworu. Odstawiła na chwilę jedno na bok, a drugie położyła na nogach wystającego na zewnątrz krzesła w taki sposób, żeby szczepiło się z nim nogami.

– Nawet jeżeli mu to doradzi jedna z jego specjalnych agentek? – zadrwił Caaldra.

Mara pokręciła z niesmakiem głową, bo w końcu zrozumiała, do czego zmierza ta rozmowa. Caaldra nie zamierzał zawierać z nią żadnej ugody. Chciał tylko ją wysondować, żeby poznać możliwą reakcję Imperialnego Centrum na obłąkane knowania w stylu, do jakiego uciekali się kiedyś Separatyści.

– Nawet wtedy – zapewniła, umieszczając ostrożnie ostatnie krzesło tak, żeby szczepiło się nogami z dwoma poprzednimi. – Ale i tak nie ma o czym mówić, bo nigdy bym mu tego nie doradziła. Mówisz o zdradzie stanu, a zdradę stanu karze się automatycznie śmiercią.

Usłyszała, że stojący za drzwiami najemnik cicho westchnął.

– Wielka szkoda – powiedział. – W takim razie do niczego nie jesteś mi potrzebna. Żegnaj, agentko.

Mara usłyszała odgłos blasterowego strzału...

... i spod drzwi wyskoczyła wysoka na metr ściana ognia, która pomknęła przez magazyn w jej stronę.

Reagując instynktownie, Mara ześlizgnęła się ze stosu stołów i skoczyła w kierunku najbliższego krzesła. Odbiła się od niego i poszybowała na drugie.

W pół drogi do trzeciego krzesła jej nogi ogarnął płomień. Mara uwolniła myśli, żeby zmniejszyć ból, i skakała dalej. Poprzez kłęby dymu i drżące od żaru powietrze zobaczyła otwór w zewnętrznym murze. Odbiła się od ostatniego stojącego na podłodze krzesła i skuliła się, żeby wyładować głową naprzód na tym, którego oparcie wystawało na zewnątrz.

Krzesło zatrzeszczało złowieszczą pod jej ciężarem, ale wystarczającą przeciwagę zapewniły dwa inne krzesła, mocno z nim szczepione. Młoda kobieta odetchnęła kilka razy, żeby wypełnić rozpalone płuca chłodnym powietrzem.

Nadal jednak była w wielkim niebezpieczeństwie. Strażnicy, którym kilka minut wcześniej uciekła, cały czas krążyli w dole w poszukiwaniu celów. Kiedy odwróciła głowę i spojrzała na płomienie, z dołu dobiegł okrzyk dowodzący, że ktoś ją zauważył. Od ściany obok jej głowy odbiły się pierwsze błyskawice blasterowych strzałów. Mara kucnęła na oparciu krzesła, wyjęła rękojeść świetlnego miecza, zapaliła klingę i odbiła się, zamierzając doskoczyć do wysokości okna drugiego piętra.

Wypalenie w locie otworu w transpatalowej tafli okazało się o wiele łatwiejsze niż w kamiennym murze. Mara wskoczyła przez wycięty otwór do przestronnej sali audiencyjnej. Pobiegnęła szybko i cicho po grubym dywanie do miejsca, w którym piętro niżej powinny się znajdować drzwi płonącego magazynu.

Przeszła jeszcze pięć kroków i przystanąła.

– No, tego to się nie spodziewasz – mruknęła i wycięła wokół siebie krąg w podłodze.

Krąg zapadł się z trzaskiem łamanego drewna i zgrzytem kamienia. Mara ugięła nogi w kolanach, żeby zamortyzować impet uderzenia, i wyładowała na pierwszy m piętrze.

Przed drzwiami magazynu zobaczyła czterech mężczyzn – Caaldre i trzech innych uzbrojonych najemników w cywilnych ubraniach. Kiedy zeszkoczyła z wyciętego kręgu, głowy wszystkich zwróciły się w jej stronę. Na ich twarzach malowało się niedowierzanie i osłupienie.

Pierwszy oprzytomniał mężczyzna po lewej stronie. Wyciągnął blaster i strzelił do niej. W nagrodę zginął pierwszy, kiedy Mara odbiła blasterową błyskawicę w jego ciało.

Dwaj pozostali najemnicy, chociaż ubrani po cywilnemu, byli niewątpliwie – podobnie jak sam Caaldra – wojskowymi. Niespodziewanie skoczyli w przeciwne strony i, jeszcze lecąc w powietrzu, wystrzelili. Mara odbiła jedną błyskawicę i skoczyła w stronę strzelca, dzięki czemu wystrzelona przez innego mężczyznę porcja energii przeleciała ze skierowaniem za jej głowę. Pierwszy mężczyzna otworzył szeroko oczy, kiedy Mara zrobiła krok w jego stronę. Dał ognia jeszcze dwukrotnie, zanim płonący karmazynowym blaskiem klinga przecięła jego pierś. Mara odwróciła się i uniosła miecz w samą porę, żeby odbić blasterową błyskawicę w pierś drugiego mężczyzny.

Caaldra został sam.

– Zachowałam cię na koniec – odezwała się Mara tonem niezobowiązującej pogawędki. Nadstawiła klingę świetlnego miecza w taki sposób, żeby móc bez trudu odbić strzał z wymierzonego ku niej blastera. – Chcesz mi jeszcze coś powiedzieć?

– Odrzuć niepowtarzalną okazję – ostrzegł najemnik. Mówił spokojnie, ale Mara wyczuła, że jego myśli gnają jak szalone. Na pewno Caaldra rozważał na zimno swoje szanse. – Jeszcze nie jest za późno, żeby zawrzeć ugodę.

– Ugody się skończyły, kiedy chciałeś mnie upiec – odparła Mara i postąpiła krok w jego stronę.

– Przy najmniej daj mi szansę – powiedział Caaldra, starając się nadać głosowi błagalne brzmienie. Opuścił blaster i odrzucił go na bok – Oboje jesteśmy wojownikami – podjął po chwili. – Rozstrzygnijmy to jak wojownicy, w walce wręcz, bez broni.

Mara uniosła brwi.

– Próbujesz zaapelować do mojej zawodowej dumy? – zapytała.

– Próbuję zaapelować do twojego pojęcia uczciwej walki – sprostował Caaldra. – A może, tak jak Vader, nie wiesz, co to takiego?

Mara napięła mięśnie twarzy.

– Niech będzie, jak chcesz – zdecydowała. Nie zadając sobie trudu wyłączenia klingi świetnego miecza, odrzuciła go na bok.

W tej samej sekundzie Caaldra uniósł lewą rękę i pokazał jej ukryty dotąd mały blaster.

– Ty idiotko – parsknął i dał ognia.

Blasterowa blyskawica odbiła się od klingi świetnego miecza, który ułamek sekundy wcześniej Mara przywołała znów do dłoni.

Kiedy odbity strzał prześwidrował jego pierś na wylot, Caaldra szarpnął się do tyłu. Kilka sekund stał nieruchomo, posyłając przeciwnicze niedowierzające spojrzenie. Później ugięły się pod nim kolana i najemnik runął na podłogę.

Mara podesza i czubkiem buta wytrąciła mały blaster z jego bezwładnych palców.

– Zawsze walczę uczciwie – powiedziała cicho. – Równie uczciwie jak moi przeciwnicy.

W niewidzących oczach nie zobaczyła żadnej odpowiedzi. Wyłączyła klingę świetnego miecza, po czym spojrzała w prawo i w lewo. Znajdowała się w korytarzu przed inną salą audiencyjną, równie przestronną jak sala na drugim piętrze, z której kilka minut wcześniej wypadła. Zobaczyła dwuskrzydłowe rzeźbione drzwi prowadzące na balkon sali balowej na parterze. Jeżeli Brightwater miał rację, że gubernator wydaje przyjęcie, może powinna zacząć poszukiwania Choarda właśnie od tej sali.

Miała tylko nadzieję, że natknie się na niego wcześniej niż LaRone.

Drzwi letniej kuchni miały zniszczony zamek i nie dały się zamknąć. Grave odstrzelił blasterem kawałek wodociągowej rurki, po czym wcisnął jeden koniec za kłamkę, a drugi zaklinował za ścianą. LaRone zajął miejsce z przodu i wszyscy czterej ruszyli dalej.

Zanim dotarli do głównej kuchni, większość personelu zdążyła z niej uciec przez drzwi w przeciwległej ścianie albo ukryć się za stanowiskami do przyrządzania posiłków. LaRone spojrzał na Marcrossa.

– Dokąd teraz? – zapytał.

– Do sali balowej – odparł zwięźle kolega.

LaRone pokiwał głową, bo przypomniał sobie uwagę Brightwatera. Na widok kilkadziesiątu luksusowych śmigaczy zwiadowca się domyślił, że gubernator Choard wydaje przyjęcie.

– Dobrze – zdecydował. – Tylko uważajcie, bo możemy mieć kłopoty.

Kłopoty czekały na nich już w korytarzu, na który wyszli z głównej kuchni. Szturmowcy zobaczyli sześciu strażników, stojących półkolem z gotowymi do strzału blasterami.

Na szczęście dla strażników Ręka Sprawiedliwości nie zabijała bez potrzeby. Na jeszcze większe szczęście strażnicy stali blisko, w zasięgu rozproszonej wiązki strzału z blastera typu E-11.

– Nastawić broń na ogłuszanie – rozkazał LaRone, przedstawiając dźwigniękę przełącznika i przyciskając spust. Z czterech luf wyskoczyły pierścienie błękitnego światła. Rażony nimi najbliższy strażnik strzelił w sufit, ale zaraz zadrżał i upadł. Zanim to samo stało się z pozostałymi, jeden zdążył oddać dwa strzały, z których pierwszy trafił LaRone'a w górną część płyty napierśnika.

– Nic ci nie jest? – zapytał Grave, pochylając się, żeby obejrzeć szerniale miejsce na pancerzu dowódcy.

– Nic poważnego – zapewnił go drużyny, ale skrzywił się, kiedy poruszył ręką. Został lekko poparzony, lecz pancerz pochłonął większą część energii strzału, a rana nie była na tyle poważna, żeby ograniczać swobodę ruchów. LaRone zobaczył, że Marcross rusza korytarzem w kierunku łukowatego przejścia, w którym wisiała łagodnie falująca zasłona.

– Marcross, zaczekaj – rozkazał.

Kolega jednak nie usłyszał rozkazu albo go zignorował. Docierając do zasłony, opuścił swój E-11, jakby zamierzał oddać strzał z biodra. Kiedy przechodził przez portal, na jego pancerzu zafalowały błyski różnobarwnego światła. A potem zniknął.

LaRone zmełł w ustach przekleństwo i pobił za nim, a Grave i Quiller poszli w jego ślady. Dotarli do świetnej zasłony i przeskoczyli przez nią na drugą stronę.

W sali balowej roilo się od elegancko ubranych mężczyzn i kobiet, niewątpliwie stanowiących śmietankę shelkonwańskiego towarzystwa. W obecnej chwili wszyscy wyglądali jednak raczej jak wytwornie odziane posągi niż żywe istoty. Stali jak skamieniałości, niektórzy z uniesionymi do ust kieliszkami w dłoniach. Wszyscy wpatrywali się w Marcrossa, który maszerował na środek sali.

Stał tam, gapiąc się na szturmowców w takim samym osłupieniu jak jego goście, gubernator Choard. Miał na sobie uroczyście, oficjalny strój, a jego krzaczasta broda połyskiwała w różnobarwnych światłach.

– Dołączycie do niego – mruknął LaRone do pozostałych szturmowców i pobił za Marcrossem, starając się to robić z godnością. Tlum rozstąpił się przed nimi i trzej szturmowcy stanęli obok Marcrossa, który znieruchomiał kilka metrów przed Choardem.

Jak LaRone mógł się spodziewać, gubernator pierwszy odzyskał przytomność umysłu.

– Co to wszystko ma znaczenie? – zapytał gniewnie.

LaRone głęboko odetchnął.

– Panie gubernatorze Choard, został pan uznany winnym zdrady stanu i skazany na śmierć – oznajmił donośnie. – Otrzymał pan rozkaz wykonania tego wyroku.

– Co takiego? – zachnął się Choard, otwierając usta ze zdumienia. – To absurd!

LaRone zauważył kątem oka, że Grave i Quiller już wymierzili lufy swoich blasterów E-11 w pierś mężczyzny. Przypomniał sobie, że Jade wydała im jednoznaczny rozkaz.

Zanim jednak dał komendę, uświadomił sobie, że polecenie otwarcia ognia uwięzło w jego gardle. Nie mógł rozkazać towarzyszom, żeby zastrzelili cywila, który nie stawia oporu. Nie w taki sposób. Nie po tym, co wydarzyło się na Teardrop.

– Czy uda się pan z nami dobrowolnie? – spytał.

– Miałbym pójść z imperialnymi i szturmowcami? – obruszył się Choard. – Nigdy w życiu! – Wymierzył wskazujący palec w pierś wysokiego mężczyzny w wykończonej futrem tunice. – Siner... wezwij moich strażników! – rozkazał. – Powiedz im, że w sali balowej są intruzy, których poszukują.

– Nikt się stąd nie ruszy – oznajmił LaRone, rozpaczliwie usiłując podjąć jakąś decyzję. Zastanawiał się, czy opór Choarda stanowi wystarczający powód do wykonania rozkazu Jadę. Ale nie mógł też nie zadać sobie pytania, czy naprawdę chce go wykonać.

A później ze zdumieniem stwierdził, że Marcross odwraca się i kieruje w niego lufę swojego karabinu.

– Opuścić broń – powiedział szturmowiec cicho, ale stanowczym tonem. – Wszyscy.

– Co takiego? – zapytał osłupiały LaRone.

– Slyszeście, co powiedziałem – mruknął zwięźle Marcross. – Wszyscy trzej. Natychmiast.

Kilka sekund LaRone wpatrywał się w białą płytę czołową hełmu kolegi, usiłując wyczytać coś – cokolwiek – z mowy jego ciała. Marcross nie zdradzał jednak żadnych uczuć.

– Nie żartuję, dowódco – ostrzegł wreszcie w pełnej napięcia ciszy, jaka zapadła w wielkiej sali. – Opuścić broń.

„Dowódco”...

I nagle LaRone zobaczył oczami wyobraźni siebie na pokładzie Suwanteka po pokonaniu gangu grawicy klistów... po pierwszej walce, którą stoczyli razem jako drużyna. „A to kolejna cecha dobrego dowódcy... powinien znać i rozumieć swoich podwładnych. A także im ufać”, powiedział wówczas Marcross, kiedy obaj zostali sami w ładowni statku.

Ufać...

– Opuścić broń – potwierdził cicho LaRone. Skierował w dół lufę swojego E-11, pochylił się i z cichym stukiem położył broń przed sobą na podłodze. Kiedy Quiller i Grave poszli w jego ślady, usłyszał dobiegające zza pleców dwa takie same odgłosy, które zabrzmiały nienaturalnie głośno w idealnej ciszy.

– Nic nie rozumiem – odezwał się Choard gniewnym tonem, w którym jednak dała się słyszeć dezorientacja. – Co, na wszystkie gwiazdy, tu się dzieje?

– Nic takiego – odparł Marcross, odwracając się i wręczając gubernatorowi swój E-11. – Po prostu właśnie ocaliłem ci życie.

Cofnął się o krok i zdjął hełm.

Choard otworzył szeroko oczy.

– Saberan? – zapytał.

– Witaj, wujku Barshnisie – powiedział Marcross. – Dawno się nie widzieliśmy.

Rozdział 23

Kiedy Mara wyszła przez drzwi na balkon pierwszego piętra, w sali balowej panowała cisza jak w krypcie. Masywna, rzeźbiona poręcz z marmuru przeszkadzała jej zobaczyć, co się dzieje w sali. Stała na skraju balkonu, wychyliła głowę i zerknęła ponad krawędzią balustrady.

Zobaczyła LaRone'a i trzech szurmowców. Stali zwrócenii przodem do Choarda. Otaczało ich mniej więcej sto innych osób, stojących zupełnie nieruchomo. Zauważyła, że Marcross zdjął helm.

A Choard mierzył z karabinu Marcrossa w LaRone'a, Grave'a i Quillera.

W pierwszej chwili Mara chciała odetchnąć z ulgą. Nie tylko zdążyła dotrzeć do Choarda w porę, ale wszyscy wskazywało, że Marcross powstrzymał swojego dowódcę przed wykonaniem jej nieprzemysłanego rozkazu. Musiała obecnie tylko dostać się do sali i potwierdzić niewinność gubernatora, a później kazać szurmowcom wyruszyć na poszukiwania Disry i jego współników, którzy wciąż jeszcze mogli być na wolności.

– To jest twój wuj? – zapytał zaskoczony LaRone tak głośno, że Mara usłyszała go na balkonie.

– Mówiłem ci, że kolegowalem się z jego synem, kiedy mieliśmy po kilkanaście lat – przypomniał Marcross. – Myślisz, że gubernator sektora pozwoliłby synowi przyjaźnić się z pierwszym lepszym łobuziakiem?

– Nadał nie mam pojęcia, co się dzieje, Saberanie, ale bardzo się cieszę, że cię widzę – odezwał się Choard. – O co właściwie chodzi? Czy ty i twoi towarzysze należycie do oddziału Lorda Vadera?

– Nie, jesteśmy samodzielną drużyną – odparł Marcross. – Należymy do niej my czterej, a także nasz kolega, który trzyma na muszce strażników na dworze.

– Ach, to dlatego żaden nie przybiegł mi na pomoc – domyślił się gubernator. – A teraz mi powiedz, o co chodzi w tym obłądnym oskarżeniu o zdradę stanu.

Mara wychyliła głowę jeszcze bardziej i spojrzała nad krawędzią balkonu. Z irytacją stwierdziła, że nie widzi żadnych wiodących na parter schodów. Musiałaby tam albo zeskokczyć, co nie ulżyłoby jej poparzoną nogom, albo wrócić do sali audiencyjnej i znaleźć stamtąd drogę na dół.

– Podobno bierzesz udział w spisku – informował go Marcross. – Z pomocą band piratów napadasz na transporty i przywłaszczasz własność Imperium. W Makrin City przebywa w tej chwili imperialna agentka, która nas tu wysłała, żebyśmy cię zabili.

– Rozumiem – odparł Choard takim tonem, jakby się nad czymś zastanawiał.

– Chyba najlepiej byłoby się skontaktować z Lordem Vaderem, żeby oddał cię pod opiekę swojej Pięćset Jedyńki, zanim wyszłęgo nie wyjaśnimy – zasugerował Marcross. – Pozwól mi skorzystać ze swojego komunikatora, bo mój nie działa na żadnej z ich częstotliwości.

Podszedł bliżej do wuja.

– Chyba ci na to nie pozwolę – odezwał się gubernator, kierując lufę blasterowego karabinu w brzuch bratanka. – Ostatnią rzeczą, na jakiej mi zależy, jest jeszcze więcej Imperialców w moim pałacu.

Mara napięła mięśnie, a jej ulga przerodziła się w zimną wściekłość. A zatem od samego początku miała rację, ale zamiast zaufać intuicji, pozwoliła, żeby wygadany Caaldr odwiódł ją od jej zamiaru. A obecnie Marcross i pozostali mieli zapłacić za jej pomyłkę najwyższą cenę.

Uwolniła myśli i posłużyła się Mocą, żeby wyrwać blasterowy karabin z dłoni Choarda, ale uniemożliwiła jej to duża odległość, a także wiry emocji zaskoczonych gości i konieczność uśmierzenia bólu, jaki promieniował z poparzonego nog.

Uświadomiła sobie, że może tylko w jeden sposób pomóc LaRone'owi i pozostałym. Wyjęła z szaszki u pasa pojemnik z gazem, który zamierzała wykorzystać wcześniej jako zasłonę dymną, żeby pokonać niepostrzeżenie trawiastą przestrzeń. Z pojemnika nie powinno się wprawdzie korzystać w zamkniętych pomieszczeniach, ale Mara nie miała ani blastera, ani granatów, które pozostały na pokładzie „Drogi Happera”.

Zwolniła kciukiem zaworek bezpieczeństwa pojemnika, zaczęła przetrząsnąć dodatkową porcję energii Mocą i przygotowała się do działania.

Marcross zamarł jak wryty i spojrzał na gubernatora.

– Wujku? – zapytał zaskoczonym tonem. – Wujku, co ty wyprawiasz?

– Wynoszę się stąd – burknął Choard i machnął przywłaszczonym E-11, nakazując Marcrossowi, żeby dołączył do pozostałych szurmowców. – Miło byłoby wydać proklamację niepodległości sektora Shelszy z tego pałacu, ale to nie jest konieczne.

– Co ty wygadujesz? – chciał wiedzieć Marcross, stając u boku LaRone'a. – Chcesz powiedzieć... chyba nie mówisz poważnie.

– Nigdy nie zrozumiałeś, o co naprawdę chodzi w galaktyce, prawda, Saberanie? – zapytał pogardliwym tonem Choard. – A chodzi o władzę, mój idealistycznie nastawiony młody bratanku. Rzeczywistą władzę, potencjalną władzę albo pozorną władzę. Na szczęście, mając do dyspozycji odpowiednie siły i środki, mogę się cieszyć wszystkimi trzema rodzajami władzy.

– Tarkin także miał władzę – przypomniał mu lodowatym tonem Grave. – Pamięta pan, dokąd go to zaprowadziło?

Choard prychnął pogardliwie.

– Tarkin był głupcem – oznajmił. – Nie popełnił jego błędów.

– Ale popełni pan inne – stwierdził LaRone. – Ludzie tacy jak pan zawsze je popełniają.

Choard odwrócił E-11 i wymierzył lufę w pierś LaRone'a.

– Nie, to ludzie tacy jak pan zawsze robią błędy – powiedział. – A teraz, bardzo spokojnie...

– Nie, wujku, on ma rację – sprzeciwił się Marcross. – Ty już popełniłeś wszystkie możliwe błędy. Pierwszym było przekazanie Krwawym Szromom swojego osobistego, niezarejestrowanego numeru HoloNetowego kontaktu... tego samego, z którego ty i Crayg zawsze korzystaście podczas podróży, kiedy potrzebne były wam pieniądze. To był ostatni numer, z jakim kontaktowali się piraci przed zniszczeniem ich bazy... widziałem to na ekranie monitora ich komunikatora.

LaRone spojrzał zdumiony na kolegę. A zatem taki był powód dziwnego zachowania Marcrossa na Gepparinie i przyczyna, dla której kolega był od tamtej pory tak milczący i spięty. Świadomość, że jego wuj dopuścił się zdrady stanu...

– Nie miałem jednak pełnej pewności, czy ktoś inny nie ma także dostępu do tego numeru – podjął Marcross. – Musiałem dać ci szansę, żebyś mógł udowodnić swoją niewinność albo potwierdzić winę. I właśnie tu popełniłeś drugi

błąd... za wiele mówisz. Zawsze byleś gadułą. – Zamasztył ruchem ręki wskazal zebranych wokół gości. – Tym razem zrobiłeś to w obecności świadków.

– Mogą paplać, ile chcą – wycedził Choard, ale twarz miał ponurą, jak gradowa chmura. Mężczyzna znów skierował lufę blastera na Marcrossa. – Za godzinę wiadomość o buncie sektora Shelshy powinna się znaleźć we wszystkich kanałach HoloNetu.

Marcross pokręcił głową.

– Nic z tego, wujku, bo popełniłeś jeszcze jeden błąd. – Wskazał na swoją broń w dłoniach gubernatora. – Założyłeś, że ten blaster jest naładowany.

Nagle nad głowami gości przeleciał lukiem niewielki przedmiot. Potoczył się po podłodze, znieruchomiał przed Choardem i eksplodował, wysyłając chmurę białej mgły.

Choard cofnął się odruchowo i dał ognia. Chmurę rozjaśniła blasterowa błyskawica jego strzału, ale ręka mu zadrzała i chybił. Strzał, zamiast wbić się w środek napierśnika Marcrossa, tylko rozprysnął się na górnej powierzchni jego prawego naramiennika. Mimo to szturmowiec stęknął i zachwiał się, jakby mu ktoś wymierzył policzek.

– Żołnierze! – warknął LaRone i schylił się, żeby podnieść z podłogi swój E-11. Nie musiał wydawać rozkazu pozostałym, bo Grave i Quiller także podnieśli swoje karabiny. Rozbiegli się w przeciwne strony przed rozprzestrzeniającą się chmurą, żeby zająć pozycje po obu stronach potencjalnego celu. LaRone chwycił swój E-11 i wbiegł w kłęby oparu.

Zderzył się od razu z Choardem, który wypchnął go z chmury tak energicznie, że szturmowiec runął na wznak. Gubernator zmełł w ustach przekleństwo, skierował lufę przywłaszczonego E-11 w płytę czołową hełmu LaRone'a i z obłędem w oczach przycisnął spust broni.

Tym razem jednak nic się nie wydarzyło.

Choard próbował kilka razy dać ognia, ale kiedy dotarło do niego, że broń nie wystrzeli, obłęd w jego oczach przerodził się w przerażenie. LaRone zauważył kątem oka, że Grave i Quiller wbiegają z powrotem w chmurę oparu z lufami swoich E-11, skierowanymi...

– Nie! – warknął. – Nie strzelać!

Obaj szturmowcy znieruchomieli.

– Dowódcu? – zapytał niepewnie Grave, nie przestając kierować ku Choardowi lufy broni.

– To zdrajca – przy pomniął mrocznym tonem Quiller.

LaRone spojrział w oczy Choarda. Zauważył w nich bezsilną wściekłość i zawiedzione ambicje. Musiał przyznać, że propozycja kolegów jest kusząca, paskudnie kusząca. Kierując się złe pojętą ambicją, gubernator przyczynił się do powstania wielkiego chaosu i spowodował wiele zniszczeń... a także śmierć wielu niewinnych osób.

Niewinnych osób. Takich samych jak mieszkańcy tamtego miasta na Teardrop.

LaRone uświadomił sobie nagle, jak bardzo ma dość zabijania. Spojrział na Quillera.

– Tak to zdrajca – powiedział, wstając z podłogi. – Ale odpowie za to przed właściwym trybunałem. Niech tam orzekną o jego winie. – Odwrócił się tyłem do gubernatora. – Marcross? – zagadnął, podchodząc do przyjaciela.

Marcross trzymał się za ramię – zrobił to instynktownie, chociaż zupełnie niepotrzebnie, bo strzał nie przebił jego naramiennika.

– Nic mi nie jest – powiedział. – Obawiam się, że w zasobniku mojego karabinu pozostało jeszcze dość energii na jeden strzał.

– Chyba rzeczywiście zostało, ty pomylony idioto – burknął LaRone. Wpatrzył się w coraz rzadszą chmurę oparu, który prawdopodobnie ocalił życie jego przyjaciela, po czym odwrócił się, uniósł głowę i spojrział na balkon.

Naturalnie stała tam Jade, spoglądając w dół niezłym uosobieniem zemsty.

– Gubernatorze Choard! – zawołała głośno i wyraźnie. – Jesteś aresztowany pod zarzutem zdrady.

Z korytarza za świetną zasłoną napłynął odgłos kroków biegnącej osoby i chwilę później do sali balowej wpadł ubrany w liberię lokaj.

– Wasza Wysokość... – zaczął i na widok szturmowców stanął jak wryty.

– O co chodzi? – zapytał LaRone.

Z wyraźnym wysiłkiem lokaj oderwał spojrzenie od niego i przeniósł je na gubernatora.

– Wiadomość od głównej bramy, Wasza Wysokość – wykrztusił z trudem. – Na teren pałacu wkroczył Lord Vader ze swoim... – na chwilę zerknął podejrzliwie na LaRone'a – ... oddziałem imperialnych szturmowców. Podobno towarzyszy mu główny administrator Disra.

– Doskonale! – zawołała z balkonu Jade. Zaskoczony lokaj uniósł głowę i spojrział na nią. – Proszę powitać Lorda Vadera przy najbliższych drzwiach i wskazać mu drogę do tej sali.

Przeniosła spojrzenie na LaRone'a... a szturmowiec od razu się domyślił, że Jade wie. Wie wszystko... nie tylko to, kim jest on i pozostali, ale także to, jak się tu dostali. To był koniec, a oni wszyscy byli właściwie już trupami.

A potem znów spojrział na Choarda, którego szlak znaczyły trupy setek niewinnych osób. Gdyby go nie powstrzymali, zabiłby wiele milionów następnych. On, Grave, Quiller, Brightwater, a zwłaszcza Marcross nie dopuścili do tej tragedii.

Tak to koniec, pomyślał ponuro. Doszedł jednak do wniosku, że było warto.

Grave zdjął naramiennik pancierza Marcrossa i kiedy Jade dołączyła do szturmowców, ogłądał jego ranę.

– Paskudne oparzenie, ale większość energii pochłonął pancierz – zaopiniował strzelec wyborowy. – Nic mu nie będzie.

– To dobrze – odparła Jade, po czym przeniosła zimne jak lód spojrzenie na Choarda. – Chyba pan rozumie, że powinien był pan zginąć – powiedziała. – Gdybym była na miejscu tych żołnierzy, już by pan nie żył.

– Na pewno dla kogoś może to mieć znaczenie – odciął się gubernator. LaRone pomyślał, że ten łajdak do samego końca zachowuje się wyzywająco.

Wielka szkoda, pomyślał.

Nagle przez tłum stojących pod ścianami najwybitniejszych obywateli Makrin City przeszedł nerwowy szmer. LaRone zebrał się w sobie i spojrział w stronę drzwi.

W świetnej zasłonie stał Darth Vader. Czarny Lord ujął się pod bok i wodził spojrzeniem po pomieszczeniu. Jego czarna maska i pancerz stanowiły niesamowity kontrast z połyskującą białą pancerzą szturmowców z Pięćset Jedyńki, którzy cicho i sprawnie rozchodzili się po sali.

– Witaj, Lordzie Vader – odezwała się Jade, kiwając mu głową.

– Witaj, Ręko Imperatora – odpowiedział Czarny Lord i też lekko kiwnął hełmem. Ruszył ku niej tak szybko, że aż załopotaly poly jego czarnego płaszcza. – Widzę, że nie próżnowałaś.

– Ty także – odparła Jade. – Domyślam się, że zaarrestowałeś głównego administratora Disrę?

– Tymczasowo – sprostował Vader. – Dwie godziny temu zgłosił się do mnie ze wszy stłkimi dowodami zdrady gubernatora Choarda.

– Doprawdy? – mruknęła oschle Mara. – To ciekawe, jak szybko skalne roztocza uciekają z pokładu skazanego na zagładę holownika rudy. Próbował takiej samej sztuczki ze mną.

– Przypadek administratora to co innego – wyjaśnił Vader ostrzegawczym tonem.

– Na pewno – stwierdziła Jade, kiwając głową. – Nie wątpię, że jego dowody przydadzą się podczas procesu Choarda. Moje gratulacje. Czy zechcesz się zatroszczyć o przetransportowanie aresztantów na Imperialne Centrum? Jak wiesz, mój statek nie bardzo nadaje się w tej chwili do lotu.

– Tak słyszałem – przyznał Czarny Lord. LaRone spróbował sobie wyobrazić, że mężczyzna się uśmiecha za płytą czołową czarnego hełmu, ale bezskutecznie. – A co z nimi? – dodał Vader, wskazując głową w kierunku LaRone'a i jego towarzyszy.

– A co ma być? – zapytała Jade.

– Powiedziano mi, że wcześniej tego popołudnia odmówili podania numeru swojej jednostki – odparł Vader mroczniejszym tonem. – Mam także wiadomość z pokładu „Odwetu”, że nie mogą się tam doliczyć pięciu szturmowców.

LaRone poczuł, że coś uwięzło w jego gardle. A zatem nie mieli zostać przekazani do Naczelnego Dowództwa Szturmowców ani nawet w ręce funkcjonariuszy IBB. Mieli wpaść w łapy samego Vadera.

Przynajmniej zginie my szybko, pomyślał. Prawdopodobnie.

Ku jego zaskoczeniu Jade wzruszyła ramionami.

– To interesujące, ale bez znaczenia – stwierdziła. – Ci szturmowcy należą do mnie.

– Do ciebie? – podchwycił Darth Vader.

– Masz całą Pięćset Jedyńkę – przypomniała mu Mara. – Chyba nie pożałujesz mi mojej Ręki Sprawiedliwości.

Długą chwilę Vader spoglądał na nią w milczeniu. Jade wytrzymała siłę jego spojrzenia z obojętnym, ale stanowczym wyrazem twarzy.

Wreszcie, ku wielkiej uldze LaRone'a, Czarny Lord się poruszył.

– Jak sobie życzysz – powiedział, unosząc lekko rękę. – Dowódco!

Dowódca oddziału jego szturmowców wystąpił przed szereg.

– Tak, Lordzie Vader? – zapytał.

– Zabrać gubernatora Choarda na pokład „Egzekutora” – rozkazał Vader. – A później niech twoi podwładni przeszukają to miejsce. – Zamaszystym gestem wskazał stojących pod ścianami gości. – Zaczynając od nich.

– Tak jest, proszę pana. – Dowódca polecił wystąpić dwóm podwładnym, którzy podeszli z obu stron do Choarda i pchnęli go lekko w kierunku wyjścia. Zaraz otoczyło ich dwunastu innych szturmowców, a pozostali zaczęli krążyć wśród najznakomitszych obywateli Makrin City.

Vader spojrział na LaRone'a i długo kierował czarną płytą czołową hełmu na jego twarz. Później wykonał półobrót i pochylił głowę w stronę Jade.

– Do widzenia, Ręko Imperatora – powiedział. Odwrócił się i szeleszcząc płaszczem, ruszył w kierunku wyjścia.

LaRone spojrział na Jade i zauważył, że ona też na niego patrzy.

– Jakież rozkazy, proszę pani? – zapytał służbiście.

– Tutaj już zrobiliśmy, co było do zrobienia – odparła Jade takim samym oficjalnym tonem. – Opuszczając teren pałacu, zabierzemy Brightwatera i polecimy do kosmoportu Greencliff, na pokład waszego statku. – Zmierzyła go ostrym spojrzeniem. – A po drodze opowiecie mi waszą historię... tym razem prawdziwą – zapowiedziała.

Rozdział 24

Kiedy Han wypuścił Leię z zamaskowanej zbrojowni kabiny na pokładzie Suwanteka, po twarzy księżniczki ściekały strużki potu.

– Wszystko w porządku – oznajmił Solo, wyciągając do niej rękę. – Skończyli i się wynieśli.

– Byli bardzo skrupulatni – zauważyła Leia. Zignorowała jego rękę i wyszła z ciasnego pomieszczenia o własnych siłach. – Słyszałam, jak co najmniej trzy razy kręcili się po kabinie.

– Nie byli zachwyceni widokiem raketowych skuterów w ładowni – przyznał Han, a Leia usiadła na łóżku. Nie wyglądała jak księżniczka, bo miała posklejane od wilgoci włosy, a na sobie fartuszek, w którym obsługiwała gości w barze w Makrin City. Han mimo to wyczuwał w niej monarszą godność. Pomyślał, że to miła kombinacja. – Sprzedałem im więc bajeczne o wojskowych nadwyżkach, a oni chyba to kupili.

– Na pewno sprawdzą ich numery seryjne – ostrzegła Leia.

– Niech sobie sprawdzają. – Han wzruszył ramionami. – Zanim wyśledzą, skąd pochodzą, dawno odlecimy. Aha, skontaktował się z nami Brightwater... on i jego towarzysze wracają już na pokład.

– Brightwater to jeden z tych szurmowców dezerterów, o których mi wspominałeś? – domyśliła się Leia.

– Nie martw się, możemy im zaufać – zapewnił Solo. – Uważam jednak że nie ma potrzeby im mówić, kim jesteś. Kazałem Chewiemu, żeby przygotował silniki Suwanteka do startu. Musimy przelecieć nim do miejsca, w którym zostawił „Sokoła”, a to potrwa kilka godzin. Dopiero tam będziemy się mogli pożegnać z LaRone'em i jego towarzyszami. – Uniósł brew. – Chyba że wolisz tu zostać i postarać się ich przekonać, aby się przyłączyli do Rebelii.

– Byli ch szurmowców? – uśmiechnęła się z przekąsem księżniczka. – Nie sądzę. – Urwała i dodała niepewnie: – Zwłaszcza że nie potrafię namówić do tego nawet ciebie.

Han się skrzywił. A więc jednak zauważyła, pomyślał. Poczul się trochę dziwnie, chociaż pochlebilo mu, że zwróciła na to uwagę.

– To bardzo poważny krok – powiedział.

– Wiem – odparła Leia. – Zwłaszcza dla kogoś, kto przywykł przyjmować rozkazy tylko od siebie. Ale to krok, na który wszyscy musieliśmy się zdecydować. – Popatrzyła na zbrojownię i komplety pancerzy szurmowców. – A po Alderaanie chyba nie jest możliwe, żeby ktokolwiek mógł zachować neutralność – dodała cicho. – Albo się popiera Imperium z jego represjami, albo się toczy z nim walkę.

– Chyba jeszcze jakiś czas mógłbym pozostać tylko cichym sympatykiem Rebelii – zaczął Han, ale się zawahał. – Nie jestem gotów na bezwarunkowe posłuszeństwo Mon Mothmie, Rieekanowi i pozostałym.

– Możesz zrobić coś innego – zaproponowała księżniczka i znów spojrzała na niego. – Zacznij od posłuszeństwa względem jednej osoby.

Han spojrzał na nią. Czul się... dziwnie. Czyżby Leia miała na myśli...

– Chewbacca chciałby się do nas przyłączyć – podjęła księżniczka. – Zrób to dla niego. Pamiętasz chyba, co wycierpiał pod rządami Imperium istoty jego rasy.

Dziwne uczucie ustąpiło.

– Rozumiem – mruknął Solo.

– Co rozumiesz? – zagadnęła Leia.

– Po prostu rozumiem – odparł Han, który szybko przyszedł do siebie. – Tak czy owak, chyba lepiej będzie wypuścić Luke'a z jego kryjówek.

Leia wytrzeszczyła oczy.

– Chcesz powiedzieć, że jeszcze tego nie zrobisz? – zapytała. – Stoisz tu i rozmawiasz ze mną, a on wciąż tkwi w swojej komórce?

– Ma przecież świetny miecz – przypomniał obłudnie Solo. – Zawsze może wyciąć otwór i wyjść, jeżeli będzie mu się bardzo nudziło.

– Hanie...

– Do zobaczenia później, księżniczko.

Wychodząc na korytarz, musiał jednak przyznać, że Leia ma rację. Mógłby zacząć od okazania posłuszeństwa jednej osobie... na przykład Chewiemu.

A może nawet komuś innemu.

Kiedy Quiller prowadził ciężarowy śmigacz cichymi ulicami Makrin City, Jade słuchała w milczeniu opowieści LaRone'a.

– Powinniście byli z tym pójść do dowódcy waszej jednostki – powiedziała, kiedy szurmowiec skończył. – W takich sytuacjach stosuje się specjalne procedury postępowania, zwłaszcza jeżeli można to uznać za działania w samoobronie.

– A istnieją procedury, które by nie przewidywały oddania nas w ręce funkcjonariuszy IBB? – zagadnął Grave.

– Słuszna uwaga – stwierdziła Jade. – Mimo to nadal jestem zdania, że powinniście byli się zgłosić. Teraz jest już za późno.

– Prawdopodobnie masz rację – przyznał LaRone, starając się wyczuć z twarzy Jade, co ona może mieć na myśli. Nadaremnie. Nie miał pojęcia, co się kryje na dnie jej zielonych oczu. – Prawda wygląda jednak tak, że po tym, co wydarzyło się na Teardrop, nie chcemy wracać... – Urwał, bo poczul w gardle coś twardego.

– Możecie być pewni, że się tym zajmę – obiecała złowieszczy tonem Jade. – Wydanie rozkazu zabijania niewinnych cywilów klóci się ze wszystkim, co Imperium stara się osiągnąć. Jeżeli to prawda, na pewno ktoś za to odpowie.

LaRone zerknął spode łba na Marcrossa. Siedzący obok niego kolega skrzywił się, milcząco przyznając mu rację. Mimo swoich kompetencji Ręka Imperatora miała naprawdę naiwne wyobrażenia o tym, co Imperium naprawdę stara się osiągnąć.

Miała się tego dopiero nauczyć.

– Co zamierza pani z nami zrobić? – zainteresował się Quiller.

Jadę milczała jakiś czas.

– Jesteście dezertkami – odezwała się w końcu. – Składaliście przysięgę na wierność Imperium, ale ją złamaliście. Formalnie to taka sama zdrada jak ta, której dopuścił się Choard.

– Rozumiemy – stwierdził LaRone. – Ale z całym szacunkiem, przysięgaliśmy bronić Imperium i jego obywateli.

– A co, uważasz, że teraz się tym zajmujecie? – odcięła się imperialna agentka. – Latacie po galaktyce i robicie, co się wam podoba?

– Na pewno lepiej bronimy obywateli teraz niż tam, na Teardrop – upierał się Grave.

LaRone się skrzywił, a Jade nie odpowiedziała. Odezwała się, dopiero kiedy przed śmigaczem pojawił się kosmoport Greenclyff.

– Jak nazywa się w tej chwili wasz statek? – zapytała.

– „Włócznia Melnora” – odparł LaRone.

– Skontaktuję się z „Egzekutorem” i załatwię, żebyście mogli stąd bez przeszkód odlecieć – obiecała Jade. – Wyoście się z Shelkonwy i nie wracajcie.

LaRone spojrzął na Marcrossa, a później znów na Jade.

– Dziękujemy – powiedział. – Mogę zapytać, dlaczego pani to robi?

Młoda kobieta spojrzała przez szybę, kiedy przelatywali przez bramę kosmoportu.

– Pomogliście mi zidentyfikować zdrajcę i uniemożliwić mu ucieczkę – zaczęła. – A poza tym kilka dni temu byłam gotowa okazać łaskę komuś, kto wyrządził Imperium i jego obywatelom o wiele więcej złego niż wy moglibyście kiedykolwiek wyrządzić. Nigdy się z tym nie pogodzę, więc postanowiłam, że zamiast tego okażę łaskę wam.

– Tak jest, proszę pani – odparł LaRone, chociaż nie miał pojęcia, o co chodzi. – Jeszcze raz dziękuję.

Quiller zastopował ciężarowy śmigacz obok Suwanteka.

– Starajcie się nie rzucać w oczy i nie pakować w kłopoty – doradziła Jade. Otworzyła drzwi śmigacza i zeskoczyła na płytę lądowiska. – Inni Imperialcy, na których się natkniecie prawdopodobnie nie będą dla was tacy pobłażliwi. – Spojrzała na Marcrossa, a LaRone zauważył, że Jade lekko kiwnęła mu głową. Zaczęła się odwracać, ale jeszcze raz spojrzała na niego. – Aha, jeszcze jedno – przypomniała sobie. – Nazwaliście się Ręką Sprawiedliwości, prawda?

– Tak – przyznał LaRone, marszcząc brwi.

– Zmieńcie tę nazwę – rozkazała Jade. – W Imperium istnieje tylko jedna Ręka, i to ja nią jestem.

Odwróciła się i rozplynęła w ciemności nocy.

Brightwater podleciał pokierosowanym skuterem rakietowym do urządzeń kontrolnych i zaczął opuszczać platformę towarowego dźwigu Suwanteka.

– O co w tym wszystkim chodziło? – zapytał, kiedy LaRone wygramolił się z trudem z kabiny ciężarowego śmigacza.

– Mógłbyś to nazwać politycznym konfliktem – odparł LaRone. – Na szczęście w niczym mi to nie przeszkadza. Upewnijmy się, że Solo i pozostali są już na pokładzie, i wyośmy się z tej planety.

– Brzmi rozsądnie – pochwalił Brightwater, kiedy platforma dźwigu znieruchomiała na permabetonie. – Czy naprawdę tym razem zamierzamy nie rzucać się w oczy i unikać kłopotów, jak nam przykazała Jade?

LaRone obserwował, jak Quiller wprowadza ciężarowy śmigacz na platformę.

– Nie wyobrażam sobie tego – odezwał się. – Przysięgaliśmy służyć obywatelom Imperium. Wszędzie czyhają na nich niebezpieczeństwa, przed którymi musimy ich bronić.

– Miałem nadzieję, że to powiesz – mruknął Brightwater, klepiąc go po ramieniu. – Bez względu na siniaki i oparzenia, jakie zarobisz, odgrywanie bohatera pomaga ci lepiej spać w nocy.

– Co prawda, to prawda – przyznał LaRone. – A teraz przetransportujemy naszych pasażerów na pokład „Sokoła” i zajmijmy się własnymi sprawami. – Odwrócił się i popatrzył w kierunku, w którym znajdował się pałac gubernatora. – I swoimi obowiązkami – dodał po chwili.

Kiedy Imperator odchylił się do tyłu na tronie i spojrzął na dwie stojące przed nim osoby, z mrocznego kaptura błysnęły złowieszczo jego złote oczy.

– A zatem wszystko wskazuje na to, że Organa przesłiznęła się między twoimi palcami – odezwał się chrapliwym ale obojętnym tonem.

– Rzeczywiście na to wygląda, mój mistrzu przyznał Vader, z ubolewaniem chyląc głowę przed Imperatorem. Poszukiwania nie przyniosły żadnych rezultatów. – Odwrócił czarny hełm w stronę Mary. – Pilot jednego frachtowca uzyskał jednak zgodę na start, zanim poszukiwania dobiegły końca.

Imperator spojrzął na Marę.

– Moje dziecko? – zapytał.

– Na pokładzie tego frachtowca odleciała moja drużyna szturmowców, której wydawałam rozkazy – wyjaśniła Jade. – Nie ma absolutnie żadnej szansy, żeby Organa wśliznęła się ukradkiem na pokład i ukryła gdzieś, gdzie nie mogliby jej znaleźć. A poza tym skanery „Egzekutora” wykryły na pokładzie statku tylko pięć form życia. – Spojrzała na Vadera. – Nie jestem wcale przekonana, czy Organa w ogóle przeżywała na Shelkonwie – dodała. – Przy puszczałam, że główny administrator Disra wymyślił tę historię, aby ściągnąć do Makrin City samego Lorda Vadera.

– W jakim celu? – chciał się dowiedzieć Imperator.

– Disra twierdzi, że od dawna gromadził dowody zdrady gubernatora Choarda – odparła Mara. – Na razie nie mógł nikomu donieść o zdradzie zwierzchnika, bo nie chciał przedstawić tych dowodów komuś, kto okazałby się jednym z przyjaciół Choarda albo kolejnym konspiratorem. – Odwróciła się do Imperatora i wskazała Czarnego Lorda. – A kto mógł być lepszą osobą niż Lord Vader?

– Ktoś, kto pełni tak ważną funkcję, mógłby mu pomóc w realizacji własnych planów – zasugerował Imperator.

– Ten człowiek rzeczywiście chce zostać gubernatorem zamiast Choarda – potwierdził Vader.

– Jestem tego pewny – stwierdził Imperator, a Mara wyczuła, że jego wcześniejsza irytacja ustępuje. – Ale nie w tej chwili. Może później. – Uniósł rękę. – Tak czy owak wojna trwa nadal. Wrócisz teraz do swoich obowiązków, Lordzie Vader. – Spojrzał na Marę i lekko się uśmiechnął. – A w twojej kwaterze, moje dziecko, czeka dla ciebie nowe zadanie.

Vader odezwał się do niej, dopiero kiedy opuścili salę tronową Imperatora i ruszyli długim korytarzem.

– Jak oceniasz tego Disrę? – zapytał.

– To oszust i spiskowiec – odparła bez namysłu Mara. – Gdybym mu poleciła wykonywanie jakichkolwiek obowiązków, nie spuszczałabym go z oka.

– Zgadzasz się – zauważył Vader. – Toteż nie zamierzam tego robić.

Mara się zawahała.

– Chciałabym cię o coś prosić, Lordzie Vader – zaczęła.

Zapadła krótka cisza.

– Mów dalej – odezwał się w końcu Czarny Lord.

– Chodzi mi o komandora Ozzela – podjęła Mara. – Twierdzi, że atakna bazę piratów na Gepparinie nie miał ze mną nic wspólnego. Podobno został zarządzony na podstawie informacji od pułkownika Somorila.

– A Somoril to potwierdza? – zapytał pogardliwym tonem Vader.

– Naturalnie że tak – odparła Jade podobnym tonem. Doszła do wniosku, że mimo dzielących ich różnic, ona i Vader mają przynajmniej taką samą opinię o IBB. – A skoro ich zeznania się zgadzają, nie ma podstaw do przesłuchania.

– Co chciałabyś, żebym zrobił?

– Nie bardzo wiem – wyznała Mara. – Przypuszczam, że powinieneś mieć oko na Ozzela. Nie wiem, czy ten człowiek jest niełojalny, podatny na manipulację, czy po prostu głupi, ale uważam, że powinno się go mieć na oku.

Vader przeszedł w milczeniu kilka następnych kroków.

– Pozostaw to mnie – odezwał się w końcu. – Przypuszczam, że to da się zrobić.

– Hrabino? – zawołał ktoś z bocznego korytarza, obok którego wylotu właśnie przechodzili. – Hrabino Clario!

Mara spojrzała w bok i zobaczyła, że w jej kierunku spieszy ktoś znajomy.

– Witam pana, generale Deerian – odrzyknęła i zaczęła, aż mężczyzna się zbliży. Nie gubiąc rytmu kroków, Vader zaczął się oddalać korytarzem. – Co pan tu robi? – zapytała, kiedy Deerian stanął przed nią.

– Otrzy małem nowe stanowisko – poinformował ją generał z wyraźną dumą. – Przydzielono mnie do zespołu pracującego nad unowocześnieniem planetarnych systemów obronnych Imperialnego Centrum.

– Moje gratulacje – powiedziała Mara. – Wyobrażam sobie, że brakuje panu przepychu pałacu moffa Glovstoaka.

– Bynajmniej – zaprzeczył generał. – Nie wiem, czy pani już słyszała, ale krótko po moim przeniesieniu moff Glovstoak trafił do areszu pod zarzutem sprzeniewierzenia i zdrady.

– Nie, nie słyszałam o tym – wyznała szczerze Jade.

– Wszyscy przeżyliśmy wielki wstrząs – ciągnął Deerian, z niedowierzaniem kręcąc głową. – Dałaby pani wiarę, że ktoś taki jak Glovstoak mógł się dopuścić podobnych przestępstw?

– Dałabym – mruknęła Jade.

– No cóż, na mnie już czas – stwierdził nieco pogodniej generał. – Spieszę się na zebranie, ale zobaczyłem panią i chciałem się przywitać.

– Cieszę się, że pana spotkałam – podkreśliła szczerze Mara. – Życzę powodzenia, panie generale.

– I ja pani też, hrabino. – Deerian skłonił się przed nią i odszedł korytarzem.

Mara patrzyła za nim, pełna ciepłych uczuć. LaRone mógł sobie mówić, co chce o odosobnionych przypadkach nadużywania władzy, którym na pewno trzeba było się przeciwstawić. Dopóki jednak mężczyźni pokroju generała Deeriana służyli w Imperium, warto go było bronić. Warto było poświęcać mu energię, a nawet życie.

A także okazywać mu posłuszeństwo.

Mara odwróciła się i spojrzała na Vadera, którego płaszcz falował w oddali, po czym skierowała się do swojej kwatery. Imperator powiedział, że czeka tam na nią następne zadanie.

PODZIĘKOWANIA

Rękę Sprawiedliwości wymyśliłem podczas grzecznościowej rozmowy, którą prowadziłem w StellarCon w marcu 2004 roku z pomysłodawcą Pięćset Pierwszego Legionu, Albinem Johnsonem. Jego pomysł winił się wprawdzie od tego, który później wykorzystałem, ale to właśnie ta rozmowa zapłodniła moją wyobraźnię.

Czasami umysł pisarza funkcjonuje jak gigantyczny odkurzacz – wysysa wszystkie możliwe pomysły, a później miesza je i dopasowuje, aż powstanie coś nowego (albo przynajmniej niemożliwego do rozpoznania). W rzadkich przypadkach, kiedy można wykryć tropy wiodące prosto do źródła, powinniśmy je wymienić.

Dzięki, Albinie